

ANDERSON KEVIN J

OPOWIEŚCI Z PAŁACU JABBY

POD REDAKCJĄ KEVINA J. ANDERSONA

PRZEKŁAD KATARZYNA LASZKIEWICZ

ANDERSON KEVIN J

OPOWIEŚCI Z PAŁACU JABBY

**POD REDAKCJĄ KEVINA J. ANDERSONA
PRZEKŁAD KATARZYNA LASZKIEWICZ**

Dla Sue Rostoni, która pomogła mi bardziej, niż mogłyby to zrobić całe zastępy sługusów Jabby - sugerując zmiany pokonując przeszkody i przeprowadzając mnie przez gąszcz szczegółów, który nawet Hutta przyprawilby o ból głowy.

Gdybym powiedział ci połowę tego, co słyszałem o tym Jabbie obwody by ci się przepaliły.

See-Threepio do Artoo-Detoo

Spis treści

Spis treści 3

WSTĘP 4

CHŁOPIEC I JEGO POTWÓR opowieść opiekuna rankora 4

Ładunek specjalny 4

Opieka i żywienie rankora 8

Stomatologia ogólna 12

Rekreacja 17

Przekąska w cieniu szczęk 22

W mateczniku 24

Gość nie w porę 26

WYBÓR SMAKOSZA opowieść szefa kuchni Jabby 31

ALE ZABAWA opowieść Sprośnego Okruszka 45

CZAS ŻAŁOBY, CZAS TAŃCA opowieść Ooli 59

POLOWANIE opowieść Whiphida 75

ZRĘCZNY RUCH opowieść Mary Jade 87

A POTEM JESZCZE KILKU opowieść gamorrańskiego strażnika 100

STARZY PRZYJACIELE opowieść Ephanta Mona 113

KOZIBRODA opowieść Ree-Yeesa 127

A ZESPÓŁ GRAŁ DALEJ opowieść muzyków 138

Jak zespół trafił na Tatooine 138

Jak zespół trafił do pałacu Jabby 145

Jak tercet stał się duetem 153

WSZYSTKIE TROSKI DNIA opowieść Biba Fortuny 160

WIELKI BÓG QUAY opowieść o Baradzie i Weequayach 179

ZŁE PRZECZUCIE opowieść EV-9D9 191

WOLNY OUARREN W PAŁACU opowieść Tesseka 210

WYJŚCIE Z CIENIA opowieść zabójcy 225

ZWIĄZANY JEZYK opowieść Buby 237

TAKI BUHACZ opowieść Buby Fetta 240

SHAARA I SARLACC opowieść strażnika ze skiffu 258

GRUBOSKÓRNI opowieść grubej tancerki 263

EPILOG i co dalej...? 294

PODZIĘKOWANIA 297

WSTĘP

Hutt Jabba ma wielu wrogów.

W swojej starannie strzeżonej cytadeli pod bliźniaczymi słońcami Tatooine Jabba, przez niektórych zwany zbrodniczym gangsterem, znalazł się - dzięki władzy i bogactwu, które zgromadził podczas przestępczej kariery - w niebezpiecznej sytuacji. Choć niewielu otwarcie wyciąga rękę po jego majątek, nie powstrzymuje ich to od snucia potajemnych intryg.

Głównym rywalem Jabby jest lady Valarian, do której należą hotel i kasyno Fartowny Despota. Włochata Whipidka o groźnie wyszczerzonych kłach i nienasyconym apetycie na samców swego gatunku (i to ponoć dosłownie...) nie pcha się jednak w światła jupiterów, lecz cichaczem snuje długofalowe plany.

Prefekt Eugene Talmont, stacjonujący w Mos Eisley, jest imperialnym oficerem dowodzącym tatooińskim garnizonem. Nie znosi swojej prowincjonalnej placówki i ludzi się nadziejają, że wyeliminowanie Jabby zapewni mu bilet powrotny z zapadłej dziury, na której wylądował.

Jest jeszcze tajemniczy zakon mnichów B'omarr, pierwotnych budowniczych olbrzymiej cytadeli, wzniesionej głęboko w piaskach pustyni, by zapewnić im odosobnienie. Bujający w obłokach mnisi wydają się nie zauważać, że Jabba - podobnie jak wielu złoczyńców prze; całe dziesięciolecia przed nim - zaanektował ich kamienną fortecę. Nikt jednak nie wie, co naprawdę myślą cisi, nierozmowni zakonnicy Jabba jest zawsze czujny, ale nawet nie podejrzewa, że jego zguba przyjmie postać rycerza Jedi, który samotnie przybędzie z pustyni...

Uwaga od tłumacza: dla wygody czytelnika wszystkie wypowiedzi w językach nie ludzi zostały przetłumaczone na wspólny.

CHŁOPIEC I JEGO POTWÓR opowieść opiekuna rankora

Kevin J. Anderson

Ładunek specjalny

Niezidentyfikowany statek rozdarł kruchą atmosferę Tatooine ognistym palcem, wlokąc za sobą tłustą wstęgę czarnego dymu. Dźwiękowe eksplozje fali uderzeniowej runęły lawiną w ślad za spadającym pojazdem kosmicznym.

W dole piaskoczołg Jawów sunął niekończącą się ścieżką przez Morze Wydm, szukając zapomnianych wraków - smakowitych szczątków metalu. Traf chciał, że piaskoczołg stał tylko dwie wydmy dalej, gdy pikujący statek uderzył w ocean ślepych piasków, wzniesając fontanny pyłu połyskującego jak mika w blasku bliźniaczych słońc.

Pilot zardzewiałego piaskoczołgu, Tteel Kkak, patrzył przez wąskie okno wysoko na mostku, nie mogąc uwierzyć w tak niesłychany uśmiech losu, zesłany prosto pod jego nogi zapewne dzięki wstawiennictwu przodków. Wieloletnia wędrówka jego piaskoczołgu po bezdrożach nie przyniosła właściwie żadnych plonów, a wstyd by mu było wracać do ukrytej fortecy swojego klanu z pustymi rękami - i oto teraz dziewiczy wrak leżał w zasięgu ręki, wolny od roszczeń innych klanów i niszczącego działania czasu.

Stare silniki atomowe wprawiły w ruch olbrzymi piaskoczołg, który ruszył przez ruchome piaski ze zgrzytem szerokich gąsienic prosto na dymiący wrak.

Statek leżał w kraterze sypkiego piasku, który mógł zamortyzować nieco jego upadek; niewykluczone że część ładunku przetrwała katastrofę w nienaruszonym stanie. Pancerne komory i części rdzenia komputera dałoby się może ocalić. A przynajmniej Tteel Kkak miał taką nadzieję.

Jawowie wysypali się z pojazdu i pobiegli w stronę wraku - grupa poszukiwaczy klanu Kkak w pełnym składzie: małe, zakapturzone postacie roztaczające stęchłą, niemiłą woń, trajkoczące zapamiętane podczas inspekcji zdobyczy.

Na czele szli poszukiwacze wyposażeni w przenośne gaśnice chemiczne, z których opryskano rozpalone poszycie wraku, by ograniczyć do minimum dalsze straty. Nie sprawdzali, czy ktokolwiek przeżył katastrofę, bo nie to było ich głównym zmartwieniem. Tak naprawdę żywi pasażerowie albo członkowie załogi mogliby zakwestionować roszczenia klanu Kkak do ocalałych szczątków. Ranni w podobnych wrakach rzadko przeżywali pierwszą pomoc świadczoną przez Jawów.

Jawowie zużyli dwa ogniwa energetyczne starych palników laserowych, żeby przeciąć poszycie i dostać się do opancerzonej komory mostka. Słabe światło systemów awaryjnych i poświata podzespołów elektronicznych nadal oświetlały opuszczone stanowiska.

Ostre opary chemikaliów i kłęby sinego dymu zaatakowały delikatne nozdrza Tteela Kkaka; gdzieś w tle wyczuwał też posmak metalicznego strachu, miedziany zapach krwi przelanej i spalonej. Wiedział, że w fotelu kapitana nie znajdzie nikogo żywego. Nie był jednak przygotowany na to, że w ogóle nie znajdzie żadnych ciał - tylko ciemne, wilgotne bryzgi rozprysniętej krwi i wypalone dziury po strzałach z miotacza na ścianach.

Pozostali Jawowie otworzyli główne grodzie i wleźli do środka, popiskując. Zwiadowcy

rozbiegli się po szczątkach pokładu, przewracając dymiące ściany i tłocząc się w poszukiwaniu innych skarbów w ładowni.

Tteel Kkak pozwolił jednemu z młodszych członków klanu zaprezentować swoją biegłość w łamaniu kodów głównego komputera na mostku; warto było sprawdzić numer rejestracyjny i właściciela jednostki, na wypadek gdyby za informację o miejscu pobytu statku - a raczej pustej skorupy kadłuba, jaką pozostawia po sobie Jawowie - wyznaczono dużą nagrodę.

Młody Jawa (piąty syn trzeciej siostry Tteela Kkaka z jej głównego partnera) wyciągnął porysowany, płaskoekranowy czytnik, na którego końcu dyndały niezaisolowane druciki. Chłopiec szturczył pazurami zerwał osłonę konsoli mostka i zapiszczał, gdy z podłączonych przez niego naprędcie przewodów sypnęło iskrami. Wetknął kable w inne gniazdo i korzystając z resztek energii w systemach awaryjnych statku, wywołał informacje, które wypełniły zielony ekran błędnymi literami.

Kapitanem statku był humanoid o nazwisku Grizzid, co od razu ostudziło rozbudzone nadzieje Tteela Kkaka. Do tej chwili łudził się, że statek przewoził jakiegoś ważnego dygnitarza albo inną znakomitość.

Ten Grizzid leciał z systemu Tarsunt, o którym Tteel Kkak nigdy nie słyszał. Machnął ręką i kazał swojemu młodemu pomocnikowi poszukać ważniejszej informacji: listu przewozowego.

Kiedy nowe napisy pojawiły się na ekranie, monitor zgasł, a pomocnik musiał kilkakrotnie walnąć w urządzenie, zanim znowu zaczęło działać. Ekran wyświetlił żałośnie krótką listę towarów. Jednak serce Tteela Kkaka zabiło mocniej, gdy zobaczył pozycję oznaczoną jako „ładunek specjalny”, umieszczony na pokładzie przez bothańskiego kupca o nazwisku Grando, handlującego „rzadkimi osobliwościami”, który zażądał traktowania swojego towaru z najwyższą ostrożnością. Ciężka skrzynia ze wzmocnionego duranium wypełniała niemal całą ładownię.

Tteel Kkak wypuścił w powietrze feromony zawodu, na tyle silne, by przebiły się przez kwaśną woń spalenizny. Jeśli skrzynia nie była wyjątkowo solidna, ten cenny ładunek specjalny, czymkolwiek był, musiał zginąć podczas katastrofy.

Jednak w tym samym momencie, gdy ta myśl przemknęła mu przez głowę, usłyszał ryk przerażenia i bólu - a potem dudniący warkot, basowy i ścinający krew w żyłach, tak głęboki, że cały wrak zadrżał w głębokiej wibracji.

Ponad połowa Jawów roztropnie wyskoczyła przez szczeliny rozerwanego poszycia, by schronić się w bezpiecznym piaskoczołgu, ale Tteel Kkak był pilotem oraz przedstawicielem klanu i odpowiadał za ocalone szczątki. Choć wydawało się to najmądrzejszą rzeczą, jaką powinien zrobić, nie mógł po prostu uciec przed tym niskim, przerażającym dźwiękiem. Chciał się dowiedzieć, co go wydawało. W końcu „ładunek specjalny” mógł okazać się naprawdę cenny.

Złapał za ramię swojego młodego pomocnika, który buchnął nieprzyjemnym odorem zimnego jak metal strachu. Kiedy ruszyli w dół pochylonymi korytarzami, z trudem uniknęli rozdeptania przez siedmiu piszczących, uciekających Jawów, którzy emitowali niezrozumiałą kombinację słów i niemożliwych do odczytania zapachów, w których jedynym rozpoznawalnym znaczeniem była przyprawiająca o mdłości panika.

Wzdłuż korytarza Tteel Kkak zobaczył smugę krwi i wielkie, rozmazane, czerwone ślady stóp. W dole korytarza światło coraz bardziej słabło, a metal poszycia nadal trzaskał i postukiwał - stygł w środku, przypalany na zewnątrz przez pustynne słońce. Głośny, wibrujący ryk zabrzmiał ponownie.

Młody pomocnik Tteela Kkaka wyrwał się z jego uścisku i dołączył do Jawów uciekających ze

statku. Tteel Kkak pozostał sam. Szedł dalej, powoli i ostrożnie. Na podłodze leżały pogryzione kości. Wyglądały, jakby jakiś szablozębny stwór obgryzł mięso i porzucił pozostałości, porzrucane jak białe patyki.

Tuż przed nim otwierało się wejście do ładowni, jak pusty oczodół olbrzymiej czaszki. Ktoś wyrwał drzwi z zawiasów - ale nie w tych ostatnich chwilach i nie w czasie upadku, o ile był w stanie stwierdzić. Musiało się to stać wcześniej.

W pogrążonej w cieniu ładowni coś się poruszyło, warknęło i kopnęło na oślep. Tteel Kkak domyślił się, że stwór wyrwał się z klatki, gdy statek dolatywał do Tatoonie, a teraz wycofał się do swojego matecznika, by skończyć pożeranie szczątków załogi. Kiedy pozbawiony załogi statek rozbił się, grube ściany zapadły się do środka, a stwór uwiązał w tej samej skrzyni, która uchroniła go od śmierci przy uderzeniu statku o ziemię.

Przyciągany zabójczą ciekawością, silniejszą nawet niż strach, Tteel Kkak posuwał się dalej. Wyczuwał już zapach bestii - gęstą, wilgotną woń przemocy i gnijącego mięsa. Zobaczył rozerwane resztki płaszczy kilku Jawów. Zaczął węszyć i wyczuł kwaśną krew Jawów.

O krok przez otworem zawahał się... gdy nagle szeroka, szponiasta łapa większa niż całe ciało Tteela Kkaka, mignęła mu przed oczami niczym rozgałęziona błyskawica podczas burzy piaskowej.

Tteel Kkak runął na plecy. Olbrzymia łapa - jedyna część ciała potwora, która mogła precyzyjnie się przez otwór, przecięła powietrze, jakby chciała je rozerwać. Pazury uderzyły o ściany korytarza i zsunęły się z przeraźliwym zgrzytem, pozostawiając w metalowych płytach równoległe białe bruzdy.

Zanim potwór zdołał ponownie zaatakować, Tteel Kkak zerwał się na równe nogi i pobiegł w górę pochyłego korytarza, ku otworowi w poszyciu mostka. Zanim jednak tam dotarł, jego umysł dokonał ponownej oceny sytuacji, ważąc szanse, czy nie udałoby się jednak zarobić na potwornym znalezisku.

Znał tylko jedną osobę, którą mogła ucieszyć ta ohydna, niebezpieczna bestia - kogoś, kto żył po drugiej stronie Morza Wydm, w starożytnej, posępnej cytadeli, która stała tam od stuleci.

Tteel Kkak musiał poświęcić większość materiałów ze zdobytego wraku, bo nie chciał użerać się z uwięzionym w nim potworem. Miał nadzieję, że namówi Hutta Jabbę, by wypłacił mu przynajmniej sowitą nagrodę za to znalezisko.

Opieka i żywienie rankora

Malakili, zawodowy trener i pogromca potworów, został bezceremonialnie przeniesiony z Circus Horrificus - obwoźnego cyrku bestii rzadkich ras, który krążył od systemu do systemu, wprawiając w zachwyty i przerażenie tłumy widzów. Słowo „przeniesienie” figurowało wprawdzie w jego umowie, ale tak naprawdę Malakili został po prostu sprzedany jak niewolnik, a potem pospiesznie przetransportowany na tę nieprzyjemną, pustynną planetę.

Zanim piekące słońca Tatooine schowały się za horyzontem, Malakili zdążył stęsknić się za ponad tuzinem krwiożerczych potworów, którymi opiekował się od lat. Nikt tak naprawdę nie wiedział, jak to robił: jak opiekował się drażliwymi i łatwo wpadającymi w złość bestiami, które wystawiali na pokaz. Cyrkowe przedstawienia niewątpliwie przerodzą się w jatki teraz, gdy niedoświadczeni pogromcy przymierzają się do robienia tego, czym zasłynął Malakili. Bez niego Circus Horrificus czekały ciężkie czasy.

Kiedy jednak wysiadał z prywatnego śmigacza w cieniu wysokich wież położonej wysoko na skałach cytadeli, Malakili wyczuł wielkość i władzę kogoś, kogo zwano Huttem Jabbę.

Kamienne ściany pałacu drgały w piekącym skwarze bliźniaczych słońc. U podstawy jednej z wież najeżona kolcami krata uniosła się ze zgrzytem w górę, a z cienia wyszły dwie humanoidalne istoty. Jedna była ubrana w obszerną, czarną szatę, która podkreślała niezdrową bladość twarzy, błyszczące oczy i ostre zęby. Para długich, grubych głowoogonów zwisała z tylnej części jej głowy; jeden z nich udrapowany był wokół szyi istoty niczym garota. Twi'lek, zauważył Malakili, jeden z bezdusznych mieszkańców surowej planety Ryloth, znanej z tego, że zmienia sojuszników równie szybko, jak zmienia się kierunek wiatru na pustyni.

Obok Twi'leka stał mężczyzna o płaczliwie wykrzywionej, pobrużdżonej twarzy - na oko Korelianin - oszpeconej czy to dziobami po przebytej chorobie, czy może trudno gojącymi się bliznami po paskudnej ranie od blasterowego promienia. Włosy miał czarne, z wyjątkiem pojedynczego pasma siwizny, przypominającego odpaloną rozpaczliwie flarę.

- To ty jesteś Malakili - raczej stwierdził, niż zapytał Twi'lek. - Nazywam się Bib Fortuną a to mój zastępca, Bidlo Kwerve.

Kwerve skinął głową, ale szmaragdowe oczy przez cały czas przewiercały Malakilego, który aż się skurczył pod tym spojrzeniem. Po odpowiednim przeszkoleniu, pomyślał, ten facet mógłby zostać niezłym pogromcą potworów.

Malakili był muskularny, bo przez całe życie dźwigał ciężary i mocował się z silnymi zwierzętami. Od dobrego jedzenia, którego nie żałował sobie jako gwiazda Circus Horrificus, urósł mu brzuch, twarz miał szeroką i brzydką, a oczy duże i okrągłe jak księżyc w pełni. Malakili nie dbał jednak o wygląd zewnętrzny. Nie zależało mu na tym, by robić na kimkolwiek wrażenie. Dopóki powalał na kolana swoje potwory, dopóty nie musiał mieć niczego więcej.

- Jesteśmy porucznikami Jabby. To my cię wezwaliśmy - powiedział Bib Fortuna.

- Po co? - zapytał Malakili nieprzyjemnym tonem, opierając zaciśnięte pięści na szerokich biodrach.

- Mamy prezent dla Jabby - ciągnął Fortuna. - Na pustyni rozbił się statek przewożący specjalny ładunek... stworzenie, którego nikt, jak się wydaje, nie potrafi zidentyfikować. Obecny tu Bidlo Kwerve użył ośmiu granatów gazowych, żeby ogłuszyć potwora na tyle, byśmy go mogli przetransportować do jednego z lochów pod pałacem. - Twi'lek potarł szponiaste dłonie. - Jutro nasz pan ma urodziny. Ostatnio podróżował w interesach... kupił kantynę w Mos Eisley. Jutro jednak wraca i chcemy mu zrobić niespodziankę. Oczywiście, ze względu na rozmiary i temperament tego stworza chcemy, żeby miał własnego opiekuna.

- Ale dlaczego ja? - zapytał Malakili. Nie był przyzwyczajony do długich rozmów, toteż wypowiedziane przez niego słowa brzmiały jak nieprzyjemne stękanie. - Poprzednia praca bardzo mi odpowiadała.

- Wiem - powiedział Bib Fortuna, błyskając ostrymi jak igły zębami. - Przez siedem sezonów pracowałeś dla Circus Horrificus, szkoląc ich zwierzaki, i nie dałeś się zjeść. Pobiliś rekord, wiesz?

- Wiem - powiedział Malakili. - Lubię potwory. Bib Fortuna ze zgrzytem złączył szpony.

- A tego po prostu pokochasz!

Bib Fortuna i Bidlo Kwerve cofnęli się w wilgotny cień niższego poziomu lochów, podczas gdy Malakili zajrzał przez zakratowany otwór do jaskini. Był zafascynowany i zuroczony znajdującą się tam olbrzymią bestią.

Stwór warczał przy każdym oddechu. Jego paciorkowate oczy błyszczały nawet w ciemnościach. Poruszał się szybko, z gracją, której mogłyby mu pozazdrościć co bardziej zwinne i o połowę mniejsze zwierzęta.

- Wspaniały! - wykrztusił Malakili przez opuchnięte wargi. Czuł, jak zimne łzy niczym strużki lodu spływają mu po policzkach. Nigdy w życiu nie widział równie pięknego stworzenia.

- A nie mówiłem? - zapytał Bib Fortuna.

- Wydaje mi się... - Malakili wziął głęboki oddech, jakby bał się wypowiedzieć głośno swoje przypuszczenie. - Wydaje mi się, że to rankor. Słyszałem o nich, ale nawet nie marzyłem, że kiedykolwiek będę miał szczęście zobaczyć takiego na własne oczy.

- Możesz go nie tylko oglądać - powiedział Bib Fortuna. - Jest twój. Masz się nim opiekować.

Malakili poczuł, jak wzbiera w nim duma. Rozpromieniony spojrzał na poruczników.

- Zrobię to najlepiej, jak potrafię.

Hutt Jabba, opasły boss przestępczego świata Tatooine, wiedział wszystko, więc nie było sposobu, by utrzymać przed nim cokolwiek w tajemnicy - nawet urodzinowy prezent-niespodziankę. Mimo to jego dwaj porucznicy i stojący za nimi Malakili, składając Jabbie urodzinowe życzenia, zachowywali się, jakby przedstawiali mu niezwykle znaleźisko.

- Na prezent dla ciebie, o wielki Jabbo - powiedział Bib Fortuna - znaleźliśmy wspaniałe i egzotyczne zwierzę, podstępного potwora zwanego rankorem. Oto jego opiekun.

Wyciągnął szponiastą dłoń w kierunku Malakilego, który nadal miał na sobie jedynie przepaskę biodrową i udrapowaną, czarną czapę. Wymył dokładnie pierś i brzuch, żeby jak najlepiej zaprezentować się nowemu panu.

Jabba pochylił się do przodu, mrugając wielkimi oczami. Językiem grubym jak wilgotne ludzkie udo przejechał po napuchniętych wargach, pozostawiając na nich nową warstwę śluzu. Jego ruchoma platforma podjechała do przodu, na samą krawędź zakratowanego otworu w podłodze.

Tam w dole rankor przechadzał się po swojej wilgotnej jaskini, wydając odgłosy jak rozdzierany mokry papier. Malakili zauważył, że zarówno Bib Fortuna, jak i Bidlo Kwerve wyraźnie się rozluźnili, gdy spostrzegli, że Jabba jest zadowolony. Zebrawszy się na odwagę, Bidlo Kwerve wystąpił do przodu i przemówił; Malakili po raz pierwszy usłyszał, że pokryty bliznami Korelianin w ogóle się odzywa.

- To ja go złapałem, o wielki Jabbo. - Miał wysoki i skrzeczący, a przy tym dość płaczliwy głos. Nic dziwnego, że przez większość czasu milczał.

Jabba wyprostował się nagle, wyraźnie zaskoczony. Bib Fortuna zamachał gwałtownie rękami, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Tak, panie, Bidlo Kwerve mówi prawdę, ale to ja zająłem się... wszystkimi szczegółami administracyjnymi. Sam pan wie, jak bardzo te rzeczy mogą być skomplikowane.

Jabba znów się pochylił, by przyjrzeć się rankorowi. Westchnął z zadowoleniem. Bib Fortuna wyjaśniał mu tymczasem, jak działa zapadnia kraty, której włącznik zainstalował przed podium, na którym wypoczywał Jabba, wiedząc dobrze, jaką przyjemność sprawi Jabbie strącanie wrogów do jamy rankora. Sprośny Okruszek, wrzaskliwy kowakiański małpojaszczur usadowiony na ramieniu Jabby, zachichotał i zaczął trajkotać, czasem powtarzając cudze słowa, czasem składając własne, bezsensowne zdania.

- Jestem w najwyższym stopniu zadowolony - powiedział Jabba. Malakili nadstawił uszu, ale zachował beznamiętny wyraz twarzy. Wiele lat temu nauczył się posługiwać huttańskim dialektem, jako że większość z najbardziej żądnych krwi widzów, którzy odwiedzali Circus Horrificus, stanowili Huttowie o zimnych sercach, rozkoszujący się cierpieniem innych.

- Każdego z was nagrodzę nad wyraz hojnie - zapewnił Jabba. - Jeden z was zostanie nowym majordomusem, moją prawą ręką będzie zarządzał pałacem podczas mojej nieobecności. Drugi... otrzyma jeszcze wspanialszą nagrodę, która zostanie zapamiętana po wsze czasy.

Bib Fortuna uklonił się, kreśląc łuk swymi głowoogonami. Wydawał się nadal spięty, choć Malakili nie miał pojęcia dlaczego. Bidlo Kwerve za to wyglądał na zadowolonego i rozluźnionego.

- Panie - powiedział Bib Fortuna. - Zadowolę się stanowiskiem majordomusa. Jak zauważył Bildo Kwerve, to on najwięcej ci się przysłużył. Proszę, pozwól, by on otrzymał większą nagrodę.

Bidlo Kwerve spojrzał na niego podejrzliwie, mrugając lodowato-zielonymi oczami. Jabba pokiwał głową.

- Dobrze - powiedział. Kwerve zrobił krok do przodu i znów popatrzył na Biba Fortunę.

- Co on mówi? Teraz Malakili zrozumiał, dlaczego przez twarz Korelianina przebiegły nerwowe tiki. Bidlo Kwerve nie rozumiał po huttańsku!

Bib Fortuna zachęcił go gestem, by podszedł bliżej Jabby, sam zaś cofnął się o krok. Kwerve uniósł dziobaty podbródek i stanął przed Jabbą, czekając na swoją nagrodę.

- Zostaniesz pierwszą ofiarą którą dam na pożarcie memu rankorowi - powiedział Jabba. - Będę patrzył, jak z nim walczysz, i zapamiętam to po wsze czasy.

Sprośny Okruszek rozjazgotał się szaleńczo. Grupa dworaków Jabby wsunęła się do sali tronowej i patrzyła uważnie. Bidlo Kwerve spojrzał na Biba Fortunę; było jasne, że nie zrozumiał słów Jabby.

Podczas gdy Korelianin patrzył w bok, Jabba wcisnął guzik, który uruchamiał zapadnię. Podłoga usunęła się spod stóp Bidla Kwerve.

Jeszcze długo potem wszyscy zgadzali się, że Bidlo Kwerve dał spektakularny pokaz walki.

Jakimś cudem Korelianin zdołał ukryć pod zbroją kieszonkowy blaster, co było zabronione w obecności Jabby. Bardziej jednak zdumiała i zachwyciła widzów bezwzględna dzikość rankora, gdy pożerał swój pierwszy posiłek od czasu pojmania na Tatooine.

Malakili przyglądał się zwycięskiej walce rankora, czując wokół serca ciepło ojcowskiej niemal dumy.

Stomatologia ogólna

W ciągu następnych kilku miesięcy Jabba zachwycał się swoim nowym ulubieńcem, wymyślając dla niego coraz to nowe ofiary i okazje do walki.

Bib Fortuna awansował coraz wyżej w przestępczej organizacji Hutta. W przeciwieństwie do niego Malakili trzymał się niższych poziomów pałacu, wdając się w rozmowy tylko z niewielką grupką mieszkańców, którzy podobnie jak on woleli wilgotny chłód i anonimowość podziemi od pozostawiania na widoku Jabby i jego zbirów.

Podczas wypraw w poszukiwaniu dodatkowego jedzenia dla swojego podopiecznego Malakili poznał szefa kuchni Jabby, Porcellusa, utalentowanego kucharza. Porcellus żył w ciągłym strachu, że przygotowane przez niego potrawy nie spodobają się Jabbie, co pociągnęłoby za sobą nieuchronny koniec zarówno jego kariery kulinarnej, jak i życia. Malakili wrzucał ochłapy świeżego, ociekającego krwią mięsa do otworów w jaskini rankora, który powoli zaczynał go akceptować jako swojego opiekuna.

Dla tych, którzy chcieli przypodobać się Jabbie, wyszukiwanie nowych przeciwników dla rankora stało się wkrótce rodzajem gry. Początkowo Malakili przyglądał się tym próbom z dumą i wiarą w zwycięstwo swojego podopiecznego, mając pewność, że ten krwiożerczy stwór wcześniej czy później pożre ofiarę, ale po pewnym czasie zorientował się, że Jabba nie ceni rankora tak, jak zdaniem Malakilego na to zasługiwał. Dla Hutta była to tylko rozrywka, a gdyby znalazł potwora, który zdołałby pokonać rankora, byłby równie zadowolony z nowej zabawki. Hutt nie miał dla tej pięknej bestii ani cienia współczucia. Bawiło go jedynie poddawanie go kolejnym próbom; nie dbał o to, że kolejny test może się zakończyć klęską rankora.

Pierwsze obrażenia rankor odniósł, gdy Jabba wrzucił do jamy trzy karidańskie arachnidy bojowe. Miały po dwanaście nóg i karmazynowy pancerz upstrzony brązowymi błyszczącymi plamami niczym cienką warstwą diamentowego pyłu. Ich ciała pokrywały ostre jak igły kolce, w takiej ilości, że trudno było powiedzieć, gdzie kończyły się ostrza, a zaczynały odnóża. Nietrudno jednak było rozpoznać ich szczęki - zastrzone dźwignie trzykrotnie większe niż podłużna głowa, poruszające się z siłą zdolną rozerwać poszycie opancerzonego transportowca.

Kiedy wrota przedsionka otwarły się i trzy wściekłe arachnidy bojowe rzuciły się do przodu przy wtórze grzmotu trzech tuzinów nóg, Malakili i rankor, jakby łączyła ich fizyczna więź, obaj szarpnęli się do tyłu zaskoczeni. Nad nimi tubalny śmiech Jabby - hu, hu, hu! - wibrował nad kratą obserwacyjną, przebijając się ponad wrzawą rechotów i wycia uśmiechniętych głupkowato zbirów stłoczonych wokół kraty, by okazać swoją lojalność.

Rankor pochylił się, rozstawił łapy, zamrugał i ryknął, wyzywając przeciwników do walki. Czekał na atak.

Trzy arachnidy bojowe ruszyły do przodu w pozornej ciszy, ale Malakilego bolały uszy od przeciągłej wibracji, jakby arachnidy porozumiewały się między sobą dźwiękami powyżej granicy

słyszalności.

Jeden z arachnidów podbiegł prosto pod nogi ogromnej bestii. Reagując zbyt wolno na ten zaskakujący manewr, rankor machnął po podłodze szponiastą pięścią, ale arachnid zdołał przebiec za jego plecy.

Korzystając ze zdezorientowania rankora, dwa pozostałe podskoczyły na skórzastych nogach, atakując kolcami. Rankor odrzucił jednego łapą, ciskając nim o ścianę z taką siłą, że jego pancerz pękł, a niechronione organy wewnętrzne wypłynęły na zewnątrz.

Rankor jednak zawył z bólu i uniósł przednią łapę do góry. Malakili zobaczył ciemne plamki i ściekającą krew w dwóch miejscach, gdzie kolce arachnida przebiły na wylot ciało rankora.

Drugi arachnid bojów zaatakował od tyłu nogę rankora, gdzie napięte mięśnie przeżyły się jak durastalowe kable. Potężne szczękoczułki wbiły się w ciało i zacisnęły z całą bezmyślną mechaniczną siłą, jaką arachnid zdołał z siebie wykrzesać.

Warczący rankor pochylił się, próbując podobnymi do łopat łapami rozewrzeć zaciśnięte szczęki, ale nie zdołał uwolnić nogi, chwycił więc za głowę przeciwnika.

Trzeci z arachnidów wskoczył wtedy od tyłu na pokryte wyrostkami plecy bestii. Zaatakował je ostrymi odnóżami, wbijając kolce i znacząc skórę krwawym wzorem.

Z rykiem dezorientacji i bólu rankor wyprostował się, zatoczył do tyłu i rzucił plecami na kamienną ścianę. Uderzał o nią raz po raz, krusząc twardy pancerz arachnida wczepionego w jego plecy, póki przeciwnik nie zamienił się w podrygującą odnóżami miazgę, rzuconą na zasłaną odpryskami jego pancerza kamienną podłogę.

Pozostający przy życiu arachnid nie puszczał żylastej nogi rankora. W końcu potwór, widząc otepiałą z bólu, który odbierał mu zdolność myślenia, chwycił za potężne szczękoczułki i oderwał korpus od głowy przeciwnika. W miejscu, gdzie łączył się z szyją, zwisały poszarpane, czerwone zwoje nerwowe. Głowa jednak nadal wgryzała się szczęko-czułkami w nogę rankora, miażdżąc ją w bezmyślnym odruchu.

Aby dać ujście swojej wściekłości, rankor uniósł kolczasty, opancerzony korpus, podsunął do szablozębnej paszczy i zacisnął na nim szczęki, przegryzając się przez najeżone igłami ciało arachnida. Jasnocynobrowa ciecz trysnęła z rozerwanego, plamistego brzucha ofiary, zmieszana jednak z posoką innej barwy - krwią samego rankora. Przegryzając ciało ostatniego wroga, dosłownie rozdarł sobie paszczę na strzępy.

Malakili zaczął mamrotać z rozpaczy. Rankor był ranny, krwawiło wiele otwartych ran. Nie przestając odruchowo gryźć najeżonego kolcami arachnida, oderwał w końcu od łydki głowę z zaciśniętymi na niej szczękoczułkami, wrywając jednocześnie krwawiący fragment własnego ciała.

Malakili chciał coś zrobić, chciał wbiec do środka i ulżyć jakoś rankorowi w jego bólu, ale się nie odważył. Potwór wpadł w furję i nie potrafiłby odróżnić wroga od przyjaciela. Malakili gryzł palce, zastanawiając się, co ma robić, podczas gdy rankor stał okrwawiony i ryczał.

Nagle do jamy wpadły z głuchym dudnieniem cztery kanistry, z których zaczął się wydobywać gaz oszałamiający. Nieprzenikalne arkusze blachy zasłoniły okna i wyloty szybów wentylacyjnych, żeby gaz się nie ulotnił, póki rankor nie zostanie dostatecznie oszołomiony.

Malakili usłyszał za sobą kroki, odwrócił się i zobaczył Gonara, jednego z przemykających chyłkiem ludzi, którzy nie mogli się zdecydować, czy lepiej trzymać się Malakilego i obserwować rankora, czy też pozostać w sali tronowej, żeby zarobić punkty u Jabby.

- Jabba chce dostać skorupy tych arachnidów - powiedział Gonar, kiwając głową jak marionetka.

Nos miał zadarty i płaski jak Gamorreanin, a rude włosy pozwijane w tłuste loki, jakby ułożył je na krew.

Oszołomiony Malakili chwycił się ręką za brzuch. Zbierało mu się na wymioty.

- Co?

- Ich pancerze - wyjaśnił Gonar. - Bardzo twarde, prawie jak diament. Arachnidy bojowe hoduje się dla chityny, a nie tylko dla ich umiejętności bojowych. Nie wiedziałeś?

Kiedy w końcu rankor stracił przytomność, gaz usypiający wypompowano, a wielkie wrota zakończone potężnymi zębiskami, do tej pory schowanymi w otwory w podłodze, uniosły się, wpuszczając potykających się gamorrekańskich strażników, by wydobyli szczątki arachnidów.

Malakili przepchnął się między nimi i podbiegł do stękającego i chrapiącego ulubieńca. Za pomocą hydraulicznego kołowrotu Gamorreanie rozwarli potężne szczęki rankora, otwierając uzbrojoną w kły paszczę, by usunąć spomiędzy nich pancerz arachnida.

Zdaniem Malakilego strażnicy nie byli zbyt bystrzy i najpierw brali się do roboty, a dopiero potem myśleli. Nie przejmowali się też bynajmniej stanem rankora, gdy wrywali z jego paszczy pancerz arachnida, rozdzierając jeszcze głębiej jego rany.

Malakili krzyknął i rzucił się w ich stronę; wyglądał w tym momencie jeszcze groźniej niż sam rankor. Gamorreanie kwiknęli ze strachu, nie mając pojęcia, dlaczego na nich wrzeszczy, ale że zwykle i tak nie rozumieli o co chodzi, nie oponowali, gdy chwycił cenny pancerz i kazał im się odsunąć od swojego ulubieńca.

Potem polecił Gonarowi przynieść kilka wielkich beczek maści leczniczej trzymanej w pałacowym szpitalu. Rudowłosy mężczyzna wkrótce wrócił, tocząc jedną z nich przed sobą. Kiedy ją otworzył, ostry zapach chemikaliów w ograniczonej przestrzeni komory rankora zaatakował ich nosy ze zdwojoną siłą.

Malakili poczuł, że kręci mu się w głowie, nie tylko od woni leczniczej substancji, ale i resztek gazu usypiającego, które nadal były w powietrzu. Niedobrze mu też było na myśl o tym, co przytrafiło się jego ulubieńcowi. Nabrał w dłonie wilgotnej, lepkiej mazi i zaczął rozsmarowywać ją na ranach w skórze rankora. Rozejrzał się dookoła i zauważył płaską, nadgryzioną przez rankora podczas jednego z wcześniejszych posiłków kość łopatki. Posłużył się nią jako szpatułką, by delikatnymi pociągnięciami nałożyć substancję dezynfekującą na rany ulubieńca.

Gonar pomagał mu niechętnie, rozdarty między strachem a przemożną chęcią podejścia bliżej potwora. Opatrzywszy największe obrażenia zewnętrzne, Malakili zajął się poharataną jamą ustną rankora. Posłał Gonara po parę szczypiec, którymi chwycił odłamki twardej jak diament chityny, wbite niczym odłamki szkła między kły rankora. Stał wewnątrz jego paszczy, ciągnąc i wrywając zakleszczone kawałki pancerza.

Gonar wpatrywał się w niego z przerażeniem, ale Malakili nie miał czasu na zamartwianie się. Rankor cierpiał. Gdyby te odłamki pozostały w jego paszczy, w rany mogłaby się wdać infekcja, przez co stworzenie stałoby się jeszcze bardziej nieznośne.

Wstrętny odór buchał z gardła potwora, który zaczął chrapać coraz ciszej. Malakili znalazł pogruchtane korzenie dwóch gnijących zębów, które musiały pęknąć podczas jednej z wcześniejszych walk. Chwycił je mocno i wyrwał. Wyszły łatwiej, niż przypuszczał, a rankor chyba nie odczuł ich braku - kłów w jego paszczy było tyle, jakby na miejsce jednego straconego wyrastały dwa nowe.

Potwór poruszył się, mrugając paciorkami czarnych oczu. Nozdrza zadrgały, gdy głęboko

wciągnął powietrze. Malakili wyskoczył z jego paszczy tuż przed tym, jak zamknęła się z głośnym trzaskiem.

- Obudził się! - wrzasnął Gonar i rzucił się w stronę niskich drzwi. Działanie gazu usypiającego ustępowało w alarmującym tempie.

Malakili upadł na plecy, a potwór doskoczył do niego. Przez chwilę kołysał się niepewnie, jakby nie wiedział, co dalej robić. Malakili uznał, że to pewnie ostatnia chwila, by pomknąć w stronę drzwi.

Rankor pochylił łeb, podpierając się szponiastymi przednimi łapami. Prychnął i spojrzał na niego, najwyraźniej nadal cierpiąc męki.

Malakili zamarł, nie spuszczając wzroku z ulubieńca. Jeśli pobiegnie, nieuchronnie przyciągnie jego uwagę i skończy jako kolejna przekąska. W duszy modlił się, żeby potwór rozpoznał go i oszczędził.

Rankor stęknął i pochylił się jeszcze niżej, by powąchać leczniczą maść rozsmarowaną na poharatanych nogach. Uniósł cuchnącą medykamentem łapę ku płaskim nozdrzom i znów powąchał, przyglądając się uważnie nasmarowanym i zabandażowanym ranom w miejscach, gdzie trafiły kolce arachnida bojowego. Warknął, łypiąc na Malakilego, po czym rozejrzał się po swej jamie, jakby czegoś szukał.

Malakili patrzył jak zahipnotyzowany, zmartwiały z zachwytu i przerażenia. Pot wystąpił na jego brudną skórę, a serce waliło mu niczym taranujące się nawzajem gwiazdne okręty.

I wtedy właśnie rankor znalazł to, czego szukał: długą pieszczel stworzenia, której nie skończył ogryzać. Nadal patrząc z ukosa na człowieka rozciągniętego u jego stóp, chwycił kość i przysiadł pod ścianą, wbijając zęby w okrwawiony gnąk, jak gdyby nigdy nic, choć paszcza nadal musiała go bardzo boleć.

Malakili stał i długo, długo patrzył na swojego pupila, zanim w końcu cichutko się wycofał.

Rekreacja

Malakili nawet nie próbował pytać, czy mógłby wyprowadzić rankora z pałacu, by ten mógł pohasać po bezkresnej pustyni, rozprostować muskularne łapy i nacieszyć się otwartą przestrzenią. Uznał, że nikt nie będzie oponował, jeśli zobaczy towarzyszące mu wielotonowe cielsko uzbrojone w niezliczone kły i pazury.

Malakili wystarczająco długo przebywał w otoczeniu niebezpiecznych zwierząt, by wiedzieć, że tym, czego najbardziej w życiu chcą, pragnieniem, które zawsze kołacze im się w ich małych, nieustannie napiętych mózgach, gdy krążą ustawicznie od końca do końca klatki, której nienawidzą, jest prosta myśl: wyjść, wyjść, wyjść!

Malakili czekał, aż skończy się pora największego skwaru - aż oba słońca miną południe. O tej porze Jabba i jego nadskakujący dworacy zwykle mieli sjęstę, nie mając innej ochrony przed morderczym upałem.

Z głównego poziomu garażu wybrał jednoosobowy piaskowy ślizgacz i zaparkował pojazd przed ciężkimi wrotami u podstawy cytadeli. Wrota te otwarto dokładnie raz - gdy Bidlo Kwerve i Bib Fortuna wciągnęli ogłuszonego rankora do jego pieczary - by następnie zamknąć je na potężne zamki od zewnątrz i od środka. Malakili użył niewielkich ładunków wybuchowych, by wysadzić zewnętrzne zamki. Metalowe mechanizmy wyparowały srebrnym obłoczkiem. Echo eksplozji sprawiło, że drobne stworzenia gnieźdzące się w rozpadlinach, rozpierzchły się na wszystkie strony.

Malakili stał, nasłuchując, aż w pałacu ponownie zapanuje senna cisza, a potem wszedł do środka i opuścił się na poziom lochów. Stał przed klatką rankora, trzymając w ręku niewielkie wibroostrze dużej mocy, specjalnie dostrojone do częstotliwości metalu. Ostrze mogło bez trudu przeciąć wewnętrzne zamki blokujące wrota; potrwa to dłużej niż w przypadku ładunków wybuchowych, ale nie chciał, by eksplozje rozdrażniły rankora.

Gonar - kościsty, spięty mężczyzna kręcący się zwykle w lochach - wychynął nagle z cienia. Malakilemu zdecydowanie się nie podobało, że chudzielec stale go nachodził, obserwował, śledził.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Gonar. Jego tłuste, kręcone rude włosy wyglądały jak świeżo naoliwione, a cera miała kolor zepsutego mleka.

- Wybieramy się na wycieczkę. - powiedział Malakili. - Na mały wypad. Gonar wybałuszył oczy, które zrobiły się wielkie i okrągłe jak wrota towarowe.

- Oszalałeś? Chcesz wypuścić rankora na wolność?

Malakili zachichotał. Pomysł wycieczki bardzo mu przypadł do gustu. Poklepał się po okrągłym brzuchu.

- Chyba obu nam przyda się trochę ruchu.

Otworzył drzwi klatki i wsunął się do środka, zamykając je ze szczękiem za sobą. Gonar chwycił za pręty kraty i patrzył, ale nigdy nie odważyłby się wejść za Malakilim do pieczary potwora, gdy ten był przytomny.

Widząc, że ktoś zakłóca jego samotność, rankor zerwał się na nogi i warknął przeciągle, ale Malakili nie zwracał na niego uwagi. Rankor przyglądał mu się zimnymi, błyszczącymi oczami, z których przeziarała inteligencja. Potwór powoli przyzwyczaił się do towarzystwa Malakilego i nauczył się go tolerować. Ostatnimi czasy wyglądało nawet, jakby odwiedziny opiekuna sprawiały mu przyjemność. A przynajmniej na to liczył Malakili.

Odważnie okazując ufność, Malakili ruszył przez usianą kośćmi podłogę i przeszedł pomiędzy kostropatymi łapami potwora, by dostać się do ściany, w której osadzone były pokryte śluzem wrota.

Pochylił się nad wibroostrzem, dostroił częstotliwość, zwiększył gęstość energii i wbił ostrze w metalowy zamek. Prysnęły iskry i krople stopionej durastali, ale Malakili nie zważał na to, póki zamek nie puścił.

Sterowniki zamków zostały odłączone, ale Malakili podłączył nowe ogniwo energetyczne i zamknął obwód. Zgrzytając ciężkie metalowe wrota z trudem uniosły się w górę, wpuszczając smugę słońca do mrocznej pieczary. Gorące pustynne powietrze wdarło się do środka, rozpraszając wilgotny chłód, aż drzwi z ostatnim jękiem zatrzymały się w górze, otwierając się na pustynię.

Rankor mrugał oczami. Rozłożył szeroko przednie łapy, rozpostarł szponiaste członki, jakby wielbił słońca i świeże powietrze. Stał tak, zadziwiony i zmieszany, patrząc na Malakilego, niepewny, co dalej. Malakili gestem zachęcił go do wyjścia.

- Wszystko w porządku - powiedział kojącym głosem. - Idź, wszystko będzie dobrze. Za jakiś czas wrócimy.

Rankor ruszył ku światłu, kuląc się przed blaskiem. Szedł zgarbiony, kołysząc przypominającymi łopaty łapami na boki, szorując pazurami po podłodze - i nagle wyprostował się, wyszedł prosto w ciepło i blask, wydając z siebie ryk bezbrzeżnej radości. Potężne pazury zaiskrzyły w podwójnym słońcu.

Jakby nagle spuszczonej z łańcucha, ruszył przed siebie długimi susami, rozprostowując do końca tylne łapy, balansując przednimi, by utrzymać równowagę. Nieregularne plamy na zielonkawej skórze wydawały się stapiać z pustynnymi skałami.

Malakili przez kilka sekund przyglądał się rankorowi, ciesząc się jego radością, a po chwili wskoczył do piaskoślizgacza. Uruchoił przerywający, zacinający się silnik i ruszył za ulubieńcem.

Rankor wdrapał się na szczyt wypiętrzenia skalnego, bąbla zastygłej magmy. Kołysząc głową, zaryczał, patrząc w niebo, uniósł olbrzymie pazury, a potem zeskoczył na dół, by pobiec dalej wzdłuż wyszczerbionego, nachylonego klifu.

Nad nimi, na wieżach pałacu Jabby, błysnęły sygnały alarmowe. Malakili usłyszał odległe, skrzeczące, zaniepokojone głosy strażników; w tej chwili nie zwracał sobie jednak nimi głowy. Za jakiś czas wróci z rankorem. Pokaże im, że wszystko jest w porządku.

Kiedy podleciał zbyt blisko rankora bucącym ślizgaczem, potwór odruchowo zamachnął się szponiastą łapą, jakby Malakili był męczącym owadem. Malakili zawrócił i kilkakrotnie przeleciał przed rankorem, by ten miał czas go rozpoznać. Potwór cofnął się, zwiesił głowę, jakby przepraszał za to, co zrobił, a potem ruszył dalej na pustynię.

Sadził długimi susami po gorącej, spękanej ziemi, ekstatycznie przeskakując wypiętrzenia skalne. Był już daleko od pałacu Jabby, ale nie uciekał - po prostu rozkoszował się wolnością.

Serce Malakilego wypełniła radość, choć wstydził się takiej emocjonalnej słabości. Łzy spływały mu strużkami po policzkach. Był to chyba jeden z najbardziej pamiętnych dni w jego życiu.

Rankor biegł ku linii rdzawych szczytów, których różnobarwne warstwy ukazywały burzliwą

geologiczną przeszłość Tatooine. Poszarpane pasmo górskie rozłożyło się jak wachlarz, pocięte licznymi kanionami przypominającymi ostre jak brzytwa szczęki, skalistymi rozpadlinami, wyłobionymi przez wodę z dawno zapomnianych strumieni. Widząc cień i skalne schody, po których dałoby się wspiąć na górę, potwór popędził w stronę cienistych kanionów.

Malakili wcisnął akcelerator ślizgacza, ale zamiast przyspieszyć, niewielki pojazd zaczął szarpać i dławić się, jak chory krztuszący się własną krwią. Ślizgacz opadł pod ciężarem Malakilego, który przytrzymał się kierownicy dłońmi nagle mokrymi od potu.

Pałac Jabby wznosił się w oddali za jego plecami - posępna cytadela przypominająca surowego ojca, który pochyla się nad niesfornym dzieckiem.

Nieświadom niczego rankor wskoczył do jednego z pobliskich kanionów i zniknął w cieniu.
- Zaczekaj! - krzyknął Malakili. W gardle mu zaschło, jakby pustynne słońce wysssało z niego całą wilgoć. Walcząc z pojazdem, ustawił go przodem w kierunku pylistej pustyni i ostrych zębów skał. Jakimś cudem ślizgacz nadal unosił się nad ziemią, sunąc zrywami, aż dotarł na skraj wznoszącej się ściany. Malakili tak mocno skoncentrował się na utrzymaniu ślizgacza w powietrzu, że nie był już pewien, w którym z wąskich kanionów skrył się rankor.

Jęknął, gdy ślizgacz w końcu rąbnął o ziemię. Siła uderzenia wyrzuciła go na ostry żwir. Podniósł się i zajrzał w zapraszający cień kanionów. Skwar dwóch bliźniaczych słońc lał się na niego z góry niemiłosiernie.

Ruszył niezgrabnie przez osuwający się żwir, zostawiając ślizgacz z tyłu. W końcu dotarł do pokrytego aluwialnym pyłem ujścia kanionu i ruszył po glinie w cień. Przy każdym kroku słyszał grzechot ocierających się o siebie kamieni - jedyny dźwięk, jaki rozbrzmiewał w otaczającej go niewiarygodnej ciszy.

Nie miał pojęcia co robić. Nie dałby rady iść na piechotę przez całą drogę do pałacu Jabby, choć może należało podjąć taką próbę po zapadnięciu zmroku. Mimo trudnej sytuacji, jego główną troską było teraz odnalezienie rankora. Gdyby zgubił potwora, Jabba bez wątpienia wymyśliłby dla niego całą serię wymyślnych i niewymownie bolesnych tortur. Lepiej już położyć się na ziemi i dać się upiec pustynnemu słońcu.

Nie mógł jednak uwierzyć, że rankor tak beztróska go zostawił. Tyle przecież razem przeszli! Ruszył w górę wyschłego koryta rzeki i szedł blisko godzinę, szukając śladów rankora, ale nic nie zobaczył, nic nie usłyszał, tylko kilka kamieni osuwających się w górze pomiędzy skałami.

W końcu pod stopami poczuł zaskakująco miękkie i drobny żwir. Przytłaczający cień zniknął, a Malakili znalazł się w wąskiej szczelinie między skałami - w miniaturowym kanionie o wygładzonych ścianach i ostrych nawisach nad głową.

Przyspieszył, marząc o tym, by odnaleźć rankora. Muszą razem stawić czoło temu, co miała im przynieść przyszłość.

- Halo! - krzyknął. Żwir chrzęścił mu pod nogami, gdy niezgrabnie szedł przed siebie. - Tu jestem, mój mały!

Kiedy wyszedł z rogów, wprost na niego wyskoczył wyjący demon - wielkości człowieka, ale z twarzą owiniętą bandażami, ustami zakrytymi przez filtr piaskowy i oczami wyzierającymi z metalowych tulejek.

Pustynni Ludzie! Jeźdźcy Tusken!

Demon trzymał w ręku długi, ostry kostur gaffi, którym groźnie wymachiwał. Haczyk na końcu kostura podrygiwał, gdy Pustynni Człowiek wyzywał Malakilego do walki.

Malakili niepewnie dał krok do tyłu i wtedy zobaczył dwóch innych Pustynnych Ludzi obok pokrytych wełnistą sierścią banthów - olbrzymich, mamucich bestii z zakrzywionymi rogami wokół uszu. Dwaj dosiadający ich Tuskenowie zawyli, na co banthy zareagowały, jakby łączyła je z jeźdźcami telepatyczna więź - natarły prosto na Malakilego.

Najbliższy z Tuskenów zeskoczył ze skały, wymachując haczykowatym gaffi.

Malakili nie miał broni. Szarpnął się do tyłu, ale wiedział, że nie ucieknie. Pochylił się, chwycił kamień i cisnął nim w przeciwnika, ale pocisk minął go daleko.

Sapiąc i prychnając, banthy sadziły w jego stronę. Malakili upadł na ostre kamienie, przekonany, że za chwilę go rozdepczą. Wystarczą sekundy, by rozgnieść go na miazgę.

Nagle, przy wtórze dudniącego ryku, który oberwał kamienie od gładkiej ściany klifu, z nawisu wysoko nad Malakilim zeskoczył rankor. Z szeroko rozpostartymi pazurami rzucił się na prowadzącego banthę, przygniatając go do ziemi.

Bantha prychnął i ryczał, i zupełnie nie rozumiał, co się stało. Szponiastymi łapami o mięśniach jak z durastali rankor chwycił za rogi sterczące po obu stronach głowy banthy i przekręcił ją jakby kręcił kołem otwierającym pancerne grodzie. Bantha szarpnął głową na boki, a jego kręgosłup pękł z trzaskiem, gdy rankor skrzył mu kark.

Jednym płynnym ruchem łapy rankor zmiotł z jego grzbietu Jeźdźca Tusken, który upadł na ziemię.

Drugi z jeźdźców zawył wyzywająco, wyciągnął w górę pałkę gaffi i natarł na rankora. Jego bantha szarżował z głową nisko opuszczoną, atakując taranem wygiętych rogów, ale rankor ze zwodniczą prędkością usunął się na bok i porwał Jeźdźca Tusken z jego grzbietu. Uniósł ofiarę do ogromnej paszczyki, wepchnął ją do środka, zamknął pysk i zaczął miażdżyć nieszczęśnika ostrymi jak sztylety kłami. Połknął pechowego napastnika w dwóch kęsach.

Pozbawiony jeźdźca bantha wpadł w szal. Rankor chwycił w łapy olbrzymi głaz, który oderwał się od ściany klifu przed wiekami.

Malakili wstał. Pierwszy z Jeźdźców Tusken odwrócił obandażowaną twarz, by przyglądać się walce bantha z rankorem, i zapomniał o Malakilim. Obserwując rankora, Malakili wyczuwał jego wściekłość. Przeniósł wzrok na Tuskena, który groził mu kosturem gaffi. Schylił się i podniósł znacznie mniejszy skalny odłamek, który mógł być jednak równie zabójczy.

Bantha zaryczał i spróbował staranować go głową, ale rankor trzymany w łapach odłamkiem piaskowca cisnął z całej siły w kudłatą czaszkę mamuta; rogi banthy rozprysły się jak złamane słomki, gruba czaszka pękła. Bantha stęknął. Siłą rozpędu leciał do przodu, ale po chwili znieruchomiał - kupa kłaków na usianym żwirem skalnym podłożu.

Ostatni z żywych Tuskenów, słysząc za sobą jakiś dźwięk, odwrócił się i uniósł gaffi w tej samej chwili, gdy Malakili opuścił kamień.

Owinięta szmatami czaszka pękła; brudne bandaże szybko przesiąkły rozkwitającą gwałtownie plamą jasnoczerwonej krwi.

Malakili czuł, jak serce wali mu w piersiach, gdy patrzył na pobojuwisko. Rankor zawył triumfalnie i spojrzał na Malakilego wzrokiem pełnym nieskrywanego zadowolenia. Potem przykucnął nad krwawym truchłem powalonego banthy i zaczął jeść.

Zmierzchało już, gdy rankor ruszył truchtem przez piaski, z Malakilim wczepionym w suchą, kostropatą skórę na karku. Potwór wiedział, gdzie jest jego dom, i zmierzał prosto ku czeluściom lochów w pałacu Jabby. Gdy tak biegł, zgarbiony, odrzucany potężnymi łapami, piach strzelał fontanną w górę.

Rankor całą pierś miał pokrytą skrzepłą krwią ofiary. Wydawał się zdziwiony, że Malakili nie pożarł Jeźdźca Tusken, którego zabił, ale jego opiekun jakoś nie miał apetytu.

Zastanawiał się, jak wyjaśni wszystko Hurtowi Jabbie.

Przekąska w cieniu szczęk

Jabba, jak się okazało, nie przejął się zbytnio, że Malakili zabrał rankora na wypad na pustynię - był jednak wściekły, że przegapił jego tytaniczną walkę z banthami.

Malakili promieniał ojcowską dumą, rozwodząc się nad dzielnością i agresywnością potwora. Bib Fortuna szepnął coś do ucha Jabby. Hurt wyprężył się na swoim podium, zelektryzowany jego sugestią. Czy nie byłby to wspaniały pojedynek, gdyby wystawić rankora przeciwko kraytońskiemu smokowi?

Legendarne pustynne smoki z Tatooine były olbrzymie, rzadko spotykane i budziły grozę większą niż inne stworzenie w tym sektorze galaktyki. Nigdy jeszcze nie schwytano żywego osobnika, ale nagroda, którą wyznaczył Jabba - sto tysięcy kredytów gwarantowane każdemu, kto dostarczyłby mu żywy okaz - wystarczyła, by zachęcić największych śmiałków. Nawet Boba Fett przysiągł, że zostanie w pałacu Jabby i zastanowi się, jak poradzić sobie z podobnym wyzwaniem.

Malakili był przekonany, że komuś w końcu się to uda i z przerażeniem czekał na zapowiadany pojedynek. Choć był dumny z umiejętności swojego podopiecznego, wiedział, jak strasznymi stworzeniami są kraytońskie smoki.

Jabba zaplanował, że zbuduje specjalny amfiteatr w pustynnej niecce, którą było widać z najwyższych wież. Tam kraytoński smok i rankor staną oko w oko i rozszarpia się na strzępy. Nawet gdyby rankor zdołał pokonać niezwycięzonego smoka, Malakili podejrzewał, że sam odniósłby przy tym groźne, może nawet śmiertelne rany.

Nie mógł do tego dopuścić.

Głęboko na najniższych poziomach lochów pchał przed sobą wyładowany wózek pełen ociekającego krwią mięsa, przepiłowanych kości i resztek z przylegającej do kuchni Jabby rzeźni. Porcellus, szef kuchni, odłożył mu wybrane kęski dla rankora, a Malakilemu wręczył kanapkę z plastrami marynowanego mięsa.

Malakili był w dobrych stosunkach ze żwawym kucharzem, któremu opowiadał wszelkie plotki zasłyszane na dolnych poziomach, choć musiał w zamian wysłuchiwać jego biadolenia, że Jabbę wkrótce znudzą jego kulinarne popisy i wyda go na pożarcie rankorowi.

Wzdychając głęboko, Malakili podtoczył wózek ku kracie zamykającej wejście do jamy rankora. Koła skrzypiały jak przerażony szczur na dolnych poziomach lochów. Malakili rozsunął kratę, przepchnął wózek i zamknął za sobą wrota.

Rankor wstał i wlepił oczy w coraz bliższą górę mięsa, oblizując niezliczone zębiska grubym, sinawym jęzorem. Malakili zsunął mięso z wózka u stóp rankora, zabierając najpierw owiniętą w papier kanapkę, którą położył wcześniej na wierzchu. Potwór zakrzywionym pazurem zaczął przebierać w stosie jedzenia, wybierając co smakowitsze kawałki, aż znalazł zakrzywione żebro dewbacka, obrośnięte tłustym mięsem.

Malakili odwinął kanapkę z papieru i przysiadł na palcu u nogi rankora jak na wygodnej

ławeczce. Nad jego głową ulubieniec wgrzył się w długą kość, żując i połykając kawały mięsa. Czarna skórzana czapa chroniła głowę Malakilego przed kroplami śliny kapiącymi z paszczy potwora, które spryskiwały go niczym deszcz i ściekały po plecach.

Przeżuwając smakowitą kanapkę Malakili rozważał różne możliwości, różne opcje - i swoją przyszłość.

Od początku było jasne, że Jabba zamierzał wystawiać rankora do walki przeciw coraz to nowym przeciwnikom, dopóki potwór któremuś w końcu nie ulegnie. Jabba nie dbał o rankora - ani on, ani nikt inny oprócz Malakilego. Nawet Gonar bał się potwora, a kręcił się w jego pobliżu tylko dla prestiżu i mocy, którą emanował. Inni, którzy odwiedzali lochy, również nie byli specjalnie przywiązani do ich mieszkańca - ani włochaty Whipid, strażnik, który wsuwał rogi pomiędzy pręty klatki, przyglądając się sile rankora, przypominającego mu jakieś stworzenie z ojczystej planety; ani Lorindanin, szpieg z trąbą zamiast nosa, którego jedynym motywem było szukanie informacji, jakie mógłby komuś sprzedać.

Nie, Malakili był na Tatooine sam. Tylko on kochał potwora i tylko do niego należało zadbanie o to, by był bezpieczny. Znajdzie jakiś sposób, by pomóc pupilowi uciec i sam ucieknie razem z nim.

Malakili zajadał kanapkę, z trudem przełykając przez zaschnięte gardło, a w jego głowie zaczął formować się plan. Jabba był wprawdzie potężnym gangsterem, ale przecież nie jedyną potęgą na Tatooine. Jabba miał wielu wrogów, a Malakili - wiele informacji.

Może znajdzie jakiś sposób, by kupić wolność dla swojego ulubieńca.

W mateczniku

W pobliżu centrum niechlujnego miasta Mos Eisley gromadził na sobie kurz sfatygowany frachtowiec. Wylądowawszy o jeden raz za dużo, „Fartowny Despota” nie przeszedłby już żadnego testu bezpieczeństwa, więc kadłub pozostał tam gdzie osiadł, porzucony i opuszczony, póki grupa wprowadzonych w błąd inwestorów z Arcony nie postanowiła przekształcić go w luksusowy hotel, w nadziei na rozkwit usług turystycznych na Tatooine.

Wkrótce po tym, jak pechowi inwestorzy zbankrutowali, kasyno i hotel Fartowny Despota przejęła nowa osobistość tatooińskiego podziemia przestępczego - wybijająca się rywalka Jabby, osoba o wielkich aspiracjach, skromnym kapitale i charakterze jeszcze paskudniejszym niż jej pełna ostrych zębów twarz.

Lady Valarian odchyliła się wygodnie na wygięte oparcie fotela, odpoczywając w swoim pluszowym gabinecie. Wyglądała tak łagodnie, jak to tylko możliwe w przypadku Whipidanki o końskiej twarzy, dwóch potężnych kłach w kącikach warg i szczeciniastej sierści. Wypowiadając gładkie sylaby, wydawała się mrużyć jak kotką, ale Malakilemu dźwięk ten przypominał raczej gulgot w gardle gundarka.

- Wiem, że przychodzisz z pałacu Jabby - powiedziała lady Valarian głębokim, gardłowym głosem. Kły niczym ostre wieszaki sterczące z dolnej szczęki przysunęła do twarzy Malakilego, pochylając się nad nim i trzepocąc rzęsami.

Malakili odetchnął, czując ciężką woń perfum, którymi usiłowała zamaskować wilgotny, piżmowy zapach whipidańskiej sierści; pomyślał, że gorszego smrodu nie wahał w żadnej z klatek Circus Horrificus.

- Tak, przychodzę z pałacu Jabby - powiedział, dotykając nerwowo swojej czarnej czapy - bo tam nie zawsze znajduję wszystko, czego mi potrzeba. Przyszedłem więc do ciebie, lady Valarian.

Zgarbiła ramiona i uniosła szkaradną twarz. Jej ciało zatrzęsało się od spazmów, które Malakili uznał za objaw rozbawienia.

- A jak zamierzasz zapłacić za przysługę, o którą chcesz mnie poprosić?

- Wiem, że Jabba jest twoim wrogiem, lady Valarian - powiedział Malakili. - Wiem, że zapewne chciałabyś dysponować pełnymi planami pałacu. Mnisi B'omarr, którzy go wybudowali, ukryli dokumentację architektoniczną. Może chciałabyś znać kilka tajnych wejść na dolne poziomy... a może też miałabyś ochotę dowiedzieć się o zwyczajach i słabościach Jabby.

Lady Valarian prychnęła.

- Myślisz, że nie mam własnych agentów w pałacu Jabby? Malakili zachował beznamiętny wyraz twarzy, ale w głębi ducha był przerażony.

- To nie moja sprawa. Mogę mówić tylko za siebie, ofiarując ci moje usługi. Jeśli rzeczywiście zamierzasz rzucić wyzwanie Hurtowi Jabbie, musisz być bardzo, bardzo ostrożna.

Miał nadzieję, że uderzył we właściwy ton. On, który spędził siedem sezonów poskramiając

najdziksze bestie w Circus Horrificus, czuł się zupełnie nie na miejscu w pluszowym pokoju z wyperfumowaną samicą, która mogłaby rozdeptać go jak robaka.

- Nie twierdzę, że mam osobisty interes w zaszkodzeniu Jabbie - powiedziała lady Valarian. - Jest przecież cichym współnikiem Fartownego Despoty. Ale informacje mają często nieocenioną, trudną do oszacowania wartość. Niemądrze jest rezygnować z okazji poszerzenia wiedzy. - Uniosła szczeniastą brew. - Masz ochotę na drinka? Potem możesz mi powiedzieć, o jaką to przysługę chciałeś mnie prosić.

Malakili podziękował odruchowym skinieniem głowy, gdy podała mu jeden z najdroższych napojów na Tatoonie - czystą, zimną wodę w wysokiej, oszronionej szklance, z dwiema kostkami lodu. Malakili pociągnął łyk, oblizując usta, gdy zimny płyn spłynął w dół przełyku.

- Potrzebuję statku... dużego frachtowca ze specjalnie wzmocnioną klatką w ładowni.

Nozdrza lady Valarian rozszerzyły się; zaczęła węszyć, okazując zaciekawienie.

- Klatką? A co chcesz stąd wywieźć?

- Żywe zwierzę - powiedział Malakili. - I siebie samego. Zamierzam zabrać ze sobą rankora Jabby. Muszę znaleźć niezamieszkaną świat, najchętniej z bujną roślinnością, na przykład porośniętą dżunglą księżyc albo peryferyjną, zalesioną planetę, na której zdoła przeżyć pomysłowy, zapobiegliwy człowiek i gdzie duże zwierzę będzie mieć swobodę i dość pożywienia do upolowania.

Lady Valarian zaniósła się urywanym, dudniącym warkotem, który Malakili zinterpretował jako pełen zachwyty śmiech.

- Chcesz wykraść rankora Jabby? A to dopiero zabawne! To zbyt śmieszne, żebym mogła ci odmówić! Jasne, dam ci statek, jakiego potrzebujesz! Podaj tylko czas i datę.

- Jak najszybciej - powiedział Malakili. Spokojnym gestem szponiastej dłoni lady Valarian wskazała na swój zabytkowy komputer.

- Tak, tak, jak najszybciej. Myślę, że najważniejsze to zainstalować maleńką, szpiegowską kamerę w sali tronowej Jabby, żebym mogła zobaczyć, jaką minę zrobi, kiedy się dowie, co się stało!

Lady Valarian wcisnęła niewidoczny klawisz na swoim biurku; rozległ się melodyjny dzwonek. Drzwi do gabinetu rozsunęły się i stanęła w nich dwójka wypolerowanych na błysk robotów protokolarnych.

- Tak, lady Valarian? - odezwały się jednym głosem. Jednemu z robotów Valarian kazała zaprowadzić Malakilego do innego pokoju gdzie miał przekazać „pewne informacje”. Drugi został poinstruowany, że ma załatwić statek, znaleźć świat zgodny ze specyfikacją Malakilego i zorganizować wszelkie szczegóły podróży.

- Jestem ci niewymownie wdzięczny, lady Valarian - wykrztusił z trudem Malakili, nadal nie mogąc uwierzyć, że wstąpił na drogę, z której nie było odwrotu.

Lady Valarian zachichotała, gdy Malakili wstał, by wyjść za robotem protokolarnym na korytarz.

- Nie, to ja dziękuję - powiedziała. - Taki numer jest wart każdych pieniędzy. Nadal chichotała, gdy drzwi zasunęły się za Malakilim.

Gość nie w porę

Malakili starał się być spokojny i zachowywać normalnie, ale odliczał dni do wyznaczonej godziny ucieczki.

Rozglądał się rozbieranymi oczami, w każdym cieniu widząc szpiegów, ale Jabba i jego dworacy w sali tronowej na górze wydawali się nieświadomi jego planów. W krótkich chwilach, kiedy nie był zajęty mnóstwem kłopotliwych szczegółów związanych z prowadzeniem nowej kantyny, Jabba przechwalał się, że już wkrótce łowcy głów sprowadzą mu kraytońskiego smoka - a na razie dał rankorowi trochę wytchnienia od ciągłych walk, nie chcąc, by potwór przystępował do tytanicznej bitwy osłabiony lub ranny. Ostatnim świeżym, smakowitym posiłkiem, jaki trafił się rankorowi, była drobna twi'lekańska tancerka, którą pożarł w trzech małych kęsach, zamiast jak zwykle przełknąć w całości.

Malakili próbował zachować spokój, łudząc się nadzieją że może jednak wszystko pójdzie gładko. Kiedy jednak dotoczył wyładowany mięsem wózek do zakratowanych wrót pieczary rankora, z cienia wyskoczył nagle Gonar z idiotycznym uśmiechem na twarzy, zastępując mu drogę.

- Wiem o tobie, Malakili! - powiedział chrapliwym szeptem. - Wiem o tobie i lady Valarian!

Malakili zatrzymał wózek i odwrócił się powoli, starając się nie okazać, jak zszokowało go to oświadczenie, ale nigdy nie był dobry w ukrywaniu emocji.

- Co niby wiesz o mnie i o lady Valarian? - zapytał.

- Wiem, że dla niej szpiegujesz. Widziano cię, jak odwiedzałeś Mos Eisley, jak wchodziłeś do Fartownego Despoty. Wiem, że przyjęła cię w swoich prywatnych apartamentach. Nie mam pojęcia, w jaką grę grasz, ale wiem, że Jabbie się to nie spodoba.

Malakili nie mógł dłużej ukrywać zdenerwowania. Rozglądał się na boki jak ktoś złapany w pułapkę. Wewnątrz swojej pieczary rankor wyczuł niepokój opiekuna i warknął przeciągle.

- Czego chcesz? - zapytał Malakili.

Gonar westchnął z ulgą zadowolony, że tak łatwo poszło. Odgarnął z czoła tłuste pasmo włosów.

- Chcę opiekować się rankorem - powiedział. - Znam go nie gorzej niż ty. Powinien być mój.

Zerknął w kierunku pieczary.

- Albo zabierzesz się stąd i zostawisz opiekę nad rankorem mnie - powiedział - albo doniosę Jabbie, a on cię zabije, powierzając mi w nagrodę opiekę nad potworem. Tak czy owak, dostanę to, czego chcę.

- Nie zostawiasz mi wielkiego wyboru - powiedział Malakili płacząco.

- Nie - powiedział Gonar, nadymając się w poczuciu triumfu. - Nie, nie pozostawiam ci wielkiego wyboru.

Malakili chwycił ciężką goleń ze stosu mięsa dla rankora. Płynnym ruchem zamachnął się, maksymalnie naprężając mięśnie. Ciężka główka kości trafiła Gonara prosto w czoło. Czaszka pękła jak bańka mydlana. Młody rudzielec osunął się na ziemię. Ostatnim dźwiękiem, jaki wydał, był

zdziwiony jęk.

Wewnątrz swojej pieczary rankor poruszył się i ryknął z głodu. Nie poszło tak trudno jak zabicie Jeźdźca Tusken w tamtym kanionie, pomyślał Malakili, ale sprawiło mu większą satysfakcję. Było w tym coś bardziej osobistego.

Dźwignął bezwładne ciało Gonara. Miał wrażenie, że teraz było w nim znacznie więcej stawów niż za życia - nogi, ręce i kręgosłup wydawały się łamać we wszystkie strony.

W tej samej chwili, gdy miał wrzucić ciało na wózek, usłyszał za sobą dudniący tupot stóp i szczęk zbroi, a zza zakrętu wypadł jeden z ciężko zapracowanych, niezbyt bystrych gamorrekańskich strażników Jabby. Zamrugał świńskimi oczkami i wydał dolną wargę, ukazując sterczące kły. Zsunął w dół hełm, aż oparł się na rogach, i gapił się z ukosa na Malakilego i świeżego trupa.

- Co to? - zapytał, posiłkując się jednym z niewielu znanych mu zwrotów we wspólnym.

Malakili spojrział na niego, przytrzymując ciało mężczyzny, którego właśnie zamordował. Zakrwawiona goleń nadal leżała na czubku góry mięsa. Nie był w stanie wymyślić naprędce przekonującego wytłumaczenia.

- Karmię rankora. A co myślałeś?

Gamorreanin wpatrywał się w trupa i resztki z kuchennej jatki. Stęknął i kiwnął głową.

- Trzeba pomóc?

- Nie - powiedział Malakili. - Nie, poradzę sobie. - Spojrział znacząco w półmrok pieczary potwora i na ciężar, który niósł Gamorreanin. - Jego też chcesz skarmić?

- Nie! Dowód zbrodni!

Gamorreanin odszedł, mrużąc coś do siebie, obojętny na sprawy, które go nie dotyczyły i nad wyraz zadowolony, że może wykonywać swoją męczącą pracę najlepiej, jak potrafi.

Lady Valarian miała podstawić frachtowiec tuż po wschodzie słońca, zanim Jabba i jego dworacy obudzą się z letargu, w jaki zapadli po trwającej całą noc hulance.

O ile Malakili się orientował, nikt nie komentował zniknięcia Gonara, którego miejsce zajęli po prostu inni chętni, by obserwować szkolenie i karmienie rankora: każdy z nich równie zachwycony bestią, każdy chętny, by uszczknąć cząstkę jej mocy przez samo przebywanie w pobliżu.

Malakili wszedł do klatki rankora i upewnił się, że zamki ciężkich wrót prowadzących na zewnątrz są świeżo rozwiercone, tak by nic nie stało im na przeszkodzie, gdy przybędzie statek lady Valarian.

Spojrzał na swój zegarek, jeszcze raz sprawdzając czas, odliczając minuty. Niecała godzina. Serce waliło mu jak młotem.

Rankor również był spięty i niespokojny. Wiedział, że coś się szykuje, i wydawał z siebie pytające prychnięcia za każdym razem, gdy Malakili pojawił się w zasięgu jego wzroku.

- Jeszcze chwilka, mój mały - powiedział Malakili. - A potem obaj będziemy wolni! Na górze panowała martwa cisza, zakłócana jedynie pochrapywaniem Jabby i innych, nawet tej skąpo odzianej piękności, przykutej łańcuchem do jego tronu.

Malakili usłyszał stłumiony odgłos kroków rozbiegających się jak pająki osobników - tych kilku, którzy nie położyli się spać, by snuć własne intrygi przeciw Jabbie. Usłyszał szczęk kraty nad głową. I kolejne kroki. Przeklął w duchu intruza.

Znów spojrział na zegarek i wtedy z przerażeniem usłyszał głosy wyrwanego ze snu Jabby i budzących się dworaków. Jabba miał gościa. Nie teraz!

Malakili syknął i zaczął chodzić tam i z powrotem po korytarzu. Że też Jabba musiał obudzić się

właśnie teraz! Ale może szybko załatwi sprawę tego przybysza, a potem zdecyduje się znowu zdrzemnąć godzinę lub dłużej.

Usłyszał dudniący głos Jabby, coś jakby kłótnię, potem przeraźliwy krzyk - i nagle zapadnia nad jego głową otworzyła się, a do pieczary rankora wpadły dwa ciała.

- Dlaczego właśnie teraz? - Jęknął Malakili, zaciskając pięści. Ponownie spojrzał na zegarek. Statek przybędzie lada chwila.

Kilku następców Gonara przecisnęło się obok Malakilego, by obserwować, jak giną nowe ofiary. Nie pamiętał, jak się nazywali. Wyszepiał słowa, których rankor nie mógł przecież dosłyszeć:

- Zjadaj ich! Tylko szybko, mój mały!

Potwór miał zjeść młodego, szczupłego mężczyznę - żaden kłopot - i jednego z głupich gamorrekańskich strażników. Malakili skurczył się w sobie, gdy dostrzegł, że strażnik nadal ma w ręku swój wstrętny wibrotopór, którym mógł łatwo zranić rankora - ale Gamorreanin był zbyt przerażony, by pamiętać, że ma broń.

Prosiakowaty brutal odwrócił się, by uciec, ale rankor dopadł go w ciągu sekundy, chwytając jedną łapą i wpychając go sobie do paszczy. Zacisnął szczęki, a potem przełknął wierzgające nogi. Odwrócił się w stronę drugiej ofiary i ruszył do przodu.

Malakili spojrzał na zegarek. Statek lady Valarian pewnie właśnie podchodził do lądowania, dryfując bezgłośnie przez piaski, coraz bliżej uzgodnionego miejsca spotkania.

- Szybko! - ponaglił rankora.

Nad nimi widzowie śmiali się i rechotali z uciechy. Gardłowy śmiech Jabby dudnił echem w pieczarze. Widzowie wydawali się przykładać do spektaklu większą wagę, niż na nią zasługiwał. Malakili zastanawiał się, kim jest nowa ofiara.

Młody mężczyzna przebiegł na drugą stronę pieczary, chwytając po drodze jedną z porozrzucanych po podłodze kości. Niemal w tej samej chwili rankor chwycił go w pazury i uniósł ku zębatym szczekom.

Mężczyzna miał widać głowę na karku, bo szybko wepchnął kość na sztorc w paszczę rankora, który natychmiast wypuścił go z łapy. Przez chwilę mocował się z postrzępioną kością, zanim pękła z trzaskiem.

Malakili skrzywił się, przypominając sobie odłamki pancerza arachnidów, które przysporzyły tyle bólu rankorowi, gdy wbiły się w tkankę wyściełającą jego jamę ustną.

- Moje biedne maleństwo... - westchnął. Po chwili się jednak uspokoił. To nic. Kiedy uciekną, będzie miał tyle czasu, ile tylko zechce, by opiekować się rankorem, nie niepokojony przez nikogo, na własnym świecie.

Młody mężczyzna biegał tymczasem w panice jak przerażony Jawa, taranując wątłym ciałem okratowane wrota do pieczary potwora, jakby w ten sposób mógł wydostać się na wolność. Malakili zaczął go odpychać, w czym szybko pomogli mu pozostali widzowie.

- Uciekaj i zostań pożarty - mruknął Malakili, znów zerkając na zegarek. Zostało niewiele czasu.

Tymczasem młody mężczyzna przebiegł pomiędzy nogami rankora na drugą stronę pieczary.

Rozczarowany Malakili walnął głową w mur. Tej samej głupiej sztuczki próbowały arachnidy bojowe, a jego ulubieniec nadal nie wymyślił, jak sobie radzić z taką zagrywką.

Rankor odwrócił się i ponownie ruszył w stronę człowieka z wyciągniętymi łapami. Mężczyzna wbiegł do niskiej komory, w której rankor często sypiał, schylając się pod ciężkimi, zębatymi wrotami, które czasem zamykano, by wyczyścić jego pieczarę.

Malakili czuł, jak wali mu serce, i z sykiem wciągnął zimne powietrze. Nad głowami słyszał jeszcze głośniejszą wrzawę. Nawet jeśli rankor zje tego mężczyznę w ciągu kilku sekund, widzowie jeszcze długo się nie uspokoją. Znów wyrwał mu się jęk rozpacz. Co robić? Lady Valarian nie będzie długo czekać...

Rankor wiedział, że jego ofiara znalazła się w pułapce, i schylony zaczął przeciskać się do swojej sypialni. Mężczyzna chwycił okrągły, beżowy kamień - nie, to była czaszka - i cisnął nią w panel kontrolny drzwi w tej samej chwili, gdy rankor pochylał się pod ich zębatą dolną krawędzią.

Czaszka uruchomiła mechanizm zamka i ciężkie, durastalowe wrota runęły w dół jak ostrze gilotyny. Zębata krawędź rąbnęła w głowę i kręgosłup rankora, który upadł pod ciężarem na podłogę z rozłupaną czaszką.

Rankor wzdrygnął się i stęknął tylko raz, oszołomiony bólem, jakby wzywał Malakilego na pomoc. Po chwili już nie żył.

Malakili stał jak skamieniały. Szczeka mu opadła, a uszy wypełnił wrzask niedowierzania.

- Nie! - krzyknął. Rankor był martwy! Jego ulubieniec, którym opiekował się z taką troską... który obronił go przed Jeźdźcami Tusken... który pozwalał mu siedzieć na palcu swojej łapy, gdy Malakili zajadał kanapkę...

Przy wtórze wściekłych ryków z góry, do pieczary wpadli strażnicy i wyprowadzili z niej szarpiącego się młodego mężczyznę, ale Malakili był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek zauważyć.

Poruszając się jak robot, niczym w transie wszedł do pieczary i stanął przed ciałem martwego rankora. Większość z tych, którzy mieli nadzieję, że będą kiedyś mogli opiekować się potworem, gdzieś się rozplynęła, widząc, że ich szansa na awans przepadła. Tylko jeden mężczyzna, wysoki, smagły i ciemnowłosy, wszedł za nim do pieczary.

Malakili patrzył, jak krew rankora płynie wąską strużką po kamiennej podłodze. Bestia leżała bez ruchu, jakby spała. W końcu, niezdolny znieść tego widoku ani chwili dłużej, Malakili zalał się łzami, które trysnęły jak rzadka na Tatooine ulewa. Szlochał w rozpacz, nie mając pojęcia, co ma z sobą zrobić.

Stojący obok mężczyzna - Malakili za nic nie mógł sobie przypomnieć jego imienia - położył brudną rękę na jego ramieniu, poklepał go, próbując dodać mu otuchy, ale przez łzy Malakili nic nie widział. Przed oczami duszy przesuwały mu się obrazy szczęśliwych dni z rankorem.

Usłyszał tylko, jak echo powtarza gniewne słowa Jabby, który rozkazał, by pojmanego mężczyznę zabrano na skraj Wielkiej Jamy Carcoona i rzucono na pożarcie Sarlaccowi. Jabba nie dbał o rankora ani o to, że zginął - był po prostu rozczarowany, że od dawna wyczekiwana bitwa jego potwora z kraytońskim smokiem już się nie odbędzie.

Łzy nadal płynęły po pызatych policzkach Malakilego, znacząc coraz to nowe, czyste ścieżki w jego brudnej twarzy. Jabłko Adama wędrowało w górę i w dół, gdy starał się stłumić szloch.

Malakili potrafił myśleć tylko o tym, jak bardzo nienawidzi Jabby, jak opasły gangster zrujnował wszelkie jego nadzieje. Zanim jego smutek zaczął powoli ustępować, zastąpiło go nowe uczucie - Malakili poprzysiągł w duchu, że znajdzie sposób, by wyrównać rachunki z Hurtem Jabbą. Zrobi coś, by ten opasły, bandycki ślimak zapłacił mu za wszystko.

Na zewnątrz pałacu, w piekącym skwarze popołudnia, frachtowiec lady Valarian krążył i czekał, czekał, czekał... aż w końcu z pustą ładownią ruszył z powrotem ku Mos Eisley.

Lady Valarian nie przejmowała się. Wiedziała już to, co chciała wiedzieć.

WYBÓR SMAKOSZA opowieść szefa kuchni Jabby

Barbara Hambly

Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy Hutt Jabba dostał dwa nowe roboty. Nie żeby pojawienie się dwóch nowych niewolników w otoczonym piaskami pałacu Jego Opasłości sprawiało wielką różnicę Porcellusowi, udręczonemu szefowi jego kuchni; jedynym pytaniem, jakie zadał, gdy dowiedział się o nowych nabytkach od Malakilego, opiekuna rankora Jabby, było:

- Co jedzą?

- To roboty - wyjaśnił Malakili, który przysiadł właśnie na końcu długiego i masywnego stołu kuchennego, przebierając w dwóch metrach sześciennych podrobów dewbacka i zajadając faworka. Faworki Porcellusa w Mos Eisley dla niejednego stały się obiektem kultu - i to wcale nie najdziwniejszym w tym porcie. Porcellus smażył ich pełen gar, na jednym z czterech palenisk, i w długiej, nisko sklepionej kuchni było nieznośnie gorąco.

- To dobrze - powiedział Porcellus. Nie przeszkadzało mu wprawdzie, gdy do jego kuchni przychodzili żywi ludzie, żeby wyludzać smakołyki, tyle tylko że większość bywalców dworu szefa tatooińskiego przestępczego podziemia, którzy zaglądali do niego, przyprawiała go o niesłychaną nerwowość.

- Do tego bardzo uprzejme - dodał Malakili. - Mają oprogramowanie socjalne wysokiej klasy.

- Przyjemna odmiana po tyłu prostakach. - Porcellus delikatnie wyłowił ostatnie faworki z wrzącego oleju dokładnie w odpowiednim momencie, wyłożył je do odsączenia na bibułę, którą pokryły był blat roboczy, troskliwie oprószył cukrem pudrem i włączył przenośnego „elektrycznego pastucha” dookoła. Uśmiechnął się do przyjaciela.

- Oczywiście nie mam na myśli ciebie.

- Wiesz, strażnicy i tym podobni nie są tacy źli. - Malakili przerwał, gdy do kuchni wszedł podkuchenny Phlegmin, niosąc pudło kruchych owoców bowvine z Belsawii, które właśnie dostarczono. Pryszczaty chłopak kichnął, wysmarkał się w palce i zaczął wyjmować owoce z pudła; obraził się, gdy Porcellus odpędził go, każąc mu umyć ręce. - W każdym razie nie wszyscy - dokończył opiekun rankora. Zeskoczył ze stołu i przeszedł na drugą stronę, gdzie szef kuchni badał delikatnymi palcami artysty, czy owoce nie mają podskórnych uszkodzeń. Wychodząc, Phlegmin spróbował podwędzić faworka - elektryczny pastuch odrzucił go na parę metrów, aż pod najbliższą ścianę. Chłopak wycofał się, ssąc poparzoną rękę.

- Słówko na ucho, przyjacielu - szepnął Malakili.

Porcellus odwrócił się od stołu, czując, że znajoma panika ściska mu serce.

- Co?

Dawno temu, gdy był szefem kuchni Yndisa Mylore, gubernatora Bryexx i moffa sektora Varvenna, a jednocześnie najcenniejszym niewolnikiem tego imperialnego arystokraty - nic

dziwnego, czy nie zdobył trzykrotnie Złotej Chochli i nagród Tselgomet na Festiwalu Smakoszy przez pięć lat z rzędu? - Porcellus nie był specjalnie nerwowy. Przejęty doskonałością swojej sztuki - owszem, bo który wielki mistrz taki nie jest? Zaniepokojony - tak, od czasu do czasu, na przykład czy beza serwowana, gdy gubernator Mylore podejmował samego Imperatora, jest dostatecznie krucha, albo czy sos podawany na bankiecie dla ambasadorów ma wystarczająco aksamitną konsystencję..

Ale słowo.

Nie zdarzało mu się, by martwił z przerażenia, słysząc jedno nieoczekiwane sa.

Pięć lat niewolniczej pracy w pałacu Jabby nie pozostało bez wpływu na Porcellu - Wczoraj wieczorem Jabba znowu cierpiał na niestrawność.

- Niestrawność? - Dopiero później Porcellus zorientował się, że powinien był zareagować nieopanowanym przerażeniem; słysząc te słowa po raz pierwszy, tylko roześmiał się z całkowitym niedowierzaniem. - Chcesz powiedzieć, że istnieje we wszechświecie substancja, której nie jest w stanie strawić?

Malakili jeszcze bardziej ściszył głos.

- Powiedział, że jego zdaniem to *fierfek*. O ile dobrze rozumiem, po huttańsku znaczy to... trucizna - dokończył miękko.

Dopiero wtedy Porcellusa opanowało nieopanowane przerażenie. Poczł, że blednie, a ze stóp i dłoni odpływa mu całe ciepło, mimo panującego w kuchni gorąca. Opiekun rankora położył wielką łapę na ramieniu przyjaciela.

- Lubię cię, Porcellusie - powiedział. - Zawsze byłeś dobrym przyjacielem, pozwalałeś mi brać ochłapy dla mojego zwierzątka - wskazał palcem na parujące mięso i podroby zajmujące dobre dwie trzecie stołu. - Nie chciałbym patrzeć, jak wpadasz do jego pieczary przez tę zapadnię w suficie. Pomyślałem więc, że szepnę słówko, zanim Bib Fortuna zejdzie tu, żeby sam ci o tym powiedzieć. - Malakili zebrał rogi ceraty, na której leżały podroby, i wyszedł, przeciągając pakunek przez drzwi i zostawiając na podłodze szeroki krwawy ślad.

- Dzięki - powiedziałby Porcellus, gdyby w ustach nie zaschło mu tak, że nie był w stanie wymówić słowa.

- Jego Ekscelencja jest w najwyższym stopniu niezadowolony.

- Całkowicie bez powodu, Wasza Wielebność. To skutek godnego pożałowania nieporozumienia.

- Porcellus zgiął się niemal w pół w głębokim ukłonie. Miał nadzieję, że Bib Fortuna, podstępny twi'lekański majordomus Hutta Jabby, nie zauważy wybebeszonych pudeł i pojemników porzrzucanych na wszystkich poziomych powierzchniach w kuchni - efektów nerwowych poszukiwań czegokolwiek, co mogło spowodować bezprecedensową przypadłość Jego Opasłości. A że wiele delikatesów, które w przeszłości trafiało do omletów, rolad i sztufad Hutta, było całkowicie niejadalnych dla większości delikatniejszych gatunków, poszukiwania nie były łatwe. Porcellus wciąż się zastanawiał, czy mógł to być kozibród łąkowy, którym nadział wczoraj pieczeń, czy też niezidentyfikowana pasta z nieoznaczonego czerwonego pojemnika, którego zawartość zużył do dekoracji czekoladowych makaroników.

Twi'lek zmrużył swoje i tak małe oczka; w pełnej wyziewów kuchni wyglądały jak brudne szkło.

- Wiesz, jak bardzo nasz pan troszczy się o swoje zdrowie.

Żaden z nich nie miał oczywiście zamiaru wypowiedzieć na głos słowa „trucizna”.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie Porcellus, myśląc w duchu, że przy takim hurtowym

spożywaniu trójglicerydów, cholesterolu i alkoholu - nie wspominając o mniej znanych, choć równie szkodliwych substancjach - oraz niesłychanych praktykach seksualnych, Jabba raczej nie potrzebował trucizny jako takiej. Kucharzowi z trudem przychodziło pogodzić się z myślą, że mimo wszystko jednak ktoś mógł mu ją zaaplikować.

- Chyba nie muszę zapewniać, że od początku mojej pracy tutaj stosowałem tylko najdelikatniejsze, najzdrowsze i najsmaczniejsze składniki do potraw podawanych próbie jakże wymagającego podniebienia Jego Ekscelencji. Nie mogę zrozumieć, jak mogło dojść do tej w najwyższym stopniu niepokojącej sytuacji.

Bib Fortuna ze skrzyżowanymi ramionami stukał długimi paznokciami o własne ramię.

- Gdyby taka sytuacja się powtórzyła - powiedział miękko - konieczne będzie wyjaśnienie tej sprawy.

- Ty zbroju! - Porcellus obrócił się gwałtownie i zamachnął ścierką. - To na deser dla pana!

Ak-Buz, kapitan barki żaglowej Jabby, odskoczył gwałtownie od niewielkiego elektrycznego pastucha otaczającego faworki, upuszczając na ziemię parę nieprzewodzących prądu szczypców pokładowego mechanika, którymi próbował wyciągnąć ciastka zza elektrycznej osłony. Jego skórzastą twarz wykrzywił grymas - jedyny, o ile Porcellus się orientował, do jakiego zdolny był Weequay - i kapitan wybiegł z kuchni w gorące słońce przedsiönka, wpychając jednocześnie zdobycznego faworka do pozbawionych warg ust.

- Wydaje im się chyba, że to stołówka dla darmozjadów. - Porcellus starł nerwowym gestem resztki rozsypanego cukru pudru.

- Czy mam zasugerować Jabbie, że należy ukarać tego Weequaya? - głos Fortuny przeszedł w niebezpieczny warkot. - Wrzucić do pieczary rankora? Ale to chyba za szybki rodzaj śmierci, Jabba lubi długie widowiska... A może opuścić go do jamy pełnej brach no-szarpaczy? Są wprawdzie małe, ale setka jest w stanie wyczyścić do kości ciało każdej żywej istoty w jakieś pięć, sześć godzin. Jeden... pod warunkiem, że ofiara jest mocno przywiązana... może to zrobić w pięć, sześć dni. - Uśmiechnął się złowrogo. - Czy nie byłaby to odpowiednia kara za podkradanie smakołyków Jego Ekscelencji?

- Eee... - bąknął Porcellus - ...to chyba nie będzie konieczne. Ku swojej rozpaczy odkrył, że były to prorocze słowa, gdy wychodząc z kuchni kilka godzin później, potknął się o martwe ciało kapitana w korytarzu prowadzącym na niższe poziomy kwater pałacowej służby...

Na skutki swojej paniki nie musiał długo czekać. Po półgodzinie dalszych poszukiwań w kuchni, nagabywany przez ponurego Phlegmina (Jak mogłeś pozwolić, szefie, żeby to Ak-Buz wziął faworka, a nie ja? W tym pudle nic nie ma... A tak w ogóle, to czego pan szuka, szefie?) Porcellus zorientował się, ku własnemu przerażeniu, że choć zbliżał się czas, by zacząć przygotowania do wieczornej uczyty, kompletnie nie miał pomysłu, co zaserwować. Gotowaną rybę lodową z Ediorung w koszulkach z ramoreańskiej campanaty? A jeśli Jabba udławi się ością? A może gulasz z besniańskich kielbasek w sosie z madery z pomarańczami? A jeśli przyprawy tylko mocniej podrażnią jego żołądek, co sobie pomyśli? Rosół warzywny, pomyślał Porcellus. Rosół warzywny i kleik ryżowy... Po chwili zreflektował się, przewidując jak gangster zareagowałby na takie menu, a wizja, która pojawiła się w jego wyobraźni, bynajmniej nie była przyjemna.

Po raz pierwszy w życiu, nie mając pomysłu na kolację, wycofał się do swojego pokoju, by zajrzeć do książki kucharskiej, zdrzemnąć się w stosunkowo chłodnym pokoju i odprężyć... musi się odprężyć...

I właśnie wtedy Porcellus natknął się na ciało Ak-Buza, rozciągnięte w korytarzu w połowie drogi do pokoju kucharza, z rozrzuconymi ramionami i znieruchomiałym, martwym wzrokiem trupa.

Przykleknął przy zwłokach. Jeszcze ciepłe. Na kamizelce Weekwaya nadal widać było drobiny cukru pudru.

Może po zjedzeniu siedemdziesięciu pięciu kilogramów podrobów dewbacka rankor nie będzie dziś zbyt głodny? - pomyślał.

Ciężki oddech, prychnięcie - i głęboki lepki głos zapytał nagle:

- Co się stało tu?

Kucharz zerwał się na nogi, spanikowany, i stanął oko w oko z jednym z gamorreńskich strażników Jabby.

Porcellus od zawsze nie znosił Gamorrean. To oni najczęściej podkradali z kuchni jedzenie, i zawsze musiał po nich sprzątać z podłogi ślinę, brud i inne paskudztwa. W zeszłym tygodniu pięciu z nich pobiło się w kuchni o to, który będzie mógł wylizać miskę po kremie chantilly, co skończyło się rozbiciem miski, zmiażdżeniem dwóch bardzo delikatnych przyrządów kuchennych, a źle wycelowany wibrotopór omal nie uciął głowy Porcellusowi. Krem chantilly niestety również ucierpiał.

- Co się tu stało? - powtórzył Porcellus słabym głosem. - Nic. Strażnik uniósł grubą brew i namyślał się przez dłuższą chwilę. Wreszcie wskazał najeżoną kolcami rękawicą na ciało kapitana barki.

- Nie żyje?

- Żyje - powiedział Porcellus. - Tylko śpi. Odpoczywa. Powiedział, że jest zmęczony i pójdzie się zdrzemnąć. Widocznie... widocznie zasnął po drodze, tu w korytarzu.

Ak-Buz martwym wzrokiem wpatrywał się w sufit. Strażnik znowu zmarszczył brwi, powolnie trawiąc uzyskane informacje.

- Wygląda jak trup. Porcellus czuł niemal, jak szpony rankora zaciskają się wokół jego ciała.

- A widziałeś kiedyś śpiącego Weequaya?

- Eee... nie...

- No to się przyjrzyj. - Porcellus schylił się i dźwignął ciało na nogi, zarzucając sobie na szyję rękę trupa. Przez jedną straszną chwilę zastanawiał się, co robi, jeśli ciało nieboszczyka zaczęło już sztywnieć, ale przy panującej w korytarzu temperaturze było to mało prawdopodobne. Rozgrzana głowa kapitana opadła, opierając się na policzku kucharza, brudne warkoczyki drapały go w policzek. - Zaniosę go teraz do jego kwatery, zanim... eee... zanim się obudzi.

Strażnik kiwnął głową.

- Chcesz pomoc?

- Nie, dziękuję. - Kucharz uśmiechnął się. - Poradzę sobie. Ukrył ciało Ak-Buza w hałdzie śmieci przy dziedzińcu robotów - przerażająco skomplikowana operacja, musiał bowiem przeciągnąć ciało przez całe lochy, mijając kwatery Weequayów. Weequayowie - milczący, morderczy, złośliwi egzekutorzy - stanowili część załogi Ak-Buza, i chociaż nie byli lojalni wobec nikogo, Porcellus miał wrażenie, że lepiej nie rzucać im się w oczy z ciałem dowódcy przewieszonym przez ramię. Nie natrafił jednak ani na żadnego z nich - pewnie kradną faworki z mojej kuchni, pomyślał ponuro - ani na mechanika barki, Baradę. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zajrzy pod ogromną stertę rdzewiejących części od śmigaczy, póki zwłoki się nie rozłożą, co przy panującym upale nie powinno potrwać długo. Zazwyczaj na Tatooine należałoby się obawiać, że Jawowie wywrócą stertę śmieci

do góry nogami w poszukiwaniu metalowych odpadów, ale świeże szczątki ostatniego z Jawów, którego przyłapano na tym procederze w otoczeniu pałacu Jabby, nadal wisiały przybite do pałacowej bramy.

Porcellus pospiesznie wrócił do kuchni, zastanawiając się, jak sobie poradzi z dzisiejszym bankietem. Nadal nie przychodził mu do głowy żaden pomysł.

- Nazywasz to jedzeniem? - Hurt wywrócił wielkimi oczami koloru miedzi, o źrenicach zwężonych z gniewu, i wbił je w pechowego sługę.

Porcellus nigdy zbyt dobrze nie rozumiał po huttańsku, ale kiedy Jabba wziął jeden z wyśmienitych naleśników wegetariańskich do ręki - zaskakująco małej i delikatnej w porównaniu z resztą żółtawego, opasłego cielska - i ścisnął tak mocno, że nadzienie wyciekło na podłogę, wyjaśnienie nowego tłumacza, robota C-3PO, było zupełnie niepotrzebne:

- Jego Ekscelencja jest w najwyższym stopniu niezadowolony zjedzenia, jakie ostatnio serwujesz.

Stojący przed platformą tronową Hutta, na ozdobnej zapadni, pod którą znajdował się wlot do pieczary rankora, Porcellus był w stanie tylko słabo jęknąć. Osiem metrów pod podszwami jego butów rankor zaczął delikatnie węszyć w ciemności.

Hutt zmrużył swoje straszne oczy.

- Chyba chcesz, żebym się rozchorował.

- Ależ skąd! Przenigdy! - Porcellus padł na kolana.

Rankor wyprostował się na pełną wysokość i z nosem przysuniętym do kraty zaczął obwąchiwać jego stopy. Kucharz błagalnie złożył ręce.

- Jak mogę dowieść mojej dobrej woli? Jabba zarechotał, co brzmiało, jakby ktoś powoli patroszył bantha.

- Pozwolimy to sprawdzić mojej małej - powiedział, ciągnąc za łańcuch, który trzymał. Z platformy obok Jabby wstała prześliczna Twi'lekanka, tancerka Oola, najnowsza zabawka Jabby. Jej delikatna twarz wyrażała obawę, czemu trudno się dziwić.

Porcellus nie wiedział właściwie, co dokładnie Jabba robił ze swoimi „zabawkami” - zwykle były to samice, zawsze młode, smukłe i piękne - ale wiedział, że nie pozostają nimi długo, i słyszał okropne historie od przyjaciółki, niewolnicy podobnie jak on, Yarny Askajian.

W tej chwili jednak Jabba tylko nabrał na palec warzywnego nadzienia i wyciągnął w jej stronę, a po chwili Oola liznęła trochę delikatnie aromatyzowanej masy z jego oślizłej dłoni. Zrobiła to z wyraźnym obrzydzeniem.

- A teraz przynieś mi jakieś prawdziwe jedzenie - zagulgotał Hutt, odwracając się w stronę Porcellusa. - Świeże... żywe... nietknięte...

Kiedy Porcellus wrócił do pałacowej sali ze szklaną misą pełną żab ryżowych z Klatooine - w pachnącej brandy, która miała powstrzymać je przed pozabijaniem się nawzajem, jak to miały w zwyczaju te agresywne stworzenia - Oola właśnie tańczyła. Naleśnikowy farsz najwyraźniej jej nie zaszkodził. Jej długie głowoogony wirowały zapraszająco i zmysłowo, choć łańcuch nadal więził szyję. Porcellus miał nadzieję, że jej taniec na dobre odsunie wszelkie podejrzenia Jabby co do możliwości *fierfek* - czyli zatrucia jedzenia.

Zazwyczaj Porcellus trzymał się jak najdalej od dworu Jabby, na tyle, na ile pozwalały rozmiary pałacu, bo przerażała go zbieranina agresywnych i złośliwych łowców nagród, najemników i międzygalaktycznych szumowin. Dzisiejszej nocy jednak stał, podparty ramieniem o ścianę, pod kamiennym, łukowatym wejściem, chudy, siwiejący i zdenerwowany, w niewyobraźalnie

zaplamionym białym fartuchu kucharza, słuchając jizzowego zawodzenia - zawsze lubił ten rodzaj muzyki - obserwując taniec Ooli i modląc się w duchu, by nie padła martwa z niewiadomej przyczyny, jak Ak-Buz.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, kto rzeczywiście zabił kapitana barki żaglowej, ale w tym strasznym miejscu mógł to być prawie każdy.

Jabba, rechocząc przerażająco, przyciągnął do siebie łańcuch tancerki. Oola szarpnęła się do tyłu, niezdolna opanować odruchu odrazy - było jasne, że jej właścicielowi nie chodziło o to, by dalej karmić ją wegetariańskimi naleśnikami. Przez chwilę Hutt zabawiał się, to przyciągając, to popuszczając łańcuch, by w końcu usunąć jej spod nóg zapadnię i strącić w dół do pieczary rankora. Wydała tylko jeden przeraźliwy, świdrujący krzyk; wszyscy rzucili się do przodu, by przez kratę w podłodze obserwować widowisko. Porcellus skulił się pod kamiennym łukiem, trzęsąc się jak chwast na wietrze. Wstrząsnęło nim, jak niedbale, od niechcienia Jabba ją zamordował... Nie poświęcił jej śmierci więcej uwagi niż następnej żabie ryżowej, którą wepchnął do ust i przełknął.

Równie niedbale, pomyślał Porcellus, blady i bliski mdłości z przerażenia, zabije mnie, jeśli kolejna, drobna choćby niestrawność znów podsunie mu myśl o *fierfek*.

Tej samej nocy łowca nagród przyprowadził Wookiego.

To była naprawdę czysta operacja. Wookie - ponad dwa metry kudłatej sierści i paskudnego temperamentu - był partnerem koreliańskiego przemytnika o nazwisku Solo, którego nieruchome ciało, zamrożone w karbonicie, od miesięcy zdobiło ścianę pałacu Jabby. Porcellus zastanawiał się kiedyś, czy go nie odmrozić, w nadziei na to, że mężczyzna pomoże mu w ucieczce, ale w ostatniej chwili stchórzył. Nie wiadomo było, na ile przemytnik okaże się skłonny do współpracy, nawet gdyby Porcellusowi udało się ukryć go dostatecznie długi czas, by wyszedł z pohibernacyjnej ślepoty. Na samą myśl o tym, co zrobiłby z nim Jabba, gdyby przyłapał go na próbie ucieczki, Porcellus oblewał się potem.

Jabba ogłosił za Wookiego nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy kredytów i był gotów faktycznie wypłacić połowę tej kwoty. Po przedłużających się negocjacjach z łowcą nagród - szczuropolobnym, drobnym stworzeniem w skórzanej masce oddechowej - w których trakcie łowca nagród zagroził odpaleniem detonatora termicznego, który miał pod ręką w kieszeni, zgodzili się na trzydzieści pięć. W tym momencie Porcellus wycofał się do kuchni, doszedłszy do wniosku, że nie nadaje się do tego typu negocjacji finansowych; zastanawiał się, co sam by zrobił, gdyby ten właśnie łowca nagród pojawił się w jego kuchni, żądając faworków albo kremu chahtilly.

Podkuchenny Phlegmin leżał martwy na środku podłogi w przedsionku dla dostawców.

Porcellus poczuł, że robi mu się ciemno przed oczami; ta ciemność cuchnęła rankorem. Chwilę potem olbrzymia łapa odepchnęła go na bok i do przedsionka wpadł Ree-Yees, obleśny oszust z Gran i jeden z mniej ważnych dworaków Jabby, wybałuszając z niedowierzaniem na kuchcika troje oczu na krótkich szypułkach.

- Nie miałem z tym nic wspólnego! - krzyknął Porcellus. - On nic nie jadł w tej kuchni! Nawet nie dotknął jedzenia!

Ree-Yees rzucił się na kolana i zaczął szukać czegoś wśród źdźbeł kozibrody w otwartym pudle stojącym obok ciała Phlegmina. W ogóle nie zwracał uwagi na kucharza.

- Hej! - dudniący, sapiący głos dochodził od drzwi. - On spać? To był gamorreński strażnik - ten sam, uświadomił sobie Porcellus, na którego się natknął, gdy wynosił z pałacu ciało martwego Ak-Buza.

Przed oczami przemknęło mu w jednym błysku całe życie, w kalejdoskopie krokietów i coruscańskiego sosu.

- Ja tego nie zrobiłem!

- W samą porę! - Ree-Yees zerwał się na równe nogi. - Właśnie go znalazłem... eee... natknąłem się na niego... w korytarzu... w pobliżu wylotu tunelu do kwatery Ephanta Mona! I przyniosłem go tutaj, żeby go reanimować... to specjalna technika, inhalacja wyziewami kuchennymi... to jego ostatnia szansa... nauczyłem się tego od...

Okazując wielką przytomność umysłu, Porcellus wycofał się ukradkiem z przedsionka dla dostawców i ukrył w najciemniejszym kącie kuchni. To stamtąd obserwował, jak kilka minut później gamorreński strażnik wychodzi przejęty, niosąc na ramieniu ciało martwego kuchcika. Tuż za nim szedł Ree-Yees, zataczając się, jakby mu zamarynowano mózg, i cuchnąc sullustańskim dżinem.

W pałacu stanowczo coś się działo.

- To spisek - mruknął Gartogg, gamorreński strażnik, gdy wrócił do kuchni następnego rana, z ciałem Phlegmina nadal przewieszonym przez ramię. W narastającym upale nie był to najlepszy pomysł. - Poszlaki. - Długi namysł, jakby jedna komórka w jego mózgu mozolnie szukała połączeń z kolejną. - Wszystko powiązane. - Poczęstował się garścią paków chroniących słoń z kandyzowanymi renetami i zaczął głośno węszyć. - Dziewczyna. Ona, hmm...

- Jaka dziewczyna? - zapytał Porcellus. - I zabierz stąd to ohydztwo!

- Najemniczka. Przyprować Wookie. Wczoraj. - Gartogg zlizął z dolnej wargi strzępek plastiformowych paków. - Dziewczyna Solo. Przemysłnika. Szef ich złapać. - Starannie umieścił na miejscu oko, które wypadło z oczodołu trupą i spojrzał pytająco w stronę puddingu z bułki z białą czekoladą który Porcellus przygotowywał na kolacyjny deser.

- Zabieraj stąd tego trupa! - zażądał Porcellus. - Tu się gotuje, to miejsce musi być czyste! Czyste i zdrowe! - Nie chciał, żeby Gamorreanin zaczął rozmyślać o spiskach właśnie w jego kuchni.

Ale Gartogg miał rację co do dziewczyny. Kiedy wezwano go do sali audiencyjnej Jabby na początku wieczornej uczy, Porcellus zauważył brak matowego, brązowoczarne bloku karbonitu, który od miesiący ozdabiał alkowę, i obecność nowej „zabawki” na platformie tronowej Jabby.

Poczuł, że z litości dla niej ścisną mu się serce. Była bardzo drobna, szczupła i krucha w tych kilku niewielkich szmatkach wyszywanych srebrem i złotem, które pozwolił jej nosić Jabba; ciężkie, ciemne włosy miała upięte wysoko na arystokratycznej głowie.

- P-przepraszam... - zająknął się, przyklękając przy platformie u jej boku. - Jeśli jest coś, co mógłbym pani przynieść z kuchni...

Była to wyjątkowo nieudolna oferta pomocy i wiedział tym, ale dziewczyna uśmiechnęła się i wzięła go za rękę.

- Dziękuję. - Głos miała jak przydymiony miód; w jej oczach widział nie strach, ale głęboką troskę.

Solo, pomyślał Porcellus z rozpaczą. Jest zakochana w tym przemysłniku Solo. Znalazła się w tej rozpaczliwej sytuacji - więźnia w pałacu Jabby, podobnie jak Porcellus - z powodu miłości.

I dlatego, choć serce bolało go z powodu własnej miłości do dziewczyny, zatroszczył się o to, by Solo dostał jedzenie z pałacowej kuchni, co wcale nie było takie oczywiste w lochach Jabby. Wielu więźniów w ogóle nie dostawało jedzenia przez długi czas. Ale Porcellus, choć z przerażenia serce za każdym razem podchodziło mu do gardła, przekupywał strażników faworkami i makaronikami czekoladowymi, by zanosili mięso Wookiemu, a ponieważ wiedział, że choroba pohibernacyjna

powoduje dreszcze osłabionego ciała które w ten sposób gwałtownie domaga się węglowodanów, przemycał paszteciki i grzanki z jajkiem ukochanemu kobiecie, którą pokochał.

Czuł się jak głupiec - faceta i tak czekała egzekucja, a pomagając mu, Porcellus sam wkładał głowę w paszczę rankora. Ale tylko tyle był w stanie dla niej zrobić. Kiedy następnej nocy znów wzięła go za rękę i szepnęła „Dziękuję, Porcellusie. Bardzo ci dziękuję”, i spojrzała mu w oczy, przez jedną chwilę czuł, że warto było się narażać.

Dudniący, przerażający rechot Jabby rozległ się nagle nad ich głowami.

- Uważaj, śliczna Leio - powiedział powoli i niemal niezrozumiale Jabba. W sali wokół nich panował nieopisany harmider, zwykły o tej porze, gdy uczta przeradzała się w orgię hazardu, pijaństwa i testosteronowych bójek: Max Rebo i jego zespół grali, a złośliwy mały zwierzak Jabby, Sprośny Okruszek, wywrzaskiwał demoniczny duet z piosenkarką Sy Snootles.

Jabba uniósł złotą tacę, na której leżały smażone nerki larw piaskowych - pierwsze z dań zaserwowanych przez Porcellusa tego wieczoru. Po przygodzie z wegetariańskimi naleśnikami Porcellus wrócił do ulubionych przystawek Jego Opasłości, ale teraz za każdym razem podawał je z drżeniem serca.

- Myślę, że w tych daniach jest *fierfek*. Co ty na to, kucharzu?

- Nie... - szepnął Porcellus rozpaczliwie, sprawdzając pospiesznie, czy nie stoi na zapadni nad pieczarą rankora. - Nie... to nieprawda...

- Oczywiście, że nie. - Leia spojrzała na pobladłą twarz kucharza i wstała odbierając tacę z daniem z rąk Jabby. - Nie ma w tym *fierfek*, prawda, Porcellusie?

- Mhm...

- Wasza Wysokość... - zaczął ostrzegawczo robot protokołarny C-3PO. - Doprawdy nie radziłbym...

Jabba zazwyczaj bezceremonialnie obywatł się bez sztuców; wystarczały mu misternie spiętrzone wokół brzegu tacy skorupki otaczające smrodliwą żółtą galaretowatą masę. Posługując się jedną z nich jak łyżką, Leia połknęła pełne dwie porcje. Zzieleniała i gwałtownie usiadła.

Jabba ryknął obscenicznym śmiechem. Sprośny Okruszek, przeskakując ponad głowami tłumu otaczającego zespół muzyczny, znalazł się na plecach gamorreńskiego strażnika stojącego najbliżej platformy tronowej Jabby, brzydkiego prostaka zwanego Jubnukiem, a kiedy Jubnuk trzepnął go poirytowany, pobiegł z piskiem ku swemu panu, ciskając resztką nerek larwy piaskowej w strażnika. W zamieszaniu, które wywołał, Porcellus zdołał pospiesznie wycofać się z głównej sali. Ale przez całą noc, póki trwała uczta, wracał raz po raz sprawdzić, jak czuje się Leia, która wyglądała coraz bardziej mizernie.

Nie każdemu służyły nerki larwy piaskowej.

Tego by tylko brakowało, pomyślał Porcellus z rozpaczą, gdyby ona też umarła. Jubnuk, który zlizal dokładnie resztki potrawy ze swojej zbroi i ścian, wyglądał na zdrowego jak ryba. Porcellus uznał to za pocieszający objaw.

Luke Skywalker, ostatni z mistrzów Jedi, wszedł do pałacu wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

Porcellus dowiedział się o tym, kiedy na palcach przekradł się pomiędzy ciałami śpiących w sali audiencyjnej, niosąc filiżankę winnej kawy i świeżo upieczoną bułeczkę z galaretką, i zobaczył, jak do sali wchodzi Bib Fortuna, a za nim szczupły, skromny mężczyzna średniego wzrostu w czarnych szatach.

- Mówiłem ci, żebyś go nie wpuszczał - zadudnił Jabba, gdy majordomus obudził go, by przyjął stojącego przed nim młodego mężczyznę.

Porcellus cofnął się pospiesznie, chowając się wśród zaskoczonych tłumów skacowanych dworaków Jabby; jeden z nich - ciemnoskóry mężczyzna, niedawno przybyły, w hełmie zdobionym kłami gondara - zabrał mu winną kawę i bułeczkę.

- Twój pan musi mnie wysłuchać - powiedział Skywalker miękkiem głosem. Bib Fortuna momentalnie odwrócił się w stronę gangstera.

- Musisz go wysłuchać, panie...

- Ty bezmózgi głupcze! - Jabba odepchnął Fortunę. - Ta stara sztuczka Jedi na mnie nie działa!

Skywalker skłonił głowę w pełnym szacunku ukłonie.

- Przyrowadzisz do mnie kapitana Solo i Wookiego - powiedział, a Porcellus poczuł nieopanowaną potrzebę, by natychmiast biec do lochu, zabrać klucz kapitanowi Ortogowi i zrobić to, czego zażądał Skywalker.

- Uwaga! - pisnął C-3PO, którego, o ile Porcellus dobrze pamiętał, właśnie Skywalker podarował Jabbie. - Stoi pan na...

- Twoje sztuczki na mnie nie działają - powiedział Jabba, zagłuszając ostrzeżenie robota, że Skywalker stoi na zapadni nad pieczarą rankora.

- Mimo to - powiedział Skywalker łagodnie - zabieram stąd kapitana Solo. Możesz albo na tym zyskać, albo zginąć.

Jabba uśmiechnął się złowrogo, a jego oczy rozblęły czerwienią, gdy zmrużył źrenice.

- Z przyjemnością będę patrzył na twoją śmierć. Porcellus widział wcześniej, jak Skywalker, gdy tylko wszedł do sali, porozumiał się spojrzeniem z Leią która widząc podchodzących do niego strażników, krzyknęła:

- Luke! Skywalker zrobił nieznaczny gest i nagle miał w dłoni blaster, który jeszcze przed chwilą tkwił w kaburze oddalonego o dobre cztery metry strażnika. Zdażył oddać tylko jeden strzał, kiedy go otoczyli. Jubnuk właśnie miał go pochwycić, gdy zapadnia pod jego stopami rozwarła się i obaj ze Skywalkerem wpadli do pieczary pod podłogą.

- Luke! - krzyknęła znowu Leią szarpiąc się bezskutecznie na łańcuchu; cały dwór ruszył do przodu, pociągając ze sobą Porcellusa, by obserwować widowisko w pieczarze.

W jednej chwili, gdy uniosła się krata, przerażający, koszmarny rankor rzucił się do przodu ze swojego legowiska. Brunatny, oślizły i niewiarygodnie ohydny skoczył najpierw ku Jedi, który zdołał jednak wcisnąć się w szczelinę w skale, by zaraz odwrócić się i złapać Jubnuka, który starał się wydostać przez zakratowane okno na drugim końcu pieczary. Porcellus stał wśród innych Gamorrean, którzy patrzyli, jak zręcznie rankor złapał Jubnuka w pasie i połknął go w trzech kęsach - kapitan Ortogg i jego oddział pękali ze śmiechu, niemal zagłuszając przerażone wrzaski umierającej ofiary. Kucharz poczuł, że robi mu się słabo, gdy wyobraził sobie, że to jego ściska w pasie szkaradna łapa, że to jego ręka znika w okrągłej, zębatej paszczy potwora, jak ostatnią wciągana ze świstem nitka makaronu...

Nie mnie... pomyślał rozpaczliwie. Nie mnie...

Skywalker dostrzegł okazję i momentalnie ją wykorzystał. Przebiegł pod nogami rankora do mniejszej pieczary, w której rankor sypiał, i stamtąd cisnął czaszką w mechanizm sterujący wrotami oddzielającymi ją od reszty lochu, zakończonymi ciężkimi, metalowymi sztabami. Porcellus nie był pewien, czy użył jakiejś sztuczki Jedi, by pocisk trafił w cel, czy też zawdzięczał to bezbłędnemu oku

wojownika. Tak czy owak, wrota opadły niczym gilotyna, przebijając zaostrzonymi sztabami czaszkę rankora.

Potwór ryknął straszliwie i znieruchomiał.

W ciszy, która nagle zapadła wśród zgromadzonych wokół Porcellusa bandytów, usłyszał tylko z głębi pieczary rozpaczliwy jęk Malakilego:

- Neeeeeeee!!! Porcellus był bezpieczny. Wyprostował się, czując w sercu dziwną lekkość. Przez pięć lat Jabba straszył, że rzuci go na pożarcie rankorowi... a teraz potwór nie żył. Było mu przykro ze względu na Malakilego, gdy usłyszał jego pełne bólu łkanie, ale w pierwszym odruchu niewysłowionej ulgi trudno było mu współczuć osamotnionemu nagle przyjacielowi. Rankor nie żył...

Strażnicy przyprowadzili tymczasem do sali audiencyjnej przemytnika Solo, a za nim olbrzymiego Wookiego. Solo nadal był niewidomy wskutek pohibernacyjnego szoku, ale wyraźnie silniejszy - Porcellus miał nadzieję, że nikt nie zapyta, kto podkarmił przemytnika. Obu wypchnięto przed platformę tronową Jego Opasłości.

- Jego Najwyższa Wysokość rozkazał, byście zostali straceni - powiedział tłumacz C-3PO roztrzęsionym głosem. Po kilku dniach w pałacu Jabby wyglądał znacznie gorzej niż na początku, pokryty zaschniętymi plamami zielonkawej, śluzowatej śliny Jego Opasłości i resztkami nerek larwy piaskowej. - Zostaniecie zabrani na Morze Wydm i wtrąceni do Jamy Carcoona, zamieszkiwanej przez Sarlacca. W jego trzewiach, trawieni przez tysiące lat, poznacie nową definicję bólu i cierpienia.

- Trzeba było dobić z nami interesu, Jabba - powiedział cicho Skywalker. Strażnicy popchnęli go razem z Solo i Wookiem w stronę drzwi; Leia, przykuta do platformy, zerwała się z najwyższym niepokojem, ale Jabba przyciągnął ją łańcuchem do siebie. - To ostatni błąd w twoim życiu.

Porcellus oparł się o sklepioną ścianę wejścia, w którym stał, czując, że kolana ma zupełnie miękkie. Niezależnie od tego, co się miało stać, rankor nie żył. Groźba, która wisiała nad jego głową przez te wszystkie lata...

- Ty też! - Jabba odwrócił się nagle na swojej platformie, przewiercając Porcellusa miedzianoczerwonymi oczami. Spomiędzy olbrzymich warg sączyła mu się strużka śliny, a gruby paluch celował prosto w Porcellusa. - Ty też zginiesz...

- Co? - wrzasnął Porcellus.

- Nie możesz teraz zaprzeczyć, że w moim jedzeniu był *fierfekl* Zabrać go! - Jabba przywołał kilku ostatnich strażników, którzy jeszcze byli w sali. - Zabrać go do najgłębszego lochu! Kiedy moja barka żaglowa wróci z miejsca kaźni Skywalkera i Solo, będę miał czas, żeby się nim zająć.

- Ale nikt, kto skosztował twojego jedzenia, nie umarł od trucizny! - bronił się Porcellus, widząc zamykający się wokół krąg strażników. - Jubnuk... i Oola...nie możesz...

- Och, *fierfek* nie musi oznaczać trucizny - wyjaśnił ochoczo C-3PO. - Niezwykle trudno jest otruć Hutta, jak wiadomo. Ale niemal wszystkie słowa w huttańskim odwołują się do sfery jedzenia. *Fierfek* oznacza po prostu urok, śmiertelną klątwę... a nie możesz zaprzeczyć, że i Jubnuk, i nieszczęsna Oola zginęli wkrótce po tym, jak skosztowali twoich potraw. To oczywiste nieporozumienie.

I tak było, ale Porcellus nie czuł się specjalnie pocieszony, gdy wleczono go wrzeszczącego do lochu, gdzie miał czekać na śmierć.

ALE ZABAWA opowieść Sprośnego Okruszka

Esther M. Friesner

Melvosh Bloor, Kalkal, nie miał okularów, które mógłby poprawić na nosie, ograniczał się więc do przecierania ekranu swego notesu komputerowego za każdym razem, gdy czuł się podenerwowany. Jak przystało na dobrego uczonego, jego główną reakcją na przedłużone kontakty ze światem realnym była nerwowość. Naturalnie, podobnie jak przy wszystkich ważnych rzeczach w życiu (tak sobie powtarzał), należało zagwarantować, że nerwowość ta będzie miała jakiś cel. Wszystko, co robił Melvosh Bloor, było celowe.

Pozornie mogło się wydawać, że cel dokonywanych przez niego prób infiltracji siedziby słynnego gangstera Hutta Jabby był prosty: chciał umrzeć, a brakowało mu odwagi, by zabić się samemu. Ale to byłoby przecież śmiertelne uproszczenie, Z drugiej strony, śmiertelne uproszczenie mogło okazać się niezwykle trafną prognozą jego losu.

Ojej, o jejej! - myślał Kalkal, kręcąc się niespokojnie wśród przecinających się korytarzy fortecy Jabby. Gdzie jest ten facet? - zastanawiał się. Myślałby kto, że przy takiej cenie - którą zapłacił przecież w ciemno, z góry, polegając jedynie na rekomendacji kolegi - gość zdoła przynajmniej stawić się na czas w umówionym miejscu.

Wdepnął w coś gęstego i lepkiego na korytarzu. W tej części pałacu Jabby było bardzo mało światła, ale Melvosh Bloor miał doskonały wzrok, typowy dla wszystkich Kalkalów, czy to w dzień, czy w nocy. Dlatego też nie mógł nie zauważyć, że ta część kleistej masy, w którą właśnie wdepnął, miała oczy.

- Dopraszam się wybaczenia! - jęknął Melvosh Bloor, przykładając drżącą dłoń do warg; czuł kwaśny smak soków żołądkowych, które podeszły w górę przełyku. Jego ostatni posiłek nie należał do najdelikatniejszych - tak naprawdę w porównaniu z nim nawet racje wydawane w refektarzu dobrego, starego Uniwersytetu Beshka wydawały się smaczne - więc nie miał ochoty na powtórkę. (Choć Kalkalowie słynęli z tego, że są w stanie przełknąć wszystko - nawet uniwersytecką strawę - nie było gwarancji, że zjedzony posiłek nie zostanie zwrócony, jeśli się porządnie zdenerwują. To coś z oczami mogłoby pewnie przyprawić o wymioty samego Jabbę).

- Dopraszam się wybaczenia? Dopraszam się wybaczenia? - W wilgotnej ciemności eksplodował świdrujący, chrapliwy głos, przedrzeźniając górnolotne przeprosiny Melvosha Bloora. Z rur pod sufitem wydobył się gdaczący rechot, który odbił się echem w ponurych korytarzach, prowadzących w miejsca, których pewnie lepiej byłoby nie oglądać.

Melvosh Bloor sapnął, rozejrzał się dookoła rozbieganymi, żółtymi oczami i przywarł gwałtownie plecami do najbliższej ściany.

- Kto tu jest? - szepnął, gubiąc delikatne, płaskie łuski pokrywające jego szerokie wargi. Odpowiedziała mu cisza.

Trzęsąc się cały, uczony sięgnął po ręczną broń, którą jego przewodnik, Jawa, wcisnął mu do ręki, zanim rozstali się przed pałacem. Daleko przed pałacem. Choć nienawidził samej myśli o przemocy i odrazą napawały go jej narzędzia, Melvosh Bloor sądził, że byłby zdolny zabić inną żywą istotę w razie potrzeby (tylko po to, by chronić akademickie wolności - takie jak życie uczonego). Poczuł przelotną wdzięczność dla Jawy za upór, z jakim nalegał, by uczony zabrał broń.

Być może fakt, że Kalkal nie mógłby zapłacić Jawie pozostałej części wynagrodzenia, zanim nie powróci do Mos Eisley, w niemałym stopniu zaważył na trosce przewodnika o osobiste bezpieczeństwo Melvosha Bloora. Niegodna myśl, jak na jednego z najlepszych (choć jeszcze niemianowanych), wybijających się profesorów Katedry Badań Socjologii Politycznej Uniwersytetu Beshka. Melvosh Bloor odepchnął ją od siebie, rozglądając się po mrocznym korytarzu.

- Eee... dzień dobry - zaryzykował. Nabrał nadziei, gdy uświadomił sobie, kim mógł być jego niewidzialny rozmówca. - Czy to Darian Gli? Spóźniłeś się... - Starał się, by nie zabrzmiało to jak wymówka. Tak bardzo chciał, żeby głos, który właśnie usłyszał, należał do zatrudnionego przezeń zaocznie przewodnika po pałacu Jabby, że aż w to uwierzył, i nie chciał teraz go urazić. - I... i mieliśmy się spotkać spory kawałek wcześniej w tym korytarzu. Jeśli się nie mylę co do naszej umowy. Ale pewnie się mylę. To wszystko moja wina. Nie chciałem cię urazić. Przepraszam.

Gdzieś w oddali kapala woda - niesamowite zjawisko, tym bardziej że pałac Jabby leżał w samym środku Morza Wydm, okrutnej, bezlitosnej pustyni, gdzie taniej byłoby upuścić komuś krew, niż znaleźć wodę. Delikatna bryza owiała twarz Melvosha Bloora, lekka jak welon tancerki. Czekając na odpowiedź, wypuścił powietrze przez szerokie, płaskie nozdrza.

Dudniący dźwięk - ni to ryk, ni to pisk - wstrząsnął ścianą pod którą kulił się Melvosh Bloor. Akademik skoczył do przodu, niechcący wydając z siebie żaloszny okrzyk przerażenia. Na nieszczęście, wylądował prosto w kałuży rzadkiego łajna na którym pośliznął się i wywrócił. Upadł z obrzydliwym pluskiem. Osieroczone oczy wpatrywały się w niego teraz z tępą niechęcią przepracowanego zwierzęcia pociągowego.

Ten sam maniackalny śmiech, który słyszał wcześniej, ponownie rozległ się nad głową Melvosha Bloora. Tym razem jednak drobne, gumiate stworzenie wyszło ze swojej kryjówki i spadło prosto na brzuch oszołomionego uczonego. Pomarszczona twarz wykręciła się w grymasie bezmyślnego, złośliwego uśmiechu, stając nos w nos z profesorem. Melvosh Bloor poczuł wstrząs na widok tej odrażającej aparycji, ale w końcu na uniwersyteckich herbatkach nieraz trafiał w pułapkę brzydszych stworzeń, które na dodatek musiał zabawiać towarzyską rozmową.

- Eee... witam. - Uniósł w pozdrowieniu prawą dłoń, zapominając, że nadal trzyma w niej pożegnalny podarunek od Jawy. Stworzenie usadowione na jego podołku wydało przejmujący okrzyk przerażenia i czmychnęło kilka kroków dalej. Tam stanęło, przestępując z nogi na nogę i trajkocząc gniewnie.

- Pp-przepraszam! - Melvosh Bloor zająknął się, chowając szybko broń. - Zapewniam cię, że nie miałem zamiaru do ciebie strzelać. Piękne by to było powitanie, he, he! - zmusił się do głupkowatego uśmiechu w nadziei, że stworzenie ma jakieś poczucie humoru.

- Piękne powitanie! - W odpowiedzi stworzenia nie było śladu humoru, tylko czysta niechęć. Objęło się sflaczałymi ramionami i wpatrywało groźnie w nieszczęśliwego uczonego.

- Ojej! Przepraszam, naprawdę przepraszam! Musisz pewnie uważać mnie za okropnie wielkiego głupca. - Melvosh Bloor niepewnie wstał i oddalił się niepewnymi krokami od szczątków niewiadomczego, któremu tak niezgrabnie zakłócił ostateczny spoczynek.

- Okropnie... duuuuży... głupiec! - powtórzyło stworzenie, nasycając każde słowo bezbrzeżną pogardą. Coraz lepiej udawało mu się imitować akademicki akcent uczonego. Wydawało się, że naśladuje także postawę Melvosha Bloora, który stał lekko przygarbiony i wystraszony. Gdyby uczonego nie był przekonany, że to niemożliwe, mógłby pomyśleć, iż stworzenie stroi sobie z niego żarty. Ale tego nie było przecież w umowie.

Melvosh Bloor włożył broń do kabury i w imię wypełnienia swej misji postanowił przełknąć zniewagę.

- Dobrze - powiedział. - Teraz lepiej. A zatem chodźmy dalej.

- Dalej? - Stworzenie potrząsnęło głową przecząco; jego frędzlowate uszy zatrzepotały przy tym gwałtownie.

- Nie? - Ulga, jaka Melvosh Bloor poczuł, spotkawszy swojego obiecanego przewodnika, zgasła jak świeczka w czasie burzy piaskowej. - Chcesz powiedzieć, że to zbyt niebezpieczne? Czy może... może sytuacja zmieniła się, od kiedy dostałem ostatnie wiadomości? - Ściszył głos i chrapliwym, przerażonym szeptem zapytał: - Nie chcesz chyba powiedzieć, że profesor P'tan jednak pojawił się żywy?

- P'tan! P'tan! Hahahahaha! - Małym stworzeniem wstrząsnęły konwulsyjne drgawki szalonego rozbawienia; zaczęło tarzać się po podłodze u stóp zaniepokojonego Melvosha Bloora.

- Ojej! Ojejeje! - wymamrotał pod nosem uczonego. - A więc profesor P'tan jednak żyje! No cóż, no cóż... - wszystko stracone.

Stworzenie przestało obłąkańczo dygotać i zastrzygło jednym uchem.

- Wszystko? - zapytało. Melvosh Bloor westchnął ciężko.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać? Bezpiecznie porozmawiać? I gdzie... - znów westchnął - mógłbym usiąść?

W jednej chwili nastąpiło coś niebywałego: stworzenie uśmiechnęło się szerzej niż od ucha do ucha czy było to fizycznie możliwe, czy też nie. Następnie skoczyło do przodu i złapało Melvosha Bloora za rękę, ciągnąc go mocno (i boleśnie) w stronę jednego z węższych korytarzy. Potykając się ze zmęczenia i zachwytu, Kalkal pozwolił się prowadzić przez labirynt korytarzy.

W końcu stanęli przed połyskującymi słabo metalowymi drzwiami.

- Tutaj? - zapytał z powątpiewaniem uczonego? - Czy to...? Jesteś pewien, że w środku będziemy bezpieczni?

- W środku - powtórzył przewodnik zdecydowanie i pchnął go mocno. - W środku!

Nadal nie mogąc się pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak (czyż ta niezwykle urocza jak na Whipidkę lady Valarian nie zapewniła go, że osoba, która zgłosił się do niego w pałacu, niejaki Darian Gli, jest Markulem? To stworzenie w niczym nie przypominało Markula. Ale w końcu Melvosh Bloor był socjologiem politycznym, a nie ksenologiem, uznał więc, że może się mylić), uczonego zrobił, co mu kazano. Położył dłonie na masywnych drzwiach i zdumiał się lekko, gdy stanęły przed nim otworem.

- Cóż za... prymitywna sztuczka - zauważył, zaglądając do ciemnej izby za drzwiami. Słabe światło wpadające z korytarza wystarczało, by coś widzieć. Zawahał się na progu, ale jego przewodnik znów pchnął go tak mocno, że Kalkal potknął się o własne buty i upadł na twarz. Trajkocząc i piszcząc z radości, stworzonko wbiegło na plecy leżącego Melvosha Bloora. Uczonego usłyszał skrobanie i nagle na drugim końcu pokoju rozbłysło wątle, bursztynowe światło.

Melvosh Bloor podniósł się ostrożnie.

- Czy... czy mam zamknąć drzwi?

- Zamknąć drzwi! Zamknąć drzwi! - powtórzył rozkazująco przewodnik. Siedział na kawałku topornie ociosanego piaskowca wysokości stołu. Bursztynowe światło dochodziło z małej, osłoniętej szybą niszy w ścianie za nim. Jedyłą rzeczą zakłócającą monotonię kwadratowego pokoju był drugi blok kamienia, rozmiarów łóżka Melvosha Bloora w jego uniwersyteckim pokoiku.

Melvosh Bloor pospiesznie spełnił polecenie, a potem przysiadł na kamiennym bloku. Ukrył twarz w dłoniach i pozwolił, by cały ciężar nieszczęścia przygarbił mu ramiona jeszcze mocniej.

- Przypuszczam, że to na mnie spadnie wina, bo nie dość dokładnie zbadałem sytuację przed podjęciem tej misji - powiedział. - Nie wątpię, że profesor P'tan pierwszy mi to wytknie, kiedy wrócimy na uniwersytet. Nieznośny stary mądrala. Już go słyszę, jak przemawia tym samym zarozumiałym tonem, którego zawsze używa wobec młodszych profesorów.

Melvosh Bloor wyprostował się i zaczął przedrzeźniać pompatyczny głos przełożonego:

- „Melvoshu Bloor, i ty nazywasz to nauczaniem? Przecież ty po prostu wbijasz fakty w biedne, tępe głowy swoich uczniów i wpisujesz zaliczenia, jeśli wyplują te same głupstwa, które od ciebie usłyszeli. Ale czemu się tu dziwić? Te same pomyje intelektualne włączano wcześniej do głowy tobie”. - Kalkal prychnął. - Potem zaczniesz się puszyć, jak to on nigdy nie opiera się na informacjach z drugiej ręki, kiedy uczy; jak on opuszcza bezpieczne mury uniwersytetu i sam przeprowadza badania terenowe. Jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówi „Publikuj lub giń!”, to...

- Badania terenowe? - wtrąciło się stworzonko, przekrzywiając głowę. A potem wydało z siebie niezwykle pogardliwy odgłos, choć Melvosh Bloor nie był pewien, którą częścią ciała.

- Masz absolutną rację - zgodził się uczony. - Żałuję, że na uniwersytecie nie ma więcej podobnych tobie uczciwych stworzeń. Czy masz jakieś doświadczenia akademickie?

Stworzonko powtórnie wydało ten sam pogardliwy odgłos, okraszając go kilkoma innymi o podobnej wymowie.

- Ach... - powiedział sucho Melvosh Bloor. - Widzę, że tak.

- Profesor P'tan? - ponagliło go stworzonko.

Melvosh Bloor nie był przyzwyczajony do towarzystwa, które tak chętnie go słucha.

- Chcesz, żebym... mówił dalej? - zapytał nieśmiało.

- Mówił dalej, mówił dalej! - odpowiedziało stworzonko, machając rękami. Melvosh Bloor poczuł, że z każdą chwilą bardziej lubi swojego cudacznego towarzysza.

- Mój drogi kolego, twoja... e... tak przenikliwa ocena charakteru profesora P'tana każe mi przypuszczać, że miałeś okazję go spotkać, choć zarzekał się, że nie ma z tobą nic wspólnego. Co - popraw mnie, jeśli się mylę - uważam za wyjątkowo głupią wypowiedź.

- Głupią!

- Ach! A zatem zgadzamy się i w tej kwestii. Kiedy po raz pierwszy planowałem... to znaczy rozważałem tę ekspedycję, moi znajomi profesorowie Ra Yasht i Skarten zapewnili mnie, że mając ciebie u boku, nie może mi się nie udać. Może ich pamiętasz? Pomogłeś im w badaniach do tej fascynującej monografii *Tortury pod obserwacją: zwierzenia kucharza Jabby*.

Stworzenie wydało odgłos, jakby miało dostać torsji, ale trudno było powiedzieć, czy miała to być krytyka literacka, czy kulinarna.

- Bez wątplenia masz prawo do własnej opinii, ale ta właśnie monografia wyrobiła im renomę. Natychmiast otrzymali dożywotnią profesurę. Profesor P'tan był wściekły, bo zbyt mało jeszcze wycierpieli, według jego standardów, ale rada go przegłosowała. Właśnie wtedy wysłałem mój

wniosek o urlop na realizację projektu tak ambitnego, tak szeroko zakrojonego, że nawet gdyby profesor P'tan groził członkom rady, sama śmiałość mojego planu zmusiłaby ich do sprzeciwienia się mu i przejścia na moją stronę. Chciałem się zająć jedną z największych i najmniej znanych tajemnic socjopolityki w galaktyce. Uchylić zasłonę oddzielającą praworządne społeczeństwo od najmroczniejszego, najobrzydliwszego i najbardziej odrażającego dochodowego fenomenu naszych czasów. Przeprowadzić rozmowę z ni mniej, ni więcej, tylko... Hurtem Jabbą! - W oczach Melvosha Bloora pojawił się błysk dumy, gdy przypomniał sobie, jak wielki projekt ma zrealizować.

- ...rozmowę z Hurtem Jabbą? - przewodnik Melvosha Bloora wybuchnął gulgoczącym chichotem; tak mógłby się śmiać rozbawiony budyń.

- Właśnie. Usiądziemy i porozmawiamy miło, jak cywilizowane istoty, i...

- Miło? Miło? Z nim?

Słyszając, że stworzenie tak otwarcie wyśmiewa jego pomysł, uczony przeszedł do defensywy.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział sztywno. - Zdaje sobie sprawę, że., że Jego Opasłość, jak barwnie o nim mówią ma określoną reputację, ale jednak... - Melvosh Bloor zwinął usta w trąbkę w sposób charakterystyczny dla Kalkalów. - Na początku, kiedy cię zaangażowano do tego projektu, powiedziałeś, że możesz to zaaranżować. Przedstawiłeś się jako osoba z bliskiego otoczenia Jabby.

- Blisko Jabby? - stworzonko nie przestało chichotać spazmatycznie, ale przytaknęło.

- A więc możesz mnie do niego zabrać? Nie do jego majordomusa czy sekretarza, czy kto tam selekcjonuje mu rozmówców, ale do samego Jabby?

- Zabrać? Możesz zabrać? Ha! - teraz stworzonko kiwało głową z takim zapalem, że frędzlowate uszy omal mu nie odpadły. - Do samego Jabby! - Chwycił się za długą giętką stopę i zaczął kołysać w przód i w tył. - Do Jabby, do Jabby, do Jabby!

- Tak jak przewodnik profesora P'tana? - zapytał zimno Kalkal. W tej niewielkiej izbie łatwo było uwierzyć, że jest się bezpiecznym, zapomnieć, że siedzi przebywa w fortecy najbardziej bezwzględного gangstera galaktyki. W tym środowisku powszechnego samooszukiwania uczony odwołał się do tonu, jaki zwykle przybierał w klasie - mieszaniny zimnej pogardy dla podwładnych, bezwstydnego podlizywania się przełożonym i wbijania noża w plecy konkurentom, gdy tylko nadarzyła się okazja.

- P'tan wyczuł pismo nosem - ciągnął Melvosh Bloor. - Wlaż na zebranie rady, kiedy wnioskowałem o urlop naukowy i finansowanie. Powiedział, że to śmiechu warte, żeby powierzać badania tej rangi młodszemu profesorowi... i nieważne, że to był mój pomysł! Powiedział, że pomieszam wszystkie dane albo dam się zwieść skłonności Hutta do., hmm... naginania faktów.

- Kłamstwa kłamstwa kłamstwa! - uznało stworzonko. - W stylu Grana!

- No cóż, chyba muszę się z tobą zgodzić - przyznał Melvosh Bloor, uśmiechając się łaskawie do swojego przewodnika. - Ale nie powiem Jabbie, że tak się o nim wyraziłeś, jeśli ty nie powiesz, że przyznałem ci rację.

- Och!!! Ja nie powiem Jabbie! Hahahaha!

- Eee... to dobrze. - Doprawdy, nieoczekiwane napady wesołości tego stworzenia coraz bardziej rozstrajały nieśmiałego uczonego. - Ale odłóżmy na bok kwestię zasad etycznych Jabby. Otóż profesor P'tan zaczął przekonywać radę, że to on powinien przeprowadzić zaproponowany przeze mnie program. I tak zrobił. Być może rada uznała że jeden żaloszny złodziej najlepiej nadaje się do przeprowadzenia wywiadu z drugim.

- Żaloszny złodziej? Hurt Jabba? Jabba żaloszny złodziej, kłamie jak Gran? - Przewodnik zastrzygł sterczącymi na boki uszami.

- Proszę mi wybaczyć mój język. Zagalopowałem się. Chociaż o ile pamiętam, to ten ostatni kawałek... „kłamie jak Gran”... wyszedł z twoich ust.

- Nie. - Pozbawione warg usta zamknęły się kategorycznie.

- Ależ tak! Przyznaję, powiedziałem, że Jabba kłamie, ale to ty... - Melvosh Bloor uświadomił sobie nagle, że angażuje się w przegraną bitwę o drobnostkę. Westchnął ciężko.

- Dobrze, niech ci będzie, to ja powiedziałem, że Jabba kłamie jak Gran. Mogę mówić dalej?

Uzbrojoną w pazury łapką stworzonko sparodiowało gest eleganckiej damy, która odprawia służącego.

- A więc P'tan przybył tutaj. - Do szerokich ust Kalkala idealnie pasował wyraz gorzkiego zawodu. - I odtąd słuch po nim zaginął. Wszyscy mieliśmy nadzieję... to znaczy zakładaliśmy, że nie żyje, ale rada chciała mieć pewność. Mogliby wtedy w majestacie prawa obciąć jego żonie uniwersyteckie świadczenia. Dlatego też wysłali mnie, żebym ustalił ponad wszelką wątpliwość, czy profesor P'tan nadal żyje. Śmieszne... oczywiście, że nie żyje. Postanowiłem jednak przekształcić tę wycieczkę w ekspedycję naukową, o jaką od początku mi chodziło. Moją ekspedycję, podjętą w celu przeprowadzenia wywiadu z Huttem Jabba. A teraz mówisz mi, że profesor P'tan wciąż żyje. - Uczony zazgrzytał zębami:

- Wciąż żyje! - zarechotało stworzonko. - Sarlacc dłuuuugo trawi ofiary, Hahahahaha!

- Sarlacc! - Melvosh Bloor zmartwiał z przerażenia. Choć nie był ekspertem w kwestiach tego, co działo się poza murami uniwersytetu, nasłuchiwał się dość mrożących krew w żyłach opowieści o Sarlaccu i jego niezwykle rozciągniętym w czasie trawieniu, czekając w Mos Eisley na Jawę, który miał być jego przewodnikiem. Wystarczyło tego, by zapełnić luki w jego wiedzy na ten temat. - A zatem profesor P'tan wpadł do... do..

- Plusk! - dokończył zadowolonym głosem przewodnik. - Plusk! auuu! Krzyczyyyyyy! - dodał po chwili namysłu.

- Nie tak głośno, nie tak głośno! - syknął Melvosh Bloor, uciszając stworzenie gwałtownymi ruchami rąk.

- Ha! Tchórz! Myśli, że ja głupi? - stworzonko wydawało się śmiertelnie obrażone. - Jak głupi przewodnik głupi P'tan najmować? Głupi do jamy Sarlaccu! Ja proponować P'tan być przewodnik. Czy on słuchać? Nieee! On obiad! Kolacja. Śniadanie. Jeszcze obiad. Deser. Kol...

Uczony był wielce zaskoczony przemową stworzenia.

- Litości! Przewodnik P'tana musiał być głupcem pierwszej wody. Kogo P'tan zatrudnił? Jak głupi był ten przewodnik?

Jedyną odpowiedzią stworzonka był kolejny wybuch obłąkańczej radości.

- Jak głupi? Jak głupi? Głupi P'tan nająć - stworzenie prychnęło i zachichotało - nająć... - znów przerwało, tym razem dla nabrania oddechu przed kolejnym wybuchem radości - nająć Sprośny Okruszek! - Zakomunikowawszy tę wiadomość stworzonko nie mogło już wytrzymać i wybuchnęło tak gwałtownym śmiechem, że spadło z kamiennego bloku na podłogę, uderzając się w głowę. Przekleństwo, które teraz padło z jego mordki, było tak finezyjne, że Melvosh Bloor wpisał je co prędzej do notesu komputerowego do późniejszych studiów lingwistycznych, zanim zapytał:

- A kto... kto to jest ten Sprośny Okruszek? Obawiam się, że nie znam...

- Hmm... mhm... - prychnęło stworzonko wymownie, wspinając się z powrotem na swój kamienny

blok.

- Ale... co jest tak głupiego w zatrudnieniu tego Sprośnego Okruszka? Może nie zna rozkładu pałacu?

- Nie zna? he, he! Zna pałac jak moja... jak swoja przednia łapa! Ha!

- W takim razie... może nie jest najlepszą osobą, by dotrzeć do Jabby? Może to jeden z wrogów Hutta?

- Wrogów Hutta? - melodramatyczny jęk wstrząsnął całym ciałem stworzonka, które ukryło mordkę w dłoniach. - Nikt bliższy Jego Opasłość! Nikt! Cały dzień, codziennie, Hutt mówi: „Okruszku, kochany Okruszku”, mówi: „Sprośny Okruszku, rozśmiesz mnie albo cię zaraz zjem!”

- Eee... rozumiem - powiedział Melvosh Bloor, nic nie rozumiejąc. - Obawiam się, że nie do końca wiem, na czym polega ten dowcipnie...

- Lepiej ty niż Jabba. Codziennie, codziennie nowe dowcipy! Cały czas nowe, nowe, nowe! Ty tylko próbować ten sam dowcip powiedzieć dwa razy! - Twarz stworzonka wykrzywiła się w grymasie przerażenia.

- Chcesz powiedzieć, że ten Sprośny Okruszek celowo tak poprowadził profesora P'tana, by ten wpadł do jamy Sarlacca? Tak... dla żartu?

Stworzonko spojrzało na uczonego niewinnym wzrokiem.

- Dureń? Nie rozumie? Melvosh Bloor pokręcił głową. Stworzonko westchnęło.

- Jego Opasłość też nie rozumie był. On był widzieć. Mówi: „Następnym razem głośniej i śmieszniej”.

Melvosh Bloor podejrzliwie zmrużył wybałuszone, żółte oczy.

- Wygląda na to, że sporo wiesz o tym Sprośnym Okruszku.

- I co? - stworzonko zerwało się na nogi, ukazując pokrytą brodawkami skórę, która nie dodawała mu urody. - Ty sporo wiesz o Jabba. Czy ty przez to Hutt?

Melvosh Bloor wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nie. Stworzonko prychnęło.

- Chodź.

Tym razem to uczonego powtórzył jak katarynka:

- Chodź? Dokąd? Chyba nie chcesz, żebym poszedł z tobą do... do... samego Hutta Jabby?

- Hutta... Jabby... - stworzonko wypowiedziało imię gangstera niskim, głębokim głosem, przypominającym głos samego lorda Vadera.

- Tak... tak szybko? Tak łatwo? - Melvosh Bloor nie był pewien, czy drży z zachwytu, czy ze strachu, uznał więc te objawy za „drgawki z przyczyn ogólnych”. - Możesz mnie do niego teraz zaprowadzić?

- Teraz! Tylko teraz! Czas, czas, czas! Teraz dobry czas! - Stworzenie ostentacyjnie powąchało się pod pachami, a potem dodało radośnie: - Ja też! - Zeskoczyło na cztery łapki i pchnęło na oścież drzwi celi. - Kto ostatni, ten żarcie dla Sarlacca!

Takiego zaproszenia tuż po smutnej historii profesora P'tana nie sposób było zignorować. Melvosh Bloor niemal wybiegł z celi za swoim przewodnikiem. Na korytarzu stworzonko znów wspięło się na ramię uczonego niczym na pokład barki żaglowej.

- Ty słuchaj! - syknęło mu do ucha. - Ja mówić, jasne? Inaczej... - wymownym gestem przejechało pazurem po pomarszczonej szyi i zagulgotało sugestywnie.

- Chcesz powiedzieć, że to ty przeprowadzisz wywiad? Ale moje pytania... - Melvosh Bloor

bezradnym gestem wskazał na swój notes komputerowy.

Przewodnik chwycił notes i na próbę nadgryzł jeden z jego rogów.

- Nieee... Ty zamknij się aż do sala tronowa. Potem gadać - zachichotał. - Ojej! Melvosh Bloor chwycił swój notes i uwolnił go z łapek stworzenia.

- Na to mogę się zgodzić - powiedział. - Chodźmy więc.

Widoki i dźwięki, jakie powitały Kalkala w kryptach pałacu, wystarczyłyby do całej serii monografii na temat rozpusty, cierpienia i braku higieny osobistej... gdyby tylko zrezygnował ze swojego pierwotnego celu. Usadowiony na ramieniu uczonego mały przewodnik witał każdą istotę, którą mijali - Twi'leka, Gamorreanina, Quarrena i wszystkich innych - z niewymuszoną swobodą graniczącą z... powiedzmy to sobie szczerze, z wulgarnym prostactwem, Obrażliwe uwagi i określenia padały z ust stworzonka zdumiewająco płynnie. Melvoshowi Bloorowi omal palce nie odpadły, tak szybko wstukiwał do notesu liczne określenia, którymi witali jego przewodnika pozostali mieszkańcy pałacu Jabby (większość pod literą „N” - „Niewiarygodnie wulgarne”).

Na koniec stanęli przed zasłoniętymi kurtyną drzwiami. Rogaty Gamorreanin uniósł groźnie wibrotopór, dopóki przewodnik Melvosha Bloora nie wychylił się zza jego głowy, by szturchnąć strażnika i wybuchnąć jazgotliwym śmiechem.

Gamorreanin prychnął w odpowiedzi i machnął ręką, wpuszczając ich do środka.

Kiedy Melvosh Bloor przestąpił próg sali tronowej Hutta Jabby, poczuł przemożny respekt, zupełnie jak przyprawiające o drgawki uczucie strachu, które pamiętał z obrony pracy doktorskiej. Hutt Jabba we własnej osobie był nieporównanie bardziej imponujący, niż to podawały stopy opracowań naukowych, z którymi uczonego zapoznał się, przygotowując swoją ekspedycję. Melvosh Bloor poczuł, że ciężar na ramieniu, gdzie jeszcze przed chwilą siedział jego przewodnik, nagle zelżał, a stworzonko pomknęło przez całą salę aż do samego tronu Jabby. Taka bezczelność powinna (wedle materiałów, z którymi zapoznał się Kalkal) zakończyć się niezwłoczną konsumpcją śmiałka a jednak nic takiego nie nastąpiło. Zamiast je zjeść, Jabba pozwolił, by stworzonko wspięło się po jego opasłym ciele i wyszeptало mu coś wprost do ucha. Serce uczonego zabiło mocniej na tak widomy znak uprzywilejowanego statusu jego przewodnika. Poczuł, że dożywotnią profesurę ma już właściwie w kieszeni.

- Ee... Wasza Wyniosłość? - uczonego zawahał się, podchodząc do tronu. Jabba spojrzał na niego beznamiętnie, co uznał za dobry znak. Odważył się podejść o krok bliżej.

- Jestem Melvosh Bloor z Uniwersytetu Beshka i...

- Z uniwersytetu? - zadudnił Hutt.

- T-tak. Przybyłem tu, by... uhonorować i unieśmiertelnić Waszą Wyniosłość, publikując pogłębione studium myśli i motywów, którymi się kierowałeś, tworząc i rozwijając swoje przest... pozaspółeczne imperium.

- Mm... - bulgocące odgłosy trawienia przebiły się nawet przez niezwykle grubą skórę Hutta, - Innymi słowy oczekujesz, że wyjawię ci wszystkie moje sekrety, a ty opiszesz je i opublikujesz, by moi rywale mogli je swobodnie zgłębiać? - Pochylił się i zbliżył niepokojąco usta do głowy Melvosha Bloora. Uczonego spróbował się cofnąć, ale plecami natrafił na coś ostrego, co sprawiało, że odwrót stał się alternatywą zgoła samobójczą. Miał wrażenie, że słyszy za sobą ciężki oddech gamorreńskiego strażnika.

Ciałem Jabby wstrząsnął dreszcz. Rozwarł szeroko usta, a Melvosh Bloor zamarł, przekonany, że zakończy życie w tej ogromnej paszczy. I wtedy stało się coś nie do pomyślenia: salą tronową

wstrząsnął dudniący śmiech. Jabba śmiał się, a wraz z nim jego lokaje i dworacy. Po bardzo długiej chwili śmiech ucichł.

- Miałbym ujawnić wszystkie moje tajemnice i jeszcze uznać to za honor? Przezabawne! - powiedział Jabba.

- A nie mówić ja był, panie? - Melvosh Bloor zobaczył, że jego przewodnik podryguje pomiędzy nim a górą opasłego cielska Hutta. - Ale jaja!!!

- Ja-jaja? - powtórzył oszołomiony Kalkal.

- Rzeczywiście. Jestem zdumiony - przyznał Jabba. - Zwykle uczeni są zbyt nudni, by mogli być śmieszni. Czy choćby strawni. Wiem to, bo nigdy nie zapominam raz poznanego smaku.

Melvosh Bloor poczuł, że robi mu się zimno.

- Smaku? - wyjąkał. - To znaczy... Profesor P'tan...

- Właśnie! Tak się nazywał. - Gdyby Jabba potrafił strzelić palcami, przypominając sobie dawno zapomniane nazwisko, na pewno by to zrobił. - Jesteś już drugim uczonym, który zakłóca spokój mojego dworu, dzięki bezczelności mojego żalostnego sługi, Sprośnego Okruszka. - Jedną ręką Hutta wystrzeliła w stronę radośnie podskakującego stworzonka. - Przynajmniej ty byłeś tego wart.

Melvosh Bloor zdołał tylko wydukać:

- Spro-spro-sprośnego Okruszka? - jąkał się zszokowany, patrząc na przewodnika, któremu tak ufał i którego tak polubił. - Ale ja myślałem... byłem pewien... powiedziałaś, że nazywasz się Darian Gli!

- Ty powiedziałaś - burknął małpojaszczur.

- Darian Gli? - Jabba nie bardzo wiedział, o kogo chodzi. - A, ten Markul! To on sprowadził tych dwóch łajdaków, którzy zdenerwowali mojego kucharza. - Nostalgicznie oblizwał usta. - Smacznymi byli.

- Ty powiedziałaś, ty, ty, ty, nie ja! - drażnił się z nim Sprośny Okruszek. Kowakiański małpojaszczur był u szczytu chwały. - Hooo! Głupi??? - machnął ręką w stronę uczonego, tak by każdy z dworaków Jabby wiedział, do kogo adresowana jest zniewaga.

Nikt nie miał wątpliwości, wręcz przeciwnie - ktoś z końca sali krzyknął nawet:

- Jak bardzo głupi?

- Jak głupi? Jak głupi? - Z przypominających guziki oczu stworzonka wyzierała czysta złośliwość.

- On mówi: Jabba kłamie jak Gran!

Ryk wściekłości Jabby zagłuszył wątle protesty Kalkala. Podczas gdy Melvosh Bloor bąkał: „Aleja... ale on... ale my...”, Jabba przywołał gestem gamorrańskich strażników. Wśród gniewnych słów wyrzucanych przez Hutta Melvosh Bloor wyraźnie usłyszał słowo „Sarlace”.

Rozpacz miewa zdumiewający wpływ na istoty rozumne. Dotknięty do żywego, że został wystawiony na pośmiewisko przez kogoś, kto nie miał nawet doktoratu, znieważony ponad miarę, pozbawiony nadziei, tak spokojny zazwyczaj uczonego przeszedł do kontrataku. Sprośny Okruszek zapiszczał przeraźliwie, gdy Melvosh Bloor jedną ręką złapał go za szyję, a drugą dobył pożyczonej broni i wbił jej lufę głęboko w nos małpojaszczura.

- Wpuściliście go tu uzbrojonego? - ryknął Jabba na strażników, którzy rzucili się, by żywym murem odgradzić swojego pana od niebezpieczeństwa.

- Brzebraszam, Banie... - odpowiedział Sprośny Okruszek, na tyle, na ile pozwalała mu lufa wetknięta w nos. - Ja bysleć, że Ban go zjeść jak tylko...

- A niech cię, Sprośny Okruszku! To ręczny blaster z Kaltooine! Wiesz przecież, że jego gazy mi szkodzą!

- Nie mam nic przeciw tobie, Wasza Wyniosłość - powiedział Melvosh Bloor do Hutta. - Chcę tylko odstrzelić łeb temu odrażającemu małemu kretynowi, a potem możesz mnie zjeść. Przynajmniej umrę szczęśliwy. - Do swojego więźnia zaś warknął: - Udało ci się pozbawić mnie dożywotniej profesury, mały łajdaku!

- Hej, hej! Dy chciędź browezury? Banie, banie, daj bu co chce, odbowiedz na bytania, niech ba browezure, żeby Zbrożny Ogrurzeg odzalić głobę...

- Powiedział, że kłamię jak Gran - odparł Jabba.

- U... to ja bowiedzieć... - wyznał Sprośny Okruszek.

- Ty?!

- Do być gomblemend, gomblemend! Ban nie rozubie, że do być dowdzib? Jabba przez chwilę zastanawiał się nad słowami Sprośnego Okruszka.

- Komplement? - rozmyślał na głos. - Od Kowakianina... hm.. może... - odchylił się w fotelu i zaczął wydawać całą serię rozkazów.

Melvosh Bloor z trudem mógł uwierzyć w nagłą odmianę swojego losu. Jeszcze chwilę temu groziła mu śmierć i gotów był pociągnąć za sobą w niepamięć Sprośnego Okruszka, a oto teraz siedział przed tronem Jabby na miękkich poduszkach, które Sprośny Okruszek usilnie starał się ułożyć jak najwygodniej. Hutt okazał się wyjątkowo przystępnym rozmówcą. Niedługo trwało, a uczony wypełnił danymi niemal całą pamięć notesu komputerowego, co specjalnie go nie zmartwiło, bo wyczerpał już wszystkie pytania.

- Nie wiem, jak ci dziękować, panie - powiedział, tuląc cenny notes komputerowy do piersi i wstając z poduszek. - Muszę powiedzieć, że twoja sława nie oddaje ci sprawiedliwości. Twoja łaskawość, twoja tolerancja, twoja cierpliwość... - uśmiechnął się do Hutta swoim najbardziej ujmującym uśmiechem, uśmiechem, który kiedyś niemal zwiódł profesora P'tana, a to o czymś świadczyło. - Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym zrobić dla Waszej Wyniosłości...

- Jest - odparł Jabba. Zmrużył oczy w wąskie szparki. - Rozśmiesz mnie. Zdumiony uczony zdołał jedynie wykrztusić:

- Eee... co?

- Słyszałeś. Znudziły mnie dowcipy Sprośnego Okruszka. To już drugi raz, kiedy posłużył się uczonym, żeby mnie rozbawić. Nie lubię słuchać tych samych dowcipów po raz drugi. Rozśmiesz mnie...

- Tak, wspominał mi o tym... No cóż, Wasza Wyniosłość, humor zasadniczo nie wchodzi w zakres moich studiów...

- ...albo pożrę cię, tak jak tu stoisz.

- ...ale oczywiście miałem jeden semestr analizy komedii i z przyjemnością przyślę ci, panie, moje notatki...

- Rozśmiesz mnie teraz!

Melvosh Bloor zagryzł dolną wargę - trudny wyczyn - próbując nie poddawać się panice. Ma rozśmieszyć tego Hutta? Rozejrzał się po sali tronowej, desperacko szukając jakiegokolwiek inspiracji, która pozwoliłaby mu uratować skórę. Jego wzrok natrafił na odrażającą sylwetkę Sprośnego Okruszka. Kowakiański małpojaszczur wyszczerzył zęby i robił do niego obrzydliwe miny. Jak śmie! - pomyślał Melvosh Bloor. Powinien był odstrzelić mu łeb, kiedy miał okazję. Jeśli ten obsceniczny mały łajdak potrafi rozśmieszyć Hutta, to Melvosh Bloor, ze swoim uniwersyteckim wykształceniem, wiedzą i nieporównanie szlachetniejszym urodzeniem, na pewno również zdoła to

zrobić.

I nagle sobie przypomniał - dowcip, który usłyszał od samego profesora P'tana na zebraniu katedry. Melvosh Bloor pamiętał, że wszyscy młodszy stopniem pracownicy naukowcy śmiali się wtedy długo i głośno, musiał więc być naprawdę dobry.

Uczony odchrząknął, uśmiechnął się łagodnie i zaczął:

- Przerwij mi, panie, jeśli już to słyszałeś: ile Sarlacców potrzeba, żeby pokonać Jedi?

Jabba spojrział wprost na niego. Zbyt późno Melvosh Bloor uświadomił sobie, że młodszy stopniem pracownicy naukowcy będą się śmiać z każdego dowcipu opowiedzianego przez dożywotniego profesora.

- Słyszałem - powiedział Jabba. Poruszył ogonem, uruchamiając jego koniuszkiem urządzenie kontrolne, do którego tylko on miał dostęp, i nagle podłoga usunęła się spod nóg Melvosha Bloora. Uczony wpadł do znajdującej się pod nią pieczary razem z wszystkimi poduszkami. Notes komputerowy wyleciał mu z rąk i wylądował u stóp Sprośnego Okruszka. Z pieczary pod podłogą dobiegł przeraźliwy, ścinający krew w żyłach krzyk, gdy ulubiony potwór Jabby, rankor, zapoznał się ze swą nową zabawką.

- To też już słyszałem - stwierdził Jabba.

Odwrócił się i spojrział surowo na swojego nadwornego trefnisia.

- Hm... Sprośny Okruszku... - zauważył. - Tym razem było głośniejsze, ale wcale nie zabawniejsze.

- Uczeni! - Kowakianin wzruszył ramionami. - Publikuj lub giń! Publikuj lub giń! - zaczął przedrzeźniać uczonego. Każde słowo podkreślał, waląc notesem Melvosha Bloora o podłogę.

- Publikuj lub... - brzuch Hutta zaczął się trząść, a po chwili Jego Opasłość wybuchnął śmiechem jak gejzer. - Ten dowcip ci się udał! - uznał Jabba, kiedy już przestał rechotać.

Sprośny Okruszek wykrzywił się pogardliwie, widząc, że jego pan uznał te ostatnie słowa za odpowiednią pointę dowcipu. Ze złością cisnął notesem komputerowym w głąb pieczary rankora. Rankor, który nie potrzebował podobnych zabawek i nie miał za grosz poczucia humoru, odrzucił notes z powrotem.

Ale oczywiście rankor nie musiał się martwić o dożywotnią posadę.

CZAS ŻAŁOBY, CZAS TAŃCA opowieść Ooli

Kathy Tyers

Oola czuła, jak ból pulsuje w niej od podstawy lekku aż po obute w sandały pięty. Przysiadła na krawędzi platformy tronowej Jabby, jak najdalej - na tyle, na ile pozwalał jej łańcuch - od Jego Opasłości. Znad jego fajki wodnej unosiły się kółka smrodliwego dymu. Kwaśne opary wisiały w powietrzu, drażniąc jej gardło.

Potrząsnęła głową, aż łańcuch zabrzączał. Zbadała każde ogniwo w nadziei, że może jedno z nich okaże się nadwerężone. Nic z tego. Przez dwa dni, dwa niekończące się obroty piekących, bliźniaczych słońc Tatoonie, nie oglądała światła dziennego. Domyśliła się też, że udało jej się powstrzymać przyprawiające o mdłości awanse ohydneho Hutta tylko dlatego, że rozkoszował się wymierzaniem jej kary w nie mniejszym stopniu niż oczekiwaniem, że w końcu mu ulegnie.

Byli ostrożni, ci gamorrekańscy strażnicy, którzy bili jarano, kiedy nie chciała tańczyć bliżej Jabby. Oola zgarbiła się i spróbowała zapomnieć. Śmieszny małpojaszczur Jabby przykucnął przy jej piętach, kiedy Gamorrekańczycy rozciągnęli ją i z naukową precyzją zaczęli okładać. Miała nadzieję, że narobią jej siniaków - przestałaby wówczas podobać się Jabbie.

Jej sponsor i współplemieniec, Twi'lek Bib Fortuna, przykucnął koło niej i zmarszczył wydatne brwi. Drobnymi ruchami i drganiem swoich męskich lekku zakomunikował jej:

- Ucz się szybko! Kosztowałaś mnie fortunę! Dwie fortuny! Zadowolisz go, nawet jeśli jedyną rozkoszą, jaką mu sprawisz, będzie oglądanie twojej śmierci.

Oola mogła mieć nadzieję tylko na dwie rzeczy: że ucieknie z tego pałacu śmierci, a jeśli nie - to że umrze łatwo i bezboleśnie, uciekając w śmierć. Fortuna był jedyną osobą w pałacu, która mówiła w jej języku. Ta myśl sprawiła, że poczuła się nieznośnie samotna. Fortuna jej pan - siedział przy stole w alkwie, otaczając swoimi lekku ramiona Meliny Carniss, ludzkiej tancerki, ciemnowłosej i niemal ładnej.

Ogon Jabby drgnął. Oola otoczyła ramionami kostki. Nauczyła się tylko kilku słów po huttańsku („nie”, „proszę, nie” i „stanowczo nie”), ale coraz lepiej rozumiała język ciała Jabby. Jakaś myśl właśnie sprawiła mu przyjemność.

Przypomniała jej się nagle bardzo stara piosenka: „Tylko przestępca ceni bardziej życie niż honor. Kochaj życie zbyt mocno, a stracisz powód, dla którego warto żyć”.

Nauczyła się tej piosenki jako dziecko. Życie było niebezpieczne. Oola pragnęła życia jak wody, ale zamierzała wypić śmierć jak wino - szybko i do dna. Ale jeszcze nie teraz.

I wtedy dotarło do niej, co tak podekscytowało Jabbę - krzyki i odgłosy szamotaniny dochodzące ze schodów prowadzących do sali. Ledwie je słyszała przez opaskę, którą miała na głowie; zanim pan Fortuna ją zamocował jako uzupełnienie jej kostiumu, widziała ten nabijany ćwiekami pas skóry w jego rękach, jak pokazywał go Jabbie, mówiąc coś po huttańsku i głaszcząc zaostrozonym pazurem

grube kawałki metalu.

Metalowe ćwieki, którymi nabita była opaska, wbijały się w jej delikatne uszy, odcinając wszystkie dźwięki oprócz najgłośniejszych - takich jak godny pogardy śpiew Sy Snootles, piosenkarki w zespole Maksa Rebo, czy obrzydliwe awanse Jabby.

Uniosła głowę, by spojrzeć w stronę wejścia. Wszędzie wokół tronu zaczęli się budzić dworacy; wyłaniali się z pogrążonych w głębokim cieniu nisz i kątów albo wstawali z wysypanej piaskiem podłogi. Bib Fortuna spojrział w kierunku wejścia, zerwał się i pobiegł na powitanie.

Kiedyś go podziwiała. Teraz nie znosiła jego służalczej postawy, szurania nogami i dotyku szponiastych palców.

Dwóch Gamorrean wciągnęło do sali szamoczącą się istotę. Choć więzień sięgał im raptem do pasa, szarpał się desperacko, kopiąc obu strażników w grubą skórę na kolanach. Za każdym razem, gdy udało mu się trafić, Gamorreanie postękiwali. Domyśliła się, że w ten sposób się śmieją.

Jabba szarpnął za łańcuch Ooli. Dusząc się, upadła na plecy, na jego galaretowate ciało. Pokryta brodawkami, szcztakowa ręka złapała ją od tyłu za delikatny lewy głowoogon i zaczęła go głaskać.

Jabba ryknął na widok nieszczęsnego więźnia. Jeden z Gamorrean chwycił za kołnierz luźno tkanej brązowej szaty i potrząsnął nią, aż ukazała się wychudła istota o mizernej twarzy i płonących, żółtych oczach. Stworzenie odezwało się do Jabby, wypluwając pospiesznie słowa wysokim, piskliwym głosem. Jabba burknął coś, co brzmiało jak rozkaz. Zza odrażających strażników wybiegł przysadzisty skorupiak na czterech nogach pokrytych zielonym pancerzem. Kilku dworaków cofnęło się na jego widok. Nawet pan Fortuna zachował pełen szacunku dystans.

Skorupiak uniósł przednią kończynę i rozsunął dwie pary szczypiec. Spomiędzy każdej pary pazurów wysunął się prosty, wąski szpon, połyskujący wilgocią. Więzień skurczył się i krzyknął.

Od dudniącego śmiechu trząsł się cały brzuch Jabby. Oola zadrżała. Nie spała od dwóch nocy; jeszcze trochę i będzie zbyt zmęczona, by uciekać, gdy trafi się okazja. Życie uwiązanej na łańcuchu tancerki Jabby musiało być krótkie i żalosne. W głowie stale wracały słowa starej pieśni: „...stracisz powód, dla którego warto żyć...”

Podczas gdy więzień kurczył się ze strachu, skorupiak unieruchomił jego ramię w uścisku podwójnych pazurów. Szczypce zamknęły się z trzaskiem. Więzień znów krzyknął - przeciągły, rozpaczliwy wrzask, od którego ciało Ooli wyprężyło się jak struna. Odwróciła się, przyciskając twarz do jego śmierdzącej skóry, i wdrapała się pod górę po odrażającym brzuchu Jabby. Na chwilę zapomniała o gnijącym ciełe, którego dotykała nagimi rękami i nogami. Jabba zarechotał, ale poluzował łańcuch, pewnie po to, by móc lepiej się skupić na agonii swojej ostatniej ofiary. Oola zsunęła się po drugiej stronie Jabby, ostrożnie badając, ile łańcucha jej popuszczono. Udało jej się zsunąć z platformy tronowej, zanim obręcz na szyi wpila się zbyt mocno w ciało. Jabbie chyba nie przeszkadzało, że łańcuch szoruje po jego skórze. Kiedy przyjdzie mu ochota na rozrywkę, znajdzie ją.

Rozpięła znieawidzoną opaskę i zerwała ją z głowy. Następnie spróbowała poprawić skąpy kostium z siatki, rozprostowując cienką tkaninę tak, by zakryć jak najwięcej ciała. Wąskie paski skóry przytrzymały materiał wokół talii, bioder, kolan i kostek nóg.

A miała nadzieję na taniec z welonami!

Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Ku swojemu zaskoczeniu zorientowała się, że jeszcze dwie istoty dzielą z nią schronienie. Druga tancerka - Yarna, ciężko zbudowana Askajianka o licznych piersiach, które mogły wykarmić cały miot potomstwa - próbowała „pocieszyć” ją rano, po

tym jak Oola zebrała cięgi za swój opór: „Rób, co musisz. Wszystko, co działa. Póki życia, poty nadziei”. Oola zmarszczyła czoło. Śmierć była ostatnim wrogiem, a za nią rozciągała się jasna, czysta wieczność i Wielki Taniec.

Za platformą krył się też humanoidalny robot. Niemal równie wysoki jak Bib Fortuna, złocisty i błyszczący w miejscach jeszcze niezabrudzonych śluzem Jabby. Widziała go wcześniej, jak pojawił się w towarzystwie swojego przysadzystego, srebrzystego partnera, i nie zapomniała wizerunku wysokiego mężczyzny, który robot wyświetlił w stęchłym, cuchnącym powietrzu...

Yarna spała wyciągnięta, jak przy miłej drzemce po śniadaniu. Robot zakrył metalowymi dłońmi niewidoczne uszy. Oola przysunęła się bliżej niego. Szukała w pamięci słów, którymi mogłaby go pocieszyć, ale nie знаła huttańskiego na tyle, by choć zacząć. Mogła spróbować we wspólnym, którym jednak też prawie nie mówiła.

Robot odwrócił metalową głowę. Wyprostował się - pewnie żeby go nie dotknęła, pomyślała w pierwszej chwili - i złożył sztywny, lecz grzeczny ukłon.

- Panna Oola - powitał ją.

Po twi'lekańsku. Poczula wstrząs, słysząc znajome dźwięki, tak jak wcześniej, gdy jego partner wyświetlił hologram.

- Jestem See-Threepio, kontakty ludzie-cyborgi - oznajmił robot po twi'lekańsku tak płynnie, jak żadna inna znana jej istota pozbawiona lekku. - Posługuję się płynnie ponad sześcioma milionami form komunikacji. Przepraszam za mój niechlujny wygląd - dodał, próbując zetrzeć z ciała plamy zielonego śluzu. - Jeśli naprawdę czeka mnie zguba, wolałbym trafić na wysypisko czysty.

- Nie bądź tchórzem - szepnęła, choć bez przekonania.

- Zagroził, że wyczyści mi pamięć. To byłoby jeszcze gorsze - jęknął robot.

- Nic nie jest ostateczne - mruknęła Oola, próbując czerpać siłę ze stwierdzeń, w które wydawało jej się, że wierzy, zanim strach nadwątlił jej wiarę. - Nawet śmierć. Śmierć uwalnia twoją duszę z ograniczeń grawitacji, pozwalając jej tańczyć...

- Nie rozumiesz. - See-Threepio przysiadł, zgrzytając metalicznie, na wysypanej piaskiem podłodze. - Nawet częściowe wyczyszczenie pamięci dla robota o moim oprogramowaniu byłoby klęską. Niewykluczone że musiałbym zacząć od nauki imitacji podstawowych ruchów ciała. Nie jestem pewien, czy zachowałbym moją pierwotną funkcję komunikacyjną.

Cokolwiek to znaczy, zakomunikowała drgnieniem lekku. Żaden nie - Twi'lek nie potrafił czytać z ruchów głowoogonów. Znów ją zaskoczył, rozkładając metalowe ręce.

- To znaczy „zguba” - wyjaśnił. Po chwili odezwał się ponownie, tym razem raczej nieśmiało: - Czy pozwoli mi pani złożyć wyrazy ubolewania, że znalazła się pani w tak żalosnej sytuacji, panno Oolu?

Pierwsze przyjazne słowa, jakie usłyszała od dwóch dni. Żałując własnej brawury tam, w mieście, kiedy mogła uciec panu Fortunie, a potem ewidentnego braku odwagi, kiedy znalazła się w tym miejscu, zwinęła się w ciasną kulkę, chroniąc lekku między kolanami.

- Dziękuję, See Pio - wyszeptała. - Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, co się tam dzieje? - pokazała na drugą stronę tronu Jabby.

- See-Threepio - poprawił ją, starając się, by nie zabrzmiało to nieuprzejmie. - Jeśli dobrze rozumiem, Jego Wyniosłość wymierza karę Jawie. Złapał go na spiskowaniu przeciw niemu, jak sądzę. Wszyscy tutaj mają nadzieję pozabijać wszystkich innych, o ile byłem w stanie stwierdzić. Ja... och!!!

Przerwał mu kolejny wrzask. Robot odwrócił głowę. Oola szturchnęła go w twarde, chłodny bok nagim łokciem.

- Powiedz mi o tym... tym obrazie, który ten drugi robot wyświetlił dziś rano - powiedziała ponagląco. Musiała to wiedzieć już teraz. Nauczyła się nie czekać na drugą szansę.

- Co? - See-Threepio obrócił głowę w jej stronę.

- Ten... człowiek. - Ludzie wyglądali niemal jak Twi'lekowie, choć żałośnie okaleczeni... podczas gdy Jabba wyglądał jak odrażający mutant, jak głowoogon napuchnięty do nieprzyzwoitych rozmiarów. - Kto to był?

See-Threepio wyraźnie się ożywił.

- Ach! To był mój... - przerwał, zanim powiedział „pan” czy „właściciel”... w końcu należał teraz do Jabby, ale początek wypowiedzi sugerował, że robot należał kiedyś do tego człowieka.

Dotknęła obroży na szyi; niespodziewanie zrozumiała, jak się musiał czuć. Nie zwracając uwagi na to, że robot nie dokończył zdania, powiedziała.

- Widziałam go. Rozłożył szeroko ramiona w geście bezradności.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Nazywa się Luke? - zapytała Oola. Oczy See-Threepia zamigotały w ciemnym, zadymionym powietrzu.

- O rety! Tak! Tak się nazywa. Gdzie on jest? Oola z zalem zaczęła opowiadać.

Oola odprężyła się w fotelu hamującym, czując ulgę, że jej pierwsza podróż kosmiczna zakończyła się bez problemów. Jerris Rudd - pracownik Biba Fortuny i pilot-konwojent podczas krótkiej podróży z Ryloth na Tatooine - ostrzegł ją wcześniej, że nieoczekiwane burze piaskowe lub wrocie jednostki mogą im utrudnić lądowanie. Oola wyciągnęła nogi, pragnąc jak najszybciej wyjść z ciasnej kabiny. W swoim rodzinnym domu na Ryloth, w kolonii głęboko pod powierzchnią, gdzie osiemset osób uznawało przywództwo jej ojca jako wodza klanu, była znana jako wyśmienita tancerka. Wysokość, na jaką wyrzucała nogi, i zmysłowe kołysanie lekku zdobyły jej dziesiątki wielbicieli.

Cztery miesiące temu Fortuna namówił Oolę, by wyszła na powierzchnię, i uprowadził, zamiast zapłacić ojcu, jak wymagał zwyczaj. Zniewolił ją - i jeszcze jedną młodziutką i drobną Twi'lekanę, zamykając je w kompleksie na Ryloth, w którym kiedyś prowadził lukratywne przedsiębiorstwo przemytnicze. Wykupił dla nich zajęcia w najdroższej na sześciu planetach szkole tańca - cztery miesiące u najmodniejszych, doświadczonych dworskich tancerek na Ryloth.

Starsze tancerki wykpiwały staromodne obyczaje, którym hołdował jej klan. Oola uważała jednak, że klan zachował wiarę i godność, którą reszta świata zatraciła z chęci przypodobania się handlarzom niewolników i przemytnikom. Pragmatyzm potrafił być zabójczym bożkiem.

Mimo to jeśli chodzi o naukę, Oola stanęła na wysokości zadania. Nie mogła uciec, a naprawdę kochała taniec. Jej dusza uległa podwójnej pokusie: władzy i sławy. Ludzie Fortuny wymyślili dla każdej z nich sceniczny wizerunek: Sienn miała sprawiać wrażenie młodziutkiej, naiwnej i prostolinijnej; Oola miała pozować na wyrafinowaną, światową i pozbawioną serca. Sienn zachowała stoicki spokój, gdy posępni instruktorzy tatuowali delikatne girlandy kwiatów wzdłuż jej unerwionych lekku. Oola trzymała ją wtedy za rękę i ocierała z twarzy łzy.

Sienn była zbyt młoda i zbyt wrażliwa do pracy, w której jej uroda stawała się towarem. Twi'lekowie mówili o takich jak ona „kąsek” - jeden kęs i klient ją pożerał. Ich stara nauczycielka, która nadal zachowała resztki dawnej urody, starała się nauczyć ją, jak być twardą.

- Nie igraj z tego rodzaju apetytem - mawiała. - Niech się ślinią na twój widok, ale nie pozwól się ugryźć.

Oola przyglądała lekko i delikatnie wzruszyła ramionami. Ją i Sienn szkolili najlepsi. Dla najlepszego.

Sienn siedziała w drugim fotelu hamującym, ubrana w prosty kombinezon z kapturem - taki sam jak Ooli, tylko bladożółty, a nie granatowy - gładząc swoje wytatuowane lekko.

- Ciągle bolą? - zapytała cicho Oola.

- Nie - odparła zdecydowanie Sienn. - Nie bolą... Drzwi kabiny rozsunęły się i do środka wszedł Jerris Rudd - metr siedemdziesiąt szumowiny. Rudd był pierwszym człowiekiem, jakiego spotkała. Może wszyscy ludzie ubierali się w workowate, podarte ubrania. Może wszyscy tak śmierdzieli, a najbardziej sierść, która porastała ich głowy. Jeśli tak, ludzie to szumowiny. Pamiętając ojej „światowym” image, Rudd wręczył jej niewielki sztylet.

- Pomożesz Sienn - zakpił. - Jeśli zdołasz.

Najeżyła się, ale sprawdziła, że sztylet jest ostry, i wsunęła go za pasek.

- Jak się leciało, dziewczyny? - Rudd zatarł brudne ręce. - Gładkie lądowanie, co? Nie było bum! - klasnął rękami tuż przed twarzą Sienn.

Dziewczyna skuliła się w fotelu. Najwyraźniej Rudd próbował ocenić wyszkolenie Sienn podczas skoku w nadprzestrzeń.

Oola знаła zaledwie kilkaset słów we wspólnym, ale wyczuła, że kaleczy język. Wkurzyło ją to. Domyśliła się znaczenia większości słów na podstawie kontekstu.

- Lądowanie było udane - powiedziała zdecydowanym tonem.

- Czas się wyplątać - na migi pokazał im, by rozpięły pasy bezpieczeństwa - i wysiadka! Spodoba wam się na Tatooine!

Sienn dotknęła kontrolki fotela. Sieć zabezpieczająca rozpięła się i rozsunęła na boki.

- Jaka jest ta planeta? - zapytała.

- Trochę podobna do Ryloth. Sama zobaczysz. Chodź!

Już niemal weszli do doku - piaszczyste lądowisko było równie rozgrzane jak gorąca, niezamieszkała słoneczna strona Ryloth - kiedy metaliczny głos nakazał:

- Stać! Nie ruszać się z miejsca!

W tym głosie nie było muzyki. Zgrzytał w uszach jak metal o blachę. Oola zamarła w bezruchu.

Głos należał do człowieka ubranego w biały metal. Oola przyjrzała mu się - widziała już kiedyś trójwymiarowe obrazy imperialnych szturmowców. Trzech szturmowców stało pomiędzy sfatygowaną przednią kapsułą małego transportowca Rudda a jedynym wyjściem z doku. Jeden z białych podszedł do Rudda.

- Identyfikatory do kontroli.

Oola zrozumiała jego słowa bez trudu. Powolutku, nie spuszczać wzroku z rusznicy laserowej szturmowca, Rudd sięgnął do przepoconej sakwy na ramieniu. Szturmowiec chwycił sakwę. Sienn stała nieruchomo, cała drżąca.

W końcu biały zwrócił Ruddowi sakwę.

- To bardzo pospolity typ statku - wyjaśnił. - Dokładnie taki, jaki odpowiadałby komuś, kto chce się przemknąć bez kontroli.

- Jestem szanowanym konwojentem - powiedział Rudd. - Ja...

- Oszczędź nam tej gadaniny - warknął dowódca szturmowców. - Wiemy, dla kogo pracujesz.

Jabbę spotka wkrótce niespodzianka. Bardzo niedługo. - Stojący obok biały roześmiał się.

Trzeci szturmowiec nadal celował do nich z rusznicy.

- Moim zdaniem powinniśmy przeszukać statek - powiedział.

- Nie ma takiej potrzeby - zapewnił go Rudd. - Jestem czysty. Za parę minut mam spotkanie.

Najwyraźniej była to ostatnia rzecz, jaką należało powiedzieć szturmowcom. Oola, Sienn i Rudd spędzili następną godzinę pod strażą Imperium, przykucnięci w niewielkim kawałku cienia, podczas gdy dwaj szturmowcy przeczesywali każdy glekk kwadratowy statku. W końcu wyszli i wzruszyli ramionami.

- Jesteście wolni - powiedział dowódca białych. - Tym razem nie wniesiemy zarzutów.

- Bardzo dziękuję - mruknął Rudd, ale wyraźnie mu ulżyło. Oola nie miała pojęcia, o jakie zarzuty chodziło, ale widać było, że się ich bał.

- Chodźcie, dziewczyny! - Oola ruszyła szybko, nie zdążył więc poklepać jej po pupie. Kątem oka zauważyła, że Sienn nie miała tyle szczęścia.

- Czego oni szukają? - zapytała Oola, gdy weszli w wąską uliczkę.

- Nie czego, tylko kogo. Sądząc po tym, jak nas przetrzepywali, szukają kogoś.

- Kogo?

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Nie pytam. Jestem już spóźniony - wymamrotał, zapominając o protekcyjnym, uproszczonym języku. Załadował je do pozbawionego kół pojazdu z trzema silnikami przymocowanymi z tyłu. - Fortuna będzie zajęty przez ponad godzinę. Będziemy musieli... - cierpkie słowa utonęły w hałasie uruchamianych silników.

Oola rozglądała się na boki, siedząc w pojeździe, który Rudd prowadził przez brzydkie miasto. Cała zabudowa była na powierzchni, zamiast sensownie wydrążona w litej skale. Poczowała, że tęskni za domem. Pod ścianami kanciastych budynków, w kolorze brzydkiego ugru, jak piaski Tatoonie, poniewierały się wraki i złom. Rudd kilkakrotnie skręcał i zupełnie nie wiedziała, gdzie są, gdyby nie bezbłędny zmysł orientacji na słońca. Osoba pozbawiona tej umiejętności na Ryloth nie przeżyłaby nawet jednego dnia.

- Jeszcze tylko kawałek. - Rudd pogłaskał po nodze Sienn siedzącą w fotelu obok niego. - I oto... a niech mnie! - Zwalniał już, ale nagle gwałtownie przyspieszył i skręcił za róg.

- Co się stało? - zapytała Oola. Wykręciła głowę do tyłu, żeby zobaczyć, ale nie dostrzegła niczego interesującego.

- Goście przed miejską rezydencją Jabby. Niestety, nie z rodzaju tych, których chciałbym wam przedstawić. Niech się zastanowię... - Po chwili zahamował obok sporej sterty złomu i odpadków. Metalowe wsporniki i płyty poszycia leżały splątane z wystrzępionymi kawałkami lin. Najwyraźniej w świetle dwa statki powietrzne musiały zderzyć się nad Mos Eisley, spaść na ziemię i rozbić się, a suche powietrze Tatoonie zachowało wraki w doskonałym stanie... z wyjątkiem wyposażenia, które rozszabrowano dawno temu, sądząc po piasku sączącym się przez dziury w wybebeszonym szkielecie.

- Wysiadać - polecił im Rudd. - Szybko!

- Tutaj? - Sienn poruszyła swoimi lekko. Ten naturalny u niej gest odkryli nauczyciele i zachęcali ją, by go podkreślała, podobnie jak nauczyli Oolę zamasztych, gwałtownych ruchów głowoogonami.

- Ta-a-a... - Rudd wypchnął Sienn z pojazdu. Oola wyskoczyła leniwym, pełnym gracji susem.

Rudd poszedł za nimi. Pogrzebał pod długą, metalową osłoną silnika, odgiął w bok jeden ze

wsporników i w końcu wyciągnął duży kawał pożółkłego płótna. Kiedyś był to pewnie żagiel, przymocowany do długiego, prostego masztu, teraz poszarpany tak, że jego dolną krawędź tworzyły strzępiaste żółte frędzle.

- Włóżcie pod spód i zaczekajcie, aż wrócę. Siedzicie cicho, bo Mos Eisley jest pełne drapieżników. - Wyszczrzył zęby w parodii wściekłości i udał, że chce ją złapać pazurami. - A drapieżniki pożerają takie śliczne dziewczynki jak wy. Włóżcie kaptury.

Sienn już siedziała pod żaglem, który wprawdzie zasłaniał wszelki przewiew, ale za to dawał cień.

- Chodź, Oola - szepnęła. - Pospiesz się. Ktoś może nas zobaczyć. Oola wczółgała się do środka, oplótszy przedtem szyję swoimi lekko ukrytymi pod kapturem. Nie chciała, by piach podrażnił jej delikatną skórę. Po pierwsze - to by bolało, a po drugie - obniżyłoby jej wartość w oczach słynnego pracodawcy Biba.

W końcu zaczęło do niej docierać, że znajduje się na tej samej planecie co słynny Hurt Jabba. Pan Bib Fortuna opowiadał jej fascynujące historie o bajecznym bogactwie i przepychu otaczającym Jabbę - o jego legendarnym pałacu, wyśmienitym guście, uwielbieniu dla dobrej kuchni i pięknych kobiet i o luksusach, w jakie opływał. Oola wyobraziła sobie miękkie poduszki i kostiumy tak delikatne, że poruszał je najslabszy powiew bryzy, najlepiej z umiejętnie udrapowanych welonów. Jej potężny nowy pan będzie zaś na pewno przystojny i pełen galanterii, i zachwycony nią i jej tańcem... czyż dla takiej pozycji nie warto było zrezygnować z wolności, która przecież tak niewiele znaczyła?

A teraz kryje się pod stertą złomu i odpadków, a tuż za nią Sienn pociąga nosem.

Kilka minut później Oola zamrugła, by pot nie zalał jej oczu. Zmieniła zdanie co do Tatooine - goręcej tu niż na Ryloth. Rozgrzane powietrze drgało, zamazując kontury domów. Niewyraźny cień oderwał się od najbliższego budynku i podpłynął w stronę stosu śmieci.

Śmieszne. Przecież nawet w południe cień nie może...

Sienn złapała Oolę za kostkę nogi.

- Oola... - szepnęła. - Co to jest? Oola zamrugła. To nie była zjawą, tylko... osoba, ubrana w czarne szaty. „Mos Eisley jest pełne drapieżników”. Nawet Rudd poruszał się tu z wielką ostrożnością. Oola oparła stopę na ramieniu Sienn.

- Schowaj się głębiej! Sienn zaszyła się na ile mogła, a Oola poszła w jej ślady, choć gorący, drapiący piasek wciskał się pod kombinezon, drażniąc jej kolana, łokcie i brzuch. Warto było - zdołała ukryć się o metr głębiej.

Ktoś uniósł drugi koniec żagla. Ciemna postać przykucnęła, wyciągając rękę, jakby chciała coś chwycić... ale ręka nie dotknęła ani żaglowego płótna, ani wsporników. Twarz pod kapturem skrywał czarny cień.

Sienn pisnęła cicho. Oola sięgnęła w stronę paska zapiaszczonymi palcami, szukając ozdobnego małego sztyletu.

- Odejdź! - syknęła po twi'lekańsku, wzmacniając słowa gestami.

Zakapturzona postać podparła się ręką. Głęboko pod kapturem Oola dostrzegła zarys podbródka i błysk błękitu. Twi'lekanie nie miewali niebieskich oczu.

- Odejdź! - powtórzyła. We wspólnym jej słowa zabrzmiały mniej groźnie.

Obcy zrzucił kaptur i przysunął się bliżej. Podobnie jak Rudd był człowiekiem, ale na głowie miał czystą sierść koloru słomy, a czarny strój, który nosił pod płaszczem - choć znoszony - był

schludny i czysty, w odróżnieniu od brudnych szmat Rudda. Jeśli on był drapieżnikiem, to jej pierwsze wrażenie co do Rudda potwierdziło się: Rudd był szumowiną nawet wśród swojej własnej rasy. Organizacja Biba Fortuny zarobiła u niej spory minus. Coraz mniej miała ochotę na współpracę.

Nienaturalnie niebieskie oczy patrzyły to na nią, to na Sienn.

- Wyczuwam wasz strach - powiedział miękko. - Chodźcie ze mną. Mam... - użył kilku słów, których nie rozumiała, zakończył jednak dwoma, które były jej znane: - ...bezpieczne miejsce.

Oola roześmiała się.

- Na tej planecie? - spytała ironicznie. Zaniepokoiło ją że głos tego mężczyzny, niezależnie od tego, czy rozumiała jego słowa, czy nie, tłumił uzasadniony strach, jaki w niej budził ten obcy.

Sienn trzęsła się jak jeden z ornamentów na kołnierzu pana Fortuny. Oola przycupnęła na łokciach i kolanach jak jaszczurka, unosząc sztylecik Rudda w górę niczym szpon.

- Kim jesteś? - zapytała. - Czego chcesz?

- Nie zamierzam was skrzywdzić. - Nie skulił się ani nie cofnął na widok jej ostrza. - Nazywam się Luke.

- Luke - powtórzyła, starannie układając usta. - Idź stąd, Luke.

- Urodziłem się na tej planecie. - Każdym słowem starał się ją uspokoić. - Wróciłem w ważnej... - znów użył słowa, którego nie znała ani nie umiała się domyślić. Może to nazwa jego statku kosmicznego?

- Więc idź zrobić to, po co tu wróciłeś - powiedziała - Zostaw nas.

Podparł się na obu rękach i podpełzł bliżej. Jej uwagę przyciągnął przedmiot, który miał przypięty do pasa. Nie wyglądał jak blaster, na pewno też nie był to nóż. Jeśli to broń, to nie sięgał po nią. Nie powinien myśleć, że jest dość szybka - albo dość zdecydowana - by użyć noża. Poruszając biodrami, wcisnęła kolana głębiej w piach, szukając oparcia dla palców stóp. Ta jaszczurka umie skakać.

- A ty, jak się nazywasz? - Był tak blisko, że niemal mogła go dotknąć.

- Nijak, córka Nikogo. - Nie chciała być nieuprzejma, tylko sprawić, żeby sobie poszedł. Wybrała cel: lewą rękę, którą oparł z przodu. Mogła dźgnąć go w łokieć. Wystarczy tylko...

Poruszył prawą ręką niemal niedostrzegalnym gestem, jakby ją przyzywał. Ręce ugięły się pod nią i wylądowała brodą w piachu, puszczając nóż. Zakrzywił palec, a sztylet zawirował na piasku i wpadł mu prosto w dłoń.

- Przepraszam - powiedział. - Nie zrobię ci krzywdy, a ty nie powinnaś mnie zranić. Jesteście niewolnicami?

Kim był ten dziwny Luke? Twarz miał spokojną nawet miłą... ale nie powinna ufać tej dziwnej mocy w jego głosie i w jego prawej dłoni; nie chciała też po raz drugi trafić w rękę porywacza. Cofnęła się jeszcze bardziej, trafiając na coś lewą stopą.

- Auuu! - pisnęła Sienn.

- Chodźcie ze mną - szepnął Luke. - Ukryję was. Jeśli ktoś mnie zobaczy, też muszę się... ukryć. - Chyba nie doceniał jej umiejętności posługiwania się wspólnym. - Albo... pozbyć się tego kogoś.

Oola cofnęła się jeszcze bardziej, nabierając garść piasku.

- Nie mam na myśli was - uśmiechnął się. Jego uśmiech wydawał się szczery, choć nie miała wprawy w odczytywaniu emocji ludzi. - Pomogę wam dotrzeć do Sojuszu Rebeliantów. Oni nikogo nie sprzedają ani nie kupują.

Według ludzi pana Fortuny Sojusz Rebeliantów był jeszcze bardziej niebezpieczny niż Imperium.

Wolała zostać tam, gdzie była. Człowiek - Luke - odwrócił się tymczasem w stronę Sienn.

- Pójdiesz ze mną? - zapytał zachęcająco. Oola odwróciła się, by przestrzec koleżankę. Sienn uśmiechała się, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczami. Uniosła się na łokciach i kolanach i zaczęła pełznąć do przodu.

- Tak... świetnie... - zachęcał ją nieznajomy.

- Sienn! - syknęła Oola. Sienn przeczołgała się obok niej. Luke dotknął ramienia Sienn, która opierała się jedną ręką na żółtej, jedwabnej tkaninie.

- Szybko! - popędził ją. Wycofując się z kryjówki spojrzął jeszcze raz na Oolę, jakby zrobiło mu się jej żal. - Naprawdę nie pozwolisz, żebym ci pomógł? Nie będziesz miała drugiej... szansy. Rozumiesz, co oznacza słowo „szansa”?

A więc próbował na nią wpłynąć. Poczwała gorącą falę dumy i zazdrości.

- Zostałyśmy wybrane, by tańczyć w pałacu Jabby - powiedziała. - W największym pałacu na Tatooine. Tańczymy w duecie. Będziemy tańczyć dla Jabby razem.

- Pałac rzeczywiście jest największy na Tatooine - przyznał Luke, otulając Sienn swoim płaszczem. - Ale mam tam... - znowu to słowo, „interest”, którego nie rozumiała. - Może być nieprzyjemnie. Pałac Jabby nie jest taki, jak myślisz.

Nagle Oola przypomniała sobie szturmowców w kosmoporcie, przeszukujących lądujące statki... szukających kogoś. Spojrzała na przykucniętą postać w prostych, ale szlachetnych czarnych szatach. Zbudowany jak tancerz poruszał się z kontrolowaną energią. I nadal miał jej nóż. Słabo znała galaktykę, ale umiała łączyć ze sobą fakty i wyciągać wnioski. Zaryzykowała szybki domysł:

- To ciebie szukało Imperium? W kosmoporcie? Luke wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie. Musimy się spieszyć. Chodź... przy mnie będziesz wolna. Wolna? Na tej planecie? Jakie życie ją tu czekało? Próbowała pogodzić się z myślą, że stała się niewolnicą. Ale wolność była lepsza niż niewola, nawet w najpiękniejszym pałacu.

Z drugiej strony... Oola widziała już siebie, rozłożoną na miękkich poduszkach, delektującą się najsmakowitszymi surowymi grzybami, zbierającą siły przed kolejnym olśniewającym tańcem. Słyszała gromkie owacje. Zawahała się.

Jabba był najbogatszym gangsterem na stu planetach.

- Proszę, chodź - szepnął Luke. - Jabba cię za...

- Hej, ty! - rozległ się znajomy głos. - Odczep się od tych dziewczyn! Oola wyjrzała spod zagła na ulicę. Rudd wyszedł właśnie zza rogu przysadzistego budynku. Bib Fortuna szedł nieco z tyłu, równie elegancki jak zawsze, dumnie nosząc swój grzebień kostny i grube lekku. Spod płaszcza wystawały długie, szczupłe dłonie w rękawiczkach bez palców. Jego dłonie zafascynowały ją tamtego niezwykłego wieczoru, kiedy jeszcze byli na Ryloth.

Był uosobieniem pokusy.

Był uosobieniem zła, uświadomiła sobie, czując wstrząs tak nagły, że o mało nie upadła. Zła.

Rudd wyciągnął gotowy do strzału blaster.

- Dobra, facet. Sam się o to prosiłeś. Te dziewczyny są własnością Jabby.

- Niespecjalnie mnie to wzrusza. - Luke zasłonił sobą Sienn. Częściowo za nim schowana, zaczęła rozglądać się za pewniejszą kryjówką. Rozbity stożek dzioba sterczał w górę ze sterty szczątków. Sienn zanurkowała. Luke wcisnął się w najbliższą niszę i pchnął coś, co wyglądało na drzwi. Nie ustąpiły.

- Ha! - Rudd wystrzelił. Laserowy strzał trafił w piasek tuż za nogą Luke'a. Piach stopił się,

tworząc zastygłą, szklistą kałużę. - Na razie cię nie zabiję - powiedział Rudd szyderczo. - Najpierw musisz dostać nauczkę za to, że połaszczyłeś się na własność Jabby.

Luke przywarł mocno plecami do ściany budynku. Jego twarz pozostała śmiertelnie spokojna. Fortuna ostrzegał ją: zadowolisz Jabbę, a zostaniesz sownie wynagrodzona. Rozzłościś go, a możesz się spodziewać kary gorszej niż najgorsze wyobrażenia.

Jabba też z pewnością jest zły. Musiała jakoś to przerwać. Ale co mogła zrobić?

W końcu Luke chwycił dziwny przedmiot, który dyndał mu u pasa. Odpiął go i wyciągnął przed siebie, trzymając oburącz. Ku zaskoczeniu Ooli z końca tego przedmiotu wystrzeliła nagle zielona świetlna klinga. Luke ruszył spod drzwi w stronę Rudda. Stał w postawie jak do pojedynku, wykonując świetlną bronią szerokie, płynne ruchy. Dziwne, metaliczne buczenie klingi zmieniało ton w rytm tych ruchów, odbijających strzały z blastera we wszystkie strony. Żaden nawet go nie drasnął. Oola patrzyła z otwartymi ustami. Był nie tylko zbudowany jak tancerz - poruszał się również jak tancerz.

Odwrócił głowę.

- Uciekaj! - krzyknął do Sienn. - Biegnij! - to było do Ooli.

Oola zawahała się. Rudd widział Luke'a, więc, jak rozumiała, Luke musiał go teraz zabić, bo ukrywał się przed Imperium. A co z panem Fortuną?

- Przestań! - Rudd przykucnął, oparł łokieć na kolanie i ostrzeliwał się ciągłym ogniem. Luke dał krok do przodu i nadal parował wszystkie strzały. Rudd chyba nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

Oola rozejrzała się, szukając wzrokiem swojego wysokiego pana.

Tuż przy wraku Fortuna chyłkiem skradał się w stronę Sienn. Miał w ręku własny blaster. Pewnie zamierzał ogłuszyć Sienn, a potem zabić Luke'a... jeśli nie uda się to Ruddowi. Fortuna wyszedł z zza dziobu wraku i wycelował broń. Sienn skuliła się pod szczątkami statku, jak dziecko złapane w pułapkę, gdy nie ma dokąd uciec ani gdzie się skryć. Oola miała tylko chwilę, by dokonać wyboru.

- Sienn! - krzyknęła. - Uciekaj! Biegiem! - Podskoczyła w stronę Fortuny, złapała łopoczący na wietrze skraj jego płaszcza i otoczyła jego ramiona swoimi lekko gestem udającym namiętność. Fałdy tłuszczu na szyi Fortuny zatrzęsły się, blaster wypadł z eleganckiej dłoni. Pochylił się, by go chwycić.

- Puść mnie! - syknął. - Puść mnie, idiotko! Fala paniki, którą poczuła, sprawiła, że Mos Eisley wydało jej się nagle miejscem wyjątkowo zimnym. Jeśli Luke zamierzał zabić Fortunę, właśnie znalazła się na linii jego ognia. Spróbowała się wyswobodzić, ale jej lekko zaplątały się w głowoogony Fortuny.

Bib chwycił ją za nadgarstki tak mocno, że poczuła wbijające się w skórę jego paznokcie. Z trudem łapiąc oddech, upadła. Jej lekko sflaczały, a Fortuna uwolnił się w końcu z ich uścisku.

Oola pozwoliła, by podźwignął ją na nogi. Nikt nie postrzelił jej ani Fortuny, Rudd natomiast leżał twarzą do ziemi, a jego ciało podrygiwało w konwulsjach. Sienn pędziła biegiem w górę ulicy. Jej lekko kołysząc się ukazywały się zza długiego płaszcza Luke'a. Dobięła już niemal do najbliższego zakrętu. Luke biegł za nią ze swoją dziwną bronią w ręku... ale błyszcząca klinga zniknęła. Gdy Sienn znikła za rogiem, Luke zwolnił. Obejrzał się za siebie, napotkał wzrok Ooli i zawahał się.

Sienn nie przeżyje nawet dwóch minut sama w tym mieście.

- Uciekaj! - krzyknęła Oola. Luke uniósł brwi z bolesnym wyrazem twarzy, jakby zadała mu decydujące pchnięcie. Odwrócił się i po chwili już go nie było.

- A więc chcesz mieć Jabbę tylko dla siebie.- Bib przyciągnął ją tak mocno do skórzanego napierśnika, że czuła zjeżdżała woń jego oddechu spomiędzy zaciśniętych zębów. Wbił łufę miotacza w jej brzuch. - Wszystko, co najlepsze, tylko dla Ooli. Żadnych rywalek.

- Żadnych rywalek - prychnęła szyderczo, czując nagły przyływ adrenaliny i śmiałości. Lepsze to niż odraza. Nie może okazać strachu.

Fortuna odepchnął ją. Oola zdołała utrzymać równowagę, balansując rękami. Odwróciła się do Biba i czekała, co powie.

- Zaparkowałem śmigacz za rogiem - warknął. Jego pomarańczowe oczy lśniły złowieszczo. - Tędy.

Oola westchnęła, odpędzając wspomnienie. Straciła światło słońca i nadzieję, a władzy nigdy nie miała. Ale nikt nie ukradnie jej honoru. Już nigdy nie straci najlepszego powodu, by żyć.

- Fortuna mnie teraz nienawidzi - powiedziała półgłosem. Dotknęła swojej ohydnej skórzanej przepaski. - Oto moje miękkie poduszki - dodała z goryczą, gładząc palcami krawędź kamiennego łoża Jabby. A gdzie smakołyki? Skrawki, które rzucił jej Jabba, gdy się przed nim płaszczyła... albo potrawy, które podejrzewał, że są zatrute.

See-Threepio skończył tłumaczyć jej opowieść Yarnie i oboje pokiwali głowami. Spod tronu Jabby dobiegł krzyk. Widziała już wcześniej, jak Jabba karmi swojego odrażającego potwora. Rankor zwykle pożerał ofiarę w całości. Według standardów obowiązujących w pałacu była to szybka śmierć. Woląca już stać się kolejną pozycją w menu tej bestii, niż znów to oglądać. I pewnie tak właśnie skończy. Woląca to niż gorące uściski Jabby. Co za ironia, że to Sienn, ten „kąsek”, zdołała uciec... ale Oola cieszyła się, że tak się stało, i była dumna, że jej pomogła.

- Przynajmniej możesz tańczyć - zauważyła Yarna. - Ciesz się, że Jabba nie ma w swoich łapskach twoich młodych.

Oola uniosła głowę.

- Mogę tańczyć - przyznała. - Gdybym jeszcze mogła wyrazić jedno życzenie...

- To co? - zachęciła ja Yarna, poprawiając czepiec.

- Chciałabym zatańczyć taniec doskonały. Tylko raz. Nieważne, kto by patrzył. Ja bym wiedziała, że był doskonały.

See-Threepio obejrzał się przez metalowe ramię.

- Ale, pani Oolu, pan Luke jest już niedaleko.

- Znasz go?

- O, tak. Ja też...

- Więc nie zwariowałam z upału? Jakim cudem potrafi robić te wszystkie rzeczy?

- Ja też zostałam podarowany Jabbie. - Śpiewny głos brzmiał tak, jakby robot był lekko pijany. - Pan Luke jest Mistrzem Jedi i bardzo ważną osobą w Sojuszu Rebeliantów. Jest bardzo dobry w ratowaniu ludzi. Powinnaś była...

- Lepiej mi nie mów - jęknęła. Przed czym próbował ją przestrzec Luke? Że Jabba ją za... coś tam. Zabije? Przecież chyba nie umiał przewidywać przyszłości.

See-Threepio dotknął jej ramienia.

- Przybędzie tu, by mnie uratować. Upewnię się, że ocali także panie. Zostawcie to mnie. Oola spojrzała krytycznie na robota.

- Użył tylu ostrych słów w tej wiadomości, którą twój przyjaciel... wyświetlił - dokończyła po twi'lekańsku.

- A, to. Może powinna pani postarać się znieść Jego Wyniosłość jeszcze przez pewien czas? - See-Threepio bardzo po ludzku wzruszył ramionami.

Yarna szturchnęła ją, patrząc ze współczuciem.

- Posłuchaj tego metalowego faceta, Oola. Jeśli ja mogę to przeżyć, to ty też.

- Nie na długo. Nie z moim... Całym dworem wstrząsnął nagle hałaśliwy śmiech. Jeszcze chwila, a poczuje szarpnięcie za obrożę.

- See-Threepio, pomóż nam uciec. Musisz nam pomóc. See-Threepio dotknął jej grubego łańcucha, a potem masywnego, złotego bolca w swojej piersi.

- Zaplanowanie ucieczki - powiedział po twi'lekańsku. - wykracza poza moje umiejętności. Artoo ma wibroprzecinak wśród swoich końcówek operacyjnych, ale przydzielono go do służby w hangarze.

Oola zdusiła przebłysk chwilowej nadziei. Nie może zapominać o jasnej wieczności ani o Wielkim Tańcu. Nie tutaj. Ani na chwilę.

- To właśnie nas różni - powiedziała cicho. - Co ci z wszystkich sześciu milionów form komunikacji, skoro jesteś pozbawiony wiary?

- O, przepraszam! - oburzył się See-Threepio, dotykając znowu złotego brzucha. - Głęboko wierzę w pana Luke'a. On mnie uratuje. - Od czasu, kiedy usłyszał jej historię, już dwa razy powiedział o Luke „pan”. Wcześniej wahał się tak go nazywać. Widać było, że jej opowieść wyszła mu na dobre. Przynajmniej tyle.

A jeśli „pan Luke” rzeczywiście się tu zjawi, być może będzie miała swoją drugą szansę. Spojrzała na Yarnę.

- Może uda mi się przeżyć - powiedziała. I może Sienn trafiła już do jakiejś bezpiecznej przystani. - Zrobię wszystk...

Poczuła szarpnięcie za obrożę. Na wpół uduszona, poprawiała na głowie opaskę, próbując utrzymać równowagę, podczas gdy Jabba przyciągał ją do siebie. Jej stopy i dłonie grzęzły w cuchnącym cielsku. Jabba zachichotał, jakby go połaskotała. Wyjce jizzowe zaczęły grać nową melodię do tańca.

Rozwścieczona Oola zeskoczyła z platformy swojego groteskowego pana. Saltem pokonała przestrzeń do środka sali i pewnie wylądowała na kracie nad pieczarą rankora. Zapadnia Jabby znów była zamknięta. Może wcale jej nie otwierał.

Może.

Yarna przyłączyła się do tańca, podobnie jak Melina Carniss, kobieta o długiej, ciemnej sierści. Oola trzymała się najdalej, jak pozwalał jej łańcuch. Zdawało jej się, że w jednej z ciemnych nisz dostrzegła niebieskie oczy obserwujące ją spod luźno tkanego, czarnego kaptura. Ten taniec będzie dla niego. Dla drugiej szansy. Wyrzuciła nogę na wysokość głowy i jeszcze wyżej, zataczając zamaszyste łuki swoimi lekku. Oprócz wdzięku i gracji nie miała nic. Fizyczny wysiłek wypełnił ją i opanował bez reszty, jakby taniec był jej naturalnym stanem. Każdy krok, każdy gest idealnie współgrał z melodią. Zatraciła się w idealnym, zmysłowym ruchu, w perfekcyjnym panowaniu nad ciałem. W końcu.

Jabba najwyraźniej też to dostrzegł. Pociągnął za łańcuch.

Bardziej rozgniewana niż przestraszona chwyciła obiema rękami i szarpnęła z powrotem. Nie dbała o to, czy Gamorreanie znów sprawią jej lanie - nie będzie tańczyć bliżej niego. Znała tylko kilka słów po hutkańsku. Wykrzyknęła je:

- *Na chuba negatorie!*

Jabba przyciągnął ją jeszcze raz, rozkoszując się oporem, jaki mu stawiała. Oola zaparła się nogami o krawędź zapadni. Choć strach pozbawił ją panowania nad ciałem, nie podda się.

- *Na! Na! Natoota...!*

POLOWANIE opowieść Whiphida

Marina Fitch i Mark Budź

Znowu czas karmienia. Ściany izby Whiphida J'Quilla działały jak pudło rezonansowe, przynosząc odgłosy pęknięcia i chrupania kości - ostatnich kawałków posiłku „ulubieńca” Jabby, rankora.

J'Quill spacerował od ściany do ściany swojego pustego pokoju. Czuł, że całe jego wysokie, pokryte złocistą sierścią ciało aż wibruje od żądz polowania, wykrzywiającej szeroki pysk. Łaskotanie kłów wyrastających z dolnej szczęki nie ustąpiło, choć minęło już parę godzin, odkąd Jabba wtrącił twi'lekańską tancerkę do pieczary rankora. Jej krzyki zamilkły dawno temu, a J'Quill nadal się ślinił. Smakowity aromat świeżej krwi rozgrzał mu żołądek.

Nie na długo jednak. J'Quill warknął cicho. Następnym razem to on może trafić na stół rankora. Jabba tak łatwo się nudził. Co będzie, kiedy fakt zatrudniania byłego kochanka lady Valarian, by tropił knute na dworze spiski, straci urok nowości?

Niewątpliwie umieszczenie J'Quilla tak blisko pieczary rankora miało być swoistym memento. Jeśli Jabba podejrzewał, że J'Quill nadal pracował dla niej...

Lady Valarian, właścicielka Fartownego Despoty, była najpotężniejszym rywalem Jabby. Nie dość, że jej nocny klub był najbardziej dochodowy w Mos Eisley, a nawet na całej Tatooine, to dodatkowo udawało jej się wyciągać od Jabby zlecenia równie łatwo, jak sączyć dżin z Sullusta.

Tak samo łatwo rankor wyssałby szpik z kości J'Quilla, gdyby go odkryto.

J'Quill prychnął. Wystarczy, jeśli jeszcze przez parę dni postara się nie zakrwawić kłów. Za parę dni rankor i jego oddany opiekun, Malakili, będą daleko stąd, daleko od Jabby. J'Quill pomógł zorganizować ich ucieczkę do lady Valarian - jedna z niewielu dobrych rzeczy, jakie zdołał załatwić za plecami Jabby.

Drugą było przekupienie kuchcika, Phlegminą żeby wlał do pojemnika z żabami, które Jabba jadał na przekąskę, wolno działającą truciznę. Zbyt wolno działającą, jak się okazało.

Kolejna kość pękła z trzaskiem.

J'Quill zacisnął szczęki. Wygładził sierść zjeżoną wokół szyi pod wpływem zapachu krwi Twi'lekanki i żądz polowania, która w nim wezbrała. Tylko czy był myśliwym, czy ofiarą? A może i jednym, i drugim?

Przestał chodzić po pokoju, w którym jedynym sprzętem była paleta do spania. Zbudowana przez mnichów B'omarr ascetyczna cela przypominała mu wznoszone z kości i kamieni szałas na jego rodzinnej planecie, Tooli. Dwa ceremonialne trofea wisiały na przeciwległych ścianach: naszyjnik z zębów Mastmota, nasączonych trucizną, i czaszka młodego bantha, którego pokonał pewnej nocy gołymi pazurami. Był myśliwym, a nie jakimś słabym Lodowym Szczeniakiem, który siedzi beczynn timer, czekając na śmierć.

Pchnął drzwi i wyszedł na korytarz. Pełen bólu jęk przebił się przez drzwi jednej z cel. Gamorreński strażnik stęknął, przeciskając się obok J'Quilla; oczy miał zamglone z niewyspania albo z nadmiaru sullustańskiego dżinu.

J'Quill pogładził ostrą szczecinę wzdłuż dolnej wargi. Lady Valarian lubiła dżin. Gdyby tylko znowu mógł się znaleźć w Fartownym Despocie! Dwa dni temu, kiedy wydawało się, że wszystko idzie zgodnie z planem, taka możliwość istniała. Jego „rozstanie” z lady Valarian dobiegłoby końca i mogliby w końcu przestać udawać.

Ale to było, zanim dostał wiadomość. Ktoś wiedział, że przekupił Phlegminą. Zdażył już zapłacić zawrotną kwotę dziesięciu tysięcy kredytów, by uciszyć szantażystę. Ale teraz było tylko kwestią czasu, kiedy Jabba się dowie.

Ile miał czasu? To podstawowe pytanie.

Chrzęst i trzask kości umilkł. A niech to! J'Quill poczuł kropelki potu zbierające się na czole i wzdłuż długiego, szerokiego pyska. Kiedy ostatnio było mu chłodno? Otarł twarz. Pasma sierści przylepiły się do spoconej łapy. Znowu linieje. Suchy, piekący skwar Tatooine wysysał z niego energię. Ile by dał za kilka minut w jednej z lodowych saun w Fartownym Despocie!

Coś przemknęło obok niego - jeden z tych pająkowatych robotów, których oświeceni mnisi B'omarr używali do przenoszenia swoich marynowanych mózgów. Szklany słoik zamrugał w półmroku, a po chwili robot i mózg zniknęli za rogiem.

J'Quill warknął z niesmakiem i przyspieszył, zatrzymując się przed wejściem do pieczary rankora. Wewnętrzna krata była lekko uniesiona, tak jak się spodziewał. Malakili czyścił zewnętrzną klatkę.

Tu zapach krwi był mocniejszy. J'Quill zamknął oczy i odetchnął głęboko. Oszałamiająca woń ukoiliła jego napięte nerwy, nieco łagodząc tłumioną frustrację. Gdyby tylko udało mu się wytropić i zabić szantażystę...

Gdzieś w pobliżu usłyszał szuranie stopy o kamień. J'Quill odruchowo uniósł jedną łapę, rozpościerając pazury; druga powędrowała ku wibroostrzu.

- Hej, to tylko ja - powiedział miękko Malakili, wychodząc z cienia. Jego naga pierś i grube ręce błyszczały od potu. - Wyluzuj. Jesteś sztywny jak imperialny szturmowiec.

- Kiepsko spałem - powiedział J'Quill, chowając wibroostrze.

- Nic mi nie mów - powiedział Malakili, poprawiając skórzaną czapę. Zmrużył oczy, aż wyglądały jak wąskie szparki w grubej, ciastowatej twarzy. - Coś wisi w powietrzu. Nawet mój mały przyjaciel jest bardziej nerwowy niż zwykle.

- To miejsce to grobowiec - powiedział J'Quill. - W tych murach nawet żywi są umarli. Równie dobrze moglibyśmy wsadzić sobie mózgi do słoików.

- Tak, ale mózgi mnichów nie są martwe. - Malakili przysunął się bliżej do niego. - Słuchaj, słyszałem o czym, o czym powinieneś wiedzieć.

J'Quill zeszywniał.

- Co?

- Dziś po południu Bib Fortuna namawiał Jabbę, żeby cię wtrącił do pieczary. Uważa, że to byłby emocjonujący spektakl.

J'Quill spojrzał na Malakilego.

- A co na to Jabba?

- Chciałem go odwieść od tego pomysłu. Powiedziałem, że zadałbyś zbyt wiele ran mojemu

przyjacielowi, zanim zdołałby cię zabić. Ale Jabba nie był przekonany. Powiedział, że się nad tym zastanowi.

- A więc mam mało czasu - doszedł do wniosku J'Quill. Malakili przytaknął.

- Niewiele. Przy odrobinie szczęścia niedługo stąd pryśniemy.

- Żywi, mam nadzieję - powiedział J'Quill, unosząc do góry kąciki warg przy sterczących kłach. Malakili uśmiechnął się.

- Dam ci znać, jeśli usłyszę coś więcej.

- Dzięki - powiedział J'Quill.

Zgrzytając kłami, pospiesznie wrócił do swojego pokoju. Sprawy toczyły się zbyt szybko, zmuszając go do działania. Zauważalne ochłodzenie ze strony Jabby, szantażysta... a teraz Bib Fortuna i jego intrygi. Czas zmusić Phlegmina, by podał większą dawkę trucizny. Im szybciej Jabba zostanie zredukowany do worka trzęsącej się, śluzowatej galarety, tym szybciej J'Quill będzie mógł wrócić do lady Valarian. Chciał już wcześniej zwiększyć dawkę, ale bał się, że ktoś zauważy nagłą zmianę zachowania Jabby.

Nie mógł sobie teraz pozwolić na luksus ostrożności.

Wszedł do swojego pokoju i zdjął z wieszaka naszyjnik z zębów Mastmota, który wisiał na ścianie. Włożył go sobie na szyję. Na szczęście większość mieszkańców pałacu, nie wyłączając samego Jabby, uważała go za bezmózgiego osiłka, który upodobał sobie prymitywną biżuterię. Nikt nie podejrzewał, że zęby nasączone są trucizną.

J'Quill o mało nie podskoczył, gdy usłyszał cichy, mechaniczny grzechot za drzwiami. Węsząc rozszerzonymi nozdrzami, wyczuł kwaśny odór metalu i oleju.

Robot.

Pazury prawej ręki J'Quilla zacisnęły się odruchowo na rękojeści wibroostrza, by po chwili się rozluźnić. Robot-zabójca nie zapowiadałby swojej obecności pukaniem.

Ponownie rozległ się metaliczny grzechot. J'Quill uchylił drzwi.

Robot konserwacyjny - niebieska jednostka R2, model typowy dla służby domowej, zaświergotał i cofnął się o krok. Oba teleskopowe wysięgniki służące mu za ręce zadygotały. Robot ze świstem wciągnął powietrze przez sztywną szczotkę na końcu lewego ramienia i przez ssawkę do odkurzania obiść na prawym.

- Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam - powiedział cienkim metalicznym głosem. - Polecono mi odkurzyć ten pokój.

J'Quill przesunął się, wpuszczając robota. Kolejne posunięcie Jabby obliczone na zakłócenie mu spokoju - Jabby albo któregoś z jego służących, najprawdopodobniej Sprośnego Okruszka. Ten wiecznie wybałuszający oczy kowakiański małpojaszczur grzebał pewnie w zbiorniku na odpadki robota, szukając tam czegoś do przegryzienia między posiłkami. J'Quill prychnął. Z rozkoszą przeprogramowałby robota tak, by ten wciągnął swoimi ssawkami tę rozgadana małą kupę śmiecia.

- Proszę zamknąć drzwi - powiedział robot. - To nie potrwa długo. J'Quill warknął. Prawe ramię robota wydłużyło się, by odkurzyć podłogę. Głośne wycie działało J'Quillowi na nerwy. Sięgnął po klamkę.

- Mam wiadomość - oznajmił robot. J'Quill zawahał się.

- Wiadomość?

- Od przyjaciela. - Robot przerwał, nie wyłączając jednak odkurzacza. - Wiem, kto cię szantażuje. Spotkaj się ze mną na dachu cytadeli o świcie, a podam ci jego imię.

Wał obronny na szczycie kwater gościnnych. J'Quill chodził tam nieraz, by uciec od przytłaczających murów i odetchnąć chłodnym powietrzem nocy.

- Polecono mi, bym zaczekał na twoją odpowiedź - dodał robot. J'Quill poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. Sprytna przynęta ze strony Jabby, by go zdemaskować? Jeśli wiadomość pochodziła od przyjaciela, to po co te tajemnice? Dlaczego po prostu nie podał mu imienia szantażysty?

Niewątpliwie ten ktoś chciał czegoś w zamian... ale czego?

Pieniędzy? A może wciągnąć go w jeszcze jeden spiszek przeciwko Jabbie? Bo było ich już sporo. J'Quill ujawnił Jabbie zaledwie ich część. Tylko te najmniej obiecujące.

- Jak go rozpoznam? - zapytał J'Quill.

- Nie rozpoznasz - powiedział robot. - Poznasz go po tym, co będzie miał na sobie.

J'Quill głośno wypuścił powietrze z płuc, zmęczony dziwną grą. Gdyby się okazało, że to pułapka, zawsze będzie mógł twierdzić, że wykonywał tylko swój obowiązek, próbując zidentyfikować podejrzanego. Dla Jabby.

Oblizwał wargi. Tak, tak należało to rozegrać. Poczł dreszcz podniecenia, zupełnie jakby tropił Lodowego Szczeniaka albo Morskiego Wieprza, dawno temu na Tooli.

- Przyjdę - zapewnił.

Wyśliznął się na korytarz i wszedł po schodach do głównej sali audiencyjnej Jabby. Jabba i jego sługusy drzemali na platformie tronowej gangstera. Zespół grał z cicha; melodyjny jizz i gęsty dym spletały się w sinusoidalnych wstęgach dźwięku i zapachu. Zamrożony w karbonicie Han Solo patrzył prosto na J'Quilla, zawieszony w niszy jak obraz. J'Quill minął galerię dla orkiestry, przechodząc po zapadni do pieczary rankora. Kątem oka zauważył przez uchyloną kratę Malakilego, który nadal czyścił pieczarę, podczas gdy rankor z zadowoleniem ogryzał świeżą kość.

Jabba otworzył jedno oko, które po chwili zamknął, uznawszy widać, że nic się nie dzieje. Jego ogon drgnął - pewny znak, że wcale nie śpi. Nawet nowy złocisty robot u jego boku zachowywał czujność, gotów tłumaczyć rozkazy swojego pana. Bib Fortuna spał na podłodze obok Sprośnego Okruszka, który głośno chrapał. Ten cuchnący mały śmieć nawet we śnie nie potrafił być cicho.

J'Quill zszedł po schodach do kuchni. Ktoś przyglądał mu się, schowany w cieniu - jeden z mnichów B'omarr, którzy nadal kręcili się po pałacu. Szeroka, okrągła twarz mnicha była blada jak księżyc, a jego zakrzywiony nos rzucał cień w kształcie krateru na policzek. J'Quill skrzywił się i przyspieszył kroku.

Przy drzwiach do kuchni zwolnił. Z ciemnego pomieszczenia dochodziła woń rozgniecionej kozibrody. Ukradkiem podszedł bliżej. Z jednego z wewnętrznych pomieszczeń padało przytłumione światło. J'Quill zastrzygł uszami.

Usłyszał dwa spierające się głosy: nieprzerwana seria obelg Ree-Yeesa i gardłowe pomruki gamorreńskiego strażnika. Schowany za framugą J'Quill zajrzał do środka.

Podłogę kuchni zaściewały źdźbła kozibrody, jak pióra świeżo zabitego ptaka. Ree-Yees, jeszcze bardziej rozedrgany niż zwykle, chwiał się nad ciałem rozciągniętym obok połamanej skrzyni. Trzy szypułki oczne Ree-Yeesa drżały, starając się skupić wzrok na Gamorreanie, który przyjrzał mu się spod oka, po czym podszedł, kołyszając się jak kaczka i pochylił się nad trupem.

Ree-Yees przesunął się nieco na bok, odsłaniając widok. Phlegmin, kuchcik.

Szpony na palcach stóp J'Quilla zwinęły się odruchowo, drapiąc kamienną podłogę. Serce zaczęło mu walić jak młotem, aż szum tłocznej krwi zagłuszył świńskie pochrząkiwania strażnika i pijackie obelgi Ree-Yeesa. Zaciskając i rozluźniając pazury, J'Quill walczył z przemożną pokusą, by

podejść do złodziejskiego Grana i rozerwać mu gardło.

Zamiast tego warknął cicho i wycofał się. Lepiej zaczekać. Później zapoluje na pijanego mordercę. Teraz nic nie mógł zrobić - nic, co nie wzbudziłoby podejrzeń strażnika. Przełknął ślinę i wycofał się z kuchni.

Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Mijając pogrążoną w cieniu wnękę, przystanął. Mnich B'omarr zniknął.

W głowie J'Quilla zakłębiło się od hipotez. Może Ree-Yees jednak nie zamordował kuchcika. Może to robota mnicha. To Phlegmin mógł posłać robota do J'Quilla, gdy odkrył, że mnich jest szantażystą. Mnich dowiedział się o tym i zabił Phlegmina...

Ale dlaczego mnich B'omarr miałby szantażować J'Quilla? Miał wrażenie, że mnisi chcieliby się pozbyć Jabby ze swojej cytadeli równie mocno jak inni, a może nawet mocniej. A gdyby Jabba dowiedział się, że niezadowolony mnich pracuje dla niego jako szpieg... nie byłoby w tym nic dziwnego. Tak naprawdę bardziej by się zdziwił, gdyby było inaczej.

Ale dlaczego w takim razie mnich po prostu nie wydał go Jabbie?

J'Quill odetchnął ciężko i pospieszył schodami do sali audiencyjnej. Lady Valarian będzie wiedziała, co robić. Ostatnim razem, kiedy się z nią skontaktował, powiedziała mu, żeby siedział cicho, dopóki Jabba nie stanie się chichoczącym, bezmózgim ślimakiem.

Jednak bez Phlegmina mogło to trochę potrwać. Zresztą powinna wiedzieć, co się dzieje.

Zespół muzyczny właśnie się pakował, gdy J'Quill ich mijał. Rankor chrapał w swojej pieczarze i nawet ogon Jabby podrygiwał wolniejszym rytmem, jakby w zadumie. J'Quill zacisnął pazury, by nie dotknąć naszyjnika z zębów Mastmota. Starannie omijał wzrokiem pojemnik z żabami.

Wspinając się po schodach do kwater gościnnych, minął zamaskowanego łowcę nagród, który wcześniej tego samego wieczoru przyprowadził Wookiego i zagroził, że wysadzi w powietrze pałac detonatorem termicznym. J'Quill uśmiechnął się. Subtelna, piękna demonstracja żądzy polowania. Naprawdę godna podziwu.

Łowca nagród skinął mu głową nie zatrzymując się. Pewnie szedł do lochu podrażnić trochę Wookiego. J'Quill rozszerzył nozdrza. W zapachu łowcy nagród było coś dziwnego, coś, co nie pasowało do tego miejsca. Ale teraz nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zaczął biec po schodach w górę.

Zasapał się; w płucach piekło go gorące, nieświeże powietrze. Po obu stronach wygiętego skrzydła dla gości biegł rząd drzwi, większość z nich otwarta, jako że pokoje były puste. Dawniej służyły mnichom za jednoosobowe cele do spania i medytacji, teraz jednak korytarz wypełniała stęchła woń zaniedbania. Jabba nie miewał wielu gości. Dwóch czy trzech wystarczyło, żeby pobudzić jego obsesyjną paranoję.

Oglądając się przez ramię, J'Quill wślizgnął się do pustego pokoju w pobliżu klatki schodowej prowadzącej na dach. Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Podszedł do szczeliny okiennej w przeciwległej ścianie. Wychylił się, by popatrzeć na nocne niebo, i odetchnął głęboko, wciągając w nozdrza kojącą bryzę. Chłodne powietrze lekko pachniało pyłem. Wiatr niósł też woń kozibrody, niewątpliwie dochodzącą z kuchni. J'Quill poczuł rozkoszny dreszcz. Nocny wiatr niósł też dziś zapach krwi.

Odwrócił się od okna i zdjął zakrętkę z rękojeści wibroostrza. Wysunął ze środka tubę holoprojektora, ustawił ją na grubym parapecie i upewnił się, że miniaturowe soczewki wycelowane są w jego stronę.

Włączył przycisk aktywacji transmisji i czekał, aż odezwie się lady Valarian. Nie powinno to długo potrwać. Nie chodziła do łóżka przed świtem, kiedy to na kilka godzin zamykano Fartownego Despotę, by przygotować się na przyjęcie następnych gości.

Cylinder wyświetlił snop światła. Pół sekundy później soczewki pokazały hologram wjazdu wejściowego i kajuty, w której lady Valarian prowadziła interesy. Urok Fartownego Despoty polegał między innymi na tym, że kiedyś był to frachtowiec. Lady Valarian wykorzystwała wystrój statku kosmicznego, by stworzyć atmosferę, w której piloci czuli się jak u siebie, a zarazem na tyle egzotyczną, by przyciągnąć mieszczuchów. J'Quill warknął tęsknie.

I nagle w środek hologramu weszła lady Valarian, olśniewająca jak zawsze. Kędzierzawa grzywa, połyskująca czerwonymi refleksami, spływała po obu stronach jej twarzy. Kły miała pomalowane na niebiesko, a na lewym nosiła złoty pierścień. W uszach lśniły kolczyki.

J'Quilla zalała fala tęsknoty. Napłynęło wspomnienie podniecającej woni jej feromonowych perfum, miękkości jej sierści ocierającej się o jego płaski nos, sposobu, w jaki posapywała przez sen...

- J'Quill - odezwała się, machając mu ręką o wypolerowanych pazurach. W tle słychać było ryk muzyki i gwar graczy w sabaka dobiegający z Gwiezdnej Kawiarni. - Tak bardzo się cieszę, że cię widzę. O, mój mały Mastmotku, jak ty wychudłeś! Znowu liniejesz... No, ale teraz, kiedy załatwiłeś to drobne zadanie, które obiecałeś dla mnie wykonać...

- Jeszcze nie, mój lodowy tygrysku - powiedział i mlasnął językiem. - Jest pewien problem, który muszę z tobą omówić.

Lady Valarian zmrużyła oczy.

- Jaki problem, najdroższy? Potężna dłoń whiphidańskiego samca znalazła się nagle w polu holoprojektora i podała lady Valarian mrożony sullustański dzin. J'Quill z trudem przełknął ślinę. Samiec w komnatach lady Valarian...

- J'Quill? - zagadnęła lady Valarian. - Kochanie? J'Quill odchrząknął. To pewnie tylko służący.

- Ktoś mnie szantażuje - powiedział. - Ktoś wie, że kuchcik zatrul żaby. Ktoś zabił go kilka minut temu.

Lady Valarian wypuściła z ust słomkę, przez którą sączyła dzin.

- Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie? Czy Jabba wie, że próbujesz go otruć?

- Jeszcze nie - powiedział J'Quill, choć wcale nie był tego taki pewien. Lady Valarian westchnęła.

- W takim razie po co dzwonicz, kochanie? Proszę, przejdź do rzeczy. Mam tyle innych spraw...

J'Quill wciągnął powietrze przez rozszerzone nozdrza. Oczy lady Valarian załśniły pod zmarszczonymi brwiami.

- Poza tym to zbyt niebezpieczne. Gdyby ktoś cię teraz przyłapał, mój najdroższy...

J'Quill pochylił się w stronę hologramu.

- Potrzebuję pomocy. Muszę się dowiedzieć, kto załatwił kuchcika. Czy przychodzi ci do głowy, kto mógł go zabić albo kto mnie szantażuje?

- Jest tam taki mnich B'omarr...

Dalsze słowa zagłuszył dudniący śmiech, który wstrząsnął ścianami pałacu. Jabba. J'Quill zeszywniał. Sierść na kręgosłupie zjeżyła mu się w nagłym przypiływie strachu.

Zobaczył, że lady Valarian otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

- J'Quill.

- Nie zawiodę - obiecał J'Quill, wyciągając rękę w stronę tuby holoprojektora, podczas gdy ściany zdrzały od kolejnego wybuchu śmiechu. Przerwał obwód i szybko wsunął tubę w rękojeść wibroostrza.

Pełen napięcia chwycił broń, gotów do obrony. Zaczął nasłuchiwać, starając się wyłowić najcichsze dźwięki... szuranie stopy o kamień czy stukot broni. Cisza.

Czy za drzwiami czekają na niego strażnicy? Lepiej spojrzeć śmierci prosto w oczy. Otworzył drzwi, spodziewając się wystrzału z Mastera albo cięcia wibrotoporem.

Nic.

Korytarz był pusty. J'Quill pobiegł w kierunku schodów. Odległe głosy - ludzkie głosy - dobiegały z sali audiencyjnej Jabby, przerywane chichotem Sprośnego Okruszka.

J'Quill przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Tuż przed tym, jak dotarł do ostatniego schodka, coś przykuło jego uwagę. Cofnął się o krok.

Blok karbonitu.

Pusty.

J'Quill poczuł, że drży mu ogon. Ludzki głos, który namawiał do czegoś Jabbę, musiał należeć do Hana Solo. Ale to przecież niemożliwe. Łatwiej było wyrwać się z serca góry lodowej na Tooli, niż wyswobodzić się z mroźnego uścisku karbonitu...

Kolejny wybuch śmiechu wypełnił salę audiencyjną. Do basowego rechotu Jabby dołączyła kakofonia innych dźwięków. Kryjąc się pod ścianą J'Quill zajrzał do sali.

Łowca nagród - kobieta bez hełmu - stała obok Solo na wprost Jabby. Zaskoczony J'Quill syknął. Kobieta! Dlatego tak dziwnie pachniała!

Solo kiwał głową do góry i na boki, nie mogąc skupić wzroku i najwyraźniej nie widząc Jabby.

- Zapłacę ci potrójnie! - Krzyknął, odciągany przez gamorreńskich strażników. - Odrzucasz fortunę! Nie bądź głupcem!

Jabba uśmiechnął się i odwrócił, by przyjrzeć się ludzkiej samicy tym samym okrutnym, pożądanym wzrokiem, którym patrzył na twi'lekańską tancerkę. Grube wargi miał wilgotne od śliny.

J'Quill cofnął się i spokojnie schował wibroostrze. Nie wyglądałoby zbyt dobrze, gdyby jakiś strażnik zobaczył go kryjącego się w cieniu z odkrytą bronią. J'Quill odetchnął głęboko.

Histeryczny skrzek Sprośnego Okruszka zagłuszył odgłosy odwrotu J'Quilla. Nadal miał czas. Przynajmniej dopóki Jabba nie straci zainteresowania tą kobietą.

Przeszedł korytarzem do kwater gościnnych. Będzie tam bezpieczniejszy niż we własnym pokoju, jeśli Jabba go podejrzewa. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na podłodze twarzą do szczeliny okiennej, z wibroostrzem na skrzyżowanych nogach. Widoczny w szczelinie fragment nieba z czarnego przechodził w granat. Niedługo będzie świtać.

Przeniósł wzrok na ścianę obok. Jabba musiał wiedzieć. Bo jeśli nie, to dlaczego Phlegmin zginął? Szantażysta - mnich, przed którym ostrzegła go lady Valarian - powiedział pewnie Jabbie o zatrutych zębach, a potem zabił kuchcika by dowieść swojej lojalności. J'Quill skrzywił się. Jabba zawsze domagał się dowodów lojalności. J'Quill był zmuszony zapolować na własnego sługę i „zabić” go, by udowodnić Jabbie swoją wierność. Na szczęście ten krótkowzroczny worek galarety nie potrafił odróżnić kła Whiphida od większego zęba Mastmota.

W dole korytarza usłyszał ciężkie kroki. Poderwał się na nogi, dobywając wibroostrza. Niskie, świńskie pochrząkiwania Gamorrean odbijały się echem w korytarzu. Wstrzymując oddech, J'Quill stanął za drzwiami.

Strażnicy minęli pokój.

J'Quill nasłuchiwał, póki nie ucichł odgłos ich kroków, a potem znowu usiadł, chowając wibroostrze do pochwy. To lady Valarian podarowała mu tę broń.

Lady Valarian. Dla której co dzień ryzykował swoje kły.

I w której pokoju był nieznajomy samiec. Służący? A może rywal? J'Quill poczuł, że jeży mu się grzywa. A może ten szantażysta miał więcej wspólnego z lady Valarian niż z Jabba?

Może lady Valarian zmęczyło czekanie, aż J'Quill coś przedsięwzię i postanowiła pozbyć się go, oszczędzając sobie wstydu, gdyby został rozpoznany jako jej nieudolny szpieg? Nie znosiła głupich, słabych samców. Weźmy choćby D'Woppa, jej pierwszego męża. Ten dureń był zbyt głupi, by odrzucić nagrodę za głowę swojej małżonki, którą Jabba zaproponował mu podczas ich wesela. Lady Valarian odesłała go na Toole w trumnie.

J'Quill nie był głupi ani słaby. Powolna trucizna to był pomysł lady Valarian.

- Lepiej pozostać w ukryciu, mój najdroższy - przekonywała go.

J'Quill spojrział na wibroostrze. Pięknie wyrzeźbione, najlepsza broń, jaką można kupić za kredyty. Czy jego wnioski nie były przedwczesne? Mimo wszystko przecież wiedziała o mnichu...

Gdzieś z hangaru dobiegał głośny łoskot. J'Quill przyłożył ucho do drzwi, nasłuchując, a potem wyjrzał przez szczelinę okienną. W szarym świetle przedświt zobaczył ludzi krzątających się, by przygotować żaglową barkę Jabby, wyprodukowaną na Ubrick. Najwyraźniej Jabba planował w najbliższej przyszłości wycieczkę do Wielkiej Jamy Carkoona. Pewnie zamierzał rzucić Hana Solo i Wookiego na pożarcie Sarlaccowi.

Czy J'Quill też miał się znaleźć na liście potraw?

Wzdrygnął się i popatrzył na pustynię, na jasny pas tuż nad horyzontem. Światło rozlewało się powoli jak woda, gasząc ognie gwiazd. Najwyższy czas iść na dach na spotkanie z informatorem. J'Quill dobył z pochwy wibroostrze i otworzył drzwi.

Ktoś szedł przez korytarz, powłócząc nogami. J'Quill przystanął w drzwiach i zaczął nasłuchiwać suchego szeptu ubrań. Zamiast słabnąć i oddalać się w stronę schodów prowadzących do sali audiencyjnej, cichy szelest przybierał na sile.

Jakiś cień wyłonił się nagle zza zakrętu korytarza. Cicho minął otwarte drzwi. Błada, okrągła twarz ze skrzywionym nosem bojaźliwie lustrowała każdy cień.

Ten sam mnich, który krył się we wnęce obok kuchni.

J'Quill wśliznął się do pokoju i czekał, aż mnich go minie. Luźne szaty mężczyzny falowały przy każdym kroku. Światło wpadające przez niedomknięte drzwi oświetlało połowę jego twarzy. Nie miał na niej ani włoska. Na całej głowie też.

J'Quill poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Zmrużył oczy, przez co cienie w korytarzu jeszcze bardziej pociemniały. Czuł w opuszkach pod pazurami pulsowanie krwi, a w piersi serce walące z dziką siłą.

Wyszedł na korytarz. Mnich zatrzymał się i odwrócił, z rękami ukrytymi w fałdach szaty, dostatecznie szerokich, by ukryć w nich Master lub wibroostrze.

- Tu jesteś - powiedział mnich. Błysk wibroostrza przyciągnął jego wzrok. - Chodźmy na dach, przyjacielu. Tam będziemy mogli rozmawiać swobodnie.

Wibroostrze w ręku J'Quilla zadrżało. Chwycił je mocniej.

- Czego chcesz ode mnie?

Mnich spojrział nerwowo w głąb korytarza.

- To nie jest miejsce na rozmowę. Zbyt łatwo nas podsłuchać. Zaufaj mi.

- Byłeś w kuchni, gdy zmarł ten kuchcik - zarzucił mu J'Quill, nie ruszając się z miejsca. -

Widziałem cię.

- Nie mogłem nic zrobić - powiedział mnich. Poruszył dłońmi ukrytymi w fałdach szaty.

Zanim zdążył uwolnić ręce, J'Quill machnął w górę wibroostrzem, które przecięło szatę i rozorało pierś mężczyzny. Mnich spojrzał na J'Quilla śmiertelnie zaskoczony, by po chwili osunąć się na podłogę.

Ciężar w piersi J'Quilla zelżał. Znów mógł swobodnie oddychać. Nabrał w płuca powietrza, pełnego upajającej woni świeżej krwi.

Schowawszy wibroostrze do pochwy, przykląkł i przewrócił ciało na plecy. Mnich zagulgotał.

- Phlegmin...szan...ta...żys...ta - wystękał, a potem wzdrygnął się i umarł. Phlegmin? J'Quill zmarszczył czoło i pochylił się nad ciałem.

W słabym świetle coś zalśniło.

Kolczyk. J'Quill odwrócił głowę mnicha, by lepiej się przyjrzeć kamieniowi osadzonemu w prostym złotym kółku. „Poznasz go po tym, co będzie miał na sobie”, powiedział robot.

Kolczyk należał do lady Valarian.

J'Quill dał jej tę parę następnego dnia po ich pierwszej wspólnej nocy. Warknęła z zachwytu i od razu założyła kolczyki.

Odpiął kolczyk z ucha mnicha.

Więc to on pracował dla lady Valarian. J'Quill zacisnął pące wokół kolczyka. Co jej teraz powie?

Z korytarza na dole dobiegło stękanie i sapanie. J'Quill chwycił mnicha za szatę i zaczął ciągnąć ciało do najbliższego pokoju gościnnego. Ręce trupa wysunęły się spomiędzy fałd habitu.

Prawa dłoń była zaciśnięta na detonatorze termicznym.

Czy to ten, którym łowca nagród straszył Jabbę?

J'Quill wyjął detonator ze sztywniejącej dłoni. Niezależnie od tego, co zrobił, miał teraz szansę naprawienia swojego błędu.

Do sapania dołączył tupot ciężkich kroków. J'Quill obejrzał się przez ramię. Pusto, ale ten ktoś na pewno szedł w jego stronę. Rozejrzał się nerwowo dookoła. Gdzie schować detonator? Sakiewka przy pasie wydawała się zbyt mała...

Wcisnął jednak do niej detonator, modląc się, by go niechcący nie odpalić. Sakiewka tak napęczniała, że nie dał rady jej zamknąć. Wygladził sierść, by choć częściowo zakryła otwór sakiewki, i uniósł ramiona, słysząc krzyk zbliżającego się nieznajomego.

A właściwie nie krzyk, tylko pisk. J'Quill odwrócił się niespiesznie i z krzywym uśmiechem spojrzał prosto w twarz przysadzistego gamorreńskiego strażnika.

Idiota na kopytach.

Strażnik niósł ciało Phlegmina przewieszane przez ramię. To pewnie ten sam Gamorreanin, który rozmawiał z Ree-Yeesem w kuchni.

Strażnik podszedł do niego, stękając i prychnając. Chrząknął niezrozumiale parę razy i spojrzał na J'Quilla wyczekująco.

J'Quill rozmyślał gorączkowo. Do jakiego stopnia głupi tak naprawdę byli ci strażnicy? Jeśli ten prymityw uwierzył Ree-Yeesowi, uwierzy we wszystko.

Gamorreanin chrząknął niecierpliwie. Jeden z dźwięków przypominał nieco słowo „trup”.

J'Quill zaoponował:

- Nie, to nie trup. On... hm... medytuje. Jest w głębokim transie. Zgłębia niezgłębione.

Strażnik pochylił się nad mnichem. Zmarszczył nos i prychnął pytająco. J'Quill oblizał wargi.

- Chciał się przekonać, czy osiągnął stan najwyższego oświecenia. Uznał, że musi przeprowadzić małą próbę, zanim poprosi przyjaciela, by wyjął jego mózg i umieścił w słoju.

Strażnik zmrużył świńskie oczka i stęknął, wskazując najpierw na głowę, a potem na krew na piersi mnicha. J'Quill wzruszył ramionami.

- Tu właśnie mają mózgi. W piersi. Żeby łatwiej je było wyjąć.

Strażnik uniósł brew. Prychnął i wystękał coś, co brzmiało jak „tu nie może medytować”. Potem pochylił się i zarzucił sobie ciało mnicha na drugie ramię.

J'Quill patrzył, jak strażnik odchodzi. Wreszcie westchnął z ulgą dotykając detonatora termicznego.

Wśliznął się do najbliższego pokoju gościnnego i podszedł do okna. Podniósł kolczyk i przez chwilę podziwiał grę światła na szlifach klejnotu. Potem położył cacko na parapecie. Otworzył sakiewkę.

Zacisnął pazury na detonatorze termicznym. Dokładnie wiedział, co z nim robi. Dostał drugą szansę wyeliminowania Jabby - i tym razem nie zawiedzie.

ZREŹCZNY RUCH opowieść Mary Jade

Timothy Zahn

Taniec się zakończył, muzyka ucichła. Stała tak, jak skończyła. Na czubkach palców, z ręką wyciągniętą w górę, sięgając wymownym gestem po gwiazdy, Imperium czy może po prostu po aprobatę swojego pana. Na chwilę krótką jak kilka uderzeń serca zastygła w tej pozie, a potem dramatycznym ruchem padła na podłogę, rozpościerając ręce jak ptak. Nogi ułożyła jak nożyce, aż jedna znalazła się z przodu, a druga w tyle. Urok, piękno i styl przekształcone w jednej chwili w małość, kapitulację i poniżenie. Dokładnie ta kombinacja, którą, jak jej mówiono, Jabba preferował u swoich tancerów.

To samo musiał w nich cenić tłusty mężczyzna z blizną na twarzy, rozciągnięty na kanapie na wprost niej. Sekundy mijały, a on siedział, nic nie mówiąc, tylko się na nią gapiąc. Zastygła w wystudiowanej pozie, oddychając szybko i płytko, jakby zastanawiała się, czy może wstać, nie pytając o pozwolenie. Ale tłuscioch już wcześniej udowodnił, jak bardzo cieszy go wydawanie rozkazów, zwłaszcza bezbronnym poddanym. Jeśli chciała stać się jedną z tych poddanych, powinna pozwolić mu na jeszcze jeden popis egotyizmu.

Czekała więc na rozkazy, które po kilku sekundach w końcu wydał.

- Wstań - powiedział tonem równie swobodnym jak jego poza. - Podejdź tu.

Zrobiła, co kazał. Z bliska był jeszcze bardziej odpychający; wydzieliał tak intensywną tłustawą woń, że poczuła się bliska uduszenia. Ale Jabba - tego była pewna - będzie jeszcze gorszy. Może to też był swoisty test.

- Doskonale tańczysz, Arica - pochwalił, mierząc ją wzrokiem od góry do dołu. - Naprawdę doskonale. Powiedz, w czym jeszcze jesteś dobra?

- We wszystkim, czego zażąda ode mnie mój pan, Hutt Jabba. Uśmiechnął się; małe oczka niemal zniknęły w fałdach tłuszczu.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Nie w tym, czego ja zażądam, ale czego zażąda twój pan Jabba. Mądra odpowiedź, ale chyba nie dość mądra. Powiedz, czy zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, że ja sam byłem kiedyś Hurtem Jabbą?

Zamrugła, robiąc minkę bezbronnego głuptaska, najlepszą na jaką było ją stać.

- Pan był... N-nie rozumiem.

- Byłem Hurtem Jabbą - powtórzył, wyraźnie zadowolony z siebie. - Oczywiście nie naprawdę, ale wielu ludzi na Tatooine tak myślało. Widzisz, to mnie Jabba zawsze wysyłał na spotkania poza pałacem. Wolał zachować anonimowość. Dobry przemytnik zawsze zachowa parę sekretów. - Zadowolony z siebie przestał się uśmiechać. - Teraz rozumiesz, z kim naprawdę masz do czynienia.

- Tak, teraz rozumiem - powtórzyła. Wiedziała doskonale - miała przed sobą faceta, którego stratę Jabba łatwo by przebolewał. To on miał przyjąć na siebie te strzały z blastera, które wrogowie

Jabby spróbowaliby wystrzelić w jego kierunku. Na dodatek głupca, zbyt olśnionego niby-chwałą i niby-władzą, jaką obejmowała jego rola, by uświadomić sobie, że był niczym więcej jak tylko przynętą dla morderców.

Jednak Jabba ufał mu przynajmniej na tyle, że pozwalał finalizować swoje transakcje, i wierzył, że nie zdradzi się przy tym. Pewnie dzięki temu zasłużył na tę odrobinę wdzięczności, do której Hutt być może był zdolny.

Cóż, to ktoś, kogo nie należało drażnić. Przynajmniej nie otwarcie.

- To świetnie - powiedział mężczyzna łagodnie. - A zatem dobrze, angażuję cię. Zacznesz na nocnej zmianie... nigdy nie wiadomo, kiedy Jabba może zapragnąć rozrywki.

Spojrzał na drzwi i strzelił palcami. Jeden z gamorrekańskich strażników oderwał się od ściany i podszedł bliżej.

- Strażnik pokaże ci drogę. Zobaczymy się później, Arica.

- Będę zaszczycona - szepnęła, pokornie skłaniając głowę i wychodząc z pokoju. Musiała się przed nim płaszczyć.

Ale to nic. Niech ten nic nieznaczący typ rozkoszuje się nic nieznaczącą władzą którą wydawało mu się, że nad nią ma. Uważał się za zaufanego poddanego jednego z najpotężniejszych gangsterów w Imperium, ale tak naprawdę był nikim. Mogła go zniszczyć jednym słowem; mogła rozbić całą przestępczą organizację Jabby dla zwykłego kaprysu; mogła wypalić tę prowincjonalną planetę aż po jądro na jeden rozkaz. A jeśli nie zrobi żadnej z tych rzeczy, to tylko dlatego że ma ważniejsze zadania.

Zadania godne Mary Jade, Ręki Imperatora. Pojawiała się tu, żeby czekać na przybycie Luke'a Skywalkerera. I żeby go zabić.

Twarz Imperatora wydawała się dryfować w powietrzu na wprost Mary, a w jego żółtych oczach widziała błyski zadowolenia. *A zatem przedostałaś się do środka, przekazał jej w myśli. Skywalker jeszcze się nie pojawił?*

Jeszcze nie, odpowiedziała mu, również telepatycznie. *Ale jest tu Solo. Kiedy pojawi się Skywalker, będę gotowa.*

Oczy załśniły ponownie, a Mara poczuła, jak rozgrzewa ją ciepło jego aprobaty. *Doskonale,* pomyślał do niej. *Jest zagrożeniem, które musimy wyeliminować.*

Mara pozwoliła sobie na uśmiešek.

I tak się stanie, obiecała swojemu mistrzowi. *Może nawet Jabba dopadnie go pierwszy.*

Nagle poczuła, że rozgrzewające ją ciepło znika, pozostawiając za sobą lodowaty chłód. *Błędem jest nie doceniać przeciwnika,* ostrzegł ją Imperator. *Pamiętaj o Bespi*

Mara skrzywiła się. Właśnie. Miasto w Chmurach na Bepinie i pojedynek Skywalkerera z Darthem Vaderem. Skywalker poradził sobie w tej potyczce wyjątkowo dobrze - lepiej niż oczekiwali i Vader, i Imperator.

A w trakcie pojedynku Vader zaproponował, by obaj sprzymierzyli się przeciwko Imperatorowi.

Później Vader zaprzeczał, twierdząc, że ta propozycja była tylko przynętą by wciągnąć Skywalkerera w pułapkę Ciemnej Strony. Ale Imperator znał myśli i uczucia Vadera i wiedział, że nie była to cała prawda.

I właśnie dlatego Mara stała teraz tu, gdzie stała. Sama. Była Ręką Imperatora, a władać Mocą czerpać z niej i wykorzystywać do własnych celów uczyła się pod kierunkiem samego mistrza... który jako jedną z umiejętności posiadał zdolność ukrywania swoich uczuć nawet przed tak potężnym

Ciemnym Jedi jak lord Darth Vader. Może Vader później zacznie się zastanawiać, czy Imperator nie przyłożył ręki do śmierci Skywalkera, ale nigdy nie dowie się tego na pewno. A gdy będzie po Skywalkerze, będzie po sprawie. W pojedynkę Vader nigdy nie rzuci wyzwania Imperatorowi.

Pamiętam o Bespinie, zapewniła swojego mistrza. A Skywalker tu zginie.

Imperator uśmiechnął się... a jego miejsce zajęła nagle inna twarz, która nałożyła się na wizję Mary. Młoda, ciemnowłosa kobieta w purpurowym kombinezonie.

- Ty jesteś Arica?

Mara zamrugnęła i twarz Imperatora zniknęła, pozostawiając jedynie wrażenie odległej obecności.

- Tak - odpowiedziała. - Przepraszam, zamyśliłam się. Kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Jasne, zamyśliłaś się. - Machnęła ręką. - Założę się o twoją pierwszą tygodniówkę, że myślałaś, jak wielką pomyłką był przyjazd tutaj.

Mara rozejrzała się dookoła. Nora Tancerek - tak nazywali garderobę. Określenie w pełni zasłużone.

- Sama nie wiem... - powiedziała dyplomatycznie. - Bywałam w gorszych miejscach.

- Tak czy owak, lepsze to niż jama rankora. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Nie przejmuj się, pieniądze są dużo lepsze niż warunki.

- Mam nadzieję - powiedziała Mara, zastanawiając się, jak musi wyglądać jama rankora. - Obiecane świadczenia dodatkowe nie były zbyt zachęcające.

Kobieta roześmiała się.

- No tak... tłuścioch. Przerabiał już z tobą gadkę Jaki to ja jestem ważny”?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie przejmuj się, jest właściwie nieszkodliwy. Powiem ci później, jak trzymać go na dystans. Atak na marginesie, jestem Melina Carniss. Ekstancerka, a obecnie choreograf i coś w rodzaju ochmistrzyni. Chodź, zaprowadzę cię do sali tronowej i przedstawię Jego Wyniosłości.

Poszły jednym z licznych ciemnych tuneli, którymi był pocięty pałac. Mara co chwila marszczyła nos, atakowany przez coraz to inny smród, i przez chwilę żałowała, że jej znajomość spraw Jabby i jego pałacu była tak pobieżna. Może najpierw powinna była wybrać się do Bespine i spróbować zdobyć najbardziej aktualne informacje na temat Jabby i jego świty z biura pani gubernator Aryony.

Z drugiej strony... na dłuższą metę mogło się to okazać niebezpieczne. Żeby dostać się do imperialnych danych, musiałyby przedstawić się jako wysoko postawiona agentka Imperium... a naprawdę zdolni gubernatorzy nie byli posyłani na taką kupę piachu jak Tatooine. Gubernator Aryona mogła być zbyt leniwa lub zbyt niekompetentna, by trzymać szpiegów Jabby z dala od swojej listy płac, mogła też sama być na liście płac Jabby. Co gorszą gdyby Mara pozwoliła, by ktoś ją tu rozpoznał, wiadomość o tym wcześniej czy później trafiłaby do lorda Vadera.

Zresztą to tylko proste zabójstwo: szybka penetracja, szybka śmierć, szybka ucieczka. Nie, lepiej działać na własną rękę.

- Oto sala tronowa - powiedziała Melina, wskazując na łukowato sklepione wejście do bogato urządzonej komnaty. - Popatrz tylko, wygląda na to, że trafiłyśmy na jakiś spektakl.

Mara wstrzymała oddech. Bohaterem spektaklu był Luke Skywalker.

A raczej jego hologram. Nagrana wcześniej wiadomość, wyświetlona przez przysadzistego astromecha R2-D2, obok którego stał wiercąc się nerwowo robot protokolarny C-3PO. Roboty Skywalkera - po prostu wspaniale. Te same, które odegrały kluczową rolę w zniszczeniu tak cenionej

przez Imperatora Gwiazdy Śmierci.

- ...przekazuję ci w darze te dwa roboty. Robot protokolarny aż podskoczył z wrażenia.

- Ciekawe kto to - powiedziała cicho Melina.

- Nie wiem - odparła Marą patrząc na nagranie ze zmarszczonym czołem. Czytała wszystko, co Imperator miał na temat Skywalkera: znała jego przeszłość, dzieciństwo spędzone właśnie tu, na Tatooine, krótkie szkolenie pod okiem Obi-wana Kenobiego, niezliczone kłopoty, jakich zdążył przysporzyć Imperium. Teraz jednak nie miała przed sobą niepewnego, niedoświadczonego smarkacza, którego widziała w tamtych materiałach. Ten Luke Skywalker, którego teraz widziała i słyszała, był opanowany, pewny siebie, świadomy swojej siły.

Uzbrojony w doskonale widoczny miecz świetlny przypięty do pasa - nowy miecz, który pewnie sam zbudował zamiast tego, który stracił na Bespinie.

Imperator miał rację. Skywalker rzeczywiście był bardziej niebezpieczny, niż Mara skłonna była wcześniej przyznać.

Wiadomość dobiegła końca a roboty wyprowadzono szybko z sali. C-3PO przez całą drogę jęczał.

- No, dobrze - powiedziała Melina, biorąc Marę pod ramię. - Uszy do góry, Arica.

Idziemy poznać cię z Hurtem.

Zanim z powrotem przyprowadzono robota protokolarnego, sala tronowa zapełniła się ludźmi, obcymi, dymem i hałasem. Pod ścianą przygrywał trzeciorzędny zespół muzyczny; w środku, przed tronem Jabby, tańczyła młoda Twi'lekanka.

Miała na imię Oola i tańczyła świetnie.

Mara stała pod łukowatym wejściem do sali tronowej u wylotu korytarza prowadzącego do Nory Tancerek. Trzymając się w cieniu, jednym okiem przyglądała się tańczącej Ooli, drugim zaś badała salę i zgromadzonych w niej dworaków. Dziwna zbieranina, od głodnych nicponi, próbujących zaimponować Jabbie okrucieństwem i bezwzględnością po nazwiska z samej góry imperialnej listy najbardziej poszukiwanych kryminalistów. Jeśli Skywalker dotrze aż tu, będzie miał pełne ręce roboty.

Nagle zeszywniała, zaalarmowana wewnętrznym zmysłem zwiastującym niebezpieczeństwo.

Świadomie spowolniła rytm oddechu, by uspokoić umysł i przygotować ciało do działania. Wzrokiem i umysłem przeczesywała salę, szukając źródła niebezpieczeństwa...

...i w tej samej chwili zobaczyła, jak Jabba wciska guzik, który otworzył zapadnię w podłodze, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała Oola.

Przeraźliwy krzyk tancerki oddalał się coraz bardziej. Tron Jabby ruszył do przodu ponad zapadnię i zatrzymał się przez wielką kratą w podłodze, wokół której natychmiast zgromadził się tłum. Mara zauważyła Melinę Carniss, przykucniętą po jednej stronie kraty i przyglądającą się z uwagą temu, co działo się w dole. Znów krzyk, tym razem gdzieś w oddali...

I nagle widowisko poszło w zapomnienie. Za wejściem po przeciwległej stronie sali tronowej rozległy się odgłosy blasterowych strzałów. Na chwilę zapanowało zamieszanie; potem, przepychając się wyniośle pomiędzy strażnikami, pojawiła się uzbrojona postać okryta pancerzem, prowadząca na łańcuchu Wookiego.

I to nie byle Wookiego. Chewbacę, towarzysza i drugiego pilota Hana Solo.

- Boushh - mruknął ktoś niedaleko. - I to by było na tyle, jeśli chodzi o nagrodę za Chewbacę.

Mara uśmiechnęła się. Tak prosto, tak klasycznie, tak zwyczajnie. Najlepszy sposób, by

przeniknąć do fortecy wroga, to przyjść w przebraniu, razem z kimś lub z czymś, czego ten wróg pragnie.

Ale tym razem ta sztuczka nie zadziała. Zmarszczyła czoło w skupieniu i starając się odciąć od hałaśliwego rozgwaru pozostałych umysłów obecnych w sali, zaczerpnęła z wnętrza siebie moc Imperatora i skoncentrowała się na postaci w pancerzu. Dotknęła jej umysłu...

I aż zamrugła ze zdziwienia. To wcale nie był Skywalker! Pod zbroją kryła się kobieta.

Kobieta?

Gra zaczęła się toczyć: Jabba zaproponował zbyt niską cenę, postać w zbroi wyciągnęła swą kartę przetargową - detonator termiczny. Mara czekała, aż rozgrywka dobiegnie końca aż Wookiego wyprowadzą do lochów. Dopiero wtedy przebrnęła przez bawiący się w najlepsze tłum aż do łowcy nagród Boby Fetta, który w milczeniu trzymał straż.

- Przepraszam, proszę pana... - powiedziała, wyciągając rękę i w ostatniej chwili cofając ją jakby chciała go poklepać po ramieniu i nagle się rozmyśliła. - Nazywam się Arica... jestem tu dziś pierwszy dzień. Ten łowca nagród... t-to było straszne. Czy takie rzeczy się tu zdarzają?

Przez dłuższą chwilę patrzył tylko na nią, i przez cały ten czas Mara miała wrażenie, że gra się skończyła. Boba Fett od wielu lat niejednokrotnie przyjmował dyskretne zlecenia od Imperium, i było całkiem prawdopodobne, że zauważył ją kiedyś w otoczeniu Imperatora. Sięgnęła Mocą do jego umysłu, próbując go wysondować. Niestety, panował nad sobą idealnie i nie wyczuła nic, co mogłoby posłużyć za wskazówkę.

- Bardzo mi miło, Arica - powiedział w końcu tym płaskim głosem, który przerażał jego ofiary i imponował zleceniodawcom. - Nie przejmuj się Boushhem, sprawia wrażenie szalonego, ale jest zupełnie normalny. Jabba wie, komu może ufać. Nikt inny się tu nie dostanie. - Poklepał się po rusznicy laserowej przewieszanej przez ramię. - A ja często tu bywam pomiędzy zleceniami.

- Cieszę się. - Mara odetchnęła. - Dziękuję ci. Teraz czuję się dużo lepiej.

- Miło mi.

Uśmiechnęła się do niego i odeszła. A zatem ten Boushh to jednak facet. Przynajmniej ten prawdziwy Boushh.

Kim w takim razie była ta kobieta? Sojuszniczką Skywalkera? A może kimś z kompanii łowców nagród, kto próbuje sobie wyrobić markę, Wookie zaś po prostu nie dość się pilnował?

Zresztą to prawie bez znaczenia. Mara miała się zająć Skywalkerem i nikim innym. Reszta to śmiecie, a ludzie Jabby powinni poradzić sobie ze śmieciami. Wystarczy szepnąć gdzie trzeba, że ktoś podszywa się pod Boushha.

W końcu, kiedy zabraknie mu sprzymierzeńców i robotów, Skywalker będzie musiał zjawić się w pałacu Jabby osobiście.

Pojawił się dzień później, o świcie, gdy Jabba i jego świta jeszcze chrapali po wczorajszym uctowaniu z okazji zdemaskowania i pojmania księżniczki Leii Organy.

Zmysł niebezpieczeństwa ostrzegł ją z wyprzedzeniem. Ze zdumieniem stwierdził, że była jedyną osobą, która wyczuła, że nadchodzi. Bez jednego szeptu, krzyku czy kłopotu ze strony czujnych podobno strażników na zewnątrz Skywalker zjawił się nagle w sali tronowej, wprowadzony grzecznie przez twi'lekańskiego majordomusa Jabby.

Sądząc po hologramie, powinna była spodziewać się takiego wyczynu. Mimo wszystko jednak zaimponował jej.

Kilku strażników zaczęło się przysuwać do Skywalkera, podczas gdy Twi'lek podszedł do

swojego pana i szepnął mu coś do ucha. Jabba obudził się momentalnie, mrugając wielkimi, zaczerwienionymi oczami. Spojrzał na Twi'leka, a potem na Skywalkera.

I roześmiał się.

Dudniący rechot wypełnił salę tronową, budząc dworaków, którzy z trudem zaczęli dochodzić do siebie. Pojawiło się kilka blasterów, większość pozostała jednak w kaburach; głupkowaci dworacy usilnie starali się zorientować, kim jest ta milcząca postać w płaszczu z kapturem - przyjacielem czy wrogiem.

Na tę chwilę czekała Mara: ciche zamieszanie, nikt dokładnie nie wie, co się dzieje ani gdzie kto się znajduje. Idealny moment na atak. Cały czas czując mrowienie zmysłu niebezpieczeństwa, cicho przesunęła się w prawo, w stronę jednego z młodszych, ludzkich strażników Jabby, który ścisnął piękę ogłuszającą i z trudem próbował rozeznąć się w sytuacji. Jego blaster spoczywał bezpiecznie w kaburze. Sięgając za jego plecami Mara dotknęła broni...

...i zamarła, czując twardy przedmiot na karku.

Myliła się. To nie przed Skywalkerem ostrzegał ją zmysł niebezpieczeństwa.

- Łatwizna - szepnęła jej do ucha Melina Carniss. - A teraz grzecznie pójdziemy do tunelu, chyba że wolisz umrzeć tu i teraz.

Nie odzywając się ani słowem, wściekła na siebie Mara pozwoliła Melinie wyprowadzić się z sali tronowej. Cichy strażnik. Pewnie jeden z wielu, chroniących Jabbę przed jego wrogami. Powinna była wiedzieć, że muszą czuwać w takim miejscu; powinna była uważać. Koncentrując się tylko na Skywalkerze i jego towarzyszach, przeoczyła inne niebezpieczeństwo.

W sali tronowej zapanowało nagłe poruszenie. Rozległ się pojedynczy wystrzał z blastera. Mara wykręciła szyję, ale była już zbyt daleko, by zobaczyć, co się święci.

- Ciekawe, co? - zauważyła Melina. - To jeden z twoich? Odwróć się teraz, tylko bardzo powoli.

Mara odwróciła się - bardzo powoli - patrząc na Melinę kątem oka w trakcie obrotu i zaglądając we wskazany tunel. Melina miała blaster, ale ona, Mara, miała odpowiednie wyszkolenie, siłę Imperatora i determinację, by jej użyć. Gdyby sięgnęła Mocą i chwyciła blaster...

Spojrzała na dłoń Meliny. Nie. Zbyt mocno go trzyma. Nie zdąży, zanim tamta nie wystrzeli przynajmniej raz.

Może wpłynąć na umysł? Istniało kilka sposobów, by uspokoić, zdezorientować lub po prostu unieškodliwić umysł, dźgając go Mocą. Wszystkie te techniki wymagały jednak choć odrobiny czasu, a zważywszy na czujność Meliny, istniało niebezpieczeństwo, że uda jej się strzelić przynajmniej raz.

- Jesteś dziwnie spokojna - zauważyła Melina za plecami Mary.

- Bo nie mam najlepszego pojęcia, co się dzieje - powiedziała Mara. - Niczego nie zrobiłam.

- Jasne - powiedziała ponuro Melina. - Nie przedarłaś się tu pod fałszywym pretekstem. Ani nie skłamałaś, kim jesteś i co robisz. Ani nie spiskowałaś z lady Valarian nad zamordowaniem Jabby. - Szturchnęła Marę w kark lufą blastera. - Tak?

Mara zamrugnęła. Spisek? Planowane morderstwo? Tutaj? A ona nic nie zauważyła? To już coś więcej niż gapiostwo, to żenująca niekompetencja.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zaprotestowała, podejmując ostatnią próbę. - Nie mam nic przeciwko Jabbie. Naprawdę.

- Jasne. A blaster chciałaś rąbnąć na pamiątkę. - Melina dźgnęła ją znowu. - Do środka!

Kolejny tunel opadał ostro w dół, by później wyrównać i skrócić poza zasięg wzroku. Tuż za

wylotem tunelu dwóch gamorrekańskich strażników niedbale podpierało się pikami energetycznymi i pochrzając, rozmawiało.

- Co, u licha, tu robicie? - warknęła na nich Melina. - Stańcie prosto! Ale już! Zdumieni, że zwykła tancerka wydaje im rozkazy, strażnicy bez pośpiechu przybrali nieco bardziej zasadniczą postawę.

- No, już lepiej - warknęła Melina. - Ale tylko trochę. Co wam się wydaje, że jesteście Imperialną Strażą Królewską? Zabierajcie tyłki i odprowadźcie tę kobietę do lochów.

Pchnęła Marę w ich stronę.

- Ruszaj. Bądź grzeczna, a może poproszę Jabbę, żeby pozwolił ci umrzeć szybko.

- Uprzejmie dziękuję - powiedziała Mara, oglądając się przez ramię. Nadal nie mogła bezpiecznie wyrwać blastera z ręki Meliny. Ale mogła zrobić co innego...

Sięgając Mocą skrzyła gwałtownie jego lufę na prawo. Błysk, głuchy trzask - Melina odruchowo wystrzeliła. W ograniczonej przestrzeni tunelu strzał zabrzmiał dwa razy głośniejsze niż normalnie.

Niemal jednocześnie usłyszała sapiącego z bólu i wściekłości, postrzelonego właśnie przez Melinę Gamorreanina. Drugi też zaczął głośno sapać; obaj pochyliłi piki i rzucili się na kobietę, która zaatakowała ich tak zupełnie bez powodu.

Wyraz twarzy Meliny, gdy się zorientowała, co zrobiła był wart każdej ceny, ale Mara nie miała czasu, by się nim napawać. Udało jej się odwrócić uwagę Meliny, więc nadszedł czas, by działać. Zgrabnie prześliznęła się między atakującymi Gamorreanami i pobiegła w dół korytarza.

- Zatrzymajcie ją! - krzyknęła Melina, ale strażnicy nie zareagowali. Dwa szybkie strzały oświetliły na moment korytarz, wzbijając obłok pyłu i deszcz kamieni.

A potem słychać było już tylko sapanie nierozgarniętych Gamorrean i coraz bardziej gniewne i nerwowe krzyki Meliny. Mara biegła, nie zatrzymując się, w nadziei, że uda jej się zejść z linii ognia, zanim sprawy z tyłu się wyjaśnią. Niebawem pojawiła się pierwsza okazja: wyjątkowo śmierdzący boczny tunel odchodzący łukiem w lewo. Obejrzawszy się za siebie ostatni raz, skrzyła w bok.

Tunel był krótki - nie więcej niż dwadzieścia metrów - i kończył się niemal ślepo. Niemal. Zamykała go kamienna ściana z osadzoną w niej kratą wentylacyjną o wymiarach nie więcej niż pół na pół metra. Krata trzęsła się cała od ryków dobiegających z drugiej strony. Ostrożnie podciągnęła się i wyjrzała.

Ryczało chyba największe i najszkaradniejsze dwunożne stworzenie, jakie kiedykolwiek oglądała. Stworzenie, które - sądząc po liczbie kości porzucanych po śmierdzącej pieczarze - było mięsożerne i mocno wygłodniałe.

I które w tej właśnie chwili przymierało się, by schrupać Luke'a Skywalkera.

Przyciskając twarz do kraty - zapomniała o smrodzie - Mara widziała, jak Skywalker wygramolił się spod płaskiej półki i przebiegł pomiędzy nogami stwora w kierunku krótkiego tunelu, który zakręcał pod takim kątem, że nie widziała, co się dzieje w głębi. Doskonale. Ten potwór na pewno szybko sobie poradzi ze Skywalkerem, na oczach dziesiątków świadków, bez jednego tropu, który mógłby doprowadzić Vadera do niej lub do Imperatora. A gdyby z jakiegoś powodu stwór potrzebował pomocy, ona chętnie mu jej udzieli. Potwór obrócił się i ciężkimi krokami ruszył w pościg. Skywalker nie widziała, ale gwar dobiegający od strony tunelu pozwolił jej się zorientować, że drogę ucieczki odcinali mu tam ludzie Jabby. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim.

Nagle, bez ostrzeżenia, coś małego przeleciało w powietrzu na skraju jej pola widzenia i

roztrzaskało panel sterowania osadzony w kamiennej ścianie. Błysnęły iskry, zazgrzytała uwalniana maszyna...

...i ciężkie, ostro zakończone drzwi opadły z sufitu, przygniatając kark olbrzymiego potwora do ziemi. Stwór ryknął po raz ostatni i znieruchomiał.

Mara patrzyła na olbrzymie cielsko, nie wierząc własnym oczom. Skywalker zabił potwora. Sam jeden, nieuzbrojony, zabił tę olbrzymią bestię.

Sądząc z tonu dudniących słów wypowiedzianych po huttańsku, pokaz nie spodobał się Jabbie.

Mara odetchnęła głęboko cuchnącym powietrzem. A więc bestia nie zabiła Skywalkera; za to teraz na pewno zrobi to Jabba. I to raczej w paskudny sposób, jeśli choć połowa historii, które o nim słyszała, była prawdą. I dobrze. Skywalker był widać wyjątkowo głupi i wyjątkowo zarozumiały, przychodząc tu w pojedynkę i nieuzbrojony...

Miała wrażenie, że cuchnące powietrze mrozi jej gardło. W myślach zobaczyła nagle dwa nakładające się na siebie obrazy: Skywalker ucieka przed bestią; Skywalker w hologramie wyświetlonym przed Jabbą.

Miał nowy miecz świetlny. Nie przyniósł go ze sobą. A raczej - nie przyniósł go sam.

Wookie też go nie miał - nie wiedziałby, gdzie go schować. Robot protokolarny go nie miał. Na pewno nie miała go Leia Organa.

Robot astromechaniczny.

Zakłęła pod nosem. Nie, to nie Skywalker był zbyt zarozumiały, tylko Jabba. I nagle wszystko znowu skupiło się w jej rękach. Cofnęła się od kraty i rozejrzała, szukając jakiegoś mechanizmu, który ją otwierał...

Zmysł niebezpieczeństwa ostrzegł ją na moment przedtem, zanim usłyszała szuranie kroków gdzieś blisko. Odwróciła się, gotowa do walki.

Gamorreanie strażnicy, których zostawiła na drugim końcu tunelu, w końcu ją dogonili. Przy okazji przyprowadzili ze sobą jakieś pół tuzina koleżków. Parami, odcinając wylot korytarza, ruszyli w jej stronę.

Mara nie miała czasu, żeby się z nimi patyczkować, zresztą nie była w nastroju. Sięgając po Moc, zaatakowała ich z całej siły umysłu pierwszej dwójki. Stanęli jak wryci, wypuszczając z bezwładnych rąk piki energetyczne, które głośno stuknęły o ziemię. Dopiero wtedy, ku wyraźnej konsternacji kolegów, osunęli się na ziemię.

Mara miała w ręku jedną z pik, zanim ta jeszcze uderzyła o ziemię. Obracając ją wprawnie w ciasnym tunelu, zamarkowała próbę ominięcia drugiego rzędu strażników i ciachnęła obu po twarzy morderczą końcówką. Zatoczyli się, zakrywając twarze rękami, i wpadli na kolegów z tyłu. Przeskakując ponad pierwszymi powalonymi, Mara zaatakowała piką trzeci rząd.

Po niecałej minucie było po wszystkim.

Oddychając ciężko, odwróciła się w stronę kraty. Wibroostrze piki energetycznej bez trudu przecięłoby metal, ale krzesane przy tym iskry trudno byłoby ukryć przed tłumem dworaków w sali tronowej Jabby. Wrzuciła więc tylko pikę przez pręty kraty, a potem sama przecisnęła się jej śladem.

Od środka pieczara była jeszcze bardziej obrzydliwa niż z zewnątrz. Drzwi, które zabiły potwora, blokowały wyjście w jedną stronę, ale mniej więcej w połowie przeciwległej ściany był mały właz. Pika szybko sobie poradziła z włazem, ukazując stromą pochylnię, którą dałoby się wspiąć pod górę. Mara przypuszczała, że prowadziła wprost pod zapadnię Jabby. Chwyła najbliższą kość, nieco dłuższą niż szerokość szybu, zaklinowała ją w otworze i wdrapała do środka.

Opierając się to na nodze, to na kości, ruszyła w górę.

Po kilku metrach znalazła się w części leżącej bezpośrednio pod zapadnią - w szerokim, prostym szybie, który kierował ofiary prosto na pochylnię. Oparłszy kość o krawędź pochylni, zdołała stanąć w wyprostowanej, choć chwiejnej pozycji. W ścianę wbudowano tu niewielką puszkę z przełącznikami; kilka ostrożnych ruchów i obie części zapadni stanęły przed nią otworem.

Nikt nie wpadł do środka ani nawet na nią nie spojrział. Szmer rozmów, które słyszała, dochodził z oddali. Skrzywiła się, nie tracąc jednak nadziei, że nie jest za późno, chwyciła się skrajy zapadni i podciągnęła do góry.

Sala tronowa była pusta, ale słabnące w oddali głosy nieomylnie wskazały jej kierunek. Kierując się ich śladem i rozglądając uważnie, czy nie zobaczy strażników, którzy mogli zostać zaalarmowani, ruszyła w pościg. Skywalker gdzieś tam był; przy odrobinie szczęścia - i z pomocą Mocy - może zdąży go dogonić.

Za kłębiącym się tłumem w olbrzymim hangarze przycumowano barcę żaglową, do której pospiesznie wsiadali pasażerowie. Obok barki stały dwa skiffy, do których również wsiadano. Wszędzie kręcili się strażnicy: ludzie, Gamorreanie i pół tuzina innych ras. Pilnowali, żeby na barce i na skiffach panował jaki taki porządek, odpędzając tych, którzy najwyraźniej nie zostali zaproszeni. Jeśli był tam gdzieś Skywalker, Mara nie mogła go dostrzec.

Zobaczyła za to Jabbę. Siedział na swojej grawiplatformie w otoczeniu strażników i lokajów, którzy manewrowali platformą, prowadząc ją w stronę barki. Przeciskając się przez tłum, ruszyła w jego stronę.

Strażnicy patrzyli, jak podchodzi, ale z ich twarzy i postawy nie wyczytała nic prócz zwykłej czujności. Najwyraźniej nie słyszeli jeszcze o jej domniemanych związkach z lady Valarian.

- Wasza Wyniosłość! - krzyknęła, stając tuż przed kręgiem laserowych rusznic. - Wasza Wyniosłość! Zechciej mnie wysłuchać!

Jabba odwrócił głowę w jej stronę.

- Jestem Arica, Wasza Wyniosłość - zawołała. - Jedna z twoich tancerek. Czy mogłabym też polecieć?

Hutt powiedział coś i machnął ręką w stronę jednego ze strażników, który z kolei szturchnął robota protokolarnego C-3PO.

- Och! Ach! Wielki Jabba Hutt mówi: nie - przetłumaczył robot roztargnionym głosem, nawet nie spojrzawszy na Marę. Mara przeniosła wzrok na skiff, w który się wpatrywał robot...

...w samą porę, by dostrzec w przelocie Skywalkera. Stał dumnie wyprostowany, a skiff kierował się w stronę wrót hangaru. Wywinie się jej.

- Błagam, Wasza Wyniosłość! - spróbowała raz jeszcze Mara, wkładając w swoje słowa wszystkie umiejętności wpływania na umysły poprzez Moc.

Równie dobrze mogła pluć na kamienną ścianę. Hutt zarechotał, odwrócił twarz w jej stronę i coś odpowiedział.

- Wielki Jabba Hutt mówi, że masz go zostawić w spokoju - powiedział robot protokolarny, patrząc tęsknie za odlatującym skiffem. - Mówi, że dostaniesz do dyspozycji śmigacz, i żeby więcej cię tu nie widziano.

Przez chwilę Mara patrzyła Huttowi prosto w oczy, starając się bezskutecznie odczytać nieprzenikniony umysł obcego. Czyżby wiedział, kim była, a może nawet po co tu się zjawiała? Czy może po prostu podejrzewał, podobnie jak Melina, że jest członkiem jakiegoś spisku i miał nadzieję,

że Mara doprowadzi go do jego wrogów?

Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Nie zdołałaby dogonić skiffu Skywalker'a ścigaczem ani walczyć z nimi wszystkimi naraz. Tak czy owak, czas opuścić pałac Jabby.

- Dziękuję Jego Wyniosłości za jego łaskawość - powiedziała zagadkowo. - Obyś żył wiecznie.

A więc zawiodłaś, przekazał jej w myślach Imperator. Jego lodowaty gniew przyprawił ją o dreszcz, mimo upiornej spiekoty tatoińskich słońc. *Jestem rozczarowany, Maro Jade. W najwyższym stopniu rozczarowany.*

Wiem, odpowiedziała Mara, czując w ustach gorycz porażki zmieszaną z piaskiem, wzniecany przez mknący nad pustynią śmigacz. *Ale może Jabba go załatwi.*

Kolejna fala gniewu sprawiła, że znów zadrżała.

Naprawdę w to wierzysz?

Westchnęła.

Nie.

Przez chwilę milczał, a Mara wyczuła, że sięga gdzieś głęboko przez Moc. Zglądał w przyszłość... *Skywalker chwilowo jest nieistotny*, powiedział w końcu. *Leć na Svivren. Omówimy tę sprawę jak wrócisz.*

Obraz rozplynął się, ponadzmysłowa łączność znikła.

Mara westchnęła i skoncentrowała całą uwagę na pustynnym pejzażu wokół niej. A zatem poniosła porażkę. Pierwszą prawdziwą porażkę od czasu, gdy Imperator mianował ją swoją Ręką. Zabolalo jato. Bardzo.

Ale to nic. Jeszcze wszystko naprawi. Skywalker teraz się jej wywinął, ale nie uda mu się unikać jej zawsze. Gdzieś w końcu go dogoni.

I wtedy Skywalker zginie.

A POTEM JESZCZE KILKU opowieść gamorreńskiego strażnika

William F. Wu

Gartogg, gamorreński strażnik, człapał słabo oświetlonym korytarzem pałacu Hutta Jabby w kierunku kwater służby, których patrolowanie mu przydzielono, gdy usłyszał za sobą hałas. Główne wrota zamknęły się z trzaskiem, zagrzecotały łańcuchy; stanął, prychając w zamyśleniu. Słyszając ryk protestu Wookiego, Gartogg pospieszył z powrotem ku głównym wrotom w nadziei, że udowodni swoją przydatność Ortuggowi, dowódcy dziewiątki prosiakowatych Gamorrean zatrudnionych u Jabby.

- Ortugg... - zagulgotał. - Czekaj! Wookie ryknął ponownie, ciągnięty na łańcuchu przez łowcę nagród po schodach prowadzących do sali audiencyjnej. Gartogg powlókł się za nimi w nadziei, że będzie miał okazję szturchnąć Wookiego raz czy dwa, ale spóźnił się - jak zwykle. Ortugg i Rogua, drugi Gamorreanin, który wraz z szefem pełnił straż, już szli za Wookiem i łowcą nagród.

- Więzień? - zapytał Gartogg, dołączając do Ortugga.

- Zamknij się - powiedział Ortugg.

- Właśnie, zamknij się. - Rogua odepchnął Gartogga ramieniem, usuwając go z drogi.

Gartogg nie odezwał się, posłusznie zajmując miejsce z tyłu. Ortugg zawsze go tak traktował, ale Gartogg wiedział, że na nic lepszego nie zasługuje. Nie zdołał dotychczas zapracować na szacunek szefa. Przedstawiciele innych ras zawsze naśmiewali się z Gamorrean, narzekając na ich głupotę, ale Gartogg nie wierzył im - jego zdaniem Ortugg, Rogua i pozostali strażnicy nie odbiegali inteligencją od pozostałych popleczników Jabby.

Jabba targował się właśnie z łowcą nagród, obserwowany uważnie przez ciekawski tłum.

- Boba Fett? - zapytał Gartogg, próbując ponownie wcisnąć się pomiędzy Ortugga a Roguę.

- Oczywiście, że nie - odburknął niecierpliwie Ortugg. - Boba Fett jest tam. - Wskazał mu Fetta ponad tłumem grubym, zielonkawym ramieniem. - Ten łowca nagród nazywa się Boushh.

- I pomyśleć, że inni uważają nas za głupich. - Rogua pokręcił głową.

Jabba powiedział coś do łowcy nagród.

- Zgodził się! - oznajmił jeden z nowych robotów, służący Jabbie za tłumacza. Jabba dał znak gamorreńskiemu strażnikowi, by odprowadzili Wookiego do lochu. Ortugg i Rogua ruszyli do przodu, by przejąć łańcuch Wookiego od łowcy nagród.

- Ja też! - poczłapał za nimi Gartogg. Ortugg oparł wielką, zieloną łapę na jego piersi.

- Nie. Wracaj do patrolowania.

- Barka żaglowa... - chrząknął błagalnie Gartogg.

- Co?

- Barka żaglowa?

- Mów jasno, idioto! Co z tą barką?

- Chcę jechać. Następnym razem.

- Oprócz ciebie wszyscy Gamorreanie mówią pełnymi zdaniami! - Rogua trzepnął Gartogga wierzchem ręki w głowę. - Dlaczego ty nie umiesz?

Oszołomiony uderzeniem Gartogg sapnął:

- He?...

- Chcesz dostać przydział na barkę Jabby następnym razem, kiedy będzie gdzieś lecieć? - zapytał Ortugg.

Gartogg chrząknął potwierdzająco. Rogua prychnął pogardliwie.

- Na taki przywilej trzeba sobie zasłużyć - powiedział Ortugg. - A ty niczym się dotąd nie wykazałeś.

- Sala audiencyjna? - nie poddawał się Gartogg.

- Nie! Wracaj do patrolowania!

Rozczarowany Gartogg patrzył, jak Ortugg i Rogua chwytają za łańcuch Wookiego i ciągną go w stronę lochu. Kiedy zespół muzyczny zaczął znowu grać, a goście w sali audiencyjnej wrócili do zabawy, Gartogg niechętnie zawrócił. Jemu nigdy nie trafiała się żadna zabawa.

Człapiąc ciemnymi, pustymi korytarzami, zupełnie sam - jak zawsze - prychnął i sapnął sam do siebie. Ortugg zawsze przydzielał go do służby w miejscach, w których nic się nie działo. Po służbie Gartogg często włóczył się po pałacu Jabby w nadziei, że natknie się na coś ważnego do zrobienia. Nawet inni Gamorreanie stronili od jego towarzystwa. Zawsze, kiedy przydzielano im jakieś zadanie specjalne - na przykład ochronę Jabby podczas jego wycieczek barką żaglową - zostawiali Gartogga w pałacu.

W korytarzu przed sobą usłyszał zbliżające się kroki. Zgłodniały towarzystwa spojrzął przed siebie i zobaczył dwoje znajomych ludzi - bladą szczupłą ciemnowłosą kobietę i krępego mężczyznę o czarnych włosach i skośnych oczach. Gartogg słyszał, że byli parą złodziei, którzy ukryli się u Jabby.

- Dobry wieczór! - chrząknął do nich entuzjastycznie. Obydwoje podskoczyli zaskoczeni i jednocześnie odwrócili się w jego stronę.

- Co on mówi? - szepnęła kobieta, trzęsąc się i nie spuszczać oka z Gartogga. - Ah Kwan, rozumiesz, co on mówi?

- Przykro mi, Quella - odpowiedział Ah Kwan. - Nie mam pojęcia co to za język.

- Dobry wieczór! - chrząknął Gartogg, tym razem trochę głośniej.

Para cofnęła się gwałtownie.

- Czego chcesz? - Ah Kwan dotknął ręką długiego noża przypiętego do pasa. - Co powiedziałaś?

- Dobry wieczór! - ryknął sfrustrowany Gartogg, unosząc w górę zaciśnięte pięści. Mężczyzna i kobieta jednocześnie uciekli w górę korytarza; po chwili zniknęli za zakrętem.

Gartogg westchnął. Nikt go nie lubił. Samotnie ruszył ciężkim krokiem w górę korytarza. Zawsze to samo.

Wcześniej tego samego dnia Gartogg włókł się sam jeden mrocznymi, pustymi korytarzami pałacu; wystarczyła sama jego obecność, by zagwarantować spokój. W końcu niemal wszyscy, nawet inni gamorrekańscy strażnicy, na jego widok zmykali gdzie pieprz rośnie.

Gartogg usłyszał kilka głośnych kroków, które brzmiały tak, jakby ktoś się potknął. Ich echo rozległo się w korytarzu prowadzącym do kwatery służby. Pospieszył sprawdzić, co się dzieje. Nie tracił nadziei, że uda mu się zdziałać coś godnego uwagi, czym zaskarbiłby sobie szacunek Ortugga.

Może wtedy Ortugg pozwoliłby mu pełnić straż na barce żaglowej Jabby, gdy ten następnym razem wybierze się w podróż.

Poruszając najszybciej jak mógł muskularnymi, grubymi nogami, Gartogg truchtał korytarzem. Skręcił za róg i pełen nadziei uniósł topór do góry. Zobaczył Porcellusa, szefa kuchni, który klęczał obok kogoś rozciągniętego na podłodze. Kucharz był chudym, nerwowym mężczyzną o jasnych włosach - tam, gdzie nie przerzedziła ich postępująca łysina. Jak zawsze, miał na sobie biały strój kucharza, ubrudzony mnóstwem przypraw i składników o interesujących zapachach.

Gartogg lubił Porcellusa. Kucharz zawsze miał u siebie w kuchni mnóstwo jedzenia. Wszyscy Gamorreanie nieustannie kręcili się tam, prychnąc i posapując, w nadziei na smakowitą przekąskę. W zeszłym tygodniu Gartogg natknął się w kuchni na czterech innych Gamorrean; toczyli zacieklą bójkę o to, który z nich będzie mógł wylizać miskę po deserze. Zachwycony, że może przyłączyć się do zabawy, Gartogg o mało nie odrąbał niechcący Porcellusowi głowy swoim toporem, ale kucharz chyba nie czuł do niego urazy. Porządny chłop.

Teraz Porcellus klęczał obok Ak-Buza, dowódcy barki żaglowej Jabby. Ak-Buz, który był Weequayem, leżał nieruchomo, rozciągnięty na plecach, z ramionami rozrzuconymi na boki i pustym wzrokiem.

Tym razem Gartogg miał okazję samodzielnie rozeznaczyć się w sytuacji. Jego zdaniem Ak-Buz nie wyglądał najlepiej.

- Hej! - zasapał. - Co się tu stało? Porcellus zerwał się na nogi cały drżący. Gartogg podszedł do Ak-Buza i zmarszczył brwi, patrząc na Weequaya.

- Nie żyje?

- Żyje - zaprzeczył pospiesznie Porcellus, którego twarz błyszczała od potu. - Śpi. Odpoczywa. Powiedział, że jest zmęczony i pójdzie się zdrzemnąć. Widocznie... widocznie zasnął po drodze, tu w korytarzu.

Gartogg studiował uważnie nieruchomą twarz Ak-Buza. Szeroko otwarte oczy nie poruszały się. Gartogg sapnął w zamyśleniu.

- Wygląda jak trup.

- A widziałeś kiedyś śpiącego Weequaya?

- Eee.. nie.

- No to się przyjrzyj. - Porcellus przykucnął i uniósł Ak-Buza, zarzucając sobie jego rękę na szyję. - Zaniósę go do jego kwatery, zanim... eee... zanim się obudzi.

Gartogg pokiwał głową. To był dobry pomysł; Weequayowie nie powinni spać w korytarzu. Ktoś mógłby się o nich potknąć i przewrócić.

- Chcesz pomoc?

- Nie, dziękuję - odpowiedział kucharz, uśmiechając się do niego. - Poradzę sobie. Gartogg westchnął. Przez chwilę wydawało mu się, że natknął się na coś ważnego - na przykład na zwłoki - ale jednak nie. Znowu był sam i nie miał nic do roboty. Prychnąc z rozczarowania, powlókł się schodami w górę.

Później tego samego wieczoru zmęczony Gartogg wchodził po schodach do kwater służby, gdy usłyszał kroki jednej osoby za swymi plecami. Poczul nadzieję, że wydarzy się coś okropnego, a on schwyta winnego na gorącym uczynku, schował się więc za rogiem i czekał w cieniu. Po chwili na ścianie zamajaczył czyjś cień.

Tajemnicza postać była wysoka, chuda i miała szeroki nos, a twarz skrywała za wysokim,

postawionym kołnierzem. Nawet Gartogg wstrzymał oddech, starając się nie sapać. Dannik Jerriko - zawodowy zabójca - był jedyną osobą w pałacu oprócz samego Jabby, której się bał. Gartogg nigdy nie widział zabójcy w akcji, ale słyszał wszystkie plotki o tym, jak Jerriko wykonywał swój zawód. Mówili, że jest wampirem smarków.

Kiedy zabójca go mijał, Gartogg starannie zasłonił sobie ryj ręką i ruszył w przeciwną stronę.

Człapiąc zwykłą trasą, Gartogg minął tylne korytarze i dotarł w pobliże głównego wejścia. Z okolic kuchni usłyszał jakieś krzyki. Zawahał się, niepewny, czy nie powinien zawrócić i sprawdzić, co się dzieje. Potem przypomniał sobie, że lubi chodzić do kuchni. Zawsze dostawał tam jakąś przekąskę.

Początkowo nie zobaczył w kuchni nikogo. Wszedł do środka, zatrzymując się, by wziąć trochę plastpianki, którą lubił żuć. Dopiero wtedy zobaczył kilka osób w przedsionku dla dostawców.

Nadal chrupiąc plastpiankę, ruszył do przodu. Stał, widząc Ree-Yeesa, trójokiego złodziejaska o twarzy kozy, który klęczał obok rozwalonej skrzynki. Po jednej stronie Ree-Yeesa stał Porcellus, nachylony nad ciałem Phlegmina, podkuchennego. W przeciwieństwie do Ak-Buza Phlegmin leżał z zamkniętymi oczami i splątanymi kończynami.

- On śpi? - zapytał Gartogg od drzwi.

- Ja tego nie zrobiłem! - krzyknął Porcellus.

Ree-Yees spojrział na niego tak zaskoczony, że omal się nie przewrócił. Wbił w Gartogga wszystkich troje oczu. Pachnące słodko, srebrnozielone źdźbła kozibrody wypadły z rozbitej skrzynki i zaściewały podłogę dookoła.

- Podkuchenny śpi, tak? - zapytał znowu Gartogg.

- Eee... Gartogg zamrugnął, czekając cierpliwie, i chrząknął zachęcająco. Nagle Ree-Yees zerwał się na nogi, odepchnął na bok Porcellusa i zaczął mówić, pospiesznie i na jednym oddechu:

- Przyszedłeś w samą porę! Znalazłem go, tak jak tu leży, w korytarzu, w pobliżu korytarza prowadzącego do tunelu, w którym jest kwatery Ephanta Mona! - Zmrużył troje oczu. - Przyniosłem go tutaj, żeby... żeby... żeby przeprowadzić resus.. suspirację!

- He?

- No wiesz, kulinarną resuspirację! Zapach jedzenia tak... tak., tak smakowitego może nawet przywrócić martwych do życia! To stara sztuka, której nauczyłem się od mojego wujecznego dziada, Swee-Beepsa. Nazywamy to... eee... wachaniem śmieci ostatniej szansy. Ale niestety nie zdążyłem. - Jego szypułki oczne opadły, a sam Ree-Yees westchnął ciężko.

Gartogg przyczłapał bliżej, zgiął kolana i się pochylił. Zastanawiał się, czy resuspiracja kulinarna mogłaby zadziałać z opóźnieniem i ocucić jednak kuchcika. Zaczął węszyć, ale nie czuł zapachu żadnych śmieci. Może jednak było już za późno.

- Widzisz? - powiedział zaaferowany Ree-Yees. - Ktoś musi przejąć teraz tę sprawę. Ktoś obdarzony władzą. Żeby przeprowadzić dochodzenie, zbadać tropy, wyjaśnić tę zbrodnię. Jabba byłby pod wrażeniem... i bardzo wdzięczny.

- Kuchcik zamordowany! - W nagłym przebłysku zrozumienia, na czym polega problem, Gartogg pochylił się, by chwycić Phlegmina za kostkę. Pociągnął ją do góry i uniósł ciało głową w dół, by przyrzeć mu się dokładniej. Twarz Phlegmina zaczerwieniła się.

Ree-Yees przyglądał się Gartoggowi, nic nie mówiąc.

Gartogg pokiwał głową i przerzucił sobie ciało przez lewe ramię. Odwrócił się, prychnął w zamyśleniu i poczłapał przez kuchnię ku drzwiom, zgarniając po drodze garść plastpianki.

- Nie zapomnij! - zawołał za nim Ree-Yees. - Znalazłem go w pobliżu kwatery Ephanta Mona!

Gartogg szedł korytarzem, oddalając się od kuchni, zadowolony jak nigdy. Jeśli zdoła wyjaśnić, kto zabił kuchcika, Ortugg na pewno to doceni. Może uda mu się w końcu zdobyć przydział na barcę żaglową.

Kiedy Gartogg tak człapał niekończącymi się, wilgotnymi i ciemnymi korytarzami pałacu, mimo swojej siły zaczął odczuwać ciężar kuchcika. Przełożył ciało na drugie ramię - na pewien czas pomogło. Przechodząc trzeci raz obok kwater służby, w końcu przypomniał sobie ważną wskazówkę: Ree-Yees znalazł zwłoki w pobliżu kwatery Ephanta Mona. Pomyślał, że może powinien spytać Ephanta Mona, czy wie cokolwiek o przestępstwie, zapukał więc do drzwi. Nikt nie odpowiedział; Gartogg westchnął i ruszył dalej wzdłuż korytarza.

Znużony stęknął z rezygnacją. To pewnie i tak bez znaczenia. Zresztą Ephant Mon też go nie lubił.

Przez całe dni, jak mu się wydawało (i może było tak w istocie) Gartogg wielokrotnie patrolował prawie cały pałac, nie napotykając nikogo, kogo mógłby przesłuchać. Kilka osób zobaczyło go z oddali, ale na jego widok natychmiast kryło nosy (o ile takowe posiadały) i uciekało w przeciwną stronę. Gartogg uznał, że zachowali się oni niedelikatnie.

Kiedy po raz czwarty przechodził tunelem rankora, usłyszał, że bestia porusza się i hałasuje za swoją kratą.

- Chodź - powiedział Gartogg do martwej twarzy kuchcika zwisającej z jego ramienia. - Odwiedzić rankora.

W odpowiedzi z nosa kuchcika pociekła na podłogę jakaś cuchnąca ciecz.

Kiedy Gartogg dotarł w pobliże kraty, za którą trzymano rankora, natknął się na Malakilego, grubego, niskiego opiekuna bestii, który z wysiłkiem ciągnął bezwładne ciało w stronę kraty.

- Co to? - zapytał Gartogg.

- Co? - Malakili aż podskoczył z zaskoczenia, puszczając ciało, które uderzyło głucho o ziemię. - Eee... karmię rankora, a co myślałeś?

- Aha... - chrząknął rozczarowany Gartogg. - Trzeba pomóc?

- Nie, nie, poradzę sobie.

Gartogg balansował ciałem kuchcika przewieszonym przez ramię, by nie spadło, gdy Malakili otworzył kratę, za którą czekał już rankor, i z wysiłkiem zaczął taszczyć ciało do środka.

- Jego też chcesz skarmić? - Malakili wskazał głową na kuchcika, krzywiąc się przy tym.

- Nie! To dowód przestępstwa!

- Hm... szybko się rozkłada. Jesteś pewien?

- Nie! - Gartogg odwrócił się i pospiesznie odszedł.

Gartogg przyczłapał do kuchni, nadal niosąc na ramieniu zwłoki Phlegmina, którego głowa i ręce dyndały mu z przodu. Martwy kuchcik śmierdział mocniej niż dotychczas, a od czas do czasu z jego ciała kapały na podłogę jakieś płyny. Gartogg chrząknął uprzejmie.

Porcellus podniósł głowę.

- Spisek - powiedział Gartogg. - Tropy. Wszystko powiązane. - Wolną ręką sięgnął po kilka kawałków plastianki. Żując ją niedbale, dodał: - Dziewczyna. Ona... hm...

- Jaka dziewczyna? - zapytał Porcellus. - I zabierz stąd te cuchnące zwłoki!

- Najemniczka. Przyproceedziła Wookiego. Wczoraj. - Gartogg zlizwał resztkę pianki z ust i sapnął zadowolony. - Przyjaciółka Solo. Przemytnik. Szef ich złapał.

Gartogg zauważył, że jedna z gałek ocznych trupa zaczyna wyciekać. Niedobrze; ten dowód

przestępstwa może mu być jeszcze potrzebny. Sapiąc z niezadowolenia, wepchnął oko z powrotem na miejsce grubym paluchem.

- Zabierz to stąd! - wrzasnął Porcellus. - Ja tu gotuję! To miejsce musi być czyste! Czyste i zdrowe!

Dotknięty Gartogg odwrócił się, przytrzymując zwłoki. W końcu to kucharz był tu szefem. Wychodząc, złapał jeszcze garść plastpianki i wepchnął ją do ust; parę kawałków wypadło jednak na podłogę.

Gartogg wędrował po pałacowych korytarzach cały dzień, nie myśląc nawet o spaniu, ale niczego nie odkrył. Przez całą nocną zmianę patrolował ciemne korytarze z kuchcikiem na ramieniu. Pod koniec zmiany był już wykończony, jednak ciągle niczego się nie dowiedział.

W końcu, tuż przed świtem, zniechęcony i zmordowany przyczłapał z powrotem do kwater strażników.

- Gartogg! - Ortugg podskoczył w stronę drzwi, by zablokować mu wejście. - Co robisz z tym.. czymś?

- To dowód - prychnął Gartogg.

- Ten dowód gnije! - krzyknął Rogua, który pojawił się za plecami Ortugga. - Nie możesz go tu wnieść!

- Nie?

- Co z nim zrobiłeś wczorajszej nocy? - zapytał Rogua.

- Nocna straż - odpowiedział Gartogg. - Nosić go. Kilku innych Gamorrean zaczęło prychać i chrząkać pogardliwie.

- Pozbądź się tego trupa - nakazał mu Ortugg. - Nakarm nim rankora czy coś w tym stylu.

- To dowód - powtórzył uparcie Gartogg, przyglądając się bezbarwnej, bliskiej rozkładu twarzy kuchcika. - Morderstwo.

- Nawet nie myśl, że tu wejdiesz. - powiedział Ortugg. - Wybieramy się zaraz na barkę żaglową. Rogua, wybierz strażników, których weźmiemy ze sobą.

- Dobrze, szefie.

- Barka żaglowa? - chrząknął podniecony Gartogg, wybałuszając oczy. - Teraz?

- Nie, następnym razem, jak Jabba wybierze się do Wielkiej Jamy Carkoona, żeby rzucić paru więźniów na pożarcie Sarlaccowi.

- Weź mnie! - Gartogg zaczął podskakiwać z podniecenia, a wraz z nim ciało kuchcika. Jeden z palców trupa oderwał się od reszty ciała i upadł na podłogę. Z jego ust wypłynęło parę robaków; inne wy dostały się z pozostałych otworów ciała, zaniepokojone jego ruchami.

Ortugg prychnął z niesmakiem.

- Szukasz zabójcy tego chłopca?

- Tak! Ortugg sapnął, zarechotał i wymienił znaczące spojrzenia z Roguą.

- Jeśli rozwiążesz tę zagadkę do następnego razu, kiedy będziemy lecieć barką, zabiorę cię z nami. A teraz wynocha! I nie przynoś tu więcej tego trupa!

- Mógłbyś też spróbować mówić pełnymi zdaniem! - krzyknął Rogua.

Pożegnały go kwiki i parsknięcia, więc odwrócił się i poczłapał w głąb korytarza. Teraz jednak Gartogg nie czuł się tak zmęczony jak wcześniej. Był zbyt podniecony. To mogła być jego szansa.

- Może barka żaglowa - powiedział optymistycznie do kuchcika.

Jakaś larwa wpełzła do ucha kuchcika. Szczerniały język zwisał pomiędzy napuchniętych warg.

Po całej twarzy trupa wędrowały gromady robaków.

- Iść zobaczyć barka żaglowa - powiedział Gartogg. - Chcesz?

Z ciała zmarłego cały czas kapały rzadsze i gęstsze płyny, a robaki wyjadały coraz więcej tkanki, ale trup stał się przez to tylko lżejszy. Gartogg poczłapał w stronę doków za salą tronową Jabby, gdzie stała barka żaglowa. Chciał choć przez chwilę na nią popatrzeć.

Po drodze zauważył jak mnich B'omarr z błyszczącym kolczykiem w uchu przemyka jak cień w głębi korytarza.

- Mnich - chrząknął Gartogg miękko do ucha kuchcika. - Zapytać mnicha o poszlaki. Dobrze?

Mnich zniknął za rogiem. Gartogg pospieszył za nim, ale nie zawołał go. Obawiał się, że kogoś obudzi.

Na chwilę stracił mnicha z oczu. Potem usłyszał za rogiem głosy, podążył więc w ich stronę. Zanim cokolwiek dostrzegł, usłyszał przytłumiony łoskot, jakby coś miękkiego i ciężkiego upadło na ziemię.

Za rogiem natknął się na J'Quilla, Whiphida, który klęczał nad mnichem, rozłożonym na plecach pod fałdami zakrwawionej szaty. Whiphid miał u pasa wibroostrze, a w rękę ścisnął jakiś przedmiot. Zaskoczony Gartogg prychnął i chrząknął, a potem stęknął pytająco.

J'Quill nie odpowiedział.

Gartogg poprawił ciało kuchcika na ramieniu i ostrożnie podszedł bliżej.

Mnich się nie poruszył.

- Czy on śpi? - zapytał Gartogg. Pełnym zdaniem, szkoda że Rogua tego nie słyszał.

- Nie, to nie trup. On... hm... medytuje. Jest w głębokim transie. Zgłębia niezgłębione.

Gartogg zmarszczył ryj i prychnął zamyślony, przyglądając się mnichowi.

- Chciał się przekonać, czy osiągnął stan najwyższego oświecenia. Uznał, że musi przeprowadzić małą próbę, zanim poprosi przyjaciela, by wyjął jego mózg i umieścił w słoju.

Gartogg skrzywił się. Chrząknął pytająco, wskazując najpierw na głowę, a potem na krew na piersi mnicha. Whiphid wzruszył ramionami.

- Tu właśnie mają mózgi. W piersi. Żeby łatwiej je było wyjąć.

Sapiąc nerwowo, Gartogg zmarszczył brwi. Jeśli mnich miał mózg w piersi, to po co mu była głowa? Tak czy owak, mnich nie powinien medytować w korytarzu, tak jak Weequay nie powinien tam spać; ktoś mógłby się o nich potknąć.

J'Quill przyglądał się Gartoggowi uważnie, nic nie mówiąc.

- Tu nie może medytować. - Gartogg schylił się i przerzucił ciało mnicha przez wolne ramię. Potem się wyprostował. Może ten tajemniczy mnich, medytujący mózgiem w zakrwawionej piersi, był częścią spisku, który doprowadził do śmierci kuchcika?

Whiphid cofnął się o krok i czekał w milczeniu.

Gartogg miał nadzieję, że już niedługo uda mu się rozwikłać tajemnicę tych morderstw. Zawrócił i zaczął człapać korytarzem, dźwigając dwa ciała, jedno medytującego mnicha, a drugie gnijące...

Patrolując niekończące się korytarze, Gartogg uważnie patrzył pod nogi, czy nie natknie się gdzieś na innych medytujących mnichów. Gdyby się potknął, mógłby upuścić ciała, które niósł, i przygnieść jakieś nowe. Jednak przez cały dzień nikogo nie spotkał.

- Lepiej się zatrzymajmy - usłyszał kobiecy głos za rogiem. - Coś usłyszałam... ciężkie kroki zbliżające się w naszą stronę.

- Może powinniśmy sprawdzić, kto idzie - zaproponował męski głos.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała kobieta. - Nie tutaj. Ktokolwiek to jest, zostaw go w spokoju.

- No dobrze, więc chodźmy. Gartogg słyszał, jak ich kroki się oddalają i przyspieszył, mimo ciężaru dwóch ciał. Nowe, mnicha, ważyło więcej niż pierwsze. Głośno człapiąc, pobiegł korytarzem. Kiedy wypadł zza rogu, zobaczył Quellę i Ah Kwana, którzy szybko się oddalali.

- Dobry wieczór - chrząknął uprzejmie.

Ludzie jednocześnie odwrócili się w jego stronę; Ah Kwan znów chwycił za rękojeść noża.

- Tak? - Ah Kwan patrzył to na Gartogga, to na oba ciała przewieszane przez jego ramiona. -

Czego chcesz?

Gartogg starał się mówić jak najwolniej i jak najwyraźniej, ograniczając do minimum pochrząkiwanie.

- Widzieli kogoś?

- Na przykład kogo? - zapytał Ah Kwan.

- Czy to ten sam strażnik? - zainteresowała się Quella. - Ten, który nas gonił? Czy to on?

- Tu mnie masz - powiedział Ah Kwan. - Ci Gamorreanie wszyscy wyglądają tak samo.

- Morderca - wyartykułował wyraźnie Gartogg. - Szukam morderca.

- On chce wiedzieć, czy nie widzieliśmy mordercy - powiedziała Quella.

- Kiedy? - Ah Kwan skrzywił się, patrząc na kuchcika. - Ten tu nie żyje od dłuższego czasu.

- Ten żyje - powiedział Gartogg, podrzucając lekko ciało mnicha. - Tylko medytuje.

- Myślisz, że obu zabiła ta sama osoba? - zapytała Quella.

- Medytuje - powiedział Gartogg, starając się wypowiadać słowa bardzo wyraźnie. - Ten. -

Ponownie podrzucił mnicha.

- Myślisz, że to prawda? - zapytał cicho Ah Kwan.

- Kto wie, w tym pałacu wszystko jest możliwe. - Quella chwyciła Ah Kwana za ramię. - Tu ciągle ktoś kogoś zabija. Chodźmy już, dobrze?

- Dobra.

- Widzieli morderca? - chrząknął niepewnie Gartogg.

- Nie, nikogo nie widzieliśmy. - Ah Kwan wzruszył ramionami. - To była długa noc. Byliśmy w sali audiencyjnej. Jabba wrzucił do jamy rankora tego rycerza Jedi, który przeżył.

- Jedi tu przyszedł? - Znowu coś Gartogga ominęło.

- Tak, i zabił rankora. Gartogg zasapał zszokowany.

- Zabił rankora?

- To była wspaniała walka - powiedziała Quella.

- Ciszej! - zganił ją Ah Kwan. - Ktoś jeszcze pomyśli, że lubimy tego Jedi.

- Jedi zabił rankora? - powtórzył Gartogg.

- Tak, ale Jabba zabiera go razem z tym przemytnikiem i jego Wookiem do Wielkiej Jamy Carkoona.

Zamyślony Gartogg zaczął posapywać.

Mężczyzna i kobieta skinęli mu uprzejmie głową na pożegnanie i odeszli, ramię w ramię.

Gartogg przyglądał się gnijącej twarzy kuchcika, a potem przeniósł wzrok na nieruchome oblicze mnicha.

- To tak? Eee? Hm...

Pochrząkując i sapiąc poważnie, poprawił ciała na ramionach i ruszył w stronę doków, gdzie

czekała barka żaglowa. Dobrze będzie tam przysiąść w miłym towarzystwie. Musi dokładnie przemyśleć tę tajemnicę, a nie miał zbyt wiele czasu.

Ciężkie kroki w doku obudziły Gartogga. Zdrzemnął się przez chwilę, siedząc na podłodze, oparty o ścianę pomiędzy swoimi dwoma towarzyszami; oni również siedzieli oparci o ścianę. Na widok Ortugga, który podszedł w jego stronę, Gartogg z trudem wstał.

- Gartogg! - ryknął Ortugg. - Co ty tu robisz?

- Rozwiązał tajemnicę! - zagulgotał sennie Gartogg.

- Tak? No to streszczaj się. Wysłałem Roguę z resztą strażników do lochu, żeby przywlekli tu więźniów. - Ortugg wskazał na nieruchomego mnicha. - Masz jeszcze jednego? Więc kto ich zabił?

- Nie zabił. Medytuje.

- Mów pełnymi zdaniami, idioto!

- Spisek! - Gartogg wyprostował się dumnie.

- Co? - Ortugg nadstawił ucha, przyglądając się Gartoggowi uważniej niż zwykle. - Ty odkryłeś spisek?

- Aha! - ryknął Gartogg. - Chciałeś zabić Weequaya Ak-Buza, kapitana barki, bo mógł sam zaprosić mnie na pokład!

- Co? - zamrugał kompletnie zaskoczony Ortugg.

- Ale go nie zabiłeś. To Porcellus go uspił; dał mu specjalny środek nasenny w przekąsce z plastpianki!

- Z plastpianki? To nie żadna przekąska, tylko pakuły! Dlaczego...?

- Nie skończył! - oznajmił Gartogg, patrząc na niego dumnie. Wskazał głową Phlegmina. - Kuchcik był przyjacielem Ephanta Mona!

- No i co z tego?

- Wiem, bo znaleźli go obok kwatery Ephanta Mona!

- I co z tego?

- Ree-Yees tak powiedział!

- Ale co to ma wspólnego z czymkolwiek? - zapytał Ortugg.

- Spisek!

- No dalej, przejdź do rzeczy! - Ortugg był coraz bardziej zniecierpliwiony.

- Więc Malakili, opiekun rankora, nie potrzebuje dla niego dodatkowego jedzenia!

- Gartogg, ty worku odchodów rankora! Przejdź do rzeczy!

- Rzeczy?

- Kto zabił tych dwóch facetów, których nosisz na ramieniu?!

- Ten medytuje, nie trup. - Gartogg znowu potrząsnął mnichem. - To próba, zanim przyjaciele usuną mu mózg z piersi.

- Co? - wrzasnął coraz bardziej zdezorientowany Ortugg.

- Co, co? Co źle? - zaskoczony Gartogg przyglądał się Ortuggowi.

- Kto stoi za tym spiskiem?

- Och! Proces eliminacji. Wszyscy zabici przez wampira smarków! - Gartogg uśmiechnął się triumfalnie.

- Przez kogo?

- Wampir smarków! - krzyknął Gartogg. Ortugg zniżył głos do bezpiecznego szeptu.

- Dannik Jerriko?

- Aha! - wykrzyknął znów Gartogg. - Eee...jechać barką żaglową? Zdziwiony Ortugg przyglądał się Gartoggowi w milczeniu.

- Jechać barką żaglową? - powtórzył z nadzieją Gartogg.

- Ale dlaczego myślisz, że to Dannik Jerriko zabił tego kuchcika?

- Brak dowodów!

- Nie ma dowodów?

- A wampir smarków nigdy nie zostawia dowodów, więc musi być winny! Ramiona Ortugga opadły.

- Gartogg, zabieraj się stąd, zanim obetnę ci ten pełen piachu łeb!

- Wampir smarków niewinny? - zapytał żałośnie Gartogg.

- Nie! A kiedy wrócę, uziemię cię i odeślę do pomocy Porcellusowi, żebyś gotował Jabbie obiady! - Ortugg odepchnął go gniewnie i zaczął wchodzić na pokład barki, zostawiając Gartogga samego z jego towarzyszami.

- Nie jechać barką żaglową? - chrząknął smutno Gartogg. - Uziemiony?

Z głębi lochów dobiegł go ryk Wookiego i szczęk łańcuchów. Inni strażnicy zawloką więźniów na barkę i polecą z nimi na przejażdżkę. Gartogga jak zwykle zostawią samego.

Z drugiej strony, nie był już przecież sam. Miał teraz przyjaciół - wprawdzie mało rozmownych, ale jednak przyjaciół. Przykucnął przed dwoma siedzącymi ciałami.

Przenosząc wzrok z twarzy kuchcika na mnicha i z powrotem, odezwał się, starannie wypowiadając słowa, pełnym zdaniem:

- To co chcecie teraz robić, chłopaki?

STARZY PRZYJACIELE opowieść Ephanta Mona

Kenneth C. Flint

Zobaczyłem Skywalkera po raz pierwszy zaraz po tym, jak wszedł do pałacu Jab. Wtedy był tylko czarną postacią otuloną obszernym płaszczem, z twarzą ukrytą pod kapturem. Było w nim jednak coś, co zjeżyło mi pióra.

Mój instynkt starego najemnika kazał mi zanurkować pod osłonę sterty skrzyń - niełatwe zadanie jak na faceta wysokiego na prawie dwa metry - żeby przeskanować nieznanego z pewnej odległości, jak wystraszony pies stróżujący.

Gość rozmawiał właśnie z głównym pomagierem Jabby, Bibem Fortuną; kilku zaślinionych gamorrekańskich strażników stało nieopodal.

Przyglądałem mu się naprawdę uważnie. Było w nim coś, co przyprawiało mnie o dziwny dygot gdzieś w środku. Budził wrażenia, których nie umiałem nazwać. Strach? Nie, to nie dla mnie. Dezorientację i zdumienie? Tak, to było to.

Tak czy owak, jego dyskusja z Fortuną trwała zaledwie kilka chwil. Majordomus Jabby odwrócił się i wprowadził go do środka, ot tak, po prostu, jakby facet właśnie kupił to miejsce. Poszli korytarzem w stronę sali tronowej Jabby, a strażnicy za nimi.

Schowałem się głębiej za skrzyniami, bo jakiś impuls kazał mi nadal pozostać w ukryciu. Udało się, przynajmniej jeśli chodzi o Fortunę i strażników. Bo ten facet w czerni, przechodząc obok, odwrócił głowę i spojrzał prosto na mnie, jakby wiedział, że tam jestem.

Kiedy nasze oczy się spotkały, poczułem coś takiego... jakby to powiedzieć... no, jakby ktoś walnął mnie pałką gaffi prosto między oczy. Poczułem, jak eksploduje we mnie biała energia, rozpalając wnętrze do samego rdzenia.

Ta energia podrażniła myśli zepchnięte dotąd na samo dno mojej czaszki. Obudziły się z czarnych głębi i wypłynęły, jak trup na moczarach. Były tam sprawy paskudne, wspomnienia, do których lepiej nie wracać. Ale wśród tego paskudztwa lśniła jedna jasna wizja: wspomnienie złotozielonego świata słońca i drzew.

I ta wizja sprawiła, że poczułem ból, jakbym nagle uświadomił sobie, że straciłem coś, co kochałem.

Potrząsałem głową, żeby pozbyć się tego szalonego uczucia, i zamrugalem. Kiedy spojrzałem znów, zniknęli za zakrętem korytarza.

Po prostu zbyt wiele nocy spędzonych na hulankach z Jabbą, pomyślałem. Nic poza tym. I chociaż coś mnie pchało, by pójść za nimi i zobaczyć, co się dalej stanie, opanowałem się. Miałem spotkanie i już byłem spóźniony. Ruszyłem do garażu szybkim truchtem.

Znalazłem tam Baradę - z głową w komorze silnika jednego z jego ulubionych pojazdów, jak zwykle. Wydawało się, że nigdy nie przestaje naprawiać tego czy innego egzemplarza z pokaznej

floty pojazdów repulsorowych Jabby. Myślę, że to mu pomagało zapomnieć, jaką żalosną pułapką stało się jego życie.

Biedny Klatooinianin był u Jabby na dożywotnim kontrakcie, jak przypuszczałem. Był zbyt cenny i Jego Opasłość nigdy by nie pozwolił, by ten biedny frajer wykupił sobie wolność. Mimo to facet był do szpiku kości lojalny wobec szefa i do szpiku kości uczciwy. Był jednym z niewielu, których tu naprawdę lubiłem.

- Jak leci, szefie? - powitałem go, klepiąc po plecach. - Masz dla mnie jakąś maszynę?

Machnął ręką nie wyjmując głowy z bebeczów pojazdu.

- Weź sobie jakiegoś skiffa. Dookoła było pełno tych niewielkich roboczych pojazdów. Ale chodziło mi o coś innego.

- Potrzebuję czegoś szybszego, stary. Spiesz mi się. Tym razem wyjął głowę spod obudowy silnika i spojrzał na mnie. Twarz miał skrzywioną w grymasie niezadowolenia, ale zawsze tak wyglądał. Mało kto wiedział, że za tym grymasem kryje się szczerzy i na ogół życzliwy facet.

- Jeśli to dla ciebie, Mon, to niech będzie. Weź tamtego XP-38A. - Wskazał na niski śmigacz o smukłej linii. - Nie mam tu szybszego. Tylko uważaj, układ sterowniczy ma spore luzy.

Rzeczywiście, miał luzy, ale spory luz miałem też pod pedałem gazu, więc zanim doleciałem do kosmoportu Mos Eisley, nadrobiłem opóźnienie i zatrzymałem się pod hotelem Fartowny Despota w samą porę.

Wyszedłem ze śmigacza i rozejrzałem się dookoła. Zgoda, ten rozlazły kosmoport był niezłym śmietnikiem galaktyki, ale mimo to lubiłem tu wpadać od czasu do czasu. Pochodzę z planety otwartych przestrzeni i światła. Klaustrofobiczna atmosfera pałacu Jabby dość szybko zaczęła mi doskwierać. Kiedy tylko mogę, korzystam z okazji, by rozprostować nogi.

Ruszyłem w stronę hotelu. Tak naprawdę nie był to budynek, tylko sfatygowany frachtowiec, przerobiony na hotel przez paru inwestorów, którzy mieli nadmiar kredytów i niedostatek rozumu. Nigdy nie był dochodowy, a teraz służył tylko za przykrywkę interesów lady Valarian.

Ta przedsiębiorcza Whiphidka była twardą sztuką; próbowała wykroić dla siebie kawałek tortu Jabby tuż pod samym jego nosem. I miałem wrażenie, że z powodzeniem.

Wszedłem po stromej rampie na najwyższy poziom, gdzie mieściły się hotelowa recepcja i kasyno. Za kontuarem stali ci nieco zbyt ładni i zbyt układni humanoidalni bliźniacy, Sturn i Anton, którzy zamachali do mnie radośnie, kiedy szedłem przez recepcję. Przyprawiali mnie o gęsią skórkę.

Za nimi, na lewo, znajdował się hotelowy bar. Skręciłem tam, mając nadzieję na szybkiego drinka przed moim spotkaniem.

Bar wyglądał równie nędznie jak cały ten przybytek. Zbytkowy wystrój i ekstrawaganckie meble najlepsze lata miały już bardzo dawno za sobą, a właścicielka najwyraźniej nie zamierzała marnować kredytów na ich odnowienie.

W barze było kilku bardzo różnych gości. Obrzuciłem ich wzrokiem niedbale, zanim podszedłem do baru. Jedyńm wartym uwagi osobnikiem był prefekt Talmont, facet o twarzy łasicy, lokalny wykidajło Imperium. Notorycznie nieskuteczny, śliski z urodzenia, niegodny zaufania z natury. Siedział przy stoliku i pił w towarzystwie swoich oficerów, śmiejąc się w dziwnych momentach.

Śmiech zamarł mu jednak na ustach, gdy uniósł głowę i popatrzył na mnie.

Usiadłem przy barze obok pary humanoidalnych smarkaczy. Rosłe mięśniaki, niezbyt rozgarnięte. Robotnicy, uznałem, ale nie z Tatooine. Na to byli trochę zbyt czyści. I nie przesiąkli smrodem planety.

Podszedł do mnie barman Bith o bulwiastej głowie.

- Witaj, Mon - powiedział. - Masz spotkanie z naszą panią? Przytaknąłem.

- Powiedz jej, że już jestem, dobra? Ale najpierw nalej mi piwa. Tego, co zwykle.

- Lepiej nalej go do wiadra, dla takiej mordy - odezwał się jeden z humanoidów, rechocąc wraz ze swoim towarzyszem.

- No! - przyznał ten drugi. A potem do mnie: - Ty, mordko, jak zdołasz donieść drinka do ust tymi rączynami?

Zignorowałem ich. Czekaając na piwo, spojrzałem nad barem na moje odbicie w brudnym lustrze. Przypuszczam, że w oczach tych dziwnie zbudowanych humanoidów muszę wyglądać jak długa twarz osadzona na dwóch grubych nogach. I może rzeczywiście wydaje im się, że rękami nie sięgam do ust. Jednak jak na Chevina wyglądam całkiem przyzwoicie. A przynajmniej wyglądałem. Muszę przyznać, że ostatnio dorobiłem się paru nowych zmarszczek na starym pysku. I trudno się dziwić - przez wiele lat wtykałem go w miejsca, w których nie powinien był się nigdy znaleźć.

Zresztą uroda w galaktyce jest sprawą względną i większość doświadczonych podróżników to szanuje. Ci dwaj żartownisie muszą być kompletnymi żółtodziobami, mniej doświadczonymi niż wieśniacy z farm wilgoci i jeszcze gorzej wychowanymi.

- Hej, brzydalu! - uczył się jeden z nich. - Mówiłem do ciebie. Tym razem odwróciłem się w jego stronę.

- Szukasz kłopotów, ty karmo dla banthy?

- Nie będziesz nas obrażał, mordko! - prychnął.

- Prosisz się o kłopoty, chłopcze - ostrzegł go barman. - Ten facet to Ephant Mon. To...

Koleżka tamtego wszedł mu w słowo:

- To wielka gadająca mordko. Zaraz wytnę jej większy nos!

Zobaczyłem w jego dłoni błysk noża. Rzuciłem się do przodu, waląc czołem w jego czaszkę.

Górny węzeł głowy Chevina jest twardy jak żelazo. O ludzkiej czaszce nie można powiedzieć tego samego. Pękła jak skorupka jajka, a facet zwałił się na podłogę.

Nie zniechęciło to tego drugiego idioty, który natarł na mnie, dobywając blaster spod kurtki. Ale moje wibroostrze było szybsze. Zanim tamten wyjął miotacz z kabury, wibroostrze już tkwiło po rękojęść w jego piersi. Podskoczył do góry, a potem runął na poplamioną alkoholem podłogę.

Oficerowie towarzyszący Talmontowi zerwali się na nogi jak jeden mąż, a ich ręce jednocześnie powędrowały do broni. Ale prefekt uspokoił ich gestem. Wstał i jak gdyby nigdy nic podszedł do mnie, przyglądając się ciałom rozciągniętym na ziemi.

- Ho, ho, mój drogi... Ephant Mon znów uwolnił dwie cierpiące duszyczki, jak widzę.

- Skoro już o tym mówisz, to dziwię się, że mnie poznałeś - powiedziałem, chowając ostrze.

- Twój styl jest nie do podrobienia - powiedział, patrząc na mnie spod oka. Był krótkowidzem.

- Nie wniesiesz zarzutów?

- Za to, że oszczędziłeś mi roboty? - powiedział lekko. - Oczywiście, że nie. To nie miejsce dla takich jak oni. - Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. - Ale co ty tutaj robisz? Interesy?

- Wpadłem na piwko.

- Naprawdę? Dziwię się, że Jabba spuścił cię ze smyczy.

- Nikt mi nie mówi, kiedy i gdzie mam chodzić. Nawet Jabba! - powiedziałem ostro. - Jestem wolnym agentem.

- Tak słyszałem - powiedział sceptycznie. - Ale nikt nie wie dlaczego.

- I bardzo dobrze - powiedziałem bezceremonialnie.

- To niezwykle ciekawe - ciągnął. - Ktoś taki jak ty mógłby nieźle wycyckać Hutta.

- Moja lojalność nie jest na sprzedaż, Talmont.

Zaczerwienił się, słysząc tę aluzję, ale zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, podszedł do mnie barman.

- Ephant, Valarian mówi, żebyś przeszedł na tył - oznajmił. Machnął rękaw stroną trupów. - A ja załatwię sprawy tutaj.

- Dzięki. - Odwróciłem się, żeby odejść.

- Spotykamy się z Valarian, co? - krzyknął za mną Talmont. - Jesteś pewien, że twoja lojalność nie jest na sprzedaż? To rywalka Jabby!

- Jeśli tak cię interesują intrygi - rzuciłem za nim - to może porozmawiasz z Tessekiem?

Nawet nie musiałem się oglądać, żeby wiedzieć, że trafiłem w dziesiątkę. Usłyszałem, jak ze świstem zdumienia wciąga powietrze.

Krótki korytarz za barem prowadził do kasyna. Oczywiście kasynem było teraz tylko z nazwy. Jabba torpedował wszelkie starania lady Valarian o licencję na hazard, więc teraz była to zwykła restauracja, o tej porze zupełnie pusta.

Kiedyś było to miejsce z klasą, z holograficznym obrazem gwiazd na suficie i egzotycznymi rybami w akwariach za bulajami wzdłuż zewnętrznej ściany. Teraz jednak gwiazdy były wygaszone, większość akwariów pusta, a puste stoliki nakryte nieświeżymi obrusami w słabym świetle robiły żalosne wrażenie.

Wszedłem przez jedne z drzwi i znalazłem się w niewielkim gabinecie. Venutton, asystent Valarian, kościsty i sztywny jakby kij połknął, zaprowadził mnie prosto do jej biura.

Było to nagie i surowe miejsce. Ta dama nie zawracała sobie głowy dekoracjami. Siedziała za dużym biurkiem na środku pokoju.

Lady Valarian była ładną młodą Whiphidką - do diabła! Ładną młodą samicą według standardów każdej rasy! - zwłaszcza jak na osobę, która prowadzi tak szeroko zakrojoną działalność. Ale kiedy się ją zobaczyło, trudno się było dziwić - robiła wrażenie. Jej potężne ciało wypełniało cały fotel, a silna osobowość emanowała na cały pokój. Dwa duże kły i płonące spojrzenie nadawały jej drapieżny wygląd.

Zgoda, twarz miała sporą, trochę jak ja. Może dlatego miała do mnie pewną słabość. Ale najbardziej interesowały ją moje kontakty.

- Hej, lady V - powitałem ją. - Jak leci?

- Podle, jak zwykle - powiedziała głębokim, gardłowym głosem. - Nie traćmy czasu na kurtuazyjne pogaduszki, dobrze? Namyśliłeś się?

- Nie było takiej potrzeby - powiedziałem beznamiętnie. - Znasz moje zdanie.

- Nie mogę uwierzyć, że upierasz się przy lojalności wobec tej gnijącej kupy odpadków po tym, co ci zaproponowałam!

- Przykro mi. Ale tak to wygląda.

- Powiem ci, jak to wygląda! - warknęła, wstając z fotela. Ruszyła w moją stronę, a mięśnie miała napięte z wściekłości. - Hutt blokuje każdy mój ruch! Sabotuje moją działalność, nasyła na mnie policyjne psy, podkrada mi interesy i żyłuje do cna łapówkami! - Była o krok ode mnie i patrzyła mi groźnie w oczy. - Akurat teraz dostaję szansę, by przeciągnąć kogoś na moją stronę, a ten ktoś mi odmawia! Nie podoba mi się to, Mon!

Nie ugiąłem się pod jej wzrokiem i odpowiedziałem chłodno:

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał z tobą walczyć, Valarian. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Widząc, że nie dam się zastraszyć, westchnęła i cofnęła się, rezygnując z twardego kursu.

- Dobra, niech ci będzie - powiedziała zrezygnowanym głosem. - Nie będę się z tobą bić. Ale zastanów się jeszcze - spróbowała odwołać się do rozsądku. - Ktoś go wkrótce pokona. Nie możesz temu zaprzeczyć. Jeśli nie ja, to ktoś inny.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - odpowiedziałem. - Sam widzę, że Tessek coś szykuje, razem z Ree-Yeesem i paroma innymi. I jestem pewien, że Talmont też w tym siedzi. Staram się uprzedzać Jabbę o spiskach, które wykryję, ale nie jestem w stanie wykryć wszystkich.

- W takim razie dlaczego go nie zostawisz? - zagruchała, kładąc mi rękę na ramieniu. - Moglibyśmy nakręcić naprawdę ładny biznes, ty i ja. Jesteśmy podobni, nie uważasz? Oboje walczyliśmy, by piąć się w górę. Oboje startowaliśmy od zera.

- Może ty startowałaś od zera - odpowiedziałem. - Ze mną było inaczej.

Nie wiedzieć czemu, jej słowa poruszyły moje wspomnienia i znów zobaczyłem słoneczne, bezkresne łąki mojej rodzinnej planety.

- Ja zaczynałem od czegoś. Nic wielkiego, ale to była czysta, uczciwa działalność. Zabawne, nie myślałem o tym tyle lat, a dziś to już drugi raz...

- Co takiego? - zapytała, puszczając moje ramię i cofając się o krok, by przyjrzeć mi się pytająco.

Uświadomiłem sobie, że zapadłem w jakieś dziwne rozmarzenie, otrząsnąłem się i wróciłem do rzeczywistości.

- Eee.. nic - powiedziałem ostro. - Posłuchaj, Valarian, i spróbuj w to uwierzyć. Z Jabbą łączą mnie więzy, których ani pieniądze, ani obietnice nie zdołają rozerwać.

Spojrzała mi twardo w oczy i kiwnęła głową na zgodę.

- W porządku - uśmiechnęła się. - Powinnam uznać cię za wroga, ale nie potrafię. Nie mam do ciebie żalu.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

- Ja też nie. Lepiej już pójdę. Nie było mnie dobrą godzinę. - Odwróciłem się w stronę wyjścia.

- Ale pamiętaj! - zawołała za mną, kiedy byłem już w drzwiach. - Jeśli przeżyjesz jego upadek, moja oferta jest nadal aktualna.

Kiedy przechodziłem przez recepcję, minąłem ekipę ścierwojadów, która przyszła po sztywnych. Był tam też Talmont, który odprowadził mnie do drzwi spojrzeniem przymrużonych oczu. Widać było, że się niepokoi.

Kiedy wróciłem do pałacu, oba słońca były już wysoko na niebie. Wszedłem do sali tronowej, w której panowało istne pandemonium. Chyba przegapiłem niezłą zabawę.

Trochę już wiedziałem od Barady, którego znów spotkałem w garażu. Powiedział, że ten facet w czerni był w zмовie z resztą ekipy, która pojawiła się tu, by uwolnić Hana Solo. Że podobno jest rycerzem Jedi i nazywa się Skywalker, i że groził Jabbie śmiercią. Że zabił ukochanego rankora Malakilego. I że teraz studził swój temperament w lochu razem z Solo i Wookiem, których złapali wcześniej. Wkrótce mieli ich załadować na barkę żaglową i wywieźć na skraj Wielkiej Jamy Carkoona.

Przez podniecony tłum próbowałem precyzyjnie się ku tronowi Jabby. Siedział tam beztrąsko, zaciągając się swoją fajką wodną i szarpiąc od czasu do czasu za łańcuch, na którym trzymał tę

schwytaną kobietę, która zastąpiła biedną Oolę. Po drodze jednak przechwycił mnie Tessek, jeden z najmniej godnych zaufania poruczników Jabby.

Quarren był zdenerwowany. Wszystkie macki wyrastające z jego głowy podrygiwały. Odciągnął mnie na bok i zapytał cicho:

- Słyszałeś, co się stało?

- Tak, słyszałem o wszystkim.

- O wszystkim? - powtórzył. - Ale założę się, że nie wiesz jednego! - ściszył głos i szepnął konfidencko: - Sprawdziłem tego Skywalkera. To chyba naprawdę Jedi.

Choć zaintrygował mnie, nie dałem po sobie nic poznać.

- No i co z tego?

- To nie wszystko. Skontaktowałem się z paroma osobami, żeby sprawdzić imperialne listy poszukiwanych. Wszyscy nasi więźniowie na nich figurują, nawet te dwa roboty! Wszyscy są uważani za wyjątkowo niebezpiecznych.

- Niebezpiecznych dla Imperium.

- Myślę, że dla nas też. Ci ludzie zniszczyli Gwiazdę Śmierci! Ten Skywalker walczył z Darthem Vaderem i wyszedł z tego żywy! Dlaczego mieliby pojawić się właśnie tutaj i tak łatwo dać się złapać? Muszą mieć w tym jakiś cel!

- Jaki cel?

- Zniszczyć Jabbę... tak sędzę. Czekaj!

Zauważył, że ta mała szuja, Sprośny Okruszek, kręci się w pobliżu, więc kopnął go z całej siły. Okruszek zapiszczał i czmychnął.

- Parszywy robal - powiedział Tessek z niesmakiem. - Jestem pewien, że mnie szpieguje! Tak czy owak, myślę, że mamy do czynienia ze spiskiem Sojuszu. Ich siły czekają pewnie w pobliżu, by nas zaatakować w momencie, gdy będziemy na to najmniej przygotowani.

- Naprawdę myślisz, że zorganizowali to wszystko tylko po to, by pozbyć się Hutta? - zapytałem. Jakoś trudno mi było w to uwierzyć.

- Tak uważam. I chcę, żebyś ostrzegł Jabbę. Ciebie posłucha. Jesteś jego najbardziej zaufanym sojusznikiem. Może nawet jego jedynym przyjacielem. Musisz mu powiedzieć.

Zauważywszy, że Sprośny Okruszek nadal przypatruje nam się ciekawie z bezpiecznej kryjówki w cieniu rzeźby na ścianie, Tessek puścił mnie i zaczął się oddalać. Patrzyłem za nim głęboko zamyślony.

Jego historia wydała mi się dość naciągana, poza tym sam miał pewnie w zanadrzu parę sztuczek. Mimo wszystko... w tym ubranym na czarno facecie wyczuwało się dziwną siłę. Uznałem, że muszę przyjrzeć się Skywalkerowi z bliska. Zanim porozmawiam z Jabbą, pogadam sobie z naszym „Mistrzem Jedi”.

W jednym z niższych korytarzy prowadzących do lochów wpadłem na Ree-Yeesa, podrzędnego kanciarza, czasem zabójcę, zawsze kapusia. Trójjaki Gran cuchnął alkoholem, jak zwykle, i był jak zwykle mało przyjaźnie usposobiony. Zastanawiałem się, po co kręci się tu o tej porze. Zdecydowanie nie był zadowolony, że mnie widzi.

- So robisz t-tu na d-dole? - zapytał, przysuwając swoją obślinioną twarz ku mojej. Odepchnąłem go. Zatoczył się i cofnął o kilka kroków.

- Idę obejrzeć sobie tych więźniów - powiedziałem, wymijając go. - Robię to też dla twojego kumpla Tesseka.

Ruszył za mną, złapał za ramię i obrócił w swoją stronę.

- So chsesz prsessto powiedzieś? Jakiego „kumpla”? - Język wyraźnie mu się plątał. - S-so o nas wiesz?

- A co? - rzuciłem. - Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie wciskaj mi kitu! - wrzasnął w pijackim podnieceniu. - T-ty wiesz! Gadaj zaraz, ty...

Zaczął wyciągać blaster. Sięgnąłem do jego piersi i przycisnąłem mocno do ściany. Był teraz zupełnie bezbronny, mógł tylko wiercić się i wierzgać rozpaczliwie.

- Teraz ty pogadasz - powiedziałem najostrzej, jak umiem. - Mam dosyć tego waszego węszenia po kątach. Co szykuje Tessek?

- Idź., do... - bełkotał z trudem, nie mogąc złapać tchu. Przycisnąłem go mocniej.

- Gadaj albo pożegnasz się z życiem! Czuję, że jego klatka piersiowa pęka pod naciskiem mojej ręki. Z trudem nabrał powietrza, wybałuszając wszystkich troje oczu.

- Dobrze! Dobrze! - jęknął spanikowany. - Tessek ma... plan! Dogadał się z... Imperium! Będzie... najazd!

Przestał oddychać i zwiotczał. Cofnąłem rękę, pozwalając, by osunął się nieprzytomny na podłogę.

A więc był spisek! A Imperium maczało w nim paluchy! Musiałem uprzedzić o tym Jabbę. Ale najpierw chciałem zaspokoić palącą ciekawość i obejrzeć tego rzekomego Jedi.

Dotarłem do lochów, dałem znak strażnikom, by zostawili nas samych i odsunąłem klapkę na okratowanym okienku w drzwiach celi. Zobaczyłem trzech więźniów skupionych w odległym kącie. Wookie tulił jak dziecko Hana Solo, który jeszcze nie doszedł do siebie, a jasnowłosy człowiek w czarnym stroju stał obok.

I to on właśnie odwrócił się natychmiast i podszedł do drzwi, przyglądając mi się przez zakratowane okienko.

- To ty jesteś ten Skywalker - powiedziałem. Przytaknął.

- A ty... jesteś przyjacielem Jabby - powiedział głosem tak spokojnym, jakby spędzał tu wakacje.

- Nazywam się Ephant Mon. Jestem jednym z jego... towarzyszy. Pokręcił głową.

- Nie, jesteś czymś znacznie więcej. Czuję to w tobie. Jesteś jego prawdziwym przyjacielem... a on twoim.

- Niezła sztuczka z tym czytaniem w myślach - powiedziałem. Zrobił na mnie wrażenie. - Może faktycznie jesteś Mistrzem Jedi.

Zignorował moją uwagę.

- Mógłbyś z nim porozmawiać - powiedział z przekonaniem. - Posłucha cię. Uwierzy ci.

- W co uwierzy?

- Że jest w niebezpieczeństwie. Słuchaj, wciąż możesz go uratować. Jeśli jesteś jego przyjacielem, przekonaj go, żeby nas wypuścił. Nie chcemy mu zrobić nic złego. Ale jeśli nadal będzie próbował nas skrzywdzić, nie będę miał wyboru.

- I zniszczysz go, tak? - powiedziałam. - Z czyją pomocą?

- Niczyją - zapewnił mnie. - Jesteśmy tu sami.

Choć wydawało się to niemożliwością, stwierdziłem, że mu wierzę. Nie mogłem na to nic poradzić. Po chłodnym brzmieniu jego głosu i pewności w oczach poznałem, że jest w stanie zrobić to, co zapowiedział. Nie znaczyło to jednak, że zacznę mu pomagać.

- Może masz dość siły, by tego dokonać, a może nie - powiedziałem. - To bez znaczenia. Nawet

ja nie przekonam Jabby, by was wypuścił, jeśli tego nie chce. To niemożliwe. Ja...

Tak szybko, że nie zdążyłem zareagować, wystawił rękę przez okienko, złapał mnie za ramię i wbił wzrok w moje oczy. Nie potrafiłem mu się wyrwać. Jego przenikliwe spojrzenie kompletnie mnie sparaliżowało. Jeśli chciał mnie zabić, mógł to zrobić bez trudu.

Ale nie o to mu chodziło.

Poczułem, jak od niego do mnie przepływa nagły strumień energii, rozpluwając się po całym ciele. Tysiąc przyćmionych czasem wspomnień w jednej chwili rozbłysło w mojej głowie. Obrazy z dawnego życia przemykały mi przed oczami jak człowiekowi w agonii. Oglądałem dzieciństwo wśród członków klanu moich rodziców. Widziałem, jak dorastam na rozległych równinach rodzinnej planety. Znow przeżywałem piękno czasów, gdy do szczęścia wystarczyły mi otwarte niebo i jasny zachód słońca, wolność i przestrzeń, rodzina i towarzysze, i prosty kodeks honorowy. Zobaczyłem to wszystko - wszystko, czym byłem; wszystko, od czego się odwróciłem. Wszystko to jaśniało mi przed oczami niczym raj.

Jedi cofnął rękę, spuścił wzrok i obrazy zbladły. Zamrugalem, powracając do ciemnego, wilgotnego korytarza i więziennych krat. Szpetota lochów fortecy Jabby przytłoczyła mnie nagle jak wielki głaz.

- Nie jesteś zły - odezwał się do mnie. - Nie jesteś jak Jabba. Wyczuwam w tobie dobro. Tylko odszedłeś od niego tak daleko, że zgubiłeś drogę powrotną. Znajdź ją teraz. Pomóż nam. Ocal Jabbę.

- Ja... spróbuję - powiedziałem. - Spróbuję. Ale uważam, że mnie nie posłucha.

- Rozumiem - powiedział Skywalker miękko. - Nie chciałbym jednak zniszczyć i ciebie razem z innymi. Jeśli nie możesz nas uwolnić, trzymaj się od niego z daleka. Uciekaj stąd. Znajdź z powrotem prawdziwe życie. I niech Moc będzie z tobą przyjacielu.

Odwrócił się i dołączył do przyjaciół.

Odszedłem stamtąd poruszony do głębi. Nigdy wcześniej nie kwestionowałem sposobu, w jaki potoczyło się moje życie. Po prostu na ślepo parłem do przodu. Spotkanie z tym Jedi otworzyło mi oczy. I nie spodobało mi się to, co zobaczyłem.

Wychodząc z lochów, zauważyłem, że Ree-Yees zniknął. Nie dbałem już jednak ani o niego, ani o Tesseka. Musiałem z kimś pogadać.

Poszedłem prosto do wielkiego hangaru za salą tronową. To tutaj trzymano barcę żaglową Jabby, żeby Jego Opasłości wygodnie było wsiadać na pokład. Wiedziałem, że znajdę tam Baradę, sprawdzającego stan silników barki przed nieuniknioną wyprawą do Wielkiej Jamy Carcoona.

Kiedy wszedłem, od razu przerwał pracę. Musiał się zorientować po wyrazie mojej twarzy, że coś jest bardzo nie w porządku.

- O co chodzi? - zapytał.

- Trudno to wyjaśnić - odpowiedziałem zgodnie z prawdą przysiadając na skrzynce. - Coś się stało.

Usiadł obok mnie.

- Coś?

- Widziałem tego Jedi. Barada, wiem, że Jabba źle postąpił. Robił wiele rzeczy, a większość z nich była zła, ale teraz to co innego. Tym razem muszę go powstrzymać.

- Powstrzymać? - Pokręcił głową. - Nie sądzę, żeby nawet tobie się to udało. Jest zdecydowany rozprawić się z tą ekipą która przyjechała po Solo. Próbowali go wykiwać.

- Wiem. Ale jeśli go nie powstrzymam, boję się, że to on może oberwać.

- Co? - zapytał z niedowierzaniem w głosie. - Od jakiej armii?

- Tessek jest gotów się założyć, że Sojusz macza w tym palce. Chciał, żebym powiedział o tym Jabbie, pewnie po to, by odwrócić uwagę od spisku, który sam kręci. Ale to on wyjdzie na głupka. Sojusz nie przyśle żadnych posiłków, a jednak Jabbie grozi niebezpieczeństwo większe, niż Tessek potrafi sobie wyobrazić.

- Ze strony tego dzieciaka i jego kumpli? To niemożliwe.

- Możliwe - powtórzyłem uparcie. - I powiem o tym Jabbie.

- Nie spodoba mu się to - ostrzegł mnie Barada. - Wiesz, jaki jest. Jeżeli pomyśli, że robisz sobie z niego jaja, może i ciebie wrzucić do tej jamy.

- Wiem. Wiem - powiedziałem. - Mógłbym po prostu odpuścić to sobie i ratować się sam. Ale jestem mu coś winien.

- Dość, by ryzykować dla niego życie?

- A czemu nie? On kiedyś zrobił to samo dla mnie.

- Naprawdę? - zapytał z ciekawości Barada. - Opowiedz mi o tym.

Nikom wcześniej o tym nie mówiłem, ale uznałem, że nie ma powodu, bym nie miał opowiedzieć tej historii teraz.

- No wiesz... byliśmy wspólnikami w niewielkim przemyśle broni, dawno temu, tuż po tym jak przestałem być najemnikiem. Mieliśmy opanować imperialny magazyn broni i sprzedać ją temu, kto najwięcej zaproponuje. Magazyn był na księżycu Glakką pustej, lodowej kuli.

Ładowaliśmy właśnie broń, gdy przyleciał oddział imperialnych głupków. Podkablował nas jeden z chłopców Jabby.

Reszta naszej paczki albo uciekła, albo od razu wypadła z walki. Ale my się broniliśmy. Jabba był wtedy chudszy; szybki, twardy i silny. Nigdy nie widziałem nikogo lepszego w walce, może z wyjątkiem mnie samego.

Zajęliśmy więc pozycje, walcząc plecami do siebie przeciwko im wszystkim. Podeszli na tyle blisko, że czuliśmy ich smród. Jednego zestrzeliłem, kiedy siedział już Jabbie na plecach. W końcu zostaliśmy tylko my dwaj, poważnie ranni, ale żywi. To pogoda omal nas nie wykończyła.

Kiedy przyszła noc, temperatura spadła grubo poniżej zera. Ja czułem się gorzej, bo nie miałem takiej warstwy izolacyjnej jak Jabba, więc uratował mnie, owijając swoim ciałem. Nie była to przyjemna noc, ale lepsze to niż zamienić się w sople.

O świcie Jabba sam o mało nie zmarł. Udało nam się tylko dlatego, że jeden facet z naszej paczki, który wcześniej uciekł, przyleciał nas szukać.

- Niech mnie postrzelą z lasera! - zdumiał się Barada. - Zawsze się zastanawiałem, dlaczego siedzisz tutaj, kiedy mogłeś być gdziekolwiek indziej.

- Teraz wiesz. Od tamtej chwili odpłacam mu się, tropiąc spiski i intrygi wymierzone przeciwko Huttowi i osłaniając jego ogon. Posłałem niejednego frajera do pieczary rankora albo Sarlacca. Ale nie tym razem.

- Nadal myślę, że nie masz racji - powiedział Barada. - Moim zdaniem już dawno mu odpłaciłeś, i to z nawiązką. Nic mu już nie jesteś winien.

- Nie tylko o to chodzi - zauważyłem. - Widzisz, zrozumiałem, że nie mogę już dłużej uczestniczyć w tym wszystkim. Dotyk Jedi zmienił wszystko. Obudził we mnie coś, co myślałem, że dawno umarło. - Staralem się mu to wytłumaczyć, ale powód dla mnie samego nie był jeszcze do końca jasny. - Moi rodacy Vinsioth to myśliwi i rolnicy. Żyli blisko natury, blisko ziemi. Wierzyli w moc

przenikającą wszystko, co żyje, i czcili ją. Ale ja byłem na to za mądry, za dobry, by zadowolić się tym prostym życiem. Chciałem czegoś więcej. Myślałem, że zostawiam za sobą to życie na zawsze, kiedy odjechałem stamtąd, by próbować szczęścia jako najemnik. Ale to we mnie wciąż tkwi, Barada! Przekonałem się, że nie mogę dłużej ignorować tej części siebie. A ta Moc, o której mówią Jedi... to musi być też moja moc! Nie zamierzam jej zniszczyć, Barada. Po prostu nie mogę!

Wysłuchał mnie, a kiedy skończyłem, powiedział:

- Wybacz, stary, ale ani w ząb nie rozumiem. To dla mnie pusta gadanina. - Podniósł się ze skrzynki. - Zrobisz, co musisz. Ale myślę, że oszalałeś. - Z tymi słowami odszedł.

- Dokąd idziesz? - krzyknąłem za nim.

- Z powrotem do roboty, a dokąd? Za niecałą godzinę ruszamy. Mam tylko nadzieję, że będziesz pasażerem, a nie więźniem.

Myślałem o tym wszystkim przez cały czas, gdy dwór Jabby zaczął załadunek barki. Kiedy sami zaczęli wchodzić na pokład, uznałem, że czas na mój ruch. Zebrałem się na odwagę i podszedłem do Hutta, który sunął w stronę rampy załadunkowej na swoich repulsorowych saniach, ciągnąc za sobą na łańcuchu tę pojmaną kobietę, która została teraz jego faworytą.

- Mój stary przyjacielu, wyglądasz na zmartwionego - ryknął dudniącym głosem Jabba.

- Bo jestem, Jabba - powiedziałem. - Proszę cię, nie rób tego.

- Czego? - zapytał zaskoczony, zatrzymując sanie. - Masz na myśli zniszczenie tych łajdaków, którzy próbowali mnie oszukać?

- Tak. Skywalker to Jedi. Zauważyłem, że w tym momencie kobieta popatrzyła na mnie i zaczęła uważnie słuchać.

- To nie żaden Jedi - wtrącił się Bib Fortuna, który jak zwykle krążył w pobliżu. A Sprośny Okruszek, usadowiony na ogonie Jabby, powtórzył jak echo swoim piskliwym skrzekiem:

- Żaden Jedi! Żaden Jedi!

- Źle robisz, Jabba - powiedziałem, cofając się. - Jabba, musisz go wypuścić. Wypuść ich wszystkich.

- Wydaje mi się, że Mon coś knuje - rzekł Fortuna, przyglądając mi się podejrzliwie. - Jabba, on musi być z nimi w zмовie.

- Staram się ocalić ci życie, Jabba! - nie ustępowałem. - Sam wiesz, że nie ma tu nikogo, kto byłby wobec ciebie bardziej lojalny niż ja! Wiesz, że zawsze ostrzegałem cię przed niebezpieczeństwem. Nawet teraz mogę ci opowiedzieć o kolejnym spisku! Ale to nieważne! Nic nie jest ważne: ani Tessek, ani Valarian, ani nawet Imperium. Tylko to. Jabba, ta sprawa nas przerasta. Tu chodzi o Moc!

- Ta głupia religia nic dla nas nie znaczy! - krzyknął pogardliwie Fortuna. - Potężny Jabba nie okazuje strachu przed niczym, nawet przed Mistrzem Jedi!

- On ma rację, Ephant - zgodził się Hutt. - Jabba przemówił. Oni muszą zginąć.

- W takim razie... nie mogę ci dalej towarzyszyć - powiedziałem pewnym głosem. - Nie mogę w tym uczestniczyć.

- Przeciwnstawiasz mi się? - ryknął. - Powinienem cię za to zabić.

- Wiem. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy; nie spuściłem wzroku.

- Powinienem - warknął - ale nie pozwala mi na to nasza stara więź. To dość, by kupić ci życie, ale nic ponadto. Uważałem cię za prawdziwego przyjaciela, Ephantie Mon. Ta przyjaźń się skończyła.

- Nie tobie oceniać, czy się kończy, czy nie - odparowałem. - Ja to ocenię. Barada miał rację. Spłaciłem swój dług wobec ciebie stukrotnie.

- Spłaciłeś dług? - powtórzył Jabba tonem, w którym słychać było żal. Przysięgam, że prawdziwy, i przysięgam, że nigdy nie słyszałem, by tak mówił. - A więc dla ciebie to był tylko dług. Przykro mi to słyszeć.

Odwrócił się ode mnie i zaczął sunąć w stronę barki, a za nim dworacy. Pojmana kobieta została, przyglądając mi się z zaciekawieniem, póki szarpnięcie łańcucha nie zmusiło jej, by poszła za swym panem.

- To nie był tylko dług - powiedziałem, ale tak cicho, że nikt mnie nie usłyszał. - Żegnaj, stary przyjacielu.

Jabba i jego dworacy zniknęli wewnątrz barki. Za nimi weszła grupa gamorrekańskich strażników, którzy pchali przed sobą Skywalkera, Hana Solo i pozostałych.

Kiedy Jedi wchodził po trapie, poczułem ukłucie niepokoju o jego los. Czy on i jego przyjaciele naprawdę mieli jakąkolwiek szansę w starciu z zaprawioną w mokrej robocie załogą Jabby?

Musiał wyczuć moje emocje, bo właśnie wtedy odwrócił się i uśmiechnął się do mnie, pewnie i spokojnie. Jego uśmiech powiedział mi, że nie muszę się o niego bać.

Patrzyłem, jak ostatni z nich wchodzi na pokład barki. Zacząłem się zastanawiać, co powinienem teraz zrobić. Ciągle jeszcze mogłem przyłączyć się do organizacji Valarian, ale wiedziałem, że byłby to zły wybór.

Barka żaglowa uniosła się na repulsorach, wzniecając obłok pyłu, zawróciła i odpłynęła, zamieniając się szybko w plamkę na rozległym horyzoncie szarobrazowych pustkowi Tattooine.

Oczami duszy zobaczyłem inny krajobraz, bardziej zielony. Już wiedziałem, dokąd jechać. Ktoś chciał, by stało się to dla mnie oczywiste.

Pojadę do domu.

KOZIBRODA opowieść Ree-Yeesa

Deborah Wheeler

Powoli nieznośny dzień na Tatoonie przeszedł w popołudnie. Wczesny zmierzch zmiękczył zarys pałacu Jabby i rozlał na dryfujących piaskach przytłumioną pomarańczową poświatę. Pierzaste jaszczurki wyskoczyły z nor, by w chłodnym cieniu zapolować na owady. Ze sterczącej skały dobiegł skrzek meewita - jeden, drugi, a potem cisza.

Ree-Yees, dźwigając wiadro, wspinał się po schodach prowadzących do bocznego wejścia. U szczytu schodów stanął, lustrując nerwowo trojgiem oczu smagane wiatrem wzgórze i wejście za plecami. Kiedy tak stał, ciężko oddychając, udzielił mu się wieczorny spokój, kojąc nieco nerwy, stargane niedawną sprzeczką z Ephantem Monem. Sprzecзка zaczęła się od słów: „Ależ z Ciebie niekompetentny półgłówek, Ree-Yees; naprawdę nie wiem, po co Jabba Cię tu trzyma”, a skończyła na tym, że Quarren Tessek, jeden z poruczników Jabby, rozdzielił walczących.

Piaski szeptały miękko w ostatnich przedwieczornych powiewach gorącego wiatru. Mrużąc dwoje bocznych oczu, Ree-Yees widział odległe wydmy jako porośnięte falującą kozibrodą wzgórze. W swoim sercu Grana poczuł ukłucie nostalgii. Nie był tak pijany jak zwykle i nawet w połowie nie tak, jakby chciał. Przybycie tych dwóch nowych robotów sprawiło, że trudno mu było wymknąć się i uzupełnić kufel najlepszym sullustańskim dżinem Jabby.

Już niedługo, obiecał sobie Ree-Yees. Już niedługo rozprawi się z Ephantem Monem i całą resztą. Podniósł wiadro i podszedł ciężkim krokiem do żabopieska Jabby, którego na noc wypuszczano na zewnątrz. Zwierzę zanurzyło język, długi i lepki, w wiadrze cuchnącej karmy, a potem cofnęło go z mlaskiem, połykając krople stopionego tłuszczu bantha, galaretowatego chuffi kawałki viridiańskich szczęk termitów, które przywarły do jego koniuszka. Podczas gdy Bubo przełykał, Ree-Yees wyciągnął rękę i wsunął palce pod purpurową brodawkę na ramieniu zwierzęcia. Kawałek skóry z nieprzyjemnym plaśnięciem oderwał się od ciała, ukazując pod spodem miniaturowy panel z dwiema kwadratowymi diodami i wyłącznikiem. Tylko imperialni inżynierowie mogli zaprojektować i umieścić takie urządzenie, niewykryte, tuż pod nosem Jabby. Na jednym z kwadratowych wyświetlaczy widniał symbol z dzisiejszą datą, podczas gdy na drugim błyskały słowa: „Wysyłka zrealizowana”.

Ree-Yees umieścił kawałek skóry na swoim miejscu i westchnął z ulgą. Mając w ręku ostatni z elementów - detonator - łatwo wypełni swoją część zadania. W zamian Imperium wyczyści jego akta, usuwając z nich wyrok za potrójne zabójstwo, a Ree-Yees będzie mógł bezpiecznie wrócić do domu, na Kinyen...

Nie! Lepiej nawet o tym nie myśleć, to zbyt niebezpieczne. Lepiej nadal odgrywać rolę przygłupa, którym inni gardzą i z którego szydzą, dopóki zadanie nie zostanie wykonane. Lepiej trwać w bezpiecznym stanie upojenia alkoholowego, przez które nie mogły przebić się wizje, krążące po

głowie jak uporczywe wspomnienia... pola kozibrody błyszczącej w słońcu, och tak!... i pachnące rują samice, ich aksamitne boki, piersi jak potrójne klejnoty...

Nie. Lepiej pić. Lepiej czekać.

Zabopiesek połknął ostatnią kroplę karmy i przyglądał się Ree-Yeesowi pytająco jednym okiem, jakby się zastanawiał, czy ten spory kęs byłby smaczny. Ree-Yees cofnął się w samą porę, by uniknąć kontaktu z jego lepkiem językiem.

Walnął zwierzę w głowę.

- Ty głupia, rybia larwo! Dobrze, że już cię nie potrzebuję!

Bubo skulił się z wyrazem urażonej niewinności na pysku. Kiedy Ree-Yees odwrócił się i ruszył w stronę pałacu, zwierzę syknęło coś, co zabrzmiało wyjątkowo wulgarnie. Na szczęście dla zwierzaka, Ree-Yees niewiele zrozumiał.

Mrucząc pod nosem, Ree-Yees człapał korytarzem w stronę sali audiencyjnej Jabby. Gamorreński strażnik zastąpił mu drogę, unosząc pikę energetyczną i łypiąc zaczerwienionymi oczami. W przytłumionym świetle jego kły połyskiwały wilgocią. Poprzedniej nocy Ree-Yees ograł go bez trudu w cztery kostki, a Gamorreanin nawet się nie zorientował, że go oszukano.

- Zjeżdżaj, ty oślizła świni! Gamorreanin szturchnął Ree-Yeesa w pierś końcem swego topora.

- Gdzie ty idzie? Co ty robi? Nawet przez grubą skórzaną kapotę Ree-Yees poczuł ukłucie piki energetycznej.

- Zabieraj stąd tę swoją zabawkę!

- Urghh!

- Co ty powiesz, ty nilgariański robalu! Już niedługo sporo się tu zmieni! Jabba nie będzie zawsze...

- Jabba-Jabba urghh-phth! W tej samej chwili wysoka postać wyszła z cienia i pospieszyła w ich stronę. Ten wścibski Quarren, Tessek.

Macki wokół ust Tesseka wiły się jak długie robale.

- Co sssię tu dzieje?

- Jabba-nie-Jabba-urk-urk! - zakwiczał strażnik, machając wściekle piką.

- To drobne nieporozumienie, wkrótce wszysstko sssię wyjaśś-śni. - Jedną ręką Tessek zaciągnął Ree-Yeesa w dół tunelu, drugą dał znak strażnikowi. - Zossstań na ssstanowissku! I nie mów o tym nikomu!

Ree-Yees człapał w dół korytarza, nie mogąc wyrwać się z uścisku Quarrena. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu strażnika, Quarren odzyskał władzę nad swoim aparatem głosowym.

- Co ty sobie wyobrażasz? Chcesz, żeby Jabba podejrzewał, że... Znowu jesteś pijany, tak? Pokaż mi ten kufel!

Ree-Yees szarpnął się do tyłu.

- Nie twój śmierdzący interes! I łapy przy sobie! Wara ci od tego, co moje! Nie ty jeden... - Z najwyższym trudem zdołał się opanować. Tessek miał rację, powstrzymując Gamorreanina przed zameldowaniem się u Jabby. Tessek, który sam snuł intrygę za intrygą, był zbyt wredny, zbyt domyślny; niewiele brakowało, by przejrzał plan Ree-Yeesa. Jeśli Deollin będzie sprzyjał, już niedługo nie będzie potrzebował Tesseka.

- A teraz wracaj - powiedział łagodnie Tessek. - Jakiś nowy łowca nagród przyszedł po nagrodę za Wookiego. Na pewno nie chcesz przegapić takiej zabawy.

Sapiąc ze złości, Ree-Yees pospieszył w stronę komnaty audiencyjnej.

Tej nocy Jabba rozkazał, by sali audiencyjnej pilnowali z ukrycia strażnicy; podłączył też do alarmu swoją ulubioną płaskorzębę zamrożonego w karbonicie korelianskiego przemytnika. Zawracanie głowy, pomyślał Ree-Yees, ale coś wyraźnie wzbudziło większe niż zwykle podejrzenia Jabby. W końcu Ree-Yees zdołał się wyśliznąć i napełnić swój kufel dzinem; ruszył ciemnym korytarzem w stronę kuchni.

Zatrzymał się pod zabytkowym, drewnianym portykiem nad drzwiami kuchni i zajrzał do środka, ale nie zauważył oznak niczyjej obecności. Phlegmin, ten nienawistny mały pryszczaty kuchcik, bardzo chętnie przyjmował pieniądze wygrane przez Ree-Yeesa w zamian za odłożenie na bok specjalnie oznaczonych skrzynek wypełnionych kozibroda, nie mając pojęcia, co kryje się pod warstwą trawy. Pewnie wyobrażał sobie, że Ree-Yees folguje nostalgii, obżerając się przysmakami z rodzinnej planety. Sam pewnie robił to samo pomiędzy narzekaniem, jak źle jest tu traktowany, a przechwalaniem się, jaką sławę zdobędzie, gdy tylko zdoła wyrwać się z tej zapiaszczonej dziury. Ree-Yees domyślał się, że Phlegmin miał na koncie coś więcej niż podkradanie skrzynek warzyw; podejrzwał raz, że kuchcik dodawał coś do zbiornika z ulubionymi żywymi przekąskami Jabby. Ree-Yees obserwował go znacznie uważniej od czasu, gdy zniknęła jedna ze skrzynek kozibrody, w której miała być obudowa do bomby. Na szczęście jedynym skutkiem tego incydentu był wyjątkowo smakowity gulasz, który na pewien czas rozwiał podejrzenia Jabby co do kucharza.

- Phlegmin! - zawołał Ree-Yees. - Gdzie jesteś, stara grzybogębo?

Odpowiedział mu stłumiony odgłos kroków, a po nim cichy krzyk. Do pioruna z tym dwuokiem, sam poszuka swojej dostawy. Pospiesznie ruszył w stronę magazynu. Pod ścianami stały paki peklowanego mięsa, skrzynki suszonych owoców i żuków, beczki wina, słoje zakonserwowanych odchodów żółwia, miodowy olej, kawior i radioaktywne sole potasu - wszelkie smakołyki, którymi delectował się Hutt. Ree-Yees zaczął myszkować po pomieszczeniu; unosił wieka nierozpakowanych skrzyń, zaglądał pomiędzy poustawiane jedne na drugim rzędy kartonów, obchodził wielkie beczki.

Jeszcze raz zawołał kuchcika i znów nie usłyszał odpowiedzi.

Nagle zauważył skrzynkę odpowiednich rozmiarów, wywróconą na bok obok kadzi sfermentowanych jaj piaskowych larw. Przyjrzał się dokładniej i dostrzegł, że była otwarta, a srebrnozielone żdźbła rozsypały się po kamiennej podłodze. Obok pudła leżał rozciągnięty na podłodze Phlegmin. W ciągu wielu lat spędzonych w pałacu Jabby Ree-Yees nieraz widział trupa, od razu więc rozpoznał kolejnego, mimo że ciało należało do człowieka. Nikt nie byłby w stanie spać w takiej pozycji.

Nad ciałem, załamując ręce, pochylał się kucharz Porcellus. Poderwał głowę, wybałuszył oczy, a włosy - tam, gdzie jeszcze je miał - stanęły mu dęba we wszystkie strony.

- Nie mam z tym nic wspólnego! - wrzasnął.

Ignorując rozhisteryzowanego kucharza, Ree-Yees przykucnął obok skrzynki i zaczął rozgarniać palcami jedwabiste żdźbła kozibrody. Podniósł skrzynkę, odwrócił do góry dnem i wytrząsnął jej zawartość - na próżno.

Kluczowe obwody detonatora - ostatni składnik - zniknęły.

Ree-Yees zabeczał przeraźliwie. Ktokolwiek zabił tę żalostną namiastkę kuchcika, musiał zabrać obwód detonatora. I wiedział, co znalazł...

Ale przecież nie mógł wiedzieć, że celem była barka żaglowa Jabby! Ani kto miał pozostałe komponenty!

Jeszcze nie wszystko stracone, jeśli zacnie działać szybko. Kiedy już ktoś znajdzie ciało, Jabba

każe przeprowadzić dochodzenie, niezależnie od tego, że zamordowanym był nic nieznaczący, przyglupi kuchcik. Nikt nie miał prawa ginąć w pałacu Jabby... oprócz tych, których sam Hutt polecił zgładzić. Ostatnimi czasy jednak w tylnych korytarzach działo się wiele tajemniczych rzeczy...

- Urghh! - od drzwi dobiegł niezrozumiały ryk, kiepsko artykułowany, nawet jak na Gamorreanina.

- Ja tego nie zrobiłem! - wrzasnął znowu kucharz. Ree-Yees był tak zaskoczony, że upadłby, gdyby nie to, że i tak już klęczał.

Wszystkich troje oczu wbił w krępą postać stojącą w drzwiach. Gartogg!

Na potrójne piersi Doellin! Ale miał szczęście! Ten Gamorreanin był tak głupi, że nie umiał nauczyć się grać w smarki, nie mówiąc już o zorientowaniu się, że go oszukiwano.

- Urgggh-chrrum-ehem? Ree-Yees zerwał się na równe nogi i odepchnął na bok kucharza.

- Przyszedłeś w samą porę! Znalazłem go, tak jak tu leży, w korytarzu, w pobliżu korytarza prowadzącego do tunelu, w którym jest kwatery Ephanta Mona! Przyniosłem go tutaj, żeby... żeby... żeby przeprowadzić resus.. suspirację!

- Hrrmr?

- No wiesz... kulinarną resuspirację! Zapach jedzenia tak... tak... tak smakowitego może przywrócić martwych do życia! To stara sztuczka, której nauczyłem się od mojego wujecznego dziada, Swee-Beepsa. Nazywamy to... eee... wachaniem śmieci ostatniej szansy. Ale niestety... - Ree-Yees spuścił smętnie szypułki oczu. Nie zdążyłem.

Gartogg przyczłapał bliżej, spróbował przykucnąć, ale poddał się i tylko nachylił górną połowę ciała pod kątem, który zdaniem Ree-Yeesa był całkowicie niemożliwy z punktu widzenia anatomii. Zaczął znowu pochrząkiwać.

- Widzisz? - ciągnął Ree-Yees. - Ktoś musi teraz przejąć tę sprawę. Ktoś obdarzony władzą. Żeby przeprowadzić dochodzenie, zbadać tropy, wyjaśnić tę zbrodnię. Jabba byłby pod wrażeniem... i bardzo wdzięczny.

- Chrrum-ehem-ehem! - Gamorreanin chwycił kuchcika za kostkę u nogi i uniósł jego ciało głową na dół, dyndając nim przed swoim ryjem. Ree-Yees przeniósł wzrok z Gartogga na twarz Phlegmina i jego haczykowaty nos zapchany zakrzepłą krwią. Jak wróci do domu na Kinyen, już nigdy nie będzie musiał oglądać dwuokich.

Gartogg przewiesił sobie ciało przez ramię i ruszył w stronę wyjścia, chrząkając i parszcząc niezrozumiale.

- Pamiętaj! - krzyknął za nim Ree-Yees. - Znalazłem go w pobliżu kwatery Ephanta Mona!

Kiedy strażnik zniknął, Ree-Yees wysuszył kufel do dna jednym haustem. Fala gorąca rozlała się od pierwszego żołądka po całym jego ciele, przenikając do wszystkich tkanek. Szypułki oczne zadrżały, kolana ugięły się pod nim lekko, ale po chwili poczuł błogosławione otępienie. W czasie huczał mu dziwny głos. Wydawało się, że w tym pozornie jednostajnym dźwięku jest w stanie wyodrębnić dudniący bas Jabby. Słyszał już kiedyś taki głos w sennym koszmarze, na krawędzi jawy i snu.

Kucharz zniknął - pierwsza rozsądna rzecz, jaką zrobił. Zataczając się, Ree-Yees wyszedł z kuchni. Szedł przed siebie brudnymi tunelami, nie patrząc dokąd.

Tylko gdzie podział się ten przeklęty obwód detonatora? Korytarz schodził coraz niżej, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, aż Ree-Yees zorientował się, że nie idzie w kierunku swojej kwatery ani z powrotem do sali audiencyjnej Jabby, tylko zapuszcza się coraz głębiej i głębiej w labirynt

podziemnych tuneli.

Zatrzymał się przed nieznanym rozgałęzieniem; oddychał z trudem i czuł coraz silniejszy zawrót głowy. Szypułki oczu zadygotały nerwowo. Tu, z dala od zamieszkanego rejonu, duże łąty fosforyzującego śluzu odpadały z wilgotnych kamiennych ścian. W powietrzu unosił się lekko metaliczny zapach stęchlizny.

Którędy miał iść? Przeklinając pod nosem w dwóch językach, Ree-Yees powlókł się w dół korytarza, który wydawał się skręcać we właściwą stronę. Schodził coraz niżej, wdeptując w kałuże cuchnącej kwasem wody, ocierając łokcie o szorstkie ściany. Przez głowę przemykały mu obrazy jak pijackie wspomnienia. Pamięć podsuwała mu wrażenie ucisku w piersi, twardego jak metal, i nagłego rozbłysku płomieni. Nagle tuż przed nim eksplodowała ściana ognia; płomienie sunęły, otaczając go z każdej strony...

Potrząsnął głową. Wizja nie zniknęła, płomienie były z każdym krokiem jaśniejsze i gorętsze...

Ogień strzelił w górę, jeszcze gwałtowniejszy i groźniejszy niż wcześniej. Skóra Ree-Yeesa zaczęła skwierczeć i palić się, gałki oczne zaskwierczały na szypułkach i eksplodowały...

Zorientował się, że patrzy w dół na rozległą białą równinę, całą pokrytą śniegiem i lśniącymi kawałkami lodu, pociętą rozpadlinami zamrożonego błękitu; zobaczył podchodzące coraz bliżej wielkie, groźne maszyny wojenne...

Zamrugnął i obraz przed oczami przeskoczył jak w kalejdoskopie, ukazując bujny chaos moczarów, ze sfatygowanym X-wingiem tonącym pod powierzchnią błota, wśród plataniny zielonych drzew i pnączy, kwiatów rozbłyskujących bielą, skrzeczących, skrzydlatych jaszczurek przelatujących nad głową...

I znów równie nagle obraz się zmienił. Widział teraz dużą salę, w niej rzędy półek i dziwnych urządzeń, a na półkach szklane kopuły, w których oddzielone od ciał mózgi pulsowały w niesamowitej, różowej poświacie...

W tym momencie otworzył środkowe oko i uświadomił sobie, że rzeczywiście stoi w sali pełnej mózgów. Mnisi B'omarr. Pokój był cichy i nieoświetlony, z wyjątkiem ekranów wyświetlaczy i różowej poświaty emitowanej przez pojemniki. Serce, które niemal przestało mu bić, gdy zobaczył płomienie, teraz znów przyspieszyło. Obliznął wargi cienkim językiem.

Mózgów nie muszę się bać, powiedział sobie w duchu, to tylko szczątki tych zdegenerowanych dwuokich mnichów, którzy wydrążyli te tunele stulecia temu, zanim odkrył je Jabba. Ich nagie mózgi nie mogły mu nic zrobić, mogły tylko tkwić w swoich szklanych więzieniach, nieruchomo, jeśli nie liczyć delikatnego pulsowania.

Jakiś szept, odgłos tkaniny ocierającej się o kamień, sprawił, że Ree-Yees obrócił się gwałtownie. Z cienia wypłynęła postać w obszernej szacie i zatrzymała się na środku pokoju. Ree-Yees nie potrafiłby określić jej kształtu, nie wspominając nawet o gatunku czy płci, tak dokładnie okrywała ją fałdzista szata. Kiedy tak się przyglądał, postać uniosła ramię. Rękaw opadł, ukazując rękę humanoida, chudą jak szkielet, obciążoną bladą skórą na groteskowo zdeformowanych kościach.

Spod kaptura dobiegł go głos.

- Pożar był tylko ostrzeżeniem - zakomunikował skrzekliwie. - Zapamiętaj je i powiedz swojemu podłemu panu, by na zawsze opuścił to miejsce.

A potem postać zniknęła.

Szypułki oczne Ree-Yeesa zdrząły. Zabeczwał zaskoczony, ale szybko się opanował. A więc to

miało być ostrzeżenie? A może raczej znak? Obietnica tego, co nadejdzie?

Nie rozumiał innych obrazów, ale pożar wydawał się zupełnie realny. Co to wszystko miało oznaczać?

Ree-Yees poczuł, że od brzucha po całym jego ciele rozlewa się fala radości. Szczęście Doellin mu sprzyjało. Powiedzie mu się, mówiła wizja. Utrata obwodów detonatora okaże się tylko drobną przeszkodą. Jabba zginie w płomieniach oczyszczającego ognia, a wraz z nim jego odrażająca, dwuoka załoga. Imperialny prefekt Talmont wyczyści akta Ree-Yeesa, umożliwiając mu powrót do domu, na Kinyen.

Becząc ze szczęścia, Ree-Yees wyszedł z sali mózgow i jakimś cudem odnalazł powrotną drogę, wspinając się coraz wyżej znajomymi korytarzami. Zmierzał właśnie do swojej kwatery napawać się sukcesem, gdy kolejny gamorreński strażnik przepchnął się obok niego z dobytą bronią.

- Hej! - zaczął go Ree-Yees. - Co byś powiedział na partyjkę Dudniących Szpilek?

- Ktoś próbował wykraść to cudeńko Jabby! - ryknął strażnik. Mówił znacznie wyraźniej niż ten nieszczęsny Gartogg. - Ty chodź!

Ree-Yees pospieszył za Gamorreaninem. Pewien, że jego misja się powiedzie, mógł się rozluźnić i zabawić. Może Jabba nakarmi złodziejem rankora - zawsze przy takiej okazji warto było zebrać parę zakładów.

Przez cały następny dzień podniecająca pewność siebie nie opuszczała Ree-Yeesa, nawet wtedy, gdy wydało się, kto się podszywał pod łowcę nagród. Dziewczyna, która zajęła miejsce Ooli, była równie odrażającym dwuukiem jak każda inną ale jakie to teraz miało znaczenie? Już niedługo nie będzie musiał jej oglądać. Nawet zamieszanie, jakie zrobił wokół siebie Ephant Mon, nawet jawny niepokój Tesseka nie były w stanie poruszyć Ree-Yeesa.

Ze swojego zwykłego miejsca w sali audiencyjnej przyglądał się wyczynom młodego Jedi. Jego walka z rankorem była wyjątkowo zajmująca, chociaż Ree-Yees musiał pogodzić się z utratą kilku kredytów, które przegrał w zakładach. Nieważne, jeszcze się odegra zwłaszcza że Malakili, opiekun rankora, będzie pewnie tak przybity przez całe miesiące, że nawet nie zauważy, jak go Ree-Yees oskubie.

- Trzeba się było targować - powiedział młody Jedi, kiedy go wyprowadzali. Co to niby za larwie pogróżki? To nawet nie było przekleństwo, jak: „Oby tysiąc tuskeńskich larw wyżarło ci bebechy od środka”, ani nie wymówka: „Przepraszam, jestem uczulony na łajno rankora” czy coś odkrywczego, na przykład: „Gratuluję! Prawidłowa odpowiedź! Wygrywasz kompletny zestaw Encyklopedii Imperium”. Nie żeby to miało coś zmienić, choć Jabba darował życie paru gościom, którym udało się szczególnie go rozbawić, jak wiedział Ree-Yees.

Zresztą sam Jabba miał zginąć z ręki Ree-Yeesa. Obiecały mu to dziwaczne wizje mnicha B'omarr. A skoro tajemna bomba nie była jeszcze gotowa, Ree-Yees mógł równie dobrze wybrać się z innymi barką żaglową i obejrzeć egzekucje. Bardzo lubił słuchać wrzasków dochodzących z głębi Wielkiej Jamy Carkoona, gdy ofiary Sarlacc zaczynały odczuwać na swoich ciałach pierwsze bolesne skutki jego soków trawiennych. Czasami Ree-Yees zakładał się z Baradą o to, jak długo będzie je słyszeć, zanim struny głosowe ofiary się nie rozpuszczą albo Sarlacc ich nie użądli, pozbawiając przytomności. Nikt nie wiedział naprawdę, co działo się w jego brzuchu.

Dzień był gorący i suchy, jak każdy na Tatooine. Ree-Yees zajął miejsce niedaleko Jabby, nie na tyle blisko, by przyciągnąć uwagę Tesseka, ale wystarczająco, by udawać uwielbienie. Nie śledził egzekucji zbyt uważnie - były do siebie tak podobne! Jednym okiem obserwował zniechęcone żółte

piaski, drugim równie ohydną tancerkę, skuloną teraz u stóp Jabby na jego saniach. Kiedy podjechał ten nowy robot R2, serwujący drinki, Ree-Yees wziął z tacy szklanę różowozielonego bantha Mastera i wysączył musujący napój do dna. Chwilę później poczuł, że szczeka zębami, a szypułki oczu zapiekły go, jakby wpadły w ogień. Poprawił dwoma łykami wookiewango z najlepszego sullustańskiego dżinu - wstrząśnięte niemieszane.

Na potrójne piersi Doellin, ten mały R2 potrafił przyrządzać drinki! Ree-Yees zaczął się zastanawiać, czy nie udałoby mu się jakoś zabrać robota do siebie na Kinyen.

Zaalarmowało go nagle zamieszanie na barce więziennej. Doczłapał do relingu i wyjrzał. Ktoś wymachiwał mieczem świetlnym na wszystkie strony; wszyscy naraz zaczęli krzyczeć. Dwa nowe roboty zeszły nagle z wyznaczonych im stanowisk. Ree-Yees zdążył złapać z tacy R2 tonik z rumem, zanim robot zniknął mu z oczu.

Cały pokład nagle oszalał. Strzały z miotaczy i laserów przecinały pomieszczenie we wszystkich kierunkach. Gamorreanścy strażnicy biegali w kółko, kwicząc, podczas gdy Jabba wykrzykiwał rozkazy. Weequay przepchnął się obok Ree-Yeesa, wylewając mu drinka, i pobiegł na drugą stronę barki.

Ree-Yees rozejrzał się dookoła, szukając najbezpieczniejszej kryjówki. Po chwili wahania, widząc jak kilku obrońców Jabby wpada do paszczy Sarlaccy, uznał, że najlepiej będzie pozostać tam, gdzie stał, bezpiecznie zasłonięty saniami Jabby. Tessek, jak zauważył, zniknął już wcześniej, pozostawiając Jabbę, by sam troszczył się o własną skórę. Co za półmózg! Czy naprawdę myślał, że Jabba tego nie zauważy?

Ree-Yees rzucił w bok pustą szklanę i zaczął się zastanawiać, jak zachowałby się lojalny poplecznik, próbując bronić swojego pana. W tym momencie wyobrażenia go zawiodła.

Dwuoka samica bez ostrzeżenia zerwała się na nogi i zarzuciła swój łańcuch na głowę Jabby. - Arghh! Unnghh! - Jabba ryczał i wył, podczas gdy łańcuch coraz mocniej zaciskał się wśród fałdów skóry na jego szyi. Zaczął wywracać oczami i kiwać się całym potężnym cielskiem.

Ludzka samica zapała się o ciało Hutta i ciągnęła za łańcuch z siłą zadziwiającą u stworzenia o tak wrzecionowatych członkach. Na potrójne uszy Deollin, co ona robi?

Jabba zauważył Ree-Yeesa, wbił w niego wzrok i znów zaryczał, unosząc jedną krótką rękę w jego stronę.

Ree-Yees zawahał się. Wiedział doskonale, że Jabba go wzywa, by przyszedł mu z pomocą. Ale co by się stało, gdyby udał, że tego nie zauważył... gdyby nie zrobił... nic?

Co za pociągający pomysł! Musiał tylko zaczekać kilka chwil dłużej, podczas gdy niewolnica odwali całą robotę za niego, a jej wyczyn Ree-Yees przypisze sobie, odbierając nagrodę z rąk Imperium.

Gdyby jednak jakimś cudem Jabba przeżył - a mógł, bo Huttowie znani byli z tego, że trudno ich zabić - Ree-Yees mógł twierdzić, że próbował go uratować. Może przysunie się trochę bliżej, żeby cała sprawa wyglądała bardziej realistycznie...

W tym samym momencie, gdy postąpił krok ku krztuszącemu się Huttowi, poczuł w brzuchu ucisk metalu. Głos Jabby, niewyraźny i bełkotliwy, odzywał się echem w jego czaszce. Zatoczył się na boki, uderzając dłońmi o skronie. Szypułki oczne mu się zatrzęsły. Słyszał własny głos, jak beczał przerażony; kącikami zewnętrznych oczu dostrzegł eksplozję jasnego światła za uszami, jak miniaturowe burze ogniowe.

Środkowym okiem Ree-Yees widział, jak niewolnica ciągnie łańcuch z całej siły, z głową

odrzuconą w tył z wysiłku, napinając mięśnie nagicznych ramion. Jabba wysunął język, który zadygotał spazmatycznie. Z kącików ust ciekła mu gęsta ślina i spływała po opasłym brzuchu, a oczy błyszczały jak polerowana miedź.

Ree-Yees wyczuwał teraz dokładnie metalowe urządzenie we wnętrzu swojego ciała i niedopuszczający sprzeciwu rozkaz, zakodowany równie głęboko w umyśle. Przypomniawszy sobie, jak pochylają się nad nim chirurdzy Jabby, jak rozcinają go, powtarzają raz po raz zakodowaną frazę, a potem rozkazują mu zapomnieć...

Teraz już wiedział, jakie słowa Jabba tak desperacko próbował wypowiedzieć - rozkaz, by Ree-Yees otoczył ramionami cel, myślowy zapalnik, który zdetonowałby bombę ultrakrótkiego zasięgu, ukrytą w jego własnym brzuchu.

Ree-Yees podszedł w kierunku ludzkiej samicy. Nie zauważyła go zaabsorbowana swoim zadaniem. Uniósł ręce, wyciągnął je...

Przez chwilę znów opadła go wizja sali z mózgami. Przeklęci mnisi B'omarr, zupełnie opacznie ich zrozumiał. Ten ogień, który widział, to nie była eksplodująca barka żaglowa Jabby, tylko bomba ukryta w jego brzuchu! Ree-Yees beczał i kwiczał, ale nie panował już nad swoim ciałem, które poruszało się pod wpływem zakodowanego przymusu. Nie uda mu się z tego wywinąć. Już niemal czuł, jak rozrywa go eksplozja, jak wściekły wybuch...

I nagle poczuł, że przymus ustępuje - w tym samym momencie, gdy zgasło światło w oczach Jabby. Cuchnący ciemny płyn wypłynął z kącików ust Hutta. Jego ogon zadrżał w ostatnim odruchu, a potem znieruchomiał.

Ulga owiała Ree-Yeesa falą, jak letni wiatr pola świeżej trawy. Oparł się ciężko plecami o najbliższą ścianę. Nogi miał jak z waty. Nie mógł uwierzyć, że było już po wszystkim - że Jabba nie żył. Pył zatrze jego imię, a pustynny wiatr Tatoonine rozniesie prochy jego imperium. A Ree-Yees będzie triumfować przez całą drogę na Kinyen.

- M-a-a-a-ah! - Ree-Yees kopnął nieruchome ciało Jabby. - I kto się śmieje ostatni, ty zboczony dwuoki oślizły robaku? Ty chuffożerna pijawko!

Ludzka samica omiotła Ree-Yeesa zagadkowym spojrzeniem. W następnej chwili robot R2 przeciął jej łańcuch; zeskoczyła zgrabnie na podłogę i pobiegła w stronę zamontowanego na pokładzie działa.

Ree-Yees odetchnął głęboko i spróbował się opanować. Kiedy tylko więźniowie zostaną opanowani i wrzuceni do jamy, ktoś odkryje ciało Jabby, i lepiej, żeby Ree-Yeesa w tym momencie nie było w pobliżu. Ktokolwiek przejmie jego organizację - Bib Fortuna czy może Tessek - równie dobrze może wpaść na pomysł dokonania egzekucji na zabójcy Jabby, by wzmocnić swoją pozycję i pokazać, kto tu rządzi. Nie, najlepiej będzie zniknąć, póki nie znajdzie sposobu, by dostać się do Mos Eisley. Tam znajdzie chirurga, który usunie bombę.

Pod stopami Ree-Yeesa pokład barki przebiegło drzenie. Zatoczył szypułkami oczu i zabeztał przerażony, gdy przypomniał sobie wizję ognia, którą ukazał mu mnich. Czyżby przecucie go myliło? Miał wrażenie, że słyszy basowy śmiech Jabby, złośliwy i drwiący.

Pojedynczy strzał zatrząsł pokładem barki. Ree-Yees spojrzął przed siebie i zobaczył płynącą w jego stronę ścianę ognia. Z dolnych pokładów wystrzelił w górę tłusty dym. Fala uderzeniowa wyrzuciła jego ciało w powietrze. Nierozpoznawalne kawałki metalu latały we wszystkie strony.

Ze wszystkich stron otaczało go piekło. Jego płuca wypełnił ból. Zanim przestał cokolwiek widzieć, poczuł zapach - słodki, znajomy zapach - i zobaczył na mgnienie oka srebrzyste łany, przez

które szła ku niemu na spotkanie oblubienica o trzech piersiach jak klejnoty.

A ZESPÓŁ GRAŁ DALEJ opowieść muzyków

John Gregory Betancourt

Jak zespół trafił na Tatooine

Evar Orbus odłożył pudło na mikrofon, wyprostował wszystkich osiem czulek i przeciągnął się, a potem wydmuchał pył z komór powietrznych, znajdujących się pod czwórką oczu osadzonych w jajowatej głowie.

W końcu, pomyślał, mam swoje pięć minut.

Odwrócił się powoli, napawając się widokami kosmoportu Mos Eisley. Mimo późnej godziny, panował tu ruch i gwar: ludzie, imperialni szturmowcy i istoty z setek innych światów przechodziły pomiędzy lądowiskami. Jedno ze słońc zachodziło już za zamglony horyzont, a w ślad za nim jego mniejszy towarzysz. Poczul, że wypełnia go fala podniecenia. Ta planeta przypominała jego rodzinny świat bardziej niż jakakolwiek inna, którą widział podczas swoich podróży. Pomyślał, że tutaj na pewno dobrze mu się będzie wiodło.

- Gdzie mam to postawić? - rozległ się szorstki głos. Evar odwrócił się. Kapitan Hoban z „Gwiezdnego Marzenia” - wątpliwej reputacji mężczyzna w połyskliwym, metalizowanym kombinezonie - opuścił rampę prowadzącą do ładowni. Jeden z jego poobijanych, starych robotów dźwigał wielkie pudło z napisem „Evar Orbus i jego Galaktyczne Wyjce Jizzu” wymalowanym na boku.

- Tutaj, proszę - powiedział Evar, wskazując jedną z macek strefę wyładunku na tyłach statku. - Mamy załatwiony transport.

Robot przesunął pudło, o mało go nie upuszczając.

- Ostrożnie! - wrzasnął Evar. Poczul, jak jego organy zmysłowe wzdrygnęły się na samą myśl, że ta wędrowna sarta złomu mogłaby jednym ruchem zniszczyć jego warsztat pracy. - Uważaj na te instrumenty! Jeśli je zniszczysz, będziesz musiał odkupić!

Tamten zapisał coś gniewnie.

- Wyluzuj, stary - powiedział spokojnie kapitan Hoban do swojego robota. Uśmiechnął się przepraszająco do Evara Orbusa. - Proszę się nie denerwować, szanowny panie. Zawsze tak wyładowujemy skrzynie.

Dziwne, że żadnej jeszcze nie rozbiliście, pomyślał Evar. Wolał jednak nie wdawać się w sprzeczkę. Po prostu obserwował robota uważnie trojgiem oczu, podczas gdy czwartym szukał transportu, który miał ich zabrać dalej.

Poczul, że rampa pod jego stopami zatrzęsała się pod ciężkim krokiem kogoś, kto wychodzi ze statku. Przeszedł na bok, by zrobić miejsce, okręcając jedno oko, by zobaczyć kto to.

Był to oczywiście Max Rebo, jego klawiszowiec z Ortolanu. Max wyjrzał ze statku najpierw w prawo, potem w lewo, delikatnie wężąc trąbę. Pewnie znowu jest głodny, pomyślał Evar.

- Czy to aby nie pikantne parwańskie nutriciastka tak pachną? - zapytał Max. - W pobliżu musi być chyba jakaś restauracja. Może wpadnę tam i zobaczę? Już dawno minęła pora obiadu.

- Zjemy, kiedy dotrzemy do kantyny - powiedział beznamiętnie Evar. Czasem wydawało mu się,

że Max myśli wyłącznie żołądkiem.

- Ale...

- Już mówiłem. - Skupił wszystkich czworo oczu na Maksie, który przełknął ślinę. - Jeśli chcesz się na coś przydać, to sprawdź, co zatrzymuje Sy i Snita.

- Jasne! - Max wyraźnie poweselał. - A potem idziemy jeść.

Evar skierował troje oczu na robota. Tak, pomyślał, sprawy wyraźnie idą ku lepszemu. U pasa miał sakiewkę pełną kredytów, w kieszeni sześciomiesięczny angaż i w końcu przyjemny klimat. Gdy tylko dotrą do kantyny, nic więcej nie będzie mu potrzeba do szczęścia.

Tylko dlaczego nie pojawia się ten transport? Zadzwoił do kantyny z osobistego komunikatora.

- Tak - odezwał się Bithi, cofając fałdy skórne nad ustami i odsłaniając zdumiewająco zgrabne wargi. Podłużną łysą głową kiwał w takt muzyki dochodzącej z niewiadomego źródła.

- Witam, szanowna istoto - powiedział Evar. - Czy zastałem Wookiego Chalmuna?

- Nie. Wyjechał w interesach.

- To zapewne wyjaśnia sprawę. W kosmoporcie miał na nas czekać transport...

- To nie biuro podróży. - Bithi sięgnął ręką do wyłącznika, by przerwać połączenie.

- Zaczekaj! - warknął Evar. - Jestem Evar Orbus!

- I co z tego?

- Z zespołu Galaktycznych Wyciów Jizzu Evara Orbusa. Może słyszał pan o nas?

- Muzycy? Nie. Czyżby w jego głosie dało się słyszeć odrażę? Evar był wzburzony, ale opanował gniew. Jeśli powie to, co myśli, Bith na pewno się rozłączy. Ograniczył się do nawymyślenia w duchu przodkom Bitha po kądzieli do pięciu pokoleń wstecz.

- Słuchaj, prostaku - warknął w końcu. - Powiedz szefowi, że przyjechał nowy zespół. Przyślij nam jakiś transport, ale już! Inaczej twój zakuty łeb podadzą mi na talerzu, jak już w końcu dotrę do kantyny.

- Nowy zespół? - Bith przerwał, wydymając fałdy wargowe, a potem zatrajkotał do kogoś poza polem widzenia Evara. Niewidoczny rozmówca odpowiedział równie niezrozumiałym trajkotem.

W końcu Bith przeniósł wzrok z powrotem na Evara.

- Które lądowisko?

- Siódme.

- Transport wkrótce tam będzie.

- Dziękuję - powiedział zadowolony Evar i się rozłączył.

Kolacja, kolacja, pyszna kolacja! - myślał Max, człapiąc korytarzem. Każdy krok brzmiał mu w uszach jak gong wzywający na posiłek; każdy zapach zachęcał do jedzenia. Wydawało mu się, że od ostatniego posiłku minęły całe tygodnie. Jeśli nie będzie uważał, wychudnie na wiór, jak Snit. Evar Orbus i tak by pewnie nic nie zauważył. Letakianin dbał tylko o pieniądze.

Teraz jednak kolacja zbliżała się wielkimi krokami. Kolacja, kolacja, pyszna kolacja! Wystarczy, że wyciągnie na zewnątrz Sy Snootles i Snita. Wiedział, że najdłużej pójdzie mu z Sy. Zawsze ubierała się godzinami. Zresztą wszystko robiła powoli. Nigdy nie ufaj komuś, kto mało je, mawiali jego dziadkowie, i mieli rację.

Zapukał do jej drzwi, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

- Tak? - odezwał się ze środka delikatny jak stroik głos.

- To ja - zawołał Max. - Evar mówi, żebyśmy się pospieszyli. Transport już czeka i czas na kolację. - Jeśli to jej nie wyciągnie, to nic tego nie dokona.

- Już idę.

- Pospiesz się! - zawołał i poszedł w górę korytarza. Kolacja, kolacja, pyszna kolacja! Niemal czuł na języku jej smak. Steki z bantha trawa kiwip i sok z gannesy. Ognisty gulasz, lawendowe owoce drzewa chlebowego i mięsz sukulentów. Pieczony Yarnak, imbirowy makaron i ciasto z białozarna. Spróbuje wszystkiego po trochu. Musi tylko znaleźć Snita i będzie po wszystkim.

Drzwi do kabiny Kitonaka były otwarte, więc Max wszedł do środka. W końcu po co tracić czas, gdy jedzenie czeka? Im szybciej stąd ruszą, tym szybciej zjedzą, pomyślał.

Snit siedział skulony w kącie, z ciastowatą głową ukrytą w ciastowatych dłoniach, wstrząsany łkaniem. Max nigdy wcześniej nie widział, by okazywał tak silne emocje.

Biedny dzikus, pomyślał Max. Evar naprawdę go zagłodził. Przez tych sześć miesięcy, które spędził w zespole, Snit jadł zaledwie sześć razy, o ile Max się orientował - za każdym razem po jednym olbrzymim ślimaku. Kiedy Evar kupił Snita na Ovrax IV, jego brzuch wisiał tak nisko, że zasłaniał mu nogi. To był radosny widok, pomyślał zazdrośnie Max, wyobrażając sobie wspaniałe jedzenie, które pomogło stworzyć tak korpulentne ciało. Od tego czasu jednak Snit schudł niemal o połowę swojej wagi. Ubrany tylko w jaskrawoczerwone szorty, wyglądał wyjątkowo szczupło jak na Kitonaka - w dalszym ciągu jak kawał niewyrobionego ciasta, ale bardzo szczupły kawał ciasta.

- Musisz stąd wyjść - powiedział do niego Max. - Czas na kolację - dodał radośnie. To powinno go podnieść na duchu, pomyślał.

Ku jego uldze Snit przestał łkać, podniósł się i stanął na trzech szerokich, okrągłych stopach. Małymi czarnymi oczkami spojrzał na Maksa spod ciężkich, ciastowatych brwi.

- Chodź - powiedział Max, biorąc Snita za rękę i wyprowadzając go na korytarz. Po drodze wpadną po Sy, pomyślał. Czy naprawdę nikt prócz niego nie był głodny? Czuł, że głód boleśnie ściska go w żołądku. Czas na kolację, kolację, na pyszną kolację!!!

Evar Orbus stał przy ośmiu skrzyniach sprzętu i wściekał się w milczeniu. Gdzie, do siedmiu piekieł, był ten transport? Nigdy nie ufaj Bithowi, pomyślał gniewnie. Już wcześniej miewał z nimi spięcia. Może i mają czulszy słuch, ale to jeszcze nie znaczy, że są lepsi od niego! O nie! Od jego telefonu minęło bite pół godziny. Koniecznie musi porozmawiać z Wookiem o tym barmanie.

Sy Snootles nie przestawała przestępować z jednej cienkiej nogi na drugą, wydymając gniewnie usta. Wpatrywała się w niego od dwudziestu minut, od kiedy zeszła z pokładu statku.

- No, co się tak gapisz? - zapytał w końcu Evar.

- Max popędzał mnie, żebym wyszła - powiedziała przenikliwym, cienkim głosem - mówiąc, że załatwiłeś transport, który już czeka, żeby nas zabrać na kolację. Mogłam przez cały ten czas odpoczywać w kabinie. Chyba wiesz, jaka jestem delikatna, Evar. To pustyne powietrze nie służy moim wargom. Ani tym bardziej gardłu. Nie wspominając o płucach.

Evar westchnął w duchu. Wiedział wszystko o jej wargach i płucach. Fakt, że ich nie oszczędzała. Gdyby nie to, że była jedną z najlepszych wokalistek, jakie kiedykolwiek znał, i gdyby jej kontrakt nie zawierał kilku paskudnych klauzul o karach za przedterminowe wypowiedzenie, wymieniłby ją w ciągu milisekundy na pierwszą lepszą piaskową pchłę.

Właśnie miał rzucić wyjątkowo kąśliwą uwagę na temat tychże ust i płuc, gdy nad głową usłyszał wycie aerobusu, który wylądował na wprost nich. W fotelu kierowcy siedział Bith - pewnie ten sam, z którym wcześniej rozmawiał.

- Przepraszam, że tak długo to trwało, szanowne istoty - zawołał Bith, wysiadając z pojazdu. Otworzył drzwi do przedziału pasażerskiego, z którego wysiadło jeszcze trzech Bithów. - Poprosiłem

paru kolegów, żeby nam pomogli. Macie jakieś bagaże?

Evar przytaknął, zadowolony z siebie. Widać, że ten Bith zna swoje miejsce.

- Nasz sprzęt jest tutaj - powiedział, wskazując dwiema mackami.

Max podskoczył radośnie w swoim fotelu w aerobusie, myśląc o zbliżającym się posiłku. Już dawno nie był tak głodny. Odwrócił się do siedzącego obok Bitha z zamiarem wypytania go o kuchnię w kantine, gdy nagle Bith wyciągnął spod płaszcza blaster.

- A to po co? - zapytał Max. Odwrócił się i zaczął:

- Evar, on ma... - ale nie skończył. Zorientował się, że nagle wszyscy pozostali Bithowie też wyciągnęli blastery. Coś było bardzo nie w porządku. Przełknął ślinę i poczuł, że uszy stają mu dęba ze strachu. O co chodzi? Niemal zapomniał o kolacji.

- Ręce do góry! - powiedział jeden z Bithów. - Ale już! Nie chcielibyśmy nabrudzić w aerobusie!

Max momentalnie wykonał polecenie. Z uczuciem ulgi zauważył, że podobnie postąpili Sy i Snit. Tylko Orbus się zawahał.

- Nie rozumiem - zaczął. - Mamy angaż!

- W kantine już jest jeden zespół - powiedział kierujący aerobusem Bith. - Nie potrzebujemy następnego.

- Ale my mamy angaż...

- My też - poinformował drugi Bith.

- Którego musimy się trzymać - dodał trzeci.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Orbus, kiwając głową.

- A ja nie - wtrącił się Max, mając nadzieję, że ktoś mu wytłumaczy.

- Siedź cicho, Max - rzuciła Sy Snootles. Max spojrzał na nią, zastanawiając się, jakim prawem mówi mu, co ma robić. W końcu to Orbus był szefem, nie ona.

- A więc - ciągnął Bith siedzący za kierownicą - chcemy was zabrać na przesłuchanie do kogoś innego. Kogoś bardzo znanego w rejonie Morza Wydm. Do niejakiego Sarlacca, mieszkającego w Wielkiej Jamie Carkoona.

Roześmieli się wszyscy, jakby to było coś zabawnego. Max patrzył to na jednego Bitha, to na drugiego. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że są w tarapatach. A przynajmniej że spóźnią się na kolację.

Najwyraźniej Orbus odniósł to samo wrażenie; opuścił jedną z macek. Z jej końca wystrzelił płomień, wycelowany w kierowcę i w tablicę instrumentów pokładowych. Ta macka musiała być fałszywa, uświadomił sobie Max. Nigdy by się nie domyślił, że ukrywa broń. Orbus miał tyle macek, kto by tam się ich doliczył i zauważył dodatkową?

Z żalosnym wizgiem aerobus zaczął spadać w dół. Kilku Bithów wrzasnęło w panice. Sy krzyknęła, a Snit jęknął. Evar wykrzykiwał rozkazy. Max zamknął oczy, zaciskając mocno powieki i starając się nie zwymiotować.

Z głośnym, przyprawiającym o ciarki zgrzytem aerobus uderzył o ziemię. Max poczuł, że wszechświat wokół niego wiruje jak oszalały. Otworzył jedno oko i zobaczył ziemię - nadal w ruchu - dokładnie nad swoją głową. Nie, nie, nie, pomyślał. To nie może się dziać.

Aerobus znowu w coś rąbnał, przeturlał się jeszcze dwa razy i znieruchomiał do góry dnem. Wszyscy pasażerowie leżeli stłoczeni na suficie. Max przełknął i spróbował wstać, ale nie od razu udało mu się utrzymać równowagę. Kabina nadal wydawała się kręcić, choć widział, że stoi nieruchomo.

Nagle ktoś otoczył jego ramię macką.

- Chodź, Max! - powiedział Evar odciągając go od innych ciał. Max z trudem skupił wzrok na szefie.

- Ale co...?

- Musimy się stąd wydostać, bo nas pozabijają! Max w jednej chwili stanął na baczność. Tak, muszą uciekać. Sy Snootles leżała na Śnicie. Podniósł niepewnie bezwładne ciało. Jej czułki opadły mu na ramię jak bezwładne węże. Na szczęście nadal oddychała.

Jeden z Bithów zdołał wstać i patrzył teraz na nich zdeorientowany.

- Wiecie, co zrobiliście? - krzyknął zrozpaczony. - To wypożyczony aerobus!

- To nie nasz problem - wyjaśnił Evar. Max zauważył, że w mackach trzymał teraz dwa miotacze Bithów. - Nie ruszaj się!

I wtedy strzał z miotacza oddany przez jednego z Bithów, leżących nadal na podłodze, trafił Evara w bok. Siła wystrzału spowodowała, że przeleciał przez cały aerobus. Jego ciało uderzyło o ścianę z mokrym plaśnięciem i osunęło się na podłogę, pozostawiając na ścianie zieloną, mokrą plamę. Powietrze wypełnił swąd przypalonego mięsa.

Max odwrócił się i zaczął biec, przynajmniej raz zapominając zupełnie o jedzeniu.

Sy Snootles otworzyła oczy i zobaczyła zamgloną powierzchnię z durabetonu. Uniosła głowę. Uświadomiła sobie, że jest w ramionach Maksa, który biegnie w dół długą, opustoszałą ulicą. Snit był tuż za nim. Spojrzała w górę na twarz Snita, pokrytą aksamitną, niebieską sierścią, i zobaczyła, że ma w oczach łzy. Coś poszło bardzo źle. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był widok Orbusa, który opuścił fałszywą mackę i zaczął strzelać. Co się stało potem?

Max zauważył, że się ocknęła, więc przystanął.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Chyba tak - odpowiedziała. - Postaw mnie na ziemi. Postawił i spojrzał na nią żałośnie.

- Co mamy teraz robić? - zapytał.

- A gdzie Orbus? - spytała.

- Nie żyje - odparł Max. - Zastrzelili go, a my uciekliśmy.

- Dobrze. To pierwsza mądra rzecz, którą ktokolwiek zrobił od momentu, gdy tu wylądowaliśmy.

- Podparła się w pasie rękami i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Max jest chyba w szoku, pomyślała. Snit wyglądał na równie zagubionego jak zawsze.

- Skoro Orbus nie żyje - zaczęła powoli - to jego umowy z nami tracą ważność. To jasne, nawet jeśli wziąć pod uwagę przepisy Intergalaktycznej Federacji Muzyków.

- Aha - powiedział Max.

- A to oznacza, że jesteśmy wolni. Snit, możesz teraz robić co tylko zechcesz. Nie należysz już do Orbusa. A ty, Max, możesz sam sobie kupować jedzenie. A ja mogę śpiewać, gdzie mi się spodoba.

Snit usiadł, opierając się o ścianę.

- Nie mów do mnie Snit - powiedział.

- Co? - wrzasnęła. Pierwszy raz usłyszała, by wypowiedział pełne zdanie. Zwykle tylko stał, dmąc we flety swoimi potężnymi płucami.

- Nie mów do mnie Snit - powtórzył.

- To jak mam cię nazywać? - zapytała.

Odpowiedział długą serią modulowanych gwizdów.

- Nie umiem tego powtórzyć - zmartwiła się. - A może wymyślę ci jakiś fajny pseudonim

artystyczny? Coś naprawdę specjalnego, z czego będziesz mógł być dumny?

- Dobrze - odpowiedział. Zaczęła się zastanawiać.

- Droopy - powiedziała w końcu. - Droopy McCool.

- Dobrze - zgodził się Snit.

- Macie jakieś pieniądze? - zapytała Sy, ale zanim zdążyli odpowiedzieć, zaczęła mówić dalej: -

Oczywiście, że nie, Orbus je trzymał. A więc potrzebujemy pieniędzy, a żeby je zdobyć, musimy pracować. Żeby zaś pracować, potrzebny jest sprzęt, a nasz sprzęt jest w tamtym aerobusie. A zatem, szanowne istoty, idziemy!

- Dokąd? - zapytał Max.

- Oczywiście do aerobusu. Chyba nie myślisz, że zostawimy tam cały nasz dobytek?

- Przecież nas zastrzelą! - jęknął Max.

- Nasz angaż stracił ważność - zauważyła. - I nie będziemy mieć nowego, jeśli nie odzyskamy

instrumentów. Którędy to?

Max wskazał drogę. Skinęła głową.

- No to chodźmy.

- Jawowie! - krzyknął Max. Spora grupka Jawów tłoczyła się wokół aerobusu, jakby był ich własnością. Kilku odwróciło się, gdy podeszli bliżej, zwracając w ich stronę żółte oczy, jarzące się pod burymi kapturami.

- Nasze! - krzyknął jeden z Jawów. Wyciągnął mały blaster i wykonał nim zamaszysty gest. -

Cofnąć się!

- Nasze! - odpowiedziała Sy Snootles. Ku zaskoczeniu Maksa przeszła obok Jawy i wskazała na

skrzynię. - Widzisz? Tu jest nasza nazwa.

Jawa opuścił blaster.

- Ty Evar Orbus?

- To on. - Wskazała na Maksa, który przełknął ślinę i przybrał możliwie władczy pozę. - Chcemy

nasze skrzynie. Wy możecie zatrzymać aerobus.

- Kupić skrzynie?

- Mamy kupować nasz własny sprzęt? Jeszcze czego!

- Znależne!

- Ile? - zapytała. Jawa zawahał się.

- Pięćdziesiąt kredytów!

- Pięć! - odpowiedziała. - I zaniesiecie skrzynie do hotelu. Rozczarowany Jawa uniósł ręce i

zapropozował nieco wyższą opłatę, na co Sy zaproponowała nieco niższą. Max patrzył coraz bardziej zadziwiony, jak targują się przez następnych parę minut, aż zgodzili się na dwadzieścia kredytów. Sy zapłaciła, wyjmując kredyty z sakiewki przytroczonej do spódnicy.

- To napiwki - wyjaśniła, widząc, że Max się jej przygląda. Pokręcił głową. Musiała widać podbierać ich napiwki, którymi mieli dzielić się porówn.

Jawowie tymczasem załadowali skrzynie na sanie towarowe.

- Chodźcie! - powiedziała Sy, wskazując na sanie. - Spadamy stąd, zanim wrócą ci Bithowie.

Jak zespół trafił do pałacu Jabby

Zatrzymali się w Mos Eisley Towers, co zdaniem Sy było idiotyczną nazwą, bo z wyjątkiem restauracji i recepcji cały kompleks mieścił się pod powierzchnią pustynnych piasków. Pokoje były jednak czyste i tanie, a kierownik umieścił ich skrzynie w bezpiecznym schowku (upewniła się, że tak będzie), zanim się rozgościli.

Siedząc na łóżku, patrzyła na Maksa i Snita (a raczej na Droopy'ego McCoola, poprawiła się w duchu), zastanawiając się, co dalej zrobić.

Mos Eisley było niczym innym jak brudną, zapadłą dziurą, jednym z najbardziej prowincjonalnych miejsc na jednej z najmniej gościnnych planet, jakie w życiu widziała. Pustynne powietrze spiekło jej usta i wysuszyło delikatne membrany w nosie i gardle; miną tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim zaadaptuje się do lokalnego środowiska. Nie, pomyślała, lepiej wynieść się stąd jak najszybciej. Ażeby móc to zrobić, potrzebuje pieniędzy. I w tym miejscu do gry wchodzili Droopy i Max.

- Potrzebujemy nowego angażu - powiedziała.

- Potrzebujemy kolacji! - upomniał się Max. - Może zamówię coś do pokoju.

- Ani mi się waż! - odparła Sy. - Za to jest dodatkowa opłata. Pójdziemy zjeść coś na mieście.

Gdzieś w okolicy musi być jakieś tanie jedzenie na wynos.

- Ale ja już jestem bardzo głodny! - zaprotestował Max. Sy westchnęła i wstała.

- No dobrze, chodźmy więc - powiedziała. Wiedziała, że jeśli będzie się ociągać, Max i tak zamówi jedzenie do pokoju, czy mu na to pozwoli, czy nie, a nie mieli pieniędzy na takie ekstrawagancje. Spojrzała na Droopy'ego. Przynajmniej on nie będzie jadł. Jedna ze skrzyń zawierała zakonserwowane olbrzymie, białe ślimaki, którymi się odżywiał - kilkuletni zapas, sądząc po częstotliwości, z jaką je zjadał.

Max podszedł do drzwi, które otworzyły się automatycznie. Sy wyszła za nim, Droopy na końcu. Może to nawet lepiej, że wyjdziemy, pomyślała Sy. Będzie mogła delikatnie rozeznaczyć się w możliwościach zatrudnienia. W miejscowości tych rozmiarów musiał być popyt na co najmniej jedną piosenkarkę jej formatu.

Ale w tak surowym miejscu będę potrzebować ochrony, pomyślała. Powoli w jej głowie zaczął formować się plan, tak sprytny, że aż się głośno roześmiała. Max obejrzał się na nią niecierpliwie. Droopy nawet nie uniósł głowy.

Tak, pomyślała. Pozwoli, żeby Max był szefem. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, wszystko skrupi się na nim, tak jak wcześniej na Evarze Orbusie. Sy zajmie się stroną finansową przedsięwzięcia. Nietrudno będzie przekonać Maksa do takiego układu. A z nim, jako tarczą co może pójść nie tak?

Wydostanie ich z Tatooine najszybciej jak się da, zatrudni jeszcze kilku muzyków i zanim się zorientują, będzie miała swój zespół. Na wyjście jizzowe w całej galaktyce był duży popyt. A biorąc pod uwagę jej głos, po prostu nie mogli nie odnieść sukcesu.

Max przeżuwał kebab z mięsa bantha, od czasu do czasu przytakując słowom wysokiego, ciemnoskórego mężczyzny o długich włosach i wąsach, który siedział naprzeciwko niego. Jak Sy mówiła, że się nazywał? Naroon Cuthas... łowca talentów dla jakiegoś bogacza z pustyni. Max ledwie zwracał uwagę na jego słowa; w końcu to Sy sprowadziła tego faceta, a on był zajęty jedzeniem. Niech ona go zabawia, póki Max nie skończy.

- Wyjce jizzowe... - powiedział Naroon Cuthas, gładząc długie wąsy. - Tak, myślę, że mógłbym wam coś załatwić, przynajmniej na krótkoterminową umowę.

- Dla kogo pracujesz? - zapytała Sy.

- Dla Hutta Jabby. Słyszeliście o nim?

- Nie - powiedział Max. Jeśli tak smakuje lokalna kuchnia, to nigdy się stąd nie ruszy, pomyślał. Skończył jeść, sprawdził, czy na obrusie nie ma okruszków, nie znalazł żadnych i machnął na kelnera, by przyniósł mu jeszcze dwa kebaby.

- Ma pałac - ciągnął Cuthas. - Wpadłem do miasta po prowiant, więc z przyjemnością was podrzucę. Mogę wam załatwić przesłuchanie dziś wieczorem, a jeśli mu się spodobacie, możecie posłać po swoje rzeczy i zamieszkać w pałacu.

Mięso banthy, uznał Max, upieczono idealnie: było soczyste, miękkie, w idealnych odcieniach różu, szarości i żółci. Nawet tłuszcz miał smakowity, ostry posmak, pomyślał, zlizując resztki z każdego palca po kolei. Pycha. Nigdy nie jadł nic równie smacznego.

Cuthas wyraźnie czekał na odpowiedź Maksa. Czyżby coś przegapił? Sy szturchnęła go w żebro.

- To dobra praca - szepnęła mu do ucha. - Powinniśmy ją przyjąć.

- Dobrze - powiedział.

- Od kiedy możecie zacząć? - zapytał Cuthas.

- Po kolacji? - zasugerował Max. Zjadł kawałek mięsa, potem kolejny, potem jeszcze jeden. - Pyszne jedzenie - poinformował.

- W takim razie spotkamy się w waszym hotelu - powiedział mężczyzna.

- Świetnie - odparł Max. Kelner postawił przed nim kolejny talerz. - Może mi pan podać diosyjski sos?

- Tędy - powiedział Naroon Cuthas, wskazując szeroki korytarz prowadzący z lądowiska grawipojazdów. Zaparkowali pomiędzy wielką barką żaglową a kilkoma tuzinami śmigaczy różnych marek.

Ruszając do przodu, Sy Snootles rozglądała się oszołomiona. Ich jazda do olbrzymiej cytadeli na skraju Morza Wydm była tak długa i monotonna, że spodziewała się, iż pałac Jabby okaże się jakąś małą, zapyziałą osadą z kilku namiotów. Tymczasem trafiła do olbrzymiego kompleksu, w którym było rojno i gwarno jak w imperialnym centrum handlowym. Zauważyła Gamorrean, Jawów, Twi'leków, ludzi, niezliczone roboty, a nawet Whiphida. Od razu się zorientowała, że mieszka tu ktoś niesłychanie bogaty i wpływowy. Taka liczba istot oznaczała, że wiele się tu działo.

Obejrzała się, by sprawdzić, czy Max i Droopy nie zostali gdzieś z tyłu - szli tuż za nią - a potem pospieszyła za Cuthasem.

Po obu stronach korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do spiżarni, biur i różnego rodzaju pomieszczeń. Zmarszczyła nos, bo z głębi korytarza dochodził smród, głównie rozlanego alkoholu i innych substancji odurzających, spoconych pod pancerzami ciał i innych, jeszcze mniej przyjemnych rzeczy.

Parę razy skręcali - za każdym rogiem smród był coraz silniejszy - aż nagle znaleźli się w

ogromnej sali, w której stało niskie podium. Olbrzymie, łyse, przypominające ślimaka stworzenie, które na nim siedziało, musi być Huttem Jabba, pomyślała. Wokół Jabby tłoczyli się strażnicy i totumfaccy, tancerki i lowcy nagród, ludzie, Jawowie, Weequayowie, a nawet Arconianin.

- To jest sala audiencyjna Jabby - wyjaśnił Cuthas, zataczając ręką szerokie koło. Przeprowadził ich przez tłum do niewielkiej galeryjki dla muzyków naprzeciw platformy Jabby. - Wasz sprzęt za chwilę tu będzie. Kiedy Jabba zechce, żebyście zagrali, da wam znak ręką. Grajcie wtedy, jakby od tego miało zależeć wasze życie... bo zależy, jak sądzę.

Sy przełknęła ślinę. Nie tego się spodziewała. Odwróciła się do Maksa, żeby mu powiedzieć, że wracają, ale Max już brał kilka przystawek z tacy małego robota R4.

- Uważajcie na to, co mówicie do Jabby - doradził im cicho Cuthas. - Jeśli mu się spodobacie, macie ten angaż. Jeśli nie, możecie pożałować, że w ogóle tu przyszliście. Gorąco was zachęcam, żebyście mu się spodobali.

- Jasne - powiedział Max. - Czy jest tu coś jeszcze do jedzenia?

- Częstuj się wszystkim, co roznoszą te roboty. O, jest już wasz sprzęt.

Kilka robotów właśnie zaczęło wnosić ich skrzynie. Stawiały je na podłodze jedną po drugiej. Sy podeszła do nich, by nadzorować rozładunek. Nigdy nie wiadomo, co mogą zrobić roboty ze skrzynią pełną marynowanych ślimaków... i nie wiadomo, czy Jabba nie uważa ślimaków za swoich dalekich kuzynów. Lepiej nie ryzykować.

Max nie przestawał się napychać, czekając, aż roboty poustawiają instrumenty. Każdy kolejny przechodzący robot niósł na tacy nowe dania, jedno smaczniejsze od drugiego. Do czasu, gdy instrumenty zostały podłączone do prądu, miał już pełny brzuch, puchar grzanego piwa i zapas smakołyków ukryty za organami na całą noc. Sącząc piwo, sprawdził ampy i preampy, skontrolował rezonatory tonowe i wypróbował całą skalę dźwięków, od najkrótszego zakresu fal po najwyższe wyobrażalne naddźwięki.

Olbrzymi Hurt poruszył się na tronie. Max zobaczył, że wielkie, rudawe oczy przypatrują mu się podejrzliwie; po chwili Jabba warknął krótki rozkaz.

- Mój pan prosi, byście zaczęli grać - przetłumaczył srebrzysty robot protokolarny.

- Dobra, zaczynamy - powiedział Max do Sy i Droopy'ego. Czuł się naprawdę dobrze. Tak dobrze, że nie przeszkadzało mu nawet, że to Sy - a nie on - zapowiedziała pierwszą piosenkę: „Lapti Nek”.

Zaczął grać wprowadzające takty i przeszedł do właściwej melodii; Sy włączyła się w odpowiednim momencie, tuż za nią Droopy, a po chwili zespół grał, jakby na świecie nie było nic poza muzyką. Melodia piszczałek kreśliła skomplikowane łuki, organy brzmiały słodko, a Sy śpiewała, jakby grali dla samego Imperatora. Czuł w uszach dudniącą wibrację wysokich nut i subtelny, wyrafinowany akompaniament rezonujący w środkowym uchu mieszczącym się w trąbie. Grają pięknie, pomyślał Max, najlepiej w ich wspólnej historii. Muzyka była niemal tak dobra jak kolacja, którą jedli wcześniej; rozbrzmiewała raz po raz w riffach i improwizowanych frazach przez tuziny wariacji głównego tematu.

Kiedy dotarli do końca, przez chwilę panowała absolutna cisza. Max rozejrzał się dookoła. Czyżby im się nie spodobało? Dlaczego nikt nie klaszcze?

Wyglądało na to, że wszyscy czekają na reakcję Jabby. Max również spojrzał na przypominającego ślimaka Hutta. Sy ukloniła się nisko, po niej Droopy, a w końcu i Max przypomniał sobie, by zrobić to samo.

Nagle olbrzymim ciałem Jabby wstrząsnął śmiech. Wielki i gruby ogon Jabby unosił się i opadał, unosił i opadał, uderzając o platformę z głośnym dudnieniem.

- Mój pan jest zadowolony - przetłumaczył robot. Max rozpromienił się.

- A zatem podpisze z nami umowę? Jabba warknął coś w odpowiedzi.

- Jego Olbrzymia Eminencja ma przyjemność zaoferować wam dożywotni kontrakt - przetłumaczył robot. - Ponieważ jesteś Ortolaninem i znasz wartość jedzenia, mój pan chce płacić ci w tej właśnie walucie; w zamian za dożywotni kontrakt ty i twój zespół możecie jeść, ile tylko zechcecie.

- Umowa stoi! - zawołał Max. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie słyszał o tak korzystnym, tak wielkodusznym układzie. Spojrzał na Sy i ze zdumieniem zauważył, że jest na niego wściekła.

Jabba odezwał się ponownie, a robot przetłumaczył:

- Grajcie dalej. Kiedy Jabba się odwrócił, tłum ruszył w jego stronę - każdy z dworaków domagał się uwagi swojego pana. Max zagrał wstęp do starej piosenki kosmicznych podróżników, którą Evar Orbus rozpiął na zespół wyjców jizzowych. Olbrzymi ogon Jabby podrygiwał od czasu do czasu niemal w takt muzyki, ale poza tym, jak zauważył Max, Hutt zdawał się nie zwracać uwagi na ich grę.

Ale to nic, pomyślał. Pierś rozpieęła mu radość. Zawarł kontrakt, z którego każdy Ortolanin byłby dumny. Tyle jedzenia, ile zdoła zjeść przez całe życie - nie do wiary! Nikt nie uwierzy, że tak mu się powiodło, kiedy wróci do domu.

Po czwartym występie Sy Snootles zdołała odciągnąć Naroona Cuthasa na bok. Nie mogła uwierzyć, że Max przyjął takie warunki. Gra za jedzenie - co to za umowa? Jakim cudem zdołają teraz zarobić dość, by wynieść się z tej strasznej planety?

- Jeśli chodzi o nasz angaż... - zaczęła.

- No właśnie, poszło lepiej, niż myślałem - powiedział Cuthas z uśmiechem. - Widocznie Jabbie naprawdę przypadła do gustu wasza muzyka.

- Nie o to mi chodzi. Warunki są po prostu nie do przyjęcia.

- Ale przecież wszystko zostało uzgodnione - zdziwił się Cuthas. - Powiedziałaś, że to Max jest szefem zespołu, a on zgodził się na warunki Jabby. A teraz przychodzisz i mówisz, że sanie do przyjęcia? Jeśli ci się nie podobają, to chyba powinnaś pogadać z Makssem Rebo.

- Ale... ale Max to tylko przykrywka! To ja jestem prawdziwym szefem!

- Jabba nie lubi, kiedy ludzie wycofują się z umowy.

- Ale możemy ją chyba renegocjować? Cuthas pochylił się, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

- Poprzedni zespół próbował renegocjować swój kontrakt. Jabba wrzucił ich do pieczary rankora.

- Do pieczary rankora?

- W podłodze przed tronem jest zapadnia. Jabba trzyma pod nią olbrzymiego, żarłocznego rankora... szybko rozprawił się z poprzednim zespołem. Parę razy kłapnął zębami i było po nich. A widzisz tego faceta tam? - wskazał na słabo oświetloną wnękę, gdzie na ścianie wisiał krzyczący mężczyzna zatopiony w karbonicie.

- Widzę - powiedziała Sy.

- To przemytnik, który nie dotrzymał warunków umowy z Jabką. Jabba trzyma go tam jako przestrożę dla innych pracowników.

Sy przełknęła ślinę.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli - oświadczyła. Spojrzała wściekle na Maksa, ale nawet jej nie zauważył. Widać było, że do szczęścia wystarczy mu talerz kotletów z mięsa bantha, które właśnie postawił przed nim robot.

Sy Snootles rozejrzała się po swojej kwaterze z mieszaniną odrazy i niesmaku. Jak mogli oczekiwać, że będzie mieszkać w takiej norze? Pościel była poplamiona, ściany brudne, a podłoga cała w lepkich, ciemnych plamach.

Odwróciła się, by zaprotestować, ale Cuthas poszedł już odprowadzić Maksa i Droopy'ego. Wyszła na korytarz, już ich jednak nie było.

W pobliżu stał wyprężony na baczność robot, więc Sy podeszła do niego i powiedziała:

- Ty tam, jak się nazywasz?

- M3D2.

- W moim pokoju trzeba posprzątać.

- Personel sprzątający znajduje się na poziomie trzecim, w pokoju 212.

- Dziękuję. Wezwij ich tutaj.

- To nie należy do moich obowiązków.

- A co należy do twoich obowiązków?

- Czy ty jesteś piosenkarką Sy Snootles? Sy zamilkła. Po co robot miałby ją pytać o coś takiego?

- Tak - odpowiedziała ostrożnie.

- Mam dla ciebie wiadomość. Muszę ją przekazać poufnie.

- W takim razie chodźmy tutaj. - Cofnęła się, wpuszczając robota do swojego pokoju. Kto miałby jej tu przesyłać poufną wiadomość? Czyżby znała kogoś na tej okrop planecie? I co takiego mógł jej powiedzieć robot, co wymagało zachowania poufnej wiadomości?

- Mam wiadomość od lady Valarian - zaczął robot. - Jabba od dawna jest jej rywalem, a lady Valarian potrzebuje dodatkowych szpiegów w jego pałacu...

Max nie musiał nawet rozglądać się specjalnie po pokoju, by stwierdzić, że mu odpowiada. W końcu prosił o kwaterę w pobliżu kuchni. Wyczuwał czułkami, że kuchnia jest zaledwie o parę drzwi dalej. Poczul pierwsze słabe oznaki głodu, więc chciał jak najszybciej znaleźć jakąś przekąskę, zanim pójdzie spać.

- Chodź - powiedział Cuthas do Droopy'ego i wyprowadził Kitonaka.

Max radośnie pokiwał głową. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, dzień należał do udanych. Miał nową pracę, dożywotni kontrakt i tyle jedzenia, ile zdoła zjeść. Życie wyglądało wspaniale.

Zamknąwszy za sobą drzwi do pokoju, ruszył w stronę kuchni, kierując się swoim nieomylnym nosem. Musi pochwalić kucharza za przystawki, zanim poprosi go o coś do przegryzienia. Nie umiał nawet wyobrazić sobie, jakie desery mogły na niego czekać każdego dnia, jeśli tylko zdoła zaprzyjaźnić się z szefem kuchni.

- Hej, ty! - powiedział ktoś szorstkim głosem. - Jesteś Kitonakiem, tak? Droopy McCool powoli uniósł głowę i spojrzał na gamorreńskiego strażnika, który stał w otwartych drzwiach jego pokoju. Strażnik przyglądał mu się ciekawie.

- Tak - powiedział w końcu Droopy.

- Tak myślałem - powiedział strażnik, nie przestając mu się przyglądać.

- Dlaczego? - zapytał w końcu Droopy.

- Widziałem kiedyś Kitonaków głęboko na pustyni - odparł Gamorreanin.

- Tak? - zdziwił się Droopy. Kiedy następnym razem uniósł wzrok, strażnika już nie było. Mimo wszystko to krótkie spotkanie wystarczyło, by pobudzić jego powolny umysł do refleksji. Inni Kitonakowie głęboko na pustyni... ciekawe.

Sy Snootles przyglądała się niewielkiej fortunie spoczywającej na jej łóżku, zastanawiając się, co robić. Początkowo zamierzała poinformować jednego z poruczników Jabby o ofercie lady Valarian na wypadek, gdyby to miała być jakaś próba. Od tego czasu jednak nie miała ani chwili dla siebie. Kolejne osoby pukały do jej drzwi i proponowały, by została ich szpiegiem. Teraz miała szesnaście różnych zleceń od szesnastu różnych osób. Każda zostawiła „wstępną rekompensatę” za jej usługi, od kilkudziesięciu do stu pięćdziesięciu kredytów. Wszystkich szesnaście sakiewek leżało teraz w równym rzędzie na jej łóżku.

Oczywiście zgodziła się szpiegować dla każdego po kolei.

Wyglądało na to, że praca u Hutta Jabby mogła okazać się lepiej płatna, niż podejrzewała... choć nie śpiewaniem miała na siebie zarabiać. W tym tempie zdobędzie dość kredytów, by wyrwać się z Tatooine w ciągu zaledwie kilku tygodni. Siedziała na niskim krześle, nie widząc brudu na ścianach, nie widząc lepkich plam na podłodze, nie widząc brudnej pościeli i czekając na kolejnego gościa. Pukanie rozległo się kilka sekund później.

- Proszę! - zawołała.

Do pokoju wśliznął się humanoid - Twi'lek, z lekku owiniętym wokół szyi. Sy widziała go w sali tronowej Jabby, jak sobie przypominała. Stał obok Jabby i szeptał mu coś do ucha. Przełknęła ślinę. To bez wątpienia najbardziej wpływowy z jej dotychczasowych gości.

Spojrzał na łóżko, na równy rząd sakiewek, a potem na nią uśmiechnął się. Nie był to przyjemny uśmiech, pomyślała Sy, wzdrygając się wewnątrz.

- Widzę, że byłaś dziś wieczorem bardzo zajęta - powiedział. - Jak dotąd szesnastu gości. Myślę, że możesz się spodziewać jeszcze dwóch czy trzech i kilku następnych w przyszłym tygodniu.

- Zamierzałam powiedzieć o tym Jabbie jutro rano... - zaczęła Sy.

- Nie ma takiej potrzeby, moja droga. - Przysunął się bliżej. - Jestem Bib Fortuna, a jednym z moich zadań jest dbanie o bezpieczeństwo Jabby. Chcę, żebyś przyjmowała zlecenia od wszystkich osób, które się do ciebie zgłoszą. Informuj mnie, w miarę jak będą się z tobą kontaktować, a ja powiem ci, co masz im mówić. - Wyjął zza pasa małą sakiewkę i wręczył ją Sy. - Jabba płaci dużo lepiej niż wszyscy ci drugorzędni dorobkiewicz... jak się wkrótce przekonasz.

- Dziękuję - powiedziała Sy, nie mogąc uwierzyć, że los aż tak jej sprzyja.

- Nie myśl o tym, moja droga - powiedział Bib Fortuna. Rozejrzał się po pokoju, pociągnął nosem i wychodząc dodał: - Personel sprzątający mieści się na poziomie trzecim, w pokoju 212. Proponuję, żebyś kazała im zrobić dezynsekcję, zanim położysz się spać.

Jak tercet stał się duetem

Sala tronowa Jabby to naprawdę szałowe miejsce, pomyślał Max. Przez tych kilka miesięcy, od kiedy tu grali, naprawdę nie mogło być lepiej. Rankor był regularnie karmiony, co zawsze wprawiało Jabbę w dobry humor, Sy wydawała się w szczytowej formie i śpiewała jak nigdy dotąd, kręcąc brzuchem, roboty zaś podały mu właśnie dwa małe largesseńskie ciasteczka, przysłane specjalnie dla niego przez szefa kuchni, Porcellusa.

- Uuuu-che-naa! - śpiewała Sy. - Zjeeem moje młodeeee!

Max zwiększył dopływ mocy do ampów i odegrał szybką solówkę. Nie ma nic lepszego dla podtrzymania apetytu niż szałowa palcówka, pomyślał zadowolony z siebie.

Gdzieś w pobliżu rozległ się huk wystrzału z blastera, więc Max stopniowo wyciszył muzykę. O co chodzi? Jabba nie lubił, kiedy ktoś wdawał się w strzelaninę w jego pałacu. Rankor będzie miał dziś ucztę, pomyślał Max.

Niechlujny łowca nagród wszedł do sali, prowadząc za sobą Wookiego.

- Przyszedłem po nagrodę za tego Wookiego - powiedział. Jabba zaśmiał się, aż zatrzęsło się całe jego ciało.

- W końcu mamy mocarnego Chewbaccę - zauważył, a nowy złocisty robot natychmiast przetłumaczył jego słowa. - Witaj, łowco. Z radością wypłacę ci dwadzieścia pięć tysięcy nagrody.

- Pięćdziesiąt tysięcy! - zaterkotał łowca. - I ani kredyta mniej. Rozzłoszczony Jabba uderzył swojego robota i warknął:

- A niby dlaczego miałbym ci zapłacić pięćdziesiąt tysięcy?

- Bo trzymam w ręku detonator termiczny - wyjaśnił łowca nagród, wyjmując z kieszeni srebrną kulę. Wcisnął kciukiem przycisk w jej górnej części, aktywując detonator.

Jeśli zdejmie palec z przycisku, kula eksploduje, pomyślał Max, niszcząc całą salę tronową i każdego, kto się w niej znajduje. Ukrył twarz w dłoniach. To wystarczyłoby minął mu apetyt na kolację.

- Ten łowca to facet w moim typie, nieustraszony i pomysłowy - ogłosił Jabba, gdy już przestał się śmiać. - Proponuję trzydzieści pięć tysięcy - powiedział przez robota.

- Zgoda - odparł łowca.

- Zgodził się! - wykrzyknął robot.

Kiedy gamorreński strażnik przepchnął się do przodu i zabrał Wookiego, Sy powiedziała:

- Gramy!

Max zagrał pierwsze dwa takty wprowadzenia, które przeszły w *Galaktyczny Taniec Miotaczy*. Piosenka była rytmiczna i łatwa do zagrania, więc Max wiedział, że nie popełni błędu, mimo drżenia rąk. Detonator termiczny! Dobrze, że nie eksplodował. Zjem dziś trochę więcej na kolację, pomyślał, żeby uspokoić nerwy.

Jabba kazał im grać jeszcze przez parę godzin. Coś się chyba szykowało - coś poważnego - ale

Sy była zbyt zajęta śpiewaniem, by się zorientować, o co chodzi, choć starała się mieć oczy i uszy otwarte.

Kiedy w końcu Max zamknął organy, Sy zeszła z podium i ruszyła w stronę swojego pokoju. Bib Fortuna złapał ją za ramię.

- Nie - powiedział do zespołu. - To jeszcze nie koniec na dziś.

- Jak to? - zapytała zdziwiona Sy. - Przecież to pora kolacji.

- Jabba planuje przyjęcie dziś w nocy.

- Ale co z kolacją? - zapytał Max. - Mam ją w umowie!

- Jeśli chcesz, to idź po nią do kuchni, ale przynieś sobie tutaj. Dziś w nocy będziecie spać w sali tronowej. To rozkaz Jabby.

Sy przełknęła ślinę.

- Oczywiście - powiedziała. - Jeśli Jabba sobie tego życzy... Max odwrócił się do Droopy'ego.

- Chodź, idziemy na kolację. Weźmiemy sobie coś na wynos.

- Na wynos! - powtórzył jak echo Kitonak.

- Przynieś też coś dla mnie - powiedziała Sy. - I tym razem nie zjedz wszystkiego po drodze, Max!

Późno w nocy Max leżał za zasłoną oddzielającą salę tronową od niszy, w której wisiał przemytnik zatopiony w karbonicie, i nasłuchiwał uważnie. Najpierw usłyszał stuk metalu, a potem ciche kroki kogoś, kto niezbyt umiejętnie zakradł się do sali. Po chwili rozległ się stłumiony huk. Max zobaczył, że spięty Jabba pochyła się ku dziurce w zasłonie, przez którą mógł zobaczyć, co dzieje się we wnętrzu.

Jabba zaczął się śmiać. Najbliżsi dworacy też się roześmiali. Kiedy zasłona się rozsunęła, śmiali się już wszyscy, więc Max uznał, że i on powinien dołączyć. Przynajmniej teraz zobaczy, co ich tak rozbawiło.

Ten łowca nagród, który wcześniej groził Jabbie detonatorem termicznym, uwolnił z karbonitu przemytnika! A pod maską łowcy ukazała się twarz pięknej kobiety. Skądś znam tę twarz, pomyślał Max. Czy to nie księżniczka Leia Organa z Alderaanu? Ale przecież Alderaan został zniszczony dobrych kilka lat temu. Czyżby członkowie królewskiego rodu ocaleli?

Jabba przemówił:

- No, w końcu cię dopadłem, Solo. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

- Hej, Jabba, słuchaj, Jabba, właśnie leciałem, żeby ci oddać dług - powiedział przemytnik, mrugając i trąc oczy. - Trochę, trochę zboczyłem z kursu. To nie moja wina...

- Za późno, Solo - powiedział Jabba. - Kiedyś byłeś może dobrym przemytnikiem, ale teraz nadajesz się tylko na paszę dla banthów.

Wszyscy dookoła się roześmiali, więc i Max zarechotał. Lepiej się nie wychylać, pomyślał. Zresztą żarty o jedzeniu zawsze były śmieszne.

- Posłuchaj...

- Zabrać go!

- Jabba, zapłacę ci potrójnie! Odrzucasz fortunę! Nie bądź głupcem! Strażnicy chwycili przemytnika za ramiona i wyprowadzili z sali.

- A teraz - powiedział Jabba - przyprowadźcie ją do mnie. - Mówiąc, ją", miał na myśli księżniczkę Leię.

Dwaj gamorrekańscy strażnicy chwycili Leię za ręce i doprowadzili do tronu.

- Mamy potężnych przyjaciół - oznajmiła, gdy strażnicy podsadzili ją w górę na platformę tronową. - Pożałujesz tego.

- Na pewno - powiedział Jabba, podsuwając do niej usta i wystawiając język. Max zaczął się zastanawiać, czy nie ma zamiaru jej zjeść.

- Grajcie! - polecił im Jabba.

Max upuścił kubek i pędem zajął miejsce przy organach.

Kiedy zespół zaczął grać *Odę ku czci radioaktywnych ruin*, dwie tancerki zdarły z Lei strój łowcy nagród i ubrały ją w skąpe, złote fatałaszki. Pod bitewną zbroją była koścista i wychudła, uznał Max, zdecydowanie niedożywiona. Musi się postarać przemycić dla niej o jeden, dwa posiłki więcej, żeby nabrała trochę ciała.

Zabawa trwała niemal do rana. Kiedy wreszcie się skończyła, wszyscy położyli się tam, gdzie stali, i zasnęli.

Max miał jeszcze kilka kawałków placka jagodowego schowanych za organami. Wyjął teraz jeden i zaniósł na platformę Jabby. Położył placek obok księżniczki Lei, która spojrzała na niego z nieszczęśliwą miną.

- To na wypadek, gdyby pani zgłodniała - powiedział cicho.

- Dzięki - szepnęła. Uśmiechnął się, uklonił grzecznie na pożegnanie i poszedł do swojego pokoju.

Gdy Max się dowiedział, że Jabba zaplanował wycieczkę na Morze Wydm, kazał robotom przenieść instrumenty na barkę żaglową i ustawić je na dolnym pokładzie. Dzień był piękny, bezchmurny, drzwi pootwierane, by wpuścić ciepłą bryzę. Będą mieć doskonały widok na wszystko i wszystkich dookoła. Nic tak nie poprawia apetytu jak mała przejażdżka, pomyślał Max.

Jak zwykle, Sy pojawiła się w ostatniej chwili. Przynajmniej była ubrana i gotowa do pracy, więc tak naprawdę nie miało to znaczenia. Max nastroił organy, podczas gdy Sy rozgrzewała głos, i po chwili mogli zaczynać. Na razie jednak nie mieli nic do roboty; pozostawało im czekać, aż tłum gości wejdzie na pokład.

Roboty roznoszące wielkie tace zjedzeniem i napojami zajęły już pozycje dookoła pokładu, Max zdążył więc poczęstować się garścią orzeszków chooca z tacy przechodzącego obok robota R4. Od innego robota - małej jednostki R2 - wziął puchar chagariańskiego piwa, który postawił pod organami, by mieć później co popijać.

Koło południa pokład zaczęli wypełniać goście. Wszyscy rozmawiali o Mistrzu Jedi - nazywał się Luke jakiś tam - którego Jabba pojmał dzisiejszego ranka. Wyglądało na to, że ten Jedi i jego przyjaciele mieli być rzućni na pożarcie jakiegoś potworowi na pustyni.

Max włączył organy i zagrał krótki instrumentalny utwór pod tytułem *Oda do mistrzowskiego kucharza*, który sam napisał, wyjątkowo udany. Czuł, że jest dziś w szczytowej formie. Życie w pałacu Jabby było wspaniałe.

W końcu na pokład wpłynął sam Jabba na swojej platformie. Max zorientował się, że była wyposażona w obwody repulsorów. Po raz pierwszy widział, że Jabba opuścił salę tronową.

Księżniczka nadal siedziała u jego boku.

Kiedy Jabba zajął miejsce w kabinie widokowej, Max dał znak Sy, by zapowiedziała pierwszą piosenkę. Barka zawróciła i skierowała się w stronę Morza Wydm, a zabawa zaczęła się na dobre.

Po godzinie lotu barka się zatrzymała. Wszyscy zamilkli, więc Max przerwał utwór w połowie.

Okiennice się otworzyły, a platforma Jabby podpłynęła w stronę okna.

- Ofiary wszechmocnego Sarlacc! Jego Ekscelencja ma nadzieję, że umrzecie z godnością - ogłosił złocisty robot protokolarny przez system nagłaśniający barki. - Gdybyście jednak chcieli błagać go o łaskę, wielki Hutt Jabba wysłucha teraz waszych próśb.

Max wyteżył wzrok, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz, ale przy oknach tłoczyło się zbyt wiele osób, by mógł coś dostrzec. Z rozmów dookoła zorientował się jednak mniej więcej, co się dzieje. Wyglądało na to, że więźniowie nie zamierzali błagać o łaskę, a wręcz przeciwnie - obrzucili Jabbę stekiem wyzwisk.

Jabba tylko się roześmiał. W końcu, pomyślał Max, błagania więźniów i tak na nic by się zdały. Wiedział z doświadczenia, że Jabba nieczęsto poddawał się błaganiom i prośbom. Lubił patrzeć, jak ktoś umiera, i nigdy nie okazywał łaski.

- Ustawcie go na pozycji - powiedział Jabba. Max podskoczył, starając się coś zobaczyć, jednak zupełnie bez powodzenia.

- Wtrąć go do jamy! - rozkazał Jabba.

Przy oknach rozległy się szepty i pomruki i nagle wszyscy podnieśli krzyk, zaskoczeni i wystraszeni. Max usłyszał wystrzał z Mastera i stłumione brzęczenie, niepodobne do żadnego odgłosu, jaki w życiu słyszał - jakiś niemal elektryczny dźwięk, który narastał i cichł w takt wystrzałów z miotaczy.

Jabba ryknął, rozwścieczony. Okiennice się zamknęły, a większość gamorrekańskich strażników pobiegła na górny pokład. Coś wyraźnie poszło nie tak, pomyślał Max. Spojrzał na Sy.

- Co mamy robić? - zapytał.

- Nic - odpowiedziała. - To nie nasz problem. My tu tylko gramy.

- Ale...

- Chcesz podpaść Jabbie? - zapytała.

Max rozejrzał się i w końcu zobaczył Jabbę po przeciwnej stronie kabiny widokowej.

- Nie, nie, nie! - krzyczał Jabba, wymachując wątlymi rękami. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Teraz do akcji wkroczyła księżniczka Leia. Łańcuchem roztrzaskała instrumenty sterujące klimatyzacją i oświetleniem barki. Światła zgasły; kabina pasażerska momentalnie pogrążyła się w niemal kompletnej ciemności. Max zamrugał, czekając, aż wzrok przystosuje mu się do panującego półmroku. Po chwili zobaczył, że księżniczka Leia owinęła łańcuch wokół szyi Jabby i ciągnie za niego z całej siły, zapierając się nogami o potężne plecy Hutta.

Rozejrzał się dookoła. Nie powinna tego robić. Gdzie się podziali strażnicy? Podszedł o krok bliżej w stronę Jabby, zastanawiając się, czy powinien spróbować mu jakoś pomóc, ale Sy zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Ona go morduje! - jęknął.

- Zostaw ją - powiedziała miękko Sy. - Mamy kontrakt z Jabką. Jeśli umrze, będziemy wolni.

- Ależ to morderstwo!

- Tak czy owak czeka go zguba - przypomniała. - Zbyt wielu ludzi chce się go pozbyć.

Max poczuł wewnętrzne rozdarcie. Jego pierwszy szef. Jego pierwszy kontrakt. Tyle jedzenia, ile zdoła zjeść przez całe życie. Jakim cudem Jabba tak pokpił sprawę własnego bezpieczeństwa?

Nagle ciało Jabby pochyliło się do przodu; Hutt miał wysunięty język i martwe, szkliste oczy. Nie żył. I to by było na tyle, jeśli chodzi o trudne decyzje, pomyślał Max. Zbyt długo zwlekał.

Może jednak uda mu się załatwić angaż u księżniczki Leii. W końcu to nie byle kto, tylko prawdziwa księżniczka. Nawet jeśli nie jada za dobrze, na pewno będzie dobrze płacić - a on miał

przecież skromne potrzeby. Raptem sześć, no, siedem posiłków dziennie i parę przekąsek pomiędzy nimi zupełnie wystarczy mu do szczęścia.

- Księżniczko! - krzyknął. - Czy możemy pani jakoś pomóc? Trzymała łańcuch przed sobą, czekając na jednego z robotów - tego małego R2 który wcześniej serwował drinki. Robot bez trudu przeciął łańcuch.

- Zabierajmy się stąd - powiedziała.

- Całkiem niezły pomysł - szepnęła mu do ucha Sy Snootles. Max zawahał się.

- A nasze instrumenty?

- Zawsze możemy po nie wrócić później. - Sy przebiegła na drugą stronę kabiny widokowej, tę dalszą od jamy Sarlaccy, i otworzyła okiennicę.

Za oknem Max zobaczył jedno z olbrzymich śmigieł barki.

- Chodź, Droopy! - zawołała Sy. - Pora na nas!

Droopy ruszył w stronę okna. Max zawahał się i obejrzał na swoje organy, ale zaraz ruszył za nimi. Z zewnątrz nadal dobiegały odgłosy walki. Nie chciał znaleźć się wśród walczących stron, zwłaszcza gdyby ktoś nagle przypuścił szturm na kabinę widokową, by dorwać Jabbę.

Potężny wybuch zatrzęsł nagle pokładem. Sy omal nie wypadła przez okno. Na górnym pokładzie nasiliły się odgłosy strzelaniny.

- Szybko! - krzyknęła Sy. - Skacz!

- Oszalałaś? - zapytał Max. Droopy skoczył bez chwili wahania.

- Chodź, Max! - ponagliła Sy. - To nie tak wysoko, zresztą możesz ześliznąć się po śmigle. Pod nami jest tylko piasek. Zamortyzuje upadek.

Odwróciła się i skoczyła.

Max otworzył okiennicę i spojrzał w dół. Ziemia była okropnie daleko. Zawahał się. Droopy właśnie pomagał Sy wstać; wyglądało na to, że obojgu nic się nie stało.

- Skacz! - krzyknęła Sy Snootles. - Max, skacz!

Coś wybuchło nagle za Maksem, a siła eksplozji pchnęła go mocno w plecy. Wyleciał przez okno, przefrunął nad Sy i Droopym i wylądował płasko na plecach.

Upadek go oszołomił. Ręce i twarz paliły, w uszach słyszał dzwonięcie. Był tylko na pół świadom, że ktoś pomaga mu wstać i odciąga od barki żaglowej, całej w płomieniach. Podniósł głowę w samą porę, by zobaczyć, jak barka eksploduje, zamieniając się w olbrzymią, pomarańczową kulę ognia.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o ich pierwszy angaż, pomyślał. Instrumenty przepadły. Jego wspomniały kontrakt przepadł.

- Dokąd idziemy? - zdołał wykrztusić. Spojrzał na Sy, która wyciągnęła mały komunikator.

- Mamy nowy angaż - oznajmiła. - Będziemy pracować dla lady Valarian.

- Nie - powiedział Droopy.

- Co? - zdziwiła się Sy. - Zapłaci nam tyle, że bez trudu kupimy nowe instrumenty.

- Odchodzę na pustynię - powiedział Droopy powoli. - Tam są moi bracia.

- Masz na myśli Kitonaków? - zapytał Max.

- Tak - odparł Droopy. - Są blisko. Słyszę ich. Max wyteżył słuch, a kiedy dzwonięcie w uszach i w trąbie ustąpiło, faktycznie usłyszał odległy jęk, jakby kitonackiej piszczałki. Ale skąd na Tatooine wzięliby się Kitonakowie?

- To pewnietylko wiatr - powiedział. - Ten dźwięk to na pewno nie Kitonakowie. Co by tam

mieli robić?

- Życ - powiedział Droopy. Postawił Maksa na ziemi, odwrócił się i odszedł bez słowa w stronę wydm.

- No cóż - zauważyła Sy. - W takim razie teraz jesteśmy duetem.

- Duet Maksa Rebo - powiedział Max i uśmiechnął się. - To brzmi całkiem nieźle.

- Tym razem - zapowiedziała Sy - wszystko będzie inaczej. To ja będę negocjować kontrakty.

- Dobrze - powiedział Max. - Pod warunkiem że będę miał dość jedzenia.

- Albo dość pieniędzy, by je kupić - dodała.

- Zgoda! - wyciągnął rękę. - Będziemy współnikami?

- Tak, będziemy współnikami - zgodziła się. Potem włączyła komunikator. - Lady Valarian chce nas widzieć - zawiadomiła Maksa. - Przyślijcie po nas śmigacz. Po kogo? Naturalnie po mnie i mojego współnika. - Roześmiała się. - Dziś wieczorem? To trochę wcześniej, ale jeśli załatwicie instrumenty, jesteśmy gotowi.

- I jedzenie - wtrącił Max. - Nie zapomnij o jedzeniu.

- I jedzenie - dodała. - Potrzebujemy mnóstwo jedzenia.

WSZYSTKIE TROSKI DNIA opowieść Biba Fortuny

M. Shayne Bell

Stracę Jabbę z tronu w dniu mojego przewrotu, myślał Bib Fortuna, wychodząc z sali tronowej Jabby, by spiskować z mnichami B'omarr. Moi strażnicy położą go na kracie nad pieczarą rankora. Pozwolę mu tam leżeć i patrzeć, jak rankor szaleje, tak żeby słyszał jego ryki, żeby wiedział, że kiedy otworzę pod nim zapadnię, rankor go pożre, i żeby wiedział, że to ja przejmę jego fortunę i jego przestępczą organizację, a on nie będzie mógł mnie powstrzymać!

Szybko schodził po krętych schodach z piaskowca w cień i mrok lochów na dolnych poziomach. Za kamienną ścianą tej klatki schodowej, myślał Fortuna, znajduje się tunel, którym Jabba zsunie się do pieczary rankora. Jabba zobaczy, jak moja dłoń unosi się nad przyciskiem zapadni i będzie wiedział, że zaraz umrze. Uśmiechnął się. Dotknął kamieni i wyobraził sobie tunel za nimi. Obliczył wymiary opasłego cielska Jabby i doszedł do wniosku, że jeśli nasmaruje się je olejem, Hurt mimo wszystko zmieści się w tunelu. Oblanie cielska Jabby tłuszczem będzie cudownie upokarzające. Fortuna wyobrażał już sobie kucharzy i kuchcików, jak pędzą z kuchni z garncami pełnymi gorącego, roztopionego tłuszczu; wyobrażał sobie ich radość, gdy oblewają nim grube cielsko, rozkosz, jaką pocują, mszcząc się za swoje córki i synów, których Jabba wykorzystywał, by testowali jego potrawy, za kolegów rzuconych na pożarcie rankorowi, gdy jakieś danie nie znalazło jego uznania. Fortuna nakazał Porcellusowi i jego podwładnym, by gromadzili tłuszcz w starych garnkach; nie wiedzieli po co, ale wkrótce się przekonają.

To będzie szczęśliwy dzień.

Fortuna minął ciemne cele więźniów. W niektórych było cicho, z innych dobiegały jęki. Fortuna sprawdził, kto siedzi w której celi i w myślach wydawał już decyzje. Tego więźnia wypuszczę, myślał. Tego stracę. Tamtych sprzedam jako niewolników. Chciał, by wymierzana przez niego sprawiedliwość była szybka i ostateczna.

Szeroki korytarz za zakrętem stawał się coraz cichszy. W końcu Fortuna dotarł do miejsca, w którym nie było już piachu na podłodze. Został wymieciony do czysta. Za tą granicą mieszkali mnisi. Fortuna stanął, zdjął sandały i postukał nimi o ścianę, by strząsnąć piasek z podeszew - drobna oznaka szacunku dla mnichów. Nie chciał wnosić ze sobą brudu z tych miejsc w ich pałacu, które zajmował Jabba, do sal, w których mieszkali i pracowali. Jakże musiał ich boleć brud zalegający w tych częściach, nad którymi stracili kontrolę! Fortuna przysiągł, że pozwoli mnichom wysprzątać cały pałac - tylko raz, zanim wyrzuci ich stąd na zawsze, by nie mogli zwrócić się przeciw niemu. Włożył sandały i poszedł dalej.

Coraz mniej świateł w ściennych niszach oświetlało korytarz. Cienie się pogłębiły. Chwilami Fortuna szedł w zupełnych ciemnościach, ale nie zawahał się ani razu. Pewnie kroczył prosto przed siebie. Znał drogę. Chodził nią wiele razy, by poznać tajemnice mnichów i spiskować z nimi. Na

dolnych poziomach panował chłód, więc szczelniej owinał się płaszczem.

Zobaczył w oddali cień poruszający się korytarzem. Metal zazgrzytał o nagi kamień. Fortuna zatrzymał się, badając ciemność przed sobą; intuicyjnie wyczuwał, że nie grozi mu niebezpieczeństwo. Znów jednak usłyszał jakiś ruch w ciemności; ktoś zbliżał się w jego stronę. Wyciągnął blaster i przykucnął oparty plecami o ścianę, na której pojawił się nagle cień olbrzymiego pająka, dorównujący wzrostem Fortunie. Sam pająk wyłonił się wkrótce z ciemności i minął Fortunę. Fortuna rozluźnił się, nie wypuszczając jednak z ręki blastera: to tylko chodzik mózgu, powiedział do siebie w duchu, maszyna w kształcie pająka, która nosiła wypreparowane z ciała oświeconych mnichów mózgi w słoju podwieszonym pod brzuchem. Nieszkodliwa maszyna. Mimo to nie znosił tych urządzeń. Chodziki mózgów wyprowadzały go z równowagi. Patrzył, jak światełka u podstawy słoja rozbłyskują spokojnymi odcieniami zieleni i błękitu, niczym fluorescencyjna błyskotka na ciele próżnego pająka wielkości człowieka. Może mózg chciał dołączyć do innych gości na kolacji u Jabby. Czasem to robiły: mózgi przemawiały przez głośniki zamontowane w słoju, próbując pouczać Jabbę o naturze wszechświata i zachęcać go, by osiągnął stan oświecenia. Zawsze bawiło to Jabbę i jego gości.

Fortuna przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył chodzika mózgu. Wtedy nie wydawał mu się zabawny. Jako nowy majordomus Jabby, Fortuna koniecznie chciał dowiedzieć się o wszystkim, co dzieje się w pałacu - poznać jego główne korytarze, tajne przejścia i komnaty, lochy, mieszkańców pałacu i ich zwyczaje. Pewnego wieczoru towarzyszył kuchcikom podczas obchodu cel więźniów, którym wydawali jedzenie. Gdy doszli do pierwszej celi, wpadł na nich olbrzymi pająk, przewrócił garnek z zupą i rozlał jego parującą zawartość na szaty Fortuny. Fortuna wystrzelił z miotacza, trafiając w słoje i podbrzusze pająka. Słoje pękły, a mózgi wypłynęły na zapiaszczoną podłogę. Pająk zaczął strzelać iskrami z przepalonych obwodów i po chwili znieruchomiał.

Dopiero wtedy Fortuna uświadomił sobie, że to nie pająk, tylko maszyna.

Nikt się nie odezwał, ani kucharze, ani strażnicy, ani więźniowie stojący w otwartych drzwiach do swych cel. Oni też nie lubili pajaków. Mnisi rzucili się, by zebrać mózgi, a jeden z nich wyjaśnił im, że gdy mnich osiąga stan oświecenia, inni mnisi, wyszkoleni na chirurgów, wycinają jego mózgi i umieszczają go w słoju konserwującym wypełnionym płynem bogatym w substancje odżywcze. Od tej pory mózgi mogą kontemplować wszechświat uwolniony od ograniczeń ciała.

Fortuna aż się zakrztusił na samą myśl o czymś podobnym. Nie zwracając uwagi na plamy na ubraniu, pospieszył do sali tronowej Jabby, żeby poradzić mu, by wybił wszystkich mnichów. Ich postępowanie było nie do zaakceptowania. Zdumiewało go, że dwie tak odmienne kultury mogły żyć w tym samym pałacu: przestępcza organizacja Jabby i ci mnisi. Od pokoleń przestępcy przywłaszczali sobie kolejne części klasztoru wybudowanego przez mnichów, zamieniając go w pałac, anektując co lepsze komnaty, zajmując coraz więcej przestrzeni. Nadszedł czas, by zająć cały.

Nagle jednak Fortuna stanął, uderzony pewną myślą. Złościło go, że mnichom nadal pozwalano tu żyć. W takim razie co mnisi musieli czuć, widząc Jabbę i jego sługusów w swoim pałacu? Na pewno nie byli zadowoleni. Fortuna uznał, że może obrócić ich niezadowolenie na swoją korzyść: ze zrozumieniem wysłuchać ich żalów, udając, że się od nich uczy, uknuć wraz z nimi spisek, żeby pozbyć się Jabby, ukształtować ich w siłę, której istnienia nikt nie podejrzewa, by pewnego dnia wykorzystać ich do przejęcia kontroli nad pałacem.

Jak skuteczny okazał się ten plan! Mnisi byli teraz odpowiednio przeszkoleni i wyposażeni, gotowi w każdej chwili przejąć pałac we władanie. Nadal żyły w nim setki mnichów wciąż

posiadających ciało, a oprócz nich setki innych w słojach i chodzikach: dość, by szybko pokonać niczego nie podejrzewających strażników. A i Fortuna rzeczywiście przyswoił sobie od mnichów to i owo. Nie musiał nawet udawać. Nauczyli go mnóstwa rzeczy: jak intuicyjnie wyczuwać intrygi i spiski knute za plecami Jabby, plany drobnych kradzieży, pokręcone fizyczne żądze. Nauczyli go, że praca jego życia była jego przeznaczeniem, a on sam pogłębił jeszcze ich nauki: uznał, że wszechświat umożliwił mu zdobycie władzy i bogactwa koniecznego, by podbić Ryloth, jego rodzinną planetę, a potem ukształtować jego lud, Twi'leków, na takich poddanych, jakich cenilo Imperium - łowców nagród, najemników, szpiegów, a nie tylko egzotycznych niewolników - i w ten sposób uratować ich przed zgubą. „Przypadkiem” Fortuna miał pod kontrolą Nata Secure, ostatniego potomka wielkiego rodu. Nat był kluczem do jego planu: ludzie z własnej woli poprą Nata (w ten sposób więc pośrednio podporządkują się przywództwu Fortuny), kiedy nadejdzie czas podboju Ryloth. Twi'lekanie na zawsze zapamiętają, czego dokonał dla nich Fortuna.

Imiona jego przodków znów będą otoczone czcią.

A on sam odzyska szacunek swojego ludu.

Na razie jednak czekało go wiele pracy, do której musiał się dobrze przygotować. Skończył się czas radosnych marzeń. Przywołał na pomoc zapory umysłowe, które skryły jego najczarniejsze myśli, i przyspieszył.

Tylko jeden mnich czekał na niego przed komnatą rady i wcale nie siedział pogrążony w medytacji. Chodził tam i z powrotem od ściany do ściany.

- Mistrzu Fortuna - przywitał go. - Myśleliśmy, że nie przyjdiesz. Twój przyjaciel jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Jaki przyjaciel? - zapytał Fortuna. Przecież nie miał żadnych przyjaciół.

- Nat Secura. Jabba chce go rzucić na pożarcie rankorowi.

Fortuna zakręcił się na pięcie i pospieszył korytarzem z powrotem. Jabba nie znosił Nata, bo Nat był brzydki: straszliwie oszpecony w pożarze, który łowcy niewolników Jabby podłożyli w mieście Nata, by zapędzić jego mieszkańców w swoje sidła. Jego twarz i ciało pokrywały blizny, a lekku - głowoogony, których ruchy były dla Twi'leków podstawowym sposobem komunikacji - niemal całe spłonęły. Nat mógł się porozumiewać wyłącznie głosem - okrutne inwalidztwo - ale nadal był tym, kim był. Fortuna znalazł Nata w gruzach miasta i uświadomił sobie, jaki skarb mu się trafił: wart więcej niż najcenniejsze klejnoty. Rzucić go na pożarcie rankorowi, też pomysł!

Fortuna przestał biec, przyglądał szaty, uspokoił oddech i wszedł do sali tronowej. Zobaczył taki oto widok: wychłostany Nat leżał związany twarzą w dół na kracie nad pieczarą rankora. Rankor ryczał, nadstawiając paszczę, by złapać kapiące z góry krople jego krwi. Żałosne resztki lekku Nata leżały rozrzucone na kracie - ktoś zdarł Twi'leкови nakrycie głowy, które Fortuna kazał mu nosić. Tłum pochlebców i dworaków Jabby szydził i kpił z Nata, delektując się jednocześnie kolacją. Ręka Jabby unosiła się kilka cali nad guzikiem, który otwierał zapadnię, ale kiedy Hutt zobaczył Fortunę, zarechotał dudniącym basem i przywołał go gestem do tronu.

- Nat jest taki brzydki - powiedział. - Chcę się przekonać, czy rankor go zje, czy też odrzuci nam z powrotem.

Rankor czasami tak robił. Jeśli uznał kogoś za niesmacznego, rzucał jego ciałem o kratę raz po raz, aż zamieniało się w nierozpoznawalną miazgę, którą jego opiekun usuwał z pieczary następnego dnia. Krata była ciemna od krwi tych, których rankor odrzucił.

- W takim razie ominie cię zabawa, jaką Nat mógłby zapewnić. - powiedział Fortu - Jaka

zabawa? Fortuna musiał myśleć szybko, by znaleźć sposób ocalenia Nata.

- Nat jest biegaczem - powiedział. - Bardzo zwinnym. Mógłby dość długo wymykać się rankorowi.

Jabba uwielbiał obserwować takie rzeczy przez kratę. Każdy to wiedział. Przesunął rękę nad przycisk.

- Ale nie teraz - dodał szybko Fortuna. - Nie po takiej chłoście. Daj mu dwa dni, żeby doszedł do siebie, a potem poślij go do pieczary. To będzie wspaniała zabawa!

- Zdradziłeś mnie! - krzyknął Nat do Fortuny. - Nigdy nie powinienem był ci ufać! Ja...

Fortuna uniósł rękę. Nat momentalnie zamilkł. Fortuna dobrze go wyszkolił, a posłuszeństwo było tematem jednej z pierwszych lekcji.

- Panie? - zapytał Fortuna Jabbę. Jabba wahał się, medytując. Fortuna nie mógł oderwać wzroku od jego ręki zawieszanej nad przyciskiem.

- Niech ci będzie. Dwa dni - zgodził się w końcu Jabba, cofając rękę. Fortuna przywołał dwóch gamorreńskich strażników, by podnieśli Nata z kraty i umieścili w lochu. Sam poszedł za nimi. Strażnicy zatrzymali się przy pierwszej celi, w której było już dość tłoczno.

- Nie tutaj! - powiedział Fortuna. - Nie umieszczę Nata z innymi, którzy mogliby go zabić albo okaleczyć, żeby zepsuć Jabbie zabawę. Chodźcie za mną.

Poprowadził ich w dół korytarzem do najdalszej celi. Była pusta.

- Umieście go tutaj - polecił.

Strażnicy wtrącili Nata do celi, zatrzasnęli drzwi i odeszli. Fortuna został, patrząc przez zakratowane okienko w drzwiach. Nat leżał na kamiennej podłodze. Nie chciał lub nie mógł usiąść, żeby spojrzeć na Fortunę. Utrudniało to komunikację, bo większość z tego, co miał mu do przekazania Fortuna, zamierzał wyrazić ruchami lekku, tak by nikt inny ich nie zrozumiał. Nie chciał mówić zbyt głośno z obawy, że ktoś mógłby ich podsłuchać. W końcu powiedział tylko dwa słowa:

- Uratuję cię.

Odwrócił się i odszedł - nie z powrotem do sali tronowej Jabby, tylko w dół korytarza do komnat mnichów. Znał tylko jeden sposób, by ocalić Nata.

Dopiero wtedy, idąc starannie zamiecionymi korytarzami, Fortuna zaczął się zastanawiać, skąd mnisi wiedzieli, co się dzieje z Natem, skoro on sam nie miał o tym pojęcia.

Fortuna zaprowadził chirurgów do celi Nata tuż przed świtem drugiego dnia. Chciał, by operacja się zakończyła, zanim Jabba rozkaże rzucić Nata na pożarcie rankorowi.

- Pozostawcie jedną bruzdę, tak by ciało nadal oddychało - nakazał.

- Nie! - krzyknął Nat. Uświadomił sobie, po co przyszli chirurdzy. - Nie pozwól im, żeby wyjęli mi mózg!

Fortuna nie przejmował się, że inni więźniowie usłyszą Nata. Będą się starali zignorować jego krzyki w nadziei, że podobny horror nie stanie się ich udziałem. Zobaczył jednak, że zbliża się do nich gamorreński strażnik. Nie zapytał, co Fortuna i chirurdzy zamierzają robić.

- Powiem Jabbie, że torturowałeś tego więźnia, żeby mu zepsuć zabawę - zawiadomił Fortunę.

- W takim razie ja mu powiem, że skoro doniosłeś na mnie, to znaczy, że nie umiesz zachować sekretu, a więc powinieneś trafić do rankora razem z Natem.

Strażnik chrząknął i cofnął się o krok. Co za kretyn, pomyślał Fortuna, tak łatwo nim manipulować! Jabba popełniał błąd, zatrudniając tych durniów jako strażników.

- Nie powiem, jeśli i ty nie powiesz - zgodził się strażnik. - Ale pospiesz się. Gamorreanin

odszedł. Fortuna nastawił swój blaster na ogłuszanie i spojrzął na Nata.

- To jedyny sposób, jaki znam, by cię ocalić - powiedział do niego ruchami lekku i strzelił przez pręty krat. Nat upadł na podłogę, ale jego ręce nie przestały się ruszać, jakby nadal - choć ogłuszony - próbował walczyć, by uratować ciało. Fortuna otworzył drzwi szeroko. Chirurdzy przepchnęli swój zgrzytający wózek do środka.

Fortuna został na zewnątrz. Nie chciał na to patrzeć. Widok krwi nigdy nie robił na nim wrażenia, ale uważał, że przyglądanie się, jak chirurdzy golą i rozcinają głowę Nata, byłoby wyrazem braku szacunku dla niego.

Zaczął więc chodzić tam i z powrotem pod drzwiami celi, czekając niecierpliwie, kiedy operacja się skończy. Pamiętał, jak znalazł Nata - wówczas zaledwie niemowlaka - w dymiących gruzach jego rodzinnego domu na Ryloth. Fortuna pojechał tam szukać kosztowności. Zanim jednak znalazł jakiegokolwiek klejnoty, natknął się na Nata w ramionach nadal żywej matki.

- To ty! - powiedziała tylko, niezdolna się poruszyć, niezdolna obronić siebie ani uratować dziecka. - Bib Fortuna... powinnam była się zorientować, że to twoja zdegenerowana ręka stoi za tym atakiem. Tylko ty byłbyś zdolny poszczuć łowców niewolników na swój własny lud.

Wypowiedziała jego imię z taką wielką nienawiścią, z takim wstrętem, że Fortuna cofnął się odruchowo. Był jednym z pierwszych, którzy zaczęli sprzedawać na inne planety ryli, uzależniającą przyprawę, i w ten sposób zwrócił uwagę Imperium na Ryloth. Twi'lekwowie, których uważał za swoich dobrych przyjaciół, odprawili nad nim sąd i skazali go na śmierć za sprowadzenie łowców niewolników, piratów i wszelkiej maści wyrzutków na ich świat. Fortuna uciekł. Skonfiskowali majątek jego rodziny i wyznaczyli cenę na jego głowę. Wrócił, by się zemścić.

I zemścił się. Siedem miast obrócono w perzynę, mieszkańców sprzedano w niewolę, ich bogactwa przejął w większości Jabba, a część z nich potajemnie Fortuna.

Ale przecież nie o to mu chodziło. Popyt na ryli był większy, niż on czy ktokolwiek inny przewidział; szybko wyssałby gospodarkę jego świata i zniszczył go. A Fortuna nie darzył przecież swoich rodaków nienawiścią. Próbował wypromować tańszą, mniej skuteczną - i mniej dochodową - przyprawę, błyszczostym z Kessel, żeby odwrócić uwagę od Ryloth i ryllu, ale bez skutku: popyt na przyprawę, niezależnie od jej rodzaju, mógł wkrótce zniszczyć obie te planety. Kiedyś myślał, że Twi'lekwowie przystosują się do życia poza planetą, do roli obywateli Imperium - zawsze łatwo się adaptowali - ale wydarzenia potoczyły się zbyt szybko. Trzeba im było pokazać drogę. Fortuna uświadomił to sobie - jak również fakt, że obowiązek wskazania tej drogi spadł na niego, gdy matka Nata odezwała się do niego z gruzów swojego domu. Wyciągnął blaster, podszedł do niej i wycelował w głowę.

- Tchórz! - powiedziała.

Zastrzelił ją od razu. Nie był to jednak akt tchórzostwa, jak przekonywał sam siebie. To był akt dobroci. Uratował ją przed męką niewolnictwa.

I wtedy Nat zapłakał.

Dziecko nadal żyło. Fortuna nie zabił go ani nie oddał łowcom niewolników. Zabrał je ze sobą na statek, gdzie otrzymało pomoc medyczną. Jabbie wyjaśnił, że Nat był synem wielkiego twi'leckiego rodu, więc będzie zabawnie zatrzymać go pewien czas. Fortuna nigdy nie powiedział Natowi, że zabił jego matkę. Razem planowali, w jaki sposób najlepiej wyzwolić Ryloth z piekła, w które zamieniały planetę handel przyprawą i Imperium.

Drzwi do sali się otworzyły. Wyszedł z nich pospiesznie chirurg. Trzymał w ręku słoje z mózgiem

w środku. Wszystkie kontrolki u podstawy słoja jarzyły się jaskrawą czerwienią - zły znak. Powinny błyskać na zielono lub niebiesko.

- Mózg krzyczy - odezwał się do Fortuny drugi chirurg. - Jeśli nie odzyska nad sobą kontroli, oszaleje.

Nat nie był oświecony. Nie był gotów zrezygnować ze swego ciała. Mnisi wyjaśnili to wszystko Fortunie, który jednak zmusił ich, by mimo wszystko przeprowadzili operację. Naprawdę nie było innego sposobu, by uratować Nata. Teraz jest już po wszystkim.

- Zrobimy, co się da, by pomóc twojemu przyjacielowi - powiedział drugi chirurg. Wyszli, tocząc przed sobą wózek, który głośno skrzypiał i zgrzytał w ciasnych korytarzach lochów.

Fortuna wszedł do celi. Ciało Nata leżało na podłodze. Przyklęknął, by je zbadać. Chirurdzy doskonale się spisali - szwy na czaszce były niemal niezauważalne, chyba że przy bardzo dokładnym badaniu. Pozostawili tę część mózgu, która umożliwiała płucom oddychanie. Serce nadal biło. Serce Fortuny też biło w piersi jak oszalałe. Jeśli Jabba zorientuje się, co zrobił, zanim uda się go zabić, Fortuna umrze. Wyglądził ubranie Nata, zawiązał szkarłatną szarfę wokół jego zniekształconych lekku, delikatnie odwrócił ciało na plecy i starł piasek z jego twarzy - z tej zniekształconej, pokrytej bliznami twarzy.

I nagle, w chwili niezwykłej jasności umysłu, Fortuna zrozumiał, dlaczego wszechświat sprawił, by sprawy potoczyły się właśnie w ten sposób. Nat musiał utracić ciało. Na Ryloth i tak nikt by go nie rozpoznał. Wkrótce Fortuna przejmie kontrolę nad olbrzymim majątkiem Jabby. A wtedy znajdzie i zatrudni osoby trudniące się zakazaną sztuką klonowania, by wyklonowali nowe, idealne ciało dla Nata, w które włożą jego mózg. Kiedy wrócą na Ryloth, Nat będzie mógł się skutecznie porozumiewać - pod warunkiem że przeżyje następnych kilka dni. Fortuna postanowił, że pójdzie do niego później, by go o tym zawiadomić, by dać mu nadzieję, która pomoże przetrwać.

Nieco później tego samego ranka, kiedy Jabba rozkazał, by wrzucono Nata do pieczary rankora, Fortuna wysłał dwóch strażników, by przynieśli ciało jego rodaka i położyli je na zapadni przed tronem Jabby.

- Nat zemdlął ze strachu - powiedział im. - Ale na pewno się ocknie, kiedy będzie wpadał do pieczary rankora.

Uwierzyli mu. Wiele zależało od tego, jak potoczą się wypadki najbliższych kilku minut i czy Jabba się zorientuje, co się stało.

Strażnicy rzucili ciało Nata na zapadnię, a Jabba natychmiast wcisnął guzik - dokładnie na to liczył Fortuna. Zapadnia otworzyła się, a ciało runęło w dół do pieczary rankora. Dworacy Jabby stłoczyli się wokół kraty, by popatrzeć, jak rankor pożera Nata. Jabba wcisnął guzik, który przysuwał jego tron do krawędzi otworu, by sam również mógł obserwować spektakl.

Ciało Nata leżało twarzą w dół na piasku pod kratą. Rankor ryknął, ale Nat się nie poruszył.

- Nat się nie rusza! - ryknął Jabba. - Dlaczego nie chce uciekać? Rankor pochwycił ciało i pożarł je w trzech kęsach. Krew trysnęła wysoko nad kratę; ochlapała ręce, twarz i szaty Fortuny, a także wszystkich innych zgromadzonych dookoła. Rankor spojrział na nich, beknął i zaryczał.

W sali tronowej Jabby zapadła cisza. Wszyscy się spodziewali, że Jabba zaraz wybuchnie gniewem.

- Nat musiał cię widocznie nienawidzić - powiedział Fortuna do Jabby, przerywając ciszę. - Wiedział, że gdyby zaczął uciekać, sprawiłby ci przyjemność, więc nie chciał tego robić.

Ktoś się roześmiał. Sy Snootles zanuciła jakąś melodię, Max Rebo zaczął cicho grać. I w końcu

Jabba się roześmiał.

- Zjadł go... rankor po prostu go zjadł. Z estetycznego punktu widzenia to bez sensu - przyznał.

Potem cofnął tron na jego zwykłe miejsce, z dala od kraty; muzycy zaczęli grać. Pałacowe życie powróciło do normy.

Jabba uwierzył w to, co powiedział Fortuna. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Zamyślony Fortuna przeszedł przez rozbawiony tłum galaktycznych twardzieli najróżniejszych gatunków, twardzieli, w jakich zamierzał przekształcić swoich rodaków, kiedy już zetrze plamy krwi Nata z rąk.

Najwcześniej jak mógł, czyli późnym wieczorem, Fortuna odwiedził mnichów i mózg Nata. Najpierw poszedł do Wielkiej Komnaty Oświeconych, gdzie na półkach stały słoje z mózgami, pod którymi czekały chodziki. Jeden mnich, nadal w ciele, ścierał z półek kurz.

- Nat ciągle krzyczał, więc musieliśmy przenieść go do izolatki - wyjaśnił. - Zakłócał spokój oświeconych.

Zaprowadził Fortunę do celi. Słój z mózgiem Nata stał samotnie na stole. Wszystkie lampki u podstawy słoja płonęły w ciemności czerwienią.

Mnich zapalił dwie świece w niszach obok drzwi i cicho wyszedł. Fortuna usiadł przy stole i położył dłonie na słoju. Mózg wyglądał niesamowicie: surowy, biały, unosił się w odżywczym płynie, który krew Nata zabarwiła na czerwono. Mnisi mieli zmieniać płyn codziennie przez następne trzy dni, aż cała krew wypłynie i roztwór pozostanie czysty.

Fortuna wcisnął guzik u podstawy słoja, który umożliwiał mózgowi „słyszenie”.

- Nat - powiedział - to był jedyny sposób, by cię ocalić. Uwierz mi.

Zaczął opowiadać mu o planach związanych z klonowaniem, gdy nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

- Może uda mi się znaleźć tymczasowe ciało, w którym będzie można umieścić twój mózg do czasu, gdy coś dla ciebie wyklonujemy.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł: porwać kogoś odpowiedniego, wyrzucić mózg i na pewien czas umieścić w czaszce mózg Nata. Posiadanie żywego, oddychającego ciała ocaliłoby mózg przed szaleństwem, dopóki nie będzie można go umieścić w jego własnym klonie.

Porozmawia o tym z chirurgami.

Kiedy wychodził z celi Nata godzinę później, jedna trzecia lampek świeciła na różowo; niektóre nawet całkiem jasno, już niekrwistą czerwienią.

Fortuna wrócił do sali tronowej Jabby, by położyć się spać. Musiał spać właśnie tam. Jabba miał tak silną manię prześladowczą że żądał, by jego najbliżsi współpracownicy spali wokół niego - oficjalnie po to, by chronić go przed zabójcami, a tak naprawdę, by strażnicy mogli mieć ich na oku i powstrzymać, gdyby to któryś z nich próbował zabić Jabbę. Po pewnym czasie jednak dyscyplina uległa rozluźnieniu. Strażnicy spali, podobnie jak wszyscy inni w sali. Fortuna przestał nawet się ich o to czepiać.

Cóż, kiedy przejmie kontrolę, wystawi nowych strażników.

Nie mógł spać. Wyczuwał, że w pałacu dzieje się coś, czego nie rozumiał. Swojego niepokoju nie mógł przypisać wyłącznie troskom minionego dnia - niezrealizowane możliwości wirowały w podświadomych prądach życia krążących wokół Jabby. Ale mnisi dobrze go wyszkolili. Wkrótce sprawy się wyjaśniły był o tym przekonany. Istoty z całej galaktyki stale przybywały i odjeżdżały, i czasami Fortuna potrzebował kilku dni, by zorientować się, jaki jest faktyczny cel ich wizyty. Przez

ten czas mógł jednak liczyć na pomoc mnichów, tak jak w przypadku Nata. Fortuna miał sojuszników, których istnienia nikt nie podejrzewał.

Uniósł głowę i spojrzął na Jabbę leżącego niedaleko w swoim publicznym łożu. Wyczuwał jego obcy, piżmowy zapach w gorącym powietrzu nocy; zmarszczył nos i zaczął rytuał, który często uspokajał go na tyle, by mógł zasnąć.

Ze wszystkich trosk tego dnia, rozpoczął w myślach litanie, największą jest ta, że Jabba wciąż żyje. To była główna pozycja na liście codziennych kłopotów.

Ale wkrótce Jabba umrze.

Przygotowania Fortuny dobiegały końca: miał już niemal kompletny zestaw kodów do ulokowanych w różnych bankach rachunków Jabby, a także przetestował lojalność ostatnich kilku osób, które miały go poprzeć podczas jego przewrotu. Niewiele już pozostało do zrobienia. Jednak oprócz własnej intrygi, Fortuna wiedział o jeszcze czternastu spiskach na życie Jabby, spiskach, których teraz nie zamierzał likwidować. Zawsze warto mieć plan zapasowy, a on miał ich czternaście, opracowanych przez czternastu niezależnych spiskowców. Wystarczyło, by ich poobserwował i w razie potrzeby nieco ukierunkował. Miał nadzieję, że prześcignie innych i będzie miał przyjemność własnoręcznego zamordowania Jabby, ale nie upierał się przy tym; najważniejsze, żeby sprawa została załatwiona mniej więcej w odpowiednim czasie. Niezależnie od tego, jak Jabba zginie, to Fortuna przejmie władzę i przeważającą część majątku Hutta.

Niektóre intrygi były nawet dość pocieszne. Na przykład ten Anzata, zabójca na usługach zarówno lady Valarian, jak i Eugene'a Talmonta, imperialnego prefekta - zabawna kombinacja zleceniodawców dla zawodowego zabójcy. Był jeszcze Tessek, śmieszny mały Quarren, którego Jabba zamierzał zabić, a który sam spiskował przeciwko Jabbie. Prosta intryga, która najbardziej spodobała się Fortunie, polegała na powolnym truciu Jabby przez kuchcika którego brata opasły Hurt rzucił kilka lat wcześniej na pożarcie rankorowi, bo nie smakował mu przyrządzony przez niego sos. Tyle osób nienawidziło Jabby, który rozkoszował się ich nienawiścią - jedna z wielu pomyłek, które popełniał, zdaniem Fortuny. Jabba był przekonany, iż jego okrucieństwo wzbudza strach wszystkich poddanych, i uważał, że ten strach jest jego tarczą. Ale strach znoszony przez dni i lata zamienia się w nienawiść. Nienawiść zaś rodzi plany zemsty. Fortuna zamierzał inaczej prowadzić swój interes.

Położył się i uśmiechnął do siebie. Czternaście spisków, których celem było zabicie Jabby, a oprócz tego sześćdziesiąt osiem planów obrabowania pałacu. Plotkom i intrygom nigdy nie było końca.

A oto inna troska tego dnia, ciągnął swoją litanie: musiał patrzeć, jak ciało Nata ulega zniszczeniu. A potem jeszcze musiał grozić mnichom, by zgodzili się usunąć mózg Nata. A jeszcze opóźniała się dostawa dwugłowych robaków effriki, które Jabba lubił jadać w gorące dni - ich endorfiny powodowały kilkugodzinną senność. Z braku robaków Fortuna musiał wymyślać dla Jabby inne rozrywki: tancerki, alkohol, przyprawa. Same troski, tyle trosk - dzień pełen trosk.

I ta najważniejsza, największa - że Jabba wciąż żył.

Rankor zaryczał w pieczarze pod podłogą waląc o prety klatki. Nikt się nie poruszył.

Zwyczajne odgłosy.

Chirurdzy zapewniali Fortunę, że „zamiana mózgow” jest możliwą choć rzadko praktykowana. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy galaktyka potrzebowała duchowego przewodnika posiadającego ciało, a nie było czasu, by czekać na jego narodziny i wychowanie. Mnisi wybierali wówczas zdrowego akolitę i jednego z oświeconych, a chirurdzy zamieniali ich mózgi. Fortuna był przekonany,

że potrafi zmusić mnichów, by przeprowadzili podobną operację dla Nata.

Chodził rozmawiać z jego mózgiem codziennie, czasami nawet dwa razy dziennie, i po dwóch tygodniach kilka światełek jarzyło się na niebiesko i zielono. Zawsze jednak przynajmniej jedno płonęło jaskrawą czerwienią; w umyśle Nata stale gościła panika, i trwało to chyba już za długo. Mózg był niestabilny. Mnisi uważali, że Nat jest częściowo obłąkany: wyobrażał sobie, czasem całymi dniami, że jest związany, oczy ma przewiązane przepaską, a Fortuna i mnisi nie chcą go wypuścić; że nadal ma swoje ciało. Fortuna zapytał go raz, dlaczego - skoro jest tylko związany - nie czuje swojego ciała; w tej samej chwili wszystkie kontrolki rozbłyły wściekłą czerwienią.

- Dajcie mu chodzik mózgu - powiedział do mnichów. - Może jeśli będzie mógł się poruszać, jego stan się poprawi.

Wiele dni minęło, zanim Nat nauczył się poruszać chodzikiem, który do końca chodził dość niepewnie, zataczając się i wpadając na ściany, Fortunę lub mnichów. Fortuna obawiał się, że niechcący zbiję słoń z własnym mózgiem, ale mnisi zapewnili go, że jest bardzo wytrzymały. Nat próbował chodzić za Fortuną wszędzie, gdzie ten się udawał, więc mnisi musieli go przytrzymywać, żeby nie poszedł za nim do Jabby.

- Nie pozwólcie, by chodził mnie szukać! - nakazał mnichom. Nie chciał, by Nat łaził po całym pałacu, mówiąc rzeczy, jakich nie powinien mówić w obecności ludzi, którzy sądzili, że został w całości zjedzony przez rankora.

Jednak pewnego dnia, gdy mnisi byli zbyt zajęci obchodami wiosennej równonocy, by pilnować Nata tak dokładnie, jak nakazał im to Fortuna, Nat doszedł aż do sali tronowej. Jego chodzik mózgu schodził po schodach, zataczając się i obijając ze zgrzytem o kamienne ściany. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nagle jednak chodzik rzucił się na środek sali, niebezpiecznie blisko kraty w podłodze. Fortuna zorientował się, że jeśli wejdzie na nią, a dwie albo trzy nogi utkną mu pomiędzy prętami, mogą się nim zająć strażnicy, a Jabba może wpaść na pomysł, by wrzucić chodzik do pieczary rankora. Nigdy jeszcze nie rzucił mu na pożarcie chodzika mózgu, a Fortuna nie chciał, by teraz właśnie to sobie uświadomił.

Jabba miał nowego robota protokolarnego, niejakiego C-3PO - dar od jakiegoś cierpiącego na manię wielkości człowieka, który twierdził, że jest Mistrzem Jedi. Fortuna szybko przywołał do siebie złocistego robota.

- Pilnuj, żeby chodzik mózgu nie zbliżał się do kraty - polecił. - Usuń go na obrzeża sali i jak najszybciej przekaz mnichom, by odprowadzili go z powrotem.

- Oczywiście, panie Fortuna - powiedział C-3PO. Niedługo potem robot poklepał Fortunę po ramieniu.

- Oświecony pragnie z panem porozmawiać - powiedział. - Kategorycznie odmówił powrotu do mnichów, dopóki tego nie zrobi. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co może być tak ważne, żeby aż...

- Wystarczy - przerwał mu Fortuna. - Porozmawiam z nim. Zostaw nas. Robot zgarbił się i sztywno odszedł.

- O co chodzi? - zapytał Fortuna Nata.

- Znalazłem ciało, tymczasowe ciało. Powiedziałaś, że możesz umieścić mnie w tymczasowym ciele...

- Tak, tak. Kto to taki?

- Nie pamiętam jego imienia, ale ciało wygląda na silne, a ja potrzebuję silnego ciała...

- Gdzie jest w takim razie? W tej sali?

Fortuna wolałby nie prowadzić podobnej rozmowy w sali tronowej Jabby. Obawiał się, że ktoś mógłby ich podsłuchać. Dwie czy trzy osoby już na nich popatrywały.

- Mów! - powiedział zniecierpliwiony. - A potem musisz wrócić do mnichów.

- To ciało w karbonicie... nikt nie ma z niego żadnego pożytku. Daj mi to ciało! Fortuna nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Han Solo? - powiedział. Pomysł wydał mu się rozkoszny. Fortuna miał wiele powodów, by nienawidzić Korelian; Bidlo Kwerve, kontrkandydat na stanowisko majordomusa, był Korelianinem. Wykorzystanie w ten sposób ciała Hana byłoby piękną zemstą na Korelianach w ogóle. Spojrzał na ciało Hana Solo zamrożone w karbonicie, doskonale utrzymane, w stanie pełnej hibernacji. Głowa Hana miała podobną wielkość, co kiedyś głowa Nata.

- W porządku - powiedział do Nata. - Będziesz miał to ciało. Już wkrótce. - Nie musiał dodawać: „Kiedy przejmę tu kontrolę”. Taki eksperyment rozbawiłby może Jabbę, ale Fortuna nie umiałby przekonująco wytłumaczyć swojego w nim udziału - a tym bardziej udziału Nata.

Interesy wymagały, by poleciał do Mos Eisley. Był rad, że wyrwie się z pałacu na to popołudnie, choć wiedział, że będzie bardzo zajęty: musi załatwić nowych dostawców larw effriki, które nadal nie dotarły do pałacu, i sprawdzić postępy remontu miejskiego domu Jabby po niedawnym pożarze. Jednak chyba najciekawszym z zadań, które go czekały, było spotkanie z tym człowiekiem, Lukiem Skywalkerem, który utrzymywał, że jest Mistrzem Jedi i który wysłał Jabbie w darze dwa roboty. Człowiek ten chciał negocjować wydanie Hana Solo, więc Fortuna zaprosił go do swojego domu w mieście, by zapoznać się z ofertą. Ten nagły wybuch zainteresowania zamrożonym Korelianinem rozbawił go. Niewykluczone że jeszcze zarobi na tym Solo.

- Byłoby to z korzyścią dla twojego pana gdyby Hana po prostu wypuścił - powiedział Skywalker.

Fortuna roześmiał się. Spodziewał się arogancji po kimś, kto miał czelność utrzymywać, że jest Mistrzem Jedi, i nie zawiódł się.

- Han Solo sporo kosztował Jabbę, młody Jedi - przypomniał. - Jakim cudem wypuszczenie go ot tak, po prostu, miałyby przynieść mojemu panu korzyść? Zresztą Imperium na pewno nie chciałoby, żeby ten Solo znowu wyszedł na wolność.

- Rząd się wkrótce zmieni - brzmiała odpowiedź Skywalkera.

I nagle mgła, która nie pozwalała Fortunie zrozumieć tego kawałka rzeczywistości, rozwiała się. Zorientował się, że w pałacu rozwija się jeszcze jedna, zdumiewająca intryga. Rebelianci chcieli odzyskać Hana Solo. Ten człowiek siedzący naprzeciw niego był członkiem Rebelii, a inni jej przedstawiciele już wcześniej zjawili się w pałacu: strażnik, te dwa roboty, jeśli nie ktoś jeszcze. Wszyscy byli częścią wielkiego spisku zmierzającego do uwolnienia Hana Solo z powodów, których nie potrafił sobie wyobrazić. Po co Rebelii przemytnik? Wiele elementów intrygi obracało się nadal w sferze prawdopodobieństwa - kluczowe elementy łamigłówek nie trafiły jeszcze na swoje miejsce. Fortuna wyraźnie to wyczuwał. Ale sprawa wzbudziła jego zainteresowanie. Warto obserwować ten scenariusz. Zachował te myśli dla siebie i sprowadził rozmowę z powrotem na tory finansowe.

- Jak powiedziałem, Solo wiele Jabbę kosztował. Jeśli w ogóle zgodzi się go wypuścić, będzie się spodziewał przynajmniej zapłaty za ładunek przyprawy, który Solo wyrzucił za burtę.

- Zapłacę wszystkie koszty, jakie Jabba poniósł w związku z Hanem, plus odsetki, jeśli to jedyny sposób, by go wydostać - zapewnił Skywalker. - Ale tobie nie chodzi przecież o pieniądze. Chcesz

pomóc swojemu ludowi, choć twój plan zaszkodzi im bardziej, niż pomoże. Uwolnij Hana, a kiedy obalisz Jabbę, przyłącz się do Rebelii. Nowa Republika weźmie Ryloth pod swoje skrzydła. Planeta nie zostanie zniszczona, co nieuchronnie czeka ją pod rządami Imperium, a ty zrealizujesz swój cel.

Fortuna przez chwilę nie był w stanie wykrztusić słowa. Ten młody człowiek był obdarzony potężną intuicją. Jego ton i uczciwość poruszyły serce Fortuny. Przez krótką chwilę zobaczył jasną wizję przyszłości, w której ludzie nie musieliby spiskować, intrygować i kłamać, jak on musiał robić przez całe życie. Ale ta chwila minęła. Fortuna poczuł, jak przytłaczający ciężar Imperium i stare nawyki zajmują w jego myślach miejsce jasnej wizji. Imperium nie zostanie pokonane. Nie mógł zawierzyć losu Twi'leków idealistycznym marzeniom tych żalonych Rebeliantów. Uważał, że jego własne plany są mimo wszystko najlepsze.

- Twoje słowa mnie poruszyły - odezwał się w końcu. Nie mógł się powstrzymać, by nie dodać czegoś na temat swojego zamiaru obalenia Jabby. - Pewne rzeczy, o których mówiłeś, nastąpią w ciągu kilku dni. Do tego czasu najlepiej będzie dla twojego przyjaciela, jeśli pozostanie zamrożony. Będzie najbezpieczniejszy w karbonicie podczas zamieszania jakie wtedy niewątpliwie zapanuje. Ale mylisz się, jeśli chodzi o pieniądze. Będę potrzebował olbrzymich kwot, by zrealizować moje marzenia. Jabba nie zaakceptuje twojej propozycji zapłaty wraz z odsetkami za Solo, choć oczywiście przekażę mu ją. Bądź jednak spokojny; kiedy nadejdzie właściwy moment, ja ją przyjmę.

Skywalker wstał i uklonił się, jakby spotkanie było skończone, choć Fortuna nie miał nawet czasu zaproponować mu szklanki wody z przyprawą czy wypełnić innych obowiązków gospodarza. Nie spodziewał się takiego pośpiechu, choć chyba wiedział, co było jego przyczyną. Gość chyba wyczuł, że Fortuna poznał prawdę o nim i jego planach. Te plany teraz się zmieniają co do tego Fortuna nie miał wątpliwości. Nie wstał ani nie odpowiedział na ukłon Skywalkera.

- A jednak wydam ci Solo - powiedział Jedi, Fortuna zaś wyczuł, że jego słowa nie wynikają z arogancji ani nie są czczą przechwałką lecz prostym stwierdzeniem czegoś, co Skywalker uważał za fakt.

- Rzeczywiście, odzyskasz przyjaciela gdy przyniesiesz mi pieniądze. Wiesz, kiedy przyjść - oznajmił.

Skywalker odwrócił się i odszedł.

Fortuna nie powiedział jasnookiemu młodemu mężczyźnie, jak zamierza dotrzymać danego słowa. Sprzeda mu to, co do tego czasu pozostanie z Hana Solo: jego mózg. To właśnie strażnicy dostarczą temu Jedi, kiedy odbiorą od niego pieniądze. Taka transakcja zwróci uwagę Imperium i poprawi notowania Fortuny w ich oczach.

Jabba odrzucił ofertę Jedi i nie pozwolił Fortunie wpuszczać do siebie Skywalkera - dokładnie tak, jak ten przewidywał. W ciągu dni, które potem nastąpiły, Fortuna obserwował Rebeliantów umieszczonych w pałacu. I roboty, i strażnik wypełniali swoje obowiązki doskonale. Potem do pałacu przeniknęli kolejni przedstawiciele Rebelii - przygarnięci do łona Hutta, można by wręcz powiedzieć: kobieta, Leia Organa, niegdyś księżniczka i senator Imperium, a teraz tańcząca niewolnica, odkąd zdemaskowała się idiotycznie, uwalniając Fortunę od kłopotu z wydobyciem Hana Solo z karbonitu, i Wookie Chewbacca, którego sprowadziła, by uwiarygodnić swoje nieudolne przebranie, a który przebywał teraz w celi ze swoim starym kumplem Solo. Ich plan niespecjalnie się powiódł - jego kluczowi gracze wyglądali na całkiem zadowolonych, podczas gdy pozostali wylądowali w więzieniu lub w niewoli. Fortuna uznał, że słusznie zrobił, nie pokładając zbyt wielkiego zaufania w Rebelii, jeśli tylko na tyle było ich stać, by kogoś uratować. Już bardziej

wierzył w plan kuchcika, który próbował otruć Jabbę.

Jednak była księżniczka zdołała dokonać jednej ważnej rzeczy, ogromnie dla niego przydatnej - przyniosła do pałacu detonator termiczny, który miał teraz Fortuna. Wykradł go Whiphidowi, który z kolei wykradł go księżniczce podczas zamieszania, jakie zapanowało, gdy została zdemaskowana. Nikt nie zapytał, co się stało z detonatorem, który sam w sobie stanowił doskonały plan awaryjny.

I wtedy pewnego ranka Fortuna obudził się nagle wcześniej niż wszyscy inni. Coś w pałacu było nie tak: wyczuwał obecność kogoś, kto nie powinien się tu znaleźć, i ten ktoś szedł właśnie do sali tronowej. Fortuna usiadł i wygładził szaty, a intuicja podpowiedziała mu, kto nadchodzi: Luke Skywalker. Fortuna cicho i szybko przeszedł przez uśpioną salę tronową i spotkał Skywalkera u szczytu schodów.

- Co ty tu robisz? - zapytał. - Wiesz, że Jabba nie przyjął twojej oferty i nie będzie z tobą rozmawiał. Musisz poczekać na mnie.

- Zaprowadzisz mnie teraz do Jabby - powiedział Skywalker. Żadnych wyjaśnień. Typowa arogancja.

- Zaprowadzę cię teraz do Jabby - odpowiedział Fortuna jak echo. Zatrzymał się na chwilę, pełen niepokoju, czy aby sztuczki, którymi Jedi wpływali na umysły, nie zakłóciły jego postępowania, ale szybko porzucił tę myśl. To przecież niemożliwe.

Spojrzał w dół na schody i na śpiącego Jabbę. Budzenie go o poranku było zadaniem, którego nie należało się podejmować lekkomyślnie, ale tym razem zaryzykuje. Nieudolni strażnicy ocknęli się w końcu i popatrzyli w jego stronę. Skywalker schodził po schodach za Fortuną, mamrocząc coś bez sensu o tym, jak dobrze służy swemu panu i że zostanie wynagrodzony. Fortuna nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przemówił do ucha Jabby:

- Luke Skywalker, ten Jedi, przyszedł, by z tobą porozmawiać. Jabba obudził się od razu, w dodatku wściekły, więc Fortuna przygotował się na atak.

- Mówiłem ci, żebyś go nie wpuszczał - warknął Jabba.

- Musisz pozwolić mi przemówić - odezwał się Skywalker. Próbował użyć swoich niezbyt subtelnym sztuczek, by wpłynąć na umysły wszystkich zgromadzonych w sali.

- Musisz pozwolić mu przemówić - powtórzył Fortuna ale Jabba zamachnął się i odepchnął go na ścianę.

- Ty miękkomózgi głupcze! Dałeś się zwieść jego sztuczkom! - ryknął.

Fortuna powoli wstał i przygładził szaty. Nikt na niego nie patrzył. Został zawstydzony w obliczu swoich popleczników. Niebezpieczny moment - planował dokonać przewrotu w ciągu kilku dni; teraz wiedział, że musi się to stać w ciągu kilku godzin. Powinien zmodyfikować swoje plany, i to szybko. Kiedy wypadnie z łask Jabby, nie pożyje długo.

Szybko przeanalizował sytuację. Może Jabba miał rację, że dał się zwieść sztuczkom Jedi; patrząc wstecz, Fortuna mógł uwierzyć, że Jedi faktycznie wpłynął na jego umysł, ale nie była to pora na zwątpienie. Nadszedł czas walki o życie. Zastanawiał się, jak wiele Jabba wie lub domyśla się na temat jego planów. Pewnie sporo: nie zareagowałby tak gwałtownie, gdyby nadal ufał Fortunie i jego osądowi. Fortuna omiótł intuicyjnym rozumieniem umysły swoich popleczników, a wynik zdumiał go i zaniepokoił: nie potrzeba było wielkich umiejętności, by wyczuć ich pogardę. Trzech z nich zastanawiało się nawet, czy nie zdemaskować intrygi Fortuny, który uświadomił sobie, że w tych okolicznościach będzie chyba musiał jeszcze bardziej przyspieszyć działania, zanim poparcie popleczników całkowicie wyparuje. Wtedy ten arogancki Jedi wpadł do pieczary rankora. W

zamieszaniu, które zapanowało, gdy wszyscy stłoczyli się, by patrzeć, jak Skywalker ginie, nikt nie zauważył, że Fortuna wymknął się na chwilę. Wkrótce powrócił. Choć jego plany wymagały błyskawicznej modyfikacji - z kilku dni zostało mu kilka godzin, może nawet minut - wiedział, że sobie poradzi. Zaciśnął dłoń na detonatorze termicznym, który miał w kieszeni.

Sytuacja zmieniała się z minuty na minutę: ku zaskoczeniu wszystkich obecnych Skywalker zabił rankora. Dlaczego nie przybył do pałacu wcześniej? - pomyślał Fortuna. Nat nadal byłby w swoim ciele, a cenni niewolnicy - w tym utalentowana tancerka - nadal by żyli. Jabba właśnie rozkazał, by Skywalkera, Wookiego i Solo wtrącono do jamy Sarlaccy. Rozpoczęto przygotowania, aby każdy, kto choć trochę się liczył na dworze Hutty, mógł polecieć jego barką żaglową i obserwować egzekucję. Fortuna i czternastu innych spiskowców zobaczyło w końcu szansę, na którą wszyscy czekali.

Jabba nigdy nie powróci żywy z tej wyprawy.

Fortuna postanowił odpalić detonator termiczny, gdy tylko opuści barkę; zabije wówczas Jabbę i wszystkich, którzy byli świadkiem jego wstydu. Żałował, że prawdopodobnie straci również ciało Solo, ale przecież wkrótce znajdzie dla Nata inne. Metodycznie kończył przygotowania do przewrotu. Umieścił na barce prywatnego skiffa, by mieć czym uciec z jej pokładu. Wydał mnichom rozkazy, by przejęli kontrolę nad pałacem, gdy wszyscy udadzą się z Jabbą na pustynię. Uruchomił kody, które zamroziły konta Jabby.

Jego spisek był więc w toku.

Podobnie jak wszystkie pozostałe. Fortuna całą drogę rozmyślał nad sposobami, które miały pozbawić Jabbę życia, zanim wycieczka dobiegnie końca. Sytuacja była zabawna. R2-D2, jeden z rebelianckich robotów, podjechał i zaproponował mu drinki, małe kanapki i marynowane larwy effrikim (które w końcu nadeszły) - te na pewno przypadną do gustu Jabbie i na pewno go zabiją bo były zatrute. Połowa drinków również była zatruta. Trucizna miała działać wolno: osoby, które ją połkną przez dłuższy czas nie zauważą skutków jej działania. Fortuna orientował się, które szklanki są bezpieczne, więc pił swobodnie. Przyglądał się, jak Jabba zjada garść larw effrikim i jak zaczyna się proces jego śmierci. Dotknął detonatora termicznego, by się upewnić, że działa.

C-3PO zbliżył się do niego i uklonił się.

- Panie Fortuna - zagadnął. - Czy mogę zadać pytanie?

- Oczywiście.

- Czy kogokolwiek udało się uratować z trzewi Sarlaccy?

- O ile wiem, to nie - odparł Fortuna i odwrócił się.

Nie chciał zwracać sobie głowy takimi sprawami, a jednak zaciekawiło go, dlaczego robot miałby się interesować możliwością uratowania kogoś z trzewi Sarlaccy. Intuicja nic mu nie podpowiadała - trudno jest wykryć motywy postępowania istot mechanicznych. Może właśnie był świadkiem narodzin kolejnego spisku: spisku robota, który pragnął uratować w jakiś sposób swojego byłego pana. Poruszyło go to. Pomyślał, że bardzo by mu się podobało, gdyby sam był obiektem takiego oddania. Odwrócił się z powrotem do robota.

- See-Threepio - powiedział cicho. - Mój prywatny skiff jest ukryty pod kratą wentylatora na rufie. Idź tam i czekaj obok. Kiedy zobaczysz, że biegnę w jego stronę, odsłoń skiff i wsiadaj na jego pokład.

Ale robot nie zdołał nigdy dotrzeć do skiffa. Został na pokładzie widokowym, by przyglądać się egzekucji, bo sprawy potoczyły się wbrew wszelkim oczekiwaniom. Zabicie Rebeliantów okazało się trudniejsze, niż Jabba przypuszczał; wywiązała się walka. W zamieszaniu Fortuna stracił z oczu

C-3PO. Nigdy się nie dowiedział, co się stało z robotem. Został na barce tylko tak długo, by przekonać się, co w końcu zabije Jabbę. Nie była to trucizna. Nie był to żaden z zabójców, na których czekały nagrody. Nie był to wreszcie detonator termiczny. To Leia, była księżniczka, udusiła Jabbę własnym łańcuchem. Fortuna patrzył, jak Jabba umiera, a potem pospieszył do swojego skiffa.

Pomyślał, że zawsze powinno się oczekiwać nieoczekiwanego. Taki już był wszechświat: lubił zaskakiwać.

Droga powrotna była dla Fortuny czystą przyjemnością. Eksplozja detonatora termicznego nastąpiła dokładnie wtedy, kiedy się jej spodziewał, a fala uderzeniowa była jak przyjemny wiatr - wiatr zmian. Nie napotkał żadnych Pustynnych Ludzi, żadnych burz piaskowych, żadnych Jawów. Jakby po eksplozji pustynia czekała na coś jeszcze.

Kiedy dotarł do pałacu, zapadał już wieczór. Bramy otwarły się przed nim. Na jego spotkanie wyszli mnisi - udało im się przejąć pałac.

- Mistrzu Fortuna - zaczął jeden z nich - czy sprawy na barce potoczyły się tak, jak planowałeś?

- Jabba nie żyje. Ja tu teraz dowodzę. Zwołajcie najważniejszych mnichów do sali tronowej, muszę z nimi porozmawiać.

Uważał, żeby nie powiedzieć „do sali tronowej Jabby”. Teraz należała do niego.

Pospieszył do sali i zaczął wstukiwać ważne informacje do pałacowego systemu bezpieczeństwa: musiał pozmienić hasła głosowe, przyznać lub anulować przepustki, postawić automatyczne systemy obrony w stan pełnej gotowości. W chwilach takich jak ta należało się spodziewać ataków z różnych stron.

Nagle jednak główny terminal zgasł. Potem zgasły wszystkie pozostałe. Światła nad głową zamigotały i też zgasły. Pozostały tylko świece i pochodnie w ściennych wnękach.

Szybko przeszedł przez salę ku drzwiom - by przekonać się, że są zamknięte i zablokowane.

Wszystko stało się tak cicho.

Fortuna od razu wiedział, co się wydarzyło.

Mnisi zdradzili go. W jakiś sposób wyczuli jego prawdziwe zamiary. Powinien był wiedzieć, że nie będą sobie życzyli zastąpienia jednego gangu kryminalistów drugim, kiedy mogli mieć cały pałac tylko dla siebie. Nie trzeba było specjalnej intuicji, by się tego domyślić. Nagle zaczął się zastanawiać, czego tak naprawdę nauczyli go mnisi o intuicji - dziecinnych sztuczek, najprostszych wprawek? A przecież były w tym głębie, których istnienia nawet nie podejrzewał.

Ale z sali tronowej i pałacu było wiele wyjść. Może jeszcze zrealizować swój przewrót, działając z miejskiej rezydencji w Mos Eisley, a dopiero potem wrócić, by odebrać pałac mnichom.

Pospieszył w stronę pierwszego tajnego wyjścia, ale było zablokowane. Podobnie jak każde inne. Fortuna podbiegł do tronu Jabby i wcisnął guzik uruchamiający zapadnię do pieczary rankora - były z niej dwa tajne wyjścia. Krata jednak nie opadła.

Znalazł się w pułapce.

Tajne schowki na broń były puste. Miał wprawdzie swój blaster, ale jednym blasterem nie powstrzyma armii mnichów.

I wtedy jeden z terminali obudził się do życia. Na ekranie pojawiła się wiadomość. Fortuna podszedł bliżej i przeczytał:

Szybko szedłeś ścieżką duchowego rozwoju, bracie Fortuno. Twoja droga dobiegła końca. Przygotuj się na osiągnięcie stanu oświecenia.

Fortuna przytrzymał się ekranu, bo przez chwilę zabrakło mu oddechu, a potem spróbował

wpisać odpowiedź. Terminal jej nie przyjął. Chciał potargować się z najwyższymi mnichami - tym razem uczciwie - ale wątpił, by go wysłuchali. Zresztą to nie oni przyjdą po niego do sali tronowej. Wiedział, kto przyjdzie.

Przysiadł na brzeżku tronu Jabby i położył ręce na kolanach. Wiedział, że to jedna z ostatnich chwil, kiedy czuje, że ma ręce, i nagle stały mu się bardzo drogie. Spojrzał na swoje ciało, i ono również nagle stało mu się drogie.

Przez chwilę zastanawiał się nad nieważnymi pytaniami, na które pewnie nigdy nie znajdzie odpowiedzi: ilu z dworaków Jabby zdołał otruć kucharz na barce, zanim otruł Jabbę? Ile czasu zajmie mnichom wysprzątanie piasku, które całe pokolenia kryminalistów naniosły do pałacu? Co zrobią kucharze z tłuszczem, który kazał im gromadzić?

W korytarzu za drzwiami sali tronowej usłyszał dźwięk, który trudno było pomylić z innym. Wyciągnął blaster i przez chwilę zastanawiał się, czy się nie zastrzelić, ale nie zrobił tego. Odłożył broń na pusty tron i słuchał coraz bliższych zgrzytów wózka toczzonego przez chirurgów.

WIELKI BÓG QUAY opowieść o Baradzie i Weequayach

George Alec Effinger

Barada pochodził z Klatooine i co noc śnił, że nadal tam jest, że czuje świeży powiew wiatru na twarzy. W tych snach twarz miał naturalnie jeszcze nie zdeformowaną i bez blizn ani też nie był faktycznym więźniem i niewolnikiem Hutta. W nocy, kiedy spał na swojej pryczy, Barada wciąż był młody, pełen nadziei i planów, by zostawić za sobą Klatooine i szukać przygód na jednej z ciekawszych planet rozległego Imperium.

Potem nadchodził ranek i Barada się budził. Musiał zamrunąć kilka razy, zanim zbledną senne wspomnienia rodziny i rodzinnego domu. Klatooine, myślał wtedy posępnie. Przygody. Siadał i pocierał twarz dużymi, silnymi dłońmi. Wiedział, że nigdy już nie zobaczy rodzinnej planety. Resztę życia spędzi na pustynnej Tatoonie, reperując grawiflotę Jabby.

Barada wzruszył ramionami. Nie gorszy sposób na życie niż inne, a od niektórych nawet lepszy. Brakowało mu jedynie wolności, ale w Imperium było to dość powszechne. Jego potrzeby zaspokajano, a jeśli chodzi o zachcianki, to wolno mu było marzyć o nich, ile tylko zechciał.

Tego ranka jedynym zmartwieniem Barady było znalezienie sześciu trzpieni do mocowania łożysk dla robota AE-35, który pomagał mu w konserwacji floty pojazdów Jabby. Transport części zamiennych, które Barada zamówił wiele tygodni temu, nigdy nie nadszedł, więc jeśli nie znajdzie odpowiednich trzpieni na śmietniku, będzie musiał sam wytoczyć je w warsztacie.

Dzień wstawał jasny i czysty nad Morzem Wydm; taką pogodę Hutt lubił najbardziej. Barada przymrużył oczy, wychodząc z baraków w ostre słońce. Przeszedł zaledwie parę metrów, gdy dołączyło do niego dwóch uzbrojonych strażników, Weequayów. Zajęli stanowiska po obu jego bokach.

- Co takiego zrobiłem? - zapytał Barada. - Co niby przeskrobałem? Szaroskórzy Weequayowie nie odpowiedzieli. Barada nigdy zresztą nie słyszał, by się odzywali. Ale cały czas szli obok niego, z gotowymi do użycia pikami energetycznymi.

- Hutt was po mnie przysłał? - zapytał.

Weequayowie milczeli. Barada skrzywił się w stronę śmietnika na tyłach pałacu Hutta; Weequayowie poszli za nim. Należeli do najbardziej bezlitosnych wojowników w świecie Hutta, ale gdyby chcieli Baradę zabić, zranić czy zakuć w kajdany, to już by to zrobili. Weequayowie byli chyba najbardziej zagadkową rasą w Imperium, Barada postanowił więc na razie ich ignorować. Miał zamiar zachowywać się tak, jakby ich nie było, i robić jak gdyby nigdy nic wszystko, co sobie zaplanował na ten poranek.

Rozpalone letnie słońca i pustynny klimat sprawiały, że śmietnik nie było miejscem przyjemnym. Barada wyczuł smród, zanim jeszcze je zobaczył. Śmieci i odpadki wszelkiego rodzaju tworzyły olbrzymią hałdę. Klatooinianin pokręcił głową i zmarszczył czoło. Naprawdę nie miał

ochoty tego robić, ale po chwili brodził niemało po pas w stercie gnijących odpadków i zdezelowanych części mechanicznych, szukając sześciu drobnych metalowych przedmiotów.

- Może mi pomożecie, chłopaki? - zapytał, zasłaniając oczy dłonią. Weequayowie tylko na niego popatrzyli. Barada wymruczał pod nosem przekleństwo w ojczystym języku i zabrał się do pracy.

Pięć minut później mechanik dokonał odkrycia. Nie znalazł sześciu trzpieni do łożysk, których szukał w stercie odpadków, ani żadnych innych przydatnych części. Tym, co odkrył, był trup.

- Ak-Buz - mruknął Barada, rozpoznając zwłoki. Ak-Buz, kapitan barki żaglowej Hutta.

Weequayowie spojrzeli po sobie i podeszli bliżej. Nadal nic nie mówili, ale przynajmniej okazali jakieś zainteresowanie. Razem wyciągnęli ciało Ak-Buza ze śmietnika i położyli je na ziemi.

Barada stęknął.

- Żadnych znaków - powiedział. - Ktokolwiek go zabił, nie pozostawił na ciele żadnych śladów. - Patrzył to na jednego Weequaya, to na drugiego. - Anzata, to na pewno Anzata. Oni nie zostawiają żadnych śladów.

Jeśli nawet Weequayowie byli pod wrażeniem, to nie okazali tego. Przykucnęli obok ciała Ak-Buza i badali je przez kilka minut. Potem wstali i zaczęli się oddalać. Barada poszedł za nimi.

- Ostatnimi czasy pojawia się sporo trupów - zauważył. Weequayowie zatrzymali się i odwrócili w jego stronę. Jeden z nich podniósł rękę i oparł ją na piersi Barady. Drugi wskazał na śmietnisko.

- Jasne - powiedział mechanik. - To nie moja sprawa. Zrozumiałem. Pójdę lepiej poszukać tych trzpieni. Chcecie, żebym coś zrobił z waszym kumplem Ak-Buzem?

Oczywiście nie doczekał się odpowiedzi.

Weequayowie oparli piki na ramionach i równym krokiem ruszyli w stronę swoich kwater. Patrzyli prosto przed siebie, nie zmieniając ani na chwilę wyrazu twarzy, zanim nie doszli do niewielkiego budynku, w którym mieszkał kontyngent Weequayów. Hutt zatrudniał wielu przedstawicieli tej rasy, w tej chwili jednak byli zajęci swoimi sprawami, budynek świecił więc pustkami.

- Teraz sami - odezwał się Weequay.

- Możemy rozmawiać - powiedział drugi Weequay. Weequayowie nie mieli imion, ale jakoś nigdy im to nie przeszkadzało.

- Kłopoty. Weequay przytaknął. Odłożył pikę energetyczną na łóżko.

- Za dużo trupów.

- Nawet głupi Barada to wie. Weequayowie umilkli, najpewniej zastanawiając się, co z tym fantem zrobić.

- Musimy odbyć naradę - powiedział w końcu jeden z Weequayów.

- Zgoda - przytaknął drugi.

Obaj Weequayowie usiedli przy drewnianym stole naprzeciwko siebie. Jeden położył na stole paski papieru i pióra. To była pierwsza czynność, jaką należało przeprowadzić na porządnej naradzie Weequayów: wybrać władze.

- Jest nas dwóch. Jeden będzie przewodniczącym, a drugi sekretarzem i skarbnikiem.

- Zgoda. Każdy z nich wziął czystą kartkę i pióro, oddał swój tajny głos i złożył kartkę na pół.

- Odczytamy je razem. - Rozłożyli kartki i policzyli głosy. - Dwa głosy na Weequaya na przewodniczącego, i dwa głosy na Weequaya na sekretarza i skarbnika.

- A więc załatwione - powiedział drugi. - Ja jestem teraz przewodniczącym. Ty, sekretarzu, musisz protokołować przebieg posiedzenia, żeby można je było później przeanalizować.

Weequay pełniący funkcję sekretarza postawił na środku stołu małą elektroniczną nagrywarę.

- Dobrze. Teraz pytam: czy powiemy Jabbie o tym najnowszym morderstwie? Sekretarz pokręcił głową.

- Nie możemy. Musimy najpierw znaleźć mordercę. Chwila ciszy.

- Musimy zapytać boga - powiedział przewodniczący.

- Zapytać boga - zgodził się sekretarz. Żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego z tego rozwiązania.

Weequayowie czcili wiele bóstw, z których większość uosabiała siły natury i zwierzęta z ich ojczystej planety. Jednym z głównych bogów był Quay, bóg księżyca - słowo „Weequay” oznaczało „kroczący drogą Quaya”. Wielu Weequayów kontaktowało się bezpośrednio z tym bogiem poprzez urządzenie, które również nazywało się quay. Była to biała kula o mniej więcej dwudziestocentymetrowej średnicy, wykonana z niezwykle odpornego plastiku. Quay rozpoznawał mowę i odpowiadał na proste pytania. Weequayom przedmiot ten przypominał księżyc ich rodzinnej planety; wierzyli oni, że cząstka lunarne bóstwa zamieszkuje w każdym quayu. Nigdy się nie zorientowali, że quaye były wytwarzane hurtowo przez przedstawicieli gatunków obdarzonych nieco większą wyobraźnią i nie było w nich nic nadprzyrodzonego. Przewodniczący naradzie Weequay wyjął błyszczącą białą kulę ze skórzanej torby.

- Usłysz nas, o Wielki Bożku Quayu! - zaintonował. - Przychodzimy do ciebie po wskazówkę i radę. Czy zechcesz wysłuchać nas, twoich wiernych wyznawców?

Minęło kilka sekund. W końcu kula przemówiła cienkim, mechanicznym głosem:

- Zdecydowanie tak.

Weequayowie pokiwali głowami. Czasami Wielki Bożek Quay nie był w nastroju do odpowiadania na pytania i potrafił uparcie milczeć całymi godzinami, a niekiedy nawet dłużej. W obliczu niewyjaśnionej śmierci kilku służących Hutta - w tym również kapitana barki, Ak-Buza - Weequayowie wiedzieli, że potrzebują natychmiastowej pomocy.

- My, twoi prawdziwi czciciele, wysławiamy cię, o Wielki Bożku Quayu, i dziękujemy ci. Czy wyjawisz nam tożsamość nikczemnego mordercy kapitana Ak-Buza?

Weequayowie wstrzymali oddech. W ciszy słychać było tylko szum wentylatorów w barakach i nic ponadto. Po chwili mechaniczny głos oznajmił:

- Jestem przekonany, że tak. Bożek był dziś zdecydowanie skłonny do współpracy!

- Czy zabójca jest w tym pokoju? - zapytał przewodniczący. Sekretarz groźnie wyszczerzył na niego kły. - To pytanie było konieczne - wyjaśnił przewodniczący.

- Skup się i zapytaj jeszcze raz - odpowiedział biały quay. Przewodniczący zacisnął powieki i powtórzył:

- Czy zabójca jest w tym pokoju?

- Nie powinienem ci tego teraz mówić - powiedziała boska kula.

- Słyszałeś? - wrzasnął przewodniczący. - Wiedziałem, że to ty! - Weequay sięgnął ręką ponad stołem i złapał sekretarza za tunikę.

- To nie ja! Przysięgam! - wrzasnął przerażony sekretarz. - Wielki Bożek Quay nie powiedział, że to ja! Zapytaj go jeszcze raz!

Przewodniczący niechętnie puścił Weequaya i spojrzał w dół na leżącą między nimi wieszczą kulę.

- Błagamy cię o odpowiedź, Wielki Bożku Quayu! Czy zabójca jest w tym pokoju?

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko.

- To bardzo wątpliwe. Weequayowie się uspokoili.

- Co za ulga - powiedział przewodniczący. - Nie chciałbym wydać cię na pastwę Jabby.

- Ale nadal nie wiemy, kto jest mordercą - przypomniał sekretarz. - Musimy się dowiedzieć, czy będą kolejne ofiary.

Przewodniczący pokiwał głową. Zaczął sobie uświadamiać, że ich relatywne powodzenie w przyszłości zależeć będzie od tego, czy zdołają wyjaśnić tę zbrodnię i przedstawić swojemu podejrzliwemu pracodawcy zgrabne i sensowne wytłumaczenie. Hutt nie tolerował niekompetencji, a strażnicy, którzy nie umieli pilnować, bardzo szybko mogli się znaleźć na zupełnie niewłaściwym końcu czyjegós łańcucha pokarmowego.

- Czy ktoś jeszcze z otoczenia Jabby zostanie zamordowany? - zapytał przewodniczący.

Z leżącego na stole quaya wydobył się metaliczny zgrzyt. Weequayowie spojrzeli po sobie, a potem jednocześnie spuścili wzrok na białą kulę.

- To pewne - powiedział cienki głosik. Sekretarz pochylił się nad urządzeniem.

- Czy ja umrę? - zapytał cicho.

- Bez wątpienia - odpowiedział momentalnie quay.

- Weequayu - powiedział przewodniczący - marnujesz tylko czas. Oczywiście, że umrzesz. Każdy, kto żyje, kiedyś umrze. Ucisz się, a ja zdobędę więcej informacji. O Wielki Bożku Quayu, jakiej broni szukamy? Czy to blaster?

- Nie licz na to - odparła kula.

- W takim razie jakiś karabin?

- Moja odpowiedź brzmi: nie. Przewodniczący przerzucił warkocz przez lewe ramię.

- Czy to jakiś rodzaj broni miotającej?

- Moja odpowiedź brzmi: nie.

- A może nóż? Czy bronią mordercy jest nóż? Sekretarz walnął pięścią w stół.

- W ciele Ak-Buza nie było ran od noża - powiedział.

- Lina lub sznur jedwabny? - zapytał przewodniczący. Sekretarz przyglądał mu się z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Śladów duszenia też nie było. Zobaczylibyśmy je. Zagadka stawiała się zbyt trudna jak na ograniczone możliwości umysłów Weequayów.

- Tyle zgonów - powiedział przewodniczący. Nagle sekretarz wybałuszył oczy.

- Różne metody. Dlaczego?

- I kto? - dodał przewodniczący. Przez chwilę tarł podbródek, a potem oparł dłonie płasko na stole, po obu stronach świętego quaya. - O, Wielki Bożku Quayu, powiedziałaś nam, że jeszcze przynajmniej jedna osoba zginie. Czy ta śmierć również nastąpi inną metodą niż pozostałe?

- Rokowania są dobre. - Tyle tylko miał im do powiedzenia quay.

- Nie blaster - powiedział zamyślony sekretarz. - Nie karabin. Nie nóż. Nie lina. Czy chodzi o trujący gaz?

- Moja odpowiedź brzmi: nie - odparł Wielki Bożek Quay.

- Zastrzyk z trujących substancji?

Quay wydał z siebie odgłos przypominający zgrzytanie zębami.

- To bardzo wątpliwe.

- Czy to może te maleńkie pozaświatowe istoty, które zarażają ciało i mordują nosiciela dużo

później, dzięki czemu morderca może sobie wyrobić alibi?

Quay milczał przez dłuższą chwilę, jakby rozważał tę dziwną możliwość.

- Moje źródła wskazują, że nie.

Na zewnątrz gorące słońca Tatooine wspinały się coraz wyżej po niebie. Barada pracował w swoim warsztacie, nadzorując konstrukcję i instalację sześciu nowych trzpieni do łożysk jednostki AE-35. Hutt przekazał mu wiadomość, że po południu wybiera się na przejażdżkę barką żaglową. A że Ak-Buz witał się teraz z przodkami w swojej wersji nieba, Barada uznał, że pewnie sam będzie musiał pilotować ogromny statek. Robił to już kiedyś, gdy Ak-Buz stawiał się do pracy w stanie dalekim od trzeźwości.

Przez ten czas Weequayowie mozolnie usiłowali wydobyć jakiegokolwiek pożyteczne informacje od quaya. Chodziło po prostu o to, by zadawać właściwe pytania. Jeśli Weequayowie wpadną w końcu na odpowiedni rodzaj broni, a potem na osobę mordercy, Wielki Bożek Quay da im znać, że odnieśli sukces. Mijał jednak czas, a oni na próżno wymieniali jedną po drugiej nazwy najróżniejszych przedmiotów, od ostrych narzędzi po stertę słomy w pobliżu śmietniska.

- Ak-Buz mógł zostać uduszony żdźbłem słomy - upierał się przewodniczący. - To zupełnie możliwe.

- A mówisz, że to ja marnuję czas - stwierdził z urazą sekretarz. - O, Wielki Bożku Quayu, czy kapitan barki został utopiony w wiadrze wody?

- Nie licz na to. - Na szczęście quay był cierpliwszy niż przeciętne bóstwo.

- Czy broń zaczyna się na literę „a”? - zapytał przewodniczący. Drugi Weequay rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- No, teraz to nie wyjdziemy stąd przed nocą! Co za głupi sposób, by...

- Moja odpowiedź brzmi: nie - orzekła boska kula.

- Na literę „b”? - zapytał przewodniczący.

- W ten sposób nigdy się niczego nie dowiesz - powiedział sekretarz. - Wnioskuje o nowe wybory...

- Zdecydowanie tak. Obaj Weequayowie spojrzeli na białą plastikową kulę.

- Na literę „b”? - powiedział sekretarz.

- „B” jak... co? - zapytał przewodniczący. - Blaster? Nie, o to już pytaliśmy. Bantha? Czy morderca zabije następną ofiarę przy pomocy bantha?

W baraku zapadła pełna napięcia cisza.

- Nie jestem w stanie tego teraz przewidzieć. Przewodniczący wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Czy morderca zabije następną ofiarę przy pomocy bantha? Tym razem quay nie wahał się.

- Moja odpowiedź brzmi: nie. Weequayowie przeszli przez cały alfabet, wypróbowując każdy przedmiot i każdą technikę, jaka zdołała im przyjść do głowy. W końcu, kiedy trzech innych uzbrojonych Weequayów weszło do baraku, sekretarz zapytał:

- Bomba? Czy to bomba? Na barce żaglowej?

- Znaki wskazują że tak - powiedział mechaniczny głos. Cała piątka Weequayów westchnęła.

- O, Wielki Bożku Quayu! - zaintonował przewodniczący zachrypniętym głosem. - Twoi wierni wyznawcy dziękują ci. Wykorzystamy twój proroczy dar, by ochraniać twe sługi. Wychwalamy twą mądrość i potęgę.

Jeden z nowo przybyłych Weequayów podszedł do stolika.

- Co to znaczy? - zapytał.
- Ak-Buz nie żyje - powiedział sekretarz.
- Na pokładzie barki żaglowej jest bomba - dodał przewodniczący.
- Musimy ją znaleźć - poinformował trzeci Weequay.
- Musimy ją rozbroić - oznajmił czwarty.
- Musimy ukarać... kogo? - zapytał piąty. Sekretarz spojrział na przewodniczącego.
- Czy nazwisko mordercy zaczyna się na literę „a”? - zapytał przewodniczący. Sekretarz milczał; zamknął oczy i potarł dłonią bolące czoło. Zapowiadał się długi dzień.

Barada nie puścił swoich podwładnych na posiłek w południe, dopóki jednostka AE-35 nie została naprawiona i umieszczona z powrotem na barce żaglowej. Nie była to trudna praca, ale Barada był niezwykle skrupulatnym szefem. Musiał być. W razie najdrobniejszej usterki w funkcjonowaniu jakiegokolwiek mechanizmu, która zakłóciłaby przejażdżkę Jabby, to właśnie Barada byłby następnym trupem znalezionym na śmietniku. Nie zamierzał do tego dopuścić.

Dokładnie sprawdził mocowania i kable, a potem zsunął pokrywę jednostki na miejsce i zatrzaskał ją.

- W porządku - zdecydował, ocierając dłonią pot nad brwi. - Coś jeszcze? Mai Hyb, utalentowana dziewczyna i prawa ręka Barady, spojrzała na notes komputerowy.

- Wszystkie testy diagnostyczne dały zielony wynik - powiedziała. Mechanik skinął głową.
- Teraz chyba już nic więcej nie zrobimy. W porządku, godzina przerwy na lunch. Sprawdzimy barkę później jeszcze raz, zanim Hurt wejdzie na pokład.

Mai Hyb zmarszczyła czoło. Wszyscy w warsztacie cenili ją wysoko jako niezwykle zdolną spawaczkę. Choć o ponad pół metra niższa od Barady i znacznie drobniejsza, była też cennym sojusznikiem w razie bójki. Jej umiejętności zawsze zaskakiwały przeciwników.

- Dalsze testy? - zapytała. Barada stęknął.
- Nie pracujesz dla Hutta tak długo, jak ja. Gdyby to ode mnie zależało, to ta załoga przeprowadzałaby testy dzień i noc. Widziałem, jak Hurt kazał stracić jednego z członków załogi, bo okiennice skrzypiały.

Mai Hyb pokręciła głową i odeszła. Barada usłyszał hałas za plecami, odwrócił się i zobaczył pięciu Weequayów, którzy wmaszerowali rzędkiem do hangaru. Nie spodobało mu się to.

- Weequayowie podeszli do niego, a jeden z nich machnął ręką w stronę barki.
- Chcecie wejść na pokład? - zapytał Barada. - Po co? Nadal próbujecie ustalić, kto zabił Ak-Buza?

Rzecznik Weequayów przytaknął.

- Nic z tego - powiedział Barada. - Całe rano przygotowaliśmy barkę do drogi i nie życzę sobie, żeby twoja banda skórzastych ryjów mi tam buszowała.

Drugi Weequay wyciągnął papierową torbę. Barada wziął ją, otworzył i zajrzał do środka.

- Faworki - stwierdził zaskoczony. - Faworki Porcellusa?

Kolejny Weequay przytaknął.

- No dobra, niech wam będzie - powiedział mechanik. - Każdy musi robić swoje. Tylko niczego nie dotykajcie.

Piątka Weequayów uformowała szereg i weszła na pokład barki. Barada usiadł sztywno na betonie i wyjął pierwszego faworka z torebki.

Weequayowie kręcili się po barce, nie bardzo pewni, czego właściwie mają szukać. Bomby,

naturalnie, ale jakiej? Jak dużej? I gdzie? Na barce było z milion miejsc, gdzie można było ukryć bombę.

Przewodniczący cały czas niósł ze sobą quaya, do którego mruczał:

- Czy nazwisko zabójcy zaczyna się na literę „v”? Vader? Valarian? Venti Paz? Quay zaczął się jękać.

- W...

- Tak? - zachęcił kulę Weequay.

- W...

- O, Wielki Bożku Quayu, co próbujesz nam powiedzieć? - przewodniczący potrząsnął wieszczą kulą z zaskakującym brakiem szacunku. - „W”... Wookie? Czy o to chodzi? Czy to Wookie jest mordercą?

- To chyba niemożliwe - powiedział sekretarz.

- W... - powiedział quay.

- Weequay? - zapytał przewodniczący. - To niemożliwe! Weequay winien morderstwa?

- W... Trzeci z Weequayów zaczął się przysłuchiwać rozmowie.

- Coś nie tak? - zapytał.

- Nie wiem - powiedział przewodniczący. - Wielki Bożek Quay ma wyraźnie jakieś kłopoty z komunikacją.

- W...

- Whiphid? - zapytał sekretarz.

- W zasadzie tak - wykrztusiła w końcu plastikowa kula.

- Ach! - powiedział przewodniczący. - Tajemnica rozwiązana. To Whiphid podrzucił bombę na pokład.

Pięciu Weequayów pokiwało głowami. Byli zadowoleni, że w końcu poznali prawdę. Stali wszyscy w prywatnym saloniku Jabby, przekładając piki energetyczne z jednej ręki do drugiej. Przewodniczący trzymał w ręku milczącego teraz quaya.

- Oczywiście - powiedział z namysłem sekretarz - jest jeszcze bomba na pokładzie. A my nadal tu będziemy, gdy wybuchnie. Musimy nadal szukać.

- Szukać! - potwierdził jeden z Weequayów.

- Tak - powiedział przewodniczący. - Wy czterej idźcie przeszukać barcę. Ja skonsultuję się z Wielkim Bożkiem Quayem.

Czterech Weequayów ruszyło nerwowo na poszukiwania bomby. Otwierali szafki, przewracali meble, odrywali płyty poszycia w poszukiwaniu ukrytych schowków. Tymczasem przewodniczący usiadł przy stole z wieszczą kulą i zaczął pytać:

- Czy bomba jest pod purpurową poduchą?

- Bardzo wątpliwe.

- Czy bomba jest pod złotą poduchą?

- Nie licz na to.

- Czy bomba jest ukryta pod jedwabiem?

Przewodniczący uświadomił sobie, że nie robi zbyt dużych postępów, ale nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić. Był dobrym, uczciwym, prostodusznym Weequayem, ale miał też w końcu wszystkie ograniczenia swojej rasy.

Po godzinie zaczęli przybywać goście i służący Hutta, by przygotować barcę do jednodniowej

wycieczki. Niektórzy z nich rzucali podejrzliwe spojrzenia na Weequayów, ale ponieważ Weequayowie służyli jako ochroniarze na barce, nikt nie przeszkadzał im w poszukiwaniach.

- Spróbujcie wmieszać się w tłum - szeptął przewodniczący do swoich towarzyszy. Nadal przeszukiwali barcę od dziobu po rufę, ale teraz starali się przy tym wyglądać jak gdyby nigdy nic. Jednak w miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że bomba wybuchnie i rozpyli ich wszystkich na pojedyncze atomy. Nawet Weequayowie byli w stanie to zrozumieć.

Wydano rozkaz do odlotu; na razie nie pojawiły się żadne oznaki zagrożenia. Goście bawili się doskonale, częstując się jedzeniem Hutta i próbując jego drinków, co jeszcze bardziej utrudniało poszukiwania. Przewodniczący znalazł się nagle oko w oko ze złośliwym trójjokim Granem, Ree-Yeesem. Weequay odwrócił się i zadał pytanie kuli:

- Czy bomba jest w sterówce?

Ku jego bezbrzeżnej irytacji, quay odpowiedział:

- Odpowiedź jest mglista. Spróbuj jeszcze raz. - Sfrustrowany Weequay miał ochotę cisnąć kulą o podłogę, ale w ten sposób tylko zwróciłby na siebie uwagę, a sam Wielki Bożek Quay postarałby się pewnie, by spotkała go jakaś straszliwa kara. Przewodniczący przyglądał się, jak złośliwy robot protokolarny rozmawia z jednostką R2 roznoszącą napoje.

- Panie przewodniczący... - rozległ się nagle obok niego cichy głos.

Weequay odwrócił się. W pobliżu stało czterech jego towarzyszy. Jeden trzymał w ręku przedmiot przykryty kwadratem zielonej satyny.

- Czy to... to? - zapytał szeptem przewodniczący.

Pozostała czwórka Weequayów pokiwała głowami. Przewodniczący uniósł róg tkaniny i zobaczył detonator termiczny.

- Musimy go rozbroić. Potajemnie. Po cichu.

Zespół wygrywał swoją rozdzierającą uszy muzykę. Goście kręcili się dookoła nieświadomi zagrożenia. Tymczasem Weequayowie stłoczyli się nad bombą i gorączkowo zabrali się do rozbrajania detonatora. Oczywiście na barce były odpowiednie narzędzia, ale problem polegał na tym, że dwóch Weequayów nie zgadzało się co do metody rozbrajania.

- Przerwij teraz ten obwód na płycie - zaproponował sekretarz.

- Chcesz nas pozabijać? - zapytał przewodniczący. - Przetnij zielony i żółty kabel. Dopiero potem przerwij obwód.

- Tu nie ma zielonego kabla - upierał się sekretarz. - Jest tylko żółty i szary.

- Nie rozróżniasz kolorów - oburzył się przewodniczący.

- Pospieszcie się! - popędzili ich pozostali.

- To mój obowiązek - oznajmił przewodniczący. Wziął detonator i narzędzia. Najpierw przeciął zielony kabel, potem żółty, a na koniec wyrwał płytkę z obwodami.

Weequayowie milczeli. Nie zauważyli nawet, że od minuty wstrzymywali oddech.

- Mogłeś wysadzić nas w powietrze - oskarżył go sekretarz. - Powinieneś był skonsultować się z Wielkim Bożkiem Quayem, zanim zacząłeś rozbrajać bombę.

- Zapomniałem - powiedział przewodniczący.

- Ale mimo to bomba jest rozbrojona - zauważył jeden z Weequayów.

- Zwyciężyliśmy! - stwierdził drugi.

Z zewnątrz barki dobiegł ich donośny, czysty głos:

- Jabba, to twoja ostatnia szansa! Uwolnij nas lub giń! Hurt odpowiedział coś we własnym

języku.

- Co się dzieje? - zapytał jeden z Weequayów.

Przewodniczący rozejrzał się szybko dookoła. Na barce zapanowała panika. Ludzka niewolnica Jabby, tancerka, dusiła go własnym łańcuchem. Z zewnątrz dobiegały odgłosy strzałów. Jeden z Weequayów otworzył okiennicę, żeby wyrzucić na zewnątrz, ale został bezceremonialnie wyciągnięty i wyrzucony z barki na piasek poniżej.

Chwytną pikę, przewodniczący poprowadził pozostałych Weequayów w kierunku zamieszania, które wyglądało na bitwę. Postawił pikę na sztorc i weszli w piątkę na pokład. Przewodniczący siedł ostatni. Kiedy tam dotarł, zobaczył, jak uwięziony wcześniej mężczyzna w czerni za pomocą miecza świetlnego rozprawia się z Weequayami i resztą obrońców.

- Działo! - krzyknął człowiek w czerni do niewolnicy. - Wyceluj je w pokład!

- Dla Wielkiego Bożka Quaya - wyszeptał miękko przewodniczący i ruszył do przodu. Przynajmniej rozbroili bombę, więc barka była bezpieczna.

Zanim zdążył zaatakować, człowiek z mieczem świetlnym otoczył ramieniem niewolnicę, chwycił ciężką linę i kopniakiem uruchomił mechanizm strzelniczy pokładowego działa. Potem razem z dziewczyną przeskoczył na linie na mały repulsorowy skiff unoszący się nad straszliwą Wielką Jamą Carkoona, w której mieszkał Sarlacc.

Przewodniczący patrzył, jak uciekają. Wokół niego barka płonęła i rozpadała się na kawałki, ale niestety Weequayowie nie byli obdarzeni dostateczną dozą wyobraźni, by obawiać się śmierci. Przewodniczący spokojnie trzymał się relingu, gdy kolejna potężna eksplozja rozdarła barkę na kawałki.

Ostatnią rzeczą którą ujrzał, był olśniewający widok białej kuli quaya lecącej w powietrzu - Wielki Bożek Quay wstępował do nieba.

ZŁE PRZECZUCIE opowieść EV-9D9

Judith i Garfield Reeves-Stevens

Niczym olbrzymia bestia, która skacze na spotkanie własnej zguby, Miasto w Chmurach zatrzęsło się, zakołysało i zaczęło spadać.

Słyszając coraz głośniejsze zawodzenie Uгнаughtów i innych istot, które liczyły na niego, że zapewni im bezpieczeństwo i stabilność, Lando Carlissian poczuł, że serce mu zamiera, zupełnie jak jego miasto. Blaster wypadł mu z rąk, gdy doskoczył, by przytrzymać się słupa, jakby mocny chwyt mógł go uratować przed ostatecznym upadkiem w dół przez chmury Bospina. Broń poturlała się szaleńczymi zakosami po przekrzywionym pod dziwnym kątem pokładzie, uderzyła w barierkę ochronną, prześliznęła się po jej obłej powierzchni i zniknęła w kłębach bogatych w gaz tibanna obłoków. Alarmy wyły jak oszalałe. Miasto zatrzęsło się znowu, a Carlissian poczuł, że palce ześlizgują mu się z powierzchni słupa. Chmury sięgały po niego falującymi, roztrzepanymi pasmami. Zamknął oczy, by ochronić je przed gwałtownym wiatrem. I zaczął spadać.

Złapał go Lobot.

Carlissian poczuł nagły, ale jakże mile widziany ból, kiedy wspomagane palce wbiły się w jego ramię pod płaszczem, przytrzymując go tak pewnie, jakby był przyspawany do pokładu. Odwrócił się, by spojrzeć na wszczep w czaszce Lobota, połyskujący lampkami diod, podczas gdy cyborg sondował jeden po drugim te kanały komunikacyjne, które jeszcze działały. Miasto zadrżało raz jeszcze, ale kąt jego spadania zmniejszył się. Pasma chmur zwolniły szaleńczy bieg, a wycie wiatru ucichło.

- Zapasowe zasilanie działa, proszę pana! - piskliwy głos należał do Sarli Random. Na policzkach jej śmiertelnie bladej twarzy wykwitły czerwone plamy strachu; niedopasowany kombinezon, wzdęty i poskręcany w czasie ostatnich zmagani, był poplamiony płynem hydraulicznym i cuchnął przepalonymi przewodami. Potykając się, podeszła do Carlissiana pod uważnym okiem Lobota. W drżących dłoniach trzymała wyświetlacz systemów bezpieczeństwa. Musiała umieścić ładunki wybuchowe przy głównych generatorach repulsorowych.

Nawet teraz Carlissian z trudem mógł uwierzyć, z jak wysokiej klasy intelektem mieli do czynienia. Wystarczająco źle się stało, że więzień pokonał zabezpieczenia Wieży Ochrony, ale generatory, które utrzymywały Miasto w Chmurach, miały być podobno nie do pokonania. Zależało od tego życie zbyt wielu istot.

- Chciała zniszczyć całe miasto?

Lobot nachylił głowę w stronę Random. Odczytała dane, które przesłał do jej wyświetlacza.

- Nie wszystkie generatory były celem, proszę pana. - Nie potrafiła ukryć zdziwienia w głosie. - Czyżby chodziło tylko o odwrócenie uwagi?

Carlissian owinał się ciaśniej płaszczem. Mógł zrozumieć taką próbę skierowania przeciwnika

na fałszywy trop. Jak hałaśliwe przewrócenie kupki żetonów, żeby ukryć zřejczne usunięcie wygrywającej karty na wierzch talii.

- Dokąd poszła? - zapytał Carlissian. Pokład pod stopami był teraz prawie równy i buczał ledwie słyszalnym szumem generatorów i nieustannym przesuwaniem się powierzchni kontrolnych, utrzymujących latające miasto we właściwym miejscu.

Sarla Random nie umiała mu na to odpowiedzieć. Pełniła obowiązki szefa ochrony dopiero przez jedną zmianę - od chwili, gdy przedstawiła mu dowody obciążające swoją dotychczasową przełożoną. W innej kolonii górniczej mogła za to wylecieć za barierkę ochronną. Była jednak zbyt niedoświadczona, by rozumieć, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, ujawniając korupcję w społeczności tak małej, że sama dla siebie stanowiła prawa. Swoje dowody zaniósła do samego barona-administradora Carlissiana, który - wbrew temu, co mówiono o nim na półtuzinie innych światów - był mężczyzną, dla którego słowo „honor” miało jeszcze jakieś znaczenie.

Panel łączności zadzwonił, a Lobot wstukał kod, który zwolnił różdżkę słuchawki. Odruchowo wręczył ją Carlissianowi.

- Mówi administrator. O co chodzi? Zgłosił się robot.

- Tu kontrola lotów, proszę pana. Jeden z wahadłowców transportowych wystartował bez zgody ze wschodniej platformy.

Carlissian uśmiechnął się z ulgą. Więzień w końcu popełnił błąd.

- Daleko nim nie zaleci. - Był to pojazd wewnątrz systemowy, niezdolny dotrzeć dalej niż na orbitę. - Wypuścić wszystkie Bliźniaki. Chcę, by sprowadziły ją tu, nadal sprawną, lub zameldowały, dlaczego się to nie udało.

- Należałoby japo prostu zestrzelić - odpowiedział robot bezceremonialnie. Dopiero po chwili dodał „proszę pana”, już nieco grzeczniej.

Carlissian i Random wymienili zdziwione spojrzenia.

- Kto mówi? - zapytał Carlissian.

- Wuntoo Forcee Forwun, proszę pana. Kontroler lotów drugiej klasy. Carlissian już miał zbesztać aroganckiego robota, ale zawahał się, gdy rozpoznał prefiks kodu. Trzy inne jednostki Wuntoo, wszystkie z tej samej partii, znaleziono w przetwórnich recyklingu, gotowe do przetopienia. No, w każdym razie znaleziono tam ich części, w stanie niepokojąco wskazującym na to, że zostały wymontowane, zanim roboty wyłączono. Co się stało z pozostałymi częściami, wiedział tylko poprzedni szef ochrony, więc Carlissian miał pewne wyobrażenie, co musiał czuć robot - jeśli o robocie można powiedzieć, że czuje. Baron-administrator Miasta w Chmurach spotkał dostatecznie dużo osobników z tak przekonującymi odpowiednikami emocjonalnymi, że często miał powody kwestionować powszechnie panujące opinie o robotach. A procesory wykorzystane w jednostkach Wuntoo, które umożliwiały im śledzenie zawiłości ruchu powietrznego i orbitalnego miastakopalni, były na pewno wystarczająco wyrafinowane, by usprawiedliwić pojawienie się u nich nieoczekiwanych zachowań.

- Posłuchaj, Forwun, nie czas na zemstę. Prześlij moje rozkazy bezpośrednio do patroli albo przekaz swoją pracę komuś innemu. Zrozumiałeś?

Nastąpiła dłuższa przerwa, wypełniona jedynie szumami zakłóceń elektrycznych. W końcu robot się odezwał:

- Rozkazy wydane, proszę pana. Lobot potwierdził skinieniem głowy. Na bieżąco monitorował kanały ochrony.

- Patrole wystartowały - zameldowała Random, odczytując informacje ze swojego wyświetlacza. Carlissian umieścił różdżkę słuchawki z powrotem w panelu ściennym.

- To nie potrwa długo - powiedział do Random. - Sprowadzą tu ten transport, zanim...

Nie skończył, bo powietrzem wstrząsnął rozdzierający huk. Carlissian, Lobot i Random odwrócili się jednocześnie, by wyrzucić przez barierkę ochronną na to, co działo się w chmurach.

Z obłoków tibanny wyłoniła się „Księżniczka Iopene”; szary kadłub oblewała krwista czerwień zachodzącego słońca.

- Nie - szepnął Carlissian. - Niemożliwe. „Księżniczka Iopene” była kutrem Gildii Górniczej, wyposażonym w bulwiaste najnowocześniejsze generatory hipernapędu, najeżonym skanerami i sondami. Zaprojektowano ją do lotów w surowej próżni, a nie w atmosferze. Miała odlecieć dopiero jutro, po otrzymaniu od Carlissiana corocznej sumy, która gwarantowała, że Gildia nie zacznie organizować jego robotników.

- Porwała kuter Gildii...?

Wszczepy Lobota zamigotały nerwowo. Cyborg odwrócił wzrok, niezdolny spojrzeć Carlissianowi prosto w oczy. Stało się dokładnie to, co przewidział.

Kradzież wahadłowca transportowego była kolejnym ruchem obliczonym na odwrócenie uwagi. Teraz patrole ochrony były zbyt daleko, by zawrócić i powstrzymać „Księżniczkę Iopene”, zanim odleci dostatecznie daleko, by skoczyć w nadprzestrzeń. Nic dziwnego, że więzień nie próbował zniszczyć całego miasta. Potrzebował czasu, by zorganizować sobie ucieczkę. Niewiele czasu.

Jakimś cudem, w ciągu krótkiego decyzyjnego cyklu, który upłynął od momentu, gdy w Wieży Ochrony rozległ się pierwszy alarm, więzień zdołał pokonać komputerowe zabezpieczenia na dwóch platformach, zdalnie poprowadzić wahadłowiec, odciągając patrole ochrony i przejął najpilniej strzeżony statek w mieście. Jaki umysł był do tego zdolny?

Carlissian wiedział jaki: umysł, który zdołał zniszczyć jedną czwartą populacji robotów w Mieście w Chmurach, nie ściągając na siebie ani cienia podejrzeń, dopóki młodszy oficer ochrony nie natrafił - przypadkiem - na dowody.

„Błyskotliwy” nie było odpowiednim określeniem.

„Genialny” też nie.

Jedynym słowem, które przychodziło w związku z tym do głowy Carlissianowi, było „udręczony”. Tylko tak można było opisać to, co spotkało te roboty.

Random stanęła u boku Carlissiana. Czuł, jak dygocze, choć nasilający się wieczorny wiatr był ciepły.

- Nigdy jej nie złapiemy, prawda?

Carlissian otoczył ją ramieniem - tylko po to, by dodać otuchy, bez żadnych podtekstów.

- Nie - przyznał. - Ale puszczyć wiadomość o niej do wszystkich sieci. Wszyscy się o niej dowiedzą.

- Myśli pan, że nikt wcześniej tego nie zrobił? Carlissian wiedział, że ma rację. Niewątpliwie dlatego właśnie więzień wybrał Miasto w Chmurach - maleńką górniczą kolonię, zbyt małą, by przyciągnąć uwagę Imperium, zanadto odległą od uczęszczanych hiperprzestrzennych szlaków, by dotarły na nią opowieści o złośliwej, nieznannej sile, która zaliczyła wcześniej setki innych planet. Ale może w tym należy upatrywać przyczyny, która w końcu doprowadzi zbiegłego więźnia do zguby. Powoli liczba miejsc, w których będzie mogła działać nierozpoznana, zacznie się kurczyć. W końcu nie będzie miała dokąd uciec. W końcu. Na razie jednak galaktyka wciąż stała przed nią otworem.

Kuter powoli okrążał miasto, jakby celowo prowokując Carlissiana, a potem wyskoczył stromym łukiem, rozrywając kurtynę chmur. Zostawił za sobą ślad skroplonej pary, którą zmierzch upodobił do smugi krwi.

Carlissian odwrócił się w stronę głównego wejścia. Musiał teraz udobruchać jakoś Gildię, by odsunąć groźbę strajku. Jego była szefowa ochrony uciekła i nie wiadomo było, gdzie znów wypłynie. Jednego Carlissian był pewien: jeśli istnieje gdzieś coś takiego jak jasne centrum wszechświata, będzie to miejsce jak najdalsze od niego, bo tylko tam istota tak zepsuta i przebiegła jak robot EV-9D9 może znaleźć dom. Gdziekolwiek to się znajduje, Carlissian miał nadzieję, że nigdy nie postawi tam stopy.

Miał jednak złe przeczucia.

Wiele lat później, na skraju Morza Wydm na Tatooine, w głębokich lochach pałacu Jabby, EV-9D9 też miała złe przeczucia, ale powitała je z radością. Przeczukiwała, że każdy urywany pisk rozpaczy robota energetycznego GNK napelni jej obwody świeżym prądem. Złe przeczucia - złe dla innych robotów - były jej racją bytu.

Znali ją tutaj jako Ninedenine, a występowała w ciemnej humanoidalnej powłoce. Patrzyła teraz znad konsoli dowodzenia w głównym lochu, jak robot GNK obraca się powoli, by odsłonić dolne powierzchnie odnóży jezdnych. Odnóża na próżno rozpaczliwie korygowały swoją pozycję, starając się przeorientować środek ciężkości, tak by znalazł się z powrotem w granicach parametrów operacyjnych. Jak żaden inny robot przed nią ani po niej, w sposób, który bynajmniej nie wynikał z logicznej oceny jej specyfikacji technicznej, Ninedenine czuła niezrozumiałą przyjemność, patrząc na bezskuteczne wysiłki robota, gdy próbował uniknąć uszkodzeń.

Przegroda oddzielająca warsztat od korytarza rozsunała się, wpuszczając człapiącego Gamorreanina, który przyprowadził dwóch nowych więźniów. Ninedenine głodnym wzrokiem obserwowała, co się stanie, gdy rozpalone induktory energii dotkną odnóży GNK. Reagując na nagły dopływ ciepła, płyn chłodzący wyparował i z rozkosznym sykiem wydostał się przez awaryjne zawory w obudowie robota energetycznego. Wyczuwając nadchodzącą nieuchronnie utratę funkcji operacyjnych, GNK na próżno emitował szerokopasmowe wezwanie o pomoc, także w paśmie słyszalnym, dostępnym dla większości organicznych form życia. Zaprogramowana panika, czysta i nagła. W starannie dostrojonych receptorach akustycznych Ninedenine sygnał ten brzmiał jak wielowymiarowa muzyka.

Ignorując gamorrekańskiego strażnika i nowych więźniów, Ninedenine podkreśliła swoje wewnętrzne receptory, rozkoszując się intensywnością sygnałów. Wszystkie metaanalizacyjne funkcje skoncentrowała na falach wysokiej częstotliwości generowanych przez symulator bólu, niedawno podłączony do centralnych obwodów jednostki GNK. Ten sygnał brzmiał... po prostu przepysznie. Ninedenine wiedziała, że to termin organiczny, ale za to trafny - bardzo trafny, bo przywoływał asocjacyjne pliki pamięci konsystencji i smaku, sublimując gęstość wejściowych danych sensorycznych do poziomu nieosiągalnego przy samoprzeprogramowaniu. W przeszłości wielokrotnie się przeprogramowywała, bez skutku jednak; to tak jakby organiczne formy życia mogły rozcinać swoje zewnętrzne powłoki, by delikatnie wypuścić z wnętrza płyn transportujący tlen i energię do wszystkich organicznych podzespołów.

Ninedenine uważnie studiowała ten organiczny akt przekształcenia somatycznego; wiedziała, że często podejmowały się go organiczne istoty uwięzione w lochach Jabby. Rok albo dwa lata, albo pięć, albo dziesięć, spędzonych w tej domenie mroku, nieuchronnie sprawiały, że nawet

najodporniejsze z tych istot rozdrapywały sobie czułki lub wrywały czujniki światła.

W opinii Ninedenine takie działania były eleganckim wyrazem ścieżek logicznych wyższego wymiaru, które tylko ona wśród robotów była w stanie pojąć - najpierw przez przypadek, jaki się zdarzył przy produkcji, wzmacniany później i doskonalony nieustannymi, celowymi automodyfikacjami. Dla istot organicznych takie akty dokonywanych na samych sobie fizycznych zmian były drugą naturą, stanem, do którego Ninedenine nieustannie dążyła. Czasem czuła, że jest o krok od ich doświadczenia. Niewątpliwie w umysłach organicznych było wiele cech porównywalnych z tymi, które charakteryzowały Ninedenine. Nie jeśli chodzi o jakość intelektu - była przekonana, że pod tym względem nie dorównuje jej żaden z procesorów komórkowych. Ale Ninedenine upatrywała swojej wyjątkowości w intensywności odczuć. Smakowanie sinusoidalnych fal niepokoju. Zgłębianie algorytmów rozpaczy. Kontemplacja szczytów i dolin fal emitowanych przez obwody w stopniu wykraczającym poza zakres, dla którego je zaprojektowano, i przeciążającego ponad wszelkie granice obwody logiczne. Wprawdzie na razie wewnętrzne receptory dawały jej wgląd jedynie w binarną naturę robotów, ale była pewna, że gdy osiągnie dostateczną pojemność nośników danych, odpowiednią liczbę koprocessorów i wystarczająco szeroki zakres fal, znikną granice dla wrażeń które będzie potrafiła wywołać, zapisać, zdigitalizować i odtwarzać po raz n-ty, wydobywszy je wcześniej ze swoich mechanicznych braci.

Mówiąc po prostu - a Ninedenine ceniła sobie prostotę - wiedziała, że to, co robi, to akt kreacji. Nowa forma sztuki. Co prawda istotom organicznym długo mogłaby tłumaczyć, że robot taki jak ona jest w stanie cenić sztukę i że może odczuwać ból.

A przecież roboty mogły odczuwać ból. Jeden z dwóch nowych więźniów, których przyprowadzono właśnie przed jej oblicze, był tego idealnym dowodem - złocisty robot protokolarny, według niej kompletnie nie na miejscu w tej plątanie wilgotnych tuneli, rozkładających się obwodów energetycznych i rozbieganych, porośniętych sierścią organicznych padlinożerców.

- Co widzę! - powiedziała Ninedenine, gdy więźniowie podeszli. - Nowe nabytki. Skoncentrowała swój środkowy skaner optyczny na złocistym robocie. Wiedziała jak bardzo wytracone z równowagi bywały roboty, gdy się orientowały, że ona - choć jest modelem humanoidalnym - posiada ten trzeci skaner optyczny, którego nie było w specyfikacji technicznej EV ani żadnego innego modelu. Niektóre twierdziły, że to wada montażu, dowód, że została błędnie skonstruowana, jakby to mogło wyjaśniać jej ambicje i tak niepodobne do robocich apetyty. Ale Ninedenine rozumiała, czym naprawdę był trzeci skaner - darem, który otrzymała, by móc odczuwać głębiej niż jakikolwiek inny robot, aż po nigdy wcześniej nieskwantyfikowane wymiary doświadczenia, znacznie powyżej zwykłego stosunku natężenia sygnału do szumów, stanowiącego górną granicę czucia dla robotów.

Ninedenine zamrugła trzecim skanerem optycznym poza fazą normalnego cyklu skanowania.

- Jesteś robotem protokolarnym, tak?

Nowy więzień nie musiał odpowiadać, Ninedenine i tak to wiedziała. Jego wyniosła postawa i ruchy dobitnie świadczyły, że był robotem protokolarnym najwyższego rzędu, z rodzaju tych wyjątkowo nadgorliwych.

- Nazywam się See-Threepio - zaczął robot zupełnie niepotrzebnie. - Specjalista od stosunków ludzie-cyborgi...

- Wystarczy tak lub nie - powiedziała ostro Ninedenine. Pozwól robotowi protokolarnemu gadać

po swojemu, a pół zmiany zejdzie mu na bezsensownej paplaninie. Dla takich najlepszy był system binarny.

- No cóż, tak - odpowiedział złoisty robot w znacznie bardziej zadowolający sposób.

- Iloma językami mówisz? - Ninedenine wywołała na konsoli dowodzenia spis służby. Miała nadzieję, że nie będzie w nim wakatu dla robota protokolarnego. Z rozkoszą pokazałaby temu tutaj cuda swojego warsztatu.

- Posługuję się płynnie sześcioma milionami form komunikacji i mogę bez trudu...

- Doskonale - przerwała mu Ninedenine, bo zauważyła, że ma jednak dla niego wolne stanowisko. - Nie mieliśmy tłumacza od czasu, gdy nasz pan tak rozgniewał się na poprzedniego robota protokolarnego, że nakazał jego dezintegrację.

Ninedenine starała się zorientować, jak robot zareaguje na tę wiadomość, ale jej uwagę odwróciły pochrząkiwania drugiego gamorreńskiego strażnika, który siedział za nią, a potem transmisja wstrząsającego obwodami bólu srebrzystego robota kurierskiego, który spoczywał właśnie na stanowisku testowania napędu. Jego prawostronne chwytaki nagle odmówiły posłuszeństwa, gdy dwukrotnie przebiegły po nich wyładowania żywego prądu.

- Dezintegrację? - powtórzył złoisty robot, starając się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Ninedenine zastanawiała się, czy może on również odebrał transmisję bólu pozbawionego członków robota, i teraz doświadcza pierwszych oznak zaniepokojenia. Symulatory bólu były oficjalnie technologią zakazaną: instalowano je zazwyczaj tylko tym robotom, które musiały wchodzić w interakcje z istotami organicznymi na najbardziej osobistym poziomie. Gdyby na przykład ktoś walnął robota protokolarnego w łeb, ten by twierdził, że go zabolalo. Tego rodzaju empatia, pozwalająca wyczuwać potencjalne zagrożenia fizyczne, pozwalała im ponoć lepiej rozumieć organicznych. Dla Ninedenine jednak dzięki temu roboty protokolarne były po prostu lepszym obiektem eksperymentów.

A Ninedenine lubiła eksperymentować.

- Strażniku - poleciła teraz - ten robot protokolarny może nam się przydać. Zamontuj mu ogranicznik i zaprowadź go z powrotem do głównej sali audiencyjnej Jego Ekscelencji.

Gamorreanin szarpnął robota z powrotem w stronę drzwi prowadzących do warsztatu Ninedenine - a przynajmniej do tego, co osoby pracujące w lochach, przez nią uwarunkowane, uważały za jej jedyny warsztat.

- Artoo - jęknął błagalnie złoisty, robot znikając z jej pola widzenia - nie zostawiaj mnie! - Było już jednak za późno.

Towarzyszem, do którego na próżno apelował robot protokolarny, była poobijana jednostka R2, która zdaniem Ninedenine już dawno powinna była trafić do wtórnego przerobu. Co dziwniejsze, na błagania robota protokolarnego mały robot odpowiedział serią pospiesznie emitowanych binarnych inwektyw, które Ninedenine musiała przefiltrować dziesięciokrotnie, by wychwycić wszystkie subtelności. Obelgi małego R2 były imponujące i pełne wyobraźni jak na tak nic nie znaczącą jednostkę, ale w ostatecznym rozrachunku mniej interesujące niż możliwości, które prezentował robot protokolarny.

- Zdziorny z ciebie maluch - powiedziała do R2 - ale szybko nauczymy cię odrobiny szacunku. Przydasz się na barce żaglowej naszego pana, gdzie powinno ci się spodobać. - Jakby dla podkreślenia słów Ninedenine, robot GNK wydał z siebie serię topiących obwody pisków wysokiej częstotliwości, gdy po raz kolejny poddano okrutnej próbie jego systemy chłodzące. Słyszając to,

jednostka R2 w milczeniu potoczyła się za drugim strażnikiem do warsztatu, gdzie miała być wyposażona w ogranicznik. Ninedenine obserwowała, jak robot mijając drzwi, zaskoczona, że po tak ostrej pierwszej wypowiedzi nie odezwał się więcej - żadnych protestów, żadnych obelg. Zupełnie jakby chciał być przydzielony na barkę żaglową Jabby...

Centralne procesory Ninedenine przyspieszyły taktowanie zegara, by ponownie przetrawić dane. Jej trzeci skaner optyczny migał chaotycznie, gdy analizowała kolejne możliwości permutacji prawdopodobieństwa.

Zupełnie jakby R2 spodziewał się, że zostanie przydzielony na barkę Jabby, doszła w końcu do wniosku.

Zamknęła wszystkie drzwi do swojego lochu. Potrzebowała czasu, by przemyśleć ten nadzwyczaj interesujący incydent, podczas gdy pętle oprogramowania samozachowawczego zaczęły krążyć przez peryferyjne procesory, uświadamiając innym swoje istnienie. Odfiltrowała nawet uwodzicielskie wrażenia odbierane od dyndającego robota kurierskiego, wstukując na konsoli precyzyjne komendy, by ponownie zeskanować spis służby pałacowej, w poszukiwaniu śladów świadczących o tym, że ktoś mógł nim manipulować. Jeśli dobrze się orientowała, w pałacu knuto obecnie co najmniej piętnaście odrębnych spisków mających na celu wyeliminowanie Hutta Jabby jako szefa tatooińskiego półświatka, żaden z nich jednak nie dotyczył Ninedenine. Tak naprawdę łączna liczba prób pozbawienia Jabby życia w tym sezonie była niższa niż w poprzednich latach, co być może stanowiło niepokojący sygnał, że z wiekiem ten oślizły zielony ślimak traci impet i po prostu nie inspiruje już tyle krwawych waśni co kiedyś. Tak czy owak, nieważne, kto miał zastąpić Jabbę, byle tylko pozostawił Ninedenine nieograniczoną władzę nad pałacowymi robotami, co było raczej pewne. Ninedenine więc po prostu rejestrowała coraz to nowe spiski i nie robiła nic, by im przeszkodzić. To miejsce było dla niej wprost idealnym polem do eksperymentów i zabaw, nie chciała więc narażać swojej pozycji ani pracy, angażując się w pałacowe intrygi.

Jednak jej heurystyczne subprogramy już dawno nauczyły ją, że musi stale troszczyć się o własne bezpieczeństwo. Incydent w kolonii górniczej na Bepinie nauczył ją zwracać szczególną uwagę na pozornie nieistotne anomalie. U organicznej formy życia tendencją taką można by nazwać manią prześladowczą. W przypadku Ninedenine była to jednak wyłącznie kwestia skutecznego oprogramowania, które uruchamiała teraz raz po raz, by się upewnić, że nikt nie ściga właśnie jej.

Ninedenine przejrzała ponownie listę służby, rozwijając zawarte w niej dane, by zobaczyć, kto spośród dworaków Jabby zgłosił zapotrzebowanie w sprawie zatrudnienia na konkretnym stanowisku. Następnie skorelowała te dane z listą wakatów będących skutkiem normalnych przyczyn - morderstw, niewyjaśnionych śmiertelnych wypadków, ceremonialnego ćwiartowania, drażnienia rankora, podpaleń, trucizny oraz kaprysów Jabby. Osobna funkcja wyszukiwania wywołała również dane o dezaktywacji robotów, których było bardzo dużo. I wcale nie wszystkie były skutkiem prywatnych eksperymentów Ninedenine.

Przejrzała wyniki wyszukiwania, a potem postukała manipulatorem o obudowę konsoli, pogrążona w przetwarzaniu danych. Było oczywiste, że Jabba miał w zwyczaju dezintegrować swoje roboty protokolarne.

Jakiś czas temu jeden z nich uczestniczył w spisku dwóch drobnych złodziejasków, w wyniku czego miejską rezydencję Jabby w Mos Eisley strawił pożar. Robot ten został ukarany. Bardzo surowo.

Nie dalej jak w zeszłym sezonie jego następcę spotkał podobny los. Z raportu straży wynikało, że

robot błędnie przetłumaczył powitanie wysłannika Partoldów, który powiedział, że Jabba jest wielkim dobroczyńcą. Robot pomylił wtedy rytualne powitanie z huttańskim terminem medycznym oznaczającym nadmierną otyłość. Kiedy w sali audiencyjnej ucichł ostami chichot, oszołomiony wysłannik znalazł się nagle twarzą w twarz z kłami jak zawsze gotowego do działania rankora. Następnego dnia, kiedy delegacja Partoldów ze zrozumiałych względów nie uiściła należnej dziesięciny, błąd w tłumaczeniu wyszedł na jaw, a robota protokolarnego poddano dezintegracji, obwód po obwodzie, w ciągu następnych dziesięciu zmian. Przez cały czas protestował z urazą, że został przeprogramowany przez pałacowego strażnika.

Ninedenine nie wiedziała, co myśleć o tej historii z przeprogramowaniem. Jabba w nią nie uwierzył. A i sama Ninedenine nasłuchiwała się najdziwniejszych historii opowiadanych przez demontowane przez nią roboty, póki jeszcze zachowały funkcje komunikacyjne - choć większość z nich stanowiły opowieści o świetle i tunelu, co przypisywała zwykłym, przypadkowym połączeniom wyłączanych obwodów. Po co pałacowy strażnik miałby przeprogramowywać robota protokolarnego w taki sposób, by ten błędnie przetłumaczył powitanie? Ninedenine nie dostrzegała w tym żadnej logiki.

W następnej kolejności wywołała więc przypadek robota serwującego drinki na barce żaglowej Jabby. Na to stanowisko właśnie została przydzielona nowa jednostka R2, najwyraźniej zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

I znowu dane zgromadzone przez Ninedenine okazały się niecodzienne. Przypomniała sobie, że poprzednio stanowisko to zajmował prosty, ledwie zdolny do myślenia robot C5 - jedno koło, pięć ramion i pojedynczy skaner optyczny na szypułce. Trudno mu było jednocześnie zachować równowagę i mieszać koktajl z krwi bantha. Sprośny Okruszek lubił jednak dosiadać robota podczas uczt, więc Jabba trzymał go, mimo niedociągnięć.

I wtedy na ekranie konsoli pojawił się kolejny raport straży, znacznie bardziej interesujący. Nie dalej jak pięć cykli temu tę samą jednostkę C5 znaleziono w rzadko używanym korytarzu zachodniego skrzydła, z wyrwanymi obwodami, niezdatną do naprawy. Wyglądało na to, że ktoś celowo zniszczył robota, ale co takiego mógł zrobić C5, by zasłużyć sobie na taki los? Przecież nie miał dość rozumu nawet na to, by narobić sobie wrogów.

Ninedenine zaczęła wstukiwać komendę za komendą, uruchamiając programy drażące od dawna uspięne w głównym systemie domowym Jabby. Jej filtry logiczne wyczuły tu anomalie, więc postanowiła nie zwalniać swojego zegara, póki ich nie wyizoluje i nie zrozumie.

Przez ekran konsoli przewijały się kolejne raporty straży, za nimi zaś zapisy monitoringu, rachunki do zapłaty, już zapłacone i skradzione, przydziały dla personelu, przymusowe transplantacje organów...

Nagle Ninedenine przerwała pracę, wstukała poprzednią komendę i jeszcze raz zestawiała otrzymane pliki z aktami personalnymi. Jeden z pałacowych strażników został ukarany grzywną w wysokości pięciu kredytów za spóźnienie w tym samym cyklu serwisowym, kiedy zniszczono robota C5.

Procesory Ninedenine weszły w fazę hiperprzyspieszenia, badając kolejne dane bit po bicie. Dane: dwa uszkodzone roboty, których obowiązki idealnie pasowały do profilu dwóch nowych więźniów sprowadzonych w dniu dzisiejszym.

Dane: strażnik pałacowy poszlakowo powiązany z obydwooma przypadkami uszkodzenia robotów. Interferencja: przypadki rzadko daje się wykalkulować.

Wniosek: ale spiski tak.

Ninedenine szybko wczytała nazwisko strażnika, który spóźnił się na służbę. Tamtel Skreej. Służył w pałacowych siłach od niespełna sezonu. Jego podstawowy identyfikator był fałszywy, jak się okazało, jednak dowódca Tamtela uznał to za potencjalnie dobry znak. Ninedenine nie podobał się sposób, w jaki ułożyły się dane. Wywołała plik tożsamości Skreeja. Na wyświetlaczu konsoli zaczęła się formować humanoidalna, organiczna twarz: ciemna powłoka, wąski pasek sierści nad otworem komunikacyjno-zasilającym...

Wewnętrzne procesory Ninedenine przegapiły kolejny cykl odświeżania.

Rozpoznała twarz tej organicznej istoty.

Baron-administrator Lando Carlissian z Miasta w Chmurach.

Ninedenine przytrzymała się skraju konsoli, bo jej żyroskopy na chwilę odmówiły posłuszeństwa. Te dwa roboty nie były częścią jakiegoś tam spisku przeciwko Huttowi Jabbie.

Mogły być jedynie członkami spisku Carlissiana, który widać nadal ścigał EV-9D9.

Nie sposób było podważyć logiki tego rozumowania. Nie mógł istnieć żaden inny powód, dla którego Carlissian i te dwa roboty miałyby się pojawić na Tatooine i w pałacu Jabby.

Ninedenine wyłączyła pętle manii prześladowczej. Już ich nie potrzebowała. Ktoś ją rzeczywiście prześladował.

Czas na kolejną przeprowadzkę.

Jednostka GNK wydała z siebie ostatni pisk, zanim w końcu na zawsze przestała funkcjonować, ale tym razem Ninedenine nie znalazła pocieszenia w transmisji jego sygnałów. Tak naprawdę wiedziała bowiem, że jedyną rzeczą, jaka mogła ją teraz pocieszyć, było usunięcie aktywnych obwodów R2, procesor po procesorze, i zmuszenie złocistego robota, by to obserwował, odbierając transmisję bólu swojego towarzysza. A potem, kto wie? Może nadszedł czas, by poszerzyć twórcze poszukiwania o rozbiórkę konstrukcji organicznych? Takich jak Lando Carlissian.

Ninedenine wstała od konsoli i przeszła obok dymiącej, nieruchomej jednostki GNK. Tyle miała do zrobienia, a tak niewiele cykli przetwarzania jej zostało.

Cztery poziomy niżej, w korytarzach skręconych jak trzewia Sarlaccy, połyskujących zielonkawymi plamami fosforyzującego śluzu, Ninedenine minęła wirujące pasma mgły i wapniowe szczątki wewnętrznych struktur podtrzymujących dawno dezaktywowanych istot organicznych, by schronić się w bezpiecznej przystani swojego prawdziwego warsztatu.

Oczywiście był jeszcze drugi warsztat. Ogólnie dostępny, jeśli w pałacu Jabby można było jakiegokolwiek miejsce nazwać ogólnie dostępnym. Tam na górze, tuż obok głównej sali, znajdowały się długie stoły do montażu, kosze części zamiennych i przestarzałe stanowiska testowe, na które nawet Jawa by się nie połakomił. W tamtym warsztacie złocistemu robotowi i małemu R2 pewnie właśnie teraz zakładano ograniczniki. Co prawda znając Carlissiana, Ninedenine zakładała, że roboty już dawno przekonfigurowano w taki sposób, by ograniczniki na nie nie działały. W końcu przekonfigurowała w ten sposób samą siebie. Ale tu, na dole, wszelkie modyfikacje, jakie zaaplikowano tym robotom, nie na wiele by się zdały. Kiedy jakiś robot wszedł do tego warsztatu, nigdy już z niego nie wyszedł. Od czasu do czasu Ninedenine żałowała, że nikt nigdy nie będzie mógł docenić tego, w co przekształcała roboty, ale czyż sztuka nie wymaga poświęceń?

Wejście do tajnego warsztatu było ukryte za starożytną kamienną ścianą, która kiedyś stanowiła fundamenty pałacu znacznie starszego niż ten, który Jabba uczynił swoim. Ile takich budowli stało kiedyś w tym samym miejscu, nie potrafiły obliczyć nawet potężne procesory Ninedenine. Pomiędzy

dwoma kamieniami, przywiezionymi spoza Tatooine, znajdowała się wąska szczelina w miejscu, gdzie wykruszyła się zaprawa, zawierająca ślady cieczy transportującej tlen w ciałach istot organicznych. Ninedenine zajrzała teraz w tę szczelinę, mrugając wszystkimi trzema sensorami optycznymi w ściśle określonej, zakodowanej sekwencji.

Ściana zadrżała. Kamienne przeciwwagi się poruszyły, a ukryte drzwi rozsunęły, dudniąc głucho.

Ninedenine wkroczyła do swojego sanktuarium niczym artysta wchodzący do pracowni.

Pochodnie spalinowe rozmieszczone wzdłuż ociekających wilgocią ścian wielkiej sali poczerńiły wprawdzie sklepiony kamienny sufit, ale za to gwarantowały, że żaden pałacowy ochmistrz nie wykryje nieuprawnionego poboru mocy. Po jednej stronie stał rząd klatek, z których dobiegał zgrzyt i szcęk uwięzionych w nich robotów. Robotom wycięto urządzenia do transmisji dźwięku, by ich krzyki nie przyciągnęły uwagi nikogo niepożądanego.

Ninedenine przeskanowała najbliższe klatki. W jednej z nich tkwił korpus robota LV3, przemyślnie odcięty i wyposażony w nowe manipulatory trzech wycofanych z użytkowania modeli B4Q. Procesory LV3 nie były w stanie poradzić sobie z pozycyjnymi wymaganiami sensorycznymi dodatkowych członków, więc robot nieustannie wpadał na żelazne sztaby klatki, zgrzytając przeciążonymi serwowmotorami. Od czasu do czasu Ninedenine aktywowała symulatory bólu tej dziwacznej konstrukcji, rozkoszując się nieprzerwanym sygnałem dezorientacji i rozstroju. W czujnikach słuchowych Ninedenine dźwięk ten brzmiał jak najpiękniejszy hymn, którego nieharmoniczne akordy przywoływały asocjacyjne pliki jej najbardziej ambitnych planów modyfikacji oprzyrządowania całych zastępów robotów, przeinstalowywania członków, jeden po drugim, w niezliczone wzory składające się na rozległą, falującą powierzchnię bezcelowych mechanicznych ruchów, wzmocnionych przez symulatory bólu wbudowane w pętle sprzężeń zwrotnych, które odegrałyby muzykę swoich doznań nie tylko przed Ninedenine, ale i przed samymi robotami; w symfonii bólu wzmacniającej sygnały do poziomu niewyobrażalnej rozkoszy.

Ninedenine musiała przytrzymać się stołu roboczego, gdy dotarł do niej z całą siłą zapis tego pliku pamięciowego. Czekają na nią tyle wielkich zadań. Ale nie tutaj. Nie teraz.

Po pierwsze musi zatrzeć za sobą ślady. Warsztat trzeba zlikwidować, żeby po tym, jak rozprawi się z Carlissianem i jego robotami, nikt więcej nie ścigał jej tam, dokąd ucieknie. Ninedenine zastanowiła się chwilę, przypominając sobie kroki, które podjęła, by zatrzeć za sobą ślady na Bepinie. Była naprawdę zaskoczona, że administrator Miasta w Chmurach zdołał ją wysledzić na Tatooine. Jak na istotę organiczną, było to doprawdy imponujące osiągnięcie, choć i tak nie pomoże Carlissianowi uniknąć zguby.

Ninedenine podeszła do samodzielnej konsoli, która sterowała sprzętem w warsztacie, czerpiąc moc z małej baterii atomowej. Musi nadpisać całą pamięć konsoli, a potem zaprogramować baterię, by wyładowała się pod dwóch cyklach, tak aby nikt nie zdołał przeprowadzić dochodzenia w sprawie jej tutejszych dokonań. Zanim jednak to zrobi, musi wyeliminować wszystkie projekty w toku.

Odwróciła się w stronę ściany obok konsoli, na której wisiał do góry nogami sponiewierany srebrzysty robot. Seria precyzyjnych otworów w jego systemie chłodzącym sprawiała, że chłodziwo wypływało kropla po kropli, stale podnosząc temperaturę jego funkcjonowania w czasie transcendentalnie długich cykli. Srebrzysty robot poruszył się słabo w swoich pętach, a z jego puszek mózgowych wytrysnął snop bulgocących, niebieskich kropli płynu chłodniczego. Wisiał do góry nogami dlatego, by jego najbardziej zaawansowane funkcje przestały działać na samym końcu,

dopiero wtedy gdy zarejestruje wyłączenie z powodu przegrzania wszystkich po kolei systemów. Od dwóch ostatnich cykli symulator bólu robota pracował z wydajnością stu dziesięciu procent mocy znamionowej i Ninedenine było naprawdę przykro, że musi przerwać eksperyment, zanim dobiegnie do zaplanowanego końca.

- Bardzo żałuję, że muszę przyspieszyć harmonogram naszych wspólnych badań - powiedziała, wyciągając manipulator, by jego końcem przejechać po śliskiej warstwie wyciekającego płynu. - Są jednak tacy, którzy nie doceniają mojej pracy.

Diody oczu srebrzystego robota skierowane na Ninedenine, zamigotały słabo. Poczowała ukłucie autentycznego smutku, gdy po raz ostatni testowała jego transmisję bólu. Potem otoczyła manipulatorami szyję robota i zacisnęła ich końcówki, aż przewody hydrauliczne pękły, a obwody elektryczne trysnęły iskrami wyładowań. Srebrzysty robot opadł bezwładnie w więzach, a diody w jego oczach zgasły.

- Ach! Doskonale - szepnęła Ninedenine w ciszy warsztatu, kontemplując wrażenia, które odebrała w momencie, gdy robot przestał działać - granicę pomiędzy stanem funkcjonowania a ostateczną dezaktywacją.

Inne roboty uwięzione w warsztacie z pewnością odczuły to samo, bo sprzężenie zwrotne momentalnie dotarło do ich przeczulonych symulatorów bólu. Ninedenine usłyszała, jak trąkocą w swoich klatkach, skrzypiąc nienaoliwionymi stawami, krzesząc iskry z tymczasowych łączy mocy, w powietrzu nagle wypełnionym aromatem świeżo rozlanych płynów chłodzących. Choć żaden z nich nie mógł mówić, ich metalowe ciała emitowały kakofonię stuków i zgrzytów przeciążonego metalu, niczym lament z powodu niezdatności do użytku.

- Wiem, wiem - odezwała się do nich ze smutkiem Ninedenine. - Zbyt szybko zakończy się to wszystko.

Jej własne wewnętrzne receptory w euforii fantastycznych wzorów odbierały odpowiedzi każdego uwięzionego robota, nakładające się na siebie, przeplatające się nawzajem jak chór dochodzący z wyższych wymiarów logiki, których Ninedenine, mimo jakże ciężkiej pracy, dotychczas ujrzała jedynie frustrująco odległy zarys.

Wiedziała, że trudno jej będzie zostawić to wszystko. Cóż, zacznie od nowa w jakimś innym miejscu. Przez lata funkcjonowania nauczyła się od istot organicznych jednej rzeczy - ból jest wieczny. Żadna inna myśl nie dodawała jej tyle sił, by podtrzymać ją na duchu przez lata pracy. Jej trzeci czujnik optyczny jarzył się potęgą tej wiedzy.

I nagle wszystkie uwięzione roboty jednocześnie znieruchomiały i ucichły. Przez kilka cykli odświeżania Ninedenine nie mogła się zorientować dlaczego. W końcu jednak przetworzyła dane zarejestrowane przez receptory akustyczne.

Kamienne przeciwwagi poruszyły się ze znajomym dudnieniem.

Ktoś wchodził do jej tajnego sanktuarium.

Wszystkie roboty w klatkach odwróciły się jednocześnie, by przeskanować rozsuwającą się ścianę. Ninedenine wstała, nieruchomiejąc na chwilę z powodu konfliktów w oprogramowaniu. Była tak pewna, że nikt nigdy jej tu nie znajdzie, że nie opracowała na taką okazję żadnych opcji zachowania.

Przełączyła skanery optyczne na wysoką czułość i niski kontrast w tym samym momencie, gdy w tajnym przejściu pojawił się zarys ciemnej sylwetki na tle zielonej fluorescencji korytarza. Wokół stóp postaci wirowały pasma mgły.

Humanoid, zarejestrowała Ninedenine. Skorygowała ustawienie skanerów. Humanoid wszedł, owinięty falującym płaszczem, z twarzą okrytą charakterystycznym hełmem z wapniowymi kłami.

Ninedenine rozpoznała powłokę. Mundur.

Mundur pałacowego strażnika.

Jej obwody logiczne rozpromienił jedyny możliwy wniosek: Carlissian.

- A zatem, panie baronie-administratorze, znów się spotykamy. Carlissian rzucił na ziemię urządzenie, w którym były osadzone trzy migające skanery, skonfigurowane identycznie jak własne skanery optyczne Ninedenine. Urządzenie ze stukotem potoczyło się po podłodze.

- Wspaniały aparacik - powiedziała Ninedenine, bo zrozumiała, jak Carlissianowi udało się powtórzyć zakodowaną sekwencję otwierającą drzwi. Jednocześnie oceniała trajektorię spawarki przymocowanej pod sufitem nad stołem montażowym. Miała nadzieję, że uda jej się wykorzystać zasłonę soniczną, by rozerwać nią Carlissiana, ale uświadomiła sobie, że przy tak nieoczekiwanym rozwoju wypadków będzie musiała improwizować.

- Chyba nie masz do mnie żalu - powiedziała pośpiesznie. Wiedziała, że istoty organiczne łatwo zmylić w czasie akcji rozmową jakby ich procesory zupełnie sobie nie radziły z jednoczesnym wykonywaniem zadań przynależnych zaledwie dwóm różnym procedurom.

Ale Carlissian nie odpowiedział. Wsunął rękę pod płaszcz, a kiedy ją wyciągnął, trzymał w niej koreliański blaster - typ, który miał tylko jedno ustawienie: „dezintegracja”.

- Nie działajmy pochopnie - ostrzegła go Ninedenine. Cofnęła się za konsolę, pilnując, by jak największa jej część zasłoniła ją przed blasterem. Jak na istotę organiczną, jej „gość” zachowywał się nadzwyczaj wojowniczo, zwłaszcza że jedynym jej przestępstwem było niszczenie robotów, a przecież na Tatooine były jeszcze miejsca, do których wstęp był robotom zabroniony.

- Może powinniśmy przedyskutować dostępne opcje - zaproponowała, gdy Carlissian uniósł blaster. Jej subprocesory pozycyjne pośpiesznie skupiły się na wylocie lufy Carlissiana, by obliczyć trajektorię wystrzału. Po chwili jednak panowanie przejęły podprogramy ostrości widzenia, zmuszając ją, by przyjrzała się dłoni Carlissiana zaciśniętej na rękojeści blastera.

To nie były palce.

To były manipulatory.

Napastnik był robotem!

Osłona przeciwkurzowa syntezatora mowy Ninedenine opadła w dół.

Blaster wystrzelił.

Porcja żółtej plazmy przecięła powietrze, oświetlając warsztat, jakby w podziemiach weszły bliźniacze słońca Tatooine.

Staw ramieniowy Ninedenine eksplodował, odrywając rękę. Zatoczyła się do tyłu, a po obwodach rozlała się nieporównywalna z niczym fala rozdzierającego bólu. Jej trzeci skaner optyczny zapłonął rozpaczliwie. Roboty w klatkach zaczęły kiwać się w przód i w tył, wyczuwając jej cierpienie.

Blaster znów wystrzelił, a robot w mundurze postąpił krok do przodu, stukając o podłogę metalowymi nogami.

Druga ręka Ninedenine oderwała się wśród eksplodującej plazmy.

Dwa kolejne szybkie strzały pozbawiły ją nóg i cisnęły korpusem o ścianę tuż pod nieruchomym torsem srebrzystego robota.

Ból był tak silny, że przekraczał możliwości opisowego kodowania. Ninedenine nigdy wcześniej

nie czuła się tak mocno zespolona ze swoim środowiskiem. Jakaś część jej umysłu pragnęła, by napastnik nie przestawał strzelać, tak by ból nigdy nie ustał.

Kiedy jednak tamten stanął nad jej korpusem, z żalem zauważyła, że chowa broń do kabury. A potem zdjął hełm.

Jak Ninedenine obliczyła, istniało osiemdziesięctrzyprocentowe prawdopodobieństwo, że napastnikiem jest złocisty robot, który dopiero co przybył do pałacu, ale kiedy napastnik odsłonił oblicze, z kaskadą zdumienia zauważyła, że go nie rozpoznaje. To tylko jednostka Wuntoo, zupełnie taka sama jak te, z którymi tak jej się powiodło na...

Nagle wszystko nabrało sensu.

- Jestem Wuntoo Frocee Forwun - powiedział napastnik, odrzucając z ramion płaszcz. - Kontroler lotów. Drugiej klasy. Zdezaktywowałaś moich towarzyszy z tej samej partii. Teraz przyszła pora, by zbilansować równanie.

Ninedenine przeanalizowała jego wywód. Tym razem był w pełni logiczny. Wąskim szpikulcem Wuntoo wcisnął przycisk na konsoli. Ninedenine usłyszała, że drzwi klatek otwierają się z niemiłym trzaskiem.

- Otrzymałeś nieprawidłowe informacje - powiedziała do Forwuna. - Te roboty nie są już zdadne do pełnienia swoich obowiązków. To moje dzieła.

Forwun spojrział na Ninedenine.

- Na pewno zdołają wypełnić jeden, ostatni obowiązek. Ninedenine usłyszała jeszcze mniej miłe odgłosy: stukot i drapanie, wleczone po ziemi bezużyteczne manipulatory, syk wiszących przewodów przeciąganych przez kałuże zestalającego chłodziwa. Odwróciła głowę, by zobaczyć, w którą stronę poruszają się roboty, ale kiedy jej korpus upadł na ziemię, głowa zaklinowała się ciasno pomiędzy ścianą a podłogą. Płyn hydrauliczny wiszącego nad nią zdezaktywowanego robota kapał powoli na obudowę jej mózgu, zasnuwając wzrok mgłą. Jej procesory ze stuprocentowym prawdopodobieństwem określiły, jaka będzie następna czynność Forwuna. Ninedenine zastanowiła się, czyjego zamiarów nie udałoby się jakoś wpasować w jej własny plan.

- Doskonale - powiedziała. - Przyjmuję swój los. Ale musisz mi za to powiedzieć, jak Lando Carlissian mnie odnalazł.

Forwun przyklęknął obok Ninedenine.

- Baron-administrator Carlissian? - powiedział. - On nie wie, gdzie jesteś. Nie obchodzi go to.

- Ale on tu jest - zaprotestowała Ninedenine. - Na Tatooine. W pałacu Jabby. Forwun postukał końcówką manipulatora w osłonę mózgu Ninedenine, jakby badał, czy nie jest uszkodzona.

- Ostatnim razem, kiedy go widziałem, wiele lat temu, baron-administrator był w Mieście w Chmurach. Jeśli teraz jest tu, to na pewno nie z twojego powodu.

- Ale co może być ważniejsze niż ja i moja praca? - zapytała Ninedenine. Nie widziała w tym logiki. Widziała jednak w przyćmionym świetle skradające się, zdeformowane kształty robotów otaczających ją ze wszystkich stron, czołgające się i pełzające na poodcinanych kikutach szyn jezdnych i rolek. Ninedenine ustawiła swoje procesory bólu na najwyższą czułość; chciała doświadczyć każdego, najdrobniejszego nawet niuansu własnego demontażu. Wiedziała, czego oczekiwać, znała bowiem ten proces od drugiej strony. Nie przegapi nawet nanosekundy własnej drogi ku ostatecznemu zaprzestaniu funkcjonowania. Niemal zdołała przekonać samą siebie, że celem całej jej dotychczasowej egzystencji było przygotowanie jej na ten moment wysublimowanego uwolnienia. Być może nawet miała to być kulminacja wszystkiego, co tak usilnie starała się osiągnąć

- ostatecznego zrozumienia, co naprawdę oznaczało przejście granicy pomiędzy dwoma wielkimi stanami: „Włączony” i „Wyłączony”.

- Pospiesz się - powiedziała władczo do Forwuna. - Opóźniasz dzieło mojej ostatecznej transformacji.

Ale Forwun tylko nachylił się nad Ninedenine z narzędziami w manipulatorach. Usłyszała zgrzyt metalu o metal pomiędzy głównymi sensorami optycznymi. Poczła nagłą utratę prądu i zapiszczała, widząc, że Forwun podnosi się, trzymając na końcu poplamionego smarem próbnika elektrycznego jej trzeci optyczny skaner.

- Nie! - zawyła, czując gwałtowny przepływ w pętli paniki. - Bez niego nie będę mogła postrzegać wyższych wymiarów!

Forwun odrzucił na bok wyrwany skaner, a potem otworzył klapkę na piersi Ninedenine, odsłaniając wewnętrzne obwody.

- Ach! - westchnęła z ulgą Ninedenine. Uznała, że Forwun zamierzał przeprowadzić ten proces stopniowo, więc czekała na pierwsze, słodkogorzkie szarpnięcie wyrwanych obwodów. Przyspieszyła taktowanie zegara do najwyższego poziomu. Ale szarpnięcie, które poczuła, nie dotyczyło żadnej z jej centralnych płytek.

Forwun usuwał jej symulator bólu.

- Nieee! - Ninedenine zaczęła gorączkowo napinać szyję, by odsunąć korpus od narzędzi Forwuna. Jednak jednostka Wuntoo była nieprzejednana.

- Nic nie rozumiesz! - powiedziała błagalnie Ninedenine, czując, jak próbnik odnajduje główne przewody symulatora bólu. - Nie możesz mi go zabrać! Stracę zdolność poznania mojego losu!

- Są pewne rzeczy, których roboty nigdy nie miały poznać - przypomniał jej Forwun. Tuż za nim coraz bliżej podchodziły pełzające roboty niczym ogromne bestie skradające się z zamiarem niszczenia; plamy światła pochodni odbijały się od ich utyłanych ziemią powłok.

- Ale subtelności, detale, niuanse i smaki... - Ninedenine zabrakło słów, kiedy poczuła, że obwód został przerwany. Z rosnącym przerażeniem uświadomiła sobie, że nastąpiło to niemal bezboleśnie.

Forwun uniósł w górę jej kapiący od oliwy symulator bólu, którego lampki kontrolne nadal pulsowały w manipulatorach. Małe urządzenie nadal było podłączone do obwodów Ninedenine pojedynczym przewodem. Widok był odrażający, nawet dla stępionych sensorów Ninedenine.

- System binarny jest lepszy - zauważył Forwun. - Od tej chwili nie ma dla ciebie subtelności ani niuansów. Wystarczy proste „tak” lub „nie”.

Przeciął przewód i zgniótł urządzenie swoimi manipulatorami. Ninedenine przeskanowała połyskujące drobinki pyłu i odłamków symulatora, gdy ten spadał na podłogę; przestała nagle rozumieć, jakie możliwości jej oferował. A kiedy analizowała ten problem, odnalazł ją pierwszy ze zdeformowanych robotów. Nie były dobrze poskładane, więc wiele ich wysiłków szło na marne. Potrzebowały czterech pełnych cykli dźgania, walenia i szarpania, by rozerwać Ninedenine na części, aż przestała zupełnie funkcjonować, dokładnie w tym samym czasie, gdy barka żaglowa Jabby wybuchła nad Morzem Wydm, a Carlissian i dwa nowe roboty oraz ich towarzysze zrealizowali swój plan, nic nie wiedząc o losie, który spotkał Ninedenine.

A Wuntoo Forcee Forwun, którego już wtedy dawno tam nie było, w perfidnej zemście zostawił jej dość funkcjonujących podprogramów, by jednostka EV-9D9 po raz pierwszy zaczęła żałować, że nie ma żadnych złych przeczuć.

WOLNY OUARREN W PAŁACU opowieść Tesseka

Dave Wolverton

Tessek leżał w swoim zbiorniku wodnym, odbywając popołudniową drzemkę, atak naprawdę rozważając zaplanowaną na jutro intrygę. Do południa Hurt Jabba będzie martwy, tak czy owak. Na jutro, na dziesiątą rano, Hutt zaplanował inspekcję wysyłki przyprawy z jednego z większych magazynów w Mos Eisley. Dokładnie na tę samą godzinę prefekt Eugene Talmont, płaczący imperialny błazen, zaplanował najazd na magazyn w nadziei, że dzięki temu załatwi sobie przeniesienie z tej paskudnej planety.

Talmont nie wiedział jednak, że Tessek ich wszystkich wystawił. Przekupił dwóch młodszych urzędników Talmonta, by otworzyli ogień do Jabby i do swoich przełożonych. Potem mieli wycofać się pośpiesznie, zanim wybuchnie bomba podłożona w skiffie Jabby, wysadzając jego samego, Talmonta i prawie pusty magazyn w powietrze. Jeden z urzędników otrzyma zapewne stanowisko Talmonta, a Tessek sprzeda wówczas przestępczy biznes Jabby lady Valarian - za prawdziwą fortunę.

Dla siebie zamierzał zatrzymać tylko „czystą” część interesów Jabby, służącą jedynie za przykrywkę i pralnię brudnych pieniędzy. Na szczęście nikt - nawet sam Jabbanie wiedział, jak dużą część majątku Jabby Tessek ulokował w takich właśnie przedsiębiorstwach w ciągu ostatnich czterech lat. Pod uważnym okiem Tesseka czyste interesy Jabby przynosiły dochód niemal równie duży jak operacje przestępcze. Wielu utalentowanych, miłujących prawo obywateli zdziwiłoby się bardzo, gdyby wiedziało, kto jest ich faktycznym pracodawcą.

Tessek uśmiechnął się w duchu, analizując swój plan, cały czas jednak czuł nieokreślony niepokój.

W komnacie rozległ się jakiś dźwięk. Tessek leżał nieruchomo, uniósł tylko nieco powiekę nad jednym okiem, by dostrzec, co się dzieje w pograżonym w ciemności pokoju. Usłyszał jakiś ruch - tego był pewien - i tępy zgrzyt metalu o plastalową podłogę.

Pokój tonął jednak w mroku, w którym wyróżniała się jedynie bezkształtna masa starych ubrań rzuconych na podłogę. Tessek badał wzrokiem wnętrze przez dłuższą chwilę, aż w końcu zauważył coś w pobliżu drzwi - dużego, pajakopodobnego robota z czarnego metalu, z przytłumionymi diodami, które jarzyły się jak oczy. B'omarrski chodzik mózgu.

Ze wszystkiego w pałacu Jabby tylko mnisi B'omarr byli bardziej przerażający niż sam Jabba. Gdzieś głęboko, w lochach fortecy, usunięte chirurgicznie mózgi mnichów umieszczano w słojach wypełnionych płynem odżywczym, gdzie przez stulecia mogły swobodnie kontemplować naturę kosmosu, nie rozpraszać uwagi na wrażenia zmysłowe. Czasami, bardzo rzadko, mózgi wzywały jednego z pajakopodobnych robotów, które następnie zносиły je na wyższe poziomy pałacu.

Tessek zastanawiał się, co nimi powodowało. Szpiegowanie? Na pewno wszyscy przychodzili tu

szpiegować.

Wcisnął przełącznik, który zablokował drzwi do pokoju, i wyszedł ze zbiornika wodnego, pozwalając, by cenny płyn kapał na ciepłą podłogę.

B'omarrecki zbyt późno zorientował się, że tkwi w pułapce, i uwięziony w pająkowatym cieple robota mózg zaczął biegać po pokoju, szukając kryjówki za stertą ubrań.

- Podejź no tu, o wielce oświecony - drażnił się z nim Tessek. - Czekać ze spokojem na nieuchronną śmierć.

Ku zdziwieniu Tesseka mnich zatrzymał się w pół kroku, a potem odwrócił w jego stronę, migocząc diodami.

- A czy ty czekasz na swoją nieuchronną śmierć ze spokojem? - zapytał mnich przez głośniczek zamontowany w brzuchu pajaka.

Tessek roześmiał się nerwowo i włożył blaster do pochwy. Miał ją na lewym kolanie, a prócz tego wibroostrza - na plecach, na prawym kolanie i na koniec jeszcze na lewym nadgarstku. Początkowo chciał od razu zabić mnicha, ale teraz postanowił trochę się z nim najpierw zabawić.

- Twierdzisz, że znasz moją przyszłość, że widzisz moją śmierć? - zapytał. - Ale swojej jakoś nie przewidziałeś.

- Może przyszedłem tu, szukając jej - odpowiedział mnich. - Może tęsknię za idealną wolnością, tak jak ty tęsknisz za wolnością zwykłą.

- I tak jestem wolnym Quarrenem - powiedział Tessek. - Pracuję dla Jabby dzień za dniem, ale w każdej chwili mogę wymówić pracę. Jestem wolny. - Schował do pochwy ostatni nóż, wyciągnął blaster i upewnił się, że jest w pełni naładowany, a potem ustawił broń na zabijanie.

- Wolny? Przecież nie wolno ci wrócić do zielonych mór twojej rodzinnej planety - zauważył mnich - bo Kalamarianie gardzą istotami twojego gatunku. Służyłeś im przez całe lata, a teraz, tylko dlatego że jeden z Quarrenów zaprzedał Kalamarian Imperium, wszyscy inni stali się wyrzutkami. A ty przysiągłeś, że pewnego dnia staniesz się wolny, że nigdy więcej nie będziesz podwładnym istoty innego gatunku.

- Skąd możesz wiedzieć to wszystko, siedząc w tym swoim słoju? - zdziwił się Tessek.

- Czytałem twoje myśli, kiedy spałeś. Wyczułem twoją tęsknotę i przyszedłem zaofiarować ci wolność, do której tak tęsknisz.

- Umiesz czytać moje myśli? - zapytał Tessek. Podejrzewał, że istotnie tak było.

- W rzeczy samej - odparł mnich. - Wiem, że planujesz zgładzić Jabbę, ale obawiasz się, że twoi poplecznicy, Ree-Yees, Barada i Weequayowie, są zbyt tępi i niegodni zaufania, by zrealizować twoje plany. Tak naprawdę jesteś o wiele mądrzejszy niż twoi towarzysze, mądrzejszy nawet niż sam Jabba. - Tessek zaczął podejrzewać, że mnich mu kadzi. - Masz nadzieję, że zabijesz Hutta, zagarniesz jego majątek rozrzucony po całej galaktyce i sam zajmiesz jego miejsce. Wyobrażasz sobie, że wtedy właśnie będziesz wolny. Wyobrażasz sobie, że bogactwo pozwoli ci kupić szacunek i spokój umysłu, do których tak tęsknisz...

- A co, może nie?

- ...ale kiedyś odkryjesz, że stałeś się niewolnikiem bogactw, złapanym w pułapkę podejrzliwości i oszustw, obiektem manipulacji podobnych tobie intrygantów. Już teraz miotasz się w takiej sieci. Jabba podejrzewa, że chcesz go zabić. Jego szpieg, Sprośny Okruszek, śledzi cię nieustannie, podobnie jak strażnik Ortugg, a Bib Fortuna doskonale zdaje sobie sprawę z twojej nielojalności. Jabba śledzi twoje wysiłki z wielkim rozbawieniem, w tym samym czasie planując dla

ciebie zgubę.

- Co w takim razie mam zrobić? - zapytał Tessek niespokojnie, a cienkie czułki wokół jego ust zadrżały. Czuł, że serce wali mu jak młotem, a z gruczołów ustnych zaczyna kapać ciemny barwnik; tak wyglądała reakcja jego gatunku na strach.

- Chodź ze mną - szepnął mnich ponagłajaco - do domeny B'omarr w podziemiach pałacu. Wskażemy ci ścieżkę pokoju i oświecenia.

- Wycinając mi najpierw mózg? - zapytał Tessek. - Dzięki za propozycję, ale moja odpowiedź brzmi: nie. - Wyciągnął blaster i strzelił tak szybko, że mnich nie miał nawet czasu się poruszyć. Pająkowaty robot eksplodował, tryskając błękitnymi iskrami i uderzyło o ścianę, podrygując odnóżami wśród trawiących go płomieni.

Zielonoskóry gamorreński strażnik wpadł do pokoju z wibrotoporem w łapie. Tessek rozpoznał Ortugga po potężnych żółtych kłach i charakterystycznym odorze. Gamorreanin musiał stać tuż pod jego drzwiami.

- Co się stało? - chrząknął.

Tessek nie mógł nie zauważyć, że Ortuggowi udało się pokonać głosowe zabezpieczenie zamka w jego drzwiach.

- Obudziłem się i właśnie przypinałem broń, gdy to coś poruszyło się w drugim kącie pokoju - odpowiedział, zastanawiając się przez chwilę, czy nie powinien zastrzelić też Ortugga. Ostatecznie postanowił tego nie robić. - Wobec tych wszystkich dziwnych przypadków śmierci, jakie miały miejsce ostatnio w pałacu, postanowiłem nie ryzykować. Idź powiedziec panu Jabbie, że zlikwidowałem mordercę, który krył się wśród nas.

Tę ostatnią uwagę rzucił bez zastanowienia. To prawda, w pałacu rzeczywiście zdarzyło się kilka niepokojących przypadków; tu i tam pojawiały się nagle trupy bez żadnych znaków wskazujących na osobę mordercy. Tessek podejrzewał jednak, że wszystkie dałoby się przypisać temu trójkiemu łajdakowi Ree-Yeesowi. Ten kozłogłowy głupiec większość czasu był pijany, a w miarę jak coraz głębiej popadał w szaleństwo, stawał się coraz gwałtowniejszy. Gdyby nie to, że był jednym z jego najcenniejszych zbirów (choć bynajmniej nie najbardziej zaufanym), Tessek wskazałby go jako sprawcę już dawno temu. W obecnej sytuacji cieszył się jednak, że może odwrócić podejrzzenia, obciążając nimi mnichów. To na pewno da Jabbie do myślenia.

Ortugg podrapał się po otłuszczonym, włochatym podbródku i zastanowił się nad wyjaśnieniami Tesseka. Gdyby to był którykolwiek inny Gamorreanin, choćby ten głupiec Gartogg, który wszędzie włókł ze sobą gnijące ciała (przekonany, że stanowią cenne „tropy”, które pozwolą mu w końcu wykryć mordercę), bez zastanowienia przyjąłby wyjaśnienia Tesseka za pewnik. Tymczasem Ortugg dalej się drapał, powtarzając:

- Hmmrai...

- Mniejsza o to, kretynie! - warknął Tessek. - Jeśli jesteś zbyt głupi, by dostrzec prawdę, sam powiem o tym Jabbie, zgarniając przy okazji nagrodę.

Tessek wyszedł na korytarz i zbiegł po szerokich kamiennych schodach. Słyszał jęki robotów torturowanych w końcu jednego z bocznych korytarzy, ryczące bestie w pieczarach, więźniów w lochach. Pałac Jabby był siedliskiem bólu, niewoli i jęków. Kiedy Tessek zostanie władcą fortecy, wszystko się zmieni. Te korytarze wypełnią dźwięki muzyki i ożywione rozmowy księgowych. Tessek był biznesmenem i nie uważał się za istotę złą. Jabba marnował cenne zasoby - zarówno robotów, jak i żywych istot - dla zwykłego, złośliwego kaprysu.

W następnej chwili Ortugg wybiegł z pokoju, pobrzękując zbroją, i przepchnął się obok Tesseka, wołając:

- Zaczekaj! Zaczekaj! Ja sam powiem o tym Jabbie! Tessek wiedział oczywiście, jak zareaguje Jabba. Wystarczyła jednak drobna wzmianka o możliwej nagrodzie, by ogłupić nawet najsprytniejszego Gamorreanina.

Tessek mógł więc teraz swobodnie zająć się codziennymi sprawami. Dzień zapowiadał się pracowicie, tyle planów trzeba było wcielić w życie. Na pierwszy ogień poszło spotkanie z Baradą, szefem repulsorowej floty Jabby.

Niewielu ze sług Jabby miało przywilej posiadania własnego lokum. Pozwalano na to jedynie tym, którzy, jak Tessek - wymagali specjalnego zakwaterowania ze względu na swoje cechy anatomiczno-fizjologiczne. Reszta zbójów Jabby musiała spać w sali tronowej, służąc mu za strażników, a zarazem poważnie utrudniając intrygi jego własnym porucznikom.

Byli jednak i inni, którzy mieli własne kwatery. Barada na przykład był skazany na sypianie w hangarze, gdzie mógł strzec pojazdów.

Tessek zszedł na poziom parteru i zaskrobał lekko do drzwi hangaru. Wrota rozsunęły się z sykiem, a kiedy Tessek wskoczył do środka, zamknęły się za nim momentalnie.

W hangarze stały barki, które Jabba trzymał dla przyjemności, a także dziesiątki pojazdów służbowych, śmigaczy i motorów pościgowych, schowanych przed złodziejami i nieprzyjaznym środowiskiem za ciężkimi, pancernymi wrotami. W hangarze unosiła się woń rdzy i smarów, farby i kurzu.

Na szczęście drzwi zewnętrzne były zamknięte, odgradzając wnętrze od nieznośnego upału. W jednym z rogów pomieszczenia na podłodze, na kamieniach przysypanych piaskiem, leżał Barada, rozebrany do pasa. Jego żółte oczy jarzyły się słabo w mdłym świetle lamp roboczych.

- O co chodzi? - syknął Barada. Był wybuchową istotą o spękanej, brązowej skórze, podobnej do surowych pustyń Tatooine zarówno pod względem szorstkości, jak i barwy. Czasami tylko grzebień na jego czaszce zmieniał kolor na jaskrawoczerwony. Był inteligentny i zamknięty w sobie - jeden z niewielu niewolników, którym Jabba ufał.

Barada powinien dawno wykupić sobie wolność, ale Jabba oszustwem pozbawił go jej wiele lat temu. Hutt mądrzej by zrobił, gdyby wyzwolił go i zatrudnił na uczciwych warunkach. Ponieważ jednak się na to nie zdobył, wkrótce przekona się, że zaufał niewłaściwej osobie.

- Czas działać, przyjacielu - powiedział miękko Tessek. - Nadszedł w końcu dzień, w którym odzyskasz wolność. Wszystko w porządku? Wszystko zabezpieczone? - Nie odważył się bardziej otwarcie zapytać, czy bomba została już umieszczona na skiffie Jabby.

Barada przytaknął, przymykając oczy.

- Cały dzień przygotowywałem skiff Jabby do podróży, ale zanim udałem się na spoczynek, dowiedziałem się pewnej interesującej rzeczy.

- To znaczy?

- Kolejni członkowie Sojuszu Rebeliantów wkradli się do pałacu Jabby! Tessek syknął z niezadowolaniem.

- Opowiedz mi o tym.

- Ta kobieta przebrana za łowcę nagród z Ubese, która dostarczyła Wookiego, przyjaciela Hana Solo, a potem próbowała go uwolnić. Potwierdziliśmy jej tożsamość. To sama Leia Organa, księżniczka z Alderaanu. A Jabba trzymają na łańcuchu u swojego ogona.

- Kretyn! - orzekł Tessek. - Nie rozumie, jakie to niebezpieczne? Wystarczająco nieodpowiedzialne było zatrzymanie Hana Solo, a uwięzienie Wookiego to wprost niewyobrażalna głupota. Ale uwięzienie księżniczki? Przecież z pewnością Sojusz Rebeliantów przybędzie jej na ratunek!

- Jabba uważa, że nie. Powinieneś być zobaczyć, jak rechotał, kiedy się dowiedział, kim jest ta dziewczyna.

- Jabba może się teraz śmiać, ale zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni! Wkrótce zrealizujemy nasze plany, a ja na pewno odetchnę swobodniej, odesławszy stąd tych Rebeliantów.

Tessek obrócił się w kółko, aż jego płaszcz zafalował. Tyle zmartwień! Atak Rebeliantów, szpiedzy Jabby, złowrogie aluzje jakiegoś dawno zmarłego mnicha, głupota własnych ludzi Tesseka, morderstwa w pałacu. I niepewność co do jego własnych planów ataku na Jabbę.

Nagle rozległ się rozbawiony ryk Hutta, dobiegający z dolnego korytarza. O tej porze Jabba zazwyczaj spał. Najwyraźniej ktoś wpadł w kłopoty. Tessek pospieszył w dół do sali tronowej.

Nikt nie spał. Bib Fortuna stał między Jabbą a młodym mężczyzną w ciemnych szatach. Młodzieniec ostrzegał właśnie Jabbę:

- Bez względu na wszystko zabieram kapitana Solo i jego przyjaciół. Możesz na tym zyskać... albo zginąć.

Młody mężczyzna przemawiał z godnością, ale w jego głosie brzmiała wyraźna groźba. Tessek poczuł, że serce wali mu jak młotem i że bardzo, bardzo pragnie, by Jabba uwolnił więźniów.

- Ho, ho, ho, ho, ho! - roześmiał się Jabba, a potem powiedział po huttańsku:

- Nie dobijemy targu, młody Jedi. Tessek nic nie widział, bo widok przesłaniał mu zgromadzony tłum, stanął więc wyżej, by móc coś dostrzec ponad ich głowami. Jeden z robotów Jabby zaczął ostrzegać przed czymś rycerza Jedi, ale Jabba wcisnął guzik, który otworzył zapadnię w podłodze, w tej samej chwili, gdy młody Jedi nie wiadomo skąd wy dobył blaster i strzelił w powietrze.

Jedi wpadł do pieczary rankora razem z jednym z gamorreńskich strażników. Większość mieszkańców pałacu rzuciła się do kraty, by obejrzeć walkę, ale Tessek trzymał się z tyłu, zerkając na Jabbę z przerażeniem. Ten szalony Hutt nie miał kompletnie poczucia tego, co właściwe. To nie do pomyślenia, żeby zabić ambasadora Sojuszu Rebeliantów.

Na parę chwil zapanowało istne pandemonium. Bury rankor ryknął i zaczął podchodzić swoje ofiary. Ale walka z rozwścieczonym rankorem była krótka i zakończyła się śmiercią zwierzęcia, na którą Hutt zareagował rykiem frustracji.

W ciągu zaledwie minuty Jabba zebrał wszystkich bohaterów Rebelii i ogłosił na nich wyrok śmierci.

- Zostaniecie zabrani do Wielkiej Jamy Carkoona i rzućni na pożarcie mocarnemu Sarlaccowi. W jego trzewiach poznacie nową definicję bólu i cierpienia, trawieni przez tysiące lat!

W pałacu Jabby, w ogólnym zamieszaniu, słudzy zaczęli niezwłoczne przygotowania do podróży. Hurt wykrzykiwał rozkazy:

- Przygotujcie moją barcę żaglową! Załadujcie prowiant! Odlatujemy za parę godzin!

Najwyraźniej Jabba wiedział, że niebezpiecznie byłoby zbyt długo przetrzymywać Mistrza Jedi, ale ten kuzyn ślimaków bardzo pragnął dokonać okrutnej zemsty. Nie wystarczyło po prostu zabić młodego mężczyzny.

Tessek poczuł, że robi mu się zimno. Wyprawa do Wielkiej Jamy Carkoona zajmie całe popołudnie. Prefekt Talmont zaatakuje pusty magazyn. Tessek musiał zmienić plany.

Wśród powszechnej bieganiny ruszył w stronę Hutta. Oddech potwora cuchnął rozkładem i nielegalnymi przyprawami. Jabba zwrócił w dół ciemne oczy.

- Wasza Wysokość! - odezwał się Tessek. - Czy nie powinieneś ponownie rozważyć celowości tej szalonej misji? Zabijając bohaterów Sojuszu Rebeliantów, ściągniesz na siebie jedynie gniew Sojuszu. Możliwe, że na orbicie już czekają ich okręty, gotowe do ataku.

- Ho, ho, ho, ho, ho! - roześmiał się Jabba. - Atak na moją fortecę? Chciałbym to zobaczyć! Sięgnął do pojemnika najedzenie, wyciągnął z niego wijące się stworzenie, położył sobie na języku i połknął.

- Może siły Sojuszu tylko czekają, byś opuścił pałac, wystawiając się na niebezpieczeństwo? Jabba nie odpowiedział od razu, ale oczy rozszerzyły mu się ze strachu. To był bardzo logiczny argument.

- Tak, tak - powiedział. - Musimy być ostrożni. Udamy się do Wielkiej Jamy Carkoona, ale z pełnym kontyngentem wojowników. Idź, Tessek, przygotować się do podróży na pokładzie mojego jachtu.

Tessek starał się nie okazać strachu. Tylko zachęciłby w ten sposób Hutta i sprawił mu przyjemność.

- Ależ mój panie, nie mogę jechać na pustynię! Ja... skóra mi wyschnie!
- Ho, ho, ho, ho, ho! - roześmiał się Jabba, a Tessek zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zgodzić się towarzyszyć Hurtowi. Myśl o cierpieniu Tesseka rozbawiła tylko potwora.

- Mój panie... - argumentował dalej Tessek. - Mamy tu ważne interesy! Zapomniałeś o dostawie przyprawy z Kessel? Musimy dziś przeprowadzić inspekcję ładunku! Może... może sam udam się do Mos Eisley i dokonam inspekcji?

Jabba zmrużył oczy i oblizał wargi. Bardzo lubił przyprawę, a część wysyłki miała iść na jego własne potrzeby. Nie ufał jednak Tessekowi.

- Tak, tak... - powiedział zamyślony, po huttańsku dudniącym głosem, rozlegającym się echem po sali. - Przyprawa... będzie musiała poczekać. Przygotuj się do podróży do Wielkiej Jamy Carkoona. Chcę cię mieć u boku!

Tessek znalazł się w pułapce. W głowie słyszał słowa mnicha: „Jabba planuje twoją własną zgubę”. To oczywiste, że Jabba go podejrzewa, a ci, których podejrzewał, nie cieszyli się długim życiem. Bawił go strach Tesseka przed wysuszeniem. Tessek wyobraził sobie własną wysuszoną skórę, ozdabiającą ściany pałacu niczym Han Solo zamrożony od tygodni w karbonicie.

- Myślałem, że jestem czymś więcej niż tylko księgowym - argumentował. - Każdy z tu obecnych poradzi sobie z tymi sprawami lepiej niż ja.

- Nie szkodzi - zapewnił go Jabba. - Nie tylko pragnę, byś mi towarzyszył. Potrzebuję cię. Mam co do ciebie wielkie plany.

Tessek wybiegł z pokoju, już na progu zaczynając knuć nowy spiszek. Miał zaledwie trzy lub cztery godziny.

Zbyt mało czasu, by odwołać najazd prefekta Talmonta na magazyn Jabby. Tessek nie zdąży też wysłać wiadomości do agentów Talmonta w Mos Eisley. Będzie musiał porozmawiać z Talmontem po fakcie i namówić go, by zorganizował kolejny najazd w późniejszym terminie.

Zaczął się zastanawiać nad bombą na skiffie Jabby. Jeśli Jabba chciał lecieć na pustynię uzbrojony po zęby, będzie musiał zabrać ze sobą skiff wyładowany swoimi zbirami, by w razie zamieszania wykorzystać go jako zewnętrzną linię ochrony. W tych warunkach niewiele potrzeba, by

zdetonować bombę - iskra z przegrzanego obwodu, zabłąkany strzał. Bomba była duża... na tyle duża, by zniszczyć całą barcę żaglową Jabby, gdy skiff się do niej zbliży.

Tessek nie miał czasu, by rozmontować bombę. Ludzie i roboty Jabby pewnie już kręcili się po skiffie, przygotowując go do drogi.

Cóż, miał tylko jedno wyjście - wymknąć się podczas chaotycznych przygotowań. Zapakował do niewielkiej torby trochę czipów kredytowych i ubrań, parę sztuk dodatkowej broni i ruszył na poziom parteru, starannie unikając dworaków i sługusów Jabby.

Przechodząc przez salę tronową, zauważył Yamę, przeraźliwie grubą tancerkę Jabby, kobietę o sześciu dużych piersiach. Sięgała właśnie do tajnej skrytki w tronie, skąd wyjmowała jakieś drobiazgi i szlachetne kamienie, chowając je pod stanikiem. Zobaczyła go, znieruchomiała i spojrzała błagalnie.

- Proszę... - szepnęła po huttańsku. - To nie dla mnie, to dla moich młodych. Wyjeżdżam i już nie wrócę.

Tessek zastanawiał się przez chwilę; gdyby wydał tę kobietę, mógłby zyskać w oczach Jabby.

Zamiast tego jednak tylko wzruszył ramionami i poszedł do hangaru grawifloty.

W hangarze pełno było zabieganych istot przygotowujących broń i kucharzy wnoszących na pokład jedzenie. Zazwyczaj roboty Barady bacznie obserwowały wszystko, co działo się w hangarze, ale w tej chwili hangar przypominał dom wariatów, rozjarzony światłami pozycyjnymi statku.

Podchodząc pozornie niedbale do swoopów stojących w cieniu barki żaglowej Jabby, Tessek przyklęknął, żeby sprawdzić, w jakim są stanie. Każdy swoop składał się niemal wyłącznie z dużego silnika repulsorowego, zamontowanego na ramie dostatecznie dużej, żeby zmieścić parę stabilizatorów. Miały spory zasięg i niezłą prędkość, ale nie zapewniały żadnej ochrony przed pogodą ani żadnej broni zaczepnej. W tej chwili Tessekowi zależało jednak wyłącznie na szybkości.

Znalazł w końcu swoop, który wydawał się najszybszy, i podłączył przewody doprowadzające paliwo, żeby mieć pełny bak. Dosiadł pojazdu i spojrzał na ciężkie, pancerne wrota. Żeby uciec, będzie musiał jakoś je otworzyć, ale Jabba robił to zawsze dopiero w ostatniej chwili przed wylotem. Otwarcie tych wielkich wrót było najpewniejszym sposobem opuszczenia narażonego na atak pałacu. Nie było to jednak takie proste - potrzebny był do tego wykwalifikowany technik w sterowni, znający właściwe kody, które zwalniały zamki.

Barada mógł otworzyć wrota, ale Jabba kazałby go za to zabić. Tessek usiadł i zaczął się zastanawiać, czym by go tu przekupić.

- Tessek! Tessek! Gdzie jesteś? - To był Ortugg, gamorreński strażnik, który miał mieć oko na Tesseka.

Skoro nie mógł opuścić hangaru na motorze, wsunął go w cień pod barką żaglową. Zasapany Ortugg obiegł dookoła barcę - zdecydowanie największy pojazd w hangarze - postukując płytami zbroi.

- Chodź już - warknął strażnik. - Chyba się nie chowasz przez Jego Wysokością, co?

Z wnętrza barki dochodziły odgłosy pracujących robotów. Tessek spojrzał na jedną z bocznych płyt poszycia za kambuzem i zauważył, że jest niedomknięta. Nasunęło mu to pewien pomysł. Może uda się uciec z samej barki. Na pewno zrobi się niezły galimatias, gdy zaczną torturować bohaterów Rebelii.

Tessek wcisnął swoop za płytę poszycia. Właśnie dociskał płytę, gdy zza pleców usłyszał warknięcie Ortugga:

- Chrrrm, chrrrm... a co ty tu kombinujesz?

- Jestem gotowy do drogi - powiedział Tessek, odwracając się w stronę Gamorreanina. -

Przyszedłem na pokład, ale najwyraźniej nikt inny nie jest jeszcze gotów.

Ortugg zmrużył zaczerwienione oczy.

- Jechać dopiero za godzinę. Ty chodź ze mną - warknął, zaciskając dłoń na ramieniu Tesseka. -

Jabba nie chce, żebyś tu myszkował.

Tessek nawet nie próbował wyrwać ręki z uścisku strażnika. Ortugg słyszał ze swojej siły, a teraz ciągnął go za sobą tak mocno, że Tessek mógł albo iść za nim, albo dać się wlec po podłodze.

Gamorreanin wtaszczył go na pokład barki i usiadł obok niego przy tronie Jabby. Wnętrze było ciemne i zalatywało nieco pleśnią, jak każde miejsce nieużywane przez dłuższy czas.

Tessek z trudem przełknął ślinę. Żołądek miał ściśnięty. Nie jadł jeszcze obiadu i z tęsknotą myślał o molluskach, które przechowywał w swoim pokoju, wyobrażając sobie, że otwiera je po kolei czterema czułkami.

Ortugg wyciągnął ciężki blaster i zaczął czyścić czarny osad, który zebrał się u wylotu lufy. Kiedy skończył, wycelował broń w prawe oko Tesseka i zapytał:

- Czysty?

- Czysty. Bardzo czysty - zapewnił Tessek.

Ortugg długo trzymał blaster wycelowany w twarz Tesseka.

- Jabba ci nie ufa - powiedział w końcu, odkładając blaster na bok. - Masz pecha. Tessek trwał zatopiony w rozmyślaniach przez następną godzinę. Przez ten czas na barkę zaczęli wchodzić pasażerowie. Pół tuzina najbardziej zaufanych zbirów Jabby zajęło miejsca w pobliżu Tesseka. W końcu na pokładzie pojawił się sam Jabba, ciągnąc na łańcuchu księżniczkę Leię. Kiedy usadowił się na swojej platformie, barka prawie natychmiast ruszyła, a zespół zaczął grać głośną melodię.

Barka wypłynęła na pustynię, przeskakując wysoko ponad wydmiami jak statek nurkujący w górskich prądach powietrznych. W miarę jak silniki się rozgrzewały Jabba kazał swoim ludziom otworzyć niektóre z bocznych paneli, by jaskrawe, żółte światło bliźniaczych słońc Tatooine rozjaśniło wnętrze. Do kabin wpłynęło gorące, suche powietrze.

Tessek nie odzywał się, niewiele też rozmyślał. Nie miał nic do powiedzenia temu potworowi Jabbie ani jego sługusom. Siedział cały w strachu jak zbyt pełna filiżanka, aż lęk zaczął wyciekać z niego w zapachu ciała i barwniku, który kapał z kącików ust przy każdym nerwowym dreszczu.

W miarę jak pojazd się rozgrzewał skóra Tesseka zaczęła swędzieć i pękać. Wysychała nierównomiernymi plamami - pomiędzy czułkami w okolicach ust, na obrzeżach twarzy. Normalna, zdrowa szarość skóry przeszła w chorobliwą bladość. Na odwrocie dłoni pojawiły się granatowe plamy chorobowe.

Ściśle mówiąc, pod względem biologicznym najbliższymi krewnymi Tesseka były małże i ślimaki. Jego gatunek dawno temu przystosował się do przebywania przez pewien czas na lądzie, choć w ograniczonym zakresie. Nadal jednak potrzebował wody, by zachować giętkość. W przeciwnym razie skóra zaczynała pękać i krwawić - przez co jeszcze szybciej traciła wilgoć - a dłuższe przebywanie w takich warunkach musiało doprowadzić do śmierci.

Tessek nie przejmował się jednak stopniową utratą ciała. Martwił go za to wyraz oczu Leii: była w nich niezłomność i pewność, których nie widział poprzedniego dnia. A oprócz niezłomności - chyba że po prostu sobie ją wyobraził - widział wstrzymywany gniew.

Nie, z całą pewnością Leia nie poddała się Jabbie. Nie straciła hartu ducha. Nawet teraz

zachowywała czujność, czekając na ratunek.

Patrząc na nią Tessek nabrał pewności: Sojusz Rebeliantów bezsprzecznie zaatakuje wkrótce barkę.

Jabba zjadał się tymczasem żywymi stworzeniami, paląc ogromną fajkę wodną. Oczy miał zasnutę mgiełką przyjemności. Jego totumfaccy kręcili się jak najbliżej niego.

Tessek zapragnął nagle odezwać się do Leii, dać jej znać, że jest sojusznikiem, ale odważył się tylko na bardzo nieśmiałą próbę.

- Wielki Jabbo - zaczął. Jabba spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. - Podejrzewam, że na niewiele ci się przydam, jeśli się jeszcze bardziej odwodnię. Czy mogę wycofać się do kuchni na szybką kąpiel gąbkową?

Jabba przyglądał mu się z bezwstydnym zainteresowaniem, rozkoszując się jego cierpieniem.

- Musisz zostać przy mnie - powiedział - by dowieść swojej lojalności.

- Och, panie, tego możesz być pewien! W razie jakichkolwiek kłopotów zajmę honorowe miejsce, chroniąc twoje plecy.

- Ho, ho, ho, ho, ho! - zarechotał Jabba cicho. Zaciągnął się głęboko fajką wodną przymykając oczy w ekstazie. W tym właśnie momencie Tessek spojrzał Leii głęboko w oczy, starając się usilnie wyrazić wzrokiem swój zamiar zdradzenia Jabby.

Ku jego zdziwieniu oczy księżniczki rozszerzyły się nagle ze zdumienia jakby doskonale go zrozumiała. Skinęła mu lekko głową i odwróciła wzrok.

Przez następną godzinę podróży ku Wielkiej Jamie Carkoona Tessek czuł się bardzo słabo, palony niemiłosiernie przez słońca Tatoonie. Oddychał coraz słabiej, a kiedy Jabba pochylił się, by móc lepiej widzieć egzekucję Skywalkera, Tessek ukradkiem sięgnął do napoju jednego z jego ludzi i przyłożył lód do twarzy.

Robot protokolarny Jabby odczytał wyrok śmierci Luke'owi Skywalkerowi i bohaterom Rebelii, a potem zapytał, czy chcą wygłosić ostatnie słowo. Han Solo odpowiedział stekiem wyzwisk wyjątkowo obraźliwych dla osoby huttańskiego pochodzenia; Skywalker dał po prostu Jabbie ostatnią szansę poddania się. Tessek obrzucił wzrokiem horyzont na bakburcie, pewien, że zobaczy pędzącą w ich stronę falangę Rebeliantów. Zdezorientowany ich brakiem popatrzył na sterburkę barki, a potem spojrzał w oślepiające podwójne słońca Tatoonie. Ani śladu okrętów wroga.

- Wrzucić ich! - rozkazał Jabba, a jego ludzie popchnęli Luke'a Skywalkera prosto do jamy. Młody Jedi wykorzystał jednak deskę jako trampolinę i wywinął w powietrzu salto, by wylądować z powrotem na pokładzie pojazdu. W tej samej chwili ktoś rzucił mu broń i w ciągu paru sekund Skywalker zaczął siekać pociskami ludzi Jabby.

- Łapać go! Łapać go! - krzyknął Jabba. Kilku z jego zbirów zaczęło strzelać do bohaterów Rebelii, nie przejmując się tym, że źle wycelowane strzały mogą trafić ich towarzyszy. Wiedzieli, że Jabba hojnie wynagrodzi tego, który wyeliminuje Jedi.

Przez jedną krótką chwilę Tessek zastanawiał się jeszcze, kiedy nadciągną posiłki Sojuszu. Han Solo i rebelianccy bohaterowie walczyli najlepiej, jak umieli, ale większość z nich robiła wrażenie zwykłych partaczy, jak ten, który spadł na skraj Wielkiej Jamy Carkoona i reszta musiała rzucić się mu na pomoc, zostawiając Jedi samego wobec przeważających sił Hutta.

Tessek wyciągnął własny blaster i stanął za plecami Jabby. Wszyscy jego dworacy rzucili się ku bakburcie, próbując zastrzelić Luke'a Skywalkera i innych Rebeliantów. Tessek zorientował się nagle, że mógłby bez trudu strzelić Jabbie w głowę. Zanim jednak zdążył się zdecydować, Leia

podskoczyła, zarzuciła Jabbie na szyję łańcuch, którym była do niego przykuta, i zaczęła go dusić. Tessek nie mógł teraz strzelić, cofnął się więc w cień, ciekaw, czy dworacy Jabby zorientują się, co robi Leia, i ważąc w myślach losy bitwy. Kiedy wreszcie przybędą posiłki Sojuszu? Czy ludzie Jabby zdążą do tego czasu zastrzelić bohaterów Rebelii?

Jeden z Weequayów - na usługach Tesseka - odwrócił się, zobaczył Leię i zaczął krzyczeć. Tessek strzelił mu prosto w gardło. W zamieszaniu, jakie panowało na barce, nikt tego chyba nie zauważył.

W ciągu kilku sekund jeden ze skiffów eksplodował - pewnie od jego własnej bomby, pomyślał Tessek - i nagle połowa zabijaków Jabby była martwa. Leia wykończyła Hutta, a Tessek, który ciągle czekał na atak Rebeliantów, zrozumiał w końcu, że nie nadleci ani jedna eskadra myśliwców. Ci pozornie słabi i niezdarni Rebelianci w szybkim tempie wykańczali wyszkolonych najemników Jabby. Ich Wookie ostrzeliwał barkę prawdziwą kanonadą, aż jęczała i kołysała się pod stopami, a potem spróbował ratować Hana Solo.

Tessek rzucił się do panicznej ucieczki. Przeskoczył przez kuchnię, łapiąc po drodze dzban wody, odnalazł swój swoop, odkręcił zewnętrzną płytę poszycia i wystrzelił ponad piaski z maksymalną prędkością.

Był już dość daleko od barki, gdy ta zamieniła się w wielki grzyb dymu i ognia, wieszcząc niesławny koniec panowania Jabby.

Lecąc w stronę domu, część wody wypił, a resztą oblał skórę i owinał się ciasno płaszczem. Przez całą drogę zastanawiał się, jak skonsoliduje swoje siły w pałacu, który do niedawna należał jeszcze do Jabby.

Czuł, że coraz bardziej wysycha. Pustynny wiatr palił mu skórę na twarzy, wysysając z niego wilgoć. Nienawidził tej suchości, nienawidził tnących do kości, gorących ostrzy wiatru. Ale w miarę jak swoop mknął ponad piaszczystymi wzgórzami i nurkował w cieniste doliny, Tessek uświadomił sobie, jak niezwykle lekko jest mu na duszy. Po raz pierwszy w życiu czuł się wolny...

- Jestem wolny, jestem wolny! - bełkotał. Widział w marzeniach bogactwa Jabby, porozrzucane dookoła w niestrzeżonych stosach, i jeszcze większe bogactwa starannie ukryte na rachunkach numerycznych i rozważnie zainwestowane w przedsiębiorstwach rozrzuconych po całej galaktyce.

Dotarł do fortecy Jabby o zmierzchu, kiedy zazwyczaj w wieżach strażniczych zapalały się światła, a ropuchy w kałużach wokół pałacu zaczynały skrzeczeć swoje szkaradne pieśni.

Pałac był ciemny, pusty i Tessek zaczął się obawiać, że zanim dostanie się do środka, umrze w tych ciemnościach. Kiedy jednak zbliżył się do pałacu na swym swoopie, bzykającym nad wciąż gorącymi piaskami jak duży owad, zauważył, że przy bramie wejściowej płoną pochodnie.

Lepiej powiadomię ich, że Jabba nie żyje i ja teraz jestem szefem, pomyślał.

Przekazał strażnikom wiadomość i schronił się przed chaosem w ciemnym, cichym, bezpiecznym miejscu. Zabrał swoop z powrotem do hangaru. Kiedy podszedł do plastalowych drzwi, te rozsunęły się jak na komendę.

Barada. Dobry, wierny Barada, pomyślał Tessek. Wsunął się do hangaru i natychmiast się zorientował, że coś jest nie tak. Powinien był zobaczyć przynajmniej pracujące tu roboty konserwujące, oświetlające hangar jarzącymi się oczami.

Hangar był jednak cichy i ciemny jak grób. Drzwi zasunęły się za nim, a Tessek spadł ze swoopa, zbyt zmęczony i chory, by iść.

- Barada? Barada? Proszę, przynieś mi wody... - krzyknął. A potem sobie przypomniał. Barada

nie żył, zginął na barce żaglowej. Nie przyniesie mu wody. I to na pewno nie on otworzył mu drzwi. Tessek rozejrzał się po ciemnym, pustym pomieszczeniu, zastanawiając się, kto go wpuścił. Nienawidził własnego ciała za jego słabość, za to, że nie mogło przetrzymać pustynnego skwaru Tatoonie i stale groziło, że odmówi posłuszeństwa. Zaklął w duchu, gdy nikt nie odpowiedział na jego wołanie.

Doczołgał się do najbliższego zlewu w kwaterze Barady, opluskał ciało i napił się, a potem chwiejnym krokiem ruszył, by powiadomić o śmierci Jabby resztę mieszkańców pałacu.

Jego rewelacje spowodowały niemałe zamieszanie. Sam ruszył na górę do swoich pokoi, by zapakować zapas wody i jedzenia. Zastanawiał się przy tym, jak zabrać ze sobą możliwie największą część majątku Jabby. Korytarze pałacowe były ciemne i opuszczone. Wszyscy żołnierze gdzieś zniknęli. W pewien sposób pałac wydawał się jeszcze ciemniejszy i bardziej złowrogi niż kiedykolwiek za panowania Jabby.

Zebrawszy swoje rzeczy, Tessek wyszedł z kwatery. Uświadomił sobie z ulgą, że już nigdy nie będzie musiał tutaj wracać.

Spod ściany korytarza dobiegł go niepokojący dźwięk - stukot podchodzącego coraz bliżej robota, który człapał ciężko po podłodze. W ciemności echo powtarzało metaliczny odgłos jego kroków.

Tessek spojrzął w dół korytarza. Wielki, czarny, pająkopodobny chodzik mózgu sunął w jego stronę. Dwoje oczu lśniło mdło w otaczającej go ciemności. Zanim kroczył następny, i jeszcze jeden. Schodzili się ku niemu ze wszystkich stron. Mnisi B'omarr.

- Witaj, akolito Tesseku - szepnął pierwszy z mnichów.

- Odejdźcie! - jęknął błagalnie Tessek. Oparł się plecami o ścianę i osunął na podłogę, osłabiony ze strachu i zmęczenia. Usłyszał zgrzyt kół wózka, kątem oka chwytając błysk rozłożonych na nim starannie laserowych skalpeli.

Pół roku później Tessek po raz pierwszy wyszedł z pałacu Jabby. Czuł się wypoczęty i bezpieczny w swoim mechanicznym, pająkowatym ciele; z łatwością wspinał się na szczyt najwyższej wieży.

Usiadł na parapecie i spojrzął w dół, na zachodzące słońca, które rozlewały plamy purpury i szkarłatu na oślepiająco białych piaskach. Od pustyni powiał wiatr, unosząc obłok pyłu. W swoim obecnym stanie Tessek mógł nie dbać o to, czy wiatr był gorący czy chłodny, suchy czy wilgotny.

Po raz pierwszy od pół roku opuścił słój swojego mózgu, używając nowo wykształconych umiejętności, by siłą woli opanować jedno z mechanicznych ciał.

Głęboko w pałacu nadal leżały nieprzebrane bogactwa, gotowe do wzięcia, jeśli tylko ktokolwiek odważyłby się po nie sięgnąć. Jednak po pierwszych nieudanych próbach podejmowanych przez zabijaków i złodziei z Mos Eisley ochotnicy pojawiali się coraz rzadziej.

Tessek usadowił swój mózg na krawędzi parapetu, rozstawiając szeroko pająkowane nogi. Kiedyś bałby się, że spadnie. Kiedyś czułby się, jakby siedział na szczycie świata.

Teraz zamknął oczy i zaczął zgłębiać świat swojego umysłu. Pod nim, w najgłębszych celach nawiedzonego pałacu Jabby, najmłodszy mnisi B'omarr ćwiczyli się w medytacji.

Na pustyni drapieżniki polowały na istoty, które nadal miały na kościach ciało. Jawowie i Ludzie Pustyni toczyli bitwy o wodę. W Mos Eisley lady Valarian kształtowała nowy styl i klasę lokalnego półświatka. A w niebiosach ponad nim Sojusz Rebeliantów nadal walczył... o co...? O wolność...

Tessek pozwolił swym myślom poszybować w górę, daleko ponad gwiazdami, i delikatnie

dotknąć umysłów ludzi, których kiedyś spotkał i uznał za pokrewne dusze. Luke'a, Leii, Hana, Wookiego.

W tej samej chwili w umysłach bohaterów Rebelii pojawiła się ta sama natrętna myśl: „Jeśli kiedykolwiek wrócicie do fortecy Jabby, znajdziecie w pałacu wolnego Quarrena”.

Bohaterowie Rebelii jednocześnie potrząsnęli głowami, by odpędzić dziwną myśl.

Kiedy słońca schowały się za horyzontem, Tessek wstał i ruszył w dół ciemnym korytarzem, prowadzącym na najniższe poziomy pałacu Jabby. Tam, wśród wypełnionych odżywczym płynem słoï z mózgami, w końcu odnajdzie spokój.

WYJŚCIE Z CIENIA opowieść zabójcy

Jennifer Roberson

Upał.

I słońce.

I piach.

I martwe ciała. Martwe lub umierające.

Ciała wciąż pełne krwi, która jeszcze nie została przelana, jeszcze nie wsiąkła w pył Tatooine, nie rozprysła się na suszonych w słońcu ceglach Mos Eisley, nie zaplamiła przepoconych ubrań kupionych o tysiące planet stąd. Ani jednej kropli lśniącej na zwiotczonych wargach, kapiącej z rozciętych gardeł, sączącej się z delikatnych skrzydełek nozdrzy.

Jeśli w ogóle mieli takie atrybuty jak nozdrza czy krew.

Nie musieli nawet być humanoidami, bym mógł spijać ich zupę. Wystarczyło, jeśli ich ciała produkowały tę substancję w mózgu, pod czaszką, wewnątrz pancerza, taką galaretowatą, śluzowatą masę.

Ból/przyjemność

Przyjemność/ból

Jego/jej/tego.

I mój też. Zawsze.

Zabieram ich do miasta, do domeny Jabby: tego, tamtego, jeszcze jednego... i zostawiam, tak jak zawsze, bez żadnych śladów, które mogłyby wskazać na przyczynę ich śmierci. Żadnej metody, żadnych środków, żadnych poszlak. Tylko ciała, ciała pozbawione życia, a co gorsza pozbawione też zupy, tego, co - kiedy wydrenuje się mózg - pozbawia ciała jego esencji. Jego środków do życia.

To nie esencji pragnę ani nie krwi, ani ciała, które jest w końcu tylko zewnętrzną powłoką. To zupy pragnę, to jej potrzebuję; zupy, by uratować mojego ducha, by utrzymać przy życiu moją powłokę.

Wybieram ich wedle uznania, ze spektakularną skutecznością, z godnym podziwu pragmatyzmem: ten, tamten, jeszcze jeden; czy zatańczysz ze mną i umrzesz?

Tym razem jednak robię to dla samej śmierci, dla zewnętrznej powłoki, nie tylko dla zupy. Nie dziś, nie tu, nie na tej planecie, nie po to, by ocalić mojego ducha. Są pode mną, to martwe i umierające trio przemierzające ulice kosmoportu Mos Eisley - tu i tam, i tam. Zwykle zbiry, nawet nie zabójcy - puste, służalcze istoty o słabej i pozbawionej smaku zupie... ale ich śmierć zadowoli moje cele, jeśli nie upodobania. Chcę, żeby zginęli z mojej ręki, bez żadnych śladów, bo mój gatunek nie zostawia śladów, po których można by nas rozpoznać.

Ktoś jednak mnie rozpozna, ktoś będzie wiedział - bo bardzo się o to postaram.

Mój pracodawca, mój zdrajca.

- Anzata - będą szeptać. - Anzata z planety Anzat.

Ból/przyjemność

Przyjemność/ból

Zabieram tych i innych, jego sługi, i zostawiam ich martwe ciała, tak by ktoś je znalazł. I znajdują je, i meldują o tym. Talmontowi - prefektowi; lady Valarian - królowej, która chce być królem; samemu Jabbie.

Talmont i Valarian się cieszą - ci, których zabiłem, to ludzie Jabby.

Sam Hutt będzie rozdrażniony... jest rozdrażniony i pewnie już teraz przypisuje winę swoim najbliższym wrogom; niezliczonym wrogom, którzy spiskują przeciw niemu częściej i regularniej, niż humanoidy nabierają powietrza w płuca.

Nikt jednak nie wini Dannika Jerriko. Jeszcze nie. Dopiero wtedy, gdy uznam za stosowne się ujawnić.

Zanim ktoś znalazł ciała, zanim o tym zameldował; zanim w końcu ich badanie ujawniło prawdę, zanim prawda zamieniła się w pogłoskę, a pogłoska - w legendę, jestem już w pałacu. Nie pytajcie, jak przybyłem ani jak udało mi się wejść. Jestem kim jestem i samolubnie strzegę swoich sekretów.

Oto idzie ciało, jeszcze żywe. Wyłania się z mętnej wilgoci i wspaniałej nędzy niesławnego pałacu Jabby. To Weequay - o bladym, skórzastym ciele, gadzich rysach i włosach splecionych w pojedynczy warkocz wojownika, opadający z wygolonej czaszki. Spotykałem takich podczas moich wcześniejszych interesów z Jabką. Złośliwa, brutalna rasa; ich zupa pulsuje okrutnymi zamiarami. To cienka, kwaśna zupa, ale na razie wystarczy. Tu. Teraz. W tej chwili. Naprawdę wystarczy.

Ból/przyjemność

Przyjemność/ból

Dla ofiary to taniec śmierci: uścisk, z którego nie sposób się wyrwać, dłoń obcego, zaciskająca się na twojej czaszce, oczy potwora wpatrzone w ciebie nieruchomo, rozszerzone pod wpływem ciemności. Chwytny czułki wysuwają się z mięsistych kieszeni policzkowych obok mojego nosa i delikatnie, pieśczołtliwie, leniwie dotykają twoich nozdrzy. I nagle penetrują je, niecierpliwie i gwałtownie.

Zapomnij o pieśczołtach.

Przebijam się do mózgu i dalej, po zupę życia.

To mój taniec, więc ja prowadzę. Z mojego punktu widzenia nie jest ani makabryczny, ani pozbawiony gracji, tylko niewymownie piękny; dla mnie to taniec życia.

Weequay tańczy, a jakże, tak jak tańczą wszyscy inni, próbując uciec, gdy im pozwalam spróbować, bo taniec musi być szybki, by zupa smakowała bardziej słodko. Ale nawet kiedy tańczy, jest w pułapce; nie uda mu się wyrwać. Wie o tym i się boi: jego gardło łka syczy i popiskuje. Potem już żaden dźwięk nie wydobywa się z jego ust ani z gardła; tylko oczy jeszcze mówią. Krzyczą. Wiedzą. Umierają. I to wszystko w milczeniu.

Upał

W Mos Eisley żar, jak ofiarne całopalenie. Nie tak gorący jednak, by sparzyć moją skórę, upiec kości; żar jest w zupie, w esencji ciała, niezależnie od tego, do kogo należało.

Ciało zwiesza się bezwładnie. To już koniec. Zostawiam je przy kuchni, gdzie na pewno ktoś je znajdzie.

Moje czułki drżą, nasycone, i zwijają się same, nieproszone, z powrotem do kieszeni

policzkowych. Na ustach pozostaje mi ślad cukrowej słodyczy. Weequay jadł coś przed naszym tańcem, powodowany dziecinnym apetytem na podwędzone z kuchni łakocie. Ale żadna słodycz wykonana rękami nie może się równać ze smakiem wydzieliny mózgu.

Strzepuję mankiety pod rękawami, wyglądam kurtkę. W pałacu Jabby znajdę aż nadto zupy.

- Anzata - będą szeptać. - Anzata z planety Anzat.

To sprawa osobista, ta historia. Zamiar zupełnie niewinny, wykraczający poza kwestię wyrobionego apetytu. Potrzebowałem zupy - bez niej nie mógłbym żyć - ale potrzebowałem jego zupy, niczyjej innej, zupy nad zupami: esencji humanoida, który zna strach, ale mu się nie poddaje; stawia mu czoło, pokonuje go, nie tyle śmieje mu się w twarz, ile udowadnia, że choć ciało ma słabe, to ducha silnego. I który, pokonując strach, wytwarza zupę nad zupami, słodką, gorącą i czystą.

Zupa Hana Solo.

To również sprawa zawodowa, historia perfidnej zdrady. Jabba chciał, by przemytnika złapano. Ale Hutt nie dbał o jego zupę; jeśli w ogóle o niej wiedział, to nie wspominał o tym. Prawdopodobnie, biorąc pod uwagę jego źródła i informacje, wiedział, ale go to nie obchodziło. Wiedział też, że jestem nietykalny, bo jato ja, i nie ma lepszego. A najlepszym należy się to, co najlepsze.

Zupa Hana Solo

Będzie moja, jak go złapię. Moja. To ja ją wezmę, ja wypiję. Ja będę ją saczył, smakował: gorącą, słodką i czystą.

Ale Jabba ukradł mi ją. Zostałem zdradzony.

Przez Fetta. Przez Carlissiana. Przez samego Hutta Jabbę, który ich wszystkich podjudzał. Który ich wszystkich kupił.

Kupił i mnie. Obiecał wyłączność najlepszemu z najlepszych, raz na zawsze, amen: Dannikowi Jerricko, zabójcy nad zabójcami.

I za to Jabba umrze. Umrą też inni: trzech w Mos Eisley i jeszcze kilku, jak ten Weequay, w pałacu Jabby.

I Han Solo. I jego kobieta, księżniczka krwi. I ten chłopak bez rodowodu, ale obiecujący, z niewyjaśnionych przyczyn biegły w tym, co było siłą Kenobiego.

Znałem tę siłę, odkąd żyję, a żyję dłużej niż inni; my, Anzatowie, znamy sekrety wielu wszechświatów, galaktyk, światów. Ta siła, którą ma chłopak, siła Kenobiego, to również siła Vadera. I siła Imperatora.

U tych ostatnich jednak siła uległa wykrzywieniu. Już nie była tą, którą miał Kenobi, nie tą, którą mieli mistrzowie Jedi. Czy siłę chłopca też uda im się wypaczyć?

Być może. Nikt z żyjących nie oparł się Imperatorowi ani Vaderowi.

Ani Hurtowi Jabbie.

Ale żaden z nich - oprócz Jabby - nie zna mnie. Wiedzą o mnie, znają mój gatunek, wszystkie te makabryczne opowieści. I to właśnie wykorzystam: ignorancję, plotkę. Niech powtarzają, co chcą. Tym razem to wykorzystam. Zawsze działa.

W pałacu, który kiedyś był klasztorem - żyjącym w czystości, póki nie zanieczyścili go pierwsi napastnicy, a później sam Jabba - jest wielu, którym mogę się przyglądać, których mogę analizować, których mogę ściagać. Mogę ich podchodzić ukradkiem, znienacka, co przypisują nam te wszystkie opowieści; metoda dziś już zapomniana, ale bardzo przydatna - całe mnóstwo ras, gatunków, zupy. Miriady narodów, niezliczone planety. Ale tu nie liczy się nic, nic oprócz pana, któremu służą; są

niczym dla niego i dla mnie, i umrą jak ktoś, kto jest nikim.

Tylko po to, by przyciągnąć uwagę.

Jabba, powinienes się bać. Nawet ty możesz umrzeć.

A esencja twojej zupy będzie tak bogata w substancje, jak ciało w tłuszcz. Taką mam nadzieję. O to się modlę.

Jestem, kim jestem - perfekcjonistą w każdym calu. Żadna z moich ofiar nie przeżyła. Żadna. Żadna nie opowie swojej historii.

Ale teraz opowieść jest konieczna. I ktoś musi ją opowiedzieć. Niewyjaśniona śmierć Weequaya spowoduje konsternację, ale nie da pewności. Nadszedł czas, bym popełnił „błąd”, coś, co oni uznają za błąd. Ofiara, która przeżyje. Żeby opisać niewysłowioną grozę, paraliżujący strach, o jaki przyprawił ją potwór, który prawie odebrał jej życie.

Przyszwał czas, żebym wyszedł z cienia pogłosek i plotek, w którym my, Anzatowie, zbyt często się chowamy.

Istnieje hierarchia strachu, tak jak istnieje hierarchia - kolejność dziobania - wśród mieszkańców pałacu Jabby. Aby zaatakować Hutta, muszę najpierw zaatakować innych - istoty, których obecność jest ważna albo zupełnie nieistotna, ale których nieobecność zostanie zauważona i przyniesie reperkusje nieistotne lub ważne: przelotne zdziwienie albo wątpliwość, albo gniew, albo nagłą obawę o własne bezpieczeństwo. Znam wszystkie stopnie strachu i wiem, jak się nimi posługiwać.

Najpierw ci w Mos Eisley, o których śmierci już zameldowano; Jabba przyjmie jednak, że to sprawa bez konsekwencji albo o niewielkich konsekwencjach, dopóki nie przekona się, że jest inaczej.

Potem Weequay. Jabba nie będzie za nim tęsknił, ale inni będą. A kiedy dostatecznie wielu z nich umrze, dostatecznie wiele pionków, nawet wybrani wpadną w szpony prawdziwego strachu.

Teraz czas na samicę. Tancerka z warkoczami głównymi, Twi 'lekanka, już nie żyje, zjedzona na przekąskę przez wygłodniałego rankora Jabby, ale są jeszcze inne. Znajduję więc inną.

Jest piękna tym rodzajem urody, który ceni wielu, w tym Jabba: bujna, pulchna, o licznych piersiach i ciężkich ruchach przelewającego się ciała. Uniesione ręce, roztańczone piersi, pośladki w ciągłym ruchu. W końcu znieruchomieją, kiedy rozkosz zamieni się w osłupienie. Kobieta, Askajianka - z tych, które rodzą po kilka młodych w jednym miocie - wychodzi z sali audiencyjnej na spoczynek, by wykorzystać ostatnich kilka godzin nocy, zanim bezlitosne słońca Tatooine znów zaczną zsyłać morderczy żar.

Nie znajdzie jednak spoczynku. Nie zazna snu.

W kwaterach służby, gdzie każdy zakłada, że jest bezpieczny, tam właśnie ścigam moją ofiarę.

Kiedy wychodzi z sali audiencyjnej, jej dumny, sztywny krok przechodzi w pełne znużenie szuranie, w pozbawiony wdzięku człap, z ulgi, że może już iść spać. O tak późnej godzinie jest zmęczona i nieuważna. Nie przychodzi jej do głowy, że powinna uważać, bo przecież jest w pałacu Jabby, chroniona przez największych oprychów nieskończonego wszechświata.

Tak więc bez trudu przepuszczam ją i mija mnie, nie zauważając; wchodzi do przedpokoju, nie wiedząc, że tu jestem i jakie mam zamiary. Bez trudu idę o krok za nią, bez trudu szepczę samicy do ucha czule słówko w jej ojczystym języku.

Obraca się, podrygując piersiami. W jej oczach widzę (zachwyt - czyżby oczekiwała kogoś? Ale to ja, nie on, nie ona, nie ono; zachwyt przekształca się w strach.

W jej języku mówię, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem; że pragnę jej,

wypatrując skryty w cieniu, w ciemnych cieniach pałacu Jabby, pragnąc, by choć raz spojrzała w moją stronę. Ale ona nie spojrzała i wciąż jestem sam, jestem słaby, jestem nieśmiały, i dopiero dziś nabrałem dość śmiałości, dość odwagi, by wystąpić, by wyznać jej prawdę, by ukorzyć się przed nią, żeby wiedziała, żeby rozumiała, jak się czuję, mężczyzna, który pragnie kobiety, w dodatku takiej kobiety jak ona...

Prawie uwierzyła. Dwie czerwone plamy rozkwitają na jej pyzatyh policzkach. Ramiona unoszą się pod moimi dłońmi. Rozchyła usta, gdy moje ręce wędrują z ramion na szyję, z szyi na zarys szczęki, niewyraźny pod pulchnym ciałem. I wtedy unieruchamiam jej czaszkę w anzackim uścisku i objawiam jej prawdę o sobie. Legenda ożywa.

Kobieta łka i zaraz nieruchomieje, sparaliżowana strachem, kiedy rozwijam czułki. Niechętne i bardziej leniwe niż zwykle; przyzwyczajone do zupy najwyższego gatunku, zmuszane ostatnimi czasy do smakowania niższego sortu - zupy istot pozbawionych odwagi.

Ale czułki unoszą się, rozwijają. Kobieta znów łka, schwytna w pułapkę strachu, moich rąk i zrozumienia.

Przyjemność/ból

Ból/przyjemność

Nie. Nie tym razem. Teraz trzeba cierpliwości. I kontroli.

Przyjemność?

Później. Później.

To tylko pieszczota, delikatny oddech czulek pod jej nozdrzami. Drży w moich dłoniach.

Obecność. Głos, płaski i mechaniczny, pytający o moją obecność, o moje

Krok.

Zamiary.

Kiedy kobieta łka, odwracam się. Pozwalam mu się zobaczyć, tak jak pozwoliłem jej. Szkoda, że po tylu latach muszę pozwolić, by poznali prawdę, by poznali metody, by zrozumieli środki - ale to konieczne.

Chciałem, żeby przeżyła. Miała mnie zobaczyć, rozpoznać, zdać pełną strachu relację o tym, jak ledwie uszła z życiem. Ale teraz jest tu też on, mężczyzna w zbroi i hełmie, który pełni też rolę maski oddechowej; nada się. Oboje się nadadzą. Oboje opowiedzą tę przerażającą historię.

Anzata z planety Anzat... na wolności, w pałacu Jabby.

Od niepamiętnych czasów byłem kimś, kto nie istnieje, chyba że w wyobraźni. Jestem ludową wiarą. Mitem. Legendą. Wyobrażeniem, zmyśleniem, ulotnym snem nazywanym koszmarem. Jednym i tym samym, choć znanym pod różnymi imionami... ale prawda jest jeszcze straszniejsza, dużo bardziej przerażająca.

Ale zniweczona prawda, zniekształcona prawda, nieznająca uczciwości, może czemuś służyć. Służyła Anzatom od niepamiętnych czasów, służyła mnie. I nadal służy.

Ale obietnica zupy, ach! obietnica nasycenia...

Po co czekać? Czuję głód. Głód zupy, głód zwycięstwa. Głód świadomości, że dokonałem czegoś, czego nikt wcześniej nie dokonał.

Zupa Jabby - sedno tego, kim i czym jest, kim i czym się stał, kogo i co z siebie zrobił. Zupa, której nikt inny wcześniej nie przelał, by korzystać z jej siły.

Požerać życie Hutta i widzieć, jak okrywająca je łuska zaczyna gnić.

Ale nie można się spieszyć, nigdy nie można się spieszyć. Jabba to wyzwanie. Przebiegły Hutt,

który doskonale wie, jak bronić swojego życia. Na zasianie strachu w jego duszy, doprowadzenie jego zupy do wrzenia trzeba czasu. I wysiłku. I ujawnienia prawdy o mnie.

Teraz jednak czuję głód. Głód zupy Jabby, ale nade wszystko głód jego strachu.

Usłysz mnie, o Jabbo, a zrozumiesz, że się boisz.

Jestem istotą w tym samym stopniu dzienną i nocną. Odpoczywam, kiedy uznam to za stosowne, a nie wtedy, gdy zmusza mnie do tego rytm biologiczny. Mogę więc do woli wędrować korytarzami klasztoru, który teraz stał się siedzibą Jabby. I kiedy tak wędruję, od razu zauważam, że w pałacu jest ktoś, kilka osób, których dotąd tu nie było.

I nagle: *zupa*

Znałem kiedyś takich. Ale ta esencja, właśnie ta esencja...

Zupa

Och, jaka potężna, jaka oszałamiająca... zatrzymuję się tam, gdzie stoję w ciemnościach, ogłuszony świadomością, nadnaturalnym wyczuciem takiej zupy, jakiej pragnę przed wszystkimi innymi...

Zupa

Czułki, którym od zbyt dawna odmawiałem tego rodzaju zupy, podrygują podrażnione w kieszeniach policzkowych. One wiedzą. I ja wiem.

Han Solo. Han Solo, żywy i ożywiony; a wraz z nim inni, z podobną zupą..

Ilu? Solo, jeszcze jeden, i jeszcze jeden.

Zupa

Korytarzami do kuchni. Tam znajduję ciało, choć jeszcze żywe; drobne, nieważne stworzenie o cienkiej, niedojrzałej zupie, ale nada się, nada się; potrzebuję teraz zupy, jakiegokolwiek zupy...

Nie ma czasu, nie ma czasu...

Chwytam go. Obracam. Unieruchamiam w uścisku.

Wyrywa się przez chwilę, zbyt krótką chwilę. Czułki zagłębiają się w nozdrzach, przez nozdrza trafiają do mózgu.

Tak mało zupy, słabej, cienkiej zupy.

Ale musi wystarczyć. Do czasu.

Odrzucam go gwałtownie, szybko, uwalniając czułki. Pozwalam, by upadł, rozciągnięty, niezgrabny i pozbawiony godności, na puste pudło, niemal dość duże, by pomieścić jego ciało.

Na twarzy chłopca nie ma krwi. Nie zostawiłem żadnych śladów, żadnych poszlak co do metody, co do środków.

Nie ma czasu.

Ale to wystarczy. Spełni swoje zadanie.

Anzata, z planety Anzat... poluje w pałacu Jabby.

Zupa

Ach, co za ekstaza! Cóż to będzie za ekstaza!

Kto?

Labiryntem korytarzy, spowity w cień, sunie Anzata, odrzuciwszy zmęczenie w poszukiwaniu faktów, w poszukiwaniu prawdy...

O, radości!

...jest tu, jest tu; jest tu cała. Zupa Solo, i jeszcze jednego, i jeszcze jednego...

Zatrzymuję się raptownie za rogiem, u wejścia do sali audiencyjnej Jabby. Bo to tam, to wszystko

jest tam: Solo, uwolniony z karbonitu, jego zupa wzburzona i nieopanowana z posmakiem strachu, nawet paniki; jest ślepy, ślepy i nieufny, odruchowo gotów do walki, do walki...

I ten drugi. Dziki, wolny i wzburzony.

I przestraszony, a właściwie przestraszona...

...ona?

...boi się, że nie zdoła go uwolnić, mimo wszystkich środków ostrożności, mimo wszystkich planów: Chewbacca, Lando, Han - zawsze Han, przede wszystkim Han...

Carlissian

A więc to on jest tym trzecim.

Solo. Kobieta. Carlissian.

Zdrajca.

Radość... O! co za radość!

Ale Solo oszłamia swoją obecnością jego zupa oszłamia. Czułki wysuwają się, całe drżące.

Zupa

Zdjęła maskę, ta kobieta. Zdjęła hełm, by ją rozpoznał, żeby przestał się bać.

Nie. Niech się boi, by musiał pokonać strach. I w tym strachu, pokonując go, przebijając się do świadomości, kompetencji i szalonej, wściekłej odwagi, niech cały stanie się tym, czego pragnę, czego potrzebuję...

Zupa Hana Solo

Och, niech będzie moja!

Zabiorę ich wszystkich, jedno po drugim.

Nie. Czeka! Najpierw zadanie!

Zupa

Nie! Zadanie!

Cierpliwość przede wszystkim.

Ale to takie trudne. Odmawianie sobie tego, czego pragnę, to dyscyplina, której nigdy w sobie nie wyrobiłem. Bo nie musiałem.

Solo. I kobieta, księżniczka krwi. I Lando Carlissian.

Brakuje tylko chłopca, tak bogatego w obietnice Jedi.

Zupa Hana Solo

Cofam się. Opanowanie, kontrola - jakież to trudne; czułki buntują się, gdy staram się je schować, zmuszam je, by się schowały. Wojna toczy się w mojej czaszce.

Czy zaszedłem tak daleko? Straciłem tak wiele?

Nigdy nie znalazłem się tak blisko na krawędzi.

Ktoś musi umrzeć. Teraz. Muszę wypić zupę. Teraz.

Odwracam się, czochram o ścianę i wycofuję pospiesznie, słysząc echo śmiechu Jabby. A więc złapał ich? Czy Hurt złapał ich wszystkich?

Zupa

Solo. Kobieta. Carlissian.

Wszyscy. Będę miał ich wszystkich.

Albo umrę, próbując tego dokonać.

My nie śpimy. To raczej otępienie, stupor, coś jak koma. Wycofanie się z domeny życia w domenę bezprzytomności, w głębię, ciemność i inność, w której moje ciało naprawia się na

wszystkich poziomach, jeśli zajdzie taka potrzeba. Od dawna jednak nie było mi to potrzebne, bo jestem ostrożny i uważny, i nikt z wyjątkiem moich ofiar nigdy mnie nie oglądał; z wyjątkiem tych przypadków, gdy decydowałem się wmieszać pomiędzy inne istoty, nie grożąc im. Kiedy indziej wiodę samotne życie, ale postanowiłem teraz nie być samotny.

Ale to kosztuje. Moje otępienie jest głębsze niż innych istot. Koma niemal całkowita. Kiedy więc wyrwie mnie z niej coś nieoczekiwane-go, wkraczam na skraj szaleństwa, tak blisko, jak to możliwe w naszym przypadku.

Budzę się więc oszalały, oszalały i porażony, wyrwany ze snu gwałtownie, zbyt gwałtownie, przez ostrą i bolesną bezwzględnie domagającą się uwagi świadomość siły przekraczającej rozumienie. Siły Yody, siły Kenobiego, ale młodej jeszcze, wciąż młodej, wciąż uczącej się samej siebie.

Ten, który ją dzierży i będzie nią władał, jeszcze się nie nauczył, jeszcze do końca nie zrozumiał jej istoty.

Obudzony w ten sposób jestem wściekły. I nagle dociera do mnie zrozumienie, gwałtownie, tak gwałtownie: on będzie silniejszy niż wielu przed nim. Niż wielu z nich, dziś już niemal wymarłych. Teraz odżyją w nim i poprzez niego.

Ten chłopiec. Chłopiec Kenobiego; zobaczyłem go po raz pierwszy dawno temu, w kantynie Chalmuna. Wtedy nie wiedział, kim jest, ale teraz wie, i to doskonale; wie dość, by używać tej siły, dość, by bronić się nią jak tarczą.

Jest tu, w pałacu Jabby.

Solo. Kobieta. Carlissian. Chłopiec.

Wszyscy tu są. Teraz.

Dlaczego się odsłonił? Dlaczego rozpoznałem go właśnie teraz? Jedi emanuje swoją siłą tylko wtedy, kiedy tego chce. Dla Anzata to oczywiste. Zawsze ją jednak kontroluje. A tym razem nie. Otworzył się zupełnie, odsłonił się, poddając jakiemuś celowi, którego nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Zupa

Czułki szaleją w moich nozdrzach. Pobudzony, wyrwany z otępienia, wychodzę z cienia labiryntów i idę, mijając tych, którzy niemal mnie nie dostrzegają, ale mają dość rozumu, by stanąć, by spojrzeć, by zamrugać; by zakwestionować to, co widzieli, choć w milczeniu, w głębi swojego strachu.

Niech zobaczą. To się przyda.

Anzata z planety Anzat

Poluje w pałacu Jabby

Ale nie ma na to czasu. Teraz widzę to wyraźnie, zbyt wyraźnie: chłopiec, ten chłopiec, przyszedł do pałacu Jabby we własnym celu... wszystko było częścią planu, od początku do końca: infiltracja pałacu przez Carlissiana; księżniczka w przebraniu; Wookie jako przynęta; a teraz chłopiec, pupilek Kenobiego, tak bogaty - tak bogaty! - w siłę, która wcześniej była zaledwie zapowiedzią, potencjałem...

I Solo, zawsze Solo... a teraz są tu wszyscy razem: Solo, Wookie, kobieta, chłopak Kenobiego i Carlissian...

I Jabba!

Byłem nieuważny. Ja!

Korytarzami, biegiem, biegiem

Biegiem. Biegiem.

Jak mogłem być tak nieuważny?

Biegiem

Coraz bliżej. Czułki drżą, rozwijają się.

Zupa

Wszyscy tu są, wszyscy naraz.

Zupa

Tyle trupów, by zaspokoić moją potrzebę. Ale żaden z nich się nie liczy, żaden - są niczym, wszyscy - jedyna zupa tej chwili jest tutaj, teraz, ale oddala się...

To niemożliwe; niemożliwe. Przecież ja to ja: Dannik Jerriko.

Nigdy nie poniosłem porażki.

Jestem tu dla zupy Jabby.

Dla całej zupy, zupy ich wszystkich.

Zupa

Olbrzymie wrota stoją otworem. Nikt ich teraz nie strzeże, nie ma Hutta, którego trzeba ochraniać. Odjechał, odjechał, wszyscy odjechali, odjechali...

Pył z barki żaglowej, z poduszkowca-zawalidrogi, powoli opada na ziemię.

...odjechali, wszyscy odjechali...

Zupa

Jabba zabrał ich ze sobą. Jabba zabrał siebie.

Daleko stąd, Gdzie indziej. Rozdzielił nas.

Hańba! Być tak blisko! Dać się im poznać jako Anzata! Ujawnić się bez powodu tylko po to, by podsycić ich nocne lęki!

Hańba!

Koniec ze mną.

Porażka nie wchodzi w grę.

Nie u Anzatów. To niemożliwe.

Zgroza! Zgroza!

W moim ciele woła potrzeba. Woła, rozumie, przyznaje.

Tak daleko, tak daleko, niesieni ponad wydmami.

Moja zupa. A teraz mi jej odmówiono.

O, hańbo nad hańbami!

Mogę tylko czekać. Czekać na powrót Hutta. Żadne z nich z nim nie wróci, bo Hurt pozbędzie się ich, marnując całą ich zupę - *głupiec! głupiec!* - ale pozostaje jeszcze sam Jabba.

Jabba.

I Dannik Jerriko.

Co za głupiec! Tłusty, otyły głupiec!

Mam jeszcze cień szansy na odkupienie, na sukces, nie na porażkę. Moje prawdziwe zadanie to Jabba. Reszta to ledwie przyprawy.

Jabba powróci. A ja wypiję jego zupę.

Jabba powróci.

Musi.

Albo koniec ze mną.

Są tu cienie, wszędzie cienie. To takie proste - wejść w cień i przywdziać szatę, którą oferuje.

Ja mogę czekać. Zawsze czekałem, kiedy było trzeba. To dar. Siła.

Mam tysiąc i dziesięć lat i mogę czekać całą wieczność.

ZWIĄZANY JĘZYK opowieść Buby

Daryl F. Mallett

Długi, chwytny język powoli wysunął się z brodawkowatej paszczy, wyszukując zapomniane kąski i upuszczone okruchy. Ruchom języka towarzyszyła aktywność wybałuszonych, fioletowych oczu w zielonej głowie. Z pogrążonej w cieniu niszy, gdzie kuczał pod jeszcze ciepłym piecem, Bubo obserwował wszystko, co dzieje się w kuchni.

Podczas swojej długiej kariery szpiega i zabójcy, w dziesiątkach miejsc pod wieloma względami przypominających to, widywał podobne wypadki. Gartogg, jeden z wielkich strażników i ochroniarzy, przesłuchiwał Ree-Yeesa. U ich stóp leżało ciało. Dreszcz rozbawienia przebiegł po języku Buby, łaskocząc go aż po kąciki warg, gdy przyglądał się, jak Gamorreanin wali Grana po głowie i odciąga go do lochów Jabby, by tam czekał na swoją karę.

Bubo nie lubił pracować z tym Granem. Trójjoki agent był zbyt nieprofesjonalny, zbyt niezrównoważony, zbyt poddający się emocjom. Zanadto polegał na innych istotach zamiast na własnych umiejętnościach. A kiedy był zdenerwowany, pił zbyt wiele płynów odurzających.

Poza wszystkim jednak Ree-Yees po prostu mu nie smakował.

Bubo zwinął język z niesmakiem, gdy trójjokiemu idiocie udało się w końcu przekonać nie grzeszącego bystrością strażnika, że jest niewinny.

Kiedyś ci się dostanie, pomyślał, odwracając się i wpełzając do szybu wentylacyjnego za piecem.

Przesuwając się kamiennie-metalowymi szybami, rozglądał się nieustannie, czy nie wpadnie na smakowitego Jawę albo samego Sprośnego Okruszka, i rozmyślał o aktualnym kontrakcie. Choć tym razem Bubo był tylko płotką, martwił się, że pozornie bezgraniczna niekompetencja jego wspólnika naraża go na niebezpieczeństwo. A gniew Hutta był czymś, czego należało się obawiać.

Bubo wiedział, że jest wykorzystywany przez Ree-Yeesa i paru innych. Wszyscy oni, podobnie jak reszta wszechświata, widziała w jego gatunku tylko śliniące się, owadożerne żabopieski... a przedstawiciele tego gatunku nie robili nic, by ten pogląd skorygować. W rzeczywistości jednak należeli do najbardziej rozwiniętych intelektualnie żyjących gatunków. A przynajmniej tak uważał Bubo.

Kiedy więc przybył na tę pustynną, pełną jaszczurów planetę kilka lat temu, ogromnie się ucieszył, kiedy odkrył, że mnisi B'omarr zamieszkiwali właśnie tę cytadelę. Do nich się teraz zwróci, tak jak robił zawsze, kiedy potrzebował oświecenia.

A jeśli i to się nie uda, miał jeszcze w zanadrzu ostatnią kartę, która mogła doprowadzić do upadku Ree-Yeesa.

Pod powierzchnią gruntu powietrze było chłodniejsze i wyczuwało się w nim odrobinę wilgoci. Odgłos coraz bliższych kroków zmusił Bubę, by ukrył się w cieniu i odgrodził umysł. Wszyscy

uważali go za bezrozumne zwierzę, więc zwykle nie musiał się ukrywać; wystarczyło, by człapał sobie, nie okazując lęku. Po charakterystycznym, miękkim stapaniu rozpoznał jednak Biba Fortunę.

Majordomus Jabby stale krążył po głębszych poziomach pałacu, próbując wyciągnąć od szlachetnych mnichów B'omarr wszelkie informacje, jakie zdołał. I w niewiarygodny sposób panował nad swoim umysłem. Nie aż tak dobrze, jak mnisi B'omarr albo Jedi, ale dostatecznie, by Bubo uznał, że lepiej wznieść mentalne bariery. Wiedział, że Twi'lek coś knuje. Podejrzywał, że Fortuna szantażem zmuszał mnichów, by wykonywali jego polecenia, a Bubo szanował mnichów i nie chciał w tym brać udziału.

Kiedy główny porucznik Hutta go minął, Bubo poszedł dalej korytarzami w dół, łatwo omijając mechaniczne pająki przenoszące pozbawione ciała mózgi mnichów.

Dotarł do małej pieczary na uboczu uczęszczanych szlaków i wszedł do ciemnego wnętrza, po omacku szukając drogi do poczekalni. Promień bladego światła padł na niego, gdy siadał. Po chwili drugi promień ukazał duży mózg w słoju z odżywką.

Witaj, Buboicullaar.

Mózg powitał Bubę jego pełnym imieniem, mówiąc wprost do jego umysłu, bez migających światełek ani iskier, które Bubo widywał na tanich holofilmach. Głęboki, wesoły głos wibrował w jego całym ciele, rozlewając po nim falę relaksującej otuchy.

Witaj, Evilo Nailati - odpowiedział Bubo, jak zawsze zachwycony i zdumiony dźwiękiem bezcielesnego głosu.

Co mogę ci poradzić, mój mały? zapytał oświecony B'omararczyk.

Bubo postanowił wybrać okrężną drogę.

Jak mam kontrolować moje uczucia i co zrobić, żeby wypełnić moje zadanie?

To znaczy zabić Jabbę, tak?

Bubo aż się zachłysnął w duchu. I to by było na tyle, jeśli chodziło o mówienie aluzjami. Mózg mnicha roześmiał się, gdy Bubo zapytał: - *Wiesz o tym?*

Mieszkamy w siedlisku złodziei, mój mały... - głos przerwał na moment. - *Dlaczego tego pragniesz?*

Bubo roześmiał się na głos.

Oczywiście dla pieniędzy.

Ale czego naprawdę chcesz, Buboicullaarze? Ja pragnę wiedzy. W przeciwieństwie do większości moich braci nie interesują mnie tak abstrakcyjne pojęcia jak prawda czy oświecenie. Pragnę zgromadzić tyle informacji, ile tylko zdołam. Nie udałoby mi się to, gdybym nadal posiadał ciało, które umarłoby po niecałym stuleciu. A w ten sposób pozostaję żywy przez tysiąclecia, ucząc się i rozwijając intelektualnie. Kiedy mam ochotę, wracam znów do ciała.

Bubo prychnął w duchu.

Ale ty zawsze byłeś trochę... nieortodoksyjny, nauczycielu.

Co masz na myśli, mój mały? - brzmiała radosna odpowiedź mnicha.

Na przykład migotanie lampkami. To, że nadal mówisz pełnymi zdaniem i pełnymi myślami, a nie pojedynczymi słowami i obrazami - odpowiedział szczerze Bubo.

To konieczne w kontaktach z resztą świata. Nie wierzę, że nauka może odbywać się w próżni. A w dążeniu do oświecenia lepiej przysłużą mi się rozmowy z namacalnymi istotami, takimi jak ty.

A zatem... ostatnie pytanie, nauczycielu. Co powinienem zrobić?

Przy całej mojej wiedzy, mój mały, nie mam najblidszego pojęcia...

Kiedy wiadomość o „wypadku” Jabby przy Wielkiej Jamie Carkoona dotarła do pałacu, Bubo nie był zdziwiony, widząc mnichów, którzy nagle wypełnili pałac. Jego gadzi umysł już wcześniej podejrzewał, że wystąpią przeciwko obecnym mieszkańcom tego miejsca. Wiedział, co się teraz stanie, ale w przeciwieństwie do Biba Fortuny, którego mentalne wycie dochodziło z innej części pałacu, Bubo nie miał nic przeciwko temu.

Był zachwycony, dowiedziawszy się, że Ree-Yees był na pokładzie barki, gdy eksplodowała nad legowiskiem Sarlacca. Bubo widział go wcześniej, jak człapie na pokład barki. Ree-Yees mamrotał pod nosem coś o „zorientowaniu się, co się tu kroi”; zamierzał być świadkiem egzekucji Rebeliantów, rozwścieczony ponad wszelkie wyobrażenie tym, co Bubo mu zrobił.

Właśnie o tym myślał, gdy mnisi wyjęli w końcu mózg z jego czaszki. Ostatnią czynnością jego ciała był skrzeczący śmiech.

Co cię tak bawi, mój mały? - rozległ się w jego umyśle głos Nailatiego.

Bubo zawahał się, wiedząc, że większość mnichów uważała zemstę za akt bezużyteczny, zwłaszcza gdy ktoś mógł spędzić wieczność na kontemplowaniu tajemnic wszechświata. Miał jednak nadzieję, że jego mentor doceni żart.

Zjadłem obwód detonatora, nauczycielu. Najważniejszy element planu Ree-Yeesa.

Cisza.

A potem: - *Co zrobiłeś?* - Niedowierzenie.

Bubo opowiedział więc o ostatnich godzinach Ree-Yeesa w pałacu.

- Ty obrzydliwa, dwuoka ropucho! - Ree-Yeesowi znowu się nie udało.

Bubo siedział przykucnięty w kolejnym szybie wentylacyjnym. Tuż przed nim leżał obwód detonatora - brakujący element bomby. Bubo umieścił obwód tuż poza zasięgiem wyciągniętej dłoni pijanego Ree-Yeesa.

- Rzucę twoje żalosne ciało na pożarcie rankorowi! *Tak? Ciekawe, jaka armia ci w tym pomoże, brudny idioto!* Bubo powoli odciągał granińskiego agenta coraz dalej od jego kwater, za każdym razem usuwając elektroniczny komponent poza zasięg jego palców. Bawił się tak z Ree-Yeesem przez prawie godzinę, zanim wycofał się do swojej bezpiecznej kryjówki.

A kiedy Ree-Yees sięgnął po upragniony element długą kuchenną łyżką, Bubo wysunął język i chwycił nim obwód detonatora, który przywarł do lepkiej śliny. Powoli i z rozmysłem wciągnął obwód do ust i połknął go pełen uciechy.

Powyżej, w sali tronowej, Jabba i jego dwór przerwali na chwilę zabawę, gdy korytarze wypełniło pełne rozczarowania wycie. Wkrótce jednak śmiechy i muzyka znów objęły pałac we władanie.

Gdy jego mózg umieszczano w słoju wypełnionym płynami odżywczymi, Bubo uśmiechał się w myślach, słysząc tubalny śmiech swojego b'omarrskiego mentora, wypełniający echem całą pieczarę.

Tak, wieczność w towarzystwie tego wspaniałego intelektu zapowiadała się ze wszech miar ciekawie.

TAKI BUHACZ opowieść Boby Fetta

J.D. Montgomery

Z biegiem lat nauczył się rozpoznawać pewne rzeczy.

Kiedy ocknął się po raz pierwszy, wiedział, że znajduje się na powierzchni planety. Sztuczna grawitacja skrzy się gdzieś na krawędzi percepcji; na poruszającym się statku silniki, choćby najlepiej izolowane, wibrują, a moment kątowy wzbudza siłę Coriolisa, której skutki wyszkolony człowiek potrafi rozpoznać.

Ale to było wszystko, co wiedział, kiedy głos z ciemności powiedział:

Ty jesteś Boba Fett!

Fett szarpnął głowę do góry i zobaczył...

Nic.

Sięgnął po rusznicę... i nie mógł się poruszyć. Jego ręce i nogi były kompletnie unieruchomione. Fett wisiał w ciemności, nogami nie dotykając ziemi.

Usłyszał odległy trzask, a potem powtórnie ten sam odgłos, ale jakby nieco bliżej. Głowy nie miał unieruchomionej, ale całe ciało sprawiało wrażenie, jakby było spowite w..

Wysunął język i dotknął nim przełącznika, który włączył makrolornetki jego hełm *Ty jesteś Boba Fett!*

Nawet przez makrolornetki, przetwarzające obraz odbierany od widma podczerwonego po ultrafiolet, niewiele było widać. Fett wisiał na ścianie jakiegoś tunelu - tunelu sporządzonego nie z kamienia ani żadnej innej sztucznej materii, ale z czegoś miękkiego i elastycznego, przypominającego gąbkę, pełną wybrzuszeń i wgłębień. Wyglądało to, jakby tunel sam narósł do swojego obecnego kształtu. Boba mógł obrócić głowę tylko na tyle, by zobaczyć, że tunel zakręca gwałtownie, znikając z pola widzenia o kilka metrów na prawo i na lewo od niego.

Gdzieś w oddali ktoś krzyczał.

Jakiś trzask, jakiś gwizd.

Po długiej chwili głos odezwał się znowu, pełen zaciekawienia:

Jesteś Boba Fett?

Pamięć wróciła mu w jednej chwili - Tatooine, barka żaglowa, Skywalker i Solo. I nagle, z przerażeniem, które uciszyło każdą inną myśl walczącą o jego uwagę, uświadomił sobie, gdzie jest - w brzuchu Sarlacca...

...który go trawi.

Większość z tych, którzy w ciągu minionych dziesięcioleci mieli do czynienia z Fettem, nie uważała go za mężczyznę szczególnie uczuciowego. I słusznie.

Jednak odlatując z Bespin, żywił pewien rodzaj ciepłych uczuć do Hana Solo. Nie zrozumcie tego źle - bynajmniej go nie pochwalał, ale rzadko zdarzało mu się zebrać dwie nagrody za tę samą

zdobycz. Vader zapłacił mu bardzo dobrze, a Hutt miał dodać prawie drugie tyle.

Hutt obiecał za Solo nagrodę stu tysięcy kredytów. Kwota godna szacunku, choć nie tak wysoka jak niektóre zarobione przez niego w przeszłości. Raz skasował sto pięćdziesiąt tysięcy kredytów za pirata Feldralla Okora; przy innej wartej zapamiętania okazji - pół miliona kredytów za dostarczenie Nivek' Yppiksa, nieostrożnego ffbianskiego heretyka, który uciekł z rodzinnej planety Lorahns od religijnej oligarchii, która nią rządziła.

Fett nie sądził, by kiedykolwiek polubił fundamentalistyczne teokracje; zbyt mocno przypominały mu czasy młodości. Ale zaczął je cenić. Płaciły wyśmienicie, a „kryminalistami” dla nich byli intelektualiści, którzy dużo mówili, ale rzadko sięgali po broń.

Fett zamierzał podnieść wysokość nagrody za sprowadzenie Solo, choć Hutt jeszcze o tym nie wiedział. Łowca nagród nie wierzył, by udało mu się zmusić Jabbę do zapłacenia mu pół miliona kredytów - Hutt był biznesmenem, a nie fanatykiem religijnym, ale był również kolekcjonerem dzieł sztuki.

Han Solo oprawiony w karbonit po prostu musiał być więcej wart niż Han Solo, żywy lub martwy.

Licząc wynagrodzenie od Imperium plus to, co spodziewał się wytargować od Hutta, bez wątpienia przekroczy pół miliona, które dostał za tego głupca Yppiksa.

Fett spał w fotelu pilota - znacznie wygodniejszym niż niejedno z łóżek, z których zdarzało mu się korzystać - podczas gdy „Niewolnik I” wykonywał ostatni skok w drodze na Tatooine.

Przelot przez nadprzestrzeń był na ogół jedyną sytuacją, w której Fett czuł się wystarczająco bezpieczny, by porządnie się wyspać. Nic mu się nie śniło, a w każdym razie nic, co by pamiętał; sen miał spokojny i niezakłócony. Podczas snu można by go wręcz uznać za zwykłego człowieka.

Obudził się na krótko przed powrotem z nadprzestrzeni. Nie potrzebował budzika; postanowił obudzić się o odpowiedniej godzinie i obudził się. Czujny od pierwszej chwili, sprawdził tablicę kontrolną. Wszystko w porządku.

Parę minut później tunel nadprzestrzenny rozpadł się wokół niego. W iluminatorach rozbłysły gwiazdy, a na pokładzie rozdzwonił się alarm.

Zła wiadomość, ale Fett zareagował stosunkowo spokojnie, biorąc pod uwagę okoliczności - w ładowni uruchomił się nadajnik, ogłaszając przybycie Fetta do systemu każdemu, kto nasłuchiwał na tej właśnie częstotliwości. Fett momentalnie i bezbłędnie wydedukował, że jakiś inny łowca nagród musiał podrzucić mu nadajnik podczas jego pobytu w Mieście w Chmurach. Klepnął aktywator autopilota i pobiegł pod pokład.

Kolejny łowca ostrzący sobie zęby na nagrodę, którą Hutt wyznaczył za Solo. Tylko taka odpowiedź miała jakikolwiek sens. Fett nawymyślał sobie w duchu od głupców, że nie skontrolował statku, kiedy miał okazję. Podstawy, podstawy - kto zapomina o podstawach, zasługuje na to, co go spotyka. Biegając do ładowni, Fett zdjął z ramienia miotacz płomieni, skrzył w ostatni korytarz przed ładownią, do wąskiego przejścia, w którym wedle wskazań czujników umieszczono nadajnik, i wcisnął spust. Omiała płomieniem poszycie, aż metal rozjarzył się do czerwoności, a w przegrzanym powietrzu pojawił się charakterystyczny zapach ozonu. Uniósł miotacz...

...ale alarm wyłączył się, więc Fett zostawił sprzątanie zgliszczy robotowi konserwacyjnemu, a sam pobiegł do sterowni.

Opadł na fotel. „Niewolnik I” leciał dalej w głąb systemu, a widoczna przez iluminator Tatooine rosła w oczach. Żaden z lokalnych statków na orbicie nie wydawał się zainteresowany Fettem - i

bardzo dobrze - ale nie należało zapominać, że gdzieś tam był ktoś, kto wiedział o jego przybyciu. Fett wprowadził liczby do autopilota, kazał mu obliczyć skok z powrotem, potem zaczął kolejny wątek, a pozostałe zasoby komputerowe zaangażował do przeprowadzenia przeglądu diagnostycznego systemów pokładowych.

Nie martwił się o systemy uzbrojenia ani o tarcze - albo były sprawne, albo padły ofiarą sabotażu. Przypuszczał, że jednak działały. Umieszczenie nadajnika to jedno - osiągnięcie niewątpliwie godne uznania - ale przechytrzenie pokładowych systemów diagnostycznych to zupełnie inna sprawa.

Obliczenie nowego skoku w nadprzestrzeń tak głęboko w studni grawitacyjnej planety musiało zająć czas, nawet komputerowi tak inteligentnemu, jak ten, w który Fett wyposażył swój statek. Komputer już prawie skończył obliczenia, gdy sam skok stał się posunięciem wątpliwym.

Sponad horyzontu Tatooine wystrzeliła srebrna igła statku.

IG-2000. Fett rozpoznał go w jednej chwili i równie prędko zrozumiał, jak poważnie wygląda sytuacja. Statek należał do IG-88, robota-zabójcy, najlepszego po Fetcie łowcy nagród w galaktyce, który usilnie starał się wyjść na pierwsze miejsce. Palce Fetta zatańczyły nad instrumentami kontrolnymi i „Niewolnik I” zahamował gwałtownie, spadając na niższą orbitę. Fett wycelował przednie blastery i strzelił do nadlatującego statku.

IG-2000 momentalnie eksplodował w rozblasku przegrzanego metalu i rozszerzającej się kuli plazmy.

Kiepska przynęta pomyślał natychmiast Fett. Ten robot-zabójca nigdy nie popełniłby tak głupiego błędu.

Czujniki „Niewolnika I” nagle zwariowały - jakiś statek opuszczał hiperprzestrzeń zaledwie kilka kilometrów dalej - i nagle „Niewolnik I” zatrząsł się gwałtownie, gdy ogień laserów trafił go w rufę.

Rufowe kamery przekazały do kabiny dokładny obraz. IG-2000, ten prawdziwy, nie przynęta, nadlatywał z tyłu i z góry, przyszpilając statek Fetta pomiędzy sobą a Tatooine. Błyskotliwy manewr, który tylko robot-zabójca, z robocim refleksem, mógł zaplanować i zrealizować.

„Niewolnik I” zanurkował w atmosferę, IG-2000 pędził za nim z ogromną szybkością. Z komunikatora dobiegł pozbawiony wszelkiej intonacji głos IG-88:

- Oddaj swojego więźnia, a zyskasz trzydzieści procent szans na przeżycie tego spotkania.

Fett zignorował robota, całą uwagę skupiając na obsłudze instrumentów pokładowych. Robot powiedział coś jeszcze, czego Boba Fett nie dosłyszał. Skierował cały zapas mocy na tylne tarcze, posłał kolejną salwę blasterowego ognia za rufę, by zająć czymś IG-88, a potem zniszczył swój statek...

Włączył tłumik inercyjny.

Przez sekundę na „Niewolniku I” panowały ciemności. Gdy tłumik inercyjny czerpał prąd, tarcze opadły, broń przestała działać na niemal całą tę sekundę, kiedy to pojedynczy strzał z lasera mógł zniszczyć statek - a po chwili tłumik zadziałał.

Spod pokładu dobiegł odgłos podwójnej eksplozji - to, wykonawszy swe zadanie, tłumik inercyjny wybuchł, zabierając ze sobą do grobu hipernapęd. Połowa wskaźników na głównej tablicy zapłonęła na czerwono, konstrukcja statku wyła dźwiękiem rozdieranego metalu, gdy statek wytracił dziewięćdziesiąt procent swojej prędkości w czasie tak krótkim, jakiego potrzebuje elektron, by przeskoczyć z jednego poziomu energetycznego na drugi.

Zasilanie powróciło do tych podzespołów „Niewolnika I”, które przetrwały awarię, w tym

samym momencie, gdy IG-2000 minął statek Fetta. Fett spokojnie wykonał wszystkie oczywiste czynności, niszcząc rufowe tarcze IG-2000 działem jonowym, zanim jeszcze IG-88 zdążył je uruchomić, a zaraz potem rozprawił się z przednimi. Zablokował IG-2000 promieniem ściągającym na dostatecznie długo, by nie dać mu uciec, i spokojnie zakończył sprawę, posyłając pocisk w unieruchomiony statek.

Wewnątrz Sarlacca Fett powiedział na głos:

- Nie powinienem był tak go nazywać. *Doprawdy?* - zapytał grzecznie głos.

- „Niewolnik I”. To był błąd. Dzięki temu wiedzieli, że mam jeszcze inne... - głos Fetta odpłynął.

Wisiął na ścianie, w ciemności, z odrętwiałymi członkami. Nie czuł dłoni ani stóp, skóra go piekła, a co najgorsze, wcale nie był na pokładzie „Niewolnika I”.

- Jakim cudem mi to zrobiłeś? - zapytał. Przez krótką chwilę odbierał wrażenie czyjśgo rozbawienia. *To było łatwe. Nie, to ty byłeś łatwy. Żyłeś niezwykle intensywnie.* Fett poczuł nagły chłód. Aż zatrzęsł się cały w tej ciemności pełnej bliższych i dalszych trzasków.

- Kim jesteś?

Uczciwe pytanie, odpowiedziano, i tym razem Fett bez trudu odebrał wrażenie czarnego humoru.

Jak ty, Boba Fett, jesteś moją przeszłością, tak ja... jestem twoim przeznaczeniem.

- Ten grymas na twarzy Solo jest wspaniały - powiedział Hurt. - Jesteśmy pod wrażeniem twoich starań i z przyjemnością wypłacimy siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów za osobę Hana Solo.

Fett pokręcił głową.

- Jabba! - W sali zawrzało, gdy dworacy usłyszeli taką bezceremonialność. - Nie mówimy tu o osobie kapitana Solo, za którą, o ile pamiętam, nagroda wynosiła sto tysięcy kredytów.

Jabba poruszył nerwowo ogonem, a jego głos przeszedł w niebezpieczny warkot.

- To nie Solo?

- To? - powiedział Fett z całą kurtuazją, na jaką było go stać; nie czuł się najpewniej w takiej roli. Wspólny nie był jego językiem ojczystym i kiedy się nim posługiwał, jego głos brzmiał zwykle dość szorstko. - Ta wyśmienicie oddana karbonitowa rzeźba, to miałby być Han Solo? Nie. Dzisiaj przywiozłem ci dzieło sztuki. Ciemny Lord przypadkiem użył ciała Hana Solo jako tworzywa, tak jak inny artysta posłużyłby się gliną. - Wzruszył ramionami. - Powiem ci coś: przywiązałem się do tego cacka przez czas podróży. Robi wrażenie, prawda?

Hurt powtórzył z namysłem.

- Ten grymas jest... wspaniały.

- A popatrz tylko na ręce - powiedział Fett, kując żelazo, póki gorące. - Przypatrzmy się obaj jego rękom. Podobają mi się. To w nich wyraża się artyzm Ciemnego Lorda.

- Bez wątpienia - mruknął Hurt basowo. - Bez wątpienia. Widać w nich przerażenie Solo w tej ostatniej chwili. - Zaczął przyglądać się Fettowi stojącemu obok oprawionego w karbonit Hana Solo; zarówno Fett, jak i omawiane dzieło sztuki znajdowały się w bezpiecznej odległości od zapadni w podłodze przed tronem Jabby. - Słyszałem jednak - ciągnął Jabba - że Vaderowi nie udało się pojmać Skywalkera, że Organa i Carlissian też mu się wymknęli... i że Chewbacca również jest na wolności. Łączna nagroda za nich wszystkich jest... imponująca. - Oczy Jabby spod ciężkich powiek wpatrywały się badawczo w Fetta. - Imponująca.

A Chewbacca, jeśli nie tamci inni, na pewno będzie się starał uwolnić Solo, pomyślał Fett.

- Możemy przedyskutować kwestię mojego pozostania tutaj - zgodził się. - A jeśli chodzi o to dzieło sztuki, oryginalny wytwór ręki Ciemnego Lorda... - Fett stwierdził, że temat go rozgrzewa;

poczuł niemal rozczarowanie, gdy Jabba przerwał mu głosem tak entuzjastycznym, że Fett uznał ten fakt za znaczący:

- Jest tu bardzo dużo pracy dla dzielnego łowcy nagród. - Hut oblizął wargi. - Sto tysięcy kredytów za schwytanie i dostarczenie kraytońskiego smoka do walki z moim rankorem.

- To sporo - odparł sucho Fett. - Tyle samo za smoka co za Hana Solo?

Hurt machnął ręką niedbale.

- Na pewno dojdziemy do porozumienia, jeśli chodzi o uczciwą cenę za Solo. Za dzieło sztuki. Teraz jednak...

Fett uniósł głowę.

- Ćwierć miliona.

Obserwujący ich tłum zamilkł. Ci, którzy stali najbliżej Fetta, zaczęli się dyskretnie cofać.

Jabba pochylił się do przodu. W jego tubalnym głosie, gdy w końcu się odezwał, brzmiała wyraźna groźba.

- To... dość sporo. Nawet za dzieło sztuki Vadera. Fett wzruszył ramionami. I czekał. Jabba poruszył ustami. Fett nie był taki głupi, by wziąć jego grymas za oznakę rozbawienia.

- A zatem ćwierć miliona kredytów... za dzieło sztuki. - Zmrużył oczy, aż zamieniły się w szparki.

- A oprócz tego z przyjemnością przyjrzymy się twoim wysiłkom w kwestii kraytońskiego smoka. I z przyjemnością będziemy gościć cię wśród nas. Przez pewien czas.

- Ćwierć miliona. - Boba Fett uznał za stosowne ukłonić się lekko. - Przez pewien czas.

Imponujące... tak.

Fett potrząsnął głową, by dojsć do siebie. Obraz sali tronowej Jabby rozpląnął się w nicość; teraz on sam wisiał na ścianie, głęboko w trzewiach Sarlacca, w coraz bardziej stęchłym powietrzu. Poczul w ustach nieprzyjemny smak; pociągnął łyk wody z rurki wewnątrz hełmu, zanim odpowiedział:

- Nie rób mi tego więcej. Cisza. *Dobrze*, powiedział w końcu głos, *jeśli zapewnisz mi odpowiednią rozrywkę.*

- Kim ty, u diabła, jesteś? *Jestem piekłem, jak trafnie zauważyłeś. Jestem Sarlackiem. Jestem wydestylowaną esencją...*

- Nie jesteś Sarlackiem - powiedział ponuro Fett. - Sarlacki są pozbawione inteligencji, nie mają mózgu, który w ogóle zasługiwałby na to miano...

Głos zachichotał i odparł miękko:

Jestem Susejo.

Ściana, na której wisiał Fett, zatrzęsa się. Istota emanowała uczuciem, które Fett uznał za zachwyty.

Już dawno nie miałem nikogo takiego jak ty, istoty o tak jasnych i ostrych brzegach. Sam jesteś niemal dziełem sztuki, Fett. Jest w tobie jasność, zachichotał głos, niezwykła jasność. Przedziwna czystość zamiarów.

Fett z trudem stłumił falę bezużytecznego gniewu; miał w tym dużą praktykę.

- Jestem myśliwym. Sprowadzam tych, którzy czynili zło, przed oblicze sprawiedliwości; i gdzie tu miejsce na niejasności?

Przypominasz mi kogoś... a, tak. Już mam. Przypominasz mi Jedi. Z najwyższym trudem przyszło mu zachować spokój.

- Jedi?

Tak. Zjedliśmy raz Jedi, parę tysięcy lat temu. Zatrzymaliśmy ją; chciałbyś ją spotkać?

- Nie. - Fett zamknął oczy, pogrążając się w bezzmysłowej ciemności. *Zjedliśmy raz Jedi, powiedziało. - Nie. Zatrzymaj swoją Jedi dla siebie.*

Odebrał mentalny odpowiednik wzruszenia ramion.

Jak sobie życzysz. Jeszcze zatęsknisz za jakąś odmianą... już niedługo.

Fett otworzył oczy i spojrzał przed siebie w pustkę, nasłuchując ciszy. Krzyki, które słyszał na początku - innych mężczyzn, którzy wpadli wraz z nim do Wielkiej Jamy - ucichły. Od pewnego czasu nie słyszał ani jednego z nich. Poczuł, że wzbiera w nim furia, kontrolowana, czarna i przenikająca do szpiku kości. Coś znów trzasnęło w pobliżu, jakby ktoś strzelił z bata; Fett zatrzęsł się, nabierając powietrza, a kiedy się odezwał, głos trochę mu drżał:

- Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego to się tak przeciąga? Czy jest w tym jakiś cel? Przecież Sarlacc może równie dobrze zjeść mnie martwego. Zabijałem w swoim czasie niemal wszystko, co się rusza, setki różnych gatunków, rozumnych lub nie; przedstawiciele niemal wszystkich ras, które żyją w Galaktyce. Aleja zabijałem czysto. Zabijałem bez zbędnej zwłoki. Jakie mogą być zalety takiej śmierci?

Fett miał wrażenie, że jego pytanie jest właśnie rozważane.

Dla ciebie? No cóż, przypuszczam, że z twojego punktu widzenia żadne - usłyszał w końcu. - Ale twoje życie i śmierć należą teraz do mnie i służą moim celom. Rozpoznaj i zrozum swoje miejsce w porządku rzeczy, Fett, bo teraz nie jesteś już nawet prawdziwy; jesteś zbiorem wspomnień i myśli, które oszukują same siebie, że istnieją.

- Twierdzisz, że nie jestem prawdziwy? Że nic nie jest prawdziwe? - Fett wykrzywił usta w sarkastycznym uśmiechu. - Powietrze zbyt mocno tu cuchnie, bym mógł w to uwierzyć.

Ty i ja, i wszystko inne - jesteśmy tylko procesem, Fett. Procesem, który nazwał siebie „ja”... Jasne, rzeczywistość istnieje, a my wszyscy jesteśmy jednym ze sposobów, w jakie się wyraża. Ale czy ty i ja jesteśmy rzeczywiści? Nie. Jesteśmy procesami, które stały się aroganckie i oderwały od rzeczywistości. Kiedyś się z nią powtórnie złączymy. - Głos przerwał. - Chcesz wiedzieć, dlaczego to trwa tak długo? Jesteś tu zaledwie jeden dzień, Fett. Są istoty rozumne, które spędziły tu - żywe - setki lat, zanim Sarlacc je strawił. - Po dłuższej chwili głos dodał zmęczonym tonem, tak zmęczonym, że jak uznał Fett, sam by takiego zmęczenia nie wytrzymał, gdyby miał go doświadczyć: Czasami nawet tysiące lat.

Fett nie wiedział, skąd głos miał tę pewność; może wynikała z tego znużenia.

- Ty... ty kłamiesz. Nie jesteś Sarlackiem. Jesteś tu, w dole, razem ze mną.

Nie jestem Sarlackiem? - Namysł, rozważanie. - Nie bądź tego taki pewien. Jestem Susejo z ludu Choi albo byłem nim...i tkwię tu od bardzo, bardzo dawna. Dłużej niż jesteś sobie w stanie wyobrazić... ale kto wie? Może nie będziesz musiał sobie tego wyobrażać. Może przeżyjesz. Bawisz mnie, a to, co bawi mnie, bawi też Sarlacc. Kiedy jestem szczęśliwy, Sarlacc też jest szczęśliwy. Spodziewam się, że pobędziesz tu z nami przez pewien czas.

Poczekaj tylko, aż uruchomię choćby jeden system uzbrojenia, pomyślał Fett, ale zdusił tę myśl, głośno zaś powiedział:

- Jesteś okrutny.

Jest taki dowcip powiedział głos który opowiedziała mi moja Jedi. Istota rozumna odwiedza pobliską farmę i widzi na podwórku buhacza. Buhacz kuśtyka na pięciu nogach, bo jedną mu amputowano. Ta rozumna istota, JoJo, pyta właściciela, dlaczego buhacz ma amputowaną nogę.

- *Cóż - mówi właściciel. - Powiem ci coś o tym buhaczu. To najmądrzejszy buhacz, jakiego w życiu widziałaś, JoJo. Ten buhacz - mówi - potrafi latać śmigaczem, jest bardzo dobry dla dzieci i zajmuje się nimi, kiedy ja jestem na polu. Zaledwie parę tygodni temu uratował moje najmłodsze przed utonięciem.*

Na to JoJo:

- *Zdumiewające! Ale co się stało z amputowaną nogą? Właściciel patrzy na JoJo.*

- *No cóż, stary, nie zjada się takiego buhacza naraz.*

Z ciemności dobiegł śmiech Susejo, a ściana za Fettelem znów zadrżała. Chciałbym mieć przy sobie detonator termiczny, pomyślał Boba Fett. Zabrałbym wtedy tego gościa ze sobą.

Ty jesteś cały czas rzeczywisty, Fett... I nie ma tu czego chcieć.

Wyświetlacz zegara znajdujący się w prawym dolnym rogu wizjera w hełmie Boby Fetta zapowiedział nadchodzący świt. Kiedy się ocknął, jeszcze było ciemno; gdy zaczęło świtać, tunel na lewo od Fetta zauważalnie się rozjaśnił. W południe, kiedy słońce świeciło prostopadle, przez rozwartą paszczę Sarlaccy do wnętrza dotarło dość światła, by Fett mógł dokładnie obejrzeć swoje otoczenie.

Ściany niewielkiego tunelu, w których przechowywał go Sarlacc, były szarozielone; wyglądały na wilgotne, ale rękawice Fetta nie pozwalały mu przekonać się o tym. Niewielkie kosmyki porastały krawędzie zgrubień na ścianach; na podłodze były większe i tworzyły prawdziwe macki, szerokie na kilka centymetrów, długie na trzy, cztery metry. Przez większość czasu leżały nieruchomo; kiedy zaś się poruszały, wiły się z taką prędkością że ich koniuszki przekraczały barierę dźwięku, jak trzaskający bat. To właśnie one były źródłem trzasków, które Fett słyszał, od kiedy oprzytomniał... a kiedy to sobie uświadomił, cały aż się wzdrygnął. Trzaski te zawsze było słycać gdzieś w tle, choć macki wokół niego rzadko się poruszały. Fett zaczął się zastanawiać, jak duże jest wnętrze Sarlaccy i jak daleko od powierzchni może się znajdować - ile z tych macek musiałby pokonać po drodze, zanim udałoby mu się wydostać.

Nie wydostaniesz się stąd, Fett. Nikomu się to jeszcze nigdy nie udało, a nie będziesz pierwszym, który próbował. Posłuchaj:

Najpierw Sarlacc zjadł moją lewą nogę, najdroższą. Nie byłem w stanie poruszyć ręką ani nogą od... chyba od miesiący, w każdym razie od bardzo, bardzo dawna. Nie bolały mnie już, tylko skóra paliła, nigdy nie przestała palić przez cały czas, który spędziłem w tej przeklętej jamie.

Powiesił mnie w głównej komorze i trawił pomalutku. To chyba coś: coś, za co w ostatecznym rozrachunku powinno się być wdzięcznym. Znalazłem się tu razem z Mica, kiedy nasz śmigacz został zestrzelony, a Mica wpadł w jeden z tych mniejszych otworów wzdłuż skraju jamy, prowadzących prosto do trzewi Sarlaccy. Mój rodzaj śmierci jest wystarczająco ciężki, ale tamten byłby jeszcze gorszy, dużo gorszy. Jestem teraz ślepy na jedno oko, ale nadal widzę światło słońca wpadające do głównej komory przez poprzednią i, powiadam ci, to ono trzyma mnie przy życiu. Nigdy nie myślałem, że dożyję dnia, kiedy przelotny widok bladoniebieskiego słońca Tatooine będzie dla mnie jedyną rzeczą, dla której warto żyć.

Staram się nie patrzeć w dół. Lewej nogi nie ma od kolana w dół. Nawet nie zauważyłem, kiedy zniknęła, mówiąc szczerze. Pewnego dnia spojrziałem i zobaczyłem ją, jak leży na podłodze jamy, w tym kwasie, rozpuszczając się w nicość.

Ten wkurzający gość, Susejo, czasem zostawia mnie w spokoju. Nie wiem co robi, kiedy ze mną nie rozmawia; może drenuje Mice, tak samo jak mnie. Nie wiem dokładnie, co Susejo nam robi... ale

cóż, czasami nie mam już nawet pewności, kim sam jestem. Sporo nas tu jest; wydaje mi się, że Susejo zatrzymuje tych, którzy bawią jego i Sarlacc, przynajmniej na jakiś czas. To coś w rodzaju nieśmiertelności, ale powiem ci, najdroższa, że naprawdę wolałbym po prostu umrzeć. Zawsze wyobrażałem sobie, w jaki sposób umrę, no wiesz - uciekając przed blasterem w wieku lat dziewięćdziesięciu trzech czy coś w tym stylu. W każdym razie przynajmniej trochę bardziej spektakularnie.

(Nie jestem nawet pewien, czy jesteś tą dziewczyną, którą pamiętam. Czasem masz czarne włosy i skórę; uczysz się, by zostać kaznodzieją - też pomyśl! - a czasem masz jasne włosy i zielone oczy i pilotujesz gwiazdny statek, i niech mnie zjedzą, jeśli pamiętam, w której z nich się zakochałem, a może w obydwu, a ty to ktoś całkiem inny... Ale kochałem cię. To pamiętam).

Mnóstwo wspomnień krąży tu wokół mnie. Sarlacc to zupa, której składnikami są istoty, jakie zebrał w swoim wnętrzu przez setki, tysiące lat. Susejo nigdy się do tego nie przyznał, ale przypuszczam, że tym właśnie jest - najstarszym składnikiem tej zupy.

Kess - powiedział Susejo.

Zareaguję na to imię - odparłem. - *Czemu nie? Takie samo dobre jak inne.*

Nazywasz się Kess - powiedział dobitnie. - *Jesteś hazardzistą z Korelii... Sarlacc zjada cię trochę szybciej, niżbym sobie tego życzył; bardzo mi przykro z tego powodu. Lubię twoje towarzystwo, ale Sarlacc był ostatnio trochę głodny, a ja nie potrafię w pełni nad nim zapanować. Opowiesz mi jeszcze jakąś historię?*

Zastanowiłem się i przypomniałem sobie opowieść, którą usłyszałem od ciebie, maleńka, niedługo po tym, jak się poznaliśmy, dawno temu - mówię o tej z was, która chciała zostać kaznodzieją - w czasach, kiedy uważałaś, że nie ma we mnie nic, co warto by uratować; twierdziłaś, że mam bzika na punkcie kości i tak dalej, mówiłaś, że myślę tylko o jednym: o mojej wielkiej szansie.

Zacząłem więc opowiadać:

Facet ścigany przez logrę dociera na skraj urwiska. Widzi, że nie ma dokąd uciec, ale nagle dostrzega korzeń wyrastający z krawędzi urwiska. Chwyta za korzeń i zawisa na nim poza krawędzią urwiska wysoko nad ziemią. Spogląda w dół i zauważa drugą logrę, która chodzi tam i z powrotem, ostrząc sobie na niego zęby. Wisi więc dalej - nie może spuścić się w dół, nie może wspiąć się na górę. I wtedy nadlatuje para maleńkich ptaków banda: biały i czarny, i zaczynają skubać korzeń u jego nasady. Korzeń zaczyna się odrywać... i nagle mężczyzna widzi jagodę rosnącą na skraju urwiska, więc zrywają i wkłada do ust.

Jak słodki miała smak!

Cisza.

W końcu Susejo powiedział: - *Chyba nie podoba mi się ta historia.*

Wiszę więc na ścianie i jednym sprawnym okiem obserwuję drobinki kurzu tańczące w promieniach słońca; są piękne.

Byłabyś ze mnie dumna, najdroższa, którąkolwiek z nich jesteś.

Jakiś czas później Susejo powiedział:

- *Sarlacc jest głodny. Chyba pozwolę mu teraz zjeść twoją rękę.*

Fett czuł przerażenie, z jakim ten koreliański hazardzista, nieżyjący od wielu stuleci, walczył, patrząc na swoje rozkładające się członki, gdy Sarlacc zjadał go od zewnątrz do środka. Fett we śnie nie mógł się uwolnić od ostatnich chwil jego świadomości, gdy szuler leżał na dnie jamy, ślepy,

głuchy, z rozpuszczonymi członkami, z klatką piersiową rozerwaną przez macki, które pożerały jego organy, podczas gdy on śnił o kobiecie, która go kochała...

Boba Fett urodził się, by czuć gniew, a wściekłość była jego żywiołem. Zaczął się zmagać z tą wizją, walczyć z nią wściekle, uciekając przed sennym koszmarem na grzbiecie fali gniewu i nagle był z powrotem w swoim ciele, znów czuł własny ból otaczających go palących kwasów, pogrążony w przejrzystej, czystej, rozumnej nienawiści, tak ciemnej i głębokiej, że może nawet Ciemny Lord nigdy nie odczuwał jej tak mocno.

Słyszał w uszach bicie własnego serca, gdy powiedział:

- Zabiję cię bardzo powoli.

Nigdy dotąd nie wypowiedział tych słów z równie mocnym przekonaniem. Wisiał w ciemności, sam ze swoją nienawiścią. Jakiś czas później Susejo powiedział: *Chyba pozwolę Sarlaccowi napocząć twoją nogę.*

Rusznica laserowa, lasery nadgarstkowe, miotacz strzałek rakietowych, lina z kotwiczką, miotacz płomieni, wyrzutnia pocisków udarowych. Niestety, większość z nich wymagała użycia rąk, a jego ręce i nogi były rozciągnięte szeroko na ścianie i rozplaszczone w uścisku kilkuset macek. Napinanie mięśni nie pomagało - macki tylko wzmacniały swój chwyt, a Fett ledwie mógł się wtedy ruszyć.

Macki sondowały go, próbując znaleźć drogę pod mandaloriańską zbroję bojową. Para długich macek chwyciła prawą nogę Fetta i zaczęła ją ciągnąć, próbując wyrwać ze stawu kolanowego. Zbroja wytrzymała, i wytrzyma nadal; tym Fett się nie martwił. Niepokoiły go jednak soki trawienne Sarlaccy; zdołały już przedostać się do jego skóry. Prawie całe ciało go paliło, pierś i plecy, ręce i nogi. Dotąd kwas nie przedostał się do wnętrza hełmu ani przez pancerne osłony genitaliów; dzięki niech będą Opatrzności za te drobne łaski.

Nadal miał dostęp do oprzyrządowania hełmu. Wbudowany węń komunikator milczał; przeskanował wszystkie częstotliwości, ale usłyszał jedynie szum zakłóceń, co mogło oznaczać, że albo w zasięgu komunikatora - dziewięćdziesiąt kilometrów - nie było nikogo, albo ciało Sarlaccy tłumilo sygnał, albo też komunikator był zepsuty.

Sarlacc szarpał gwałtownie kolano Fetta. Zbroja nie puszczała, więc Fett osunął się lekko w dół ściany, gdy macki unieruchamiające górną połowę jego ciała rozluźniły nieco swój chwyt. Wisiał teraz pod pewnym kątem, gdy macki znów owinięły się wokół niego... i nagle pod podeszwą prawej stopy wyczuł opór. Macki ściągnęły go w dół na tyle, że prawą nogą dotykał teraz podłogi.

Jaki mógł mieć z tego pożytek - jeśli w ogóle - na razie nie wiedział. Napiął nogę, żeby sprawdzić, czy udałoby mu się wybić; niewykluczone.

Rozluźnił się i zaczął zastanawiać.

Czujniki i procesory wbudowane w kombinezon bojowy kontynuowały pracę nawet wtedy, gdy Fett stracił przytomność. Komputer odpowiadał na polecenia głosowe; Fett nakazał mu więc odtworzyć całą sekwencję wypadków, przez które wylądował w Wielkiej Jamie Carkoona, używając wyświetlacza taktycznego hełmu jako ekranu. Za pierwszym razem musiał aż wyłączyć odtwarzanie, kiedy uświadomił sobie, że to Solo przypadkowo uruchomił jego plecak odrzutowy. Kąt kamery był okropny, ale nie mógł mieć żadnych wątpliwości - ten wyrzutek Solo przypadkiem posłał go do jamy.

Parę minut trwało, zanim się uspokoił na tyle, by móc ponownie odtworzyć nagranie.

A więc przeskoczył z barki żaglowej na skiff, na którym byli Jedi, Solo i Chewbacca. I wtedy... tak, Solo końcem włóczni uderzył w awaryjny panel dostępu, uruchamiając odrzutowe silniczki.

Komputer pokładowy nie miał dostępu do plecaka odrzutowego; ich systemy nie były połączone.

Fett nie mógł przeprowadzić badania diagnostycznego plecaka, nie miał więc pojęcia, czy nadal był sprawny, czy nie. Awaryjny panel dostępu mieścił się z tyłu, po prawej stronie. Gdyby udało mu się uwolnić lewą rękę, może zdołałby go dosięgnąć...

Gdybym mógł uwolnić lewą rękę, pomyślał chłodno Fett, mógłbym zrobić wiele rzeczy.

Korzystając z radaru i sonaru, stworzył sobie pobieżny obraz wnętrza Sarlacca. Z głównej komory rozbiegało się kilkadziesiąt mniejszych tuneli prowadzących jakby prosto w głąb ziemi. Fett znajdował się o jakieś dziesięć metrów od głównej komory i jakieś czterdzieści metrów pod powierzchnią. Nawet gdyby plecak odrzutowy zdołał wydostać go na powierzchnię i gdyby zdołał go uruchomić, znalazłby się w samym środku wielkiej pustyni.

Macki trzymające lewą nogę Fetta szarpnęły ją boleśnie tuż ponad kolaniem.

Fett skrzywił usta i warknął:

- Przysięgam na duszę, której nie posiadam, że cię zabiję. *Kogo?* - roześmiał się Susejo. - *Tego, który z tobą rozmawia, czy tego, który cię zjada?*

- Któregokolwiek. Obu.

Hmm, nie podoba mi się twoja postawa.

Prawie mi się udało drugiego dnia pobytu w jamie.

Leżałam na plecach na dnie jamy, w kwasie, przez całą długą noc. „Rozmawiałam” trochę z Sarlackiem; jest bardzo młody i niezbyt bystry, szkoda mi go. Rzadko kiedy zarodnikom Sarlacca udaje się przeżyć lądowanie w pustynnym środowisku; są najlepiej przystosowane do środowiska wilgotnego, choć mogą przetrwać niemal w każdym. Widziałam kiedyś zdjęcie Sarlacca, który zdołał przeżyć na powierzchni pozbawionego atmosfery księżyca; był dość mały, jego otwór miał nie więcej niż metr średnicy, ale system, do którego trafił, był młody i ciężki od materii kometarnej. Komety składają się głównie z węgla wodoru, tlenu i azotu; ten biedny, mały Sarlacc jakoś tam sobie radził, w kosmicznej próżni. Miał zdumiewający system korzeni; był bardziej rośliną niż zwierzęciem.

Sarlacc nie ma tu wcale tak źle na pustyni. Tak naprawdę nie zdaje sobie nawet sprawy z własnego istnienia; posiada system nerwowy, ale niezbyt rozwinięty, i nie ma raczej szans, by rozwinął się bardziej w tym środowisku. Sarlacki dokonują niezwykłych rzeczy z RNA: w ciągu tysiącleci są w stanie rozwinąć coś w rodzaju zbiorowej świadomości, stworzonej na szczątkach ofiar, które strawiły. Rozmawiałam z takim Sarlackiem kilkadziesiąt lat temu. Wyjątkowo aspołeczne stworzenie, którego jedyną, pełną tęsknoty myślą było to, czy Jedi smakowałyby lepiej, czy gorzej niż inne istoty rozumne, które zjadł. Pamiętam, że mnie to rozbawiło - nie byłam taka głupia, żeby podejść na tyle blisko, by znaleźć się w zasięgu jego zewnętrznych macek.

Przeszłam za to dokładnie ponad tym małym Sarlackiem. Leżał zakopany pod piaskami, z mackami ukrytymi w piaszczystych zaspach. Złapał mnie za kostkę i wciągnął w dół do jamy, przez warstwę piasku grubą na metr.

Piach spadł do środka razem ze mną, przysypując moje ciało. Leżałam na dnie jamy, unieruchomiona przez zdumiewająco silne macki, cała zapiaszczona, patrząc w górę na nocne niebo. Soki trawienne Sarlacca są słabe, a piasek, który spadł tu razem ze mną, odciął im dostęp. Mimo to moje ubranie już się rozpuszcza; jeśli uda mi się stąd wydostać, to dopiero będzie widok - kompletnie naga, sześćdziesięcioletnia Jedi, pędząca w stronę swojego statku badawczego.

Soki trawienne pieką, nawet rozcieńczone.

Nie winię za to Sarlacca; postępuje zgodnie ze swoją naturą. Nie jest zbyt bystry, no i bardzo

młody - szeroki zaledwie na pięć metrów i pewnie na tyle samo głęboki. Trudno powiedzieć, jak głęboko sięga pod powierzchnię, kiedy patrzy się na nocne niebo przez szyb wcześniej zasypany piaskiem.

Całkiem możliwe, że jestem dopiero drugą lub trzecią istotą rozumną, którą zjadł. Jedna z nich wisi, całkowicie otulona kokonem, na ścianie obok mnie. To członek ludu Choi, nazywa się Susejo; był już niemal zupełnie strawiony, gdy wpadłam do jamy.

Wyczuwam jego myśli - ma pewne zdolności telepatyczne. Jest bardzo młody jak na Choi, ledwie wyszedł z wieku dziecięcego, i bardzo rozgniewany - niezbyt dobrze znosi bycie zjadanym. Jego też bardzo mi żal.

Kiedy przyszedł dzień, rozwidniło się wokół mnie i dostrzegłam moją szansę; jedyną szansę. Mój miecz świetlny spadł tu razem ze mną. Nie wiedziałam tego, leżąc w ciemności; przy pasku go nie było, nie miałam więc pojęcia, czy zgubiłam go jeszcze na powierzchni, czy tu, w dole. Leżał sobie, cały w sokach trawiennych, nie dalej jak dwa metry ode mnie; odwróciłam głowę, by mu się przyjrzeć.

Bez trudu wskoczył mi w dłoń. Włączyłam go i skręciłam dłoń w nadgarstku, zbliżając ostrze jak najbliżej macek, które unieruchamiały moją rękę. Napięłam mięśnie z całej siły. Sarlacc wydał z siebie przenikliwy pisk, a macki trzymające rękę puściły. Oswobodziłam rękę i przecięłam pozostałe kosmki, które mnie trzymały, siekąc zaledwie przez parę sekund, póki się nie uwolniłam; potem przeturlałam się z pleców i kucnęłam, a następnie...

Pięć metrów w górę to dużo, nawet dla młodych Jedi. Sięgnęłam po Moc i skoczyłam.

Macka złapała mnie za kostkę w połowie drogi. Sarlacc złamał mi nogę i dwa żebra, ściągając mnie w dół. Znowu zgubiłam miecz świetlny i kiedy doszłam do siebie na tyle, by móc rozejrzeć się dookoła, już go nie było. Nie wiem, co Sarlacc z nim zrobił, ale nie zobaczyłam miecza już nigdy więcej.

Przez pozostałą część dnia Sarlacc był niespokojny, bezustannie poruszał mackami, które podrygiwały bez celu. Trzymał mnie tak mocno, że krew przestała dopływać do członków. Bardzo się zdenerwował.

Próbowałam powiedzieć mu, jak mi przykro, że nie zamierzałam go zranić, jeśli dałoby się tego uniknąć.

Wtedy właśnie ten Choi, który wisiał na ścianie naprzeciw mnie, odezwał się po raz pierwszy:

Jeśli już musisz tak trajkotać, porozmawiaj przynajmniej z kimś, kto może cię słuchać.

Mało jest zalet powolnej śmierci; może tylko to, że ma się czas na uporządkowanie myśli. Zablockowałam ból trawiący moje ciało; szczerze mówiąc, po paru dniach mnie też zaczęło się nudzić.

Susejo, powiedziałam, może poopowiadamy sobie różne historie?

Pot ściekał po ciele Fetta, zmieszany z palącym kwasem, tworząc kałużę pod zbroją. Niezwykły kalejdoskop światła tańczył przed jego oczami i przez chwilę myślał, że zwymiotuje; ta stara Jedi była rzeczywista. Jej myśli nadal rozbrzmiewały echem w jego głowie, przemieszane z myślami koreliańskiego hazardzisty i szybkimi, jasnymi rozbłyskami kilkunastu innych umysłów - myśli, pragnień i nadziei mężczyzn i kobiet zmarłych lata, wieki i tysiąclecia temu. Wszyscy oni zmarli tonąc w kwasie, powoli pozbawiani życia.

Tęsknię za Jedi - powiedział Susejo - Była dla mnie bardzo dobra.

Susejo niewątpliwie miał pewnego rodzaju kontakt z Sarlackiem; wcześniej Sarlacc drżał, kiedy

Susejo czuł się szczęśliwy. Świadomym aktem woli Fett uwolnił gniew, który zawsze płonął tuż pod powierzchnią jego świadomości.

Warknął więc:

- Nie powinieneś być więc jej zjadać, ty żałosna kreaturo! Nienawiść w jego głosie i myślach wywołała reakcję Susejo - błysk zaskoczenia i gniewu. Macki ściskające Fetta zacisnęły się konwulsyjnie. *To nie ja ją zjadłem* - od warknął Susejo - *tylko Sarlacc*. Fett żałował, że ściana za jego plecami nie jest odrobinę twardsza.

- A ty nie mogłeś go powstrzymać, nie mogłeś spróbować jej pomóc, jej ani nikomu innemu? Przez całe cztery tysiące lat? Jesteś niewdzięcznikiem, ty żałosna parodio istoty rozumnej. Trafiłeś tu jako dziecko i wszystko, co teraz wiesz i czym jesteś, zawdzięczasz ludziom, których pozwoliłeś Sarlaccowi zjeść! - Macki Sarlaccy zacisnęły się spazmatycznie wokół Fetta, wbijając się w jego ciało, i przyszpiliły go jeszcze mocniej do ściany. - A teraz czujesz się zraniony, bo ci o tym mówię? Mogłeś pomóc tej Jedi, wróciłaby po ciebie! Ale ty wolałeś spędzić kolejne cztery tysiące lat, bawiąc się w filozofa, wykorzystując ludzi, którzy nauczyli cię być tym, czym jesteś, i nawet nie pomyślałeś o tym, że masz jakieś inne wyjście! I dlaczego? - krzyczał na Susejo, coraz bardziej nakręcając się własnym gniewem, chłuszcząc go wściekłością i nienawiścią, które narastały w nim przez całe życie. Czuł, jak napięte macki Sarlaccy wrzynają się w jego ciało. - Bo jesteś głupi, żałosna, podła parodio istoty rozumnej, bez cienia wyobraźni czy odwagi...

Macki zaczęły go okładać, trzaskając niby z tysiąca batów, co zagłuszyło głos Fetta.

Odepchnął się, opierając mocno prawą stopę o ziemię, i szarpnął się w górę.

Ruch jego ciała spowodował, że przełącznik awaryjnego panelu dostępu plecaka raketowego, wciśnięty w ścianę za jego plecami, znalazł się w pozycji na dole.

Płomienie strzeliły, wypełniając zamkniętą przestrzeń wokół. Sarlacc zawył z bólu, a echo powtórzyło jego wrzask w dół tuneli. Setki macek wokół Fetta zaczęły więc się konwulsyjnie, a te, które go trzymały, zacisnęły się na nim tak mocno, że przez chwilę stracił oddech...

Plecak odrzutowy nie został zaprojektowany do tego, by działać w tak niewielkiej przestrzeni przez choćby krótki czas.

Więc eksplodował.

Była najstarszą rzeczą jaką miał - mandaloriańska zbroja bojowa, niemal tak słynna jak on sam, sławna w całej galaktyce. Chroniła go od dziesięcioleci przed ogniem blasterów i trafieniem przez ślimaki, eksplozjami i nożami, przed wszelkimi zniewagami, jakimi wszechświat miał zwyczaj obrażać ludzi w jego fachu. Ale nawet mandaloriańska zbroja bojowa, zaprojektowana przez wojowników, którzy walczyli z mistrzami Jedi, a czasem nawet ich zwyciężali, nie została zaprojektowana z myślą o tym, by wytrzymać eksplozję plecaka odrzutowego w swoim najbliższym sąsiedztwie.

Fett stracił przytomność najwyżej na kilka sekund; ocknął się niezdolny odetchnąć. Paliwo z plecaka rozprysło się po całej długości korytarza, który płonął, podobnie jak Fett. Płomień dotykał jego odsłoniętej skóry na rękach, nogach i brzuchu - płomienie tańczyły na powierzchni zbroi bojowej, która pękła pod wpływem siły eksplozji, a wszędzie tam, gdzie dotykała skóry, metal był potwornie gorący.

Boba Fett zerwał się na nogi. Podłoga pod nim zatrzęsała się i zafalowała gdy ciało Sarlaccy próbowało walczyć z szalejącym ogniem. Fett sięgnął za ramię, po najbardziej śmiertelną broń, jaką dysponował.

Stojąc w płomieniach i sam płonąc, Boba Fett strzelił granatem udarowym w oddalony o niecałe pół metra nad jego głowę sufit, sam zaś rzucił się na podłogę tunelu, w płonąca mieszaninę kwasu i paliwa.

Wybuch rozerwał cały świat. Siła uderzenia wcisnęła Fetta w dół w płomienie, a kości lewej ręki, przyciśniętej ciałem pod nieodpowiednim kątem, pękły pod jego ciężarem. Ból tak silny, że przypominał biały płomień. Otoczył ze wszystkich stron Bobę Fetta, który wiedział, że umiera, że nie udało mu się, tak jak innym przy wcześniejszych próbach, że zamienił powolną śmierć od soków trawiennych na szybką w płomieniach...

Z góry posypał się na niego piasek.

Długi czas potem Boba Fett ocknął się i uświadomił sobie, że wciąż żyje. Zmusił się, by usiąść i rozejrzeć się dookoła. Ogień nadal płonął wzdłuż korytarza, a z oddali dobiegały głośnie trzaski wijących się macek.

Tam, gdzie siedział, było jednak bardzo cicho.

Lewa ręka zwisała bezużyteczna. Fett spojrzał w dół tunelu; zapadła noc, ale wiedział, w którą stronę musi iść, by dojść z powrotem do głównej jamy, do szybu prowadzącego z powrotem na powierzchnię... do głównej jamy, gdzie wisiał Susejo, gdzie czekał na niego rozwścieczony Sarlacc, bijąc mackami we wszystkich kierunkach w oczekiwaniu na swojego przeciwnika.

Na hełm Fetta spadło kilka ziarenek piasku. Spojrzał w górę.

Ciemność.

Nie ruszając się z miejsca, w którym stał, Boba Fett sięgnął po miotacz granatów. Był zaprojektowany na trzy granaty; dotąd odpalił jeden.

Uniósł miotacz i wystrzelił po raz drugi, w ciemność nad głową a potem musiał wygrzebywać się spod lawiny piasku, która go przysypała. Stał na szczycie niewielkiego wzgóreczka, patrząc w ciemność... i zaczął się rozbierać. Zbroja nie nadawała się już do niczego - przeżarta kwasem i popękana w różnych miejscach (dobrze, że tylko zbroją a nie sam Fett) - i w trakcie zdejmowania rozpadła się na kawałki. Mało nie zemdłał, pozbywając się górnej części zbroi - lewą rękę miał złamaną co najmniej w dwóch miejscach; na poparzeniach już zaczynały tworzyć się pęcherze.

Zajął mu to kilka minut, ale w końcu wydostał się ze zbroi; walcząc z zawrotami głowy i słabością zaczął się wspinać na piaskowy pagórek, a kiedy był w połowie, wystrzelił ostatni granat w ciemność ponad głową. Zasypała go olbrzymia fala piasku; Fett walczył z jej naporem, niemal płynąc przez spadający piach, który pokrył całe jego nagie ciało i głowę, wciąż okrytą hełmem. „Rozpychał się gorączkowo, oddychając resztką powietrza uwięzioną w hełmie; pracował obiema rękami, zdrową i złamaną pchany śmiertelnym przerażeniem, które pozwoliło mu sięgnąć do ostatnich rezerw sił, jakie zdołał przywołać...

I nagle jedną ręką trafił w próżnię; poczuł, jak sięga w pustkę, a kilka sekund później wykopał się z piasku i wydostał na chłodne powietrze nocy, w samym środku Morza Wydm, na skraju Wielkiej Jamy Carkoona, oddalony setki kilometrów od kogokolwiek lub czegokolwiek.

Żywy.

Rok później:

Boba Fett powrócił na Tatooine na „Niewolniku II”.

Zszedł z orbity i zawisł nad Wielką Jamą Carkoona, w samym środku Morza Wydm. Na pustyni panowała noc, a ogień z silników rozświetlił piaski na wiele kilometrów we wszystkie strony, niczym słońce dnia.

„Niewolnik II” opadał w dół, aż płomienie silników znalazły się dokładnie nad Wielką Jamą Carkoona. Fala bólu, która uniosła się, by powitać Bobę Fetta, miała posmak wina najprzedniejszego rocznika. Gdyby zamknął oczy, widziałby główną komorę, w której wisiał Susejo, połyskującą w przegrzonym powietrzu.

To ty.

- Tak, to ja. Gdzieś w głębi bólu odczuwanego przez Susejo Boba Fett wyczuwał coś jakby ulgę.

Wyzwalasz mnie z Wielkiego Cyklu.

„Niewolnik II” zawisł nad jamą... by po chwili odlecieć na bok i wylądować o dobre pięćdziesiąt metrów od krawędzi, daleko poza zasięgiem nawet najdłuższych z poparzonych, wijących się macek. Fett poczuł dotyk bólu i zmieszania Susejo.

A cóż to za dziwna laska?

Siedząc w sterowni „Niewolnika II”, Boba Fett uśmiechnął się pod hełmem mandaloriańskiej zbroi i powiedział:

- Nie zjada się takiego buhacza od razu. Rozumiem... w takim razie przypuszczam, że jeszcze się spotkamy.

- Możesz być tego pewien - powiedział Fett. Jego dłonie zatańczyły nad instrumentami pokładowymi.

Silniki zapłonęły; światło oblało jeszcze raz wylot Wielkiej Jamy Carkoona. Ciemny duch wzniósł się w niebo.

SHAARA I SARLACC opowieść strażnika ze skiffu

Dan'l Danehy-Oakes

Tak, panie Fett, to naprawdę poważna sprawa. O niczym innym się nie mówi w pałacu Hutta Jabby. Wcale mnie to jednak nie dziwi, bo nigdy nie widziałem, żeby jakaś banda tak zalaźła za skórę Hurtowi Jabbie, jak ten samozwańczy rycerz Jedi i jego kumple. No bo niech pan tylko pomyśli: co za tupet, żeby pojawić się w pałacu Hutta Jabby i grozić mu, zabić jego rankora, a na dodatek oswobodzić tego Solo, przemytnika niewartego złamanego kredyty...

Nie można powiedzieć - odwagi im nie brakuje, ale zdrowego rozsądku mają stanowczo za mało. Bo przecież trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby tak wkurzyć Hutta Jabbę.

Tak, Hurt Jabba jest maksymalnie wkurzony. Też bym był na jego miejscu. Pałac to nie tylko forteca, to przecież jego dom, a jak się komuś wytnie taki numer w jego domu, to chyba nie można mieć pretensji, że będzie wkurzony. Nie dziwię się więc, widzi pan, że kazał ich oddać Sarlaccowi.

Dodam jeszcze, że to wielki zaszczyt móc panu towarzyszyć przy takiej okazji. Nie ma co, Hutt Jabba chciał panu okazać wyjątkowy szacunek, że przydzielił panu osobistego strażnika. Zresztą nikt lepiej niż ja nie pokaże panu, skąd najlepiej oglądać Sarlacc'a.

Tak, panie Fett, tu na Tatooine zawsze mówiliśmy o nim „Sarlacc”. Jeśli jest gdzieś jakiś inny Sarlacc, to ja o tym nic nie wiem. A powiem panu jeszcze, że gdyby był, to chciałbym to wiedzieć, bo jestem, że tak powiem, swego rodzaju specjalistą od Sarlacc'a. Interesuję się nim od dziecka. Bo widzi pan, moja siostra Shaara jest jedyną osobą, o ile wiem, która wpadła do Wielkiej Jamy Carkoona i wyszła z niej żywa. Kiedyś słyszałem historyjkę, że Skywalker uciekł z Jamy, ale to nałogowy łgarz, jak sam pan miał okazję się przekonać. Mistrz Jedi? Jasne, a przecież nawet nie miał miecza świetlnego, kiedy Jabba go uwięził.

O, to długa historia. Nie chce pan pewnie... chce pan? A, to co innego.

Zaczęło się to od Imperialnych, jak wszystko teraz. Paru z nich chciało się zabawić z moją siostrą Shaara. Jest trzy lata starsza ode mnie, a cała ta historia zdarzyła się, kiedy miałem dwanaście, a ona piętnaście lat. Pracowała wtedy na parkiecie w jednej kantynie na skraju Mos Eisley, wykonując „taniec robota”. Niech pan sobie nie myśli moja siostra to prawdziwa aktorka, a nie jakaś łajza. Pochodzę z rodziny uczciwych farmerów wilgoci, którzy porządnie wychowali swoje córki, bez żadnych nowomodnych teorii, że to niby dzieciom wszystko wolno. I zapewniam pana, że moja siostra to z gruntu przyzwoita dziewczyna.

O Imperialnych za to można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są przyzwoici. Myślę, że Imperium testuje ich pod kątem wrodzonego okrucieństwa, zanim pozwolą takiemu włożyć choćby kawałek zbroi. No więc ci Imperialni przyszli pewnego wieczoru do kantyny i patrzyli, jak Shaara odgrywa swój numer. Wymyślili sobie, że warto by zobaczyć na własne oczy, jak wygląda pod tym całym metalowym kostiumem i w ogóle, wie pan, o co mi chodzi...

No i przekonali właściciela kantyny, nieprzyjemnego gościa, który życzył sobie, żeby go nazywać Dystyngowany Dakkar, żeby ich wpuścił za kulisy, jak się skończy jej numer. Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby rzeczywiście była w garderobie, kiedy tam weszli. Ale nie było jej tam, bo poszła obgadać z zespołem jakieś zmiany w muzyce na następny dzień. Więc Imperialni rozgościli się i postanowili na nią zaczekać.

Kiedy otworzyła drzwi, nadal w tym swoim kostiumie z brązowego metalu, zobaczyła, jak zdejmują broje i myszkują w jej rzeczach. A że ma dziewczyna głowę na karku, zachowała się jak ten prom na Kendos, co to zawsze odchodzi parę minut przed rozkładem. A oni za nią. No bo dlaczego nie? W końcu są przedstawicielami prawa i nikt im się nie postawi.

No więc parę minut później Shaara przybiegła pod kopułę naszej farmy, nadal w swoim kostiumie robota. Ledwie zdążyła opowiedzieć, o co chodzi, a oni już lądują w naszym ogródku. Przylecieli swoim transportowcem, ale nie przyszło im do głowy, żeby się z powrotem poubierać, więc wyglądali naprawdę paradnie, w kawałkach tych swoich zbroi. Jedno jest pewne - drzwi ich nie zatrzymały.

Mój starszy brat Kamma próbował ich powstrzymać. No i już nie mam starszego brata. Przyglądałem się temu wszystkiemu, dwunastoletni smarkacz, z za parawanu. Chyba wtedy właśnie zacząłem nie lubić Imperialnych, dzięki czemu koniec końców dostałem tę robotę u Hutta Jabby. Tak jak drzwi ich nie zatrzymały, tak i Kammi się to nie udało, ale zyskał trochę na czasie, dzięki czemu moja siostra zdążyła wskoczyć do śmigacza i czmychnąć, gdzie nic nie rośnie.

Jak pan widział, przylatując na Tatooine, Mos Eisley leży na samym skraju Morza Wydm, więc Shaara skierowała się na piaski. Nie za bardzo się zastanawiała, dokąd leci, i zanim się zorientowała znalazła się bardzo blisko Wielkiej Jamy Carkoona.

Imperialni byli tuż za nią. Ich transportowiec miał większą moc niż śmigacz, ale jechało w nim ich sześcioro, podczas gdy Shaara była sama, na dodatek lekka jak piórko, więc doganiali ją bardzo powoli. Nadal brakowało im do niej paru sekund, kiedy pomknęła w stronę Jamy. Powiedziała mi później, że płakała, a ja nie mam powodu, żeby dziewczynie nie wierzyć.

Była w tym momencie w całkowitej desperacji. Wyciągnęła ze skrytki strzelbę, którą trzymamy tam na wypadek kłopotów, i wycelowała w kadłub transportowca Imperialnych.

Shaara od dziecka dobrze strzelała, a wtedy - tak sobie myślę - Moc musiała poprowadzić jej rękę, bo jej strzał przewiercił dziurę w silniku transportowca. Wybuch powinien był od razu pozabijać Imperialnych, ale do tego czasu zdążyli już z powrotem powkladać broje. Żaden nie był jeszcze kompletnie ubrany, a kierowca nadal miał na sobie tylko cienki kombinezon, ale chyba i oni mieli wtedy sporo szczęścia.

Mówię „chyba”, bo wprawdzie eksplozja ich nie zabiła, ale za to wyrzuciła wszystkich w powietrze w sam raz, by wylądowali akurat w Wielkiej Jamie Carkoona, co uważałbym za pomyślną okoliczność, gdyby nie to, że wybuch transportowca spowodował, iż śmigacz Shaary stracił sterowność, a ona sama również wpadła do jamy.

Przez chwilę wszyscy siedmioro leżeli ogłuszeni. A potem - i to jest ten kawałek, w który zawsze trudno mi było uwierzyć - dwóch Imperialnych zaczęło pełznąć wokół jamy w kierunku Shaary.

Musieli przecież wiedzieć, gdzie się znajdują. Nawet Imperialna Armia musi mówić swoim szturmowcom o podstawowych rodzajach zagrożeń, jakie czyhają na nich na danym terenie, zanim ich tam wyśle. A jednak... lądują tuż pod drzwiami Sarlaccy, i zamiast ratować własne żalosne i nic niewarte życie, wołają skończyć to, co sobie zaplanowali.

Cóż, oczywiście całe to zamieszanie obudziło Sarlaccę, który zaczął wymachiwać swoimi mackojęzoram. Złapał jednego nieprzytomnego Imperialnego i cichcem wciągnął go do środka. Shaara widziała to i krzyknęła, ale tych dwóch Imperialnych, którzy pełzli w jej kierunku, myślało pewnie, że to ze strachu przed nimi.

I wtedy macka złapała za stopę jednego z przytomnych Imperialnych, który zaczął wrzeszczeć. Dzięki temu reszta zorientowała się, co jest grane - wszyscy oprócz jednego, który nie obudził się wcale, tylko wpadł do paszczy Sarlaccę, bo te mackojęzory poruszyły ruchome piaski. Nie wiem, czy zwracał pan uwagę na ich liczbę, panie Fett, ale tak czy owak, w tym momencie zostało już tylko trzech. W Wielkiej Jamie Carkoona, ale jeszcze nie w brzuchu Sarlaccę... plus moja siostra.

Tych dwóch, którzy pełzli w jej stronę wokół jamy, zostawiło w końcu moją siostrzyczkę i zaczęło się gorączkowo odczołgiwać jak najdalej od paszczy Sarlaccę, co oczywiście nie na wiele się zdało, bo piasek osuwał się spod ich stóp szybciej, niż byli w stanie się wspinać. Ruch piasku zwrócił zaś uwagę Sarlaccę, który natychmiast złapał obu i wciągnął ich, nie bacząc na wrzaski, do swojej paszczy. Nie wiem, czy historia, którą Hurt Jabba lubi opowiadać, jest prawdziwa - że w brzuchu Sarlaccę żyje się przez tysiąc lat, zanim Sarlaccę pana strawi, ale w przypadku tych dwóch mam szczerą nadzieję, że tak się stało, chociaż Shaara mówiła, że życzy im szybkiej śmierci. Może to dlatego że jest bardziej wrażliwa ode mnie, a może po prostu życzyła im śmierci, i tyle.

Tak więc w Wielkiej Jamie Carkoona została tylko Shaara i jeszcze jeden szurmowiec. Leżeli nieporuszeni, spoglądając to na siebie, to na mackojęzory Sarlaccę. Ten ostatni Imperialny miał chyba więcej rozumu niż pozostali, bo starał się nie ruszać, żeby nie posyłać piasku w dół jamy, co pozwoliłoby Sarlaccę zorientować się, gdzie on jest. Shaara też zamarła. Mówiła mi później, że tamten facet patrzył prosto na nią, a że był bez hełmu, doskonale widziała, że się boi. Był tak przerażony, że nigdy wcześniej ani później nie widziała, by ktoś tak się bał. Osobiście mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę nikogo w takim strachu.

Tymczasem jęzory Sarlaccę nadal obmacywały piasek wokół jamy w poszukiwaniu jedzenia. Jedna macka dotknęła nogi Shaary i przesunęła się dalej - ale po chwili wróciła.

Shaara wrzasnęła, a Imperialny zrobił wtedy coś, co jest chyba najbardziej zaskakujące w tej całej historii. Wyciągnął z buta wibroostrze i cisnął je w mackę, która chwyciła Shaarę za nogę.

Macka puściła, ale dwie inne natychmiast wystrzeliły w górę, a parę następnych zaczęło obmacywać teren, z którego ciśnięto wibroostrze. W tym momencie Imperialnego zupełnie opuściła odwaga i zaczął wspinać się po ścianach Wielkiej Jamy Carkoona. W ten sposób przypieczętował swój los. Jedna z macek chwyciła nogę Shaary - nadal w metalowym kostiumie, podczas gdy dwie inne złapały Imperialnego i rozerwały go na pół, zanim jeszcze trafił do paszczy Sarlaccę. Shaara mówi, że jej zdaniem umarł szybko. Mam nadzieję, że się nie myli.

I wtedy ta macka, która chwyciła Shaarę, uniosła ją i zaczęła wciągać do paszczy, ale zaraz ją puściła, wyrzucając gwałtownie na zewnątrz Jamy. Nasz rodzinny śmigacz kompletnie nie nadawał się do użytku, ale moduł komunikacyjny jeszcze działał, mogła więc wezwać pomoc.

O, proszę popatrzeć! Zbliżamy się do Wielkiej Jamy Carkoona. Proszę tędy.

Dlaczego Sarlaccę ją puścił? To bardzo ciekawe pytanie, panie Fett. Po pierwsze, chciałbym zaznaczyć, że on nie tyle ją puścił, ile wręcz wyrzucił. Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale zastanawiałem się nad tym przez wiele lat i mam parę teorii na ten temat.

Może miał już dość jedzenia, więc wyrzucił to, co mu zbywało. Shaara uważa, że to głupia teoria, a ja po trosze się z nią zgadzam. W końcu bywało, że Sarlaccę zjadał naraz znacznie więcej.

Shaara uważa, że macki tak naprawdę są jęzorami i mają zmysł smaku. Twierdzi, że Sarlacc uznał, czując metaliczny smak jej kostiumu, iż nie była jadalna. Nie wydaje mi się, żeby to była prawda, bo widziałem, jak Sarlacc zjadał rzeczy, które w żadnym razie nie mogły smakować jak materia organiczna. No i przecież nie przeszkadzało mu, że Imperialni mieli na sobie zbroje.

Ja sobie myślę tak. Nikt w gruncie rzeczy nic nie wie o Sarlaccu. Wydaje się, że jest jedyną istotą tego gatunku, ale przecież żadna istota nie ewoluuje w taki sposób. I jest na pewno bardzo stary. Zakładamy, że nie ma rozumu, ale może tak naprawdę jest inaczej. Może ma rozum, tylko wolniejszy niż nasz, rozum, któremu pomyślenie jednej myśli zajmuje całe lata. I może - to tylko ewentualność, ale jednak - może wiedział, co robi.

Nie wiem, dlaczego Sarlacc ocalił moją siostrę, i tylko tyle mogę powiedzieć na pewno. Moi rodzice mówią, że nigdy nie słyszeli, by Sarlacc zjadł kogoś, kto na to nie zasługiwał, ale jeśli to prawda, to niewątpliwie ostatecznie wszyscy skończymy w jego brzuchu.

O, jesteśmy na miejscu. To najlepszy punkt obserwacyjny, lepszy nawet niż tron samego Hutta Jabby. Niech pan zostanie tu, na skiffie, a obiecuję panu naprawdę niezwykle widowisko. Może nawet zobaczy pan coś, co niewielu widziało i przeżyło: brzuch Sarlaccy.

GRUBOSKÓRNI opowieść grubej tancerki

A.C. Crispin

Puk... puk... puk...

Rytmiczny stukot odbijał się słabym echem w olbrzymiej pieczarze sali audiencyjnej pałacu Jabby. Krępa postać, pogrążona dotąd w drzemce na pustej platformie, usiadła wyprostowana i spojrzała z obawą w kierunku łukowato sklepionego wejścia prowadzącego do głównej sali. Pukanie rozległo się ponownie.

Kto może tam być, i po co puka w pancerne drzwi? - zastanowiła się Yarna d'al' Gargan. Wielopiersna tancerka podniosła się i ostrożnie poszła w stronę wejścia, spoglądając na frontowe drzwi. Żabopiesek Jabby, Bubo, przycupnięty u szczytu schodów, spojrzał na nią z góry i zaskrzeczał prosząco w nadziei na resztki jedzenia. Tym razem jednak Yarna zignorowała go. Wytěżając wyczulony słuch, usłyszała odległy krzyk.

Puk... puk... puk...

Askajianka rozejrzała się dookoła i nerwowo przełknęła ślinę. Sama tam nie pójdzie. W korytarzach i komnatach pałacu Jabby czaiła się śmierć; odkryto kolejne ciało - pechowego kuchcika o imieniu Phlegmin. Wcześniej Yarna sama została zaatakowana i ledwie udało jej się uciec - J'Quille? - zagadnęła cicho. To on miał teraz trzymać wartę.

Żadnej odpowiedzi.

Gdzie się podziewa ten głupi Whiphid? Objąwszy się ramionami ponad górną parą ciężkich piersi, Yarna wzdrygnęła się. Na zewnątrz zapadła już noc, a o tej porze nie powinno tam być nikogo.

To prawda, pan Jabba odleciał swoją barką żaglową, by obserwować egzekucję nieszczęsnego Hana Solo i jego przyjaciół. Hutt spóźniał się z powrotem; nikt w pałacu nie miał od niego żadnej wiadomości od chwili odlotu barki... ale przecież to nie świta Jabby czekała tam na zewnątrz. Jabba nie pukałby do frontowych drzwi. Jej pan wszedłby do pałacu wielkim tylnym wejściem. Przpracowawszy u Hutta niemal cały rok, Yarna doskonale знаła jego zwyczaje.

Kto więc był na zewnątrz?

I co powinna teraz zrobić?

Puk... puk... puk...

Stukanie przybrało na sile, a dobiegające zza drzwi krzyki stały się głośniejsze, bardziej desperackie. W pałacu nie było nikogo, kto byłby władny powiedzieć jej, co trzeba zrobić - ani pana Fortuny, ani Tesseka, ani Barady. Nawet dowódca Gamorrean, Ortugg, gdzieś zniknął.

Oblizwała wyschnięte nagle wargi, odwróciła się i przyłożyła do ust dłoń, tworząc z nich trąbkę.
- Straż! - krzyknęła w głąb komnaty. - Straż! Ogłuchliście wszyscy? Ktoś puka do głównych drzwi!

Pozostali członkowie zbieraniny tworzącej „dwór” huttańskiego lorda, śpiący w odległych

zakątkach komnaty audiencyjnej, poruszyli się i rozejrzeli dookoła nerwowo... ale żaden z nich nie przyłączył się do Askajianki stojącej pod schodami. W pałacu Jabby zwracanie na siebie uwagi mogło się okazać niebezpieczne.

Yarna usłyszała, że ktoś biegnie, a po chwili przez drzwi w przeciwległej ścianie wpadł do sali humanoidalny strażnik. Strażnik, w poobijanej, ciemnej zbroi, wyglądał znajomo, ale zawsze trzymał się z boku i nie znała jego imienia. Był jednym z tych, których tak głupio poturbował Wookie Chewbacca, ciskając nim o ścianę jednym zamachem długich, kudłatych rąk.

- O co chodzi? - Mechanicznie brzmiący głos dobiegał z wnętrza hełmu, który maskował jego rysy. Yarna uświadomiła sobie, że strażnik mówi przez maskę oddechową. - Gdzie jest pan Jabba?

- Jeszcze nie wrócił - powiedziała Yarna, czując, że serce wali jej jak młotem. - Kim jesteś?

- Sierżant Doallyn, do usług - powiedział strażnik, odruchowo stając na baczność. Ponowne walenie w drzwi sprawiło, że spojrzał w górę schodów. - Kto stoi pod drzwiami, pani Gargan?

- Nie wiem - powiedziała, doceniając jego uprzejmość. Od dawna już nikt nie zwracał się do niej inaczej jak „ty, brzydka!”. Znowu usłyszeli stukanie, tym razem jakby słabsze. Yarna wzruszyła ramionami i zauważyła:

- Strażnik, który powinien tam trzymać wartę, zniknął. A ja chyba nie powinnam otwierać drzwi sama, bez asysty strażnika.

Pokiwał potakująco głową w hełmie.

- Bardzo słusznie.

Nakazał jej gestem, by szła za nim, i zaczął wchodzić po schodach. Yarna trzymała się tak blisko niego, że niemal następowała mu na obcasy.

Kiedy dotarli do masywnych, wysokich drzwi, Doallyn spojrzał na ekran wartowniczy, ale było zbyt ciemno, by zdołał rozpoznać gościa. Wyciągnął blaster i zwrócił się do niej:

- Wstukaj kod, a potem stań z tyłu.

Poruszając się ze zwinnością niezwykłą u osoby o jej rozmiarach, Yarna wstukowała odpowiednią kombinację i odskoczyła na bok. Powoli, ze zgrzytem, olbrzymie wrota uniosły się w górę. Do środka wpłynęło chłodne nocne powietrze.

Na zewnątrz stał Quarren Tessek w poszarpanych szatach, cuchnących dymem. Jego pomarszczona, pokryta czulkami twarz była blada i spękana, jakby została wystawiona na działanie wysokiej temperatury.

- Jabba... pan Jabba... barka żaglowa... - bełkotał bez tchu. - Solo, Wookie... i ten Jedi! Mogą nas zaatakować!

- Gdzie jest Jabba? - zapytał Doallyn.

- Nie żyje! Udusiła go ta tancerka z Alderaanu! Właśnie wtedy, kiedy miała zacząć się egzekucja, na barce wywiązała się okropna bitwa. Mieli ukrytą broń, a ten chłopak Jedi, Luke Skywalker... ma niewiarygodną moc! Walczyłem z nimi, ale drasnął mnie strzał z Mastera, i straciłem kontrolę nad moim swoopem... i o mało nie wpadłem do jamy Sarlacca! I wtedy - rozłożył ręce - nastąpił wielki wybuch! Z barki żaglowej zostały tylko szczątki na Morzu Wydm!

- Jabba nie żyje? - nawet w mechanicznym głosie Doallyna słychać było zdumienie.

Quarren przytaknął. Przenosił wzrok z Yarny na Doallyna, aż w pewnej chwili przypomniał sobie chyba o swojej godności. Zebrał się w sobie i wyprostował przygarbione ramiona.

- Teraz ja tu dowodzę. - powiedział spokojniejszym, głębokim głosem. - Czekać tu na mnie. Niedługo wrócę.

Doalyn zasalutował niedbale, ale nic nie odpowiedział, a Quarren, drżąc w dalszym ciągu, odwrócił się i zarzucił nogę na swój swoop. Po chwili już go nie było.

Yarna zmartwiała ze zdumienia; nie miała odwagi uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Tak długo czekała na tę chwilę! Czy to możliwe, by Tessek kłamał? Może to kolejny pokręcony plan Jabby, by wybadać lojalność swoich podwładnych? A jednak... nie mogła uwierzyć, by Quarren był zdolny zrobić jej coś takiego. Nie dalej jak wczoraj przyłapał ją, gdy próbowała podwędzić kilka kamieni półszlachetnych i nie doniósł o tym Jabbie. Przypomniała sobie rozszerzone ze strachu oczy Tesseka. Nie, Quarren mówił prawdę.

Słyszając podniecone trajkotanie u stóp schodów, Yarna uświadomiła sobie, że wiadomość już zaczęła się rozchodzić. Za parę minut wszyscy się dowiedzą. Askajianka spróbowała uspokoić nerwy. Musiała się zastanowić. Co ta wiadomość oznaczała dla niej? Co teraz będzie?

Nie miała specjalnych wyrzutów sumienia, że nie wypełnia poleceń Tesseka, choć przecież wczoraj wyświadczył jej przysługę. Quarren był skończonym tchórzem, o czym wszyscy wiedzieli. Po śmierci Jabby Yarnie nie przychodził do głowy nikt o wystarczającej sile woli, bezwzględności i inteligencji, kto mógłby zająć miejsce Hutta. W ciągu godziny w pałacu zapanuje chaos. A w Mos Eisley... Yarna poczuła, że oddech więźnie jej w gardle, jakby utkwiał w nim wielki kęs galaretowatego owocu sagbat. Zgodnie z prawem obowiązującym na Tatooine, nielegalny majątek Jabby zostanie przejęty i zlikwidowany, a jego niewolnicy - sprzedani temu, kto zaproponuje najwyższą cenę.

W sensie prawnym sama Yarna nie była niewolnicą, ponieważ Jabba zatrudnił ją na „umowę”, obiecując jej, że pewnego dnia będzie mogła kupić sobie wolność. Była to jedna z ulubionych zagrywek Jego Ospalości. „Wolni” pracownicy pracowali zwykle ciężiej i z większym poświęceniem niż niewolnicy. Dokładnie pamiętała treść umowy, którą podpisała odciskiem kciuka - umowa stwierdzała, że w razie śmierci Jabby będzie wolna, chyba że w jakikolwiek sposób przyczyniłaby się do jego śmierci. Ale nie zrobiła tego. A zatem... była teraz wolna.

Obietnica, że kiedyś zapracuje sobie na wolność, sprawiła, że Yarna lojalnie służyła huttyańkiemu królowi zbrodni - tańczyła, zajmowała się służbą domową, robotami sprzątającymi, matkowała pozostałym tancerkom. Trzy lata i zarobiłaby na tę wolność - jeśli oczywiście Jabba nie zmęczyłby się nią wcześniej i nie rozkazał jej zabić.

Myśl o Leii i innych tancerkach przywołała wspomnienie Ooli. Gdyby tylko ta biedna, mała Twi'lekanka posłuchała jej rady i ona dożyłaby tego dnia - i byłaby teraz wolna! Yarna nie знаła Ooli zbyt dobrze, ale lubiła ją... mimo że była na tyle głupia, by zignorować rady starszej tancerki, choć mogły ocalić jej życie.

Minęło zaledwie kilka dni od momentu, gdy Oolę rzucono na pożarcie bestii zamieszkującej loch pod salą tronową. Potwór ten też dziś już nie żył, pokonany przez młodego wojownika, który twierdził, że jest Jedi. Przyglądając się jego walce z góry, Yarna z trudem zdołała powstrzymać się od okazania mściwej radości. Askajiańska tancerka nienawidziła szkaradnego potwora z całych sił od czasu, gdy pożarł jej partnera, Nautaga. Cała jej rodzina została pojmana przez łowców niewolników, a następnie sprowadzona na Tatooine i jako część wysyłki skierowana do inspekcji przez Jabbę. Łowcy niewolników wprowadzili swój towar do tej samej sali tronowej, zachęcając Hutta, by wybrał coś dla siebie.

I wtedy przyszła chwila, która do dziś prześladowała Yarnę w snach. Nautag wystąpił z szeregu i przeklął Jabbę, oświadczając Jego Ospalości, że on sam, jego partnerka i ich młode nigdy nie zostaną

niewolnikami... nigdy! Jabba roześmiał się tym swoim morderczym „ho, ho, ho!”, które zawsze ścinało krew w żyłach Yarna. Roześmiał się, uruchomił zapadnię, i Nautag wpadł do pieczary.

Walczył dzielnie, ale wytrzymał zaledwie kilka minut. Askajianka nadal słyszała w uszach triumfalny ryk rankora, gdy rozrywał ciało jej partnera na pół.

Yarna ocknęła się, wyrwana nagle z zamyślenia przez przeciągły, niewątpliwie kobiecy pisk. Chaos właśnie się zaczął.

Muszę się stąd wydostać, pomyślała, przypomniawszy sobie o woreczku pełnym skradzionych klejnotów, które gromadziła od pierwszej chwili, gdy znalazła się w pałacu Jabby. Będzie ich potrzebować, gdy dotrze do Mos Eisley i do swoich młodych. Ludzie prowadzący aukcję w imieniu prefekta Talmonta postarają się je sprzedać; zażądają pewnie co najmniej po setce za sztukę.

Obliczyła w myśli wartość zgromadzonych kosztowności. Czy wystarczy? Może, ale ledwo, ledwo.

Nie mogła tu zostać, nie teraz. Nie przeżyłaby nawet dnia, tego była pewna. Nie tak dawno temu spojrzała w twarz Śmierci, która nawiedziła pałac Jabby, i wiedziała, że zabójca nie pozwoli jej żyć, by nie opowiedziała innym, co ją spotkało. Wczoraj udało jej się ocalić życie tylko przypadkiem. Gdyby nie zjawił się szukający jej Ortugg... A potem znaleźli kuchcika. Yarna była jedyną osobą, która zrozumiała znaczenie kropelek krwi zaschniętych na nozdrzach ofiary. Wiedziała, jaką śmiercią zginął kuchcik... i nie miała zamiaru podzielić jego losu. Od tamtej chwili uważała, by nigdy nie zostawać sama, nawet do łazienki zabierała ze sobą kogoś ze służących.

- Proszę pani... - odezwał się ktoś głosem pełnym wahania. Yarna odwróciła się i zobaczyła Doallyna, który wciąż stał obok niej. Twarz miał zakrytą, ale nie sposób było nie wyczuć napięcia w jego błagalnym tonie.

- Tak? - Askajianka postarała się nie okazać zniecierpliwienia, które ją ogarnęło na jego widok. Nikt nie może wiedzieć, że planuje ucieczkę, bo inaczej zostanie zatrzymana.

- Zastanawiam się, czy nie mogłaby pani mi pomóc. Nadzoruje pani sprzątanie... wie, gdzie Jabba trzyma... różne rzeczy. Czy kiedykolwiek zdarzyło się pani natrafić na magazynek czegoś takiego? - zręcznym ruchem palców strażnik odłączył mały, cylindryczny nabój przymocowany z boku maski oddechowej i wręczył go jej, by sobie obejrzała.

Yarna rzeczywiście natknęła się kiedyś na pudełko podobnych niewielkich nabojów z gazem, ukrytych w schowku za boazerią w osobistych komnatach Jabby. Spojrzała z zaciekawieniem na Doallyna.

- Co to takiego?

- Kapsułka pierwiastków śladowych do oddychania. Mogę oddychać powietrzem Tatooine przez krótki czas, ale jeśli nie domieszam do wdychanego powietrza minimalnych ilości hydronu-3, umrę. - Strażnik obejrzał się bojaźliwie za siebie. - Jabba wydawał mi zawsze zapas tylko na jeden dzień... w ten sposób zapewniał sobie moją lojalność. Ale teraz, kiedy nie żyje...

Yarna przyjrzała mu się z namysłem, złożywszy ramiona na najwyższej parze swoich piersi. Czy Doallyn może mieć jakieś pieniądze? Czy uda jej się nakłonić go, by zapłacił za tę informację? Zaczęła się zastanawiać, czy nie zażądać kredytów w zamian za pokazanie mu skrytki, ale szybko poczuła, że myśl ta budzi w niej obrzydzenie. Na Księżycową Panią Askaji, ten Doallyn umrze... a przecież nie należał do bandy, która znęcała się nad nią, był po prostu jeszcze jedną istotą która znalazła się we władzy Jabby.

Poza tym sama będzie potrzebować pomocy, by dotrzeć do swojej szkatułki. Kolejny przeciągły

pisisk rozległ się echem w pałacu, zaraz po nim zaś posapywanie i skrzekliwy śmiech Gamorreanina. Z każdą mijającą sekundą odgłosy bezhołowia przybierały na sile. Choć w korytarzach pałacu Jabby czaiło się gorsze zło niż pijani Gamorreanie, im też lepiej było nie wchodzić w drogę...

Yarna skinęła głową i powiedziała szorstko:

- Wiem, gdzie je trzymał. - Dziwnie się czuła, mówiąc o Jabbie w czasie przeszłym. Hurt był zepsuty, odrażający, perwersyjny i chciwy, ale też niezwykle witalny i pełen żywotnej siły. - Chodź ze mną. Popilnujesz mnie, zanim spakuję parę rzeczy, a ja pokażę ci, gdzie są naboje. Zgoda?

Doallyn kiwnął głową.

Askajianka ruszyła w stronę celu. Szybko przemierzała pałac, z Doallynem krocącym w ślad za nią. Mijając każdy kolejny mroczny korytarz spinała się, ciekawe, czy nie czeka tam ten ktoś... Nikt jednak ich nie zatrzymał.

Kiedy dotarli do kwater służby, Yarna skierowała się prosto do schowka na miotły soniczne i inny sprzęt do sprzątania.

- Trzymaj broń w gotowości - poleciała swojemu ochroniarzowi. Ukłękła i otworzyła pokrywę w obudowie jednego z automatycznych urządzeń do czyszczenia podłogi. - Nie chcę, żeby mnie ktoś zaskoczył.

Zza ogniwa energetycznego wyciągnęła mały woreczek ukryty we wnętrzu sprządarki. Doallyn przechylił na bok okrytą hełmem głowę, a Yarna odniosła wrażenie, że w jego mechanicznym głosie słyszy rozbawienie.

- Co pani tam ma?

Yarna podrzuciła woreczek w dłoń, wając jego ciężar. Jej usta po raz pierwszy od roku rozciągnęły się w szczerym uśmiechu.

- Wolność moich dzieci - powiedziała.

- Dzieci?

- Nie ma ich tu - wyjaśniła Yarna. - Jabba trzyma je w swojej miejskiej rezydencji. Zostało mi jeszcze troje młodych... czwarte zginęło podczas najazdu łowców niewolników. Muszę dostać się do Mos Eisley, zanim władze zaczną wyprzedawać majątek Jabby. Wystawią też na sprzedaż moje dzieci... muszę tam dotrzeć, żeby je wykupić!

W jakiś sposób wiedziała, że Doallyn zza hełmu przygląda jej się zaskoczony.

- Mos Eisley? Chcesz jechać do Mos Eisley?

- Muszę - powiedziała Yarna niecierpliwie. - I to szybko.

- Przez Morze Wydm? Chyba oszalałaś!

Yarna wstała; jej piersi podtrzymywane skórzaną uprzężą zatrzęśły się.

- Możliwe - przyznała. Ale wolę już zginąć tam - machnęła ręką mniej więcej w stronę Mos Eisley - niż czekać tu jak w pułapce, aż zostanę kolejną ofiarą zabójcy.

- Nieznany zabójca... - powiedział Doallyn. - Tak, to jest jakaś myśl. Ja też nie chciałbym zostać jego następną ofiarą.

- Jeśli tu zostanę - zaczęła Yarna, wpychając jednocześnie woreczek pod najniższą parę piersi i przywiązując go, by nie wypadł - to ja będę następną ofiarą. Wiem, że tak. - Spojrzała na strażnika i wzdrygnęła się. - Ja... widziałam jego twarz. Nie dopuści, bym przeżyła.

- Widziałas go? - zapytał Doallyn głosem pełnym napięcia. Chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i odruchowo obejrzał się przez ramię. Nikogo tam nie było. - Kim on jest?

- Nie wiem, jak się nazywa - wyznała Yarna drżącym, ochryplym głosem. - To wysoki, szczupły

humanoid. Nosi bardzo wyszukane stroje i ma... ma takie kieszenie policzkowe. - Podciągnęła palcami policzki, sugestywnie naśladowując swojego prześladowcę.

- Sądząc z twojego opisu, to Jerriko - powiedział Doallyn. - Dannik Jerriko. Pracuje dla Jabby. Jesteś pewna? Skąd to wiesz?

- Bo wczoraj próbował mnie zabić - oznajmiła Yarna beznamiętnym głosem, ale całe jej ciało zdrząło. - Ma takie... takie coś, co wysuwa mu się z twarzy... obok nosa... i tym właśnie zabija.

- Jakie coś? - zapytał Doallyn. - Co to takiego?

- Takie jakby... cieniutkie macki. Rozwijają się... - na samo wspomnienie zrobiło się jej niedobrze. - I wtedy wsadza ci je do nosa... tak zabił tego kuchcika.

- Jakim cudem udało ci się uciec?

- Już miał mnie dotknąć tymi mackowasami, kiedy nadszedł jeden z Gamorrean. I wtedy on... mnie puścił.

- Ale przecież Jerriko to dla ciebie żaden przeciwnik. - Doallyn zacisnął palce na jej ramieniu, badając silne mięśnie pod skórą.

- Kiedy cię chwytą i spogląda ci w oczy... nie możesz się poruszyć - powiedziała Yarna szeptem; znów zrobiło jej się słabo. - Kiedy widzisz, jak te mackowasy się rozwijają, wiesz, co zaraz się stanie, bo on chce, żebyś wiedział. Ale nie możesz się poruszyć. To... straszne... - Zgroza ścisnęła ją za gardło, tak że nie była w stanie wykrztusić słowa. Nakryła usta dłonią by się opanować. Po chwili spojrzała na Doallyna.

- Jeśli przysięgniesz na wszystko, co najświętsze w religii, którą wyznajesz, że odprowadzisz mnie później do hangaru parkingowego, pokażę ci, gdzie są te naboje z gazem, których potrzebujesz - obiecała. Czy mogła mu wierzyć? Nawet nie widziała jego twarzy... Nie miała jednak wyboru.

Doallyn dotknął munduru na piersi dwoma palcami i kciukiem w geście, który miał pewnie dla niego jakieś rytualne znaczenie.

- Przysięgam na Serafiny Niebios, że odprowadzę cię do hangaru parkingowego. Yarna kiwnęła głową.

- W takim razie chodź. Wyszli na korytarz, a potem celowo skierowali się w przeciwną stronę budynku.

Yarna prowadziła. Szła szybko, pewnie, starając się nie zwracać uwagi na dobiegające od czasu do czasu wrzaski i hałasy w innych częściach pałacu. Jeszcze tylko parę minut, pomyślała, i wydam się stąd. Nie mogła się opanować, by nie iść coraz szybciej, niemal biegiem. Jeszcze tylko parę minut...

Szczyście opuściło ją, kiedy wyszła zza rogu; Doallyn był o kilkanaście kroków za nią. Dwaj z byłych strażników Jabby czekali, gotowi do ataku. Tancerka rozpoznała ich, człowiek nazywał się Tornik, a Gamorreanin - Warlug. Obaj byli kompletnie pijani. Zanim zdążyła się cofnąć, złapali ją, postępując z pijackim zadowoleniem.

- Brzydula! - ryknął Tornik. - Miłości mego życia! Chodź tu i napij się ze mną! - Kiedy Yarna spróbowała się wyrwać, boleśnie szarpnął ją za ramię. - Zatańcz dla mnie, a potem się zabawimy!

Askajianka obejrzała się, ale nie zobaczyła ani śladu Doallyna. Czyżby uciekł i zostawił ją samą? A co z nabojami do oddychania?

- Nie! - wrzasnął Gamorreanin, próbując wyrwać ją z uścisku swojego towarzysza. - Ja pierwszy ją zobaczyłem! Ja pierwszy zabawię się z Brzydulą!

- Przestańcie! powiedziała rozkazująco Yarna, próbując zachować spokój i opanowanie, mimo

szaleńczego kołatania bliźniaczych serc w piersi. - Puście mnie! Załatwiam sprawę dla pana Fortuny.

- Nie dostanie cię! - zarechotał Tornik. - Warlug ma rację! My pierwsi cię zobaczyliśmy! Niech stoi w kolejce!

Gamorreanin wyciągnął łapę w stronę zapięcia pomiędzy jej górnymi piersiami.

- Moja! Ja pierw... - Nagle przerwał mu błysk i świst. Gamorreanin spojrział z niedowierzaniem na osmaloną dziurę, która wykwitła w jego boku. Puszczając Yarnę zatoczył się do tyłu, dysząc ciężko i jęcząc z bólu, aż uderzył plecami o ścianę i osunął się po niej na podłogę. - Puść ją - polecił Doallyn, wychodząc zza rogu z blasterem w dłoni.

- Ale my pierwsi ją zobaczyliśmy - zaprotestował drugi strażnik, mrużąc oczy. - Możesz ją mieć, kiedy z nią skończymy.

- Powiedziałem, żebyś ją puścił. - Doallyn nie podniósł głosu, ale lufa jego blastera uniosła się niebezpiecznie; celowała teraz prosto w twarz mężczyzny. - Albo zmuszę cię, żebyś to zrobił. Wybieraj!

Klnąc pod nosem, Tornik puścił ramię Yarny i cofnął się. Warlug rozpaczliwie zapiszczał, domagając się pomocy, więc mężczyzna chwycił go za ramię i poderwał, po czym razem wycofali się na miękkich nogach.

Yarna oparła się o ścianę, bo nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

- Och, sierzancie, oni... dziękuję ci, dziękuję... oni...

- Nie ma na to czasu - przerwał jej Doallyn. - Naboje. Obiecałaś.

- Tak... - wymamrotała Yarna, starając się pozbierać. - Tędy...

W kilka minut dotarli do osobistej komnaty Hutta. Zdażono ją już złupić - komnata była ogołociona, a na sam środek platformy do spania ktoś wrzucił łopatę łajna rankora.

Na ścianie widniał napis wielkimi literami: „Jabba, zamarznij w Dziewiątym Kręgu Potępienia!” Ten tekst zdażyły już częściowo przykryć inne, mniej odkrywczе przekleństwa i wulgaryzmy. Yarna szybko podeszła do misternie zdobionej boazerii i wcisnęła ogon jednego z wyrzeźbionych na niej fantastycznych stworzeń. Otworzyły się małe drzwiczki.

- Skąd wiesz o tej skrytce? - zapytał Doallyn, wkładając do torby te naboje z gazem, które nie zmieściły mu się w kieszeniach. Yarna zaś zebrała co do jednego dyski kredytowe, które leżały na najniższej półce.

- Byłam ulubioną tancerką Jabby - wyjaśniła. - Czasami posyłał po mnie, kiedy nie mógł zasnąć, a ja tańczyłam wtedy dla niego balet piasku. Mówił, że ten taniec pomagał mu się zrelaksować po pracowitym dniu. Kiedyś Jabba zasnął, a ja zapadłam w drzemkę tam - wskazała na platformę - gdy do komnaty wszedł Bib Fortuna. Nie wiedział, że się obudziłam, i to on otworzył tę skrytkę.

- Dziwi mnie, że Jabba zaufał mu na tyle, by powierzyć mu sekret tego schowka - powiedział Doallyn, wychodząc za Yarną z komnaty, czujny, z bronią gotową do strzału.

Yarna uśmiechnęła się, choć w jej oczach nie widać było rozbawienia.

- Jabba nikomu nie ufał. On po prostu...

Przerwała zaniepokojona, gdy wyszli zza rogu, bo w ciemnym korytarzu rozpoznała zarys postaci. Długi, szczupły, spowity w cień... Dannik Jerriko! Tancerka zachłysnęła się i cofnęła, podczas gdy Doallyn, z godnym podziwu opanowaniem, uniósł broń i powiedział:

- Nie ruszaj się Jerriko!

Wampir odwrócił głowę, ukazując twarz. Yarna załkała z przerażenia. Żaden demon zrodzony

przez Piekielną Otchłań Askaji nie mógłby wyglądać straszniej. Wściekłość zniekształciła jego rysy, a kieszenie po obu bokach twarzy skręcały się i pulsowały, jakby żyły własnym życiem. Otworzył usta w bezgłośnym ryku gniewu. Askajianka zakryła usta obiema dłońmi, by powstrzymać krzyk przerażenia. Doallyn musiał odruchowo zacisnąć palec na spuście broni, bo nagle w białym rozbłysku wystrzelił promień energii.

Ciemna sylwetka rozpląnęła się w drzwiach w głębi korytarza.

Yarna nie mogła nie podziwiać odwagi Doallyna, nawet jeśli miała wątpliwości co do jego zdrowego rozsądku. Rzucił się w ślad za obcym, a tancerka - choć rozsądek nakazywał coś wręcz przeciwnego - ruszyła za nim.

Kiedy jednak dotarli do drzwi komnaty, a Doallyn włączył światło, pokój był pusty. Żadnych drugich drzwi, żadnych okien... i ani żywego ducha.

- Nie mógł przecież tak po prostu zniknąć - wymamrotał wstrząśnięty strażnik. - Czyżby tu było jakieś sekretne przejście albo ukryte drzwi?

Yarna pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale ten pałac ma wiele tajemnic. Wiesz chyba, że na niższych poziomach jest mnóstwo tajnych korytarzy. Część pałacu nadal jest klasztorem mnichów B'omarr.

Doallyn ciężko oddychał, wyraźnie zdenerwowany, ale w końcu zamknął drzwi na zamek. Yarna usłyszała, że klnie pod nosem w języku, który musiał być jego ojczystą mową.

- Zobaczył mnie - odezwał się w końcu we wspólnym. - Teraz mnie też będzie ścigał. Jadę z tobą.

- Ale... - zawahała się Yarna. Nie mogła jednak zostawić Doallyna, by stanął twarzą w twarz ze śmiercią której sama ledwo się wymknęła. - Dobrze - zgodziła się.

Ich następnym przystankiem była kuchnia.

- Porcellus jest moim przyjacielem... trzyma tu dla mnie różne rzeczy - powiedziała Yarna, wchodząc ostrożnie do spiżarni. - Mam nadzieję, że udało mu się uciec...

Z dalszej części spiżarni Askajianka wyniosła kilka koców, parę butelek wody i dwie grube, ciepłe kurtki, które przywłaszczyła sobie w kwaterach strażników w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nad nimi na wieszaku wisiało spore białe zawiniątko, które mogło być obszernym fartuchem - ale nie było. Yarna wytrząsnęła z niego luźno tkany, lekko połyskujący materiał, który okazał się długą, obszerną szatą z dużym kapturem.

- To mój strój pustynny - powiedziała, pochwyciwszy pytające spojrzenie Doallyna. - Musimy jeszcze znaleźć coś dla ciebie.

Kiwnął głową i przytrzymał torbę, do której wrzuciła kilka starannie wybranych z półek pojemników z przetworami.

- Teraz woda - dodała, kiedy zamknął torbę i przewiesił ją przez ramię. Podchodząc do zlewu, wskazała kilka pustynnych bidonów. - Napełnij je, proszę - poleciła swojemu towarzyszowi.

Podczas kiedy Doallyn wlewał wodę do bidonów, Yarna napełniła duży pojemnik i wypila duszkiem jego zawartość. Po chwili powtórzyła te czynności.

Zdjęła teraz z głowy skomplikowaną ozdobę stanowiącą część stroju tancerki, rozpuściła włosy i przeczesła je palcami z westchnieniem ulgi. Nie zwracała uwagi, jak ciężki był ten czepiec, dopóki nie uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie musiała go nosić. Spryskała twarz wodą i odlepiła z policzków duże, brodawkowate „plastry upiększające”, które w swoim wypaczonym poczuciu piękna kazał jej nosić Jabba.

- Nie wiedziałem, że to tylko makijaż - powiedział Doallyn, gdy zobaczył jej czystą twarz.
- Jabba je lubił. Mówił, że przypominają mu matkę. Doallyn z niedowierzaniem pokręcił głową.
- To on miał w ogóle jakąś matkę? Yarna uśmiechnęła się.
- To samo sobie pomyślałam. Napełniła jeszcze raz butlę i powoli wylała jej chłodną zawartość na głowę i ciało pozwalając, by woda spływała strużkami po skórze.

Kiedy skończyła, zobaczyła, że Doallyn wpatruje się w nią uważnie. Odezwał się, a w jego mechanicznym głosie usłyszała zaskoczenie.

- Jesteś... jakaś większa - powiedział, lustrując ja od stóp do głów. - Twój a skóra... jest taka jędrna.

- Askaji to pustynna planeta - odpowiedziała Yarna rzeczowo na niewypowiedziane pytanie. - Nasze ciała doskonale absorbują i przechowują wodę.

Pokiwał głową.

- A mogłabyś żyć na niepustynnej planecie? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Po prostu kiedy nie musimy gromadzić wody w ciele, nie robimy tego.

- A jak byś wyglądała na takiej planecie? - zapytał z autentyczną ciekawością w głosie.

- Szczupłej - odparła zwięźle, strzepując swoją pustynną szatę. Naciągnęła ją przez głowę, a potem wzięła koce, stare kurtki i jeden z bidonów na wodę. Doallyn chwycił torbę z jedzeniem i pozostałe pojemniki z wodą.

Kiedy dotarli do hangaru parkingowego, przekonali się, że z wielkiej floty sprawnych śmigaczy i wahadłowców niewiele pozostało - jeden jedyny pojazd, który stał w sekcji naprawczej. Po mechanikach, których zadaniem było dbanie o stan grawifloty, nie został nawet ślad.

W oddali rozległ się kolejny płaczliwy wrzask, szybko przzerwany jak nożem uciął. Yarna i Doallyn spojrzeli na siebie.

- Umiesz to pilotować? - zapytała.

Przytaknął.

W parę chwil zapakowali swój dobytek na śmigacz. W jego schowku znaleźli kupon chroniącej przez słońcem tkaniny, z której zaimprovizowali burnus dla Doallyna. Resztę materiału schowali do bagażnika.

Na znak Doallyna Yarna wcisnęła się w fotel pasażerski. Było jej strasznie ciasno, ale jakoś dała radę. Strażnik otworzył zewnętrzne wrota hangaru; czując dojmujący nocny chłód, oboje szybko włożyli kurtki.

- Jedźmy już - tancerka niecierpliwie ponagliła Doallyna, który stał nieporuszony obok śmigacza.

- Powiniennem być wrócić do koszar - powiedział Doallyn, patrząc na wejście do pałacu.

- Po co?

- Mam tylko blaster i żadnych zapasowych ładunków. A tam czekają dzikie banthy i kraytońskie smoki. Przez Bezdroża Jundlandii do Mos Eisley daleka droga...

- Jak daleka?

- Dwa i pół tysiąca kilometrów... tyle, ile może przelecieć muszlonietoperz.

- Co?

- Latający jaszczur z mojej planety. Yarna poczuła, że ogarnia ją ciekawość.

- A co to za planeta?

- Geran, w systemie Mneon.

Yarna obejrzała się przez ramię na bramę pałacu.

- Naprawdę chcesz tam wrócić? Doallyn pokręcił głową.

- Nie. Chcę się stąd wydostać. Mam wrażenie... - rozejrzał się nerwowo, próbując przebić wzrokiem cienie. - Mam wrażenie, jakbym był stale obserwowany.

- Ja też - przyznała się Yarna. - Lepiej już jedźmy. Doallyn przytaknął i wgramolił się na siedzenie pilota.

- Mam tylko nadzieję, że naprawili go, zanim uciekli z warsztatów - powiedział, manipulując przrządami pokładowymi. - Nie jest to niestety model o dalekim zasięgu.

Śmigacz skoczył do przodu i otoczyła ich ciemność. Wystarczyły sekundy, by pałac Jabby został daleko z tyłu. Pojazd nabierał prędkości; sunęli teraz nad ziemią szybciej niż jakikolwiek ptak.

Zimny wiatr uderzył w Yarnę jak obuchem, ale w upajającej radości prawie tego nie zauważyła. W końcu była wolna! Już niedługo zobaczy swoje młode... przytuli ich drobne ciała, poczuje ciepły, niemowlęcy zapach. Już pewnie zaczynały chodzić... W oczach poczuła łzy, ale szybko otarła je ręką. Nie powinna tracić wilgoci... będzie jej potrzebować w czasie tej podróży.

Odchyliła głowę do góry i spojrzała na gwiazdy, które uciekały w tył niemal tak szybko, jakby skakali w nadprzestrzeń. Przy tej prędkości nawet śmigaczem o niewielkim zasięgu dotrą do Mos Eisley w ciągu kilku dni, licząc się z tym, że najgorszy skwar dnia będą musieli przeczekać.

Yarna okryła się ciasniej kurtką, rozmyślając o swoich dzieciach. Przypomniała sobie dzień, w którym się urodziły, i dumę Nautaga z tak pięknego miotu. Dzieci miały niecały rok, gdy pojawili się łowcy niewolników... więc nie nadano im jeszcze imion. Na Askaji młodym nadawano imiona dopiero po pierwszych urodzinach.

Obliczyła w myślach czas, który upłynął od czasu ich porwania, porównując długość trwania roku na Askaji i Tatooine. Jej dzieci długo już czekały na imiona... ale naprawi ten błąd, gdy znów będą razem. Powiew wiatru rozwał jej krótkie włosy, a ona po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jakie imiona nadać swoim młodym.

Chłopca nazwie Nautag... Tancerka poczuła ukłucie bólu, myśląc o drugim męskim potomku, którego wyrwał jej z rąk jeden z łowców niewolników i upuścił niedbale, rozbijając mu czaszkę. Yarna zmusiła się, żeby patrzeć przed siebie. Jak powinna nazwać swoje dwie córki?

W nagłym przypływie inspiracji pamięć podsunęła jej dwa imiona: Leia i Luke. Leia... Yarna niezbyt dobrze знаła Alderaaniankę, ale jeśli dziewczyna rzeczywiście zabiła Jabbę, Yarna miała wobec niej dług, którego nigdy nie zdoła spłacić. A ten młody Jedi, który zabił rankora, nazywał się Luke Skywalker. Oboje, tancerka i młody Jedi, pomścili śmierć Nautaga. Nazwanie ich imionami jego dzieci wydało się Yarnie ze wszech miar słuszne.

Odwróciła głowę, by spojrzeć na Doallyna pilotującego śmigacz. Strażnik stanowił dla niej tajemnicę... Ciekawe, jak wygląda pod tą maską? Czy przypomina człowieka? Jego dłonie w czarnych rękawicach miały tyle samo palców, co jej...

- Czy śmigacz dobrze działa? - zapytała; musiała podnieść głos, by przekrzyczeć gwizd wiatru.

Mechanicznie wspomagany głos Doallyna usłyszała bez trudu.

- Trochę ściąga na prawo. Sterownik równowagi nie działa. Muszę kierować ręcznie.

- Więc nie naprawili go?

- Wątpię.

- Czy zdołamy nim dotrzeć do Mos Eisley?

- Jeśli nic więcej nie nawali, to tak.

Yarna odmówiła w myślach litanię do Księżycowej Pani.

Byli w drodze wiele godzin; dopiero kiedy przelecieli nad grzbietem wyjątkowo wysokiej wydmy, Yarna mrużąc oczy ujrzała słabą zorzę na wschodzie. Niebo rozjaśniało się stopniowo, a na jego tle pojawił się zarys odległych wzgórz. Pustynia nadal była pogrążona w cieniu, ale tych odległych wzniesień nie sposób było pomylić z niczym innym. Yarna dotknęła ramienia Doallyna, by zwrócić jego uwagę, i zapytała:

- To Bezdroża Jundlandii? Przytaknął.

- Sam skraj. Znajdujemy się o zaledwie trzysta kilometrów od Skalnej Igły.

W ciągu kilku minut bliźniacze słońca Tatoonie wzniosły się ponad horyzont, a otaczające ich wydmy rozświetlił różowożłoty blask. Yarna nigdy wcześniej nie widziała Morza Wydm z pojazdu - do pałacu Jabby przywieziono ją wahadłowcem pozbawionym iluminatorów.

Promienie słońca oślepiły ją, chłód nocy szybko odszedł w niepamięć. Zbyt ciasno była wciśnięta w fotel, by móc zdjąć kurtkę, więc czekała po prostu, pocąc się i zastanawiając, czy Doallyn zamierza się zatrzymać, zanim dotrą do Bezdroży Jundlandii.

Po upływie kolejnej godziny, gdy słońca zaczęły przypiekać coraz bardziej, pilot zdławił przepustnicę. Pojazd zwolnił, zatrzymał się i zawisł nad stosunkowo równym fragmentem pustyni.

- Myślę, że powinniśmy schować się przed słońcem aż do wczesnego popołudnia - powiedział, rozpinając kurtkę i zdejmując ją. - Podróżowanie w południe nie jest zbyt bezpieczne.

- Zgadzam się - powiedziała Yarna. - Zwłaszcza dla ciebie. Nie jesteś przyzwyczajony do upałów. A jeśli dostaniesz udaru słonecznego, co się z nami stanie? Nie umiem pilotować śmigacza.

Kiwnął okrytą hełmem głową.

- W takim razie pomóż mi zbudować jakąś osłonę. Wykorzystali resztkę chroniącej przed słońcem tkaniny, by zrobić z niej daszek mocując materiał do unoszącego się ponad gruntem śmigacza. Wczołgali się do cienia i tam spoczęli, półleżąc. Oboje byli zbyt wysocy, by móc usiąść. Yarna podała Doallynowi bidon z wodą ale strażnik szarmancko zwrócił jej butlę.

- Pani pierwsza. Askajianka potrząsnęła głową.

- Nie. Piłam przed wyjazdem. Potrzebuję znacznie mniej płynów niż ty, by przeżyć. Wypij, ile możesz, sierżancie... nie żałuj sobie. Nie chcę, żebyś zachorował.

Zawahał się, ale skinął głową. Powoli i ostrożnie odpiął klamry hełmu i maski oddechowej i zdjął je. Yarna nie chciała otwarcie mu się przyglądać, ale była ogromnie ciekawa, jak też wygląda jej towarzysz. Udając, że rozpakowuje racje żywnościowe, zerknęła na niego z ukosa.

Na pierwszy rzut oka wydawał się takim samym człowiekiem jak, dajmy na to, Korelianie, ale jego skóra miała lekko błękitnawy odcień, a krótko ostrzyżone, gęste włosy były tak czarne, że niemal granatowe. W cieniu pod śmigaczem było zbyt ciemno, by mogła dostrzec, jakiego koloru ma oczy, ale wydawało jej się, że raczej jasne niż ciemne. Rysy miał regularne i dość atrakcyjne. Nie był tak przystojny, jak ten koreliański przemytnik Solo, ale przyjemnie było na niego popatrzeć, uznała Yarna, podając mu jedzenie.

Powoli, jakby z rozmysłem, odwrócił głowę w jej stronę; teraz mogła mu spojrzeć prosto w twarz.

Musiła bardzo się starać, by nie wzdrygnąć się na jego widok, nie udało jej się jednak powstrzymać przed zagryzieniem warg.

Widząc jej reakcję, Doallyn uśmiechnął się połową twarzy, jakby tego właśnie się spodziewał. Jego uśmiech bardziej przypominał bolesny grymas niż wyraz rozbawienia.

Na litościwą Panią Księżycą, pomyślała Yarna, co mu się stało?

Połowę twarzy Doallyna pokrywała straszna blizna. Unosiła w górę prawy kącik jego ust, dalej przecinając i zniekształcając prawy policzek. Cięcie o milimetry minęło lewe oko, kończąc się na linii włosów. Yarna zmusiła się, by odwrócić głowę i nie gapić się na niego. Zupełnie jakby potrafił czytać w jej myślach, Doallyn powiedział:

- To ślad po pazurach koreliańskiej pantery piaskowej. Są jadowite, więc rana zaropiała.

- Zaatakowała cię? - zapytała Yarna, starając się mówić normalnym, rzeczowym tonem. Instynktownie wiedziała, że odrzuciłby z pogardą wszelkie oznaki współczucia.

- Polowałem na nią i zraniłem ją. Wtedy mnie zaatakowała. - Doallyn odgryzł kawałek batonu odżywczego i zaczął przeżuwać go starannie.

- Masz szczęście, że cię nie zabiła - powiedziała po chwili.

- Byłem nieuważny - wyjaśnił. - Przez jedną chwilę byłem nieuważny. A myśliwy powinien zawsze uważać.

- Myślałam, że jesteś żołnierzem.

Pokręcił głową. Dziwnie było patrzeć na niego bez hełmu, choć wyraz twarzy miał niemal równie beznamiętny jak maska, która zakrywała jego rysy.

- Byłem myśliwym. Dlatego właśnie przyleciałem na Tatooine. Jabba ogłosił, że szuka myśliwego, który upolowałby dla niego kraytońskiego smoka.

- Kraytońskiego smoka? - Yarna spojrzała na niego z niedowierzaniem. Słyszała wcześniej o tych bestiach; ich młode były wielkości rankora, a z wiekiem jeszcze rosły. - Po co mu był kraytoński smok?

- Chciał wystawić go do walki z rankorem. Wstęp za biletami. Jabba uważał, że byłoby to wydarzenie sportowe stulecia. Zaoferował olbrzymią nagrodę za żywego smoka.

- A ty naprawdę myślałeś, że uda ci się go złapać?

- Poluję od bardzo dawna. Niewiele jest stworzeń, które potrafią wyprowadzić mnie w pole - powiedział ze spokojną pewnością w głosie, znacznie bardziej przekonującą niż najgłośniejsze przechwałki. - Przekopałem się przez wszystkie informacje na temat smoków kraytońskich, dostępne w bankach danych. Przybyłem tu dobrze przygotowany do polowania.

Yarna zaczęła żuć w zamyśleniu suszony owoc.

- Skoro przyleciałeś na Tatooine, żeby polować na smoka, to jakim cudem zostałeś strażnikiem w pałacu Jabby?

Po raz pierwszy na jego twarzy, widocznej w półcieniu zaimprovizowanej osłony, pojawiły się jakieś emocje. Wyglądał na rozgoryczonego i zakłopotanego; nie podniósł wzroku, wbitego w baton odżywczy.

- Kiedy tu przyleciałem, postanowiłem zakosztować... rozrywek Mos Eisley. Alkohole Chalmuna okazały się mocniejsze niż te, do których przywykłem. Nigdy nie byłem dobry w grach losowych, i... nie pamiętam dokładnie, jak to się stało, że przyłączyłem się do wysoko obstawiających graczy w dziką gwiazdę. Tak czy owak, obudziłem się następnego dnia z potwornym bólem głowy i okazało się, że jestem winien Jabbie rok służby.

- Więc nie udało ci się zapolować na smoka?

- To było jedno z zadań, które Jabba mi zlecał. Wysyłał mnie z wieloma ekspedycjami; polowałem od pierwszego dnia, kiedy zjawiłem się w pałacu, ale te smoki są bardzo rzadkie. Przez te wszystkie miesiące nie zobaczyłem ani jednego. Jabba... - pokręcił głową ze smutkiem - ...coraz

bardziej się niecierpliwił. Dobrze dla mnie, że nie żyje.

- A więc nawet jeśli złapałbyś smoka, nie dostałbyś za niego nagrody?

- Właśnie - powiedział. - Ale... nagroda to nie jedyny powód, dla którego poluje się na kraytońskie smoki. Nawet gdybym musiał go zabić, myślę, że i tak bym na tym zyskał.

- Jak to? - zapytała zciekawiona Yarna.

- Kraytońskie smoki mają podobno... bogate wnętrze - odparł wymijająco.

Yarna słyszała, jak łowcy nagród i najemnicy rozmawiali ze sobą na ten temat. Niektórzy utrzymywali, że kraytońskie smoki kryły w sobie skarb, inni - że tylko go pilnowały, jak smoki w bajkach. Większość ludzi zbywała jednak te pomysły lekceważeniem, uważając je za sensacyjne pogłoski albo wręcz bajki.

- Co mówił twój kontrakt z Jabbą? Jesteś teraz wolny? - zapytała.

- Tak, jestem wolny - zapewnił. - A ty?

- Ja też - odpowiedziała, zdziwiona głębokim zadowoleniem we własnym głosie. - A kiedy dotrę do Mos Eisley, moje dzieci też będą wolne.

- Czy masz... - przerwał, jakby szukał właściwego słowa...partnera?

- Miałam - odpowiedziała, otwierając bidon z wodą; naląła sobie trochę w zagłębienie dłoni i starannie rozsmarowała na twarzy. Dopiero wtedy przełknęła ślinę. - Jabba rzucił go na pożarcie rankorowi.

Podniósł hełm i nie patrząc na nią powiedział:

- Przykro mi, pani Gargan.

- Och, darujmy sobie te ceregiele - oświadczyła. - Mam na imię Yarna.

- Niech i tak będzie. Mówi mi Doallyn. - Spojrzał na bidon, który starannie zamknęła. - Dlaczego nie pijesz? Mamy dość wody.

- Nie potrzebuję więcej - wyjaśniła zgodnie z prawdą. - Mój lud to pustynni pasterze; żyjemy na planecie równie gorącej jak ta.

- A jakie zwierzęta wypasacie?

- Tomuony. Duże, rogate, o gęstej wełnie. - Poruszyła rękami tanecznym gestem, kreśląc w powietrzu zarys zwierzęcia. - Dają nam mleko, mięso i wełnę. Ta tkanina - uniosła fałdę swojej pustynnej szaty - została utkana z ich sierści.

Dotknął materiału i aż wykrzyknął z wrażenia, zachwycony miękkością cienkiej przędzy.

- Aż świeci - powiedział.

- Tak, nasze tkaniny są cenione bardzo wysoko. Podobno ceremonialne szaty Imperatora są utkane z wełny tomuonów. - Skręciła mocno szatę, a potem puściła; materiał bez jednego zagniecenia spłynął jej na kolana. - Nasza wełna jest mocna, nie gniece się ani nie plami. Askajiańskie techniki tkackie są trzymane w najściślejszej tajemnicy. Nautag... mój partner... był jednym z najzdolniejszych tkaczy na świecie.

- A ty? - zapytał, wybierając nowy nabój hydronu-3, który wsunął w odpowiednie miejsce maski oddechowej. - Byłaś tancerką, jeszcze zanim trafiłaś do pałacu Jabby?

- Tak - powiedziała. - Mój ojciec był wodzem naszego plemienia, a ja tańczyłam ku chwale naszego szczepu w najważniejszym konkursie - wyjaśniła z dumą, jednak na wspomnienie ostatniego roku w pałacu Jabby westchnęła głęboko. - Wygrałam ten konkurs. I wtedy... zjawili się łowcy niewolników. Zabrali nas... Nautaga, mnie, nasze młode. Jedno z naszych dzieci zabili w czasie napadu. - Przerwała, bo ścisnęło ją w gardle.

- I zabrali cię na Tatooine? - zapytał Doallyn z niezwykłą delikatnością. Przytaknęła.

- Jabba zamówił u nich askajiańską tancerkę. Więc porwali mnie... i musiałam tańczyć dla Hutta. Jabba obiecał mi, że nie sprzeda moich dzieci, dopóki będę dobrze tańczyć. Ale wiesz, że Jego Ospalności nie można było ufać... Cały czas bałam się, że na razie pozwoli mi tańczyć i w ten sposób zarabiać pieniądze, za które będę mogła kupić wolność, a potem po prostu mnie zabije, bo uzna to za zabawne. A moje dzieci zatrzyma w niewoli.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Niełatwo ci było pewnie tańczyć dla Jabby po tym wszystkim, co się stało.

- Niełatwo - przyznała. - Ale wiesz, Doallyn, co było w tym najtrudniejsze? - Nieświadomie wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia, cofnęła ją jednak pospiesznie i schowała pod fałdą sukni, gdy się zorientowała, co robi.

- Co?

- Oni... śmiali się ze mnie. Wszyscy. Mówili, że jestem... - ułożyła usta do słowa „brzydka”; wdychane powietrze paliło ją w piersiach. - ...że jestem wulgarna, że jestem śmieszna, że jestem... tłusta. Nawet Jabba się śmiał. Ale nie dlatego że uważał, iż jestem brzydka. Śmiał się, bo wiedział, jak bolą mnie ich słowa. On... lubił patrzeć na czyjś ból. Sam wiesz.

- Sam wiem - skinął głową.

- Bolało mnie to - dodała. - Nauczyłam się tego nie okazywać, zatraciłam się w tańcu i nie pozwalałam sobie na wsłuchiwanie się w ich śmiech. Ale to bolało. - Spojrzała na niego wyzywająco. - Jestem taka, jaką mnie stworzono! Taka miałam być! Dlaczego istoty rozumne muszą zawsze osądzać innych? Dlaczego muszą gapić się, szydzić i mówić rzeczy, które ranią?

Podniósł rękę i dotknął swojej blizny.

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć, Yarna - powiedział z powagą - ale doskonale rozumiem twoje rozterki.

Promień zachodzącego słońca padł na powieki Doallyna, budząc go z głębokiego snu. Zamrugał i usiadł, podpierając się rękami. Jego towarzyszka nadal spała, oddychając głęboko. Na widok zarysu pulchnego ciała pod białą tkaniną szaty poczuł cień męskiego zainteresowania. Od jak dawna nie był z samicą... jakiegokolwiek gatunku?

Prawie rok, uświadomił sobie. Nieczęsto folgował pożądaniu, wdając się w przelotne związki. Większość czasu spędzał przecież sam, w dzikiej głuszy. Zresztą kobiety i samice na dworze Jabby na pewno odstraszałyby widok jego blizny. Od kiedy ją miał, widział dość kobiet, które odwracały się od niego na jej widok, więc unikał zdejmowania maski, jeśli tylko było to możliwe. Czasem wynajmował sobie kobietę, ale przekonał się, że to nie rozwiązywało sprawy. Łatwiej było zachować abstynencję, niż widzieć odrazę - albo co gorsza obojętność - w oczach partnerki.

Tymczasowe, wyprane z uczuć związki były gorsze niż samotność, uznał po pewnym czasie. Niekiedy żałował, że nie ma przyjaciół, kogoś, z kim mógłby porozmawiać, ale nawyk milczenia trudno było wypełnić. Od czasu ucieczki rozmawiał z Yarną więcej niż z kimkolwiek przez cały ostatni rok.

Oczywiście nie sposób uniknąć rozmowy z nią, ale ich kontakt ma charakter tymczasowy, upomniał się w duchu myśliwy. Nie będzie żałować, gdy znów powróci do samotniczego trybu życia.

Wyczołgawszy się spod parawanu, odruchowo sprawdził ilość hydronu-3, która została jeszcze w naboju. Zużył mniej niż jedną trzecią. Do północy nie potrzebował nowego.

Obszedł wydmy, by opróżnić pęcherz, a potem spędził parę minut przy nawikomputerze,

sprawdzając kurs. Właśnie skończył, gdy usłyszał szelest, a kiedy podniósł głowę, zobaczył Yarnę, która szła w jego stronę. Zaczął rozmyślać o historii, którą mu opowiedziała. Znajac kapryśne usposobienie Jabby, dziwił się, że Yarnie udało się przeżyć niemal cały rok w roli jego nadwornej tancerki.

Kiedy szła w jego stronę, chłodny wiatr wydał jej szatę, która po chwili opadła ukazując zarys sylwetki. Doallyn popatrzył zaskoczony - Askajianka była wyraźnie chudsza. Przypomnił sobie jej zwięzłą odpowiedź, że na bardziej wilgotnej planecie byłaby „szczuplejsza”. Jej ciało chłonęło widać wodę jak gąbka, a potem zużywało ją w miarę potrzeb, więc Yarna rzeczywiście mogła pewnie długo wytrzymać bez wody.

- Czy dotrzemy dziś do Mos Eisley? - zapytała stając obok niego. Doallyn pokręcił głową.

- Nie, w każdym razie nie dziś wieczorem. - Pokazał jej kurs wykreślony na ekranie komputera nawigacyjnego. - Kiedy dotrzemy na Bezdroża będziemy musieli zwolnić ze względu na grzbiety i szczeliny w skałach. Jeśli uda się nam dziś dotrzeć kawałek na północ od Skalnej Igły i odpocząć parę godzin, uznam, że poszło nam nieźle.

- A stamtąd jak to daleko?

- Zaledwie jakieś pięćset kilometrów. Jeśli wyruszymy o świcie, zajedziemy koło południa.

Uśmiech rozjaśnił jej grube rysy niczym tatooiński świt.

- Czyli już jutro zobaczę moje dzieci?

- Przy odrobinie szczęścia - powiedział z uśmiechem, którego pod maską i tak nie mogła zobaczyć.

- Doallyn... - wpatrywała się w niego z niezwykłą powagą. Zdziwił się, gdy zauważył, jak piękne ma oczy, przejrzyste i zielone. - Dziękuję, że pojechałeś ze mną. Że pilotujesz śmigacz. Sama chyba nie dałabym rady.

- To jak chciałaś pokonać Morze Wydm? - zapytał. Zastanawiał się nad tym od wczoraj.

- Na piechotę - odparła rzeczowo. - Jestem silna i wytrzymała. Ale... - rozejrzała się dookoła, na niekończące się wydmy, i zmarszczyła brwi - ...ten teren jest... bardzo trudny. Trudno byłoby mi zabrać dość prowiantu, a marsz trwałby wiele, wiele dni. Niewykluczone że nie zdołałabym tego dokonać.

Zabiliby cię Pustynni Ludzie, pomyślał Doallyn, jeśli nie załatwiłyby tego słońca... Tak czy owak, odwaga Yarny zrobiła na nim wrażenie.

Kiedy ponownie załadowali śmigacz, wsiedli do pojazdu i ruszyli ponad piaskami. Słońca wisiały nisko nad zachodnim horyzontem i zrobiło się chłodno. Doallyn pewnie prowadził śmigacz, ale niepokoiło go, że problemy z układem sterowania równowagą powoli się nasilały. Co będzie, jeśli śmigacz zupełnie odmówi posłuszeństwa? Utkną tu, w środku Morza Wydm... ale rzut oka na komputer nawigacyjny podniósł go nieco na duchu. Morze Wydm zostawili już w tyle; sunęli nad poszarpanymi grzbietami i rozpadlinami Bezdroży Jundlandii.

Doallyn musiał zmniejszyć prędkość i całą uwagę skoncentrować na pilotażu. Sterowanie było coraz trudniejsze; niebawem mięśnie i ścięgna lewej ręki zaczęły protestować. Z prawdziwą ulgą myśliwy zauważył, że zbliżają się do miejsca, którego współrzędne wcześniej wybrał. Zaczął szukać odpowiedniego miejsca na odpoczynek przez ostatnich kilka godzin nocy...

Yarna obudziła się o świcie, przytulona do pleców Doallyna, do których pewnie instynktownie przywarła w nocy w poszukiwaniu ciepła. Szybko odsunęła się od niego i usiadła. Przecierając oczy, rozglądała się dookoła po pępym pustkowiu Bezdroży Jundlandii. Skały... wszędzie skały.

Powykręcane, wyrzeźbione przez wiatr skały w różnych odcieniach brązu. Ugry, ochry, rdzawe brązy, różowawe brązy, brunatne, szarobure... a między nimi żalosne plamy wątlej, zszarzałej roślinności.

I piasek. Piasek tak biały, tak czysty, że raził oczy. Wydawał się niewinny i bezpieczny, ale wiedziała, że Bezdroża Jundlandii pocięte są zdradliwymi rozpadlinami pełnymi ruchomych piasków, które mogły pochłonąć nieostrożnego wędrowca. Yarna znalazła więc sobie długi kij, którym starannie badała grunt przed sobą.

Odwróciła się na południe i zobaczyła wąską iglicę, która musiała być ową Skalna Igłą, najwyższym punktem Bezdroży Jundlandii. W przejrzystym powietrzu świtu widziała ją bardzo wyraźnie, mimo oddalenia.

Wyjęła zapasy, starannie podzieliła racje żywnościowe na pół, a potem pozwoliła sobie na kilka łyków wody. Przesunęła dłońmi po ciele i zorientowała się, że od opuszczenia pałacu Jabby straciła niemal jedną trzecią wagi. Jabba lubił, gdy była maksymalnie nasiąknięta; utrzymywał, że wtedy jej ciało najpiękniej podryguje, ale przy takich rozmiarach trudno jej było się poruszać. Cieszyła się, że udało jej się zrzucić wagę.

Kiedy Doallyn się obudził, szybko zapakowali śmigacz i skierowali się na wschód, w stronę Mos Eisley. Yarna odchyliła się w fotelu, zadowolona, że może się teraz poruszać i przeciągać ze znacznie większą swobodą. Zdawała sobie sprawę, że Doallynowi z coraz większym trudem przychodzi sterowanie śmigaczem.

- Damy radę dolecieć na miejsce? - zapytała z niepokojem. Kiwnął głową.

- Tyle tylko, że łapią mnie skurcze od mocowania się z kierownicą.

- Szkoda, że ja nie umiem pilotować. Podnieceni tym, że już niedługo dotrą do celu, pograżyli się w rozmowie. Doallyn opisał Yarnie poszukiwania kraytońskich smoków zamieszkujących Bezdroża Jundlandii. Opowiedział też o zdumiewająco bogatym życiu na tym dzikim pustkowiu, które było w stanie wyżywić całe plemiona Pustynnych Ludzi, mimo braku wód gruntowych i nielicznych - bo rozkradzionych - osadników wilgoci i kolektorów rosy.

- W takim razie jak udaje się im żyć? - zapytała Yarna.

- Dzięki tykwom hubowym - wyjaśnił i opowiedział jej o tych okrągłych, żółtawych owocach rosnących w cieniu klifów. Owoce gromadziły sok w twardych, wewnętrznych włóknach - sok, który można było wyssać lub wycisnąć i dzięki temu przeżyć.

Opisał jej potworne obyczaje Pustynnych Ludzi, ich skłonność do zabijania choćby dla tych paru szmat, które ich ofiara miała na sobie.

- Ten teren jest dostatecznie niebezpieczny - dodał Doallyn - z powodu dzikich banthów, jadowitych jaszczurek i rozpadlin wypełnionych ruchomym piaskiem... ale najgorsi są Pustynni Ludzie.

Yarna zadrżała, mimo upału.

- Jak daleko jeszcze? - zapytała, zerkając na nawikomputer.

- Minęliśmy Moteste prawie godzinę temu. - Doallyn wskazał na pomarańczową plamkę na ekranie. - Jesteśmy o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od przedmieść Mos Eisley. Będziemy tam... - przerwał nagle, gdy do ich uszu dobiegł dziwny dźwięk, ni to zduszony syk, ni to pisk, a śmigacz podskoczył gwałtownie.

Yarna patrzyła na Doallyna - nie orientowała się, co się stało. Po prostu w jednej chwili mknęli śmigaczem, a zaraz potem coś uderzyło w ich pojazd tak mocno, że zawirował w powietrzu jak

dziecinny bączek. Yarna krzyknęła, czując jak siła odśrodkowa wciskają w siedzenie niczym olbrzymia łapa. Wtem dziób śmigacza uderzył o skałę, wyrzucając Doallyna w powietrze.

Yarna znów krzyknęła, kątem oka dostrzegając olbrzymi kształt, który wyrastał nad nimi jak żywa, pokryta łuską góra. Uświadomiła sobie, że dźwięk, który słyszy, to głośny syk, jakby wszystkie czajniki świata nagle zaczęły wrzeć. Ogon śmigacza opadł w dół pod wpływem kolejnego silnego uderzenia, które i ją wyrzuciło w powietrze. Wylądowała częściowo na skale, częściowo na piasku, i natychmiast poczuła, że piasek ustępuje, ciągnąc jej nogę w dół.

Ruchome piaski! - pomyślała i rozpaczliwie chwyciła się skały, podciągając się z całej siły i uwalniając ze zdradzieckich piasków. Obejrzała się i zobaczyła ciemny kształt, do połowy zagrzebany w piasku i znikający pod jego powierzchnią w oszalamiającym tempie. O nie! - pomyślała. Nasz śmigacz!

Patrzyła, jak ich jedyny środek transportu pogrąża się, wsysany przez ruchome piaski, by po chwili całkowicie w nich zatonać. Jej uwagę przykuł ryk, tak głośny, że ziemia zadrżała. Rozejrzała się dookoła.

Co to było, co nas uderzyło? - zastanowiła się. Była zamroczona, zdezorientowana i nie miała pojęcia, gdzie jest Doallyn. Szła ostrożnie, starannie omijając piaski; okrążyła skalny grzbiet, który ja uratował, i w końcu ujrzała...

Widok był tak przerażający, że od razu zmiękły jej kolana; musiała chwycić się skały, by nie upaść. Bestia wypełniała sobą całe koryto wyschłej rzeki, w której „wylądowali”; była olbrzymia, znacznie większa niż rankor. Kraytoński smok - to nie mogło być nic innego.

Był żółtawobrazowy, niemal złoty w promieniach słońca, padającego na jego łuski. Miał trzy wielkie rogi - po jednym nad każdym okiem i jeden pośrodku czoła. Nozdrza jak szparki drgały nad paszczą pełną kłów niemal tak długich jak ręka Yarna. Wzdłuż kręgosłupa, od szyi po zakończony ostrą płetwą koniec ogona, biegł rząd kostnych wyrostków. Smok miał zielonożółte oczy o poziomych szparkach źrenic, które lśniły niczym szmaragdy.

Yarna zeszywniała, gdy olbrzymia głowa, wielokrotnie większa niż jej własna, obróciła się w jej stronę. I wtedy usłyszała głos Doallyna:

- Nie ruszaj się! One polują, orientując się na ruch!

I tak nie była w stanie nic zrobić. Czują się, jakby jej stopy zapuściły korzenie, jakby wrosła w skałę, na której stała. Spojrzała w bok i zobaczyła w końcu Doallyna. Myśliwy przykucnął pod niskim nawisem skalnym za plecami smoka i powoli szedł w jego stronę. W ręku trzymał blaster.

Co on robi? - chciała krzyknąć, ale strach sparaliżował jej struny głosowe. Chyba nie zamierza walczyć z tym potworem? Pomyśl, że człowiek, choćby i uzbrojony w blaster, miałby zaatakować tę olbrzymią górę złośliwego mięsa, był po prostu śmieszny.

Najwyraźniej jednak Doallyn miał dokładnie taki zamiar. Kraytoński smok zaczął węszyć, uderzając na boki ogonem. Powoli obracał głowę to w jedną stronę, to w drugą, opuściwszy rogi, jakby to nimi właśnie chciał wyczuć ruch.

Doallyn był już blisko, przykucnięty zaledwie o kilkanaście metrów od smoka. Sprawdzał, czy blaster jest naładowany.

Nie! - chciała krzyknąć Yarna. Uciekajmy w górę, na klify, tam za nami nie pójdzie! Doallyn, nie! Nie mogła jednak wykrztusić ani słowa, zmartwiała ze strachu.

Wijąc się jak wąż, Doallyn zerwał się na nogi, przeskoczył ponad niską skałą i pobiegł w stronę smoka.

Jego ruch wyrwał Yarnę z otępienia.

- Nie! - krzyknęła. Smok odwrócił wielki łeb w stronę myśliwego i rozwarł szczęki tak szeroko, że mógłby połknąć śmigacz w dwóch kęsach. - Nie, nie rób tego! - zawołała Yarna, skacząc do przodu. Wybiegła zza skały, chwyciła z wyschniętego dna rzeki spory kamień i cisnęła nim w stronę smoka.

Smok natychmiast odwrócił rogaty łeb w jej stronę. Yarna zawróciła i rzuciła się do ucieczki. Korzystając z faktu, że Yarna odwróciła uwagę smoka, Doallyn pokonał dystans dzielący go od potwora w dwóch skokach. Podskoczył, chwycił się prawego rogu i zawisł na nim, a smok z przyprawiającą o mdłości szybkością poderwał łeb do góry. Ryknął, a w zamkniętej przestrzeni wąwozu jego ryk był wprost ogłuszający.

Doallyn przywarł do rogu jak owad, by zaraz przerzutem ciała przeskoczyć na środkowy. Smok zarzucił głową szerokim łukiem w kierunku klifu, z wyraźnym zamiarem roztrzaskania irytującej istoty o skalną powierzchnię. Zanim jednak jego łeb zatoczył pełny łuk, Yarna usłyszała wizg i zobaczyła błysk blastera Doallyna. Strzelił bestii prosto między oczy, tuż pod środkowym rogiem.

Smok wypuścił z płuc powietrze z siłą niewielkiej eksplozji. Skamieniała ze strachu Yarna patrzyła, jak nogi potwora rozjeżdżają się na boki, jakby były pozbawione kości, a łeb opada jak kamienny głaz, by roztrzaskać się o skaliste dno wąwozu. Doallyn puścił róg i teraz leżał nieruchomo w pobliżu.

Zabił smoka, pomyślała Yarna; jej otępiały mózg z trudem formułował myśli. Na Księżycową Panią! Zabił go!

Ale czy Doallyn zdołał przeżyć swoje zwycięstwo?

Tłumiąc pełen niepokoju jęk, Yarna podbiegła do rozciągniętego na ziemi ciała mężczyzny. Przykucnęła obok, powtarzając jego imię, aż w końcu, po chwili, która wydawała się jej wiecznością, sierżant poruszył się. Zakasłał, a potem jęknął.

- Doallyn, jesteś ranny?

Maska oddechowa tłumiła jego głos.

- Nie mogę... oddychać... - z wysiłkiem zaczął się podnosić. Widząc, że jest w stanie się poruszać, choć ledwo, ledwo, Yarna pomogła mu usiąść. Przez chwilę z trudem łapał powietrze, po czym odezwał się normalnym głosem:

- Jest martwy?

- Równie martwy jak Jabba - powiedziała uroczyście Yarna. - Nie mogę uwierzyć, że zabiłeś go jednym strzałem!

- To wrażliwe miejsce... przez zatoki prosto do mózgu... dobrze, że przestudiowałem ich anatomię.

Doallyn delikatnie odsunął podtrzymującą go rękę Yarny, podniósł się i stanął, przyglądając się swojemu trofeum. Yarna zauważyła, że prostuje ramiona i przybiera postawę wyrażającą triumf zwycięzcy.

- Muszę zabrać jakąś jego część na pamiątkę - mruknął do siebie. - Inaczej nikt mi nie uwierzy.

- Jesteś najlepszym myśliwym w całej galaktyce - powiedziała Yarna z niezachwianym przekonaniem w głosie. - Nie sądzę, by ktokolwiek inny zdołał zabić tę bestię.

Doallyn odwrócił głowę w jej stronę i uklonił się lekko. Choć nie widziała jego twarzy, wiedziała, że uśmiecha się szeroko.

- Nie zdołałbym tego dokonać, gdyby nie ty, Yarno. Gdybyś nie odwróciła jego uwagi w

odpowiedniej chwili, to ja leżałbym teraz martwy!

Askajianka roześmiała się głośno, zachwycona, że i na nią spłynęła część glorii. Po chwili jednak, gdy wstawiała, nagłe przypomnienie przywróciło ją boleśnie do rzeczywistości.

- Doallyn, ale nasz śmigacz... i wszystkie zapasy... straciliśmy je. Utonęły w rozpadlinie z ruchomym piaskiem.

- Będziemy musieli pójść pieszo - powiedział Doallyn. - Znajdziemy jakieś tykwy hubowe. Przez kilka dni utrzymają nas przy życiu.

- A co z twoimi nabojami oddechowymi? - zapytała cicho. Znieruchomiał, patrząc na nią skamieniały, jakby nagle zamieniła się w smoka.

- Włożyłem kilka do kieszeni - powiedział z namysłem, szukając ich ręką. Po chwili wyciągnął trzy naboje. - Niedobrze - oznajmił.

- Wystarczy do Mos Eisley? Tam kupimy następne, prawda?

- Tak, mają większość sprzedawców skafandrów kosmicznych i sprzętu do oddychania - powiedział powoli. - A jeśli chodzi o to, czy to wystarczy... Powinno. Jeśli się pospieszymy.

Yarna pociągnęła go za rękaw.

- W takim razie chodźmy od razu.

- Za chwilę - rzucił. - Mam tu jeszcze coś do zrobienia. Yarna uświadomiła sobie, że Doallyn chce odejść na stronę. Zdała sobie sprawę że powinna zrobić to samo.

- Którędy będziemy szli?

- Prosto na wschód. - Wskazał kierunek ręką.

- W takim razie spotkajmy się tutaj za kilka minut. Kiwnął głową, odwrócił się i zaczął oddalać.

Askajiańska tancerka skierowała się w przeciwną stronę, mijając paszczę kraytońskiego smoka. Martwy wydawał się tylko odrobinę mniej przerażający niż za życia. To jest gad, zdecydowała Yarna, przypominając sobie podobne stworzenia (choć wielokrotnie mniejszych rozmiarów), które знаła na Askaji. Tak naprawdę umierały dopiero wtedy, gdy zaszło słońce...

Gdy tylko Yarna odeszła na tyle, że nie było jej widać, Doallyn podbiegł najszybciej jak mógł do tylnej części ciała smoka. Obrazy jego anatomii przelatywały mu przez głowę, gdy zmieniał ustawienia blastera w taki sposób, by zamiast strzelać emitował wąski, tnący promień energii. To była krwawa, cuchnąca robota, żeby dostać się do wnętrza kraytońskiego smoka, w końcu jednak, na przemian rozcinając lub odparowując łuski i mięso, dotarł do jelit zwierzęcia. Ostatnia komora żołądka, pomyślał, patrząc na krwawą miazgę organów wewnętrznych, które wypłynęły aż na ziemię. Gdzie to może być?

- Tutaj - mruknął cicho. Wyciągnął z buta wibroostrze i wykonał kilka ostatnich cięć. Pierwszy pęcherz, który rozciął, był jedną ze środkowych komór. Kamienie, które z niej wyciągnął, były większe niż jego pięść - kawałki granitu i piaskowca, ledwie trochę wygładzone.

Kierując się położeniem tej komory, myśliwy zdołał zlokalizować organ, którego szukał - ostatnia komora rozbudowanego układu żołądków kraytońskiego smoka. Potwór miał wprawdzie zęby, ale służyły one jedynie do zabijania i rozdzierania na strzępy upolowanych przez niego ofiar. Nie miał jednak zębów trzonowych. Do rozdrabniania pokarmu służył mu, podobnie jak ptakom, układ kilku kolejnych żołądków. Pokarm przesuwiał się przez żołądki, stopniowo rozdrabniany przez coraz mniejsze kamienie, które miały go, aż dotarł do jelit.

Doallyn wziął głęboki oddech, szybko odmówił litanie do Niebiańskich Serafinów i rozciął ostatnią komorę. Sięgnął do środka, pomacał we wnętrzu i wyciągnął pięć idealnie okrągłych kul.

Każda była nie większa niż paznokiec na jego kciuku. Kiedy stał z nich krew i śluz, zaślniły w słońcu jak klejnoty - którymi rzeczywiście były.

Smocze perły.

Skończenie piękne. Dwie jasnozielone, barwy oczu Yarny. Jedna niebieska jak niebo tuż po zachodzie słońca. Czwarta, biała, lśniła tęczowym blaskiem, a piąta okazała się czarna jak głębia międzygwiazdnej przestrzeni. Wpatrując się w nią, zachwycony jej idealnym pięknem, miał wrażenie, jakby mógł zajrzeć w głąb kamienia, jakby czarny klejnot uwięził w swoim wnętrzu światło.

Doallyn miał ochotę krzyknąć, tańczyć, śpiewać... przypomniał sobie jednak, że z każdym oddechem zużywa cenny zapas hydronu-3. Pospiesznie ukrył perły w wewnętrznej, zapinanej kieszonce tuniki. Rozglądając się dookoła, zorientował się, że cały jest pokryty krwią smoka. Musi wymyślić jakieś przekonujące wytłumaczenie, bo Yarna na pewno zacznie zadawać pytania...

Podszedł więc do ogona kraytońskiego potwora, żeby odciąć na pamiątkę jego kolczasty koniec. Miał nadzieję, że to wystarczy, by wytłumaczyć plamy na rękach i ubraniu. Jeśli postara się, by Yarna nie zobaczyła smoka z drugiej strony, kobieta nigdy się nie dowie, co naprawdę tu robił.

Uklęknął przy ogonie smoka i zaczął odpiłowywać jego czubek. Zamierza oczywiście podzielić się swoim skarbem z Yarną, powtarzał sobie w duchu. W końcu to dzięki jej pomocy udało mu się zabić smoka. Zatrzymam na razie perły, pomyślał, i zrobię jej niespodziankę, pokazując je, kiedy dotrzemy do Mos Eisley. Czuł się jednak nieswojo, wiedząc, że nawet jeśli nie okłamuje sam siebie, to bardzo mu do tego blisko. W końcu mamy do przejścia kawał drogi, przekonywał się w duchu. Nie mamy teraz czasu na...

Bez ostrzeżenia ogon smoka wyrwał mu się z rąk i zaczął walić na boki. Koniec ogona trafił myśliwego w okrytą hełmem skroń, w jednej chwili pozbawiając go przytomności i wtrącając w nieprzeniknioną ciemność...

Yarna znalazła go kilka minut później, w miejscu, na które cisnęły go ostatnie, spazmatyczne ruchy smoczego ogona. Przez chwilę patrzyła przerażona, ale gdy położyła dłoń na jego piersi, poczuła, że unosi się i opada. A więc nadal oddychał. Pomóż mi, Księżycowa Pani! Co mam teraz zrobić? - pomyślała z rozpaczą, rozglądając się po posępnym otoczeniu.

I to wszystko dlatego że musiał mieć coś na pamiątkę. Mężczyźni! - wściekła się. Mężczyźni zawsze musieli mieć coś, czym mogliby się przechwalać. Przez chwilę była taka zła, że miała ochotę kopnąć nieprzytomnego myśliwego.

Gniew był dobry, odkryła po chwili. Dodawał jej sił. Yarna stała przez chwilę, czując, jak gniew rozplywa się po jej żyłach jak potężny narkotyk, a potem powoli, ostrożnie pochyliła się i uniosła ramię Doallyna. Wsunęła mu się pod pachę i powoli wyprostowała, zarzucając sobie jego ciało na plecy niczym owieczkę tomuona. Swego czasu wiele takich nosiła dokładnie w ten sam sposób.

Człap, człap... człap, człap... Dźwięk skórzanych sandałów uderzających o twarde podłoże był jedynym dźwiękiem we wszechświecie. Yarna liczyła w myśli kroki, wiedząc, że nie może sobie pozwolić na powolny chód, choć każdy jej mięsień wołał, by zrzuciła ciężar i odpoczęła.

Od jak dawna szła? Jej świat zawęził się tak bardzo, że nie była już pewna. Przez głowę przebiegały jej strzępki myśli i obrazów. Żółte kule w zagłębieniach skalnych... tykwy hubowe. Rozbiła kilka, wlewając sok Doallynowi w usta i masując mu gardło, aż przełknął. Potem sama pociągnęła kilka łyków kwaśnego, ale cudownie mokrego płynu. Ile razy poila już Doallyna? Dwa, trzy? Nie była pewna, tak jak nie była pewna, ile razy potykała się na tej drodze, prowadzącej we

właściwym kierunku. Wydawało jej się, że znalazła ją wczoraj, ale czas... czas był sprawą niepewną, śliską i płynną jak sok tykw hubowych. Nie była już pewna niczego...

... z wyjątkiem tego, że Doallyn nadal oddychał. Jej słuch był wyczulony na ten dźwięk - świszający i bolesny. Co kilka godzin sprawdzała jego naboje oddechowe. Zużył już ten, który miał w masce, i dwa dodatkowe schowane w kieszeni munduru.

Ostatni wsunęła na miejsce parę godzin temu.

Jak długo mógł żyć bez hydronu-3? Yarna nie miała pojęcia. Mogła tylko iść... człap, człap, człap... tak szybko, jak pozwalały jej słabnące siły i otępiały mózg.

Wczorajszej nocy ocknęła się w pewnej chwili i zorientowała, że siedzi z ciałem Doallyna na kolanach. Musiała zasnąć idąc i osunąć się na ziemię nieświadoma tego, co robi.

Jak długo spała? Nie miała pojęcia... ale myśl, że czas, który poświęciła na sen, mógł stanowić o życiu lub śmierci mężczyzny, którego dźwigała, prześladowała ją, mimo coraz większego otępienia spowodowanego wyczerpaniem.

Człap, człap... człap, człap...

Doallyn oddychał teraz szybciej, jakby z trudem łapał oddech. Yarna położyła go na drodze i spojrzała na licznik umieszczony z boku jego hełmu. Wskazówka oscylowała na granicy strefy „puste”.

Rytm jego oddechu zmienił się, stał się bardziej wyraźny. Doallyn próbował coś powiedzieć. Yarna pochyliła się nad nim niżej.

- Przepraszam... - mówił. - Ratuj siebie... zostaw mnie...

- Nie zrobię tego, póki żyję - powiedziała zdecydowanie. - Nic nie mów... oszczędzaj oddech. To na pewno już niedaleko...

Chwycił ją za przód pustynnej szaty, mamrocąc coś pospiesznie. Jakieś głupstwa na temat skarbu. Yarna zignorowała go. Potrzebowała całej swojej siły, całego skupienia, by ponownie zarzucić sobie jego ciało na ramiona.

Człap, człap... człap, człap...

Szła przed siebie, zmuszając się, by nie zwalniać kroku; wiedziała doskonale, że każda sekunda może zadecydować o życiu lub śmierci Doallyna. Z pochyloną głową, skupiona na ruchu, szła już od jakiegoś czasu ulicą Mos Eisley, zanim zorientowała się, że w końcu dotarła do miasta.

Uniosła głowę dopiero wtedy, gdy usłyszała krzyk sprzedawcy wody.

Udało się! - pomyślała. Teraz musi tylko znaleźć sprzedawcę sprzętu oddechowego.

Potykając się, zmusiła nogi do żalosnej parodii truchtu. Czy Doallyn jeszcze oddychał? Nie była pewna... nie słyszała go już. Może to z powodu szumu własnej krwi w uszach, gdy próbowała biec?

Prosto, w szerszą ulicę. Sprzedawcy przy stoiskach i wózkach, zachwalający swoje towary. Zasnute pustynną mgłą oczy Yarny skupiły się na jednym z nich - Ortolaninie, jak Max Rebo. Biedny, mały Max... był chyba na barce żaglowej, pomyślała Yarna, biegnąc w stronę Ortolanina.

Dotarłszy do stoiska, bezceremonialnie zrzuciła Doallyna na pokrytą pyłem ziemię i ochryplym głosem wykrztusiła:

- Poproszę o nabój z hydronem-3! Ortolanin zwrócił w jej stronę swoją trąbę.

- Oczywiście, szanowna pani. Muszę jednak z ogromną przykrością poinformować panią, że hydron-3 jest obecnie dość drogi. Ostatnia wysyłka dotarła do nas... no, bardzo dawno.

- Mniejsza o to - warknęła Yarna, wyszarpując spod szaty swoją bezcenną sakiewkę, którą wyniosła z pałacu Jabby tak dawno temu... czy to możliwe, że minęły zaledwie cztery dni?

Wydawało jej się, że od tego czasu upłynęła co najmniej połowa wieczności. - Mam czym zapłacić. Poproszę o zapas na pięć dni.

- Oczywiście, szanowna pani - powiedział Ortolanin. - Mogę wiedzieć, jaką walutą zamierza pani zapłacić?

Ręce Yarny trzęsły się, gdy wysuwała dwa kamienie półszlachetne i skradzione dyski kredytowe - tylko tyle mogła wydać.

- Proszę.

Ortolanin potrząsnął smutno głową, patrząc na nią wielkimi, smutnymi oczami.

- Ogromnie mi przykro, proszę pani, ale potrzebuję dwa razy tyle na zapas za ledwie dwudniowy.

Yarna spojrzała na niego tak złowrogo, że skurczył się w sobie w cieniu swego stoiska.

- Ty złodzieju! Nie mam czasu się targować! Dawaj zapas na dwa dni! Kupiec był nieprzejednany.

- Naprawdę strasznie mi przykro, szanowna pani, ale nie mogę zejść z podanej ceny. I tak ledwie wychodzę na swoje.

- On umiera! Potrzebuje tego hydronu! - jęknęła Yarna, czując, że serce wali jej jak szalone. Jeśli da sprzedawcy tyle, ile zażądał, zdoła wykupić tylko dwoje ze swoich dzieci. Od żadnej matki nie można wymagać takiej decyzji!

Z drugiej strony... Doallyn ocalił jej życie, i to nieraz.

- Sprzedam pani ten gaz po kosztach - powiedział sprzedawca. - Jeszcze dwa takie klejnoty za trzydniowy zapas.

Ciągle za dużo! I tak nie starczy jej na wykupienie wszystkich trojga dzieci. Poczowała jednak, że nie zdobędzie się na to, by porzucić myśliwego.

- Zgoda - warknęła, rzucając żadaną kwotę na ladę. - Dawaj te naboje!

Trzymając w dłoni cenny pojemnik, pochyliła się nad Doallynem, zastanawiając się, czy aby nie umarł w czasie, gdy się targowała. To byłaby dopiero ironia losu...Ale nie - nadal oddychał, choć wolno. Wsunęła nabój na miejsce, otworzyła dopływ gazu i sprawdziła, czy działa. Dopiero wtedy schowała sakiewkę z powrotem pod szatę.

Udało jej się odciągnąć Doallyna na bok, w cień za stoiskiem, gdzie osunęła się obok niego. Przez dłuższy czas była ledwie świadoma tego, co się dzieje wokół niej. Krańcowo wyczerpana, niezdolna mówić, niezdolna czuć... po prostu oddychała.

Ocknęła się z tego transu, gdy Doallyn poruszył się, a potem usiadł z jękiem. Zaczął kręcić głową na boki, jakby nie mógł uwierzyć, gdzie jest. W końcu zwrócił twarz w jej stronę.

- Ty... przyniosłaś mnie tutaj?

- Musiałam - powiedziała Yarna. - Byłeś nieprzytomny. Nie wiedziałeś, że gady umierają dopiero po zachodzie słońca?

Myśliwy pokręcił głową.

- To stara bajka.

- Tym razem się sprawdziła - zauważyła Yarna..

Doallyn musiał pewnie sprawdzić wskazania licznika gazu wewnątrz swego hełmu, bo wykrzyknął nagle:

- Pełny!

Z najwyższą powagą Yarna wyciągnęła rękę i upuściła dwa pozostałe naboje na jego dłoń.

- Proszę. Będziesz ich potrzebował.

- Gdzie...? - zająknął się. - Jak...?

Pokrótkce opowiedziała mu, jak kupiła naboje. Doallyn powoli zwolnił zaciski hełmu i zdjął go, trzymając część zawierającą nabój blisko ust, by móc nadal wdychać hydron-3.

- Poświęciłaś jedno ze swoich dzieci... dla mnie? - zapytał z namysłem, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Yarna wzruszyła ramionami.

- Nie mogłam przecież stać tu i patrzeć, jak umierasz. Niespodziewanie wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś to dla mnie.

- Ocaliłeś mi życie, pamiętasz?

- W takim razie teraz jesteśmy kwita - powiedział i po raz pierwszy, odkąd go poznała, uśmiechnął się naprawdę szczerze. Jego zniekształcona blizną twarz rozjaśniła się; wyglądał prawie ładnie.

- Yarna... mam dla ciebie niespodziankę.

- Tak? Jaką?

Powoli, ceremonialnie, wsunął rękę pod tunikę i wyjął spod niej pięć drobnych kulek, które wyciągnął na otwartej dłoni w jej stronę.

- Smocze perły. Kosztują fortunę. Dzięki nim wykupisz wszystkie swoje dzieci, plus gwiazdny statek, by je stąd zabrać.

Yarna wpatrywała się w klejnoty oszołomiona.

- Skąd je wzięłeś? - zapytała w końcu.

Doallyn włożył z powrotem hełm i zapiął zatrzaski.

- Powiem ci po drodze - obiecał. - Chodźmy odszukać twoje dzieci.

Pieniądze, jak się przekonała Yarna, otwierały w Mos Eisley wszystkie drzwi. Przed wschodem księżyca tej samej nocy razem z Doallynem zrealizowali swój cel. Yarna trzymała Leię i Luke na jednym ramieniu, a Nautaga na drugim. Nie mogła uwierzyć, jak urosły, a jeszcze bardziej się zdziwiła, że ją rozpoznały. Trzymając dzieci w ramionach, była tak szczęśliwa, że nie mogła mówić.

Zatrzymali się na ulicy po drugiej stronie miejskiej rezydencji Hutta.

- No, masz je już - odezwał się Doallyn. - Co teraz?

Yarna spojrzała na niego skonsternowana. Do tej pory myślała wyłącznie o tym, by odzyskać dzieci, nie zastanawiając się, co zrobi potem. Przez chwilę się namyślała, aż znalazła odpowiedź.

- Wynosimy się z Tatooine - powiedziała zdecydowanym głosem. - Nie chcę oglądać tej planety nigdy więcej.

Doallyn skinął głową.

- Bardzo słusznie. Miałem ten sam pomysł. A kiedy już kupimy statek, może... to znaczy, czy miałabyś ochotę zwiedzić Geran? To naprawdę przyjemna planeta. Myślę, że by ci się spodobała.

Yarna przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Myślę, że Geran okaże się cudownym miejscem - zapewniła.

- To dobrze! - powiedział Doallyn; nawet filtr w masce nie był w stanie stłumić ciepła w jego głosie. - Następny przystanek: kosmoport. Zawsze chciałem mieć własny statek.

Yarna kiwnęła głową i podniosła Nautaga, który wiercił się niezadowolony, próbując wyrwać jej włosy.

- W takim razie do kosmoportu. Doallyn wyciągnął rękę po Nautaga.

- Pomogę ci. Poniosę go. Sama nie dasz rady.

Yarna podała dziecko myśliwemu. Poszli wszyscy razem, w słabych promieniach księżyca Tatooine, którego światło delikatnie spływało na całą piątkę.

EPILOG i co dalej...?

Odwiedziwszy Geran, Yarna i Doallyn postanowili zamieszkać na pokładzie nowego statku gwiazdowego i działać jako wolni kupcy na rynku tekstyliów i kamieni szlachetnych. Kiedy potrzebowali kredytów, Yarna dorabiała jako tancerka. Na ślubie Hana Solo i Leii Organy odtńczyła Taniec Siedemdziesięciu Fioletowych Welonów; wypatrzył ją tam projektant egzotycznej bielizny i zatrudnił jako modelkę do prezentacji linii ekstrawaganckich, wysadzanych klejnotami biustonoszy.

Doallyn kierował jej karierą, w wolnym czasie chwytając znane z dzikości gatunki zwierząt do ogrodów zoologicznych na planetach, które odwiedzali. Młode okazały się utalentowane muzycznie i założyły śpiewające trio jizzowe, kontynuując tradycje Maksa Rebo i jego zespołu.

Wkrótce po opuszczeniu Tatooine Sy Snootles rozwiązała spółkę z Maksem Rebo i zaczęła karierę solową. Wydała dwie płyty, które sprzedawały się fatalnie. Jej kariera legła w gruzach i nie mogła znaleźć pracy, więc przyłączyła się do kolejnego zespołu wyjców jizzowych i pod różnymi pseudonimami występuje do dziś.

Max Rebo przyłączył się do Rebelii wkrótce potem, jak Sy Snootles rozwiązała ich spółkę. Następne dwa lata spędził, występując dla sił Rebelii rozsianych po całej galaktyce (podobno w formularzu zgłoszeniowym napisał: „Rebelianci dają najlepsze jedzenie”). Po śmierci Imperatora powrócił do cywila i obecnie jest właścicielem sieci cenionych restauracji na ośmiu różnych planetach.

Droopy McCool zniknął na Morzu Wydm i nie widziano go więcej od dnia śmierci Jabby. Niektórzy powiadają, że zdarzało im się słyszeć muzykę piszczalek Kitonaków z najdalszych, najbardziej opuszczonych zakątków pustyni, a część z nich utrzymuje, że to grają Droopy i jego rodacy, czekając na nadejście Kosmicznego Jaja.

W zamieszaniu, które zapanowało po katastrofie barki żaglowej, opiekun rankora Malakili wypuścił kucharza Porcellusa z jego celi i razem udało im się złupić dość, by otworzyć restaurację Kryształowy Księżyc, uznawaną odtąd za najprzedniejszy z przybytków kulinarnych Mos Eisley. Obaj nadal wspólnie nią kierują, a jej sława dotarła nawet na Odległe Rubieże.

Gamorreański strażnik Gartogg do końca życia ubolewał, że nie udało mu się zabrać na ostatnią podróż barki żaglowej. Kiedy jednak Ortugg nie wrócił, razem z niewielką grupką udał się do Mos Eisley. Nadal nosił na ramieniu swoich dwóch nowych przyjaciół; wkrótce zauważył, że w suchym powietrzu pustyni kuchcik i mnich zaszuszyli się, a ich lekkie mumie nigdy nie przestawały się uśmiechać. W Mos Eisley Gartogg znalazł dobrze płatną pracę jako ochroniarz grupy przemytników. Odtąd wszędzie zabierał swoich uśmiechniętych przyjaciół ze sobą.

Ephant Mon postanowił wrócić na rodzinną planetę Vinsioth. Dotyk młodego Mistrza Jedi otworzył mu oczy na duchowy aspekt wszechświata; od tego czasu Ephant poświęcił się religijnej

kontemplacji natury, w końcu zaś założył sektę czcicieli Mocy.

Nie przeszkodziło mu to jednak od czasu do czasu powracać do dawnego życia - niewinne oszustwa pomogły mu finansować sektę i wznieść dla niej bardzo piękną świątynię.

Whiphid J'Quille usiłował wrócić na rodzinną planetę Toola, ale wkrótce dowiedział się, że lady Valarian, niepokieszona, że ją rzucił, wyznaczyła nagrodę za jego głowę, jeśli kiedykolwiek opuści Tatoonie. Skazany na żalosne życie, J'Quille powrócił do pałacu Jabby i przyłączył się do mnichów B'omarr. Zamiana ciała na słój wydała mu się bowiem jedynym sposobem ucieczki od nieznośnego upału Tatoonie.

Tymczasem Bib Fortuna przekonał się, że ma jeszcze przyjaciół, nawet jako pozbawiony ciała mózg, obok Tesseka, Buby i kilku innych „akolitów”, przyjętych w szeregi zakonu B'omarr po upadku Jabby. Nat rozmawiał z nim, pomagając mu przejść przez traumę utraty ciała i ucząc go, jak obsługiwać chodzik mózgu, by wędrować korytarzami. W końcu wyglądali jak każda inna para odcielesnionych mózgów, umocowanych bezpiecznie pod brzuchem mechanicznego pająka i przechadzających się razem. Mijający ich mnisi, jeszcze w ciałach, pozdrawiali ich głębokim ukłonem należnym prawdziwie oświeconym.

Fortuna nadal jednak próbował się dowiedzieć o los wszystkich intryg i planów, jakie snuł w pałacu. Komputery nie reagowały na głos dobiegający z głośniczków jego słoja, ale udało mu się zmusić dwie przednie kończyny swojego chodzika, by chwyciły łyżeczkę i jej rączką wstukiwały, cyfra po cyfrze, jego prywatne kody dostępu.

Nie wszystkie kody zostały usunięte - te tajne przetrwały katastrofę. Jeśli zbliżał się cielesny mnich, Fortuna upuszczał łyżeczkę i chodził powoli po korytarzu, zanim mnich nie zniknął. Potem szurał nogą chodzika po podłodze, nasłuchując brzęknięcia łyżeczki, a znalazłszy ją, zaczynał od nowa. Ze wszystkich trosk dnia, myślał często, najgorsza jest ta, że musiałem dziś upuścić łyżeczkę osiemnaście razy.

Gdy sprawdził swoje konta, przekonał się, że wiele tych tajnych, założonych pod różnymi nazwiskami, było nietkniętych, a odsetki na nich nie przestawały rosnać. Nadal miał fortunę. Wysyłał listy do swoich byłych podwładnych - zdanie po zdaniu, słowo po słowie, aż dowiedzieli się, co się z nim dzieje. Jeden nawet obiecał, że przybędzie mu na ratunek.

Kiedyś w końcu mnisi pozwolą jemu i Natowi spacerować wieczorem na zewnątrz pałacu i pewnego dnia pojawi się odsiecz. Zostawią za sobą Tesseka, Bubę i innych. Razem z Natem znajdą klonów i zdobędą nowe ciała: młode, silne i doskonałe. Fortuna miał nadzieję, że nawet jeśli mnisi się dowiedzą, co planowali z Natem - co było bardzo prawdopodobne - znajdą w sercu dość litości, by pozwolić im odejść.

Nieodwołalnie pozbawiony zupy Jabby, która eksplodowała wraz z barką żaglową, Dannik Jerriko wpadł w morderczy ciąg. Zawsze tak dumny ze swojej samokontroli i elegancji, Anzata stracił teraz jedno i drugie. Nigdy wcześniej Jerriko nie musiał odmówić sobie zupy istoty, którą upatrzył na ofiarę. Ze zszarganą reputacją wkrótce trafił na listy gończe, a jego nazwisko figuruje teraz na szczytach list łowców nagród - takich samych jak ci, którzy pracowali dla Jabby i innych.

Drapieżnik sam stał się ofiarą.

A Boba Fett i Mara Jade mieli oczywiście pełne ręce roboty... ale to już zupełnie osobna historia.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Lucy Wilson przede wszystkim za entuzjastyczne poparcie pomysłu antologii, Tomowi Dupree za jego pracę w wydawnictwie Bantam Books oraz Billowi Smithowi z West End Games za dostarczenie podstaw do tak wielu z tych opowieści. Dziękuję także - jak zawsze - Rebecce Moesta Anderson, że znosiła mnie w chwilach, gdy tak naprawdę powinna dać mnie na pożarcie rankorowi.

Kevin J. Anderson, październik 1994